

ROČZNIK
ŁWOWSKI
2014-2016



ROCZNIK LWOWSKI
2014–2016

W poprzednim numerze „Rocznika Lwowskiego 2012–2013” nastąpiły przykre pomyłki w nazwiskach i imionach autorów, za które Ich oraz Czytelników serdecznie przepraszamy.

Autorką publikacji „Lwowska Galeria Sztuki 1907–1944” jest Natalia **Filewycz**, a autorem artykułu „Działalność doktora Henryka Mosinga w powojennym Lwowie ” – **Mikołaj** Sahajdakowskyj.

**ROČZNIK
ŁWOWSKI
2014-2016**

**INSTYTUT ŁWOWSKI
Warszawa**

Projekt okładki i strony tytułowej
Jerzy TREUTLER

Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

przy wsparciu Polonia aid Foundation Trust w Londynie

Redaguje kolegium:

Oskar Stanisław CZARNIK, Andrzej MIERZEJEWSKI,
Krzysztof SMOLANA, Janusz WASYLKOWSKI (redaktor naczelny)

Adres redakcji:

01-390 Warszawa, ul. Sucharskiego 4 m. 83

Tel.: (22) 664-54-42

© Copyright by Instytut Lwowski, Warszawa

ISSN 1230-0829

Druk, skład i oprawa:

WEDA sc

ul. Człuchowska 66 lok. 11, 01-360 Warszawa

tel.: 22 666 2000

SPIS TREŚCI

I. Rozprawy, szkice, przyczynki historyczne

Jurij Smirnow – Katedra greckokatolicka Św. Jura	7
Oskar Stanisław Czarnik – Porucznik Tadeusz Żuliński. Lekarz ze Lwowa, adiutant Józefa Piłsudskiego, komendant POW	35
Paweł Naleźniak – Lwowscy Bernardyni w latach 1939–1946 . .	59
Tomasz Steinmetz – Kolonizacja niemiecka w Galicji w XVIII wieku.	77
Jerzy Moliński – Lwowskie lata Karoliny Lanckorońskiej	99
Adam Redzik – Derewnia koło Żółkwi – gniazdo rodu Starzyńskich. Miejsce spoczynku prof. Stanisława Starzyńskiego (1853–1935)	113
Danuta Grzeszczuk – Wojowanie Michała Tarasiewicza. Lwowski sezon teatralny 1919–1921	125

II. Beletrystyka, wiersze, wspomnienia

Andrzej Bartyński – Było miasto; – Zaśpiewały mi ptaki w myślach; – Organy; – Słowiki; – Pan radca; – A to historia; – Izrael; – Odjazd	155
Ryszarda Niemcowa – Gdy na cytadeli moreli kwitnęli	165
Mariusz Olbromski – Lekcja na Łyczakowie; – Nocna wędrówka; – Wierny płomień; – W arboretum; – Szkoła	183
Jolanta Załęźny – Kresowe fascynacje i poetyckie peregrynacje Mariusza Olbromskiego	189
Karolina Kołtun – Ostatnia droga	199
Zbigniew Adriański – Opowiadania z Polesia	201

III. Polacy we Lwowie, lwowiacy w Polsce i w świecie

Jurij Smirnow – Powojenne losy lwowskich świątyń, cz. VI . . .	223
Andrzej Otko – Renowacje obrazów w kościele św. Antoniego . . .	251
Konstanty Czawaga – Prasa polska na Ukrainie	271

IV. Książki o Lwowie i Kresach Południowo-Wschodnich

Krzysztof Smolana – O potrzebie lwowskiego słownika biograficznego	281
Maciej Miśkowiec – Lwowska katedra łacińska	292
Maciej Miśkowiec – Zapomniany poeta Jan Zahradnik	303
Barbara Pietkiewicz, Ryszard Tomczyk – Cmentarz Janowski we Lwowie (<i>K.S.</i>)	314
Krystyna Aleksandra Harasimiuk – Dzieje Instytutu Geograficznego na Uniwersytecie Lwowskim w latach 1883–1939 (<i>Maciej Miśkowiec</i>)	316
Ryszard Wójcik – Kapryśna gwiazda Rudolfa Weigla (<i>Krystyna Weigl-Albert</i>)	325
– Ormiański Pasterz Lwowa ksiądz Arcybiskup Józef Teodorowicz na tle dziejów ormiańskich (<i>Maciej Miśkowiec</i>)	328
Aleksander Błachowski – Ubiór i krajobraz kulturowy Polski i Ukrainy Zachodniej w ikonografii J. Głogowskiego i K.W. Kielisińskiego (<i>Janusz Maciej Michałowski</i>)	333
Mariusz Olbromski – Śladami słów skrzydlatych... Pomniki pisarzy i poetów polskich na Kresach Południowych dawnej Rzeczypospolitej (<i>Jolanta Załęzny</i>)	337
Barbara Łętocha, Izabela Jabłońska, Afisze Żydów ze Lwowa, Drohobycza i Borysławia wydane w latach 1929–1939 w zbiorach Biblioteki Narodowej (<i>J.W.</i>) . . .	339
Tadeusz Marcinkowski, Małgorzata Ziemska, Skarby pamięci. Album ze zbiorów Tadeusza Marcinkowskiego (<i>J. Wasylkowski</i>)	339

Wkładka fotograficzna: grafiki Marii Huthowej:

- Kościół Karmelitów
- Kościół Dominikanów
- Fragment katedry łacińskiej
- Studnia bł. Jana z Dukli
- Dziedziniec Archiwum Państwowego
- ul. Serbska
- ul. Szklarska
- Przekupka

I. Rozprawy, szkice, przyczynki historyczne

Jurij Smirnow

KATEDRA GRECKOKATOLICKA p.w. św. JURA WE LWOWIE

Katedra greckokatolicka św. Jura jest jedną z trzech historycznych katolickich katedr lwowskich. Świątynię usytuowano na wzgórzu (Góra Świętojurska) panującym nad rozległym terenem na zachód od historycznego centrum miasta. Zbudowana w XVIII wieku katedra była i zostaje dominantą architektoniczną okazałego zespołu zabudowań, na który się składają: pałac arcybiskupi, dawne budynki klasztorne i kapitulne, dzwonnica, okazałe ogrodzenie z trzema bramami i rozległy ogród pałacowy. Zespół ten sformował się na przestrzeni wieków, a pierwsze wiadomości kronikarskie i legendy związane z założeniem klasztoru ojców bazylianów sięgają XIII wieku.

Pierwsza świątynia była drewniana, zbudowana przez księcia haliczko-włodzimierskiego Lwa Daniłowicza około roku 1280 dla pierwszych ojców, którzy osiedlili się w tym miejscu wraz z kniazem Wasylkiem (Bazyliuszkiem), stryjem Lwa Daniłowicza.¹ Nie jest to wiadomość pewna, choćby z powodu tego, że książę Wasylko zmarł jeszcze w roku 1269 i był pochowany w Chełmie. Pamiątką z XIV wieku jest dzwon odlany w 1341 roku wagi 415 kg, który zachował się do dnia dzisiejszego. Odlął go ludwisarz Jakub Skóra za czasów Archimandryty Eutymiusza. O tym świadczy cyryliczny napis na płaszczu dzwonu.

Drewniana świątynia kilkakrotnie płonęła (np., w 1340 roku), po czym znów była odbudowana. Według B. Zimorowicza, kronikarza i burmistrza Lwowa, budownictwo murowanej cerkwi związane było z imieniem architekta Dorchi lub Dorka (Doringa), budowniczego katedry ormiańskiej we Lwowie. W 1363 roku miał on postawić pierwszą murowaną świątynię, rozbudowaną czy przebudowaną w 1437 roku.² Tę informację podaje też inny lwowski kronikarz Dionizy Zubrzycki w swojej „Kronice miasta Lwowa” (1844). Większość współczesnych badaczy uważają, że Dorchi był Włochem z pochodzenia, doświadczonym budowniczym w Kaffie na Krymie. Ormiańscy fundatorzy katedry ormiańskiej we Lwowie zaprosili go do miasta nad Pełtwią, gdzie zbudował ormiańską świątynię (1356–1363) i prawosławną cerkiew św. Jura.³

Na początku XVII wieku krótki opis tej cerkwi podaje Marcin Gruneweg, który pisze, że w tym czasie cerkiew była całkowicie przebudowana, a w niej znajdowały się obrazy święte ukraińskiego malarza Fedka (Seńkowycza). W 1608 roku cerkiew została trafiona przez błyskawicę, spłonęła część obrazów i wyposażenia. Prof. W. Aleksadrowycz uważa, że obrazy nie zostały zniszczone i po odnowieniu znajdowały się w cerkwi aż do 1743 roku.⁴

W 1539 roku prawosławną katedrę biskupią przeniesioną z Halicza do Lwowa. Pierwszym lwowskim biskupem mianowano Makarego Tuczapskiego, który pełnił również obowiązki ihumena klasztoru bazylikańskiego i dlatego postanowił rezydować na wzgórzu świętojurskim. Otóż cerkiew klasztorna stała się również katedralną i przebywała w podwójnym podporządkowaniu – klasztoru i biskupa. Lwowski historyk sztuki W. Wójcik w 1995 roku opublikował widok starej cerkwi z pierwszej połowy XVIII wieku.⁵ Uczony lwowski sugeruje, że świątynia miała niewielkie rozmiary, orientowana na osi wschód-zachód, z trzynawowym korpusem z trzema oknami po każdej stronie. Prezbiterium zamknięto trzema absydami, z nich centralna była znacznie większa od bocznych. Nad nawą zbudowano niewielką sygnaturkę z latarnią, zwieńczoną dużym krzyżem. Nie wykluczone, że korpus był jednonawowy z dwoma filarami, lecz historyczny i ikonograficzny materiał nie pozwala na jednoznaczne wnioski. Bardzo pomocne byłyby poszukiwania archeologiczne, ale na starych fundamentach zbudowano nową katedrę.

W XVI–XVIII wiekach dookoła starej cerkwi była zabudowa klasztorna. Po stronie południowej znajdowała się drewniana dzwonnica. Obok wykopano murowaną studnię. Biskup Gedeon Bałaban zbudował drewniany pałac i monaster otoczono murem i bastionami, zbudowano arsenał, ustawiono działa. Jednym z najbardziej energicznych biskupów był Józef Szumlański (1667–1708). W 1673 roku umieścił w katedrze cudowny obraz Matki Boskiej Trembowelskiej przywieziony z monasteru z Trembowli na Podolu. Od 1663 roku niejednokrotnie odnotowano, że Bogurodzica płakała prawdziwymi łzami. Ojciec Sadok Barącz podaje, że „...za wiadomością czernca (mnicha) na imię Mitrofan Popil z monasteru trembowelskiego św. Spasa obraz Panny Przenajświętszej płakał w dzień czwartkowy przed Wielkanocą ruską, gdzie... widzieliśmy to objawienie Boskie, że to była prawdziwa rzecz nieodmienna. Znowu powtóre w sobotni dzień poszliśmy dla nabożeństwa i widzieliśmy na swoje oczy, że ten obraz Panny Przenajświętszej rzewnie płakał... Z powodu rozruchów tureckich episkop Szumlański 1673 r. przeniósł obraz do Lwowa i w cerkwi św. Jerzego umieścił”.⁶

Od 1685 roku biskup J. Szumlański zajmował się ozdobieniem świątyni katedralnej. On zamówił nowy zespół ikon, które umieścił



Katedra św. Jura. Widok ogólny.

w nawie i prezbiterium. Jedna z nich św. Jerzego znajduje się teraz w zbiorach Ukraińskiego Muzeum Narodowego we Lwowie.

W 1687 roku założono drukarnię, która działała do 1708 roku. W 1685 roku z fundacji bp. Szumlańskiego zbudowano nową kaplicę św. Prokopa. W 1700 roku ihumen ojców bazylianów Dionizy Siatkiewicz przybudował do cerkwi kolejną kaplicę p.w. Pokrowy (opieki) Bogurodzicy. Do tej kaplicy przeniesiono cudowny obraz Matki Boskiej.

1 lipca 1700 roku w katedrze św. Jura uroczyście ogłoszono o przystąpieniu eparchii lwowskiej do Unii z Watykanem. 6 września 1704 roku Lwów zdobyły wojska szwedzkie pod dowództwem króla Karola XII. Od miasta zażądano kontrybucji w sumie 173.000 talarów. Magistrat rozłożył tę sumę na wszystkie stany, kościoły, cerkwie i klasztory. Katedra św. Jura miała zapłacić 4.000 talarów, cerkiew Uśpienia NMP 6675 talarów. Inne cerkwie płaciły znacznie mniej, np. cerkiew św. Paraskiewy Piatnicy – 300 talarów, cerkiew Woskresennia – 100 talarów.⁷ Osobno katolicy i Ormianie mieli zapłacić 70 tysięcy, Żydzi – 40, Rusini – 50. Szwedzi zabrali też wszystkie towary ze sklepów i kramów, resztę dóbr, które nie zdołali wywieźć, zniszczyli.⁸ Komisarze szwedzcy osobiście przybywali do każdej świątyni i zabierali na okup cenne naczynia liturgiczne ze srebra i złota. Ojciec S. Barącz pisz: „...ciężką kontrybucję na Rusinów nałożono; jednakże nas w tym mocna ręka Boska i instancja Przenajświętszej Matki do tego majestatu w obrazie naszym miejskim cudownym w kaplicy bałabanowskiej nazwanej, salwowała; który pod ten czas jawnie łyzy święte toczył... Komisarz (szwedzki) natenczas najpierwszy Gustaw Zołdan, który gdy przyszedł do cerkwi Bożej i ujrzał gmin ludu płaczącego i ten cud na obrazie Panny Przczystej, niedługo patrząc wszedł w ołtarz, gdzie stał obraz Panny Przenajświętszej Trembowelskiej jeszcze nie obdarty, jej cudem skruszony, poniekąd i na nasze łyzy patrząc i darkiem ukontentowany, już się nie kazał tego obrazu tykać i obdzierać, i nie rewidował strykie więcej... Obraz ten znajduje się w drugim ołtarzu po prawej stronie i przedstawia Matkę Bożą w stylu bizantyjskim w półpostaci z Chrystusem w lewej ręce”.⁹ D. Zubrzycki w „Kronice miasta Lwowa” dodaje, że ten „darem ukontentowany”, który zapłaciło miasto stanowił „...2.000 dukatów dla generała Steiboka, 200 dukatów dla komisarz Zołdana, tyleż dla komisarza Brumela, dla kasjera Kocka 100 dukatów, dla generała Hielma 100 dukatów, różnym oficerom szwedzkim 2.000 dukatów, królowi Stanisławowi Leszczyńskiemu za wstawienie się do Karola XII za miasto 1.300 dukatów, razem 92.000 dukatów”.¹⁰

Przejsście diecezji lwowskiej na greokatolicki obrządek wymagało też przystosowania świątyni świętojurskiej do nowych wymogów. Za czasów następców biskupa Józefa Szumlańskiego biskupów Warłaima Szep-

tyckiego (1710–1715) i Atanazego Szeptyckiego (1715–1746) w katedrze zbudowano nowe ołtarze, ustawiono ławki. Obok nowego ołtarza głównego zbudowano boczne, poświęcone św. Bazylemu Wielkiemu, św. Onufremu, Pokrowu (Opieki) Bogurodzicy, Niepokalanemu Poczęciu NMP. W 1722 roku zbudowano ambonę. Jednak nie zważając na budowę nowych kaplic i nowe ozdobienie wewnętrzne, cerkiew zostawała małą i ciemną, nie odpowiadała statusowi głównej, katedralnej świątyni obszernej diecezji lwowskiej. Katedra liczyła już ponad 350 lat i jej stan techniczny nie był najlepszy. Mury i fundamenty miały pęknięcia, dachy przeciekały. Biskup Atanazy Szeptycki dążył do budowy nowej katedry – obszernej, okazałej, w nowoczesnym stylu. Sytuacja była jednak skomplikowana. Świątynia przebywała w powójnym podporządkowaniu – lwowskim biskupom i zakonnikom bazyliańskiego monasteru. Bp Atanazy Szeptycki chciał rozebrać starą świątynię i na jej miejscu, na własny koszt, zbudować nową. Oznaczało to całkowite odsunięcie ojców bazylianów od majątkowych praw do katedry. Ale nie tylko to zaniepokoiło ojców i część miejscowych Rusinów. Prof. W. Aleksandrowycz słusznie zauważył, że „sprawa rujnacji starej i budowa nowej katedry wyrosła do współzawodnictwa w strukturach grekokatolickiego kościoła tradycji Wschodu z kulturą Zachodu, zaś budowa nowej katedry w stylowych formach zachodniej architektury była widocznym znakiem przewagi wpływów Zachodu”.¹¹

Biskup Atanazy Szeptycki był przedstawicielem wpływowej rodziny szlacheckiej, od wieków osiedlonej w Galicji. Studiował we lwowskim Kolegium ojców Teatynów, w 1710 roku wyświęcony na księdza w obrządku grekokatolickim. Od 1715 roku pełnił godność archimandryty klasztoru (ławry) w Uniowie i biskupa lwowskiego. W 1729 roku mianowany metropolitą kijowskim. Pierwszy wśród dostojników kościoła grekokatolickiego otrzymał miejsce w Senacie Rzeczypospolitej w trybunale koronnym.¹² Bp A. Szeptycki całe życie aktywnie zajmował się budową nowych świątyń i przebudową istniejących. W 1731 roku rozbudował cerkiew w Ławrze Uniowskiej, ufundował nowy ikonostas. Dzięki jego wsparciu finansowemu rozbudowano bazyliańskie monasterie w Wilnie i Grodnie. W Kamieńcu Podolskim założył nowy klasztor bazyliański i przekazał ojcom cerkiew p.w. św. Trójcy, którą rozbudował i wyposażał.¹³

Najważniejszym przedsięwzięciem biskupa A. Szeptyckiego było jednak budownictwo nowej katedry św. Jura we Lwowie, pomyślane w kontekście rozbudowy i kapitalnej przebudowy całego zespołu klasztorno-pałacowego na świętojurskim wzgórzu. Nowy zespół budowli miał podkreślić znaczenie i prestiż kościoła grekokatolickiego i zademonstrować pozycję społeczną samego metropolity w Rzeczypospolitej. W grę wchodziły



Fasada główna katedry

i lokalne lwowskie sprawy. A. Szeptycki chciał zbudować nową świątynię katedralną, która byłaby piękniejszą i okazalszą od innych lwowskich kościołów katolickich.

1 Października 1774 roku biskup A. Szeptycki poświęcił kamień węgielny na budowę nowej świątyni. Dla wykonanie swoich planów znalazł też odpowiedniego wykonawcę, znanego i cenionego we Lwowie architekta Bernarda Meretyna (lub Merettinera). Architekt był z pochodzenia Niemcem, lecz od dawna osiadłym we Lwowie, autorem wielu projektów barokowych kościołów i pałaców. Bardzo owocną była jego praca i poza Lwowem dla Mikołaja Potockiego, starosty kaniowskiego, znanego kresowego magnata, który rezydował w Buczaczu na Podolu. We Lwowie B. Meretyn zbudował kościół i klasztor sakramentek, rozbudował i ozdobił klasztor karmelitanek, zbudował pałac dra Karola Garani, rajcy lwowskiego. W latach 1740–1748 przebudował w stylu barokowym kościół w Nawarii. Meretyn nie był członkiem cechu budowniczego we Lwowie, lecz korzystał z protekcji wpływowych osób, przede wszystkim M. Potockiego i kościoła katolickiego. Z czasem otrzymał tytuł architekta królewskiego. W latach 50. XVIII wieku oprócz katedry św. Jura zaprojektował i zbudował, z fundacji M. Potockiego, ratusz w Buczaczu (1750), oraz kościół i klasztor ojców misjonarzy w Horodence (1745–1760). Obydwie budowle prezentują barokową architekturę Kresów na wysokim poziomie europejskim.¹⁴ Prof. Mańkowski uważa, że „z przeglądu jego prac zdaje się wynikać, że jest on zarazem tym architektem XVIII wieku, którego dzieła zaważyć miały najwięcej na fizjonomii Lwowa w okresie późnego baroku”.¹⁵

Wieloletnie powiązanie architekta z M. Potockim i życzliwość hrabiego do obrządku grekokatolickiego pozwalają na przypuszczenie, że starosta kaniowski był jednym z fundatorów nowej świątyni katedralnej we Lwowie i dawał fundusze na jej budowę. O tym może świadczyć też portret M. Potockiego, pędzla Radywiłowskiego, który starosta podarował katedrze lwowskiej św. Jura.¹⁶ O stosunku M. Potockiego do finansowania budownictwa świątyni świadczą również zdobiące katedrę rzeźby Jana Jerzego Pinsla, który na stałe pracował w Buczaczu na zamówienie starosty kaniowskiego.

Fundator katedry bp Atanazy Szeptycki zmarł w roku 1746, dwa lata po rozpoczęciu budowy. Dalsze prace budowlane i częściowa zmiana planów prowadzone były już za jego następcy, biskupa Leona (Lwa) Szeptyckiego (1748–1779), zaś część zdobienia i wyposażenia katedry i pałacu nawet za czasów biskupa Piotra Bilańskiego (1780–1798). Na budowę katedry Atanazy Szeptycki „...w swoim testamencie zapisał 116.820 złotych zabezpieczonych na hipotece majątności Horodysławice ks. i wojewody Augusta Czartoryskiego”.¹⁷ Biskup Leon Szeptycki był

człowiekiem europejskiej kultury, otrzymał bardzo dobre wykształcenie w kolegium ojców Teatynów we Lwowie i na uniwersytecie papieskim w Rzymie, gdzie studiował prawo i skończył akademię dyplomatyczną. Od 1748 roku był mianowany biskupem lwowskim i kamienieckim, zaś od 1778 metropolitą kijowskim.¹⁸ Biskup w 1750 roku podpisał nową umowę z B. Meretynem, który na życzenie hierarchy wprowadził do projektu częściowe zmiany, dotyczące ograniczenia zastosowania barokowej sztukaterii, ozdobienia kopuły figurą Bogurodzicy i budowy dwóch wież-dzwonnicy.

Jednak kilka lat później sytuacja odmieniła się kardynalnie. W 1758 roku architekt B. Meretyn utracił zaufanie biskupa, który zerwał z nim umowę. Stało się tak wskutek intryg i nieuzasadnionej krytyki Pierre Ricaud de Tirgaille, francuskiego wojskowego inżyniera, architekta i kapitana regimentu pieszego wielkiej buławy koronnej. Francuz uważał architekturę katedry „czymś przestarzałym, zarówno niegodnym przedsięwzięcia architektonicznego tych rozmiarów, zarówno w swym stylu jak i smaku dekoracji. Ricaud chciał być widzieć w niej francuski „gust”.¹⁹

W styczniu 1759 roku B. Meretyn zmarł, rozgoryczony i zawiedziony w swoich najlepszych dążeniach. W ten czas budowa katedry była już praktycznie skończona, lecz ozdabiania wewnątrz jeszcze nie rozpoczęto. Dalsze kierownictwo budową biskup powierzył Marcinowi Urbanikowi, znanemu we Lwowie budowniczemu, zaś po jego śmierci w 1764 roku, wszystkie prace na wzgórzu świętojańskim prowadził Klemens Ksawery Fesinger, architekt zatrudniony przez bp L. Szeptyckiego jeszcze w 1761 roku i pracujący na jego polecenie aż do 1773 roku. Powołani przez biskupa rzeczoznawcy (możliwie Pierre Ricaud de Tirgaille i Jan de Witte) uznali za konieczne skupić się na budowie ołtarza wielkiego, ołtarzy bocznych, ambony i dzwonnicy (lub dwóch wież od frontu, które nigdy nie zostały zrealizowane). Również chodziło o budowę oficyn, ogrodu, pałacu biskupiego, uporządkowania dziedzińca i rozplanowanie wielkiego ogrodu. Biskup przeznaczył ogółem na wszystko 150.410 złotych. Do wykonania ozdobienia i wyposażenia fasad i wewnątrz świątyni zaproszono najlepszych artystów-rzeźbiarzy, mianowicie Jana Jerzego Pinsla, Sebastiana Fesingera (ojca architekta), Michała Filewicza, Semena Starzewskiego. Zatrudniono także znanych artystów-malarzy Jerzego Radywiłowskiego, a od 1778 roku Łukasza Dolińskiego, absolwenta akademii sztuk pięknych w Wiedniu.

Nowa katedra została usytuowana na samym szczycie wzgórza świętojurskiego i dominuje w zespole otaczających ją budowli swoimi rozmiarami, jak również bogactwem form architektonicznych. Świątynię zbudowano na osi zachód-wschód, zaś ołtarz główny umieszczono po stronie

zachodniej, a wejście od wschodu. Taka orientacja podkreślała unię, zjednoczenie z Rzymem, z kościołem zachodnim, ale też była wynikiem kształtowania reliefu samego wzgórza, ze stromymi stokami od zachodu i północy oraz łagodnym spadem powierzchni w kierunku wschodnim i południowym.

Katedra św. Jura reprezentuje typ świątyni krzyżowo-kopułowej, z dominującą nawą główną i transeptem. Nad skrzyżowaniem nawy i transeptu zbudowano potężną kopułę. W narożnikach zbudowano cztery kaplice. Dookoła katedry znajduje się niewielki plac, szczelnie zabudowany z trzech stron budynkami dawnych seminarium i kapituły. W północnej jego części zbudowano dzwonnice. Przed fasadą główną utworzono nieco większą przestrzeń wolną, lecz stromy stok wzgórza od strony wschodniej zmusił K. Fesingera zbudować w latach 70. XVIII wieku monumentalne schody, ozdobione balustradą z postaciami ośmiu geniuszy i z grotą w części dolnej. W grocie umieszczono figurę św. Onufrego dłuta S. Starzewskiego. Grotę flankowano pilastrami i oddzielono od dolnego placu balustradą.

Na zewnątrz gmach katedry ma charakterystyczną późnobarokową dekorację, zaś kształty architektoniczne wyraźnie akcentują jego strukturę wewnętrzną. Bogactwem ozdobienia wyróżnia się fasada główna, ale też rozbudowano trzy fasady boczne, mianowicie od strony prezbiterium i dwóch bocznych ramion transeptu.

Fasadę główną zdobią cztery potężne pilastry podpierające monumentalny łamany gzyms i rozbudowany attyk. Na osi centralnej fasady znajduje się okazały portal wejścia głównego, nad nim balkon ozdobiony balustradą, zaś jeszcze wyżej duże okno z witrażem w kształcie krzyża trzyramiennego. Portal wejścia flankowano kamiennymi cokołami, na których ustawiono monumentalne figury św. Atanazego Aleksandryjskiego i św. Papieża Leona I. W centralnym punkcie attyki ustawiono konną figurę św. Jerzego (św. Jura), patrona katedry. Wszystkie trzy późnobarokowe figury świętych wykonał w latach 1759–1761 Jan Jerzy Pinsel za ogólną cenę 37.000 złotych.²⁰ Postać św. Atanazego, patrona biskupa A. Szeptyckiego symbolizuje Cerkiew Wschodnią, zaś postać św. Papieża Leona I, patrona biskupa L. Szeptyckiego – Kościół Zachodni. Razem są symbolem zjednoczenia, unii Kościołów, uznaniem znaczenia obydwóch gałęzi chrześcijaństwa. Figury świętych dłuta Pinsla są najbardziej cennymi dziełami sztuki rzeźbiarskiej w ozdobieniu katedry. Bogactwem ozdobienia wyróżniają się również boczne fasady katedry, które znacznie wzbogacają attyki z rozbudowanymi balustradami akcentowane pilastrami i dekorowane kamiennymi latarniami. Kamienne późnobarokowe latarnie lub wazony są charakterystyczną cechą, ważnym akcentem ozdobienia katedry i otaczającego

zabudowania. Łącznie ustawiono 57 misternie rzeźbionych wazonów, które są dziełem rzeźbiarza S. Starzewskiego. Boczne ściany katedry ozdobiono rytmicznie umieszczonymi podwójnymi lizenami i łamanym rozbudowanym gzymsem. Tambur monumentalnej kopuły ma kształt zaokrąglonego w narożach kwadratu, zwieńczonego niewielką pozłożoną latarnią z krzyżem. Plany ustawienia na niej figury Bogurodzicy nigdy nie zostały zrealizowane. Blachę miedzianą dla pokrycia dachów i kopuły sprowadzono aż ze Szwecji.

Wewnątrz katedra robi wrażenie świątyni trzynawowej z rozbudowanym prezbiterium, kamiennym niewielkim chórem muzycznym i monumentalnymi, potężnymi filarami wspierającymi kopułę. Nad kaplicami zbudowano emporę, połączone z chórem muzycznym i ozdobione barokowymi wygiętymi balustradami. Wyżej znajduje się profilowany gzyms. W wydłużonej części prezbiterialnej zbudowano potężny późnobarokowy ołtarz z carskimi i diakońskimi wrotami. Po bokach prezbiterium przybudowano dwie niskie zakrystie, które mają wejścia od strony kaplic bocznych oraz od ołtarza. Stosunek nawy głównej do transeptu wynosi 5:3. Wysokość kopuły od posadzki do latarni stanowi 37 metrów. Jak uważa prof. T. Mańkowski, „jakkolwiek wrażenie wnętrza nie dorównuje stronie zewnętrznej kościoła, to jednak niepodobna mu odmówić lekkości form i wdzięku w szczegółach, chociaż niezupełnie może we wszystkim ze sobą zharmonizowanych”.²¹

Świątynia była dobrze oświetlona. Światło przenika przez 20 mniejszych okien umieszczonych na dwóch poziomach i czterech wielkich znajdujących się nad chórem muzycznym, ołtarzem głównym i w ramionach transeptu. W ostatnich czterech ustawiono witraże w kształcie trzyramiennego krzyża.

Ozdobienie wnętrza świątyni trwało ponad dwadzieścia lat, do 1765 roku pod kierownictwem Sebastiana Fesingera, zaś po jego śmierci rzeźbiarza Michała Filewicza (do 1770 roku). Z czasem jednak zmieniały się poglądy estetyczne. Był to również czas nasilenia prądów latynizacyjnych w obrządku greckokatolickim, co znajdowało swoje odbicie nie tylko w liturgii, ale też ozdobieniu świątyń. Np. w 1765 roku w katedrze ustawiono organy i nabożeństwa odbywały się przy akompaniamencie muzycznym. Monumentalny ołtarz główny również naśladuje najlepsze wzory późnobarokowej sztuki katolickiej. Sebastian Fesinger bardzo umiejętnie wkomponował między czterema potężnymi kolumnami przegrodę ołtarzową z carskimi i diakońskimi wrotami.

Carskie wrota zdobi bogata rzeźba ornamentalna, złocenia i medaiony ze sceną Zwiastowania NMP i postaciami czterech ewangelistów. Diakońskie wrota ozdobiono w płaskorzeźbione figury archaniołów Michała i Rafała. Obok carskich wrót znajdują się dwa najważniejsze



Fronton katedry z figurą św. Jura

obrazy święte, mianowicie Chrystusa i Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. Dwie centralne wolno stojące kolumny nad carskimi wrotami połączono łukiem z odcinkami belkowania i z figurami aniołów. Zwieńczenie ołtarza wykonano w formie fantazyjnie wykrojonego szczytu z wielkim obrazem przedstawiającym „Chrystusa Arcypasterza”. Ściany prezbiterium za carskimi wrotami podzielono pilastrami na pola, w których znajdują się obrazy z przedstawieniami apostołów i proroków Starego Testamentu. W rokokowej ramie z tylnej strony szczytu ołtarza nad carskimi wrotami znajduje się obraz „Ostatnia Wieczerza”. Ten obraz wykonał Jerzy Radywiłowski, który na zamówienie bpa Leona Szeptyckiego do 1778 roku pracował przy artystycznym ozdobieniu katedry. Jego autorstwa też obrazy przedstawiające apostołów. Postacie świętych Piotra, Pawła, Jana i Marka artysta namalował w wielkich owalnych ramach, zaś resztę apostołów przedstawił parami w ramach prostokątnych ozdobionych połączanymi barokowymi kartuszami. W owalnych ramach przedstawiono postacie Chrystusa i Matki Bożej, „raczej Madonny we włoskim stylu „a la Carlo Dolce”, umieszczone na pilonach obok diakońskich wrót.²² Jerzy Radywiłowski wykonał również wielki obraz „Ukrzyżowanie” ustawiony przy ścianie zachodniej prezbiterium, dekorowanej dwiema kolumnami na wysokich cokołach i pilastrami. W zwieńczeniu nad obrazem fantazyjnie wygięty baldachim, zaś wyżej rzeźbiona postać Boga Ojca z kulą ziemską w otoczeniu aniołów, puttów i chmur. U góry gloria z gołębicą Ducha Świętego. Wszystko bogato wyzłocono. Przy kolumnach na wysokich cokołach ustawiono pozłoczone figury starotestamentowych proroków Aarona i Melchizedeka. Po śmierci K. Fesingera wszystkie prace w ołtarzu wykonywał M. Filewicz i towarzyszący mu S. Starzewski.

Obraz „Ukrzyżowanie” niedługo znajdował się w ołtarzu. W jego miejsce kasztelanowa Katarzyna Kossakowska podarowała do katedry wielki obraz „Kazanie na górze”, który na jej zamówienie wykonał Franciszek Smuglewicz, znany wileński artysta-malarz.

M. Filewicz wykonał również nowy tron biskupi i okazałą późnobarokową ambonę ustawioną po południowej stronie przejścia do prezbiterium. Stylowo, bogactwem ozdobienia rzeźbiarskiego i złoceniem ambona koresponduje z ołtarzem głównym, stanowi z nim jednolity zespół. Na bogato profilowanym koszu ambony znajduje się złocona płaskorzeźba, która przedstawia „Dwunastoletniego Jezusa w świątyni”. Obok umieszczono figury dwóch ewangelistów. Wejście na ambonę flankowane postaciami aniołów, zaś nad portalem wejścia umieszczona jest płaskorzeźba z przedstawieniem siewca. Baldachim ambony zwieńczono figurą Chrystusa Zmartwychwstałego na kuli ziemskiej z krzyżem w ręku. Obok postacie dwóch ewangelistów i gloria z gołębicą Ducha Świętego.

Poziom dzieł J. Radywiłowskiego nie do końca zadowolił biskupa L. Szeptyckiego i nie odpowiadał poziomowi ówczesnej sztuki europejskiej. Prof. W. Aleksandrowicz uważa, że Radywiłowski „...nie odznaczał się wybitnymi indywidualnymi zdolnościami. Wątki starej barokowej stylistyki z pierwszej połowy XVIII wieku, robiły jego płótna nieco staroświeckimi i przestarzałymi”.²³ Dlatego w 1778 roku biskup zatrudnił nowego „nadwornego malarza”, Łukę (Łukasza) Dolińskiego, absolwenta Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu. Ł. Doliński przez szereg lat studiował na Akademii dzięki stypendium bpa A. Szeptyckiego. Pierwsze prace Dolińskiego nie rozczarowały biskupa. Był to już wspomniany duży obraz „Chrystus Arcypasterz”. Kolejne prace Dolińskiego to sześć medalionów z parami proroków Starego Testamentu, które znajdują się w prezbiterium nad obrazami apostołów pędzla J. Radywiłowskiego. Doliński wykonał również obrazy „Zwiastowanie NMP”, „Objawienie Pańskie”, „Umywanie nóg”, „Uzdrowienie ślepeca” oraz „Święty Jerzy zabija smoka”, „Boże Narodzenie”, „Zesłanie Ducha Świętego na apostołów”, „Kazanie Św. Jana Chrzciciela”, „Wniebowstąpienie Św. Jakuba”, „Chrystus wypędzający przekupniów z jerozolimskiej świątyni”.

Twórczość Ł. Dolińskiego bardzo wysoko ocenił nie tylko biskup L. Szeptycki, lecz również inni współcześni. Podczas wizyty w katedrze Św. Jura cesarz Józef II wyróżnił i pochwalił obrazy Dolińskiego i podarował mu kosztowny pierścień. Cesarz też uznał, że pałac biskupów był najlepszą rezydencją w ówczesnym Lwowie i zamieszkał w nim podczas swego pobytu. Jak pisał Karol Widmann, „... gdy cesarze austriaccy odwiedzali Lwów po raz pierwszy, nie znaleziono w całym mieście stosowniejszej dla nich rezydencji nad pałac św. Jura”.²⁴

W nawie głównej ustawiono piękne rzeźbione rokokowe ławy.

W XVIII wieku w katedrze zbudowano cztery ołtarze boczne. Według opisu z 1760 roku w niedobudowanej jeszcze katedrze znajdowały się ołtarze Pokrowy (Opieki) Bogurodzicy, św. Jerzego, św. Bazylego Wielkiego i św. Onufrego.²⁵ W opisie katedry F. Łobeskiego z 1853 roku opisano również cztery boczne ołtarze. Dwa z nich były ustawione w ramionach transeptu, zaś dwa w kaplicach bocznych. W nich znajdowały się obrazy Matki Boskiej Trembowelskiej, Matki Boskiej Pocieszycielki (Pocieszenia), św. Mikołaja i św. Grzegorza. Struktury ołtarzy nie były rozbudowane, raczej prowizoryczne, jak pisał Łobeski „... boczne ołtarze są prawie jeszcze żadne, są to tylko tymczasowe odsłony i zapewne także tylko do tymczasowych obrazów”.²⁶

W. Aleksandrowicz natomiast podaje, że w połowie XIX wieku w ołtarzach bocznych znajdowały się obrazy św. Jerzego, Pokrowy Bogurodzicy, św. Mikołaja i Archanioła Michała.²⁷

W 1827 roku większość obrazów świętych, w tym obraz Matki Boskiej Trembowelskiej, były odnowione, raczej „... przemalowane świeżuteńko i niemiłosiernie według najświeższej mody i bez poszanowania historyczności obrazów”, kosztem ks. Grzegorza Mieleniewskiego, archidiakona katedralnego.²⁸ Obraz Matki Boskiej Trembowelskiej znajdował się w drugim ołtarzu bocznym po prawej stronie świątyni, ozdobiony był posrebrzaną sukienką i koroną na skroniach Matki Boskiej. Obok były dwie wotywnie tabliczki srebrne z napisami, „... a przed nimi wiszą na łańcuszkach dwie kule w srebro oprawione. Na jednej tabliczce czytamy: „Turczyn jeden podczas bitwy pod Żurawnem strzelał tą kulą do osoby imci Józefa Szumlańskiego, a nie potrafiwszy samego, śpiewaczka za nim w głowę, na imię Piotrka, tą kulą postrzelił, od której i umarł, a było to w dzień św. Michała A.D. 1676”. Napis na drugiej tabliczce opiewa: „Ta kula w walnej bitwie Króla imci polskiego Jana III pod Wiedniem z wezyrem i Turkami, postrzeliła imci ks. Józefa Szumlańskiego w lewe ramię, episkopa lwowskiego, administratora metropolii kijowskiej, który był praesens w tej bitwie przy boku króla jegomości w niedzielę w południe to jest dnia 12 september A.D. 1683, a dla wiecznej pamięci na obraz Najświętszej Panny Trembowelskiej we lwowską św. Jura katedrze, dnia 28 octobris zawieszona”.²⁹

Budownictwo i ozdobienie katedry św. Jura były wydarzeniem na skalę całego Lwowa, a nawet Galicji, dlatego współcześni krajoznawcy, a także historycy sztuki z XX wieku udzielali i udzielają nadal znaczną uwagę ocenie poziomu artystycznego zespołu i poszczególnych dzieł sztuki jego zdobiących. W 1853 roku krajoznawca F. Łobeski pisał, że „obrazy w katedrze charakteryzuje naturalność, harmonia i bez jaskrawości moc kolorytu, piękne formy, oraz śmiałe, lekkie i przezroczyście użycie pędzla”. Obrazy w ołtarzach bocznych Łobeski uważał za „podręcznej wartości”.³⁰

W 1932 roku prof. T. Mańkowski, wszechstronnie analizując zespół budowli na wzgórzu świętojurskim, wyraził zdanie, że „dekoracja snycerska, w pomysłach wykonanych w drewnie ołtarzy, nie przenosi poziomu prowincjonalnych kościołów... Dekoracja wnętrza katedry św. Jura nosi znamiona późniejsze co do czasu, a niżej stojące co do wartości artystycznej, aniżeli jej architektura... Dwie inne sztuki (rzeźba i malarstwo) nikłą w niej grają rolę, a poniekąd nawet przynoszą ujmę architektonicznemu wrażeniu całości”.³¹

Współcześni autorzy podchodzą do oceny poziomu ozdobienia świątyni znacznie ostrożniej. Prof. W. Aleksandrowicz uważa, że M. Filewicz, autor znacznej części rzeźbiarskiego ozdobienia wnętrza katedry, był „majstrem znacznie skromniejszego indywidualnego utalentowania. Wyraża się to w pewnej sztuczności póz i proporcji figur”.³²

Obrazy umieszczone w ołtarzach podzielone na dwie grupy według autorstwa. Prace Jerzego Radywiłowskiego „nie odznaczają się wybitną indywidualną zdolnością”, zaś Łukasz Doliński prezentuje europejski poziom sztuki.³³

Na wschód od katedry, na jego osi zbudowano rezydencję (pałac) arcybiskupów. Stary drewniany pałac zbudowany za czasów bpa Józefa Szumlańskiego, rozebrano po roku 1759. W 1761 roku rozpoczęto budownictwo nowej rezydencji. W 1772 roku budownictwo (możliwie przebudowa) dobiegło końca, zaś jeszcze w 1775 roku w pałacu nikt nie mieszkał i w jego pokojach nadal prowadzono wewnętrzne prace. Autorstwo projektu pałacu do końca nie zostało ustalone. Współcześni badacze uważają, że nad projektami w różnych okresach pracowali Bernard Meretyn, Pierre Ricuad de Tirgaille i Klemens Fesinger. Ostatni pracował nad ostatecznym planem budownictwa, możliwie wykorzystując wcześniejsze projekty B. Meretyna. Budownictwo pałacu do 1773 roku prowadził K. Fesinger, zaś po jego śmierci architekt Franciszek Kulczycki. On również zajmował się ozdobieniem wnętrz pałacowych. Pałac zbudowano na osi głównej katedry. Była to budowla o dwóch akcentowanych fasadach, utrzymanych tym razem w stylistyce klasycystycznej popularnej od pierwszych lat austriackiej władzy w Galicji. W rezultacie bryła pałacu wyróżnia się powściągliwą elegancją i solidnością. Między świątynią i pałacem uformowano wielki plac katedralny, w planie prostokątny. Zespół zabudowań dopełniają dwa korpusy kapitulne i ogrodzenie z dwiema bramami. Południowy korpus zbudowano jeszcze w 1738 roku według projektu architekta Józefa Jedyńca i przeznaczono dla zamieszkania ojców bazylianów. W 1765 roku K. Fesinger zbudował północny korpus ozdabiając fasadę pilastrami, a dach wazami i lukarnami w stylistyce tereziańsko-józefińskiego baroku, charakterystycznego dla całego zespołu zabudowań dookoła katedry. K. Fesinger przebudował również południowy korpus dopasowując ozdobienie jego fasady i konstrukcję dachów do północnego. W nowo zbudowanych pomieszczeniach „w miejsce dawnego monasteru... mieszczą się kanonicy, kancelaria konsystorza i dom rekolekty dla księży”.³⁴ Stylistycznie obydwie budowle tworzą jednolity zespół z pałacem i ogrodzeniem zbudowanym w latach 1770–1772 według projektu tegoż K. Fesingera. Prof. T. Mańkowski zauważył, że „wpływy austriackiej sztuki dekoracyjnej wyprzedzały wpływy polityczne... Cechą charakterystyczną ogromnej ilości dekoracji okresu tereziańsko-jozefińskiego w Austrii, powstałych zarówno w ich centrum wiedeńskim, jak i gdzieindziej pod wpływem austriackiej sztuki dekoracyjnej, jest jej oschłość, jej niski rzemieślniczy raczej sposób traktowania przedmiotu i ubóstwo fantazji twórczej”.³⁵

Ogrodzenie akcentują dwie bramy identyczne w swoich formach architektonicznych. Ciekawym jest fakt, że bramę północną zbudowano wyłącznie dla symetrii – wybudowana jest nad stromym stokiem i jest zawsze zamknięta. Obydwie bramy flankowano pilastrami ustawionymi na masywnych cokółach. W części górnej w centrum znajdują się biskupie mitry, niżej na tarczach herby Szeptyckich i data budowy – 1770. Po bokach na odcinkach belkowania ustawiono alegoryczne figury. Na bramie południowej – alegorie wschodniego i zachodniego kościoła (Greckiego i Rzymskiego), zaś na północnej – Wiary i Nadziei. Autorem tych rzeźb był Michał Filewicz, budowniczymi bram i ogrodzenia Piotr Białostocki i Onufry Stefański. Słupy ogrodzenia ozdobiono dekoracyjnymi wazonami. Kute kraty metalowe wykonali majstrowie – Jan Mikulewicz i Stefan Kowal.

W latach 70. XVIII w. zakończono rozplanowanie biskupiego parku-ogrodu, który usytuowano z tylnej strony pałacu. Teren ogrodu rozciągał się na wschód od wzgórza świętojurskiego, spadając tarasowo na miejscu dawnych szańców obronnych. Urządzono trzy tarasy w stylu francuskim, otoczone ogrodzeniem i rozplanowane na głównej osi całego zespołu zabudowań. Najważniejszym z nich był parter przed wschodnią fasadą pałacu. Od strony wschodniej ogrodzenia według projektu K. Fesingera na tejże osi zbudowano kaplicę-altanę. Budowa pałacu i urządzenie ogrodu-parku oznaczało też zakończenie najważniejszego etapu powstania nowego zespołu na wzgórzu świętojurskim. Chronologicznie zbiegło się to z przyłączeniem Galicji do Imperium Austriackiego (1772) i śmiercią K. Fesingera (1773), który od 1761 roku był głównym projektantem i kierownikiem budowy.

W 1779 roku zmarł biskup Leon Szeptycki, główny fundator wszystkich prac, który cieszył się wielkim autorytetem w hierarchii cerkwi greckokatolickiej i u władz austriackich. W nowej sytuacji ojcowie bazylianie ponowili swoje pretensje do katedry i terenu na wzgórzu. W 1771 roku wyznaczony przez rząd austriacki specjalny sąd cywilno-duchowny rozpatrzył pretensje ojców i w 1779 roku ogłosił rozporządzenie, przyznając wszystkie prawa majątkowe i racje biskupom lwowskim. Definitywnie sprawę rozstrzygnięto 30 listopada 1780 roku w wiedeńskim sądzie apelacyjnym, który oddalił wszystkie pretensje mnichów i potwierdził prawa biskupów. Postanowiono również przenieść bazylianów do klasztoru św. Onufrego na przedmieściu żółkiewskim. Wykonanie tej decyzji przeciągnęło się na kilkadziesiąt lat i tylko w 1817 roku ostatecznie wszyscy zakonnicy opuścili klasztor świętojurski. Tymczasem jeszcze w 1808 roku odnowiono lwowską metropolię greckokatolicką i cerkiew Św. Jura podniesiono do rangi bazyliki archikatedralnej. Burzliwe lata reform józefińskich zmieniły się trud-

nym okresem wojen napoleońskich, inflacji i niestabilności politycznej i ekonomicznej. Tylko po kongresie wiedeńskim w 1815 roku nastąpiła stabilizacja, która sprzyjała kontynuowaniu prac budowlanych na wzgórzu świętojurskim. Prace remontowe i konserwatorskie wewnątrz świątyni prowadzono z inicjatywy metropolity Michała Lewickiego (1815–1858). W katedrze umieszczono kilka nowych obrazów. W 1827 roku metropolita zakupił za sumę 400 złr duży obraz „Chrystus przekazuje klucze św. Piotrowi” pędzla Józefa Enghierta, znanego austriackiego malarza, i rozkazał umieścić go ponad tronem biskupim.

Najważniejsze prace prowadzono przy budownictwie nowej murowanej dzwonnicy. Plany zmieniano kilka razy. Tradycyjnie drewniana dzwonnica znajdowała się w południowo-wschodnim narożniku wzgórza, zaś od roku 1765 była przeniesiona i ustawiona w jego części zachodniej. Na dzwonnicy umieszczono sześć dzwonów, w 1771 roku Klemens Fesinger zaprojektował budowę dwóch wież-dzwonnic na osi fasad bocznych katedry. Cenę budownictwa obliczono na 71.600 złr.³⁶ Taki układ wież miał znacznie przybliżyć architekturę katedry do tradycji budownictwa kościołów rzymskokatolickich. Brak pieniędzy nie pozwolił zrealizować ten projekt, jak również kilka następnych. Dopiero w latach 1826–1829 powstały kolejne plany budownictwa wolnostojącej dzwonnicy w północno-zachodnim narożniku katedry obok budynków kapituły.³⁷ Autorem projektu był architekt-inżynier Hajek. Plany zatwierdził Jerzy Głogowski, kierownik dyrekcji budowlanej magistratu. Budownictwo rozpoczęto z inicjatywy arcybiskupa Michała Litwinowicza i były finansowane przez Galicyjski fundusz religijny. Kamień węgielny położono 22 lipca 1828 roku. Od strony zachodniej wzgórza na miejscu dawnego bastionu z XVIII wieku zbudowano nową ścianę podporową i poszerzono taras dookoła katedry w stronę zachodnią.³⁸ Nowa dzwonnica była czterokondygnacyjną, zwieńczoną kopułą z latarnią i kardynalskim krzyżem.

Na nowo zbudowanej dzwonnicy zawieszono sześć wielkich dzwonów. Wśród nich był też najstarszy z 1341 roku. Inne dzwony pochodziły z XVII i XVIII wieku. Dwa dzwony z 1665 roku miały cyryliczne napisy i były odlane w nieznaną bliżej ludwisarni oznaczonej literami „СГЗК”. Jeden z nich miał wagę 142 kg i wysokość 1 metr, drugi wysokość 1,24 metry.

Dzwon z 1678 roku był z fundacji biskupa Józefa Szumlańskiego, miał wagę 49 kg, wysokość 0,79 metra i fundacyjny cyryliczny napis: „Благоволенієм Іосіфа Шумлянського ЕППА”. Obok był herb fundatora. Dzwon z 1728 roku był wysokości 1,19 metra, miał fundacyjny cyryliczny napis: „РОКУ БОЖЕГО 1728” i wizerunek Matki Bożej z Dzieciątkiem Jezus. W 1828 roku kardynał Michał Lewicki fundował nowy dzwon wagi 680

kg i wysokości 2,06 metra z napisem cyrylicznym i płaskorzeźbą Chrystusa na krzyżu. Był również jeszcze jeden mały dzwon bez napisów, wagi 34 kg.³⁹

W latach 1864–1866 zbudowano zachodni korpus budynku kapituły, który zamknął plac dookoła katedry od strony prezbiterium. Autorami projektu byli Józef Braunseis i Ernst Hranatsch. Wskutek rozbudowy zespołu dzwonnica całkiem zagubiła się wśród zabudowań katedralnych. Dlatego powstała potrzeba jej podwyższenia oraz dopasowania do stylowych form katedry. Wykonanie nowych planów powierzono również J. Braunseisowi i E. Hranatschou, zaś budownictwo firmie Wincentego Rawskiego. W latach 1865–1867 dzwonnicy nadano nowy wygląd, który zachował się do dnia dzisiejszego. Zbudowaną na planie kwadratu wieżę znacząco podwyższono, dobudowano górną kondygnację i nową barokową kopułę zwieńczoną latarnią z krzyżem. Nową kondygnację dekorowano podwójnymi pilastrami, zaś w części górnej barokowymi wazonami i przycółkami z lukarnami. Dzwony zawieszono na trzech poziomach. W 1879 roku pękł największy dzwon odlany w 1828 roku i kardynał Józef Sembratowicz postanowił przelać go w zakładzie Zygmunta Mozera, najlepszego lwowskiego ludwisarza. Prace wykonano na wysokim poziomie, z zachowaniem wszystkich starych napisów i płaskorzeźb oraz dodaniem nowego napisu z informacją o remoncie.⁴⁰

W 1876 roku podczas kolejnego remontu katedry zaproszono krakowskiego artystę-malarza Erazma Fabiańskiego, który ozdobił wnętrza świątyni malowidłami ściennymi, niestety niewysokiego poziomu. Mieczysław Orłowicz tak opisał tę nieudaną nowość: „Wnętrze katedry chociaż piękne, nie stoi jednak na wyżynie jej widoku zewnętrznego. Niemalą przyczyniają się do tego banalne i spłowiałe malowidła ścienne krakowskiego malarza Fabiańskiego z r. 1876, które zacierają wiele pięknych i stylowych rokokowych szczegółów architektonicznych, których urok nie może wystąpić w całym blasku, jak to ma miejsce u dominikanów”.⁴¹ W 1881 roku przy filarze po prawej stronie wejścia do prezbiterium ustawiono monumentalny pomnik papieża Piusa IX dłuta Tadeusza Błotnickiego. Pomnik wykonano z „kamienia włoskiego” i usytuowano naprzeciw ambony. Autor przedstawił Ojca świętego siedzącego na tronie ustawionym na podwyższeniu. Realistycznie przekazano rysy twarzy i ubranie Piusa IX, pomnik również stylowo dopasowano do barokowego ozdobienia świątyni.

W latach 1885–1898, z inicjatywy kardynała arcybiskupa Sylwestra Sembratowicza, prowadzono kolejne prace konserwatorskie pod kierownictwem Sylwestra Hawryczkewycza, znanego lwowskiego architekta, kierownika wydziału budownictwa Namiestnictwa galicyjskiego. Właśnie wtedy na filarach w nawie głównej ustawiono

medaliony z portretami zasłużonych biskupów i arcybiskupów lwowskich i galicyjskich. Wśród nich – budowniczych katedry: bpa Atanazego Szeptyckiego (zmarł w 1746 roku) i bpa Leona Szeptyckiego (zmarł w 1779 roku), pierwszego galicyjskiego metropolity abpa Antona Angełłowicza (zmarł w 1814 roku), kardynała abpa Michała Lewickiego (zmarł w 1858 roku), arcybiskupów Grzegorza Jachimowicza (zmarł w 1863 roku) i Spiridona Litwinowicza (zmarł w 1869 roku). Kardynał S. Sembratowicz miał również zamiar zbudować nowy okazały ikonostas zamiast barokowego ołtarza głównego i nadać wnętrzu katedry wygląd bardziej stosowny dla świątyni obrządku wschodniego. Jednak lwowski urząd konserwatorski, jak również Centralna Komisja Konserwatorska w Wiedniu nie zaakceptowały takich zmian i plany nie zostały zrealizowane. Natomiast w 1885 roku gruntownie odnowiono pałac arcybiskupi. W modnej stylistyce neorokokowej zmieniono również wystrój pokoi i sal.

Okolo roku 1900 władze miejskie przeprowadziły nowe rozplanowanie placu i ulicy przed zespołem zabudowań świętojurskich. Powstał duży skwer zasadzony drzewami i krzakami.

Od roku 1905 z inicjatywy nowego metropolity, abpa Andrzeja Szeptyckiego, rozpoczęto następną konserwację i remont katedry. Prace uzgodniono i prowadzono pod ścisłym nadzorem grona konserwatorów Galicji Wschodniej i Centralnej Komisji Konserwatorskiej. W tym celu do Lwowa przyjeżdżał osobiście generalny konserwator prof. Maks Drorżak. Uważał on, że uzupełnienie rzeźb na fasadzie katedry i odnowienie jej ornamentyki trzeba przeprowadzić bardzo delikatnie i ostrożnie. W 1906 roku w liście do abpa A. Szeptyckiego pisał: „Wspaniała figuralna dekoracja fasady jest co prawda miejscami uszkodzona, ale nieznacznie: tej lub owej postaci brakuje kawałek ręki lub kilku palców. Uszkodzenia te możnaby śmiało pozostawić bez ujmy dla harmonii całości... W razie podjęcia tych naprawek, dokonać ich trzeba bez zmieniania samych postaci i bez usuwania patyny. Również odnowieniu ornamentyki skulpturalnej musi się Komisja Centralna sprzeciwić, gdyż daleko jej jeszcze do uszkodzenia takiego, któreby robiło wrażenie ruiny. Katedra odnowiona i pozbawiona patyny straciłaby wielką część tego uroku, który ją obecnie wyróżnia z pośród wszystkich innych budów lwowskich”.⁴²

Prace remontowe prowadzono pod kierownictwem architekta A. Topolnickiego. W 1910 roku kopułę pokryto nową blachą miedzianą. Grono konserwatorów lwowskich uznało, że „niektóre zewnętrzne balustrady i wazy wymagają naprawy, częścią zaś muszą być usunięte z powodu zupełnego zniszczenia i zastąpione nowymi”.⁴³ Ale wszystkie detale ornamentalne, które można jeszcze utrzymać, powinny być zabezpieczone i zachowane.



Dzwonnica katedry

W 1911 roku w pamięć 100. rocznicy urodzin Markiana Szaszkiewicza, wybitnego ukraińskiego literata i księdza grekokatolickiego, w katedrze ustawiono tablicę pamiątkową. Przed I wojną światową wmurowano też tablice z czarnego marmuru ku pamięci świętych Cyryla i Metodego.

Prace konserwatorskie przerwała I wojna światowa. W latach 1916–1917 wojskowe władze austriackie skonfiskowały dwa dzwony, mianowicie duży wagi 680 kg, fundacji kardynała M. Lewickiego odlany w 1828 roku i przelany przez Z. Mozera w 1876 roku, i mały, wagi 34 kg. Pięć dzwonów udało się ochronić przed rekwizycją, ale dwa z nich przekazano do innych świątyń. Jeden do cerkwi św. Mikołaja (odlany w 1665 r.), drugi – do cerkwi św. Piotra i Pawła (odlany w 1678 r.)⁴⁴ Prawdziwym przykładem kunsztu literackiego i pietyzmu był list wysłany 28.06.1917 roku w sprawie tych dzwonów przez konsystorz grekokatolicki do Galicyjskiej Komisji Konserwatorów w Krakowie. Księża pisali: „Z powodu podalszej rekwizycji dzwonów kościelnych metropolitalny ordynariat chce przedstawić skarby ojczystych dzwonów, zaś jeden z nich można nazwać unikatowym. Znajduje się on przy arcykatedralnym kościele św. Jerzego we Lwowie. Ten dzwon zajmuje pierwsze miejsce i był odlany w roku 1341 kniazem Dmytrem Lubartem Koriatowiczem z napisem bardzo mistrzowskim, z którym kojarzą się początki ukraińskiej epigrafiki. Kler ukraiński katolicki i cały naród odnoszą się do tego dzwonu z jak największym pietyzmem. Wszyscy oddajemy jemu szacunek i cześć, jak patriarchalnemu, bardzo drogiemu monumentowi naszej sztuki. Wybitni mężowie naszego narodu zapowiadali, żeby z nim obchodzono bardzo ostrożnie i żeby głos jego słyhać było tylko podczas najznacniejszych uroczystości. I on głosem tym swoim cudnym przesyła z dawnych czasów jakby ojcowskie pozdrowienie i wzywa duchowieństwo i wiernych do zachowania sławy Bożej i do miłości do swego ludu ukraińskiego. O tym dzwonie i napisach na jego płaszczu pisał nasz historyk ociec-kanonik Petruszewicz i inne historycy nasi, również innych narodowości, bo on jest naszą chlubą i sławą!

Za tym ojcem występują jakby dwóch synów, dwa inne dzwony, jakich pochodzenie datuje się rokiem 1665, wrześniem. Czwarty dzwon pochodzi z roku 1678, z czasów biskupa Józefa Szumlańskiego, który to biskup według pewnego historycznego przekazu, wielki miał do tych dzwonów szacunek. Oni wszystkie trzy, jak weterani, następcy patriarchy, dzwonu Dmytra Lubarta Koriatowicza, byli świadkami przeszłości i różnej doli naszego kościoła katolickiego i naszego narodu ukraińskiego, tak pogodnych, słonecznych jego chwil, jak i mrocznych.

Obok tych czterech sławnych, istotnych i do poszanowania ich wieku wzywających weteranów, tych prawdziwych sług Bożej sławy i heroldów

wzywających do szacunku ich wieku, starożytności, monumentalnego znaczenia i wielkiej historycznej wagi, znajduje się w katedrze jeszcze jeden starożytny dzwon z roku 1728 z wizerunkiem Jezusa Chrystusa i obrazu Matki Boskiej Trembowelskiej. On stanowi i zamyka ten poczet wielkich, poważnych, świątłych i majestatycznych weteranów naszej sztuki kościelnej, właściwej, jasnej i tym bardziej szanowanej, że powstała ona w tle cerkiewno-narodowym.

Ordynariat metropolitalny myśli, że w sprawie zachowania i wycofania z rekwizycji tych dzwonów nie trzeba już dalszych dowodów. Wymienione pięć dzwonów mówią za sobą jak najbardziej wymownie. Ich wiek, starożytność i inne oznaki wymagają poszanowania w tak istotny sposób, że niema prawa je lekceważyć”.⁴⁵

Dalsze prace konserwatorskie z inicjatywy metropolity A. Szepetyckiego prowadzono w latach 20-30. XX wieku. W 1929 roku odlano nowy mały dzwon, zaś w 1933 duży, imieniem „Andrzej” ku czci abpa Szeptyckiego. Ten dzwon ważył 640 kg i był wykonany z ofiar parafian w ludwisarni M. Brylińskiego we Lwowie.

Dla wykonania nowych dzieł artystycznych do katedry i rezydencji arcybiskup zaprosił najlepszych lwowskich ukraińskich artystów, wśród nich malarzy Ołeksę Nowakiwskiego, Ołenę Kulczycką, Michała Bojczuka, rzeźbiarza Andrija Kowerka. W 1933 roku A. Kowerko wykonał nowe tabernakulum w kształcie małej świątyni wschodniej. Ołeksę Nowakiwskiego dostał zamówienie na wykonanie monumentalnego obrazu „Matka Boska Miłosierdzia”, który arcybiskup chciał umieścić w ołtarzu głównym zamiast dzieła F. Smuglewicza „Kazanie na górze”. Jednak śmierć artysty przeszkodziła realizacji tego ambitnego planu.

Od 1932 roku archeolog Jarosław Pasternak prowadził prace archeologiczne w krypcie pod ołtarzem głównym, również badania pozostałych fundamentów starej cerkwi. W 1939 roku potajemnie ukrył w krypcie prochy zmarłego w 1187 roku kniazia Jarosława Ośmiomysła. Książ halicki Jarosław Ośmiomysł był pochowany 1 października 1187 roku w katedrze Uspienia Bogurodzicy w Haliczu, zaś mogiła jego została z czasem zapomniana. Odnalezienie grobu kniazia było wybitnym wydarzeniem w archeologii ukraińskiej. Po wejściu do Lwowa armii radzieckiej Pasternak obawiał się konfiskaty lub zniszczenia prochów przez nową władzę. Nowe miejsce zachowania prochów w krypcie katedry św. Jura było znane tylko kilku osobom i dopiero 14 listopada 1991 roku były zostały odnalezione przez komisję archeologiczną Towarzystwa im. T. Szewczenki we Lwowie.

W listopadzie 1944 roku w krypcie pochowano metropolitę Andrzeja Szeptyckiego. Jego następcę arcybiskupa Józefa Slipyja aresztowano 12 kwietnia 1945 roku. W następnych miesiącach radzieckie służby

specjalne zorganizowały totalne represje przeciw grekokatolickiemu duchowieństwu, aresztowani zostali wszyscy biskupi, większość członków kapituły, profesorowie Akademii Duchownej i seminarium. Patriarchat moskiewski zorganizował w Galicji nową eparchię prawosławną i wysłał do Lwowa prawosławnego biskupa Makarija. 8–10 marca 1946 roku w katedrze św. Jura zorganizowano tzw. „sobór cerkwi grekokatolickiej”, który przy poparciu władzy radzieckiej ogłosił likwidację unii z Watykanem i przyłączenie grekokatolików ukraińskich do prawosławnego Patriarchatu moskiewskiego. Prawosławnym przekazano katedrę św. Jura, pałac arcybiskupi i cały zespół zabudowań świętojurskich. Nowi gospodarze niezwłocznie zajęli się dostosowaniem wystroju katedry do wymogów swojego obrządku. Jednym z pierwszych ich posunięć było zniszczenie pomnika papieża Piusa IX. Medaliony arcybiskupów halickich i lwowskich zasłonięto nowymi obrazami. Zniszczono niektóre tablice pamiątkowe, np. Markiana Szaszkiewicza. Wyniesiono z katedry i schowano w magazynach niektóre obrazy święte. W ich miejsce zawieszono nowe wykonane w stylu nowoczesnego malarstwa moskiewskiego. Z Kijowa w darze dla archieparchii lwowskiej przekazano XVIII-wieczny obraz Bogurodzicy Kijowsko-Pieczarskiej, nazywaną Bracką. Obraz w pozłacanej sukience ustawiono przy filarze po prawej stronie przy wejściu do prezbiterium, flankowano kolumnami i ozdobiono ramą gipsową z bogato złożonym zwieńczeniem. W 1950 roku rozpoczęto remont świątyni, usunięto uszkodzenia z czasów działań wojennych. W 1958 roku w krypcie pochowano prawosławnego arcybiskupa Fotia. W 1987 podczas kolejnych prac konserwatorskich pozłożono blachę miedzianą latarni kopuły i krzyż nad świątynią. Do 1990 roku katedra znajdowała się w korzystaniu archieparchii lwowskiej cerkwi prawosławnej patriarchatu moskiewskiego. W zmieniającej się sytuacji politycznej kościół grekokatolicki legalnie odnowił działalność swoich struktur, zaś władze obwodu lwowskiego 19 sierpnia 1990 roku postanowiły oficjalnie przekazać katedrę kościołowi grekokatolickiemu. 30 marca 1991 roku z Watykanu do Lwowa powrócił arcybiskup Mirosław Lubacziwski, zwierzchnik ukraińskiego kościoła grekokatolickiego i zamieszkał w pałacu na wzgórzu świętojurskim.

W katedrze rozpoczęto prace konserwatorskie, mające na celu maksymalnie możliwe przybliżenie jej wystroju do stanu z 1939 roku. Odnowiono medaliony arcybiskupów lwowskich i umieszczono dwa nowe, mianowicie abpa Andrzeja Szeptyckiego i kardynała Józefa Slipeja. Portrety dostojników kościelnych do tych medalionów wykonał artysta-malarz Lubomyr Medwid, profesor Akademii Sztuk Pięknych we Lwowie. W 1992 roku postanowiono, według testamentu kardynała



Pałac arcybiskupów grekokatolickich

Józefa Slipyja, przenieść jego zabalsamowane szczątki z Rzymu do Lwowa i złożyć je w krypcie katedry. Dlatego powstała konieczność uporządkowania krypty i przygotowania miejsca dla pochówku szczątków kardynała. Prace trwały przez cztery miesiące od listopada 1991. Przeprowadzono również badania archeologiczne, w trakcie których odnaleziono prochy ponad 50 osób pochowanych w XVII–XVIII w., wśród nich ihumena Nikifora Szeptyckiego (zmarł w 1776 roku). Odnaleziono również zachowane szczątki kniazia Jarosława Ośmiomysła. Porządkowanie krypty i prace archeologiczne wykonano pod kierownictwem architekta Igora Podolaka.⁴⁶ 27 sierpnia 1992 roku szczątki kardynała Josyfa Slipyja przywieziono z Rzymu, a 7 września tegoż roku złożono w krypcie. W latach następnych w podziemiach katedry pochowano arcybiskupa Wołodymyra Sterniuka (1907–1997) i kardynała Myrosława Iwana Lubacziwskiego (1914–2000). Na grobach hierarchów ustawiono jednakowe nagrobki z czarnego bazaltu z nazwiskami i herbami zmarłych dostojników.

Z powodu jubileuszu 400-lecia Unii Brzeskiej (1596) w katedrze przeprowadzono prace konserwatorskie, odnowiono obrazy ikonostasu, zamontowano nową posadzkę z ogrzewaniem. Na elewacji pałacu biskupiego wmurowano tablicę ku pamięci metropolity Andrzeja Szeptyckiego.

W latach 2000–2001 prowadzono kolejne prace konserwatorskie, związane z przygotowaniem archieparchii do pielgrzymki do Lwowa Ojca Świętego Jana Pawła II. Tym razem wyremontowano pałac, plac przed katedrą i rozpoczęto renowację zabytkowego wnętrza świątyni. Historyczna pielgrzymka Ojca Świętego miała miejsce w dniach 25–27 czerwca 2001 roku. Papież Jan Paweł II zamieszkał w odnowionej rezydencji metropolitów lwowskich na wzgórzu świętojurskim. Ojciec Święty odwiedził katedrę św. Jura i koronował złotymi papieskimi koronami cudowny obraz Matki Bożej Trembowelskiej. Przed koronacją cudowny obraz został odnowiony przez Jarosława i Danyłę Mowczanów, lwowskich artystów-malarzy. 27 czerwca 2001 roku podczas Mszy Świętej w obrządku bizantyjskim na hipodromie lwowskim Papież Jan Paweł II wyniósł na ołtarze 28 sług Bożych, męczenników kościoła grekokatolickiego. Po raz pierwszy w historii kościoła beatyfikacja sprawowana była przez Papieża podczas liturgii wschodniej.⁴⁷

W 2006 roku w katedrze ustawiono kopię Całunu Turyńskiego, podarowaną świątyni i archidiecezji przez papieża Benedykta XVI. W nawie i kaplicach bocznych zawieszono kilka starych obrazów przechowywanych dłużej czas w zakrystii, wśród nich XVIII-wieczne obrazy „Św. Jerzy zabija smoka”, „Wniebowstąpienie św. Jakuba”, „Św. Mikołaj”, „Matka Boża Pokrowa”. Do tych dodano nowe obrazy, np. „Św.

Jozafat Kuncewicz” namalowany w roku 1999 przez malarza L. Medwidia i „28 sług Bożych, męczenników kościoła greckokatolickiego” autorstwa Iwany Krypiakewicz. Na elewacji świątyni w 2007 roku wmurowano tablicę ku pamięci wykonania w katedrze w 1826 roku „Requiem” W.A. Mozarta. Było to pierwsze we Lwowie wykonanie tego słynnego utworu, prezentowanego pod kierownictwem syna wybitnego kompozytora, który przez wiele lat mieszkał i pracował we Lwowie.

W 2008 roku w nawie głównej ustawiono nowe ławki.

W 2014 roku, po remoncie, w nowych relikwiarzach ustawiono relikwie świętych, przechowywane w katedrze. W nawie głównej po stronie północnej obok filara znajduje się część relikwii św. Piotra Apostoła, naprzeciw – św. Mikołaja biskupa Miry. W kaplicach po południowej stronie są relikwie św. Antoniego Padewskiego i św. Walentego z Terni we Włoszech. Obok obraz błogosławionego biskupa Mikołaja Czarneckiego (1884–1959) z częścią jego relikwii. W tejże kaplicy są relikwie św. Pantaleona-męczennika (zginął 9.08.305 r.). W ołtarzu MB Trembowelskiej ustawiono relikwiarze z częścią relikwii św. Jerzego, patrona świątyni lwowskiej i św. Judy Tadeusza Apostoła. Na mense umieszczono unikatową relikwię – fragment pasa Najświętszej Bogurodzicy.

W południowo-wschodniej kaplicy przed obrazem św. Jozafata Kuncewicza – męczennika ustawiono relikwiarz z jego relikwiami przywiezionymi z Rzymu.

Przy północno-zachodnim filarze obok medalionu abpa Andrzeja Szeptyckiego w 2011 roku umieszczono obraz św. Charbela (1828–1898) i jego relikwie. Św. Charbela kanonizowano w 1977 roku. Był on Arabem z pochodzenia, urodził się w Libanie w rodzinie katolickiej, w 23 roku swego życia wstąpił do klasztoru, w którym przebywał przez 47 lat, z których 23 lata prowadził życie pustelnika. Jego niezniszczalne ciało znajduje się w klasztorze Saint Maron w miejscowości Annaya w Libanie. Z ciała świętego stale wycieka uzdrawiająca mirra. Dzięki modlitwom do św. Charbela zdarzyło się ponad 20 tysięcy cudów i uzdrowień. W 2011 roku grupa pielgrzymów z Tarnopola przywiozła część relikwii świętego do Ukrainy. Teraz one znajdują się w katedrach greckokatolickich w Kijowie, Lwowie i Tarnopolu.

W 2014 roku zakończono remont wewnątrz świątyni i nieco inaczej rozmieszczono obrazy święte w nawie i kaplicach bocznych, natomiast bez zmian zostały dwa ołtarze boczne. W ołtarzu południowym tradycyjnie znajduje się cudowny obraz Matki Bożej Trembowelskiej, zaś w północnym – obraz Chrystusa „Ecce Homo”. Wyżej w tymże ołtarzu obraz „Bóg Ojciec”. Przed ołtarzem ustawiono kopię Całunu Turyńskiego.

Na zewnątrz rozpoczęto renowację schodów przed katedrą. Daleko posunięta rujnacja balustrady i zniszczenia ustawionych na niej postaci małych geniuszy, wymaga znacznego wysiłku artystycznego. We wrześniu 2013 roku na murze klasztornym od strony placu św. Jura umieszczono tablicę ku pamięci 330. rocznicy wyprawy w 1683 roku pomocniczych oddziałów kozackich na czele z biskupem Józefem Szumlańskim pod Wiedeń na pomoc wojskom chrześcijańskim pod dowództwem króla Jana III Sobieskiego. Na tablicy napis: „1683–2013. W tym miejscu 330 lat temu zbierano wojska ukraińskie na czele z biskupem lwowskim Józefem Szumlańskim, które 12 września 1683 roku wspólnie z wojskami europejskich krajów chrześcijańskich zwolniły Wiedeń od oblężenia tureckiego”.

Na dzwonnicy katedralnej umieszczono dziesięć dzwonów, wśród których tylko dwa historyczne – jeden z 1341 i drugi z 1933 roku imieniem „Andrzej”. Jeden mały dzwon pochodzi z 1929 roku, inne siedem współczesne, trzy z nich odlano w 2003 roku.⁴⁸

Zespół zabudowań na wzgórzu świętojurskim w 1998 roku wpisano na listę zabytków, które znajdują się pod ochroną UNESCO. Unikatowa katedra św. Jura, jej otoczenie i ozdobienie przyciągają tysiące wierzących, turystów i miłośników ukraińskiej historii, kultury i sztuki.

zdjęcia autora

PRZYPISY

¹ Zimorowicz, B., „Leopolis Triplex”, Lwów, 1898, s. 53-54.

² Zimorowicz, B., op. cit., s. 69 i 85-86.

³ „Encyklopedia Lwowa”, Lwów, 2008, t.2, s. 133-134

⁴ Александрович, В., «Собор святого Юра у Львові», Київ, 2008, s. 144-145.

⁵ Вуйцик, В., „До питання про об’ємно-планову композицію старої катедрі св. Юра”, в «Володимир Вуйцик», Вісник Укрзахідпроектреставрація, Львів, 2004, № 14, s. 23-28.

⁶ Barącz, S., „Cudowne obrazy Matki Najświętszej w Polsce”. Lwów, 1891, s. 158-159.

⁷ „Pamiętnik lwowski”, Lwów, 1818, s. 176-178.

⁸ Podhorecki, L., „Dzieje Lwowa”, Warszawa, 1993, s. 93.

⁹ Barącz, S., op. cit., s. 160.

¹⁰ Zubrzycki, D., „Kronika miasta Lwowa”, Lwów, 1844, s. 454.

¹¹ Александрович, В., op. cit., s. 69.

¹² „Lwowianin”, Lwów, 1837, Rok VI, s. 45-47.

¹³ Вуйцик, В., „Митрополити Атанасій і Лев Шептицьки та їх внесок в мистецьку культуру України”, в «Київська церква», Київ-Львів, 2001, s. 253-254

¹⁴ Александрович, В., op. cit., s. 57.

¹⁵ Mańkowski, T., „Lwowskie kościoły barokowe”, Lwów, 1932, s. 180

¹⁶ Возницький, Б., „Микола Потоцький, Бернард Меретин, Іоан Георгій Пінзель”, Львів, 2005, s. 116

¹⁷ Mańkowski, T., op. cit., 1932, s. 202.

¹⁸ Вуйцик, В., op. cit., 2001, s. 255.

¹⁹ Mańkowski, T., op. cit., s. 206-209.

- ²⁰ Ostrowski, J., „Jan Jerzy Pinsel – zamiast biografii”, w „Sztuka Kresów Wschodnich”, Kraków, 1996, s. 364.
- ²¹ Mańkowski, T., op. cit., s. 210.
- ²² Mańkowski, T., op. cit., s. 218.
- ²³ Александрович, В., op. cit., s. 198.
- ²⁴ „Tygodnik Ilustrowany”, 1861, nr 117, s. 239.
- ²⁵ CDIA we Lwowie, fond 684, op. 1, teczka 2238, s. 4 i 13.
- ²⁶ Łobeski, F., „Dodatek do „Gazety Lwowskiej”, 1853, nr 49, s. 194.
- ²⁷ Александрович, В., op. cit., s. 198.
- ²⁸ Łobeski, F., op. cit., s. 194.
- ²⁹ „Tygodnik Ilustrowany”, 1861, nr 117, s. 239.
- ³⁰ Łobeski, F., op. cit., s. 194.
- ³¹ Mańkowski, T., op. cit., s. 230.
- ³² Александрович, В., op. cit., s. 195.
- ³³ Александрович, В., op. cit., s. 189 i 192.
- ³⁴ „Tygodnik Ilustrowany”, 1861, nr 117, s. 240.
- ³⁵ Mańkowski, T., op. cit., s. 229-230.
- ³⁶ CDIA we Lwowie, fond 52, op. 2, teczka 376, s. 1911.
- ³⁷ Вуйцик, В., „Дзвіниця катедрі СВ. Юра та її дзвони” в «Вісник Укрзахідпроєставація», Львів, 2004, No 14, s. 31.
- ³⁸ CDIA we Lwowie, fond 201, op. 16, teczka 2131, s. 5 i 42.
- ³⁹ CDIA we Lwowie, fond 138, op. 1, teczka 34, s. 21-22.
- ⁴⁰ CDIA we Lwowie, fond 138, op. 1, teczka 34, s. 21.
- ⁴¹ Orłowicz, M., „Przewodnik po Lwowie”, Lwów, 1925, s. 146.
- ⁴² „Sprawozdanie Grona Konserwatorów i Korespondentów Galicji Wschodniej”, Lwów, 1902-1910, t. III, nr 44-51, s. 11.
- ⁴³ „Sprawozdania...”, t. III, nr 76-87, s. 14.
- ⁴⁴ Lwowska Narodowa Biblioteka im. W. Stefanyka (LNB), dział rękopisów, fond YK-26, sprawa 16, część 2, s. 69.
- ⁴⁵ LNB, fond YK-26, sprawa 16, s. 30.
- ⁴⁶ „Усипальниця собору Святого Юра у Львові” Львів, 1994, s. 1-5.
- ⁴⁷ „Pielgrzymka Jana Pawła II na Ukrainę 23-27 czerwca 2001”, Częstochowa, 2001, s. 95.
- ⁴⁸ „Енциклопедія Львова”, Львів”, 2008, t. 2, s.58.

Oskar Stanisław Czarnik

PORUCZNIK TADEUSZ ŻULIŃSKI LEKARZ ZE LWOWA, ADIUTANT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO, KOMENDANT POW

Sierpień 1914 r. Rozpoczęła się I wojna światowa. Uczestniczyły w tych zmaganiach dziesiątki milionów żołnierzy na różnych frontach w Europie, a także w innych częściach świata. Wtedy to, 6 sierpnia 1914 r., wyruszyła do boju z Krakowa w kierunku Kielc niewielka grupa strzelców. Dowodzona osobiście przez Józefa Piłsudskiego, stała się wkrótce załóżkiem Legionów Polskich, a w przyszłości ogólnonarodowego Wojska Polskiego w odrodzonym już państwie. Na razie mogło się wydawać, że ten szczupły oddział, podkreślający swą odrębność wobec armii austriackiej, przypadnie wśród wojennej zawieruchy, że ideę stworzenia niezależnych Polskich Sił Zbrojnych zniweczą wydarzenia militarne oraz decyzje wpływowych polityków. Ogromna odpowiedzialność spoczywała na komendancie Józefie Piłsudskim, który nie tylko sprawnie dowodził swą formacją w jej pierwszych walkach przeciw armii rosyjskiej, ale również skutecznie przeciwstawiał się wszelkim intrygom politycznym, zmierzającym do unicestwienia idei Legionów, do odrzucenia samodzielnych polskich dążeń niepodległościowych. Dowódcy strzelców było potrzebne nie tylko wsparcie polityczne, ale także była niezbędna pomoc organizacyjna i techniczna w codziennych sprawach, związanych z tworzeniem wojska i jego udziałem w zmaganiach militarnych. Wspominał te pierwsze trudne tygodnie wojenne znany później pisarz, a zarazem uczestnik ówczesnych wydarzeń – Juliusz Kaden-Bandrowski.

(...) *„Któż nie pamięta w Komendzie Strzeleckiej w Krakowie, a potem na postojach pierwszego szlaku strzeleckiego, obok srogiej, skupionej postaci Komendanta, młodego porucznika Żulińskiego?*

Twarz drobna i dziecinna, duże, naiwne oczy, rumiane policzki, małe, czerwone usta, śpiczasta, chłopięca broda, postawa smukła, wysoka – tak odbijały od groźnej powagi, jaka cechuje sylwetkę Piłsudskiego.

Gdy razem jechali w samochodzie, gdy razem szli ku pozycjom lub zatrzymywali się gdzieś na śpiesznym postoju, zdawać się mogło, że doświadczonemu Wodzowi towarzyszy wybrany niejako przedstawiciel ostatniego pokolenia najmłodszych, które zerwało się do walki.

To on, Żuliński, podczas pierwszych owych tygodni adiutantował Wodzowi. To on obowiązany był, towarzysząc robocie dowódcy, pamiętać wszystkie formalne i techniczne szczegóły”. (...)

„Żuliński należał do żołnierzy, których Komendant szczególnie otaczał pieczą, to znaczy, którym powierzał najtrudniejsze zadania”.¹

Kim był właściwie ten młody człowiek, który niedawno przybył ze Lwowa i pełnił teraz funkcję oficera przybocznego Józefa Piłsudskiego? W jakich okolicznościach trafiła niegdyś do Lwowa jego rodzina? Jaką rolę odegrała w dziejach tego miasta?

Żulińscy mieszkali w pierwszej połowie XIX wieku w zaborze rosyjskim. Była to rodzina inteligentka, urzędnicza. Tadeusz Żuliński (senior) był urzędnikiem w Banku Polskim, a następnie pracownikiem komory celnej w Michałowicach na granicy między zaborem rosyjskim i austriackim. Barbara, z rodziny Michelsonów (pochodzenia szwedzkiego), wyszła za niego za mąż w wieku 18 lat. Tadeusz i Barbara mieli ośmioro dzieci – dwie córki i sześciu synów. Tadeusz Żuliński zmarł w 1844 r. Młoda wdowa (w chwili śmierci męża miała 32 lata) utrzymywała i wychowywała wszystkie swe dzieci. Źródłem dochodów była niewielka emerytura po mężu oraz prowadzenie w Warszawie tak zwanej stancji dla uczniów gimnazjum. Mimo skromnych warunków losy osieroconego rodzeństwa układały się pomyślnie. Najstarszy syn, Kazimierz, ukończył katolickie seminarium duchowne i wyświęcony na księdza został wikarym w parafii przy kościele św. Aleksandra w Warszawie. Drugi syn, Roman, o wielkich zdolnościach w dziedzinie nauk ścisłych, był nauczycielem matematyki w Instytucie Nauczycieli Elementarnych w Radzyminie, a następnie w szkołach warszawskich. Opracował dwa podręczniki do nauczania tego przedmiotu. Trzeci z synów, Aleksander, pracował jako urzędnik Wydziału Rachunkowego Komisji Oświecenia w Warszawie. Młodszy bracia, Edward, Tadeusz i Józef, na początku lat sześćdziesiątych XIX w. byli jeszcze studentami i korzystali z pomocy swych starszych braci. Józef i Tadeusz podjęli początkowo studia na uniwersytecie w Kijowie, a następnie kontynuowali je w Pradze czeskiej. Córki Zofia i Emilia wyszły za mąż.

Wszyscy bracia Żulińscy wzięli udział w Powstaniu Styczniowym. Działali w strukturach ówczesnego polskiego państwa podziemnego. Ksiądz Kazimierz był redaktorem tajnych czasopism powstańczych: „Głos Kapłana Polskiego” (Warszawa, czerwiec 1862 – luty 1864) oraz



D: TADEUSZ ŻULIŃSKI

„Dzwon Duchowny” (Warszawa, 30 V 1863 – 17 VIII 1863). Tropiony przez policję rosyjską, pod koniec powstania znalazł schronienie na Zachodzie i w ciągu kilku lat odgrywał doniosłą rolę w działalności tak zwanej emigracji postyczniowej – zwłaszcza we Francji.

Roman, nauczyciel matematyki, był w polskim państwie podziemnym dyrektorem tajnej poczty powstańczej. Działała ona z niezwykłą sprawnością. Polecenia tajnego Rządu Narodowego szybciej docierały do podziemnych władz cywilnych w różnych miejscowościach i do oddziałów partyzanckich w lasach niż rozkazy sztabu armii rosyjskiej wysyłane do poszczególnych zgrupowań czy garnizonów. Z podobną szybkością (nie raz w ciągu jednej doby) przekazywano Rządowi Narodowemu raporty dowódców oddziałów powstańczych oraz doniesienia i sprawozdania terenowej administracji cywilnej. Aresztowany dnia 12 marca 1864 r., Roman Żuliński zginął jako członek domniemanego Rządu Narodowego, powieszony na stokach Cytadeli Warszawskiej wraz z Romualdem Trauguttem – naczelnikiem powstania, Rafałem Krajewskim – dyrektorem Wydziału Spraw Wewnętrznych, Józefem Toczyskim – dyrektorem Wydziału Skarbu i Janem Jeziorańskim – komisarzem komunikacji².

Policja rosyjska aresztowała również Aleksandra i Edwarda. Aleksandra zesłano do guberni penzeńskiej, a Edwarda do guberni archangielskiej. Najmłodszy bracia, Tadeusz i Józef, działali w strukturach podziemnych w zaborze austriackim. Tadeusz był sekretarzem Wydziału Wykonawczego władz powstańczych na Galicję zachodnią. Wraz z bratem Józefem oraz Józefem Szujskim redagował tajne pismo „Wolność”. Policja austriacka aresztowała obu braci Żullińskich w październiku 1863 r. Po rocznym śledztwie wyrokiem sądu zwolniono ich z więzienia, lecz zarządzeniem policji nakazano im opuszczenie Cesarstwa Austriackiego. Tadeusz i Józef udali się na emigrację do Francji, gdzie przebywał już ich brat – ks. Kazimierz Żuliński. Po pewnym czasie udało się braciom ściągnąć z Warszawy do Paryża matkę – Barbarę.

Położenie niedawnych powstańców, szukających schronienia na Zachodzie, było odmienne od sytuacji tak zwanej Wielkiej Emigracji po Powstaniu Listopadowym. Wtedy, tuż po wojnie polsko-rosyjskiej 1830-1831, przyjmowano kombatantów polskich jako bohaterów walki o wolność wszystkich ludów. To życzliwe nastawienie przejawiało się zwłaszcza w niektórych państwach niemieckich oraz we Francji. Niektórzy uczestnicy powstania korzystali w ciągu kilku lat (a niekiedy nawet dłużej) z różnych form pomocy materialnej. Ułatwiło to wielu młodym osobom naukę, w tym ukończenie studiów wyższych i rozpoczęcie samodzielnej pracy zarobkowej. Inny był stosunek do przybyszki z Polski w latach sześćdziesiątych XIX w. Rządy wielu państw zachod-

nich uważały tak zwaną sprawę polską za zamkniętą lub zawieszoną na czas nieokreślony. Zaznaczyło się to m.in. we Francji. Co prawda działały tam tuż po upadku powstania komitety społeczne niosące pomoc uchodźcom z Polski, jednak w ciągu kilku lat ich aktywność całkowicie wygasła lub uległa znacznym ograniczeniom. Co więcej – wypominano teraz Polakom pomoc, jaką otrzymali po Powstaniu Listopadowym. Tak np. anonimowy autor pewnej antypolskiej broszury propagandowej utrzymywał, że Polacy narazili Francję na ogromne wydatki, a następnie odpłacili jej niewdzięcznością. Utrudniają jej politykę międzynarodową, zwłaszcza stosunki z Rosją, są wichrzycielami, którzy sieją zamęt w całej Europie³. Niechęć do Polaków wzrosła jeszcze we Francji po upadku II Cesarstwa w 1870 r. w wyniku wojny francusko-pruskiej oraz po stłumieniu w 1871 r. tak zwanej Komuny Paryskiej, w której niektórzy uchodźcy z Polski nie tylko wzięli udział, ale odegrali w niej doniosłą rolę, jak np. Jarosław Dąbrowski i Walery Wróblewski. Władze III Republiki zabiegały przy tym o sojusz Francji z Rosją. Obawiały się, że emigranci polscy mogą zaszkodzić tym dążeniom. Różne środowiska na Zachodzie oczekiwały, iż Polacy zechcą wreszcie docenić różne rzekome „dobrodziejstwa” ze strony Rosji i wyzbędą się w końcu „bezsensownych” mrzonek o własnym, niepodległym państwie.

W tym jakże niekorzystnym położeniu pewne istotne wydarzenia polityczne sprzyjały jednak sprawie polskiej, zarazem uczestnikom niedawnego powstania. W 1867 r. Galicja, podobnie jak kilka innych krajów monarchii habsburskiej, uzyskała stosunkowo szeroką autonomię, zwłaszcza w takich dziedzinach, jak administracja terytorialna, oświata i wychowanie, kultura. Tak zwana Konstytucja grudniowa, przyjęta w całym Cesarstwie Austriackim w 1867 r., zatwierdziła niektóre prawa obywatelskie, a także uprawnienia władz terytorialnych, w tym Sejmu Krajowego we Lwowie. Dzięki tym przemianom ustrojowym powstawały nowe organizacje społeczne. Tak np. już 7 II 1867 r. władze zarejestrowały statut założonego we Lwowie Związku Polskich Towarzystw Gimnastycznych „Sokół”, w lutym 1868 r. z inicjatywy Franciszka Smolki powstało Towarzystwo Narodowo-Demokratyczne, 3 V 1868 r. założono Stowarzyszenie Młodzieży Czeladniczej „Gwiazda”, w tym samym roku powołano we Lwowie ukraińską organizację kulturalno-oświatową „Proswita”. Od 6 VII 1867 r. działalność oświatową w Galicji koordynowała Rada Szkolna Krajowa jako wspólna instytucja władz samorządowych i administracji austriackiej. W tym samym okresie nastąpiła w zaborze austriackim polonizacja znacznej części urzędów, szkół i sądownictwa. Wprowadzona autonomia sprzyjała pielęgnowaniu tradycji patriotycznych, tępionych w innych zaborach⁴.

W wyniku tych zmian Galicja stała się schronieniem dla wielu uczestników Powstania Styczniowego, traktowanych tak niechętnie przez różne środowiska polityczne na Zachodzie. Wyróżniał się Lwów jako ostoja kombatantów powstania – miasto stołeczne, zarazem gościnne, życzliwe dla przybyszy. Inteligencja lwowska zachowywała przy tym krytyczny dystans wobec warszawskich pozytywistów i krakowskich „stańczyków”.

Bracia Żulińscy – Tadeusz i Józef – przenieśli się wraz z matką Barbarą z Paryża do Lwowa w 1871 r. Tadeusz objął stanowisko chemika-analityka w pracowni chemiczno-patologicznej Szpitala Powszechnego we Lwowie. Był jednocześnie lekarzem w lwowskim Przytulisku św. Józefa dla bezdomnych. Wielokrotnie udzielał prywatnie bezpłatnych porad uboższym pacjentom. Prowadził zarazem badania naukowe. W ciągu swego życia ogłosił około 80 artykułów z zakresu nauk medycznych. Zabiegał o wprowadzenie higieny do programu nauczania w szkołach galicyjskich różnych szczebli. Podejmował też różne przedsięwzięcia publiczne. W ciągu 9 lat był radnym miasta Lwowa. Pełnił funkcję zastępcy przewodniczącego Sekcji bezpieczeństwa i zdrowia w Radzie Miejskiej. Redagował czasopismo „Przewodnik Gimnastyczny”. Wspomagał dalszą organizację założonego już wcześniej „Sokoła”. Wraz z innym dawnym powstańcem, Agatonem Gillerem, wydawał czasopismo „Ruch Literacki”. Publikował artykuły o treści politycznej w innych periodykach. Wytrwale w nich bronił tradycji powstańczych, niepodległościowych. Zmarł w 1885 r.; miał wówczas 46 lat. Pochowano go uroczyście na Cmentarzu Łyczakowskim. Upamiętniono jego zasługi tablicą w lwowskim kościele dominikanów. Imię Tadeusza Żulińskiego nosiła też aż do II wojny światowej jedna z lwowskich ulic (obecnie Fiłatowa) – przecznica między dolnym odcinkiem ulicy Łyczakowskiej a ulicą Piekarską⁵.

Brat Tadeusza – Józef – został nauczycielem przyrody w żeńskim Seminarium Nauczycielskim, założonym przez siostry obrządku ormiańskokatolickiego. Była to jedna z pierwszych szkół żeńskich we Lwowie, a także w całej Galicji, umożliwiająca dziewczętom nie tylko zdobycie zawodu, ale również podjęcie studiów wyższych. Józef Żuliński zapisał się też w dziejach Lwowa jako działacz społeczny, w tym jako założyciel i dyrektor kolonii leczniczej w Rymanowie Zdroju, gdzie wiele lwowskich dzieci, zwłaszcza z uboższych rodzin, spędzało wakacje. Dorobek Józefa Żulińskiego uhonorowano tablicą pamiątkową, umieszczoną w krużgankach na dziedzińcu katedry ormiańskokatolickiej we Lwowie.

Ks. Kazimierz Żuliński, niegdyś redaktor podziemnych pism powstańczych i działacz emigracyjny, przybył również z Francji do Galicji.



Komenda POW w latach 1914–15. T. Żuliński – siedzi – drugi od prawej

Przebywał przez pewien czas w Krakowie, następnie był katechetą w różnych miejscowościach na wschodzie tej dzielnicy. Został też bliskim współpracownikiem ks. arcybiskupa warszawskiego Alojzego Felińskiego, który po dwudziestoletnim zesłaniu w głąbi Rosji nie mógł wskutek zakazu władz carskich powrócić do Warszawy i zamieszkał w zaborze austriackim. Podjął tu wiele cennych inicjatyw religijnych i oświatowych. Ks. Kazimierz Żuliński odwiedzał często Lwów. Zmarł na początku XX w., pochowano go na Cmentarzu Łyczakowskim w grobowcu, gdzie już spoczywał jego brat Tadeusz.

Edward Żuliński po zwolnieniu z kilkuletniego zesłania w guberni archangielskiej zamieszkał w Krakowie i stał się protoplastą krakowskiej gałęzi rodziny Żulińskich.

Uczestnicy Powstania Styczniowego wydatnie wzbogacili życie Lwowa w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku. Wnieśli wiele cennych wartości swą pracą zawodową. Wzmocnili swą postawą zjawiska charakterystyczne dla tego miasta, jak przywiązanie do tradycji niepodległościowych i powstańczych czy wciąż żywą recepcję dorobku ideowego i artystycznego romantyzmu polskiego.

Taka właśnie atmosfera duchowa panowała w czasie regularnych spotkań w salonie Józefa Żulińskiego i jego żony Łucji. Uczestniczyło

w nich sporo osób, zwłaszcza z kręgu powstańczych kombatantów, m.in. Józef Kajetan Janowski, niegdyś sekretarz Rządu Narodowego czy Agaton Giller, zasłużony współorganizator polskiego państwa podziemnego, a obecnie zamieszkały stale w Stanisławowie, ale odwiedzający często stolicę Galicji. Utrwaliła te spotkania znana poetka lwowska – Maryla Wolska. Pamiętała je ze swego dzieciństwa. Warto przypomnieć kilka fragmentów z jej utworu „Tamten świat”:

*„Co niedzielę, wieczorem, od lat
Bywaliśmy tam wszyscy
Znajomi dalsi i bliscy,
Sami tacy,
O których wtedy mówiło się jeszcze – rodacy
Po prostu – tamten świat.
Ciemnawy salon, młodzież, panowie i panie
Co tydzień ta sama gromadka.
Stare sprzęty, fortepian
I ciemne portrety na ścianie:
Nieboszczka pani Żulińska matka,
Patrząca z obrazu w dół
Spojrzeniem jakby krepą zasnutem...
Doktor Tadeusz nieboszczyk
Jeszcze wówczas żyjący pan Józef
Profesor – i on, Roman, ich brat
Stracony w Warszawie z Trauguttem...
Po prostu – tamten świat (...)
Zawsze jakieś uchwały i racje
Jakieś nowiny...
Wczoraj w teatrze na Kościuszcze tłumy!
Hurko – Bismarck – Sejm Rzeszy
Śląsk – rocznica styczniowa
I w katedrze Msza Święta żałobna (...)
Nagłe składki, czyjś pogrzeb, jakiś jubileusz,
Niepoprawne krakowskie Stańczyki,
Ostatnie z Paryża dzienniki
I coś na ich łamach,
O czym mówił od dawna pan Tadeusz,
Najnowsza kronika Lama,
Ostatni – nieudany w Petersburgu zamach
I list od pana Kornela
Z Pawłowa...*

(...) *A potem,
Kiedy już goście byli w salonie z powrotem,
Pan Konopka, ponury, z powstańczymi butami
Długowłosa w podszarzonej czamarze,
Artysta wielu scen,
Patrzył ogniście w uciszone twarze
I choć wszyscy wiedzieli, co powie,
Czekał każdy, pełen solennej grozy...
Stuchał pan Giller Agaton
I pan Kostecki Platon,
I pan Józef Kajetan Janowski,
A pan Konopka, twardo wyrąbując zgłoski
Deklamował – Maraton...
Po prostu – tamten świat*⁶.

W tym właśnie środowisku przyszedł na świat 28 maja 1889 r. Tadeusz Żuliński jako kolejne dziecko Józefa oraz Łucji z domu Gross⁷. Nadano mu imię Tadeusz z myślą o nieżyjącym już od kilku lat tak zasłużonym stryju. Dzieciństwo i wczesna młodość Tadeusza upłynęła we Lwowie. Uczęszczał do czteroklasowej szkoły powszechnej profesora Weigla, a następnie podjął naukę w V Gimnazjum Miejskim zwanym Bernardyńskim. Interesował się szczególnie matematyką, fizyką i historią. Wychowany w tradycjach powstańczych, już w latach szkolnych podjął samodzielną działalność patriotyczną. Wraz z gimnazjalnymi kolegami redagował i odbijał (początkowo na hektografie, później litograficznie) tajne pismo młodzieżowe „Znicz”. W latach 1904–1905 chłopcy wydali i rozpowszechnili co najmniej 11 numerów tego periodyku⁸.

Po uzyskaniu świadectwa maturalnego w 1907 r. Tadeusz rozpoczął studia na Wydziale Chemii Technicznej Politechniki Lwowskiej. Zaliczył pierwszy semestr, postanowił jednak przenieść się na Wydział Lekarski Uniwersytetu Lwowskiego. Kierownictwo wydziału zgodziło się zaliczyć mu egzaminy z zakresu chemii, które zdał już na politechnice. Żuliński pomyślnie kontynuował swe uniwersyteckie studia medyczne. Zaliczył niektóre egzaminy na Wydziale Lekarskim z wynikiem celującym. Od roku akademickiego 1908/1909 otrzymywał stypendium z Fundacji ś.p. Jana Żurakowskiego, co stanowiło dla niego wydatną pomoc materialną, zwłaszcza po śmierci jego ojca, Józefa. Dnia 17 grudnia 1913 r. zdał ostatni egzamin, a dnia 20 grudnia 1913 r. otrzymał dyplom lekarski w czasie uroczystej promocji.

Tadeusz Żuliński w ciągu 6 lat swych studiów uczestniczył w działalności różnych organizacji – politycznych i wojskowych. W tym właśnie

okresie zrodziły się we Lwowie – zwłaszcza w kręgu młodzieży akademickiej – pewne inicjatywy o znaczeniu ogólnopolskim i długotrwałych następstwach.

W czerwcu 1908 r. Kazimierz Sosnkowski, ówczesny student Politechniki Lwowskiej, założył w porozumieniu z Józefem Piłsudskim Związek Walki Czynnej, kontynuujący tradycje dziewiętnastowiecznych powstań oraz Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej w czasie rewolucji 1905–1907 r.: w zaborze rosyjskim. Celem Związku Walki Czynnej, organizacji ponadpartyjnej, było m.in. szkolenie kadr dla przyszłej niezależnej armii polskiej. W związku z tym utworzono tajną szkołę oficerską. Z inspiracji Józefa Piłsudskiego powstał we Lwowie w 1910 r. Związek Strzelecki, a w Krakowie „Strzelec”. Rozpoczęto szkolenie wojskowe wielu młodych ludzi.

W tym samym okresie nastąpił rozłam w prawicowej organizacji młodzieżowej ZET, związanej dotąd z Narodową Demokracją pod przywództwem Romana Dmowskiego. Rozłamowcy zaczęli wydawać tajne czasopismo „Zarzewie” i powołali organizację pod nazwą Młodzież Niepodległościowa. W wyniku dalszych poczynań wyłoniono z niej tajną organizację Armia Polska oraz Polskie Drużyny Strzeleckie.

W 1911 r. rozpoczęła się we Lwowie współpraca między Związkiem Strzeleckim i „Strzelcem” związanym z J. Piłsudskim a Polskimi Drużynami Strzeleckimi, powstałymi w kręgu „zarzewiackim”. Powołano komisję porozumiewawczą, ujednociono metody szkolenia. Uzyskano zgodę władz austriackich na odbywanie jawnych ćwiczeń. Ruch strzelecki przybrał w Galicji rozmiary masowe. W lipcu 1914 r. należało do Związku Strzeleckiego i Strzelca ogółem 8000, a do Polskich Drużyn Strzeleckich 6000 członków. Tajne ogniwa ruchu strzeleckiego postawały również w zaborze rosyjskim.

Głównym ośrodkiem tej działalności był nadal Lwów. Odkąd można było ćwiczyć jawnie, prowadzono od 1910 r. zajęcia wojskowe w okolicach Lwowa, n.in. na Skniłowie, a także na południowy wschód od Pohulanki i Sichowa, a więc na wzgórzach, wąwozach i w lasach w rejonie Pasiak Zubrzyckich, Dawidowa, Szołomyi i Starego Sioła. Młodzi ludzie ćwiczyli w czasie wolnym od zajęć w szkołach, na uczelniach czy od pracy zawodowej – przede wszystkim w niedziele i święta. Wymagało to oczywiście samozaparcia, intensywnego wysiłku, rezygnacji z różnych rozrywek⁹.

Tadeusz Zuliński w czasie swych studiów uczestniczył w tym ruchu. Odbył regularne szkolenie wojskowe. Główny komendant strzelców, Józef Piłsudski, wręczył mu osobiście znak oficerski (tak zwany „parasol”). Wpisał go na listę oficerów przyszłego Wojska Polskiego. W przypadku rozpoczęcia walki zbrojnej miał podjąć służbę jako podporucznik.

J. Piłsudski od 1910 r. mieszkał we Lwowie. Utrzymywał kontakty z rodzinami uczestników Powstania Styczniowego. Znał rodzinę Żulińskich. Na początku 1914 r. zlecił Tadeuszowi trudne, ryzykowne zadanie. Skierował go jako tajnego emisariusza do Zagłębia Dąbrowskiego w zaborze rosyjskim. Miał tam w porozumieniu z działaczami konspiracyjnymi Polskiej Partii Socjalistycznej tworzyć podziemne koła strzeleckie i rozpocząć z nimi szkolenie wojskowe. Zlecił też Żulińskiemu usprawienie przerzutu „bibuły” – zabronionych przez władze rosyjskie czasopism i książek – z zaboru austriackiego na ziemie dawnej Rzeczypospolitej pod panowaniem Rosji. Tadeusz działał w Sosnowcu i w pobliskich miejscowościach pod pseudonimem „Karol”. Nadano mu też drugi pseudonim – „Inteligent”: Żuliński szybko uzyskał autorytet w środowiskach robotniczych Zagłębia. Wyróżniał się jako dobry organizator, a zarazem jako człowiek skromny, otwarty, życzliwy, łatwo nawiązujący kontakt z ludźmi. Policja rosyjska nie wpadła na jego trop. Po wykonaniu zleconego zadania Żuliński w czerwcu 1914 r. powrócił do Lwowa¹⁰.

Wtedy właśnie, w czerwcu 1914 r. rozegrało się we Lwowie wydarzenie o symbolicznej wręcz wymowie. Dnia 24 czerwca zmarł tam Józef Kajetan Janowski – jak już wspomniano, sekretarz Rządu Narodowego w czasie Powstania Styczniowego. W 1863 r. zmieniał się kilkakrotnie – niekiedy w dramatycznych okolicznościach – skład kierownictwa powstania. Józef K. Janowski pełnił jednak prawie nieprzerwanie swą funkcję w kolejnych ekipach rządowych. Był on niezbędny jako działacz koordynujący wszystkie ważne sprawy organizacyjne. Ścigany intensywnie pod koniec powstania przez policję rosyjską, po różnych perypetiach znalazł schronienie we Lwowie. Zgodnie ze swym wykształceniem pracował tu jako architekt. Uczestniczył m.in. w budowie kolejowego Dworca Głównego. Spowinowacony z Żulińskimi, stał się swoistym przewodnikiem duchowym Tadeusza po śmierci jego ojca – Józefa.

Pogrzeb Józefa K. Janowskiego odbył się 26 czerwca 1914 r. na Cmentarzu Łyczakowskim. Przewodniczył ceremonii ks. biskup Władysław Bandurski. W kondukcie pogrzebowym kroczył oddział strzelców pod osobistym dowództwem J. Piłsudskiego. Był wśród nich Tadeusz Żuliński. W 50 lat od wygaśnięcia Powstania Styczniowego to właśnie na ulicach Lwowa pojawił się zwarty, umundurowany i wyszkolony już oddział przyszłego Wojska Polskiego. Nad grobem przemówił Piłsudski. Zakończył swe wystąpienie okrzykiem: „Stoimy przed Rządem Narodowym! Chłopcy – pożegnać nam go po żołniersku przystoi! Baczość! Szarże salutują!”¹¹. Raz jeszcze podkreślił, że ruch strzelecki jest kontynuacją Powstania Styczniowego, nowym rozdziałem walki, która tym razem przyniesie zwycięstwo.

Po pogrzebie Józefa K. Janowskiego Tadeusz Żuliński udał się do Mikołajowa nad Dniestrem. Rozpoczął tam działalność medyczną, od pół roku był już przecież lekarzem. Dobrze rozpoczęta praca trwała jednak krótko. Wybuchła I wojna światowa. Dnia 2 sierpnia 1914 r. Tadeusz na wezwanie dr Michała Sokolnickiego przybył do Lwowa. Został tam rozkaz Piłsudskiego, by natychmiast przybył do Krakowa. Już naza-jutrz, 3 sierpnia, zameldował się u Komendanta.

W pierwszych dniach sierpnia 1914 r. rozpoczęły się działania bojowe na froncie rosyjsko-austriackim. Armia rosyjska silnie nacierała na Galicję Wschodnią, w tym w kierunku Lwowa. Wojska austriackie wycofywały się stopniowo na linię Sanu, by podjąć tu obronę z wykorzystaniem potężnie rozbudowanej twierdzy przemyskiej. Rozpoczęły natomiast ofensywę w zachodniej części Królestwa. Stąd decyzja J. Piłsudskiego, by skupić strzelców w Galicji zachodniej. Dnia 6 sierpnia pierwsza ich grupa wyruszyła z Krakowa w kierunku Kielc.

Żuliński jako adiutant Piłsudskiego towarzyszył mu w ciągu dwóch miesięcy w różnych przemarszach i walkach. Uczestniczył m.in. w bitwach pod Nowym Korczynem i Opatowcem. Utracił natomiast kontakt listowy ze swą rodziną, gdyż 3 września 1914 r. wojska rosyjskie zajęły Lwów.

W tym właśnie okresie poszczególne ogniwa podziemnego ruchu strzeleckiego w zaborze rosyjskim podjęły inicjatywę, by utworzyć tam jednolitą organizację dywersyjno-wywiadowczą, przygotowującą zarazem kadry wojskowe do dalszej walki o wyzwolenie kraju. Jako ideowego patrona tych zamierzeń uznano Józefa Piłsudskiego. Nawiązano z nim kontakt na początku października 1914 r. Dyskutowano jednocześnie, jaką przyjąć nazwę dla planowanej organizacji i kto ma być jej szefem. Powyższe rozważania rozstrzygnął J. Piłsudski. Zdecydował, że komendantem zostanie jego oficer przyboczny – Tadeusz Żuliński. Poleciał mu, by jak najszybciej (oczywiście w cywilnym ubiorze) przekradł się przez strefę frontu niemiecko-rosyjskiego i przybył do Warszawy. Dotychczasowy adiutant udał się w drogę 13 października 1914 r. Tak komentował to zdarzenie m.in. Tomasz Nałęcz, autor monografii o Polskiej Organizacji Wojskowej: (...) „Wybór nowego komendanta nie był przypadkowy. Jeszcze w Związku Walki Czynnej uzyskał on stopień oficerski. Piłsudski musiał szczególnie cenić dwudziestopięcioletniego oficera, skoro w pierwszych tygodniach wojny przydzielił go do swego sztabu. Również powiązania rodzinne czyniły Żulińskiego doskonałym propagandowo kandydatem na przywódcę antyrosyjskiego ruchu w Królestwie. Był on bowiem bratankiem członka Rządu Narodowego, straconego wraz z Trauguttem. Przemawiała za jego kandydaturą lewicowa przeszłość. Pod pseudonimem „Inteligent” i „Karol” działał on przed wybuchem wojny jako funkcjonariusz PPS-Frakcji Rewolucyjnej w Za-

głębiu Dąbrowskim.” (...) „Korzystając z odwrotu wojsk niemieckich emisariuszowi stosunkowo łatwo udało się przekroczyć linię frontu. 22 października był już w Warszawie.

Rozpoczął się nowy etap w działalności podziemia. Wzmocniona i uporządkowana została jego struktura wewnętrzna. Z inicjatywy nowego komendanta bezimienna dotąd organizacja otrzymała też nazwę Polska Organizacja Wojskowa¹².

Tadeusz Żuliński energicznie przystąpił do pracy. Przygotował m.in. Deklarację POW. Zawarł w niej program organizacji, sprecyzował obowiązki jej członków. Podkreślił w tym tekście, że nowa organizacja ma charakter ponadpartyjny. Mogą przystąpić do niej ludzie o różnych przekonaniach politycznych i nie muszą się ich wyrzec, jednak pod warunkiem, że akceptują jako cel nadrzędny walkę o niepodległość Polski. Za największego wroga Ojczyzny uznano „w obecnej chwili” Rosję, jednak użyte w Deklaracji sformułowania nie wykluczały sytuacji, w której po klęsce imperium carskiego POW może się zwrócić przeciw pozostałym zaborcom. Potwierdzono w tym dokumencie związek ideowy POW z Legionami, z komendantem J. Piłsudskim.

Oświadczeniu programowemu towarzyszyły efektywne poczynania organizacyjne. Już w pierwszych tygodniach działalności przystąpiło do POW kilkaset młodych osób. Jej ogniwą powstały nie tylko w Warszawie, ale również w wielu miejscowościach i rejonach Królestwa, jak np. Lublin, Radzyń, Radom, Siedlce, Mińsk Mazowiecki, Piaseczno, Grójec, Płock czy Zagłębie Dąbrowskie. Dzięki kontaktom z działaczami niepodległościowymi w głębi Cesarstwa Rosyjskiego założono też komórki POW w Petersburgu, Kijowie i w Wilnie. Działalnością tych wszystkich struktur kierowała Komenda POW. Jej szefem był oczywiście Tadeusz Żuliński (pseudonim „Roman Barski”), a w jej skład wchodził m.in. Karol Rybasiewicz (pseud. „Wilczyński”), Aleksander Tomaszewski („Wysocki”), Konrad Libicki („Buyno”), Adam Koc („Witold”), Maria Kwiatkowska („Ella”).

POW rozwijała swą działalność w kilku zasadniczych kierunkach. Prowadziła w swych ogniwach systematyczne szkolenie wojskowe, m.in. z zakresu musztry, taktyki walki, terenoznawstwa, łączności, saperstwa i dywersji. Uruchomiła również w tym celu w czerwcu 1915 r. tajną szkołę wojskową w majątku Wiśniewo koło Jabłonny, na północ od Warszawy. Praca w miejscowym sadzie była dogodnym pretekstem osłaniającym pobyt w tym miejscu 30 młodych osób.

Ważną rolę odgrywała propaganda prowadzona przez organizację, czemu służyły tajne wydawnictwa (np. pismo „Podchorąży” i ulotki) oraz różne formy perswazji ustnej. Znaczna część opinii publicznej Królestwa, w tym niektóre ugrupowania prawicowe, deklarowały na

początku wojny orientację prorosyjską i potępiały tworzenie Legionów w Galicji. POW zabiegała zatem, by to nastawienie zmienić.

Członkowie POW zajmowali się zarazem wywiadem. Zbierali informacje o dyslokacji i ruchach rosyjskich jednostek wojskowych na terenie Królestwa. T. Żuliński utworzył zarazem zespół łączniczek, inteligentnych i dzielnych kobiet, które wielokrotnie z narażeniem życia przekradały się przez linię frontu lub przebywały różne okrężne szlaki, by przekazać J. Piłsudskiemu odpowiednie raporty i przynieść w drodze powrotnej jego rozkazy. Do Komendy POW docierały też kurierki wysłane bezpośrednio przez dowództwo Legionów.

Konspiratorzy POW na polecenie swego Komendanta pozyskiwali różnymi sposobami broń, by ją wykorzystać w przyszłej walce. Z inicjatywy T. Żulińskiego powstał pion dywersyjny POW pod nazwą Oddział Lotny Wojsk Polskich. Przeprowadził on szereg akcji bojowych, wymierzonych zwłaszcza w zaopatrzenie i łączność armii rosyjskiej. Tak np. pod koniec 1914 i na początku 1915 r. wysadzono kilkakrotnie tory kolejowe i zerwano linie telegraficzne w rejonie Warszawy, dnia 28 grudnia 1914 r. zniszczono mosty kolejowe w pobliżu Tłuszcza i Brześcia nad Bugiem, 1 kwietnia 1915 r. uszkodzono powtórnie wiele torów kolejowych na prawym brzegu Wisły, a dnia 7 maja 1915 r. wyleciał w powietrze most na rzece Rudce pod Białą Siedlecką. Kilkakrotnie doszło do wymiany ognia między bojowcami POW a żandarmami i żołnierzami rosyjskimi. Niektórymi akcjami kierował osobiście T. Żuliński¹³.

Jak już wspomniano, występował on w organizacji jako Roman Barski. Wybór imienia Roman był oczywiście nawiązaniem do tradycji Romana Żulińskiego, dyrektora tajnej poczty powstańczej w latach 1863–1864. Wobec władz rosyjskich Tadeusz Żuliński występował jako rzekomy doktor Zieliński. Sfałszowane dokumenty umożliwiły mu ten podstęp. Tadeusz jako doktor Zieliński zgłosił się do pracy w Szpitalu im. Dzieciątka Jezus w Warszawie. Dyrekcja szpitala wysoko oceniała kwalifikacje medyczne, życzliwość wobec pacjentów i ofiarność doktora Zielińskiego. Władze rosyjskie, nadzorujące ten szpital, zamierzały wyróżnić młodego lekarza odpowiednim odznaczeniem. Zaproponowały mu też stałą pracę i stopień oficerski w armii carskiej oraz odpowiedzialną funkcję w służbie sanitarnej. Gdyby odkryły, kim jest naprawdę ów doktor Zieliński, to Tadeusz zapewne zawisłby na szubienicy tak, jak niegdyś jego stryj Roman. Rosjanie nigdy jednak nie wykryli podstępu Tadeusza, który zdołał też uniknąć proponowanych mu wyróżnień i stanowisk¹⁴.

Warto też przypomnieć jeszcze jedną okoliczność związaną z aktywnością Tadeusza w Warszawie. Działacze, w tym kierownicy POW, byli to przeważnie ludzie młodzi, dwudziestoparoletni. W tym samym wieku

lub jeszcze młodsze były najczęściej ich łączniczki. Niektóre ich spotkania, również z udziałem Tadeusza, miały charakter wieczorków towarzyskich. Śpiewano, a także tańczono przy akompaniamencie fortepianu. Stanowiło to zresztą swoistą osłonę dla poczynań konspiracyjnych. Rodziły się przy tym różne przyjaźnie, a czasem obopólna miłość. Tadeusz wspominał później życie towarzyskie w Warszawie w swej korespondencji¹⁵.

Tymczasem nastąpił przełom w sytuacji militarnej w Królestwie. Wojska rosyjskie ponosiły latem 1915 r. coraz większe klęski. Rozpoczął się ich odwrót za Wisłę. Dnia 3 sierpnia 1915 r. Rosjanie przeprowadzili ewakuację Warszawy. Niszczyli fabryki, nie zdążyli jednak zabrać ze sobą mężczyzn-rezerwistów, czego obawiała się Komenda POW. W nocy z 4 na 5 sierpnia opuścili lewobrzeżną Warszawę i wysadzili mosty na Wiśle. T. Żuliński pozostał na prawym brzegu rzeki, gdyż sądził, że będą jeszcze potrzebne akcje dywersyjne we wschodniej części Królestwa. Wojska rosyjskie nadspodziewanie szybko wycofały się jednak ze wschodniego Mazowsza oraz Podlasia i Lubelszczyzny, by zająć pozycje obronne za Bugiem – na Polesiu i Wołyniu.

Dnia 5 sierpnia 1915 r. rano ujawniła się w Warszawie miejscowa POW. Jej uzbrojeni członkowie zajęli m.in. Pałac Namiestnikowski (dzisiaj jest to siedziba Prezydenta RP) i wywiesili tam biało-czerwoną chorągiew. Na żądanie Niemców, którzy tego samego dnia wkroczyli do miasta, przenieśli się do budynku niedawnych koszar żandarmerii na rogu ul. Żurawiej i Wielkiej. Do Stolicy powrócił wkrótce Tadeusz Żuliński. Dnia 15 sierpnia przybył do Warszawy Józef Piłsudski i zarządził, by ujawnieni już członkowie POW dołączyli do I Brygady Legionów. Podjęto zatem odpowiednie przygotowania – należało szybko umundurować i uzbroić nowych żołnierzy. Dnia 22 sierpnia 1915 r. o godzinie 5 rano Batalion Warszawski POW – dowodzony przez T. Żulińskiego, który niedawno otrzymał awans na porucznika – wyruszył z ul. Żurawiej. Przebył mostem pontonowym Wisłę i rozpoczął wielodniowy przemarsz w kierunku Wołynia.

Był on uciążliwy. Żołnierze w pełnym obciążeniu przebywali pieszo kilkadziesiąt kilometrów dziennie, by możliwie szybko połączyć się z I Brygadą Legionów, dowodzoną bezpośrednio przez J. Piłsudskiego. Żuliński musiał przy tym codziennie zabiegać o wyżywienie swych podwładnych, co nie było łatwe, gdyż niektóre okolice mocno ucierpiały w czasie ewakuacji armii rosyjskiej i niedawnych walk. Ludność Podlasia mimo poniesionych strat przyjmowała maszerujących żołnierzy życzliwie, ułatwiając ich wyżywienie i zapewniając im noclegi. Ten forsowny przemarsz wspominał jeden z podwładnych Żulińskiego – Janusz Jędrzejewicz.

(...) „*Marsz trwał długo. Zbyt długo, jak na nasze niewytrenowanie, braki w ekwipunku, a przede wszystkim na nasze nogi, które po dwóch dobach pokryły się olbrzymimi pęcherzami, a następnie stały się jedną ropiejącą, bolesną raną. Mijaliśmy wsie i miasteczka, witani zdziwieniem, (...) czasami niespodziewaną serdecznością Podlasiaków*”. (...) „*Takim forsownym marszem doszliśmy do Łukowa. Ledwieśmy się jako tako roztasowali po różnych zakazanych obórkach, gdy otrzymałem rozkaz stawienia się na przyjęcie, jakie społeczeństwo Łukowa urządza dla panów oficerów. Było nas około dwudziestu z por. Barskim na czele*”. (...)

„*Niedobrze pamiętam to przyjęcie. Widzę oczami zastawiony stół, twarze sąsiadek, które podobno coś do mnie mówiły, dużo światła. Miałem wrażenie, że zaraz zasnę. Z tego półprzytomnego stanu obudził mnie głos Żulińskiego, który w odpowiedzi na jakiś toast wygłosił krótkie i gorące przemówienie. Zakończył okrzykiem: «Zwycięzimy lub nie wrócimy żywi»*”¹⁶.

W kilka dni później Batalion Warszawski POW połączył się z I Brygadą w pobliżu Kopytkowa na Podlasiu. Był to moment szczególny, dlatego warto ponownie odwołać się do wspomnień J. Jędrzejewicza, uczestnika tych zdarzeń.

(...) „*Pogrążyliśmy się w nadbużańskie lasy. Była już ciemna noc, gdyśmy zbliżyli się do biwakującej pod namiotami brygady. W chwili, gdy przechodziliśmy przez jakiś mostek, tuż obok zabrzmiała melodia: «Hej strzelcy wraz!»*. To orkiestra 1 pułku piechoty witała nas pieśnią strzelecką. Emocje tych minut nie dadzą się opisać. Stanęliśmy na obszernej polanie, oświetleni blaskiem palących się ognisk. Wiara legionowa z ciekawością nas otoczyła.” (...) „*Na drugi dzień zbiórka i wymarsz na Włodawę*.” (...) „*Brygada posuwała się ku Włodawie. Szosa cuchnęła od końskich trupów, gęsto po jej bokach rozsianych. Wsie przeważnie spalone. Zdawało mi się, że w skupionych twarzach odczytywałem własne przeżycia: bolesne i twarde. Słabości w nich nie było*”¹⁷.

Żołnierze Batalionu Warszawskiego POW zasilili poszczególne formacje I Brygady, które poniosły straty w czasie poprzednich walk. W wyniku tej reorganizacji porucznik Żuliński objął dowództwo nad 2 kompanią VI batalionu w 3 pułku piechoty I Brygady. Przekroczyła ona Bug w okolicach Włodawy. Posuwała się stopniowo w głąb Wołynia. Opór wojsk rosyjskich początkowo nie był zbyt silny. Tocząc na razie niewielkie walki i współdziałając z wojskami austriackimi i niemieckimi, I Brygada w ciągu września 1915 r. dotarła w okolice Kowla, przebyła rzekę Stochód w okolicach Poworska, nacierała równolegle do linii

kolejowej Kowel – Sarny, pod koniec września i na początku października 1915 r. operowała w rejonie miejscowości Trojanówka, Maniewiczze, Horodok, Kostiuchnówka, Gałuzja.

W miarę, jak zbliżała się do rzeki Styr, napotykała na coraz silniejszy opór przeciwnika. Co więcej – skoncentrował on po drugiej stronie rzeki spore nowe siły i na niektórych odcinkach frontu przechodził do przeciwnatarcia.

Przez cały ten czas – od wymarszu z Warszawy – Tadeusz prowadził kronikarskie zapisy swoich czynności służbowych, w tym różnych przemarszów i stoczonych walk. Nawiązał też korespondencję ze swą rodziną we Lwowie, odzyskanym 22 czerwca 1915 r. przez wojska austriackie. Pisał na miejscach postoju krótkie listy do swych bliskich, zwłaszcza do matki Łucji i do swej siostry Teresy – żony lekarza lwowskiego, Stanisława Czarnika.

Nie tylko rodzina we Lwowie była adresatką jego listów. Wysyłał je również do Marii Głowackiej w Warszawie. Poznał ją w okresie swej działalności konspiracyjnej. Maria uczestniczyła w spotkaniach towarzyskich organizowanych przez współpracownicy Tadeusza. Była dziewczyną inteligentną, interesowała się psychologią, uczyła się na odczyty z tej dziedziny wiedzy.

Przed wymarszem Batalionu Warszawskiego POW Maria odbyła z Tadeuszem ważną rozmowę. Zadała mu zasadnicze pytanie: czy rzeczywiście jego miejsce jest na pierwszej linii frontu? Jest przecież lekarzem. Mógłby podjąć jakże pożyteczną, jakże potrzebną pracę w szpitalu wojskowym, choćby na zapleczu linii bojowej, ale już poza bezpośrednim zasięgiem ognia nieprzyjaciela. Mógłby też pełnić jakąś funkcję w sztabie na tyłach walczących oddziałów. Dokonał przecież i tak wiele jako organizator i komendant POW w zaborze rosyjskim, jako konspirator narażony codziennie na wykrycie, uwięzienie, śledztwo i śmierć.

Tadeusz odpowiedział, iż takiego rozwiązania przyjąć nie może. W czasie jego działalności podziemnej liczni młodzi ludzie wstąpili do POW. Przygotowywał ich do walki zbrojnej. Prowadził w tym celu agitację oraz szkolenie wojskowe. Przekonywał swych podwładnych, że przyszłe uczestnictwo w Legionach będzie dla nich zaszczytem. Teraz ma ich wyprowadzić z Warszawy, by dołączyli do I Brygady. Nie może zatem porzucić swych podwładnych i ubiegać się o jakieś zajęcie na tyłach. Jest za nich odpowiedzialny. Musi dzielić ich los zarówno w czasie najbliższego przemarszu, jak i później, na pozycjach bojowych. Po pożegnaniu Maria wysyłała do niego swe listy, dostarczane przez pocztę polową lub przez różnych okazjonalnych pośredników. Tak np. pisała w liście z 5 września 1915 r.: „Najpierw muszę Panu zwierzyć moją

dreńczącą marę: jest nią myśl, czy Panu się co złego nie stanie i tak bym chciała prosić, by się Pan strzegł i choć wiem, że moja prośba nic nie znaczy i choć wierzę w Pana życiowe szczęście, jednak niech Pan się cały i zdrowy uchowa, już nie tylko ze względu na siebie". Zapowiedziała też w tym liście: (...) „chyba zaczęę robić na drutach ciepłe rzeczy dla legionistów. Co też Pan powie, gdy pewnego zimowego poranku dostanie Pan z poczty śliczne zielone rękawiczki mojej roboty? Czuję w sobie tyle męstwa i hartu, że chyba podołam zadaniu! Smutna jest rola nas kobiet, oczekujących wieści, bezradnych. Ale to chyba jest tak tylko w czasie wojny?”¹⁸.

Tadeusz z różnych miejsc chwilowego pobytu wysyłał do Marii związane listy. Miały one charakter sprawozdawczy. Pisał o swoich codziennych zajęciach, kłopotach. Nie było w nich wylewności uczuciowej. Wspominał jednak zarazem, że czeka niecierpliwie na listy od niej, zwłaszcza wtedy, gdy poczta polowa dostarcza przesyłki z Warszawy. Lektura tych listów sprawia mu wielką radość. Oboje w tej korespondencji mówili o wiążącej ich przyjaźni. Można jednak sądzić, że łączyła ich obopólna rodząca się miłość, w której zabrakło czasu na najważniejsze wyznanie, która nie zdążyła się w pełni rozwinąć.

W drugiej połowie października 1915 r. dowództwo I Brygady przyznało porucznikowi Tadeuszowi Żulińskiemu kilkudniowy urlop na wyjazd do Lwowa. Bardzo się z tego ucieszył. Powiadomił o tym rodzinę i Marię. Nareszcie po długiej rozłące spotka się we Lwowie z matką i siostrami, odwiedzi przyjaciół i znajomych, odpocznie w przyjaznych murach rodzinnego miasta, odetchnie jego atmosferą. Myślał nawet o tym, by ściągnąć z Mikołajowa, gdzie pracował jako lekarz, różne rzeczy pozostawione tam w chwili wybuchu wojny, w tym raketę do gry w tenisa. Bardzo polubił ten sport.

Miał wyruszyć do Lwowa października 30 października 1915 r. Tymczasem w nocy z 26 na 27 października część I Brygady pod dowództwem ówczesnego pułkownika Edwarda Rydza-Śmigłego rozpoczęła natarcie w rejonie wsi Kamieniucha. Miała dotrzeć do rzeki Styr. Opór rosyjski był jednak silny, a wioska Kamieniucha, rozciągnięta na wzniesieniach, stanowiła ufortyfikowaną pozycję osłoniętą trzema liniami okopów. Legioniści w ciągu dwóch dni nie osiągnęli powodzenia. Dnia 29 października podjęli decydujący szturm. Ruszył do boju na czele swej kompanii por. Tadeusz Żuliński. W kieszeni miał przepustkę zezwalającą na wyjazd następnego dnia do Lwowa.

Kompania Żulińskiego skutecznie atakowała reduty rosyjskie we wsi – koło cerkwi i pod wiatrakiem. Wtedy to właśnie w pobliżu Tadeusza wybuchł szrapnel rosyjski rażąc dookoła zawartymi w nim kulkami. Kilka z nich ugodziło go w brzuch. Po zwycięskiej walce prze-

niesiono rannego dowódcę do punktu opatrunkowego w pobliskiej Sewerynowce. Ustawiczny ostrzał nieprzyjaciela utrudniał przeniesienie rannych do większego szpitala na zapleczu frontu. Umieszczono go zatem w lazarecie polowym działającym w chłopskiej chacie. Opiekował się tam rannymi m.in. dr Felicjan Sławoj-Składkowski, w przyszłości premier Rządu II Rzeczypospolitej w latach trzydziestych. Tadeusz był przytomny i pełen nadziei. Nie zasklepiły się jednak rany w jelitach, na co liczyli lekarze. Dnia 5 listopada 1915 r., wciąż jeszcze przytomny, ostatnim wysiłkiem sięgnął po swój zegarek. Zaczął go nakręcać. Po chwili skonał.

Pochowano go początkowo na prowizorycznym cmentarzu żołnierskim w Sewerynowce. Huczały w pobliżu armaty. Spadł obfity śnieg, zaczęła się wczesna wołyńska zima¹⁹.

Trzy tygodnie później we wszystkich oddziałach I Brygady Legionów, walczących wówczas nad Styrem, odczytano następujący rozkaz:

„Żołnierze!

W pamiętny dzień 29 listopada, gdy serce żołnierza polskiego bije z myślą o chwili, w której dziadowie nasi w Warszawie za broń porwali do walki o wolność Ojczyzny, chcę wrazić Wam w pamięć imię kolegi naszego, który godzien jest stanąć obok czczonych przez nas bohaterów przeszłości.

Mówię o zmarłym przed miesiącem od ciężkiej rany por. Tadeuszu Żulińskim.

W zeszłym roku w październiku wystąpiłem go do Warszawy by tam, w zaborze jeszcze wówczas rosyjskim, stanął na czele przygotowań wojennych. Gdy my z bronią w rękę mieliśmy satysfakcję boju otwartego z wrogami, gdyśmy na odpoczynku w wesołym kolegów gronie zapominali o troskach, wreszcie gdy nawet śmierć czy ciężka rana spotykała żołnierza wśród wrzawy walki, świstu kul i w otoczeniu przyjacielskim, z nim było inaczej. Tam w Warszawie, wśród sieci szpiegów i podszeptów słabości, bez wszelkich błyskotek zewnętrznego życia żołnierskiego, mając w perspektywie śmierć samotną w lochu więziennym lub w otoczeniu siepaczy, porucznik Żuliński długie miesiące stał na stanowisku w tej wojnie najtrudniejszym, a więc najbardziej honorowym, szedł w ślady ojców i dziadów, którzy tajemnie, w ciężkich więzach podziemnego spisku, gotowali broń przeciw najeźdźcy. Jego to i jego kolegów praca nawiązywała w naszej walce nic tradycji z tą specyficzną polską wojną, którą toczyli nasi przodkowie, a z ducha której wyrosliśmy i my – nowocześni żołnierze polscy.

Żołnierze! Wzywam was, byście oddali cześć komendantowi oddziału wojsk polskich w Warszawie i w zaborze rosyjskim w r. 1915”. (...)

*„Kopię rozkazu przesać rodzinie porucznika Żulińskiego”²⁰.
Kołki nad Styrem, 29 listopada 1915 r.*

*J. Piłsudski
brygadier”*

W marcu 1916 r. J. Piłsudski złożył wizytę kondolencyjną matce Tadeusza – Łucji, zamieszkałej we Lwowie przy ul. Boimów 3. Powiedziała wówczas m.in., że śmierć por. Tadeusza Żulińskiego stanowi stratę, która go szczególnie zabolala.

W maju 1916 r., gdy już nieco wcześniej ustabilizował się przejściowo front na Wołyniu, przeprowadzono ekshumację zwłok Tadeusza Żulińskiego. Przewieziono je w metalowej trumnie z Sewerynowki na Dworzec Główny we Lwowie. Po przybyciu wagonu, rozpoczęła się dnia 12 maja po południu na placu przed Dworcem Głównym uroczystość żałobna. Uformował się orszak, w którym prócz rodziny i przyjaciół Zmarłego oraz duchownych, kroczyli legioniści przebywający wówczas we Lwowie, żyjący tu jeszcze uczestnicy Powstania Styczniowego, harcerze i delegaci różnych organizacji społecznych, pracownicy i studenci Politechniki i Uniwersytetu, inni ludzie. Kondukt zjechał od dworca do ul. Gródeckiej, dalej ulicą Leona Sapiehy i Kopernika w dół do Placu Mariackiego. Zatrzymał się przy kolumnie Adama Mickiewicza, gdzie odbyła się kolejna uroczystość z udziałem chóru teatralnego. Wygłoszono przemówienia. Na chodniki wyległy tłumy mieszkańców, uprzedzonych plakatami o pogrzebie. Całą trasę przemarszu ozdobiono krepą i kirem. Przy dźwiękach dzwonów lwowskich kościołów orszak ruszył po pewnym czasie spod pomnika Mickiewicza przez Plac Bernardyński do ul. Piekarskiej i dalej tą ulicą do Cmentarza Łyczakowskiego. Nad otwartym grobem przemówił ks. dr Jan Ciemniwski, katecheta gimnazjalny Tadeusza, a także przedstawiciel uczestników Powstania Styczniowego E. Werberfeld oraz komendant lwowskiej Stacji Zbornej Legionów kapitan Stanisław Krzaczyński. Po odśpiewaniu przez duchownych hymnów żałobnych i przy salwie honorowej piechoty legionowej złożono trumnę do grobu, w którym pochowano wcześniej ojca Tadeusza – Józefa. W znajdującym się obok pierwszym grobowcu Żulińskich pochowano wcześniej Tadeusza – powstańca i lwowskiego działacza samorządowego, księdza Kazimierza oraz ich matkę Barbarę²¹.

Maria Głowacka nawiązała po śmierci Tadeusza kontakt z jego rodziną we Lwowie. Udostępniła jej otrzymane niegdyś od niego listy. Przypomniła w swej korespondencji mało znane fakty i okoliczności z okresu jego warszawskiej działalności konspiracyjnej. Dość długo utrzymywała tę łączność. Później wyszła za mąż.

Porucznik Tadeusz Żuliński został odznaczony pośmiertnie w 1922 r. Krzyżem *Virtuti Militari* V Klasy. Dnia 15 marca 1931 r. z inicjatywy dawnych peowiaków odsłonięto i poświęcono tablicę pamiątkową na ścianie budynku u zbiegu ul. Żurawiej i Poznańskiej w Warszawie. Wryto na niej następujący napis: „Z tego domu dn. 22 VIII 1915 r. o g. 5 rano na rozkaz Komendanta Głównego Józefa Piłsudskiego pod dowództwem por. Tadeusza Żulińskiego (Romana Barskiego) wymaszerował na pole walki I Brygady Leg. Pol. o niepodległość Polski Batalion Warszawski Polskiej Organizacji Wojskowej”. Dnia 1 września 1935 r., już po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego, odbyła się w Warszawie uroczystość przemianowania odcinka ulicy Żurawiej (między Marszałkowską i Poznańską) na ulicę Tadeusza Żulińskiego. Uchwałę Rady Miejskiej w tej sprawie odczytał ówczesny prezydent Stolicy – Stefan Starzyński.²²

Nadszedł kataklizm II wojny światowej, a następnie długoletni okres dyktatury komunistycznej. Różne tradycje i pamiątki narodowe nie tylko nadwyreżył upływ czasu. Były też często przedmiotem celowego niszczenia. Gdy autor tego artykułu po dłuższej nieobecności przybył do swego rodzinnego miasta na początku sierpnia 1971 r., zastał oba groby Żulińskich na polu 72 Cmentarza Łyczakowskiego mocno zagrożone. Wyrwano i zniszczono tablicę z drugiego grobowca z napisem poświęconym Józefowi i por. Tadeuszowi Żulińskiemu. Rozbito wejście do tego grobu. Zanosilo się na całkowitą dewastację obu tych obiektów. Był to zły czas dla polskich pamiątek. W dwa tygodnie później władze sowieckie przystąpiły do całkowitego już zniszczenia znajdującego się w pobliżu Cmentarza Orląt.

Dzięki pomocy Iwowianki, ś.p. Leokadii Dziubak, udało się powstrzymać dewastację i uratować oba grobowce Żulińskich od zagłady. Na drugim z nich zamieszczono tablicę zastępczą upamiętniającą Józefa i Tadeusza, a także Teresę z Żulińskich Czarnikową, córkę Józefa i siostrę Tadeusza, zmarłą w 1944 r. Tablica istnieje do dziś. Już na początku XX w., w 2014 r. z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Radzimina, zwłaszcza prezesa Jana Wnuka oraz Witolda Knechta, przeprowadzono remont generalny obu grobowców.

Ważne przedsięwzięcia podjęto też w Warszawie. Dzięki staraniom działacza społecznego, mgr inż. Tadeusza Burchackiego, przywrócono na ścianie budynku na rogu ul. Żurawiej i Poznańskiej tablicę upamiętniającą wymarsz Batalionu Warszawskiego POW w 1915 r. pod dowództwem Tadeusza Żulińskiego²³. Mgr inż. Tadeusz Burchacki jest również inicjatorem zamieszczenia tablicy pamiątkowej na ścianie zabytkowej Rogatki Grochowskiej (na początku ul. Grochowskiej, obok

fabryki E. Wedla). Odślonięto uroczyste tę tablicę 22 października 2014 r. w setną rocznicę przybycia Tadeusza Żulińskiego do Warszawy w celu założenia POW. Upamiętnia ona zarazem powtórne wyjście z konspiracji warszawskiej POW dnia 29 kwietnia 1917 r., gdy jej członkowie rozpoczęli jawne ćwiczenia w rejonie przedmieścia Wawer²⁴. Polska Organizacja Wojskowa odegrała następnie doniosłą rolę w rozbrajaniu żołnierzy niemieckich w Warszawie oraz w innych miastach polskich w listopadzie 1918 r. i walnie przyczyniła się do szybkiego tworzenia regularnego Wojska Polskiego w pierwszych dniach i tygodniach po odzyskaniu niepodległości.

Mija obecnie setna rocznica śmierci na polu walki por. Tadeusza Żulińskiego, a wiosną 2016 r. minie setna rocznica jego uroczystego pogrzebu we Lwowie. Można by powiedzieć słowami Maryli Wolskiej, iż nie tylko pokolenie uczestników Powstania Styczniowego, ale także generacja legionistów, członków POW czy bohaterów późniejszych zbrojnych zmagania o wolność i niepodległość Polski stanowi również „tamten świat”, jakże odległy chronologicznie od naszej epoki. Pewne wartości duchowe nie przemijają bezpowrotnie wraz z upływem czasu. Wprost przeciwnie – mogą stanowić pewien drogowskaz ideowy dla ludzi żyjących w odmiennych warunkach politycznych i społecznych, w innym przedziale dziejowym. Można bowiem sądzić, że w obliczu różnych zjawisk współczesnych, jak np. skrajny egoizm, zarozumiałość, demagogia, obłuda, ustawiczny zamęt pojęciowy – dziedzictwo przeszłości staje się coraz ważniejsze. Jakże są przecież dzisiaj potrzebne wzorce autentycznego patriotyzmu, ofiarnej służby Ojczyźnie w okresie pokoju i w latach wojny, troskliwości w zabiegach o wspólne dobro, odpowiedzialności moralnej za swe czyny i słowa, dojrzałości duchowej osiągniętej często w młodym już wieku, jakże są przydatne dawne przykłady logicznego myślenia i wydatnego działania. Mimo bezustannego upływu czasu wciąż jest potrzebny, a może coraz bardziej jest potrzebny – „po prostu tamten świat”.

PRZYPISY

¹ Juliusz Kaden-Bandrowski, *Na progu*. Warszawa 1928, s. 84, 86.

² Por. Oskar Stanisław Czarnik, *Prasa podziemna okresu 1861-1864. Wystawa w Kobyłce*. Kobyłka 2013, s. 11-70; tenże, *Roman Żuliński – nauczyciel w Radzyminie i w Warszawie, dyrektor tajnej poczty powstańczej*, dzieło cytowane, s. 71-92.

³ Anonim, *L'emigration polonaise et le budget francais (1831-1869)*. Paris 1869. Manipulując dowolnie liczbami autor broszury dowodził, iż Polacy w tym okresie wyłudzi od Francuzów ogromną sumę 33 300 000 franków. Przekonywał swych czytelników, przeważnie słabo znających geografie i historię Europy środkowej i wschodniej, że Polacy zamierzają rzekomo zbudować z pomocą Zachodu własne imperium od Odry po Wołgę i od Bałtyku po Dunaj i Morze Czarne (zob. m.in. s. 10).

- ⁴ Por. Karol Małeczyński, Tadeusz Mańkowski, Feliks Pohorecki, Marian Tyrowicz, *Lwów i Ziemia Czerwieńska*, Lwów 1938, s. 222; *Historia Polski. Kalendarium dziejów 1655-1887*. Red. Andrzej Nowak i in. Kraków 2010, s. 431, 433-435.
- ⁵ Por. Piotr Szarejko, *Stownik lekarzy polskich XIX wieku*. Tom I. Warszawa 1991, s. 623-627 (hasło: *Żuliński Tadeusz*).
- ⁶ Maryla Wolska, *Tamten świat* [w:] *Dzbanek malin*. Medyka 1929 (cykl wierszy *O dawnym Lwowie*).
- ⁷ Tadeusz miał starsze siostry Barbarę, Łucję i Teresę oraz młodszą Paulinę.
- ⁸ s. Barbara Żulińska C. R., *Dla Ciebie Polsko. Obrazki z życia Tadeusza Żulińskiego (Romana Barskiego)*. Lwów 1938, s. 16-27; Zygmunt Zygmuntowicz, *Komendant podziemnej Warszawy. Życie chlubne i śmierć zaszczytna dr. Tadeusza Żulińskiego, por. I Brygady Leg. Pol. I Komendanta P.O.W. w latach 1914-1915 w Warszawie*. Lwów – Warszawa 1937, s. 5-11.
- ⁹ K. Małeczyński i in., dz. cyt., s. 261-268; *Historia Polski. Kalendarium dziejów 1887-1913*, dz. cyt., s. 59-60, 63, 66. Warto dodać, że Polskie Drużyny Strzeleckie miały swą siedzibę we Lwowie na Placu Kapitulnym (obecnie Katedralnym) nr 2, natomiast lokale Związku Strzeleckiego mieściły się pod ówczesnymi adresami: Chodkiewicza 6, Kalcza 6, Lenartowicza 12, Nabelaka 20, Ziemiałkowskiego 14.
- ¹⁰ s.B. Żulińska, dz. cyt., s. 34-35; Z. Zygmuntowicz, dz. cyt., s. 12-16.
- ¹¹ Z. Zygmuntowicz, dz. cyt., s. 17-18.
- ¹² Tomasz Nałęcz, *Polska Organizacja Wojskowa 1914-1918*, Wrocław 1984, s. 17-18. Niektórzy autorzy twierdzą jednak, iż nazwa POW powstała wcześniej, jeszcze przed przybyciem Żulińskiego do Warszawy.
- ¹³ Por. Z. Zygmuntowicz, dz. cyt., s. 24-61; T. Nałęcz, dz. cyt., s. 18-32. Oddziałem Lotnym dowodzili bezpośrednio Jan Bielawski („Mikita”), Józef Kobiałko („Walek”), Marian Zyndram-Kościałkowski („Orwid”).
- ¹⁴ Por. s. B. Żulińska, dz. cyt., s. 60.
- ¹⁵ Tamże, s. 66-61.
- ¹⁶ Janusz Jędrzejewicz, *Wymarsz Baonu Warszawskiego*, [w:] *Wspomnienia legionowe. Materiały z dziejów walk o niepodległość*. Część I. Warszawa 1924, s. 56-67.
- ¹⁷ Tamże, s. 66-67.
- ¹⁸ Jeden oryginał oraz 3 odpisy listów Marii Głowackiej do Tadeusza Żulińskiego z sierpnia, września i października 1915 r. w posiadaniu autora tego artykułu.
- ¹⁹ Por. Marian Dąbrowski, *Ś.p. porucznik Tadeusz Żuliński*, „Kurier Lwowski” 1916, nr 264, 25 maja, wydanie poranne, s. 2-3; s. B. Żulińska, dz. cyt., s. 71-72; Z. Zygmuntowicz; dz. cyt., s. 69-71.
- ²⁰ Powyższa kopia w ciągu kilku dziesięcioleci znajdowała się w posiadaniu autora tego artykułu i została przekazana w 2008 r. do Działu Rękopisów Biblioteki Narodowej w Warszawie.
- ²¹ Por. *Pogrzeb ś.p. Tadeusza Żulińskiego*, „Kurier Lwowski” 1916, nr 242, 13 maja, wyd. poranne, s. 4; B. Żulińska, dz. cyt., s. 74-78; Z. Zygmuntowicz, dz. cyt., s. 75-79.
- ²² Por. Z. Zygmuntowicz, dz. cyt., s. 85, s. B. Żulińska, dz. cyt., s. 79-80.
- ²³ Wspomniany zabytkowy budynek spłonął w czasie wojny. Odbudowano go po wojnie. Obecnie mieści się w nim Urząd Dzielnicy Warszawa-Śródmieście (wejście od ul. Nowogrodzkiej).
- ²⁴ Mgr inż. Tadeusz Burchacki, projektant wielu budowli przemysłowych i sakralnych, zarazem działacz Towarzystwa Przyjaciół Warszawy, jest inicjatorem zamieszczenia ponad 130 tablic, pomników, głazów pamiątkowych w Warszawie, w innych miastach polskich, a ostatnio również na Bliskim Wschodzie, poświęconych wybitnym Polakom oraz cudzoziemcom zasłużonym dla Polski.

Paweł Naleźniak

LWOWSCY BERNARDYNI W LATACH 1939–1946

Druga wojna światowa w dramatyczny sposób unicestwiła polityczną obecność państwa polskiego na Kresach Wschodnich. Przyczyniła się do osobistej tragedii wielu tysięcy ludzi, przymuszonych do opuszczenia swej małej ojczyzny, zapoczątkowała na niespotykaną dotąd skalę proces niszczenia śladów naszej narodowej historii i kultury. Jej skutkiem było także przerwanie działalności tysięcy organizacji, instytucji, firm, stowarzyszeń, partii politycznych, klubów sportowych, zakonów, parafii i związków wyznaniowych. Opuszczając Kresy zmuszone były one pozostawić na miejscu swe budynki, biblioteki, zbiory archiwalne i dzieła sztuki, będące owocem pracy wielu pokoleń, często o unikalnej wprost wartości. Wśród tych, którym przyszło zmierzyć się z dramatem ekspatriacji znaleźli się lwowscy Bernardyni.

Ich obecność w mieście nad Pełtwią datowała się od 1460 roku. Przez prawie pięć kolejnych wieków towarzyszyli mieszkańcom Lwowa w dniach chwały i smutku. Czynnici, jako kapelani wojskowi¹, a nierzadko także z bronią w ręku przeciwstawiali się kozackiemu, tureckiemu i tatarskiemu zagrożeniu. W czasie rozbiorów udzielali schronienia działaczom politycznym poszukiwanym przez władze austriackie.² Wreszcie po 123 latach niewoli mogli być dumni z odzyskanej wolności, oddalenia ukraińskiego i bolszewickiego zagrożenia.

Na progu dziejów II Rzeczypospolitej sytuacja materialna lwowskiego konwentu nie była zła. W czasie reformy józefińskiej, dzięki życzliwości gubernatora Galicji Józefa Brigido, zakon nie został skasowany i zachował swoje pomieszczenia³. Jedynie część klasztoru władze austriackie przeznaczyły na magazyn dla ksiąg grodzkich i ziemskich zwożonych z terenu dawnej Rzeczypospolitej. Mimo, że decyzją abp. Józefa Bilczewskiego teren parafii dwukrotnie zmniejszono, jej sytuacja materialna nie była zła. Obaj metropolici lwowscy, a zwłaszcza Bolesław Twardowski byli bardzo życzliwi Bernardynom.

W okresie międzywojennym główną troskę władz Zakonu stanowiło utrzymanie seminarium duchownego oraz funkcjonującego przy kon-

wencie Studium Generalnego. Jego działalność wznowiono w 1931 r. i bardzo szybko osiągnęło wysoki poziom nauczania. Wydawało też własny miesięcznik pt. „Młodzież Seraficka”. W 1939 r. naukę pobierało w nim 70 kleryków⁴. Prefektem szkoły od samego początku był O. Julian Kędzior, a do bardziej znanych wykładowców należeli profesorowie: ks. Piotr Stach, ks. Jan Stępa, ks. Aleksy Klawek oraz ks. doc. Stanisław Szurek⁵. Zgromadzenie nie cierpiało na brak powołań, co pozwalało z optymizmem patrzeć w przyszłość. Po skończeniu czterech kursów klerycy kontynuowali ostatni na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jana Kazimierza, co zapewniało im prawo do przyznawanych przez tą uczelnię stopni naukowych.

Lwowski konwent był na tyle zasobny, że do 1938 r. poza dotacją państwową nie pobierał od władz zakonnych żadnego zasiłku na utrzymanie swoich seminarzystów. Dochody czerpano także z ofiar wiernych, dzierżawy kilku kamienic, wynajmu pomieszczeń klasztornych dla słynnego X Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza oraz Archiwum Akt Grodzkich i Ziemskich, opłat z krypty przedpogrzebowej, pensji rządowej proboszcza i czterech wikariuszy, wreszcie stypendiów mszalnych kilkunastu kapłanów⁶.

Zarówno seminarium, jak i konwent, posiadały swoje biblioteki. Tą ostatnią zasobną w cenne dzieła wydatnie powiększyło zdeponowanie we Lwowie zbiorów klasztoru w Zasławiu. Gdy bowiem jego gwardian O. Herkulan Ziarnek zorientował się w 1921 r., że miasto to nie znajdzie się w granicach Rzeczypospolitej, wykorzystał wracających z Kijowa żołnierzy polskich i z ich pomocą przesłał do kraju bibliotekę, archiwum, część kościelnej argenterii i cenniejsze ornaty.⁷

Materialną bazę dla prowadzonej przez Bernardynów działalności duszpasterskiej stanowiły obok klasztoru także: kościół pw. św. Andrzeja Apostoła, dzwonnica, studnia oraz obwarowania obronne. Ten rozległy kompleks posiadał istotne walory historyczno-zabytkowe. Parafialna świątynia była uważana przez wielu znawców za jedną z najpiękniejszych w Polsce, co przyciągało doń rzesze wiernych. Wybudowana w latach 1600–1630, według projektu wybitnych muratorów i architektów: Pawła Dominici zwanego Rzymianinem, Ambrożego Przychylnego i Andrzeja Bernera, stanowiła unikalną mieszaninę włoskiego i flamandzkiego renesansu. Była też świadkiem ważnych dziejowych wydarzeń: ślubu jedynej polskiej carowej Maryny Mniszchówny z Dymitrem Samozwańcem i wręczenia buławy hetmańskiej księciu Jeremiu Wiśniowieckiemu w czasie powstania kozackiego. Pod sklepieniem zawieszano zdobywane na wrogach sztandary i trofea wojskowe. W XVIII wieku nawę środkową świątyni ozdobiono pięknymi freskami przedstawiającymi gloryfikację św. Andrzeja Apostoła i bł.

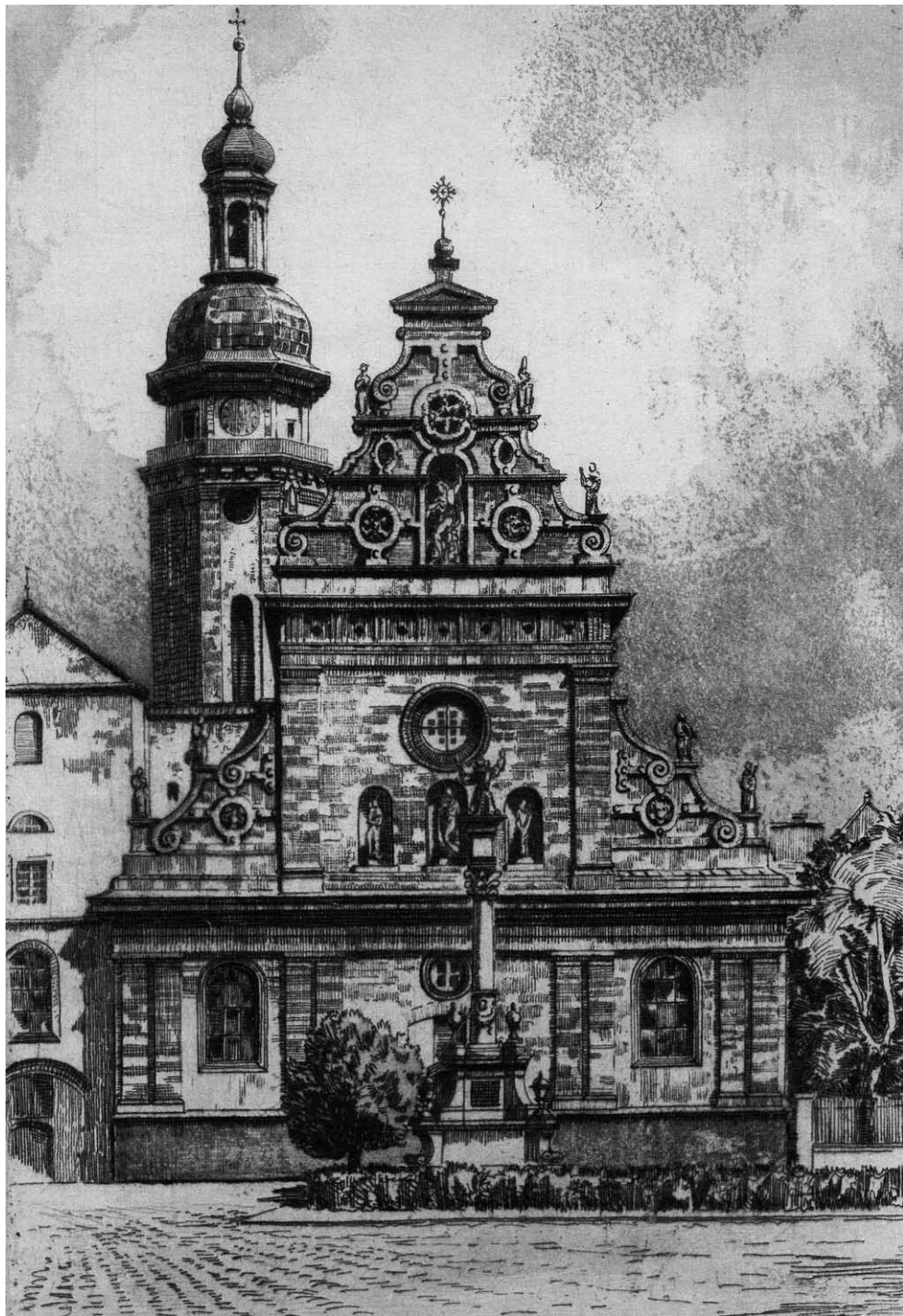
Jana z Dukli. W 1868 r. w kościele Bernardynów odbyły się uroczystości pogrzebowe Artura Grottgera⁸, skąd żałobny kondukt odprowadził piachy wielkiego malarza na cmentarz Łyczakowski.

Silnym magnesem przyciągającym wiernych do tego miejsca była również wspomniana już postać bł. Jana z Dukli. Wg. historycznych przekazów w 1648 r. ukazał się wojskom Bohdana Chmielnickiego i Tuhaj beja i skłonił je do odstąpienia od miasta. Jego szczególniejszej opieki doznał Lwów także w 1655 r. w czasie zagrożenia tatarskiego i podczas zarazy w 1721 roku. Nie brakowało wiernych, którzy przy relikwiach tego wybitnego zakonnika i kaznodziei wyprasali wiele łask. O. Norbert Golichowski w wydanej w 1909 r. broszurze pt. *Bł. Jan z Dukli, cuda i łaski* wymienia aż 330 niezwykłych przypadków, w których wstawiennictwo błogosławionego okazało się skuteczne⁹. Pobożni lwowianie otaczali czcią również miejsce, gdzie do 1521 r. znajdował się grób, skąd jego szczątki przeniesiono do kościoła. Wierzano, że woda ze źródła, które wytrysnęło na tym miejscu ma właściwości lecznicze. Po zaczerpnięciu stawiano ją w pojemnikach przy ołtarzu błogosławionego, a po poświęceniu lub po zakończeniu oktawy zabierano do domu.

Przez kilka stuleci Jan z Dukli był, obok Jakuba Strzemię, patronem Lwowa. Obchodzono następujące patronalne święta ku jego czci:

1. 17 stycznia – rocznica beatyfikacji
2. Niedziela po oktawie Św. Apostołów Piotra i Pawła – główna doroczna uroczystość
3. 5 września – rocznica ogłoszenia bł. Jana patronem Polski i Litwy
4. 29 września – rocznica jego śmierci i cudownej obrony Lwowa w 1648 roku
5. 22 października – rocznica podniesienia zwłok z ziemi i przeniesienia do kościoła.¹⁰

Jak widać kult bł. Jana z Dukli był bardzo rozpowszechniony, dzięki czemu świątynia Bernardynów zyskała status jednego z najważniejszych (obok katedry łacińskiej, kościołów Dominikanów, Karmelitów i Jezuitów) sanktuariów w mieście nad Pełtwią. Nic zatem dziwnego, że doroczną uroczystość odpustową zaszczykali swą obecnością hierarchowie wszystkich trzech katolickich obrządków we Lwowie oraz rzesze wiernych. W 1884 r. obchodzono w mieście 400 rocznicę śmierci błogosławionego. W uroczystej procesji przeniesiono jego relikwie do Bazyliki Metropolitalnej, a następnie do cerkwi Uspieńskiej i z powrotem do bernardyńskiego kościoła. Władze miejskie złożyły jako votum od mieszkańców Lwowa srebrny wieniec.¹¹



Kościół Bernardynów w latach wojennych.
Miedzioryt niemieckiego grafika – Kurta Hilschnera

Równie okazale zorganizowano w 1933 r. 200 rocznicę beatyfikacji Jana z Dukli. Cześć, jaką wówczas odbierał, nie powinna dziwić, gdy uświadomimy sobie, że grono lwowskich świętych powiększyli dopiero w XXI wieku arcybiskup Józef Bilczewski, ksiądz Zygmunt Gorazdowski i siostra Marta Wiecka.

Do osobliwości bernardyńskiego kompleksu należała również znajdująca się na krzyżankach przepiękna Droga Krzyżowa, przypisywana Łukaszowi Dolińskiemu oraz słynna „Golgota”, namalowana w 1896 roku na zamówienie ówczesnego gwardiana Zakonu O. Inocentego Kominka¹². Jej autorami było trzech malarzy: Tadeusz Popiel, Jan Styka i Zygmunt Rozwadowski. Od 1909 r. aż do wybuchu drugiej wojny światowej była wystawiana w Wielkim Tygodniu na widok publiczny. To monumentalne płótno pełne ekspresyjności poruszało sumienia wiernych i stanowiło znakomite tło do wystroju Grobu Pańskiego. Do kościoła Bernardynów przyciągała też organizowana corocznie szopka Bożonarodzeniowa oraz jasełka.

Obok kościoła i klasztoru wrażenie budziły również silne fortyfikacje obronne, które przez prawie 100 lat oparły się wielu atakom ze strony Kozaków, Tatarów i Turków. Z 38 metrową wieżą związana była słynna historia o strażniku, który widząc nadciągające hordy wroga przesunął wskazówki zegara o pięć minut do przodu, dał trąbką sygnał do zamknięcia bram i w ten sposób uratował miasto. Na pamiątkę tego wydarzenia zegar na bernardyńskiej strażnicy zawsze wskazywał czas odmienny od rzeczywistego.

Najsilniejszym jednak magnesem przyciągającym do tego miejsca była sama praca zakonników, ich otwartość na wiernych, troska o liturgię, słowo i dom Boży. Do najwybitniejszych kaznodziejów należeli O. Bronisław Szepelak i O. Feliks Kędzierski, spowiedników O. Wiktor Biegus i O. Teofil Tymorkiewicz. Ten ostatni był zapalonym katechetą i organizatorem Sodalicii Mariańskiej.

W latach 30 za przełożęstwa O. Arnufła Nowaka i O. Bronisława Szepelaka przeprowadzono szeroko zakrojoną restaurację kościoła i klasztoru¹³. Dla wiernych wydawano też „Gazetę Kościelną” i przez krótki okres czasu kwartalnik „Świt Seraficki”. W 1939 r. czyniono przygotowania do jego wznowienia lecz plany te przekreśliła wojna. Troszczono się też o samotnych tercjarzy, dla których z inicjatywy O. Wiktora Biegusa zakupiono budynek z przeznaczeniem na dom starości¹⁴. W parafii organizowano dni chorych, a także stałą pomoc dla ubogich, którym tygodniowo rozdawano kilkaset bochenków chleba. Zapewniano także pięć obiadów dla niezamożnych studentów Uniwersytetu, według listy dostarczanej przez akademicką Bratnią Pomoc¹⁵.

Bernardynów, jako dobrych kaznodziejów, często zapraszano do wygłaszania rekolekcji i prowadzenia misji ludowych. Niektórzy z nich, jak

O. Julian Kędzior, O. Wiktor Biegus i O. Feliks Kędziński zajmowali się również działalnością publicystyczną. Zakonnicy manifestowali swe przywiązanie do polskości przez udział w ważnych historycznych wydarzeniach: 10 i 20 rocznicy czynu Orłąt, pogrzebach metropolitów Józefa Bilczewskiego i Józefa Teodorowicza, konduktach żałobnych wielu bohaterskich obrońców Lwowa. Z parafialnej świątyni odprowadzono na wieczny spoczynek prochy gen. Tadeusza Rozwadowskiego.¹⁶

W przededniu wybuchu drugiej wojny światowej na terenie lwowskiego konwentu mieszkało około 100 zakonników. Obsadę parafii, klasztoru i seminarium stanowiło następujące grono duchownych:

Przełożony (gwardian): O. Jeremiasz Bochenek

Wikary: O. Bronisław Szepelak - kustosz Prowincji.

Wykładowcy, naukowcy i katecheci: O. dr Henryk Ragan, O. Teofil Tymorkiewicz, O. dr. Tymoteusz Tetera, O. dr Hipolit Legowicz, O. dr Zygmunt Stepień

Kooperatorzy: O. Alojzy Palus, O. Fidelis Kędziński, O. Wiktor Biegus, O. Atanazy Piątkowski, O. Placyd Rusinek, O. Stanisław Mucha, O. Wilhelm Wrona, O. Roman Pitołaj, O. Jukundyn Łaba

Bracia: Br. Kazimierz Dankiewicz, Br. Teofil Krakowski, Br. Franciszek Ksawery Gałek, Br. Edward Głazowski, Br. Kryspin Baszak, Br. Daniel Strycharz, Br. Sebastian Kusy, Br. Roch Sałek, Br. Archanioł Rogoń, Br. Waldemar Antoni Dębski, Br. Florian Mazurek, Br. Herkulan Jarmułowicz. Br Andrzej Nieleba

Czasowo przebywali: O. Martynian Darzycki, O. Anatol Maliniak. O. Kajetan Grudziński.

Po mianowaniu O. Bronisława Szepelaka w 1942 r. prowincjałem, stanowisko kustosza objął O. Jeremiasz Bochenek, natomiast jako wikarzy pracowali kolejno: O. Cyryl Momeła, O. Romuald Gustaw i O. Eustachy Łoś.

Druga wojna światowa zapoczątkowała proces zagłady polskich Kresów. Jej nieszczęścia szybko dotknęły również Bernardynów. 14 IX 1939 r., w czasie niemieckiego ataku lotniczego na Lwów zostało zburzone jedno ze skrzydeł klasztoru od strony wieży i biblioteki. Pod gruzami zginął O. Wiktor Biegus.¹⁷ Ze względu na utrzymujący się stan zagrożenia, pogrzeb tego zacnego kapłana odbył się dopiero 21 IX na cmentarzu Łyczakowskim¹⁸. Kolejne bombardowania powtarzane w dzień i w nocy na szczęście nie wyrządziły już konwentowi żadnej szkody.

Po zajęciu Lwowa przez Związek Radziecki przeniesiono zajęcia Studium Generalnego na teren okupacji niemieckiej. Odtąd wykłady z filozofii odbywały się w Alwerni, a z teologii w Kalwarii Zebrzydowskiej. Klerycy, rozproszeni z powodu wakacji i wypadków wojennych, z trudem docierali na miejsce przeznaczenia. Pomocy udzielał im O. Tymoteusz

Tetera, który też koordynował całą akcję. Do seminarzystów dołączyli rektor szkoły O. Julian Kędzior i wykładowcy ks. prof. Piotr Stach.

Radziecka okupacja Lwowa 1939–1941 okazała się kilku przyczyn bardzo uciążliwa. Zgodnie z głoszonym urzędowo ateizmem nowa władza szybko przystąpiła do zwalczania religii katolickiej. Bardzo szybko usunięto ją z programów nauczania, a duchownych ze szkół i szpitali. Wiernym utrudniano udział w nabożeństwach niedzielnych i świątecznych przez organizowanie prac społecznych oraz indoktrynacyjnych zgromadzeń i wieców. Na kościoły nałożono bardzo wysokie podatki, co miało pośrednio doprowadzić do ich zamknięcia. Drakońskie sumy pieniężne, pomocą wiernych, starano się płacić i nigdzie nie doszło do takiej sytuacji.

U Bernardynów praca duszpasterska odbywała się normalnie, z tą różnicą, że ze względu na rozbudowaną sieć szpicliów i donosicieli, unikano głoszenia kazań o charakterze patriotycznym. Po dawnemu działały parafialne Bractwa i Trzeci Zakon. Msze święte odbywały się według następującego porządku:

W Niedzielę i święta w godz.: 6, 6.30, 7, 7.30, 8, 9, 9.30, 10, 11, 12

W tygodniu w godz.: 6, 6.30, 7, 7.30, 8, 9, 10

W 1946 r., z racji zmniejszonej liczby kapłanów, zrezygnowano z niedzielnych mszy świętych o 6, 6.30 i 9.30, dołożono natomiast jedną o godz. 13.00. W tygodniu nie odprawiano mszy świętych o 6 i 6.30. Mimo, że większość świąt została zniesiona, służbę Bożą nadal sprawowano w te dni, według porządku niedzielnego. Bez zmian odbywały się nabożeństwa majowe, czerwcowe i różańcowe, listopadowa Droga Krzyżowa oraz nowenny przed liturgicznymi wspomnieniami św. Andrzeja Apostoła i bł. Jana z Dukli. Od października 1945 r. regularnie odprawiano msze święte w intencji uwolnienia aresztowanego przez NKWD kustosza, O. Jeremiasza Bochenka.

W konsekwencji rygorów okupacyjnych Bernardyni zmuszeni byli ograniczyć aktywność duszpasterską poza Lwowem. Nie oznacza to, że jej zupełnie nie było. Działalność rekolekcyjną starano się prowadzić głównie na terenie archidiecezji, nie tak jak dawniej w różnych rejonach Polski.

Codziennność znaczonej terrorem NKWD, ciągłymi rewizjami, aresztowaniami i wywózkami okazała się trudna do zniesienia. Spadające na ludzi nieszczęścia wpłynęły na ożywienie ich wiary. Kościoły, mimo ideologicznej ofensywy, były przepełnione. Mnóstwo osób przedtem oziębłych i obojętnych przystępowało do spowiedzi i Komunii świętej. Zamawiano msze święte z prośbą o uwolnienie więźniów i ich szczęśliwy powrót do domu.

Dla zakonników szczególną udręką były ciągłe kontrole, które sowieckie organy bezpieczeństwa przeprowadzały w klasztorze bez względu na porę dnia. Atmosfera podejrzliwości szczególnie dała o sobie znać po agresji Niemiec na ZSRR. W każdej chwili można było być oskarżonym o szpiegostwo i dywersję przeciwko Armii Czerwonej, której dopuszczali się uzbrojeni nacjonaliści ukraińscy. Wspomina O. Teofil Tymorkiewicz: *Raz nawet staliśmy przy ścianie przy ścianie wszyscy na korytarzu, a naprzeciw nas rota żołnierzy kilkunastu z skierowanymi ku nam karabinami [...]. Posądzono nas o współdziałanie z Niemcami przy ostrzeliwaniu sowieckich patroli i placówek, na które padały strzały z karabinów z maszynowych karabinów, jakoby z naszej wieży kościelnej. Rewizja dwukrotna na wieży, aż po sam szczyt wykazała, rzecz naturalna, bezpodstawność zarzutów.*¹⁹

W tych dniach, w szczególnym niebezpieczeństwie znaleźli się ojcowie Eustachy Łoś i Roman Pitołaj, których 24 VI 1941 r. przy bramie klasztornej, zatrzymał sowiecki patrol i odprowadził do więzienia przy ul. Kazimierzowskiej. Trzy dni później, dzięki pomocy mieszkańców Lwowa, którzy wyważyli drzwi celi i bramę główną, udało im się zbiec wraz z kilkunastoma innymi aresztantami. Do wkroczenia Niemców ukrywali się u znajomych po czym szczęśliwie wrócili do domu. Tysiące osób, które wówczas nie zdołały wydostać się na zewnątrz, spotkał tragiczny los – wszyscy zostali wymordowani.

Tego samego dnia szczęśliwie uniknął aresztowania O. Teofil Tymorkiewicz. Wracał do klasztoru, kiedy nagle na Rynku i w przyległych ulicach dała się słyszeć strzelanina. *Co chwila trzeba było zatrzymywać się i kryć się w sieniach domów, aby schronić się przed pociskami. Z wielkim trudem zdołał dotrzeć do zamkniętej bramy klasztornej [...]. Kwadrans później byłby go spotkał los Ojców Eustachego Ł[osia] i Romana P[itola]ja.*²⁰

Okupacja niemiecka okazała się nieco łaskawsza dla pracy duszpasterskiej. W miejsce chorego O. Cypriana Jurkiewicza, generał zakonu mianował nowym prowincjałem O. Bronisława Szepelaka. Powierzono mu także obowiązki nadzwyczajnego delegata generalnego całej prowincji bernardyńskiej z bardzo szerokim zakresem uprawnień. Nowy zarząd prowincji podjął ważną decyzję o kontynuowaniu w Rzymie starań o kanonizację bł. Jana z Dukli i bł. Szymona z Lipnicy. Jako wicepostulatora obu spraw wybrano O. Romualda Gustawa.

W czasie okupacji niemieckiej Bernardyni, podobnie jak szereg innych zakonów męskich i żeńskich, udzielali pomocy zagrożonym lwowskim Żydom. Poprzez urząd parafialny zaopatrywano ich w fałszywe metryki, które wydawano także Polakom ściganym przez Gestapo. W podziemiach klasztoru ukrywano kilka rodzin żydowskich.

Zakonnicy służyli też doraźną pomocą materialną ludziom dotkniętym przez różne nieszczęścia wojny. Na prowincji wspomagali swe klasztory zagrożone przez bandy UPA. Aktem odwagi było wysłanie w przebraniu jednego z kapłanów do Fragi, gdzie z rąk nacjonalistów 5 i 19 II 1944 roku zginęło trzech współbraci²¹. Udał się on tam w celu spożycia zbeszczeszczonego Najświętszego Sakramentu²². Ta niezwykle niebezpieczna akcja powiodła się całkowicie.

Latem 1944 r. po serii radzieckich nalotów na Lwów, okupacyjne władze miejskie zdecydowały o umieszczeniu u Bernardynów uszkodzonej Panoramy Raclawickiej. Olbrzymie płótno, po zdjęciu z ram, zrolowano na 15 metrowy walec i umieszczono w drewnianej skrzyni nasyconej szkłem wodnym. Wielka paka, ważąca prawie 10 ton, umieszczona na złączonych platformach została przewieziona do klasztornych podziemi. Wydarzenie odbiło się szerokim echem w mieście, pisała o nim również gadzinowa „Gazeta Lwowska”. Dwa lata później, na mocy porozumienia pomiędzy Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej a władzami Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, słynny obraz ewakuowano do Polski.

Po ogłoszeniu postanowień konferencji w Jałcie, wielu Lwowiaków stanęło przed trudnym dylematem: pozostać na miejscu, czy opuścić rodzinne miasto. Prywatni kolekcjonerzy nie mogąc wywieźć wszystkich swych zbiorów do kraju, powierzali je Zakonowi, licząc na ich odzyskanie w przyszłości. Wobec beznadziejnej rzeczywistości ludzie coraz częściej popadali w rozpacz i depresję. W tych ciężkich dniach krzepił ich na duchu przez swe częste, a gorące kazania O. Feliks Kędzierski, co spotkało się nawet z krytyką ze strony innych duchownych, zarzucających mu przesadne budzenie wiary w nadprzyrodzoną ingerencję Boską. Kronikarz OO. Franciszkanów – Konwentualnych pisał: *Wszyscy bowiem kaznodzieje, zwłaszcza od OO. Bernardynów – słynny O. Fidelis, zachęcają do wielkiej ufności w pomoc Bożą za przyczyną N[ajświętszej] M[arii] P[anny] – i to jeszcze byłoby bardzo dobrze – gdyby nie to, że na poparcie swych słów wygłaszają dzień w dzień jakieś proroctwa, że już niedługo czekać, a nastąpi cudowna poprawa, że Bóg cud uczyni, gdy inaczej nie będzie można nas ocalić. Zaklinają by ze Lwowa nie wyjeżdżać i że oni – tzn. OO. Bernardyni – nigdy się ze Lwowa nie ruszą itd. itp. Aktualne to jest, ale czy roztropne. Wpływa na uczucia ludzi prostych, ale może zachwiać wiarą. Mimo bowiem tych kazań ludzie coraz większą falą opuszczają miasto, gdyż po prostu nie ma innego wyjścia.*²³

Swymi odważnymi kazaniem O. Feliks Kędzierski ściągnął na siebie uwagę NKWD. Zagrożony aresztowaniem opuścił Lwów 27 III 1946 roku.

W tym samym czasie na skutek interwencji sekretarza Komunistycznej Partii (bolszewików) Ukrainy Nikity Chruszczowa, miejscowe władze postanowiły przyspieszyć tempo ewakuacji Polaków. Odpowiedzialny z ramienia rządu USRR za jej przeprowadzenie I. Zacharyj, raportował 5 IV 1946 r. do władz w Kijowie:

*Z całkowitej liczby polskich mieszkańców na terytorium Zachodnich obwodów USRR niezarejestrowało się jeszcze na wyjazd do Polski 3177 rodzin lub 26383 ludzi, a z liczby zarejestrowanych jeszcze nie wyjechało do Polski 70876 rodzin lub 174 747 ludzi. Nie bacząc na dostateczną ilość podstawionych wagonów pozostający polscy mieszkańcy pod wszelkimi powodami odmawiają dotychczas wyjazdu do Polski i informują, że wyjadą później.*²⁴ Nadzieję na pozostanie wzmogło nieopatrzone opublikowanie w prasie sowieckiej mowy Winstona Churchilla z Fulton, w której dopatrywano się zaostżenia stosunków pomiędzy Wielką Brytanią a ZSRR. Rozniosła się pogłoska, że Lwów i Małopolska Wschodnia zostaną obsadzone przez Anglików²⁵.

Władze sowieckie wzmogły naciski, aby skłonić opornych do wyjazdu. Nastąpiła nowa fala aresztowań, połączoną z wywózką całych rodzin w głąb ZSRR i konfiskatą ich mienia. Aby zastraszyć, przebywających jeszcze we Lwowie Polaków, przeprowadzano kontrole w mieszkaniach, na ulicach i placach, połączone z odbieraniem paszportów, zwalniano z pracy, przyznawano Rosjanom przydziały na polskie mieszkania lub grożono ociągającym się przymusowym „wyjazdem” na wschód. Nakaz wysiedleńczy wręczono przedstawicielom ośmiu rzymskokatolickich zgromadzeń: Bernardynów, Franciszkanów – Konwentualnych, Jezuitów, Felicjanek, Dominikanów, Kapucynów, Franciszkanów – Reformatorów oraz Urszulanek. Cztery z nich miały opuścić Lwów 27 IV, pozostałe do 15 V.

Pierwszy termin wyjazdu nie został wyznaczony przypadkowo. Zbliżała się Wielkanoc, co zmniejszało obawy o ewentualne nastroje wiernych, zajętych przygotowaniami do świąt. Retoryka, jaką posłużył się sowiecki Minister do Spraw Wyznaniowych w rozmowie z przełożonym Bernardynów O. Eustachym Łosiem, była typowym dla państwa totalitarnego sposobem dialogu władzy ze społeczeństwem. Niemożność przesunięcia terminu wyjazdu tłumaczył *decyzją władz centralnych z Moskwy, wobec której on poradzić nic nie może.*²⁶

Trzeba przyznać, że lwowscy Bernardyni uczynili wszystko, aby uratować przynajmniej część posiadanych przez siebie skarbów dla narodowej kultury. Przewidując, że przyjdzie im opuścić gród nad Pełtwią, już wcześniej przez parafian i sympatyków przekazywali do kraju zbiory biblioteczne oraz archiwalne. Odpowiedzialny za przeprowadzenie ewakuacji O. Eustachy Łoś, wystarał się o przydział trzech wagonów

i dodatkowej lory, dzięki czemu zdołano wywieźć słynną „Golgotę”. Jego zdolności organizacyjne zostały dostrzeżone przez organy Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, które mianowały go swoim delegatem.

Bardzo wiele bezcennych rzeczy musiano jednak pozostawić na miejscu, w tym niemal całość wyposażenia kościoła, na które składało się siedemnaście ołtarzy, kilkadziesiąt obrazów (w tym portrety królów i dobrodziejów zakonu) i rzeźb, ponadto kilka tablic pamiątkowych²⁷. Bernardyni nie byli w stanie ewakuować m.in. wzorowanego na twórczości Piotra Pawła Rubensa obrazu „Ukrzyżowanie” autorstwa Franciszka Lekszycyckiego.

Władze Zakonu podjęły starania, aby we Lwowie mogła pozostać chociaż zmniejszona obsada klasztoru. Kierowały się przy tym wyłącznie duszpasterskimi względami, chcąc zapewnić duchową opiekę parafianom, którzy nie decydowali się na wyjazd do Polski. Niestety władze sowieckie udaremniły taką możliwość. Tak więc po prawie pięciu wiekach historia lwowskiego konwentu Bernardynów dobiegła końca.

W jego składzie zaszły w czasie drugiej wojny światowej następujące zmiany:

- **Zginęli w czasie działań wojennych:** O. Wiktor Biegus (14 IX 1939)
- **Wyjechali w latach 1939–1945:** O dr Henryk Ragan, O dr. Tymoteusz Tetera, O dr. Hipolit Legowicz, O dr Zygmunt Stepień, O. Alojzy Palus, O. Atanazy Piątkowski, O. Wilhelm Wrona, Br. Sebastian Kusy, Br. Archanioł Rogoń, Br. Waldemar Antoni Dębski, Br. Florian Mazurek, O. Herkulan Jarmułowicz, Br. Andrzej Nieleba, O. Roman Gustaw, O. Cyryl Momęła
- **Wyjechali przed ekspatriacją w 1946 r.:** O. Feliks Kędzierski
- **Zmarli śmiercią naturalną:** Br. Kazimierz Dankiewicz (23 IV 1945), Br. Teofil Krakowski (24 VI 1945)
- **Zostali zamordowani przez nacjonalistów ukraińskich:** Br. Franciszek Ksawery Gałek (27 VI 1941, Komarno), Br. Roch Sałek (Fraga, 19 II 1944), O. Stanisław Mucha (Sokal, 7 III 1945).
- **Wystąpili z zakonu:** Br. Grzegorz – tercjarz, kucharz

W efekcie tych zmian, w dniu wyjazdu ze Lwowa konwent liczył jedynie pięciu kapłanów i trzech braci. Byli to: Prowincjał **O. Bronisław Szepelak**, wikary **O. Eustachy Łoś**, ojcowie **Placyd Rusinek**, **Teofil Tymorkiewicz** i **Jukundyn Łaba**, bracia **Edward Glazowski**, **Kryspin Baszak** i **Daniel Strycharz**.

Spośród zakonników, którzy w czasie okupacji przebywali jakiś czas na terenie lwowskiego klasztoru, tragiczny los spotkał trzy osoby. Br. Franciszek Ksawery Gałek został zamordowany przez Ukraińców w Komarnie, zaraz po przejściu Wermachtu na wschód. Br. Roch Sałka

zginął podczas okrutnego napadu UPA na klasztor we Fradze. W tamtejszym kościele rozbito tabernakulum i rozsypano Najświętszy Sakrament na mensie ołtarzowej. Miejscowy proboszcz greckokatolicki zabrał z kościoła łaskami słynący obraz Matki Bożej do swej cerkwi, nie zainteresował się jednak zbeszczeszczonym Sanctissimum²⁸. Ostatni z wymienionych, O. Stanisław Mucha, pod koniec wojny znalazł się w wyniszczonym przez bandy ukraińskie i opustoszałym od ludności polskiej Sokalu. 5 III 1945 r. został zamordowany przez bandy UPA²⁹.

Podczas przygotowań do ewakuacji w sowieckich więzieniach przebywało dwóch kapłanów: gwardian (kustosz) O. Jeremiasz Bochenek i O. Martynian Darzycki. Ten pierwszy został aresztowany w styczniu 1945 r. na fali represji rozpętanej przez NKWD we Lwowie. Znalaziono przy nim większą ilość pieniędzy, które uległy konfiskacie³⁰. Przez półtora roku był przetrzymywany w więzieniu w Złoczowie i nie zdołał wyjechać. Gdy do Krakowa nadeszła z wiarygodnych ust wiadomość, że tam *umarł [...] i widziano jego grób obok kościoła parafialnego na cmentarzu [...] po wszystkich klasztorach i przez wszystkich Ojców odprawiono żałobne nabożeństwa. W parę miesięcy później, we wrześniu 1946 r. zjawił się O. Jeremiasz w klasztorze leżajskim jako ubogi podróżny, początkowo nierozpoznany przez nikogo przy furcie. Dopiero wezwany któryś z Ojców starszych do furty poznał go natychmiast. Jakże wielka, niewystłowniona radość zapanowała onego dnia wśród Ojców i Braci w całym konwencie, a później w całej zakonnej Prowincji.*³¹

Drugim, który w ostateczności pozostał na terenie ZSRR był O. Martynian Darzycki. W 1944 r. zgłosił się na ochotnika do pracy duszpasterskiej na terenie sowieckiej Ukrainy. Pracował na terenie Winnicy i w rejonie Żytomierza. 10 III 1945 r. został aresztowany i skazany na 8 lat pobytu w łagrze na Kołymie. W 1952 r., po odzyskaniu wolności nie wyjechał do Polski, lecz nadal kontynuował swą pracę na terenie dawnych diecezji: lwowskiej, łucko-żytomierskiej i kamienieckiej.

Przez krótki czas na terenie sowieckiej Ukrainy przebywał również O. Jukundyn Łaba, który *rwiał się z całym zapalem do pracy duszpasterskiej mimo słabego zdrowia. Ten zapal i gorliwość zawiodły go w marcu 1945 r[oku] aż do Odessy [...]. Gdyby nie rychłe tam na miejscu ostrzeżenie życzliwych rodaków, w czym należy upatrywać łaskawej opieki Bożej Opatrzności niewątpliwie O[jciec] Jukundyn Łaba byłby musiał podzielić los O[jca] Martyniana, którego wnet uwięziono [...].*³²

Pożegnanie Bernardynów z wiernymi i ze Lwowem było wstrząsające. Mimo, że nie ogłaszano terminu ostatniej mszy świętej oraz nieszpórów, tłumy ludzi szczerze wypełniły kościół oraz przyległe krużganki. Wielu ludzi płakało tak, że podłoga była mokra od łez³³. Nie mając złudzeń, że świątynia zostanie zamknięta, żegnano nie tylko

zakonników, lecz także ołtarze, święte obrazy czy też relikwie bł. Jana z Dukli, które Bernardyni zdecydowali się zabrać ze sobą do Polski. Nabożeństwo, które rozpoczęło się o godz. 16.00, skończyło się dopiero po czterech godzinach.

Wyjeżdżającym towarzyszyła ciężka świadomość, że obok wiernych zmuszeni są pozostawić także swoich współbraci, przebywających w sowieckich więzieniach. Tym należy tłumaczyć determinację jednego z zakonników – najprawdopodobniej O. Jukundyna, który dopiero pod „świętym posłuszeństwem” zastosował się do woli przełożonego i opuścił Lwów.

W tym trudnym czasie prawdziwie opatrnościowym mężem okazał się O. Eustachy Łoś. Mimo, że był narażony na wiele niebezpieczeństw i przykrości *pełen pogody i humoru, z uśmiechem na ustach i słowem życzliwym rozpraszał smutek i przygnębienie zalegające serca Braci zakonnej, dodawał każdemu otuchy, nastrajał wszystkich pogodnie, budził wiarę w miłosciwe rządy Boskiej Opatrzności. Tym zdobył serca wszystkich...*³⁴

Sam przewóz rzeczy na dworzec mimo, że odbywał się sprawnie, nie obył się bez przykrych niespodzianek. W drodze skradziono dwie skrzynie, w których znajdowały się paramenty liturgiczne oraz dwa sztandary. W dzień wyjazdu w bramie klasztoru stanęła sowiecka straż. Jednak żołnierze, mimo że ich obecność była krępująca, nie utrudniali pakowania i załadunku ostatnich rzeczy.

Ponieważ tym samym transportem ewakuacyjnym miał opuścić Lwów arcybiskup Eugeniusz Baziak, władze sowieckie zastosowały specjalne środki ostrożności. Osoby Metropolity, aż do granicy pilnowało na korytarzu dwóch specjalnie przydzielonych funkcjonariuszy. Aby uniknąć rozgłosu, pociąg odprawiono nie z dworca głównego, a z Lewandówki. Jednakże wielu lwowian dowiedziało się o tym i przybyło na pożegnanie. Z niewiadomych przyczyn kolumna ruszyła najpierw na wschód do Lesienic, gdzie nastąpił postój. Z sytuacji skorzystali ponownie wierni parafii św. Andrzeja Apostoła, którzy przygotowali dla ekspatriantów poranny posiłek.

Po przejechaniu granicy pociąg zatrzymał się na krótki postój w Przemyślu, a następnie w Rzeszowie. Ponieważ żywiono jeszcze nadzieję, że uda się powrócić do Lwowa, w tamtejszym klasztorze pozostawiono relikwie bł. Jana z Dukli i „Golgotę”. Sami Bernardyni dojechali do Krakowa, gdzie zamieszkali w macierzystym konwencie tego Zakonu na Stradomiu. Pod koniec lat czterdziestych przewieziono tam także słynne płótno i udostępniono wiernym. Szczątki błogosławionego trafiły ostatecznie do Dukli (miejsce jego urodzenia), gdzie w 1997 r. podczas kano-nizacji nawiedził je papież Jan Paweł II.

Warto powiedzieć jeszcze parę słów, co stało się z innymi uczestnikami transportu ekspatriacyjnego. Metropolita Eugeniusz Baziak osiadł w Lubaczowie, a od 1951 r. był koadiutorem abp. Adama Stefana Sapiehy. Po śmierci „księcia niezłomnego” został jego następcą na krakowskiej stolicy metropolitalnej. Lwowskie Seminarium Duchowne znalazło nową siedzibę w Kalwarii Zebrzydowskiej, gdzie w 1950 r. zostało rozwiązane. Franciszkanie-Konwentualni, podobnie jak Bernardyni, trafili do Krakowa, a Felicjanki znalazły schronienie w Przemyślu.

Jeszcze inny los spotkał Jezuitów, których przesiedlono do Krakowa, Warszawy i Gdańska. Na terenie ZSRR pozostał jedynie O. Ludwik Seweryn, który więziony w latach 1945–1955 w łagrze w Solikamsku, po zwolnieniu aż do swej śmierci w 1970 r. pracował jako proboszcz w Szczercu, Stryju i we Lwowie.

Po tej fali ekspatriacji we Lwowie przebywali jeszcze Dominikanie, Kapucyni, Franciszkanie-Reformaci oraz Urszulanki. Jednak i oni opuścili miasto następnym transportem w maju 1946 roku. Od tej pory legalną działalność duszpasterską prowadziło w mieście jedynie kilkunastu kapłanów, którzy wykazali się ogromną determinacją, unikając wymeldowania lub pozostali w ZSRR jako więźniowie polityczni³⁵. Pozostało tu też kilka sióstr Sacre Coeur³⁶, które w celu ukrycia swej działalności zdecydowały się na ściągnięcie habitów. Potajemnie uczyły religii, opiekowały się chorymi, dbały o bieliznę, paramenty liturgiczne i wystrój świątyń.

Sytuację lwowskich chrześcijan drastycznie pogorszyła w 1949 r. śmierć trzech kapłanów: ks. Stanisława Płoszyńskiego, ks. Jana Piwińskiego i ks. Zygmunta Truszkowskiego. W tym samym roku został zamknięty kościół pw. św. Marii Magdaleny, a dwa lata później Matki Bożej Śnieżnej. Sowiecki komunizm święcił triumf. Służba Boża była sprawowana już tylko w Katedrze Łacińskiej i kościele św. Antoniego i przejściowo w kościele św. Marii Magdaleny, który ponownie otwarto w latach 1955–1962.

Świątynia Bernardynów, po zamknięciu w 1946 r., stała pusta. Nie była wykorzystywana do żadnych celów świeckich. Dzięki temu jako jedna z nielicznych zachowała niemal w całości swój zabytkowy przedwojenny wystrój, co zdecydowanie wyróżnia ją dziś od tych, które zostały ograbione z wyposażenia i zdewastowane. Nie oznacza to, że zupełnie zrezygnowano z niszczenia i desakralizacji tego cennego zabytku. Kościół popadał w ruinę z powodu czynników atmosferycznych – wiele okien było rozbitych i zaciekał dach. W 1953 r., ze stojącej naprzeciwko niego kolumny usunięto posąg bł. Jana z Dukli³⁷. Ten dramatyczny moment tak zapamiętała Irena Zappe: *Zaciągnięto linę i ciągnikiem zwalono na ziemię kolumnę wraz z figurą, która się rozbiła. Gdy potem przyszedł ostry monit z Kijowa, że zniszczono dzieło sztuki, odbu-*

dowano samą kolumnę. Niestety już nie z jednego kawałka materiału, jak to było dawniej, a z sześciu, co zresztą wyraźnie widać.³⁸

Usunięto też, znajdującą się u stóp wspomnianego postumentu, tablicę informacyjną z napisem: *Miasto Lwów, za przyczyną bł. Jana z Dukli w r. 1648 cudownie uwolnione od oblężenia Bohdana Chmielnickiego i Tuhaya – beya, chana tatarskiego, pomnik ten wystawiło r. 1649, staraniem zaś OO. Bernardynów ze składek pobożnych odnowiony i ozdobiony został r. 1861.*³⁹ Na szczycie zrekonstruowanej kolumny postawiono dekoracyjny wazon. Z frontowej ściany dzwonnicy zniknęła tablica ku czci Romualda Traugutta.⁴⁰ Pojawiła się natomiast inna, upamiętniająca robotniczą manifestację w kwietniu 1936 roku.

Nieremontowane budynki klasztorne przez wiele lat niszczały. Jedynie w latach 1976–1977 gruntownej restauracji poddano zespół obronny, który częściowo zrekonstruowano.⁴¹ W dawnej siedzibie X Gimnazjum przy ul. Wałowej 18 umieszczono szkołę muzyczną, w pozostałej części klasztoru zdeponowano część zbiorów Ossolineum i innych bibliotek⁴², które funkcjonują dziś pod egidą Archiwum Historycznego.

Lwowscy Bernardyni nie doczekali się nigdy powrotu do swego klasztoru. Sześciu z nich zmarło na terenie krakowskiego konwentu. Byli to:

- 29 VI 1958 r. w wieku 69 lat – O. Tymoteusz Tetera
- 10 XII 1960 r. w wieku 73 lat – O. Bronisław Szepelak
- 13 IX 1972 r. w wieku 93 lat – O. Teofil Tymorkiewicz
- 7 XII 1983 r. w wieku 74 lat – O. Feliks Kędziński
- 11 IX 1989 r. w wieku 78 lat – Br. Kryspin Baszak
- 2 VII 1990 r. w wieku 74 lat – O. Roman Pitołaj

Wszyscy zostali pochowani w grobowcu zakonnym na cmentarzu Rakowickim.

Po ogłoszeniu przez Ukrainę niepodległości, OO. Bernardyni podjęli starania o zwrot świątyni. Zgodnie z polityką miejscowych władz, które wszelkimi sposobami uniemożliwiają Polakom zwrot zagrabionego im przez reżim sowiecki mienia, okazały się one bezskuteczne. Podobnie potraktowano roszczenia OO. Dominikanów, oraz starania wspólnot parafialnych przy kościołach św. Elżbiety i św. Marii Magdaleny.

Decyzją władz Lwowa bernardyński kościół pw. św. Andrzeja został oddany greckokatolickiemu zakonowi Bazylianów. W listopadzie 1991 r. został otwarty. Jego dawni właściciele korzystają jedynie z możliwości odprawienia mszy świętej w liturgiczne wspomnienie św. Jana z Dukli. Prastara świątynia, systematycznie odnawiana, znów urzeka swym niepowtarzalnym pięknem. W latach 1994–1997 w okna wstawiono nowe witraże, trwają prace, które mają przywrócić dawny blask polichromii. Wobec „tolerancji”, jaką Bazylianie żywią wobec „zachodnich” form sztuki sakralnej, zmiany w świątyni są niewielkie i nie mają

charakteru trwałego. Kościół zyskał też nowy wymiar religijny – odbiera w nim wielką część ocalała od zniszczenia figura Matki Bożej, którą w 1950 r. władze sowieckie usunęły z Placu Mickiewicza (dawniej Mariackiego). Odnaleziona na terenie bernardyńskiego klasztoru, nie powróciła już na dawne miejsce. Została zastąpiona kopią, którą uroczystie poświęcono w 1998 roku.

W 2011 r. we Lwowie zawiązał się komitet w celu przywrócenia rzeźby św. Jana z Dukli na przykościelnym postumencie. Jako wzór do jej rekonstrukcji ma posłużyć figura znajdująca się na cokole przed klasztorem bernardyńskim w Rzeszowie. Odtworzona postać świętego zostanie umieszczona na dawnym miejscu na uroczystości jubileuszowe 600 lecia przeniesienia stolicy arcybiskupiej z Halicza do Lwowa, które ma zaszczyścić swą obecnością papież Benedykt XVI.⁴³

PRZYPISY

¹ R. Marcinek, *Lwów – przewodnik*, Kraków 2006, s. 74.

² <http://www.lwow.com.pl/bernard.html>

³ *Klasztory Bernardyńskie w Polsce w jej granicach historycznych*, dzieło zbiorowe pod red. ks. H. E. Wyczawskiego OFM, Kalwaria Zebrzydowska 1985, s. 196.

⁴ Tamże, s. 197.

⁵ H. E. Wyczawski, *Bernardyni polscy*, t. 3, Kalwaria Zebrzydowska 1992, s. 383-384.

⁶ Tamże, s. 388.

⁷

⁸

⁹ O. W. B, *Bł. Jan z Dukli patron Polski, Rusi i Litwy*, Rzeszów 1931, s. 81-83.

¹⁰ O. W. B, dz. cyt., s. 77.

¹¹ Tamże, s. 48-53.

¹² <http://adonai.pl/wielkanoc/?id=152>

¹³ H.E. Wyczawski, dz. cyt., s. 405.

¹⁴ Tamże, s. 394.

¹⁵ Tamże, s. 420.

¹⁶ S.S. Nicieja, *Cmentarz Obrońców Lwowa*, Wrocław – Warszawa – Kraków, s. 273

¹⁷ *Słownik biograficzny duchowieństwa metropolii lwowskiej obrządku łacińskiego ofiar II wojny światowej 1939-1945*, red. J. Krętosz, M. Pawłowiczowa, Opole 2007, s. 183.

¹⁸ P. Należniak, *Zapomniane mogiły na Łyczakowie*, „Cracovia Leopoli” 2004, nr 4 (40), s. 7.

¹⁹ O. T. Tymorkiewicz, *Ostatnie dni pobytu OO. Bernardynów we Lwowie w kwietniu 1946 /Wspomnienia/*, [Archiwum OO. Bernardynów w Krakowie], s. 15-16.

²⁰ Tamże, s. 17.

²¹ Byli to: O. Joachim Szafraniec – przełożony parafii, O. Witalis Borsuk – wikariusz i Br. Roch Sałek. Z rąk UPA zginął także Euzebiusz Kamiński – kandydat do zakonu. Za: S. Siekierka, H. Komański, E. Róžański, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie stanisławowskim 1939 -1946*, Wrocław b. d. wyd., s. 393-394.

²² H. E. Wyczawski, dz. cyt., s. 421.

²³ *Kronika klasztoru Franciszkanów we Lwowie 1939-1946*, przygotowali do druku i opatrzyli przypisami Z. Gogola OFM Conv, J. Małocha, A. Oleksiak, Kraków 2008, s. 83.

²⁴ В. Сергійчук, *Депортація Поляків з України*, Київ 1999, s. 164-165.

²⁵ R. Gansiniec, *Notatki lwowskie (1944 – 1946)*, Wrocław 1946, s. 156.

²⁶ O. T. Tymorkiewicz, dz. cyt., s. 1.

- ²⁷ Dokładniejszy opis wyposażenia kościoła zob.: J. Wiczkowski, *Lwów – jego rozwój i stan kulturalny oraz przewodnik po mieście*, Lwów 1907, (reprint) Warszawa 1991, s. 601-603.
- ²⁸ H. E. Wyczawski, dz. cyt., s. 421.
- ²⁹ *Klasztory Bernardyńskie...*, dz. cyt., s. 351.
- ³⁰ R. Gansiniec, dz. cyt., s. 164.
- ³¹ O.T. Tymorkiewicz, dz. cyt., s. 15.
- ³² Tamże, s. 17.
- ³³ Relacja Ryszarda Wolaka z 19 VI 2009 roku.
- ³⁴ O. T. Tymorkiewicz, dz. cyt., s. 20.
- ³⁵ Byli to: ks. Ignacy Chwirut, ks. Karol Jastrzębski, ks. Rafał Kiernicki, ks. Hieronim Kwiatkowski, ks. Jan Piwiński, ks. Stanisław Płoszyński, Ks. Zygmunt Truszkowski, w okresie późniejszym ks. Zygmunt Hałuniewicz, ks. Ludwik Seweryn i ks. Kazimierz Mączyński, przez krótki okres czasu ks. Marcin Karaś, ks. Kazimierz Lendzion i ks. Jan Olszański, konspiracyjnie ks. Henryk Mosing i ks. Bronisław Baranowski. Więcej w: J. Krętosz, *Katedra obrządku łacińskiego we Lwowie i jej proboszcz O. Rafał Kiernicki OFM Conv. w latach 1948-1991*, Katowice 2003, s. 35-39; M. Skowrya, *Duszpasterz Lwowa i Złoczowa ks. Ludwik Roman Marko (1947-2007)*, Lwów 2008, s. 35.
- ³⁶ Były to min.: Maria Walchnowska i Marianna Bernacka.
- ³⁷ <http://www.dukla.bernardyni.pl/>
- ³⁸ *Relacja I. Zappe z 2 VII 2005 roku*.
- ³⁹ O.W.B, dz. cyt., s. 188-189.
- ⁴⁰ A. Medyński, *Lwów – ilustrowany przewodnik dla zwiedzających miasto*, Lwów 1937, (reprint) Warszawa 1990, s. 128.
- ⁴¹ В. С. Вуйцик Державни історико – архітектурни запосібник у Львоєі, Львів 1991, с. 22.
- ⁴² A. Strojny, *Lwów – miasto wschodu i zachodu*, Kraków 2001, s. 121.
- ⁴³ <http://www.dukla.bernardyni.pl/>

Tomasz Steinmetz

KOLONIZACJA NIEMIECKA W GALICJI W XVIII w.

Początki kolonizacji niemieckiej na ziemiach wschodniej Europy sięgają średniowiecza. Także w późniejszych epokach, zwłaszcza podczas reformacji i wojen z Portą Otomańską, osadnicy z Rzeszy Niemieckiej napływali do Siedmiogrodu, na Podole, Ziemię Chełmińską czy Śląsk.

Przedmiotem niniejszego artykułu jest wyłącznie stosunkowo krótki epizod planowej kolonizacji niemieckiej przeprowadzonej w latach 1772–1786 przez monarchów austriackich Marię Teresę i Józefa II na ziemiach przyłączonych do Austrii w wyniku pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej.

Tło historyczne i ustrojowe

Realizacji centralnie zorganizowanej kolonizacji sprzyjały uwarunkowania polityki wewnętrznej i zagranicznej monarchii Habsburgów. Od 1740 r., gdy dwudziestotrzyletnia Maria Teresa przejęła tron ojca Karola VI, w Austrii rozwijały się rządy w duchu oświeconego absolutyzmu. W wyniku doświadczeń wojny o sukcesję austriacką oraz wojny siedmioletniej zreformowano w kierunku centralizmu finanse państwa, przekształcono zarząd prowincjami oraz ograniczono kontrreformacyjną politykę kościelną. W 1780 r. odnowiona Zjednoczona Czesko-Austriacka Kancelaria Nadworna podzielona została na 13 departamentów resortowych i objęła zwierzchnictwo nad całą służbą cywilną krajów dziedzicznych. W miejsce 12 tradycyjnych zarządów krajowych powstało 6 guberniów spełniających wymogi wzrastającej centralizacji państwa. W sferze idei administracji dominację przejęły promowane przez wydział prawniczy Uniwersytetu Wiedeńskiego pojęcia władzy tkwiącej w ludzie i monarchii zaledwie sprawującej zarząd. Utożsamiano dobro kraju z dobrem poddanych, a za cel polityki przyjmowano prosperitę gospodarczą i dobrobyt jak największej liczby ludności. Postępowała

laicyzacja kształcenia i wraz ze wzrostem wpływów mieszczaństwa podnosiła się ranga kultury niemieckiej.

W takim to wolteriańskim duchu wychowywali się późniejsi doradcy Marii Teresy i Józefa II, współtwórcy planów kolonizacji niemieckiej. Potrzeba i szansa jej realizacji powstała dopiero w ósmym dziesięcioleciu XVIII w. w związku z przyłączeniem do korony nowego kraju dziedzicznego – Królestwa Galicji i Lodomerii.

Przed III rozbiorem obszar Królestwa mierzył 83 tys. km², z czego ziemie zagospodarowane rolniczo stanowiły 11,3%. Pierwszy spis austriacki z 1772 r. wykazał 280 miast, 5467 wsi i 700 wspólnot parafialnych.¹ W 1782 r. ludność prowincji oszacowano na 2 779 119. Zarejestrowano 517 382 rodzin chrześcijańskich, 36 362 rodziny żydowskie i 7609 osób stanu duchownego. Społeczny pejzaż Galicji tworzyło wówczas 29 911 osób stanu szlacheckiego, 17 135 urzędników, 105 414 mieszczan i rzemieślników oraz 94 888 chłopów². Powyższa statystyka pochodząca sprzed planowej kolonizacji ukazuje, wbrew przekonaniom władzy, prowincję dość gęsto zaludnioną, zajmującą czwarte miejsce w Cesarstwie.

W 1773 r., wprowadzono nowy podział administracyjny Królestwa Galicji i Lodomerii. Powstało 6 cyrkułów (*Kreise*) ze starostami na czele (*Kreishauptmann*) i 59 okręgów (*Kreisdistricten*) zarządzanych przez dyrektorów. W 1775 r. liczbę okręgów zmniejszono do dziewiętnastu. Z powodu braku wykształconych kadr urzędniczych system wkrótce uproszczono, kładąc nacisk na oszczędność.

Patent z 22 marca 1782 r. ustalił ostatecznie nowy, jednostopniowy podział na 18 cyrkułów podległych bezpośrednio Gubernium. Urząd cyrkularny objął odtąd starostę, komisarzy cyrkularnych, rządcę lub sekretarza, kasjera i niższy personel. W zakres jego kompetencji wpisano nadzór nad duchowieństwem i dominiami, publikację ustaw, policję porządkową i sanitarną, oświatę, rejestrację ruchu ludności, sprawy wojskowe jak rekrutacja i kwatremistrzostwo, opiekę nad gospodarką i czynności związane z egzekucją i repartycją podatków³.

W bezpośredniej gospodarce dobrami cyrkuły wspierać miały na wzór czesko-morawski dominia grupowane w sekcje (*Bezirke lub Hauptbezirke*). Dominium składało się z kilku kluczy wiejskich należących do jednego właściciela, który stanowił na tym terenie „zwierzchność gruntową” (*Grundobrigkeit*). Dominia posiadały kompetencje sądowe, przy wykonywaniu których administratora mógł wspierać justycjariusz, i policyjno-administracyjne, w ramach których działał mandatariusz⁴.

Znaczenie kluczowe z punktu widzenia kolonizacji niemieckiej należy przypisać zarządowi dóbr, których właścicielem stał się skarż

państwa. Wśród nich znalazły się były ekonomie królewskie i grunty stanowiące wyposażenie zniesionych polskich urzędów przejęte przez państwo austriackie jako tzw. dobra kameralne. Skonfiskowane majątki klasztorne wchodziły w skład grupy dóbr funduszowych. Nadzór nad obiema kategoriami powierzono Administracji Dóbr⁵ (*Staatsgüter-Administration*) we Lwowie, która działać miała według instrukcji z 3 kwietnia 1787 r. w podległości Nadwornej Izbie Skarbowej (*Hofkammer*) w Wiedniu. Terenowe organy lwowskiej instytucji w cyrkulach nosiły miano dyrekcji okręgowych (*Oeconomien-Direction*), podczas gdy na szczeblu dominium funkcjonowało kilkaset urzędów gospodarczych (*Wirtschaftsämter, Oberämter, Dominienämter*)⁶.

Historia kolonizacji

Część Małopolski, Podola, Wołynia i Rusi Czerwonej, czyli ziemie anektowane przez monarchię Habsburgów na mocy traktatu rozbiorowego z 5 sierpnia 1772 r., stać się miały polem do eksperymentów społecznych, prawnych i ustrojowych dla austriackich cesarzy. Takim właśnie przedsięwzięciem była kolonizacja niemiecka w miastach i na wsi galicyjskiej, rozpoczęta przez właścicieli ziemskich już w okresie przedrozbiorowym, a która swój pełny wymiar przyjęła za rządów Marii Teresy i Józefa II.

Kolonizacja przed 1772 r.

Pierwsze próby kolonizacyjne w Galicji realizował podpułkownik Rudolf Oettykier, zarządca naddniestrzańskich dóbr hr. Stanisława Poniatowskiego, ojca króla Polski. W 1750 r. wybudował on manufakturę sukienniczą wraz z osadą we wsi Zaleszczyki na granicy mołdawskiej. Robotników sprowadzał z Prus i Saksonii za pośrednictwem agentów. Przybywali głównie Niemcy protestanci w nadspodziewanie dużych grupach, wobec czego umieszczano ich także w dzierżawnej wsi Oettykiera–Lataczu. W związku ze sprzeciwem biskupa kamienieckiego Adama Krasińskiego wobec budowy zboru, w 1759 r. w pobliskiej wsi Filipcze po stronie mołdawskiej utworzono kolejną kolonię, gdzie gospodar Jan Teodor Kallimach zagwarantował protestantom z Polski swobodę przejścia i praktyk religijnych. Osady rozwijały się prężnie dzięki składkom gmin wyznaniowych w miastach Pomorza, Anglii i Holandii. Od 1766 r., kiedy gospodar cofnął pozwolenie na przekraczanie granicy, z Zaleszczyk i Latacza zaczęto emigrować do Rosji. Najazd Turków w 1769 r. i epidemia dżumy rok później wyludniły kolonie tak, że pozostało tam zaledwie kilka rodzin niemieckich⁷.

Inna przedjózefińska próba kolonizacji niemieckiej miała miejsce z inicjatywy lwowskiego kupca Jana Fryderyka Preschla w Busku. W 1769 r. założył on garbarnię, której starosta buski hr. Józef Mier przyznał sąsiednie nadbużańskie moczary. Zatrudniano tam przeważnie Niemców protestantów, których liczba w 1771 r. wyniosła 30. Ten statystycznie nieznaczny ośrodek odegrał swoją rolę w historii kolonizacji niemieckiej przez dwukrotną wizytę Józefa II w czasie jego podróży po Galicji w 1772 r. Za każdym razem Preschel wskazywał na ograniczenia w swobodzie religijnej pracowników, utwierdzając cesarza w zamiarze przeprowadzenia i oparcia ewentualnej kolonizacji na wolności wyznania⁸.

Kolonizacja za panowania Marii Teresy

Możliwości centralnej organizacji akcji kolonizacyjnej na nowo zdobytych terytoriach polskich poczęto roztrząsać na dworze Marii Teresy wkrótce po ich zajęciu. Propozycję patentu kolonizacyjnego przedstawił gubernator Galicji Johann Baptist Anton von Pergen, zalecając neutralność religijną przedsięwzięcia, dobór kolonistów o wysokiej kulturze i z krajów klimatycznie zbliżonych do Galicji oraz werbunek przez emisariuszy w Rzeszy Niemieckiej. Ostatecznie cesarzowa, obawiając się zrażenia szlachty polskiej sprowadzeniem protestantów i niepewna trwałości nabytku terytorialnego, wykluczyła wszelką kolonizację na wsi, przyznanie szerokich praw protestantom i subwencjonowanie procesu ze skarbu państwa.

Odpowiedni patent kolonizacyjny, uzgodniony z Gubernium Galicji i wydany drukiem 1 października 1774 r., ograniczył zasięg kolonizacji do zaledwie kilku miast.⁹ Zagraniczni kupcy i rzemieślnicy zaproszeni zostali do osiedlania się we wszystkich miastach Galicji, o ile byli wyznania rzymskokatolickiego, protestanci zaś do sześciu miast – Lwowa, Jarosławia, Zamościa, Zaleszczyk, Kazimierza i Brodów. Kolonistom zezwolono tam na swobodne praktyki religijne i budowę zborów. Wszystkich dotyczyło sześciolateczne zwolnienie z wszelkich ciężarów państwowych, opłat prawa miejskiego i majsterskiego.

Ocena rozmiarów kolonizacji terecjańskiej z lat 1772–1780 przysparzała badaczom kłopotów, gdyż wśród akt gubernialnych dokumenty jej dotyczące figurowały sporadycznie, co zmuszało do oparcia się na zapisach ksiąg metrykalnych i korespondencji osadników, Gubernium i Kancelarii Nadwornej. Wielu kupców zgłaszało chęć osiedlenia się w Białej i Wieliczce, skupiska tworzyły się też we wszystkich uprzywilejowanych miastach oraz Dukli. Wedle szacunków pastora Kesselringa¹⁰, wszystkie gminy ewangelickie Galicji nie mogły w 1780 r. liczyć więcej

niż 1000 osób. Dużą część pośród przybyszów stanowili też niemieccy urzędnicy i wojskowi, uczestniczący w budowie nowej administracji kraju.

Kolonizacja za panowania cesarza Józefa II

W znikomym stopniu przeprowadzoną kolonizację Galicji wznowił Józef II, jej wielki zwolennik i orędownik na dworze, już jako samodzielny władca. Zmienił się zupełnie charakter i intensywność imigracji niemieckiej, skierowanej tym razem na tereny wiejskie i w szczytowych okresach sięgającej tysiąca osób miesięcznie¹¹. Nie oznaczało to bynajmniej, że przerwano kolonizację w miastach, statystycznie jednak została ona zepchnięta na margines.

Za podstawę kolonizacji józefińskiej służył patent z 17 września 1781 r.¹², w dużym stopniu wzorowany na wcześniejszym patencie Marii Teresy, eliminujący jednak dotychczasowe ograniczenia religijne. Wśród celów patentu wymieniono wsparcie regionalnej gospodarki przez podnoszenie poziomu handlu, przemysłu i rolnictwa, ożywienie obiegu pieniądza i wzrost wydajności pracy. Zniesione zostały zakazy osadnictwa dla protestantów oraz wyznaczono Białą i Podgórze na dodatkowe miejscowości, gdzie mogli oni budować zbory i utrzymywać pastorów i nauczycieli.

Patent tolerancyjny z 10 listopada 1781 r.¹³ umożliwił już nieskrępowany dopływ protestantów. Nade wszystko zezwolono im na nieograniczone nabywanie ziemi na własność, także wykup prawa miejskiego i majsterskiego. Grupom przynajmniej stu rodzin przyznano prawo utrzymywania zborów i szkół, a galicyjskim pastoratom nadano prawa urzędów duszpasterskich i prawo poboru opłat iura stolae. Wszyscy niekatolicy uzyskali też dostęp do stanowisk naukowych i urzędowych.

Takie uregulowanie warunków kolonizacji zwiększyło grupę docelową potencjalnych przybyszów, wzmogło zainteresowanie akcją w krajach niemieckich i już w pierwszych tygodniach po wydaniu aktów przyniosło efekty w postaci pierwszych zgłoszeń kolonizatorów w dobrach prywatnych. W styczniu 1782 r. morganatyczna małżonka księcia saskiego Karola Franciszka Krasieńska zamierzała osiedlić w swoich galicyjskich dobrach braci morawskich (tzw. herrnhuci). Dwa miesiące później śmiało plany kolonizacyjne przedstawił cesarzowi urzędnik z Oranii–Nassau. W regularnym wymiarze kolonizacja miała jednak ruszyć dopiero na wiosnę 1782 r.

Brak doprecyzowanego planu kolonizacji, a tym bardziej przygotowań technicznych, tak ze strony Zjednoczonej Kancelarii, jak i Gubernium Galicji, dał się we znaki od samych początków przedsięwzięcia.

Stroną najbardziej poszkodowaną stali się koloniści, zmuszeni przez długi okres do korzystania z tymczasowych kwater i utrzymania dostarczanego przez rząd.

Pośpiech i niedostateczną kontrolę nad organizacją kolonizacji ukazuje już fakt, że inicjatywa osiedlenia większych grup Niemców na dobrach kameralnych nie wypłynęła od naczelnych władz Administracji Dóbr (Staatsgüter-Administration) we Lwowie, a przedstawił ją urzędnik Jan Hladky, dyrektor dóbr sandomierskich¹⁴. Wiosną 1782 r. wysłał on za wynagrodzeniem 54 złotych reńskich swojego agenta, Jana Lema, do Frankfurtu nad Menem z zadaniem zwerbowania 300 rodzin. Zaopatrzone w ulotki zachwalające żyzność nowego kraju i wyliczające ulgi dla kolonistów Lem w szybkim tempie zdołał sprowadzić do Sandomierza oczekiwaną liczbę osób, tak że we wrześniu 1782 r. poczęto odsyłać rodziny celem osiedlenia do dóbr dobromilskich. W maju z prośbą o umożliwienie powrotu do Galicji zwrócili się protestancy emigranci na Śląsk (okolice Pszczyny) z czasów konfederacji barskiej. Także im umożliwiono osiedlenie w dobrach sandomierskich. Wiosną 1783 r. wokół Sandomierza przebywały już 432 rodziny niemieckie z 1663 osobami. Dla porównania, sumaryczne rezultaty kolonizacji w dobrach kameralnych niepołomickich, drohobyckich, dobromilskich, jaworowskich i kałuskich (na styczeń 1783 r.) wskazywały tylko 409 rodzin z 1616 osobami¹⁵. Skuteczne zastosowanie systemu werbunkowego skłoniło rząd austriacki do podniesienia poziomu migracji przez ustanowienie własnych agentów. Wykorzystano w tym celu rezydentów rządowych w Rzeszy. Działający we Frankfurcie nad Menem Franz Röthlein otrzymał zlecenie werbunku w czerwcu 1782 r. i do końca roku wyprawił w drogę 145 rodzin.

Zachęceni tolerancją religijną koloniści przybywali na tyle licznie, że administracja terenowa nie nadążała z lokalizacją osad i wznoszeniem budynków. Na zimę 1782 r. zgodnie z poleceniem Zjednoczonej Kancelarii Nadwornej, wyznaczono im tymczasowe miejsca zamieszkania. W związku z rywalizacją kolonizacyjną z Prusami utrzymano zakaz opuszczania Galicji; wielu spośród przybyłych z góry informowano o konieczności spędzenia zimy na prowizorycznych kwaterach. Wiosną 1783 r. ustanowiono kolejnych komisarzy werbunkowych: radcę dworu Franza Blanka wraz z pomocnikiem Bökhem w Rottenburgu nad Neckarem i rezydenta dyplomatycznego w Westfalii hr. Franza Georga Metternicha (ojca sławnego kanclerza). Do ich zadań należała dystrybucja wydanego drukiem patentu, upowszechnianie informacji o kolonizacji oraz ekspedycja osadników do Wiednia – wydanie paszportu. Droga tak przygotowanego kolonisty biegła najczęściej do Ulm lub Günzburga, gdzie wsiadał on na okręty płynące z biegiem Dunaju do

Wiednia. Najbardziej uczęszczany szlak pieszy wiódł natomiast przez Würzburg i Norymbergę. W stolicy kolonistów przyjmował Joseph Anton Weltz, agent powołany do spraw kolonizacji i poddańczych (rynek, Klein Weintrauben nr 310). Koloniści podlegali obowiązkowej rejestracji, otrzymywali też zapomogi na podróż i nowe paszporty. W dokumentach zapisywano miejsce docelowe, dokładną marszrutę, ilość migrujących osób oraz imiona i nazwiska członków rodziny i służby. Przyznawanie zasiłków okazało się nieodzowne, gdyż wobec braku w werbunku ograniczeń majątkowych, gros zgłaszających się stanowili ludzie najbiedniejsi, których należało wyżywić i utrzymać. Udzielano wsparcia w wysokości 2 groszy za milę przebytej drogi. Kolonistów z Rzeszy kierowano do Galicji przez Bielsko i Białą, z Prus – wprost na Zamość¹⁶.

Przyjmowania kolonistów w Wiedniu nie zaprzestano nawet, gdy z Gubernium Galicji zaczęły spływać raporty o trudnościach z ich ulokowaniem. Akcję werbunkową kontynuowano mimo ewidentnych braków koordynacji przygotowań na poziomie lokalnym, w Galicji, i działających centrali, w Wiedniu i Rzeszy. Podstawową bolączką systemu stało się wysyłanie zawiadomień i wykazów z Wiednia do Lwowa wraz z samymi kolonistami. Kancelaria Nadworna, ignorując nieporządek organizacyjny w terenie i nawet tymczasowy nakaz wstrzymania napływu z 8 lipca 1782 r., dalej słała kolonistów, a wysiłki swe koncentrowała na zapobieganiu wyhamowania przyszłego dopływu emigracji niemieckiej i utraty pozycji w rywalizacji kolonizacyjnej z Prusami. Dla załagodzenia sytuacji uprawnień kolonisty pozbawiono migrujących poddanych austriackich, a dodatkową opieką otoczono wszystkich posiadających majątek i przemieszczających się na własny koszt. Mogli oni przekazać swe pieniądze za pokwitowaniem komisarzowi kolonizacyjnemu, który wysyłał je przez komisariaty wojenne do Galicji. Następnie bez potrącenia kosztów środki mogły zostać podjęte w Galicji za okazaniem pokwitowania. Latem 1782 r. podzielono kolonistów na trzy grupy w zależności od wielkości przewożonego przez nich majątku. Do pierwszej grupy, kolonistów uprzywilejowanych, należeli posiadacze majątku w gotówce powyżej 200 złr. Na ich paszportach umieszczano klauzulę „*Zur begünstigten Kameral-Ansiedlung*”, z czym wiązała się szybsza lokacja, przyznanie większych połaci gruntu, większych zabudowań i dodatkowego bydła. Uboższymi kolonistom, nieuprzywilejowanym, w udziale przypadało mniej inwentarza i gospodarstwa o powierzchni nie większej niż 30 korców. W trzeciej grupie znaleźli się nieposiadający żadnego majątku, lecz podróżujący z rządowym paszportem, który opatrywano klauzulą „*Auf eigene Gefahr*” („na własne ryzyko”). Nie otrzymywali oni żadnych ulg osadniczych, urzędy cyrku-

larne i kameralne zobowiązane zaś były jedynie polecać ich do kolonizacji na dobrach prywatnych, ewentualnie wyszukiwać grunta, gdzie koloniści mogliby zastąpić zubożałą i usuniętą ludność tubylczą. Wreszcie osoby przybywające bez paszportu, zazwyczaj zwabione czarem ziemi nieznaney wbrew przestrogom komisarzy werbunkowych, traktowano jako dziennych zarobników i umożliwiano im zmiany miejsca pobytu w zależności od dostępności pracy¹⁷.

Innym niedopatrzeniem w organizacji kolonizacji był brak szacunków pojemności dóbr, uprzednich przeliczeń powierzchni gruntów na ilość mogących się pomieścić na nich kolonistów. Gdy w porze wiosennej i letniej imigracja przybierała na sile, urzędy były zmuszone kwaterować nowo przybyłych osadników u wcześniej już ulokowanych, bądź – zgodnie z sugestiami cesarza – kierować ich dalej na Węgry i Bukowinę. Do ogólnego zamieszania przyczyniała się także samowola komisarzy osadniczych w Rzeszy, którzy często w zamiarze przypodobania się cesarzowi werbowali ponad miarę.

W roku 1783, w konsekwencji osobistej podróży cesarza Józefa II po Galicji, wprowadzono usprawnienia do systemu kolonizacji. W Wiedniu powstał odrębny urząd do spraw kolonizacyjnych (*K. k. Ansiedlungshofkomissär*), który powierzono Johannowi Glantschniggowi. Dotychczasowemu komisarzowi Josephowi Weltzowi przeznaczono jedynie referat zasiłkowy u boku Glantschnigga, który z kolei zajmował się wydawaniem paszportów. Do obszarów kolonizowanych dołączyły pozostałe nieniemieckie terytoria monarchii, a także dobra poklasztorne. Napominano komisarzy werbunkowych o konieczności zgłaszania ludzi możliwie szybciej, ci zaś z większą pokorą dostosowali się do zaleceń Kancelarii Nadwornej. Zwiększono też nacisk na systematyczną ewidencję kolonizacji, która do tej pory przebiegała nazbyt spontanicznie. Urzędy gospodarcze zobowiązano do regularnego przedstawiania sprawozdań z działań kolonizacyjnych Gubernium Galicji, to z kolei sporządzać miały kwartalne raporty dla Wiednia. Gromadzone dane zawierać miały ilość wznoszonych budynków, wykazy utrzymywanych osób, listę wydatków według odgórnie przygotowanych rubryk (domy i stodoły – przysposobienie gruntów – zakup inwentarza – utrzymanie osadników)¹⁸. W efekcie nacisków stolicy, a nawet osobistego zainteresowania cesarza, Gubernium starało się dopilnować odbioru danych z urzędów oraz zorganizowało w 1784 r. serię inspekcji we wszystkich koloniach. Inspektorom powierzono kontrolę postępu robót budowlanych, kwaterunku i zakupu inwentarza. Spisywać mieli oni wszelkie osobiste spostrzeżenia i przygotować ocenę dalszych możliwości kolonizacji dóbr.

Próby rozwiązania kluczowej kwestii uzgodnienia ilości kolonistów z przygotowaniem dla nich osad przeważnie jednak zawodziły tak, że

tymczasowe ich utrzymanie nieustannie przysparzało skarbowi państwa kosztów. Jesienią 1784 r. Kancelaria Nadworna poczuła się zmuszona do wydania ponownego nakazu wstrzymania napływu nowych osadników, którego w praktyce nie wykonano. W marcu 1785 r. na kwaterach rozmieszczone były 604 rodziny z 2359 osobami. Rok później stan ten nie uległ większej zmianie, a jeszcze w 1790 r. we Lwowie utrzymywano 54 rodziny. Niejednokrotnie urzędy szukały pomocy u właścicieli prywatnych poprzez okólniki i kurendy zachęcające do przyjmowania osadników niemieckich. W ustandaryzowanej formie krążyły one, za osobistym potwierdzeniem zapoznania się z treścią, po wszystkich dominiach podległych urzędowi cyrkularnym.

Mimo wszelkich podjętych środków lato 1785 r. przyniosło ponowne nasilenie problemu i 4 sierpnia do Gubernium dotarło ostateczne polecenie zatrzymania przyjmowania kolonistów na rok. Przyjęci mogli zostać jedynie ci, którzy w tym czasie znajdowali się w drodze do lub z Wiednia, bądź zostali zwerbowani przed poinformowaniem agentów w Rzeszy o zawieszeniu werbunku. Pozostali podlegali przekierowaniu na Węgry lub do prac budowlano-porządkowych we Lwowie. Podjęta na rok decyzja o wstrzymaniu kolonizacji stała się w praktyce ostateczna i od 1786 r. pozwolenia na migrację do Galicji otrzymywali tylko członkowie rodzin już osiedlonych i osoby wyruszające na własne ryzyko. Gwarantowano im jedynie pomoc przy poszukiwaniu pracy. Ociążona w ten sposób administracja skupiła swój wysiłek na ulokowaniu kolonistów dotychczas przybyłych i regulacji majątkowych stosunków kolonistów. Dopiero wówczas zajęto się też uporządkowaniem akt, co doprowadziło do powstania podstawowego źródła badań nad kolonizacją, zbioru archiwaliów Gubernium pod nazwą „*Hauptnormale über das Ansiedlungswesen*” z 1787 r.¹⁹

Kolonizacja rzemieślnicza

Wbrew pierwotnym intencjom Marii Teresy i Józefa II, rzemieślnicza kolonizacja niemiecka w Galicji stała się zaledwie marginesem całego dzieła kolonizacyjnego.

Inaczej niż w przypadku kolonistów rolnych, opieka nad rzemieślnikami powierzona została urzędowi cyrkularnym, które zadaniem tym podzieliły się z Administracją Dóbr. W cyrkulach ustalano szczegółowe warunki osiedlenia i tymczasowego kwaterunku, po czym ich wykonanie powierzano urzędowi gospodarczym (katedralnym). Przybyszów lokowano wedle zapotrzebowania miast na przedstawicieli danego rzemiosła, choć z początku i koloniom wiejskim przypisywano profesje zupełnie niepotrzebne. Od 1783 r., kiedy zorientowano się, że w warun-

kach wiejskich wyuczony zawód rzadko pozostaje stałym źródłem utrzymania, w koloniach kameralnych pozwolono osiadać tylko kowalom, szewcom, stolarzom i krawcom, a dotychczas osiedlonych na wsi zaczęto przenosić do miast. Kto pozostawał kolonistą rolnym, a do paszportu podawał znajomość rzemiosła, kwalifikowany był jako „półprofesjonista”. Jego dodatkowe źródło dochodu zapewniało lepsze utrzymanie rodziny, dlatego otrzymywał on zazwyczaj mniejsze posiadłości.

Lokalne zapotrzebowanie na rzemieślników ustalały same urzędy cyrkularne, które zebrane dane przesyłały do lwowskiego Gubernium. I tak dla przykładu w cyrkule samborskim potrzeby oceniono na 13 osób, przemyskim – 2, tarnopolskim – 53, w brzeżańskim – aż 133, natomiast cyrkule bocheński, dukielski i krośnieński odpowiadały odmownie.²⁰

Ogólną liczbę wybierających się do Galicji rzemieślników niemieckich szacuje się na podstawie wykazów z akt wiedeńskich²¹ na ponad 500 rodzin. W około 80% przypadków nie zapisano danych o zawodzie, pewnym jest zaś, że duża część z nich już w Galicji zasiliła szeregi kolonistów rolnych. Natomiast z nielicznych odpowiednich akt gubernialnych odczytać można niewielkie rozmiary faktycznej miejskiej kolonizacji rzemieślniczej. Głównie w miastach wschodniej Galicji osadzono po kilka – kilkanaście rodzin, w dużym rozproszeniu terytorialnym. W gubernialnych wykazach kolonizacji miejskiej, gdzie notowano zawód, figuruje łącznie 218 rodzin w 28 miastach, w tym 20 rodzin o polskich nazwiskach. Rozmiary skupisk rzemieślniczych wahały się od 1 do 28 rodzin. Największe z nich znalazły się w Samborze, Lwowie i Podgórzu. Wśród osiedlonych znaleźli się przedstawiciele 40 zawodów pracujący w 5 sektorach: włókienniczo-odzieżowym, skórzano-futrzanym, metalowym, spożywczym i chemicznym.

Szczególnie udanym przedsięwzięciem kolonizacji rzemieślniczej było założenie Podgórza w zachodniej Galicji. W patencie z 1781 r. zagwarantowano temu skąpo zabudowanemu miastu w obwodzie wielickim wolność protestanckich praktyk religijnych. Wiedeńska komisja kolonizacyjna pragnęła przejąć w ten sposób strumień protestantów z okolic Białej, którzy ulegali kolonizacyjnej agitacji pruskiego rywala i emigrowali z powodów religijnych na Śląsk. Obok zestawu wolności patentowych, przyznano w Podgórzu trzydziestoletnie zwolnienie z czynszu z zabudowań, dając prawa kolonistów także ludności z Galicji (jednak bez państwowych dotacji). Tym sposobem do 1790 r. miasto powiększyło się o 51 rodzin osadników, w tym Polaków.²²

Kolonizacja w dobrach prywatnych

Niezachowanie równowagi między dostępnymi w galicyjskich dobrach kameralnych miejscami a kierowanym z Wiednia napływem

osadników niemieckich zmusiło Kancelarię Nadworną w pierwszych dwóch latach od wydania józefińskiego patentu kolonizacyjnego do poszukiwania ad hoc rozwiązania problemu kwaterunkowego. Projekt, który szybko zyskał uznanie komisji kolonizacyjnej i samego cesarza, polegał na włączeniu do całego procesu galicyjskiej szlachty tak, aby przyjęła ona do swych dóbr nadmiar kolonistów. Spodziewano się dużego zainteresowania ze strony ziemian, bazując przede wszystkim na danych o nasilonej ucieczce chłopów z dominiów i powstających w efekcie pustkach. W dniu 14 marca 1783 r. wydany został patent o kolonizacji w dobrach prywatnych, zachęcający do osadzania rolników niemieckich.²³

Mimo intensywnej agitacji urzędów cyrkularnych, wiosną 1783 r. z takimi propozycjami wystąpiła zaledwie garstka właścicieli. Często, mylnie interpretując patent, rugowano chłopów miejscowych, by zastąpić ich znanymi z wyższej kultury rolnej osadnikami. Kres takiej praktyce położyło wyraźne zarządzenie Gubernium, by kierować kolonistów jedynie na grunta opuszczone lub zagospodarowywać nowe. Nawet po ogłoszeniu w czerwcu 1783 r. rządowej dotacji 50 złr. za każdą rodzinę rzemieślniczą lub chłopską, zarejestrowano znikomą liczbę inicjatyw kolonizacyjnych. Pogarszające się położenie galicyjskiej administracji, obciążonej nadmierną ilością osadników, skłoniło Wiedeń do podwyższenia wynagrodzenia do 250–300 złr.²⁴

Kolonizacja prywatna przebiegała na podstawie kontraktów zawieranych między właścicielem dóbr a urzędem cyrkularnym. Z momentem jego podpisania na właściciela przechodził cały obowiązek utrzymania kolonistów. Często zastrzegano ratałną wypłatę subsydiów państwowych, zależną od postępów osiedlania. Modelową umowę zawarła 1 lutego 1785 r. wojewodzina Justyna Rogalińska z cyrkułem w Brzeżanach. Zobowiązała się przyjąć do swych dóbr 60 rodzin, w tym 10 rzemieślniczych, z zastrzeżeniem ich wyznania rzymskokatolickiego, za zapłatą 300 złr. za rodzinę. W statystycznie liczącej się skali kolonizację niemiecką prowadził też w latach 1784–85 hrabia Andrzej Zamoyski. Przyjmując dopłaty w wysokości 250 złr. za kolonistę, osiedlił aż 90 rodzin, w tym 10 rzemieślniczych. Dzieło kolonizacyjne Zamoyskiego odbiło się echem na dworze wiedeńskim, skłaniając cesarza w grudniu 1784 r. do uznania go za „czyn patriotyczny” i ogłoszenia w specjalnym cyrkularzu z nadzieją ośmielenia pozostałych magnatów galicyjskich do podobnych przedsięwzięć.²⁵ W aktach Gubernium ślad pozostawił także Bolesta Koziembrodzki, którego kontrakt kolonizacyjny opiewał na 50 rodzin chłopskich i 10 rzemieślniczych. Wyraził on w nim zamiar założenia upraw tytoniu, drzew owocowych i budowy pasiek.

Część właścicieli decydowała się przyjąć pewną ilość rodzin niemieckich, nie tworząc jednak osobnych wsi. W cyrkule zamojskim postąpił

tak Ludwik Bielski, dziedzic Miączyna, który osadził 16 rodzin na warunkach podobnych jak ordynat zamojski. W Śniatyczach 25 rodzin za wynagrodzeniem 300 złr. *per capita* przyjął Piotr Lubowiecki. W 1785 r. zaangażowała się również hrabina Teresa Potocka – w Bedrykowcach (w pobliżu Zaleszczyk) ulokowała 7 rodzin rolniczych. Osobno zakwalifikować należy kontrakt zawarty w 1788 r. między hrabią Ignacym Cetnerem a państwem austriackim. W ramach zakupu całego klucza wiejskiego Mościska w tychże dobrach kameralnych zobowiązał się on osadzić w miejscowości Sarny 20 niemieckich rodzin rolniczych. Powstała w ten sposób osadę Rehberg, znaną też jako Osada Niemiecka, gdzie *de facto* zamieszkało 21 rodzin, odkupił później Jan Łucki²⁶.

Opisane przypadki niemieckiej kolonizacji w dobrach prywatnych wiązały się z lepszymi warunkami uposażenia kolonistów niż w dobrach kameralnych. Mimo iż ich wykonanie wymagało czasem interwencji cyrkulów, właściciele we własnym interesie starali się o dobrobyt osadników. Najczęściej podejmowana przez nich kolonizacja motywowana była ekonomicznie i miała określony szczegółowy cel, jak rozbudowa jakiejś gałęzi gospodarki czy wprowadzenie nowych upraw. W całościowym ujęciu do kolonizacji w dobrach prywatnych przyjęto zaledwie 8.8% wszystkich osadników kolonizacji józefińskiej, co dobrze pokazuje pomocniczą rolę tych rozproszonych przedsięwzięć.

Warunki uposażenia i powinności kolonistów józefińskich

Z józefińskiego patentu kolonizacyjnego z 1781 r. wynika, że podstawowym zamiarem cesarza było sprowadzenie do Galicji jak największej liczby rzemieślników; ich też dotyczyła pierwsza część aktu. W dalszej kolejności gwarantowano uposażenie rolnikom, którzy w konfrontacji z rzeczywistością stać się mieli niekwestionowanym trzonem kolonizacji niemieckiej. Warto zatem przyjrzeć się warunkom, jakie oferował patent obu grupom.

Wszystkie przywileje dla kolonistów rolnych określone przez patent zaliczyć możemy do trzech grup: dostarczenie zabudowań i inwentarza, zwolnienia od zobowiązań publicznych oraz wolność praktyk religijnych.

Uposażenie kolonisty rolnego regulował przede wszystkim punkt dziesiąty patentu. Zaliczono tu „przyzwoitą chłopską chałupę i stajnię wraz z naczyniem do roli potrzebnym” i „grunt chłopski dziedzictwem wydzielony”. Od 1782 r. do należnych zabudowań dołączono stodołę. Nakazano też oddawać osadnikom grunt obsiany, z preferencją upraw mniej powszechnych: buraków czerwonych, ziemniaków, koniczyny. Rolników obejmowała dziesięcioletnia wolność od czynszów i podatków, chociaż, jak później tłumaczyła kancelaria wiedeńska, właściciele grun-

tów uprawnnych zobowiązani byli do płacenia czynszu już po upływie jednego roku. Zagwarantowana została sześćioletnia wolność od pańszczyzny, po którym to czasie wymiar wszelkich „dni pomocnych” nie mógł przekraczać ustalonego prawem w proporcji do powierzchni posiadanego gruntu. Wszyscy poddani na dobrach kameralnych otrzymywali też możliwość wykupu pańszczyzny w pieniądzu lub ziarnie²⁷.

Szczegółowe warunki uposażenia na roli uregulowano poza patentem, dekretami wydawanymi w miarę postępu kolonizacji. W zależności od jakości parcelowanej ziemi i majątku, jaki przywoził ze sobą kolonista, przydzielano działki o powierzchni obsiewanej 17–45 korcami ziarna. Uprzywilejowani otrzymywali 40 korców (zwane posiadłością pełną), jeśli wykazali się majątkiem przynajmniej 500 złr., a 30 korców, gdy posiadali najmniej 200 złr. Budowę zagrody mieli jednak finansować samodzielnie, choć urzędy kameralne udostępniać mogły budulec pod warunkiem ratalnej spłaty w ciągu 6 lat. Pozostałym kolonistom w udziale przypadają gospodarstwa o rozmiarze 20 korców, zwane połową posiadłości. W wyniku różnych uwarunkowań lokalnych zdarzały się zarówno nadania mniejsze, jak i większe we wszystkich powyższych kategoriach²⁸.

Przepisy określały także rodzaje przyznawanych sprzętów gospodarczych. Posiadłościom połówkowym wydawano motykę, oselkę, obcęgi, kosy do owsa i trawy, cztery sierpy, dwie pary wideł, haki, wóz, pług, bronę i parę uprzęży. Posiadłość pełna otrzymywała dodatkowo motykę, dwie kosy, cztery sierpy, widły i haki. W końcowych fazach kolonizacji, od sierpnia 1785 r., rodziny zaopatrywane były także w kołowrotek z wrzecionami i motowidło. Wszystkie elementy uposażenia o charakterze zwrrotnym, jak sprzęty domowe, koszty utrzymania na kwaterach czy surowce dla kolonistów uprzywilejowanych, podlegały odroczonej zazwyczaj o trzy lata spłacie w ratach w ciągu lat dziesięciu. Kolonistom zakładano w tym celu, zaraz po rejestracji w urzędzie kameralnym, książeczki ewidencyjne, tzw. *Handbücheln*, gdzie zapisywano wszystkie zwrotne dotacje.

Obok dotacji indywidualnych, całej gminie-kolonii nadawano grunt na pastwiska i dostarczano, zwłaszcza tym większym, sprzęty przeciwpożarowe²⁹. W szczegółowych rozporządzeniach zawarto również regulację na temat przyznawania inwentarza żywego. Wprowadzona została ona w związku z naciskiem Józefa II, który dużą wagę przywiązywał do hodowli w celach zaopatrzeniowych dla wojska. Zwierzęta dla kolonistów kupowano na jarmarkach za pośrednictwem urzędnika kameralnego, przy udziale zainteresowanych przedstawicieli wsi, wybierając sztuki młode i zdrowe (konie do lat sześciu, bydło do lat czterech). I tu zastosowano rozróżnienie wedle uprzywilejowania kolonisty. Osadzenia

na całym gospodarstwie otrzymywali dwie pary koni lub wołów, parę krów i świnie, podczas gdy „połownikom” przypadała jedynie jedna para zwierząt pociagowych. Cała gmina zająć miała się utrzymaniem sztuk rozplodowych, w liczbie po 1–2 ogiery i buhaje na kolonię. Sporządzona na podstawie gubernialnych wykazów statystyka pokazuje, że do 1786 r. dla kolonistów zakupiono 2985 koni, 2440 wołów, 5085 krów i 2546 świń³⁰.

Uposażenie rzemieślników, zwanych „profesjonistami”, unormowano w punkcie dziewiątym patentu. Na potrzeby budowy domostwa przysługiwało im bezpłatnie drzewo z lasów kameralnych, cegły i wapno za odroczoną na sześć lat spłatą oraz pomoc robocza i przy transporcie materiałów. W miastach domy rzemieślników odkupywano pod przymusem od Żydów. Procedurę oszacowania, zawarcia kontraktu, zapłaty i przekazania domu przeprowadzał urząd cyrkularny. Kolonistom zapewniano również grunt, w założeniu przeznaczony na ogród, o powierzchni 1600 sążni kwadratowych wiedeńskich³¹, zwolniony z czynszu na sześć lat. Osiadającym na wsi, tzw. „półprofesjonistom”, nadawano 10, rzadko 20 korców ziemi uprawnej. Na zakup narzędzi i materiałów wypłacano ze skarbu 50 złr., przy zastrzeżeniu kontroli wydatkowania tej sumy. Zwolnienie z wszelkich podatków i danin publicznych, w tym czynszów, obejmowało okres dziesięciu lat i było zasadniczo przestrzegane. Kolonistów rzemieślniczych wraz z najstarszymi synami wyjęto spod obowiązku służby wojskowej. Należy podkreślić, że była to w świetle przepisów najważniejsza różnica w przywilejach profesjonisty i chłopca, lecz nie przyczyniła się ona do znaczącego zwiększenia imigracji do miast³². W celu jej wsparcia powszechnie stosowano doraźne dotacje – od 200 do 400 złr. Opiniowane przez urząd cyrkularny osobiste prośby o zapomogę rozpatrywała Kancelaria Nadworna.

Ważną pozapatentową korzyścią, obejmującą wszystkich kolonistów, były zapomogi przyznawane na podróż i po osiedleniu się. Pominięte początkowo w kosztach, i przez Marię Teresę, i przez Józefa II, okazały się konieczne dla utrzymania bezmajątnych osadników na szlaku do Galicji. Od czerwca 1782 r. wypłacano po 2 złr. na każde zabierane z sobą dziecko poniżej 14 lat. Przywilej rozciągnięto wkrótce na każdego kolonistę, a zapomogę zwiększono do 4 złr. Wypłata następowała w ratach – po połowie w Wiedniu i Białej. Podróż Józefa II do Galicji, podczas której mógł on osobiście obserwować warunki życia przybyłych Niemców, przyniosła wprowadzenie zasiłków dla tymczasowo kwaterowanych: ziarna na chleb, darmowych lekarstw oraz w pieniądzu 2 krajcarów dziennie. W roku 1784 cesarskim dekretem przyznano także wsparcie na zasiewy i paszę, lecz jedynie *in natura*.

Niejednokrotnie skarb wypłacał gminom, na podstawie specjalnych umów, pożyczki na budowę zborów. Jeśli powstawały one z drewna,

surowiec dostarczano bezpłatnie z lasów państwowych. Koszty robocizny i transportu pokrywali koloniści wspólnym wysiłkiem lub sami wykonywali prace. Gminy obciążone zostały kosztem sprowadzenia z Niemiec pastora, budowy plebanii i utrzymywania księdza po upływie 3 lat. Do tego czasu pastorzy pobierali od państwa 300 złr. rocznie i okolicznościowe zapomogi, np. na zakup naczyń liturgicznych. Do dochodu pastorów należały także opłaty za posługi religijne – *iura stolae*. Z przyznawanej im ziemi, zazwyczaj o powierzchni 6 korców, duchowni od początku obowiązani byli płacić czynsz gruntowy.

Gdy w 1786 r. dekret cesarski nakazał utrzymywanie w gminach niemieckich szkół, na uposażeniu państwowym znaleźli się także nauczyciele. Przysługiwało im 6 korców ziemi (w praktyce często nadawano kilkakrotnie więcej) i przez pierwsze trzy lata 100 złr. rocznie. Po tym okresie koloniści płacić mieli na rzecz nauczyciela 15 krajcarów rocznie za każde uczące się dziecko. Gdy suma opłat nie sięgała 100 złr., pozostałą część dopłacał skarb.

W pierwszych latach organizacji kolonii ponadwymiarowe uposażenie w postaci przynajmniej 15 korców ziemi otrzymywali wójtowie gmin. Nadania takie zastąpiono później pensją w postaci 12 złr. rocznie. W niektórych osadach urzędy kameralne przeznaczały do 25 korców ziemi, tzw. arendę, na utrzymanie karczmy³³.

Prawa kolonisty po zmarłych mężach zatrzymywały wdowy. Dorosłym synom umożliwiano założenie własnych gospodarstw i uzyskanie uprawnień kolonisty, ale na ograniczonych warunkach. Otrzymywali wówczas ćwierć lub pół posiadłości z możliwością dokupienia ziemi. Podobne szanse stworzono przybyłym wraz rodzinami parobkom, dopiero jednak po osadzeniu wszystkich kolonistów z własnymi paszportami³⁴.

Zgodnie z założeniami Wiednia, spiralnie narastające wydatki związane z kolonizacją miały zostać w przyszłości pokryte przez wpływy ze świadczeń kolonistów. Powinności, jakie w związku z tym nakładano na osiedlonych po upływie okresu zwolnień, należały do czterech grup: czynsz gruntowy, czynsz z domu, liwerunki i świadczenia na rzecz gminy, robocizna. Ich wysokości ustalane były w indywidualnych kontraktach abolicyjnych, tzw. Abolitions-Kontrakt, osobnych dla każdej kolonii. Stronami takiej umowy była gmina i specjalna komisja abolicyjna pod przewodnictwem komisarza Ainsera; zatwierdzała ją Zjednoczona Kancelaria Nadworna w Wiedniu. Koloniści składali także przysięgę na wierność cesarzowi i państwu³⁵.

Czynsz gruntowy wymierzano dla wszystkich kolonii osobno w zależności od klasy ziemi. Jedynie w rzadkich wypadkach stawki wykraczały poza przedział 1–2 złr. na 1 mórg ziemi. Dane fasji (opisa-

nia gruntowego) z 1789 r. wskazują, że czynsz mógł stanowić 15–45% rocznego dochodu z gruntu. Procent ten wydaje się niewspółmiernie wysoki, ale też prawdopodobnie oparty był o nieścisłe dane – koloniści częstokroć dla zmniejszenia ciężarów zaniżali swoje oszacowania dochodów³⁶. Czynsz gruntowy płacono przeważnie w gotówce. W niektórych koloniach umożliwiono płacenie połowy lub całości czynszu w zbożu.

Płacenie podatku z domu i zabudowań wiązało się z możliwością poboru drzewa z lasów państwowych na opał i naprawy. Wysokość owego podatku wahała się od 1 złr. do 1 złr. 45 kr., przy czym wyraźnie więcej płacono w zachodniej części Galicji. Robociznę w naturze nakładano na nieliczne kolonie, w maksymalnym wymiarze kilku dni sprzężajnych i pieszych. Tam gdzie ciężar robocizny ujęto w kontrakcie, a administracja rezygnowała z jego wykorzystania, koloniści obowiązani byli do płacenia 6 kr. za dzień sprzężajny i 3 kr. za dzień pieszy. W przypadku zwiększenia wymiaru dziennego robocizny kasa państwowa płaciła za dzień pieszy 10 kr. w okresie letnim, 8 kr. w okresie zimowym, za dzień sprzężajny 12 kr., gdy zaś posługa wykraczała poza granice dóbr – 16 kr.³⁷

W czasie wojny kolonie dostarczać miały na potrzeby wojska zboże i furaz. Alternatywnie nakładano liwerunek – podatek w naturze, którego nazwa wywodzi się z niemieckiego słowa *Lieferung* – dostawa³⁸. Gminy obarczone zadaniem utrzymania dróg lokalnych, osuszania terenów podmokłych i przekazywania między dobrami zawiadomień państwowych. Niektóre kolonie otrzymywały specjalne obowiązki, jak transport soli z żup albo dostawa drzewa³⁹.

Zgodnie z założeniem rządu cesarskiego koloniści podlegali także moralnemu obowiązkowi pracowitości i wypełniania wobec ludności miejscowej roli „nauczycieli gospodarki”. W instrukcjach rządowych nakazywano wybierać na wójtów osoby celujące w uczciwości i pilności, tak by świeciły przykładem w podnoszeniu wydajności roli. Wspierano uprawę rzadszych roślin: chmielu, lnu, buraków, rzepaku i tytoniu. W szczegółowych zaleceniach pojawiały się rozmaite wskazówki i zakazy, np. obowiązek obsiewania wszystkich pól czy kontroli wszelkich strat w inwentarzu ze strony administracji. Racjonalnej gospodarki dopilnować miały wszystkie zajmujące się kolonizacją urzędy i sama gmina. Dla niewywiązujących się z powinności albo sprawców pożaru z zaniedbania przewidziane zostały kary pieniężne, przymusowej pracy, nawet pozbawienia praw kolonisty. Kolonistów opornych i nieznających sztuki uprawy roli przyuczano stopniowo, ewentualnie kierowano do wszelkich prac za zapłatą 5 kr. dziennie, bądź też w ostateczności pozostawiano własnemu losowi. Z drugiej strony hojnie udzielano doraź-

nej pomocy w zwalczaniu skutków pożarów, powodzi i mrozów. Urzędy fundowały nowe zabudowania i sprzęty, a w odbudowie zniszczonej wsi uczestniczyć miała cała gmina, dostarczając zaprzęgów i rąk do pracy. Przyznawano też zboże na nowe zasiewy i tymczasowe wyżywienie⁴⁰.

Należy zauważyć, że choć pieniężne i naturalne powinności gmin obliczone na podstawie kolejnych fasji z dwóch ostatnich dziesięcioleci XVIII w. przedstawiały wyjątkowo duże obciążenia względne gospodarstw, to cały proces kolonizacyjny ukształtowano w sposób przysparzający skarbowi poważnych kosztów i jedynie przy sprawnej organizacji rokującej efektywny zwrot nakładów.

Struktura kolonizacji

Na dzieło kolonizacyjne Józefa II spojrzeć można także w aspekcie geograficznym i demograficznym. Uwagę zwróci tu liczba, nazwy, wielkość i rozmieszczenie nowo powstałych osiedli, a także sami koloniści, ich wyznanie, pochodzenie i liczebność.

O rozmieszczeniu kolonii decydowała dostępność gruntów kameralnych, a więc dawnych królewszczyzn i dóbr pojezuickich. Ich skupienie w zachodniej i środkowej Galicji zarysowało swoistą linię demarkacyjną zasięgu kolonizacji kameralnej, przebiegającą wzdłuż osi Żółkiew-Przemysław-Zydzaków-Stryj. Na wschód od niej kolonizowano na dobrach prywatnych, z wyjątkiem czterech „kameralnych” wsi w pobliżu Kałusza. Niemieckie kolonie lokowano zazwyczaj pomiędzy wsiami polskimi i ukraińskimi, na dostępnych gruntach. Na brak odgórnego założenia koncentracji wskazuje również przemieszanie kolonii katolickich i protestanckich w obrębie jednych dóbr, a także duża rozpiętość ich rozmiarów.

W całej Galicji można wyróżnić 10 naturalnych grup kolonii, zdefiniowanych przez W. Kuhna w pracy z 1930 r. W sumie we wszystkich w grupach regionalnych powstały 134 kolonie niemieckie, których średnia liczba mieszkańców zależności od grupy wahała się od 45 do 285 osób⁴¹. Ilustruje to poniższa tabela.

Kolejnym zagadnieniem geografii kolonizacji józefińskiej jest nazewnictwo kolonii. Niemieckim przyczółkom wsi słowiańskich nadawano najczęściej nazwę miejscowości matki z przyrostkiem „*Neu-*” (Neu-Chruśno), „*Deutsch-*” (Deutsch-Golkowitz), „*Ober-*” (Ober-Engelsbrunn) lub „*Unter-*” (Unter-Tannendorf). Powszechnie dodawano także określnik „*Kolonia*” (Makowa Kolonia).

Rozmiar kolonii niemieckich według grup W. Kuhna

Grupa	Liczba miejscowości z populacją niemiecką				Razem	Liczba Niemców w koloniach	Średnia liczba mieszkańców kolonii
	Do 30 os.	31-100 os.	101-300 os.	Ponad 300 os.			
Grupa sądecka	15	22	1	–	38	1760	45
Grupa Głuchoniemcy	–	–	–	–	–	–	–
Trójkąt Wisła-San	–	4	12	1	17	2790	155
Grupa Reichau	3	8	5	–	16	1300	80
Grupa Bandrów	–	4	5	–	9	1100	120
Grupa Lwów	2	12	21	2	37	4750	130
Grupa Brigidau	–	2	3	3	8	2270	285
Grupa Ugartshtal	–	1	1	2	4	880	220
Grupa Josefów	–	2	3	–	5	650	130
Razem	20	55	51	8	134	15 500	125

Źródło: W. Kuhn, *Die jungen deutschen Sprachinseln in Galizien, Münster 1930, s. 30.*

Samodzielnym koloniom nazwy nadawano w języku niemieckim według kilku schematów. W okresie podróży Józefa II po Galicji wiele kolonii przyjmowało nazwy na cześć cesarza. Czyniono tak, bezpośrednio wykorzystując imię cesarskie (Josefsberg, Josefsdorf), bądź w nawiązaniu do tytułów monarszych (Königsau, Kaisersdorf, Prinzenthal). W tej grupie mieszczą się także nazwy Falkenstein i Falkenberg, sięgające do cesarskiej podróźnej tożsamości incognito – hrabiego von Falkenstein. Korzeni części nazw należy szukać w pamięci o miejscu pochodzenia kolonistów, tj. Rzeszy niemieckiej i jej władcach. Wymienić tu można kolonie Reichsheim, Reichenberg i Ottenhausen. Największa, bo licząca aż 125 gospodarstw, kolonia Brigidau nazwę otrzymała na cześć gubernatora Galicji Josepha von Brigido. Kranzberg, Dornfeld i Rottenheim nazwy wzięły od nazwisk lwowskich radców gubernialnych. Podobnie upamiętnienia w miejscowości Rosenberg doczekał się cesarski doradca Ernst Rosenberg-Orsini⁴².

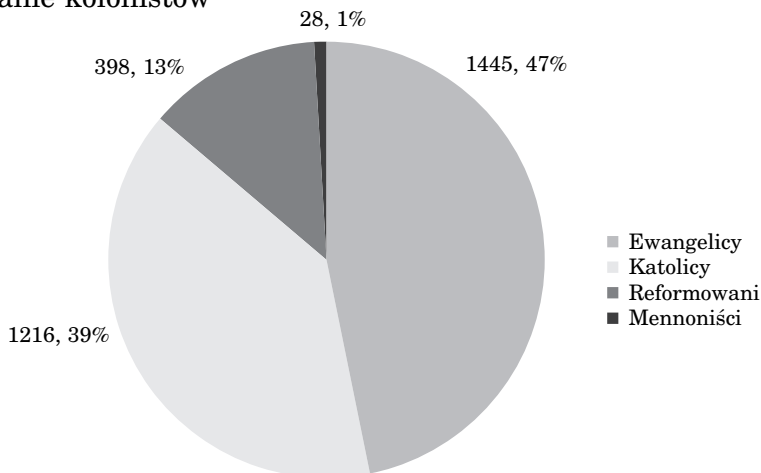
Nazwy kolonii można również wywodzić od cech ukształtowania terenu i elementów krajobrazu. Felsendorf założono w pobliżu skarpy

(niem. *Felse* – skarpa, klif), Steinfeld na terenie kamienistym (niem. *Stein* – kamień), a Hohenbach w pobliżu strumienia (niem. *Bach* – strumień). Niejednokrotnie nazwy kolonii to bezpośrednie tłumaczenia z języka polskiego: Weinbergen (Winniki), Kaltwasser (Zimna Woda), Rehfeld (Sarniki), Lindenau (Lipowiec). W okolicach Drohobycza, Sambora i Ottyni powstały trzy kolonie o nazwie Neudorf (Nowa Wieś). W prywatnych przedsięwzięciach kolonizacyjnych wsi otrzymywały nazwy pochodne imion członków rodziny założyciela, polskie lub niemieckie, np. Hanunin, Antonin (rodzina hr. Miera) i Beckersdorf (hr. Justyna Bekerska).

Strukturę demograficzną józefińskiego ruchu kolonizacyjnego w Galicji można opisać na podstawie wykazów kolonistów z Archiwum Gubernialnego we Lwowie, opierając się na dwóch kryteriach: religii i miejsca pochodzenia.

Wśród kolonistów wyróżnić można cztery grupy wyznaniowe: rzymskich katolików, ewangelików augsburskich (luteranów), reformowanych (kalwinistów) i mennonitów. Najliczniejszą grupę wyznaniową pośród kolonistów niemieckich stanowili ewangelicy. Według wykazu z 1786 r. na liczbę 3087 rodzin o znanym wyznaniu było ich 1445 rodzin (46,8%). Dla porównania katolików było 1216 rodzin (39,3%), reformowanych 398 rodzin (12,8%)⁴³. Strukturę wyznaniową kolonistów, w przybliżeniu do 1%, ilustruje poniższy wykres.

Wyznanie kolonistów



W opracowaniach z lat 30. XX w. (Kuhn, Lepucki, Schneider) zwraca się uwagę na niekoniecznie techniczny termin „Szwabi”, jakim ludność miejscowa ochrzciła kolonistów niemieckich, a który dość powszechnie stosowała prasa. Obok pejoratywnego wydźwięku, wynikającego z tarć

narodowych, mógłby on błędnie sugerować jako miejsce pochodzenia kolonistów centralny region rzeszy – Szwabię. Jednakże w latach 1783–1786 migrowano także z takich regionów jak: Palatynat Nadreński (36,8 % kolonistów), Hesja (2,07 %), Nassau (9,83%), Wirtembergia (5,80%), Badenia (5,60%), Lotaryngia (6,39%), czy wolne miasta Trewir i Kolonia⁴⁴.

Liczba osób faktycznie osiedlonych w Galicji, ustalona przez H. Lepuckiego na podstawie rozbieżnych nieco wykazów z 1785 i 1786 r., sięga 14 400 osób w 3249 rodzinach. 2746 rodzin osiedlono na obszarach wiejskich w dobrach kameralnych, 167 w miastach, 285 w dobrach prywatnych i 51 w mieście o specjalnym statusie – Podgórzu. Zdecydowanie wyższe szacunki przedstawia L. Schneider, włączając do liczby kolonistów także przedjózefińskich osadników na Śląsku – razem 25 000 osób.⁴⁵

Epoka Oświecenia przyniosła monarchii Habsburgów znaczącą modernizację państwa. Zreformowano administrację, system fiskalny, armię i uczelnie wyższe. Szczególny nacisk położono właśnie na sprawy wsi i stosunek państwa do religii, czego efektem była przeprowadzona co do zasady w założeniu tolerancji religijnej kolonizacja niemiecka na ziemiach Galicji.

Obok reform wewnętrznych, wśród głównych przyczyn kolonizacji znalazła się też rywalizacja Austrii z Prusami i Rosją w dążeniu do zwiększenia gęstości zaludnienia, zgodnie z uznaną wówczas teorią populacyjną o sile państwa.

W ramach kolonizacji przyznano napływającej do Galicji ludności szereg korzyści materialnych i prawnych, które służyć miały przyciągnięciu osadników oraz skutecznej promocji gospodarności na roli.

Cesarska oferta kolonizacji w nowej prowincji monarchii przyciągnęła zależnie od szacunków od 14 do 18 tysięcy osób różnych wyznań pochodzących z krajów Rzeszy Niemieckiej. Zbudowano ponad 130 osad wiejskich, a niemieccy rzemieślnicy zamieszkali w wyznaczonych specjalnie miastach, jak Lwów czy Podgórze.

Osiemnastowieczne przedsięwzięcie logistyczne oświeconych monarchów austriackich Marii Teresy i Józefa II na ponad półtora wieku urozmaiciło pejzaż demograficzny Królestwa Galicji i Lodomerii, później zaś II Rzeczypospolitej, wprowadzając zarówno na wsi, jak i w miastach ludność niemiecką, która w szczytowym ostatnim dziesięcioleciu XIX w. liczyła ok. 77 tys. osób⁴⁶, a w wyniku zawirowań II wojny światowej prawie zniknęła ze statystyki regionu.

PRZYPISY

- ¹ L. Schneider, *Das Kolonisationswerk Josephs II. in Galizien*, Poznań 1939, s. 10.
- ² H. Lepucki, *Działalność kolonizacyjna Marii Teresy i Józefa II w Galicji 1772-1790*, Lwów 1938, s. 20.
- ³ S. Grodziski, *Historia ustroju społeczno-politycznego Galicji 1772-1848*, Kraków 1971, s. 161-164.
- ⁴ Ibidem, s. 165-167.
- ⁵ Organ ten w 1787 r. przekształcono w Administrację Dóbr i Salin (*Staatsgüter- und Salinen-Administration*), później w 1793 r. w Administrację Domen (*K. k. Domainen Administration*). W 1801 r. powstała Administracja Domen i Salin (*K. k. Vereinigte Domainen und Salinen Administration*), w 1818 r. Administracja Dóbr i Salin (*K. k. Vereinigte Staatsgüter und Salinen Administration*) i w roku 1830 – Administracja Dochodów Skarbowych (*K. k. Vereinigte Kameralgefallen-Verwaltung*).
- ⁶ S. Grodziski, *Historia...*, s. 220-223. Urzędy gospodarcze (w znaczeniu ogólnym wskazane wydaje się stosowanie pisowni małą literą) zwano także w polskim tłumaczeniu urzędami kameralnymi, które nazwy można stosować zamiennie.
- ⁷ H. Lepucki, *Działalność kolonizacyjna Marii Teresy i Józefa II w Galicji 1772-1790*, Lwów 1938, s. 27.
- ⁸ Ibidem, s. 29
- ⁹ Ibidem, s. 31. Treść patentu pt. „*Ansiedlungspatent für die auswärtigen Handelsleute, Künstler, Fabrikanten, Professionisten und Handwerker*” – por. F. Seefeldt, *Quellenbuch zur deutschen Ansiedlung in Galizien*, Plauen 1935, s. 19.
- ¹⁰ R. Kesselring, *Die evangelischen Siedlungen Galiziens im josephinischen bis franzisceischen Zeitalter*, Lwów 1912.
- ¹¹ L. Schneider, op. cit., s. 38.
- ¹² Tekst patentu pt. „*Die Gestattung des freien Religions-Exercitii und die Begünstigungen für die hereinwandernde fremde Proffesionisten und Ackersleute betreffend*” – por. F. Seefeldt, *Quellenbuch ...*, s. 21.
- ¹³ Tekst patentu – por. F. Seefeldt, *Quellenbuch ...*, s. 23.
- ¹⁴ H. Lepucki, op. cit., s. 40.
- ¹⁵ Ibidem; obliczenia na podstawie wykazu kolonistów z akt Gubernium Galicji we Lwowie.
- ¹⁶ Ibidem, s. 42.
- ¹⁷ Ibidem, s. 45
- ¹⁸ Ibidem, s. 60.
- ¹⁹ H. Lepucki, op. cit., s. 62.
- ²⁰ Ibidem, s. 57-58.
- ²¹ Wykazy dostępne w: F. Wilhelm, J. Kallbrunner, *Quellen zur deutschen Siedlungsgeschichte in Südosteuropa*, Monachium 1936.
- ²² H. Lepucki, op. cit., s. 106-109.
- ²³ F. Seefeldt, *Quellenbuch...*, s. 27.
- ²⁴ H. Lepucki, op. cit., s. 120-122.
- ²⁵ Ibidem, s. 127; szczegółowo kolonizację w Ordynacji Zamojskiej opisuje R. Orłowski, *Koloniści rolnicy niemieccy w Ordynacji Zamojskiej w końcu XVIII wieku*, [w:] *Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska*, vol. XII, sectio F, Lublin 1957.
- ²⁶ H. Lepucki, op. cit., s. 129.
- ²⁷ F. Seefeldt, op. cit., s. 21-23.
- ²⁸ L. Schneider, op. cit., s.18.
- ²⁹ H. Lepucki, op. cit., s. 67-69.
- ³⁰ Ibidem, s. 69-70.
- ³¹ 1 sążeń kwadratowy wiedeński = 3,59685 m², 1600 s.k.w. = 1 mórg austriacki = 5754,96 m²; por. Austriacki kataster gruntowy, w: Ewidencja gruntów, praca zbiorowa, PWN, Warszawa 1987.
- ³² H. Lepucki, op. cit., s. 63-65.
- ³³ L. Schneider, op. cit., s. 19.

³⁴ Ibidem, s. 21.

³⁵ Treść przysięgi w języku niemieckim – por. Ibidem, s. 20-21.

³⁶ H. Lepucki, op. cit., s. 76. Szacunki takie przeprowadzano na podstawie średnich lokalnych cen targowych pszenicy, żyta, jęczmienia i owsa w okresie 3 lat, niezależnie od faktycznej uprawy na danym gruncie. Powodowało to duże rozbieżności regionalne w dochodzie między koloniami i wiązało się z koniecznością stałej kontroli cen.

³⁷ Ibidem, s. 77; L. Schneider, op. cit., s. 37.

³⁸ Przykładowe obciążenia kolonii liwerunkami podaje L. Schneider, op. cit., s. 41.

³⁹ H. Lepucki, op. cit., s. 76-78.

⁴⁰ Ibidem, s. 81; L. Schneider, op. cit., s. 40-41.

⁴¹ W. Kuhn, *Die jungen deutschen Sprachinseln in Galizien*, Münster 1930, s. 30.

⁴² J. Hennig, *Namensgeber der deutschen Kolonien in Galizien*, [w:] E. Hobler, R. Mohr (red.), *Vor 200 Jahren...*, s. 52.

⁴³ H. Lepucki, op. cit., s. 103.

⁴⁴ Ibidem, s. 99

⁴⁵ L. Schneider, op. cit., s. 70.

⁴⁶ W. Kuhn, op. cit., s. 123

Jerzy Moliński

LWOWSKIE LATA KAROLINY LANCKOROŃSKIEJ

Karolina Lanckorońska urodziła się 11 sierpnia 1898 r. w Buchbergu w Dolnej Austrii rodzinie hrabiego Karola Lanckorońskiego (1848–1933), Wielkiego Ochmistrza na dworze imperatora Franciszka Józefa I. Jej matką była Małgorzata von Lichnowski (1863–1957), trzecia z kolei żona Karola Lanckorońskiego.

Pochodziła z hrabskiego prusko-śląskiego rodu, który słynął z proniemieckiego szowinizmu. Brat Małgorzaty zrobił karierę dyplomatyczną i w czasach cesarza Wilhelma II był ambasadorem Niemiec w Anglii. Karol Lanckoroński był jednym z najbogatszych ludzi w Galicji. Fortunę Lanckorońskiego stawiano w Polsce na piątym miejscu. Był właścicielem majątków i pałaców w Rozdole, Komarnie, Jagielnicy, a także władał gruntami i lasami w Frauenwald w Styrii (Austria) i we Wodzisławiu (Polska).

Ojciec arystokrata, oddany cesarzowi, odznaczony zaszczytnymi orderami Cesarstwa Austro-Węgierskiego (w 1903 r. imperator nadał mu order Złotego Runa), hrabia Lanckoroński obejmował bardzo wysokie stanowisko w wielonarodowościowej monarchii. Bycie Wielkim Ochmistrem dworu przewidywało opiekę nad sprawami w dziedzinie sztuki. Lanckoroński był z zawodu prawnikiem, a z zamiłowania kolekcjonerem, archeologiem, historykiem sztuki, wybitnym znawcą renesansu włoskiego. Współpracował z Maxem Dworzakiem, wiedeńskim historykiem sztuki i konserwatorem zabytków.

Poglądy Lanckorońskiego na sztukę współczesną nie były jednoznaczne. Wiadomo było np., że nie przyjął projektu polichromii skarbcza katedry wawelskiej autorstwa Józefa Mehoffera. Hrabia-krytyk oburzył się, ponieważ artysta „miał zamiar ozdobić ściany tak szacownego miejsca niezliczonymi figurami wiejskich chłopaków ze skrzydłami na plecach” i uważał, że ci aniołowie będą się prezentować tak, „jak byłyby przedstawiane pierwszorzędnym nawet wazonom z chińskiej porcelany na głównym ołtarzu kościoła św. Marka w Wenecji.”

W latach 1892–1895 Karol Lanckoroński wybudował w Wiedniu neo-barokowy pałac, w którym umieścił drugą w Wiedniu, ze względu na rozmiar i znaczenie, prywatną kolekcję dzieł sztuki. W 1874 r. rozpoczął przebudowę pałacu w Rozdole. Trwała ona ponad 30 lat. W Rozdole i Wiedniu hrabia zgromadził wielki księgozbiór, który liczył ponad 70 tys. tomów oraz zbiór 120 tys. fotografii wybitnych dzieł sztuki.

Jego córka, Karolina Lanckorońska, w 1920 r. ukończyła prywatne gimnazjum niemieckie „Zu den Schotten” w Wiedniu. Już w 1917 r., będąc jeszcze uczennicą, uczęszczała na wykłady Maxa Dworzaka, wybitnego historyka sztuki, przyjaciela jej ojca. Po ukończeniu gimnazjum wybór kierunku studiów „...był przesądzony, tak jak od dzieciństwa był naturalny jej kontakt ze sztuką.”

Na Uniwersytecie Wiedeńskim Karolina Lanckorońska słuchała wykładów Dworzaka, Tietzego, Schlosera. Interesowała ją sztuka Włoch w okresie renesansu i baroku, zaś ulubionym malarzem był Michał Anioł. Po ukończeniu studiów otrzymała dyplom historyka sztuki, wyspecjalizowawszy się równolegle w zakresie archeologii i filozofii. Pod kierunkiem Dworzaka przygotowywała rozprawę doktorską, tematem której była twórczość Michała Anioła. Po śmierci Dworzaka, jej promotorem został prof. Julius von Schloser. 21 maja 1926 r. Karolina Lanckorońska obroniła na Uniwersytecie Wiedeńskim rozprawę doktorską, otrzymując stopień naukowy doktora historii sztuki. Podczas studiów odbyła podróże naukowe po Europie. Była we Włoszech, dokładnie zapoznała się z głównymi centrami kultury i sztuki epoki starożytności, renesansu i baroku. Odbywała również wyprawy naukowe do Francji, Niemiec, Belgii, Szwajcarii, Hiszpanii i Portugalii. Od 1929 do 1935 r. mieszkała w Rzymie, gdzie poszerzała swą wiedzę z historii sztuki włoskiej i gromadziła materiały naukowe. Jednocześnie pracowała w Sekcji Rzymskiej Polskiej Akademii Umiejętności, gdzie kierowała działem sztuki. Uporządkowała bibliotekę oraz archiwum fotograficzne zabytków kultury i sztuki Włoch, łącznie 60 tysięcy jednostek. Wszystkie były darem jej ojca dla PAU. Przebywając w Rzymie, Lanckorońska zbierała materiał do rozprawy habilitacyjnej. Głównym przedmiotem jej badań było malarstwo włoskie w okresie kontrreformacji i rozwiniętego baroku. Profesor Władysław Podlacha podkreślał, że „można wyróżnić dwa główne tematy z tego wielkiego działu historii sztuki, dookoła których skupiały się zainteresowania Lanckorońskiej: początek malarstwa barokowego, sięgający czasów Michała Anioła, Tintoretta i innych, oraz pełny rozwój malarstwa ściennego. Może najsilniejszy wyraz uzyskał on w monumentalnej dekoracji kościoła jezuickiego II Gesu w Rzymie. Wykonał ją artysta Gaulli z Geniu, zwany Baciccio.”

Pracując w Rzymie, Karolina Lanckorońska miała stały kontakt ze Lwowem i lwowskim środowiskiem naukowym. Swoje rozprawy naukowe publikowała na łamach wydawnictw Lwowskiego Towarzystwa Naukowego. Przed opublikowaniem były one omawiane na posiedzeniach Sekcji Historii Sztuki i Kultury tegoż Towarzystwa.

W 1933 r. zmarł Karol Lanckoroński. Właścicielem Rozdołu, zbiorów artystycznych oraz galerii obrazów, które tam się znajdowały, został starszy syn hrabiego Antoni. Karolina otrzymała w spadku po ojcu majątek w Komarnie.

W 1934 r. zdecydowała się przenieść do Lwowa, gdzie zamieszkała przy ulicy Zimorowicza 19. Jej mieszkanie było umeblowane nadzwyczaj prosto – stoły i ławy, przywiezione z Włoch, ale nie młodsze niż z wieku XVI... Karolina Lanckorońska szyła ubrania u najlepszych krawców Wiednia i z pogardy dla kosmetyków używała tylko „Elizabeth Arden”. Była bardzo bogata i, rzeczywiście, nie zauważała, że jej „spartański”, jak sama mówiła, tryb życia, nie za bardzo na taki wyglądał. Jak zauważyła jej znajoma, M. Kulczyńska, „najbardziej charakterystyczną cechą charakteru Karoliny przed wojną była bezkompromisowość. Miała niski głos, surowy wyraz twarzy i cięty język”.

Już po wojnie Elżbieta Orman usłyszała od niej: „Jeżeli kobieta jest indywidualnością, to musi mieć problemy z małżeństwem.” W 1934 r. miała 36 lat. Młoda hrabina „mówiła wszystkim, że poślubiła naukę” i, rzeczywiście, nigdy nie wyszła za mąż.

18 października 1934 r. dr Karolina Lanckorońska złożyła Radzie Naukowej Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie podanie, w którym prosiła o udzielenie jej możliwości wykładania kursu historii sztuki współczesnej. W części wstępnej planu wykładów pisała, iż pragnie „dać obraz całokształtu rozwoju dziejów architektury, kultury i malarstwa we Włoszech od połowy XIII aż do XVIII wieku.” W tym samym roku otrzymała stanowisko docenta prywatnego i rozpoczęła kurs wykładów. Do podania dołączyła dokumenty, z których możemy się dowiedzieć, że w latach 1926–1934 opublikowała sześć artykułów naukowych. Cykl wykładów zaplanowano na dwanaście trymestrów, tj. na cztery lata akademickie.

Wśród artykułów należy wymienić: „Paradiso Tintoretta”, który został opublikowany w 1932 roku. Karolina Lanckorońska poddała dokładnej analizie dwie kompozycje Tintoretta na temat raj. Jedna z nich powstała 10 lat wcześniej jako szkic do pierwszej. Autorka podkreślała, iż przemiana, a raczej rozwój artystyczny Tintoretta, stwierdzony przy pomocy obu obrazów Paradisa, nie jest zjawiskiem odosobnionym. Odwrót od renesansowego poglądu na świat, a z nim przeistoczenie pojęć o zadaniach sztuki w ogóle były charakterystyczne dla

epoki po Soborze Trydenckim. U Tintoretta „nowe te poglądy znalazły wyraz w malarstwie, dając w ten sposób początek nowej poreformacyjnej hagiografii.”

Następną pracą naukową Karoliny Lanckorońskiej był artykuł pt. „Novum w Sądzie Ostatecznym Michała Anioła”, ogłoszony dnia 14 stycznia 1932 r. na posiedzeniu sekcji historii sztuki i opublikowany w tym samym roku.

Artykuł poświęcony był omówieniu stosunku całej kompozycji do źródeł, skąd mógł artysta czerpać natchnienie. Lanckorońska sądziła, że „tradycja artystyczna w dziele Michała Anioła odgrywała rolę podręczną i nie miała wpływu na całość koncepcji artystycznej, ani pod względem kompozycyjnym, ani pod względem ogólnego rozwoju psychologicznego. Decydujący wpływ na nowe ujęcie tematu miało otoczenie Michała Anioła, które składało się z ludzi najwyższej wartości moralnej, odgrywających ważną rolę w dziejach Kościoła katolickiego.” Dążyli oni do odnowienia Kościoła na drodze odnowy moralnej i uświęcenia dusz ludzkich. „Sąd Ostateczny” w Kaplicy Sykstyńskiej wyraża w malarstwie poglądy, które nurtowały epokę. W 1933 r. Karolina Lanckorońska opublikowała w Rzymie artykuł na ten temat, napisany w języku włoskim.

Jednocześnie dr Karolina Lanckorońska złożyła w Radzie Naukowej Wydziału Humanistycznego swą rozprawę habilitacyjną na temat „Dekoracja kościoła II Gesu na tle rozwoju baroku w Rzymie.” Do przeprowadzenia wszystkich koniecznych etapów przewodu habilitacyjnego i oceny wartości naukowej złożonej pracy, utworzono komisję w składzie: prof. dr hab. Edmund Bulanda, prof. dr hab. Władysław Podlacha, prof. dr hab. Roman Ingarden. Głównym recenzentem był prof. Podlacha. W swych wnioskach zaznaczył, że „pozyskanie dr Karoliny Lanckorońskiej do współpracy na Uniwersytecie Jana Kazimierza w charakterze docenta historii sztuki jest rzeczą pożądaną.” Zaproponował Radzie Naukowej, by dopuściła dr Karolinę Lanckorońską do dalszych stadiów przewodu habilitacyjnego.” 13 grudnia 1934 r. Rada Wydziału jednogłośnie uznała zaprezentowany przez Lanckorońską referat nt.: „Pieta” w twórczości Michała Anioła” za odpowiadający wymaganiom uniwersyteckim i udzieliła dr Karolinie Lanckorońskiej *viniae legendi* z historii sztuki. Potwierdziła tym samym wysoką ocenę swego dorobku naukowego. 13 stycznia 1936 r. Senat Uniwersytetu Lwowskiego poparł decyzję Rady Wydziału Humanistycznego. 9 maja tegoż roku Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego zatwierdził habilitację Karoliny Lanckorońskiej. Stała się ona pierwszą kobietą w Polsce, która napisała pracę habilitacyjną z historii sztuki. Jednocześnie – pierwszą kobietą, która uzyskała habilitację na Uniwersytecie Lwowskim.

26 września 1936 r. K. Lanckorońska złożyła tradycyjne ślubowanie uniwersyteckie i rozpoczęła zajęcia od wykładu o twórczości Michała Anioła. W okresie lwowskiej działalności naukowej opublikowała artykuły, które były poświęcone wyłącznie sztuce Włoch. Tematem jej dociekań naukowych była twórczość Tintoretta, Michała Anioła, zdobnictwo kościoła II Gesu w Rzymie. Jeden z artykułów, dotyczący tegoż kościoła był opublikowany w języku francuskim w 1933 roku w materiałach VII Międzynarodowego Kongresu Historycznego. Drugi – w Sprawozdaniach Lwowskiego Towarzystwa Naukowego. W 1934 r. dr hab. K. Lanckorońska została członkiem Sekcji Sztuki i Kultury tegoż Towarzystwa.

20 marca 1935 r. K. Lanckorońska wygłosiła we Lwowskim Towarzystwie Naukowym referat nt. „Z badań nad loggiami Rafaela”. Ten sam referat został opublikowany w języku niemieckim w czasopiśmie wiedeńskim „Neue Folge”. Dekoracja sklepień tychże loggii malowidłami iluzjonistycznymi, przedstawiającymi architekturę fikcyjną była zasadniczo nowym prądem w sztuce początków XVI w. Rozwój podobnej dekoracji przypadł na epokę baroku, tj. na drugą połowę XVI i XVII wiek. Profesor Podlacha podkreślał, że Lanckorońska analizuje dzieła sztuki, wykorzystując bogaty materiał porównawczy, mając głębokie odczucie epoki oraz „oczytanie w literaturze hagiograficznej i panegiryczno-kościelnej.”

W 1936 r. ukazała się drukiem następna rozprawa naukowa K. Lanckorońskiej „Nieznany obraz Piazzetty na Wawelu”. Autorka przeanalizowała podstawowe szczegóły stylu malarza Giovaniego Baptisty Piazzetty (zm. w 1754) oraz wpływy na jego twórczość takich artystów jak Crespi, Caravaggio, Rembrandt.

Pozycja naukowa dr hab. K. Lanckorońskiej odznaczała się samodzielnością sądów, oraz doskonałą wiedzą na temat dzieł artystów, twórczość których badała. Było to widoczne w jej uwagach, dotyczących pracy francuskiego profesora Emila Małego „Sztuka sakralna doby Soboru Trydenckiego”. Śmiała polemika ze znanymi profesorami austriackimi Weissbachem i Pevsnerem wyjawiała głębokie podejście Lanckorońskiej do badań kontaktów między sztuką epoki baroku a ówczesnym życiem duchowym Europy. Udowodniła przez to, że jej osiągnięcia naukowe są na poziomie europejskim.

W 1937 r. Karolina Lanckorońska wyjechała na kilka miesięcy do Włoch dla przeprowadzenia dalszych badań naukowych. Realizując swoje dawne plany, założyła w Rzymie Towarzystwo Polskich Badań Historycznych. Działo ono przy Sekcji Rzymskiej Polskiej Akademii Umiejętności. Na pierwszym posiedzeniu nowo powołanego Towarzystwa, Lanckorońska wygłosiła referat: „Restauracja fresków Michała

Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej". Warto dodać, że Michał Anioł był dla Lanckorońskiej „najwybitniejszym wśród najwybitniejszych artystów, zaś jego freski w Kaplicy Sykstyńskiej były osiągnięciem, budzącym w niej najwyższe doznania estetyczne.”

W roku 1938 Karolina Lanckorońska opublikowała artykuł: „Pierwiastki antyczne w Bachusie i Dawidzie Michała Anioła”. Rozprawa została poświęcona badaniu wpływów sztuki starożytnej na twórczość wielkiego mistrza. Do postaci Dawida odwołała się raz jeszcze wygłoszwszy we Lwowskim Towarzystwie Naukowym referat: „Dawid i Goliat Michała Anioła”.

W roku 1939 dr hab. K. Lanckorońska wygłosiła w tymże Towarzystwie referat: „Problem religijny w ostatnich dziełach Michała Anioła.” W tym samym roku rozprawa ta, pod tytułem: „Zdjęcie z krzyża” Michała Anioła” ukazała się we lwowskim czasopiśmie naukowym „Dawna sztuka”. Lanckorońska przeanalizowała w niej kilka dzieł Michała Anioła (SĄD OSTATECZNY, NAWRÓCENIE SZAWŁA, UKRZYŻOWANIE ŚW. PIOTRA, ZDJĘCIE Z KRZYŻA, PIETA RONDANINI), powstałych w ostatnich trzydziestu latach (1534–1564) jego długiego życia. Analizując twórczość i poglądy Michała Anioła, Lanckorońska wnioskuje, że w tych latach, które były okresem kryzysu i wielkich reform w Kościele katolickim, artysta był po stronie reformatorów. Michał Anioł odczuwał konieczność powrotu do ideałów Ewangelii, do ideałów, głoszonych przez św. Franciszka z Asyżu. Artysta ciągle rozmyślał nad Męką Chrystusową i ogromem Jego odkupieńczej ofiary. Wraz z poglądami zmieniał się styl jego dzieł, które w coraz mniejszym stopniu odpowiadały kanonom renesansu, a coraz bardziej – włoskiego średniowiecza. Dodajmy, iż kompozycję „Zdjęcie z krzyża” artysta przeznaczył na własny grobowiec, a siebie samego przedstawił w tejże rzeźbie jako Nikodema.

Poglądy naukowe Karoliny Lanckorońskiej kształtowały się na Uniwersytecie Wiedeńskim pod kierunkiem profesorów Dworzaka i Schlossera. Właśnie od Dworzaka zaczerpnęła on podwaliny pracy naukowej, analizy form i treści dzieł sztuki. Nauczyła się też badać wpływ otoczenia historycznego, ideowego i kulturowego na artystów epoki renesansu i baroku. Profesor Schlosser skupił jej uwagę na konieczności gruntownego studiowania źródeł, literatur) teoretycznej XV–XVIII wieku, dotyczącej historii sztuki, historii Kościoła, ruchów kościelnych i prądów, estetyki etc. Wszystkie dzieła Karolina Lanckorońska czytała wyłącznie w języku oryginału.

Dr hab. Karolina Lanckorońska poświęcała cały swój czas pracy dydaktycznej i naukowej na Uniwersytecie Lwowskim oraz w Towarzystwach Naukowych Lwowa, Warszawy i Rzymu. Prowadziła też działal-

ność społeczną. Była m. in. kuratorką towarzystwa „Koło studentek” i związanego z tym towarzystwem „Domu studentek”. W tym samym czasie zajęła się też sprawą majątku w Komarnie. W latach 1931–1937 wspierała finansowo konserwację tamtejszej świątyni, zaś w latach 1936–1939 – budowę nowej świątyni we wsi Chłopy. Jej projekt osobiście zamówiła i dokładnie opracowała z wybitnym architektem lwowskim W. Dayczakiem. Miejscowi chłopcy traktowali „swą hrabinę” z sympatią, która się potwierdziła w ciężkich latach II wojny światowej. Jednak, wedle słów Karoliny Lanckorońskiej, „to szczęście nie dane jej było na długo.”

22 września 1939 r. do Lwowa weszły wojska sowieckie. Komarno na kilka dni zostało zajęte przez Niemców, którzy „po dokładnym zrabowaniu (majątku Lanckorońskich) musieli się wycofać.” Miejscowi chłopcy uratowali i przywieźli Karolinie Lanckorońskiej do Lwowa w pierwszej kolejności „papiery i zeszyty naukowe... Było tam wszystko, m.in. jeden rękopis gotowy do druku, owoc ośmioletniej pracy.” Nowa władza od razu rozpoczęła przekształcenie systemu wykładania na Uniwersytecie Lwowskim. Na początku Karolina Lanckorońska pozostała na liście wykładowców i nowy dziekan radziecki zlecił jej wykłady z kursu „Renesans-barok”. 10 kwietnia 1940 r. została jednak, bez żadnych wyjaśnień, zwolniona z Uniwersytetu przez dziekana prof. A. Bragińca. Tego samego dnia wieczorem do jej mieszkania przyszli agenci NKWD z nakazem aresztowania. Musiała ukrywać się u znajomych, m.in. u Jadwigi Horodyskiej – bliskiej koleżanki wybitnej rzeźbiarki. Jeszcze 2 stycznia 1940 r. Karolina Lanckorońska złożyła ślubowanie i wstąpiła do szeregów Związku Walki Zbrojnej (późniejsza AK). 3 maja tegoż roku, mając przy sobie sfałszowane dokumenty, dotarła do okupowanego przez Niemców Krakowa. Tam działała w podziemnej AK i legalnie – w Polskim Czerwonym Krzyżu.

12 maja 1942 r. została aresztowana na rozkaz H. Krügara – szefa gestapo Stanisławowie. W więzieniach Stanisławowa i Lwowa Lanckorońska oczekiwała wyroku śmierci. Życie jej uratowało osobiste wstawiennictwo włoskiej rodziny królewskiej, gdy przebywała w obozie koncentracyjnym Rawensbrück. Zwolnienie nadeszło w dniu 5 kwietnia 1945 r., dzięki staraniom Prezesa Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, szwajcarskiego profesora K. Burckhardta. Lanckorońska została na emigracji, najpierw w Szwajcarii, później – we Włoszech. Zamieszkała w Rzymie, w prestiżowej dzielnicy niedaleko Watykanu.

Po II wojnie światowej K. Lanckorońska świadomie zrezygnowała z kariery profesora uniwersyteckiego, jak też „pisania o sztuce włoskiej”. Profesor Lech Kalinowski był zdania, że „dobrowolne odejście K. Lanckorońskiej od historii sztuki było jej największą ofiarą”. Od tego momen-

tu całkowicie poświęciła się pracy nad problemami rozwoju nauki i kultury polskiej za granicą, ratowaniu polskich zabytków kultury, wsparciu finansowemu naukowców polskich oraz studentów polskich, którzy pracowali lub studiowali w różnych krajach Europy Zachodniej. W listopadzie 1945 r. wraz z księdzem Walerianem Meysztowiczem i grupą naukowców polskich – emigrantów zorganizowała w Rzymie Polski Instytut Historyczny. Zajął się on działalnością naukową i wydawniczą. W 1967 r. zaczęła działać Fundacja Lanckorońskich z Brzezia. Aby zapewnić Fundacji środki, Lanckorońscy (Karolina, jej brat Antoni i siostra Adelajda) sprzedali swój majątek w Austrii i kilka obrazów z kolekcji prywatnej. Po śmierci brata Karolina Lanckorońska przez wiele lat była przewodniczącą Fundacji i finansowała wydawnictwo prac naukowych, poświęconych historii i kulturze Polski, a także fundowała stypendia naukowe dla osób, które pracowały w Rzymie, Londynie, Wiedniu. Zorganizowała opracowanie polskich archiwów za granicą oraz wydawanie dokumentów z tych archiwów. Dzięki wsparciu finansowemu Fundacji Lanckorońskich uratowano Bibliotekę Polską w Paryżu wraz z niezwykle cennym archiwum, wielką kolekcją dzieł sztuki i pamiątek, które świadczą o życiu polskich emigrantów we Francji w XIX i XX wieku. Elżbieta Orman – naukowiec krakowski, która współpracuje z Fundacją, wysnuła pogląd, że „przez wszystkie te lata była (K. Lanckorońska) w Rzymie ambasadorem spraw polskich. Polacy, którzy tam przyjeżdżali, chcieli poznać ją i Papieża.”

Wskutek II wojny światowej majątki Lanckorońskich w Polsce i na Ukrainie zostały skonfiskowane. Ogromny i bardzo cenny zbiór dzieł sztuki został częściowo zniszczony, częściowo rozproszony. W 1939 r. kolekcja, która znajdowała się w wiedeńskim pałacu Lanckorońskich, została zarekwirowana przez gestapo. Najlepsze obrazy miały być przekazane do osobistej kolekcji Hitlera. W 1945 r. Borman rozkazał, aby te zbiory zostały zniszczone. Znajdowały się w kopalniach niedaleko Salzburga. Obrazy uratował podoficer, Austriak z pochodzenia, który nie wykonał tego rozkazu. W trakcie bombardowania Wiednia w 1944 r. został zniszczony pałac Lanckorońskich, w którym znajdowały się zbiory. Po wojnie Antoni Lanckoroński z pomocą swego kolegi szkolnego, księcia Lichtensteinu, przewiózł uratowane obrazy do Szwajcarii i niemieckiego zamku Hohenems. Jednak w 1946 r. zamek się spalił zaginęły sto dwa obrazy Lanckorońskich.

W 1994 r. Karolina Lanckorońska ukończyła 96 lat. Właśnie w tym roku zdecydowała się przekazać narodowi polskiemu podstawową część swej rodzinnej kolekcji. Część tego daru przeznaczona była dla Zamku Królewskiego w Warszawie, reszta – dla Wawelu. Prof. Jan Ostrowski, dyrektor muzeum na Wawelu, pisał, że „kolekcja Lanckorońskich sta-

nowi z pewnością najbogatszy dar w dziejach muzealnictwa polskiego.” Karolina Lanckorońska w liście do Prezydenta Polski, Lecha Wałęsy, podkreśliła, że do Warszawy przekazano „przede wszystkim obrazy z galerii króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. W tej grupie są dwa portrety Rembrandta. Na Wawel przekazany zostaje namiot turecki, który tradycja rodzinna łączy z Odsieczą Wiedeńską oraz obrazy. 76 z nich – to dzieła, powstałe we Włoszech w okresie od XIV do XVI wieku. Wszystkie one zostały zgromadzone przez Karola Lanckorońskiego.”

Później Karolina Lanckorońska przekazała do muzeów polskich jeszcze kilka obrazów, kolekcję numizmatyczną, miedzioryty, dokumenty rodzinne i 228 rysunków Jacka Malczewskiego. Wśród obrazów były portrety Karola Lanckorońskiego i członków jego rodziny, wykonane przez Kazimierza Pochwalskiego i Jacka Malczewskiego, akwarela L-H. Fischera, na której została przedstawiona klatka schodowa pałacu w Rozdole.

Inaczej wyglądał los zbiorów Lanckorońskich z Rozdołu. Pałac w Rozdole zachował się do dziś i stanowi konglomerat bardzo zróżnicowanych budowli i dobudówek. W kształtach swoich posiada zabytkową klasyczną centralną część z początku XIX wieku, jak również ślady gruntownej przebudowy w roku 1874. Wówczas pałac został znacznie rozszerzony przez słynnego architekta Juliana Zachariewicza. Rozmaitość stylów powiększyły dobudówki francuskiego architekta Baugueta w 1904 r. i Słazaka Lundwalla w 1908 roku. Pałac, wraz ze skrzydłem i klasycystyczną oficyną, zawierał przeszło trzydzieści pokoi i sal. Do roku 1939 był jedną z największych rezydencji na terenach kresów wschodnich. Tu znajdował się cenny zbiór dzieł sztuki, rodzinnych portretów i pamiątek po Rzewuskich i Lanckorońskich. Tylko w pałacowej galerii obrazów było kilkaset pozycji. Była tu również bogata biblioteka i zbiór blisko sześćdziesięciu tysięcy fotografii dzieł sztuki z całego świata.

Mający różnorodne zainteresowania, Karol hr. Lanckoroński w 1884 r. organizował wyprawę naukową do Azji Mniejszej. Do składu ekspedycji należeli tacy wybitni naukowcy, jak: prof. M. Sokołowski z Krakowa, prof. G. Niemann, prof. W. von Hartel, dyrektor Niemieckiego Instytutu E. Paterson z Wiednia. Część przywiezionych z wyprawy pamiątek historycznych i dzieł sztuki starożytnej hrabia umieścił w pałacu rozdołskim.

W wyprawie azjatyckiej towarzyszył Karolowi hr. Lanckorońskiemu i wybitny polski artysta malarz Jacek Malczewski. Pierwszy, związany z wyprawą, przyjazd artysty od Rozdołu miał miejsce w 1884 r., ostatni – w 1915 roku. Podczas każdego z przyjazdów do Rozdołu Jacek Malczewski twórczo pracował, zatrzymując się tutaj wraz z Lanckorońskimi nieraz do późnej jesieni. Właśnie w Rozdole artysta wykonał wiele

szkiców i rysunków piórem i tuszem, „stanowiących swego rodzaju kronikę życia rodziny (Lanckorońskich) w r. 1884–1915. Jest to nie tylko galeria portretów członków rodziny Lanckorońskich, ich przyjaciół i ludzi bliskiego otoczenia, ale także źródło informacji o codziennym życiu mieszkańców pałacu” (I. Winiewicz-Wolska).

Sto sześćdziesiąt trzy takie szkice znalazła przypadkiem w starej komodzie córka właściciela majątku – profesor Karolina Lanckorońska. W 1994 r. przekazała je w darze Muzeum na Zamku Królewskim na Wawelu w Krakowie. Winiewicz-Wolska zwróciła uwagę, że niektóre z tych szkiców Malczewski wykorzystał później, malując portrety olejne członków rodziny hrabiego. W 1905 zostały wykonane: portret Małgorzaty i Karola Lanckorońskich (obecnie we Lwowskiej Galerii Sztuk Pięknych), portret Karoliny i Adelajdy Lanckorońskich (w kolekcji prywatnej w Warszawie). W tym samym czasie Malczewski namalował portret dwunastoletniego Antoniego Lanckorońskiego i portret Ludwika Chotyńckiego, bibliotekarza i archiwisty w pałacu rozdolskim. Natomiast I. Winiewicz-Wolska nie wspomina o dwu innych portretach olejnych członków rodziny Lanckorońskich, które Malczewski wykonał w roku 1900. Są one obecnie w Muzeum Ziemi Drohobyckiej. Przepuszczalnie badaczka w ogóle nie wiedziała o ich istnieniu. Obydwa portrety, jak również wspomniany portret Małgorzaty i Karola Lanckorońskich, pochodzą z kolekcji rozdolskiej. Ten ostatni Lwowska Galeria Obrazów nabyła w 1978 r. od jednego z mieszkańców Rozdołu. Sprawa ustalenia, gdzie obrazy z kolekcji hrabiów Lanckorońskich były przed II wojną światową, jest dość skomplikowana. Brak listy inwentarzy wszystkich dzieł sztuki, które były w rozdolskim pałacu hrabiego. Poza tym, rodzina miała pałac w Wiedniu i majątki w Styrii (Austria), w Komarnie na Ziemi Lwowskiej, w Jagielnicy na Tarnopolszczyźnie. Po śmierci Karola Lanckorońskiego w 1933 r. jego spadkobiercy podzielili spadek. Nie jest wykluczone więc, że pewne dzieła sztuki mogły być przewiezione z jednego majątku do drugiego.

Po II wojnie światowej większą część zbiorów rozdolskich rozdzielono między muzea radzieckie. Kilka najcenniejszych obrazów trafiło do Leningradu, zabytkowe meble – do Odessy. Sporo obrazów i znaczną część portretów z dawnej galerii Rzewuskich oddano do Lwowskiej Galerii Sztuk Pięknych, obecnie niektóre z nich zdobią zamek w Olesku, będący filią lwowskiej galerii. Ogromną ilość różnych pamiątek, dokumentów, porcelany, książek, fotografii, obrazów i portretów, w tym pędzla Jacka Malczewskiego, przekazano muzeum w Drohobyczu. Wspominany wcześniej przypadek z portretem Małgorzaty i Karola Lanckorońskich świadczy, że niektóre dzieła sztuki skradła ludność miejscowa. Nie można wykluczyć, że jakaś część zbiorów przepadła na zawsze.

Rozprasząc zbiory decydenci jakoś nie zwrócili uwagi na antyczne rzeźby przywiezione w swoim czasie przez Karola hr. Lanckorońskiego z Azji Mniejszej. Niektóre zdobiły ściany wewnątrz lub nisze na fasadzie pałacu, inne – park pałacowy. Prawdopodobnie wzięto te rzeźby za małosenne XX-wieczne repliki gipsowe. Dopiero w 2001 r. w okolicznościach raczej smutnych, wyjaśniła się ich cenność. Władze powiatowe zawiadomiły dyrektora Lwowskiej Galerii Sztuk Pięknych B. Woznickiego, że miejscowa milicja znalazła w punkcie skupu metali kolorowych zabytkową rzeźbę spiżową. B. Woznicki tego samego dnia pośpieszył do Rozdołu, gdzie rozpoznał w rekwizowanej przez milicję uszkodzonej rzeźbie słynnego „Putta z delfinem” niegdyś zdobiącego małą fontannę przed pałacem Lanckorońskich. „Putto z delfinem” jest dziełem znakomitego piętnastowiecznego rzeźbiarza włoskiego Andrea di Cione (1435–1488), bardziej znanego jako Andrea del Verrocchio. Rozdolska rzeźba, w ocenie B. Woznickiego, „może być oryginałem lub późniejszą repliką, która wykonana w brązie nie różni się od oryginału.” Warunki odnalezienia tak cennej rzeźby stały się przyczyną dokładnych oględzin przez B. Woznickiego całego pałacu i parku. Właśnie w parku znaleziono powaloną, pozbawioną głowy i rąk marmurową figurę rycerza, określaną przez B. Woznickiego jako rzymską replikę greckiego posągu boga wojny Marsa, pochodzącą z II wieku z doby dynastii Antoninów (138–192). Druga znaleziona marmurowa rzeźba przedstawia kobietę z czaszą ofiarną. Stosunkowo niestare uszkodzenia świadczą, iż rzeźba do niedawna posiadała głowę. Czas powstania tej rzeźby B. Woznicki określa II w. p.n.e. Z tegoż okresu pochodzi i trzecia ze znalezionych rzeźb – młodzieniec z książką. Jest to dość rzadki okaz rzymskiego dziecięcego portretu. Konserwatorzy lwowskiej galerii ustalili, że głowa młodzieńca została dopasowana w II wieku do znacznie wcześniejszej figury. Na szczęście w dobrym stanie znajdowała się kolejna znaleziona rzeźba – popiersie nieznaney rzymianki z I–II wieku, którą B. Woznicki uważa za całkiem niezwykły okaz portretu okresu rzymskiej prowincji początku II wieku. Przypuszczalnie, autor znalezionej rzeźby wykorzystał stary portret „rozcinając marmurowe popiersie wzdłuż szyi, następnie wydrążając dość głęboko (do środka głowy) twarzową część głowy, którą zastąpił nowym obliczem”.

Wszystkie znalezione rzeźby niezwłocznie przewieziono do Lwowa i poddano konserwacji, poczym wystawiono na wystawie specjalnie organizowanej w 2001 roku. Obecnie uratowane rzeźby zdobią pałac Potockich we Lwowie.

Warto jednak wrócić do wątku dwu dzieł Malczewskiego z Muzeum Ziemi Drohobyckiej. Nie ma wątpliwości, że artysta namalował je, wykorzystując swoje szkice wykonane tuszem; nadto rok wykonania szkiców

i portretów – 1900 – pokrywa się. Rzuca się w oczy szkicowość w malowaniu samych portretów. Na pierwszym z portretów drohobyckich (68 x 52 cm) przedstawiona jest Małgorzata Lanckorońska. Siedzi na werandzie pałacu rozdolskiego, trzymając na kolanach dwuletnią córkę. Za nimi – krajobraz rozdolskiego parku z dwiema postaciami mężczyzn w oddali. Zadziwiają jaskrawe, nasycone, a jednocześnie chłodne kolory, użyte przez artystę. Różowy – sukni hrabiny, zielono-niebieski – drzew i trawy, różowo-niebieski – ziemi, błękitny – nieba. Obok – oparta o balustradę różowa parasolka. Wśród tej różnorodności barw wyróżnia się postać córki Karoliny w białej sukieneczce. Dziewczynka ma ciemnorude loki, trzyma w ręku nierzucający się w oczy bukietik kwiatów polnych. Z tyłu obrazu napis autorski: „Karolowa i Karła Lanckorońskie. Jacek Malczewski 1900”. Porównując ten portret i szkice z Wawelu, bez trudu odnajdujemy takie, które posłużyły artyście za wzór do namalowania portretu. W pierwszej kolejności to szkic MAŁGORZATA LANCKORONSKA Z CÓRKĄ KAROLINĄ (nr inwentaryzacyjny 8187, Zamek na Wawelu, Kraków). Został wykonany w 1900 r. tuszem na papierze o wymiarach 34 x 21 cm. Jak podaje katalog, jest to, jedno z ośmiu zachowanych w zbiorze, nieznacznie różniących się ujęć portretowych, które są w zbiorach wawelskich”. Na tym szkicu hrabina Małgorzata trzyma córkę Karolinę w tej samej pozie, co na portrecie olejnym. Na innym portrecie hrabiny Małgorzaty, wykonanym kredką kolorową na papierze (rok 1900, nr inwentaryzacyjny 8181) młoda kobieta jest pokazana w tej samej pozie i tej samej sukni. Ma jednak wielką kokardę, której brak na portrecie olejnym. Na innych szkicach widzimy parasolkę, balustradę tarasu pałacowego, nawet bukietik kwiatów polnych, który mała Karolina trzyma w ręce.

Drugi portret rodzinny Lanckorońskich, mający wymiary 44 x 56 cm, jest bardziej kameralny, ale też bardziej psychologiczny. Całą uwagę Malczewski skupił na twarzach modeli. Surowej, zimnej, pysznej nawet – twarzy hrabiny Małgorzaty. Dziecięcej, bezpośredniej, ale i poważnej – małej Karoliny. Pełnej podziwu, szacunku i miłości do młodej małżonki i kochanej córki – hrabiego Karola Lanckorońskiego. W ręku, wyciągniętym do małżonki, hrabia trzyma czerwonego goździka, a Karolina – ten sam bukietik kwiatów polnych. W kolorowej gamie tego portretu dominują tonacje ciepłe – rudy kolor brody hrabiego, ciemno-rudy – włosów córki, łososiowy – sukni hrabiny, biało-kremowy – sukni córki. Kwiaty polne są białe, żółte, brązowe. Jednak, jak i na pierwszym portrecie, brak tu odzwierciedlenia ciepłych uczuć matczynych i zachwyty córki matką. Malując te portrety w 1900 r., Malczewski nie mógł wiedzieć, jak ułożą się dalsze stosunki matki i córki. Z czasem ich drogi będą się rozchodziły coraz dalej, w dodatki, na tle ideologicznym i narodowościowym.

11 sierpnia 2002 r. hrabina Karolina Lanckorońska ukończyła 104 rok życia. Zmarła dw tygodnie później, 24 sierpnia 2002 r. w Rzymie. Dobiegło kresu długie życie ziemskie ostatni z rodziny hrabiów Lanckorońskich, wybitnego naukowca, mecenasa kultury i po prostu niezwykła osoby, która urodziła się w wieku XIX, a zmarła w XXI.

Adam Redzik

**DEREWNIA KOŁO ŻÓŁKWI
GNAZDO RODU STARZYŃSKICH
MIEJSCE SPOCZYNKU
PROF. STANISŁAWA STARZYŃSKIEGO
(1853–1935)**

Próżno szukać informacji o Derewni w licznych w ostatnich latach publikacjach dotyczących ziemian polskich. Jedynie Roman Aftanazy w monumentalnym studium pt. Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej¹ zostawił niewielką wzmiankę o gnieździe rodowym jednego z najwybitniejszych uczonych jurystów związanych z Uniwersytetem Lwowskim a także ważnym polityku galicyjskim – Stanisławie Starzyńskim (1853–1935)². Zamieścił też jedyne znane zdjęcie rezydencji, czyli pięknego pałacu Starzyńskich.

Wojna i jej następstwa doprowadziły do tego, że przez dziesiątki lat popadała w zapomnienie historia podżółkiewskiego pałacu, podobnie jak i sylwetka jego najbardziej znanego lokatora. W ostatnich latach Stanisław Starzyński do świadomości polskich jurystów został choćby po trosze przywrócony, a badania nad dziejami Derewni i tamtejszego rodu Starzyńskich zaczęły inspirować zarówno niektórych polskich autorów, jak i autorów z Ukrainy, w tym historyków i pasjonatów historii z samej Derewni³. Dzięki nim udało się ustalić, że niektóre meble pałacowe przetrwały, a „święte figurki” z kaplicy przypałacowej znalazły godne miejsce w tutejszej pięknej cerkwi.

W tym miejscu wypada zapytać skąd wzięli się Starzyńscy w Derewni. W ostatnim pożegnaniu prof. Starzyńskiego, przed kaplicą w Derewni, w której spoczął, jego najbliższy uczeń prof. Ludwik Ehrlich przypomniał, że Zmarły był potomkiem starożytnego rodu rycerskiego⁴.

Rzeczywiście ród Starzyńskich, których w starszych relacjach zapisuje się także jako Starzeńscy, sięga tradycją rodzinną odległych dziejów Polski. Spośród praprzodków prof. Stanisława Starzyńskiego

wielu zajmowało wysokie stanowiska i doznawało zaszczytów państwowych w Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Możliwe jest, że Starzyńscy z Derewni wywodzili się z tej samej linii, co Starzeńscy herbu Lis, a osiemnastowieczny poeta, profesor i rektor jezuickiej Akademii Lwowskiej Melchior Starzeński (1722–ok.1788) był odległym krewnym Stanisława Starzyńskiego⁵. Najodleglejsze, sięgające XIV wieku, dzieje rodu Starzeńskich ze Starzenie w Ziemi Wieluńskiej opisał obszernie Teodor Żychliński. Uznał on jednak, że Starzyńscy herbu Doliwa nie są spokrewnieni ze Starzeńskimi herbu Lis. Z kolei w *Silva Heraldica* Łuszczyński wyprowadził Starzyńskich z Derewni ze Starzeńskich⁶.

Prapradziadek Stanisława – Antoni (ur. ok. 1720–zm. 1775) był posłem na sejm 1767/8 r., podstolim latyczowskim i chorążym czerwonogrodzkim, a potem stolnikiem podolskim. W maju 1773 r. został przez króla powołany do Komisji Dobrego Porządku dla Kamieńca Podolskiego⁷. Z kolei pradiadek Józef przyjaźnił się z królem Stanisławem Augustem Poniatowskim i gorliwie bronił Konstytucji z 3 maja 1791 r. – opisywanej po latach przez prawnuka. Józef był chorążym latyczowskim, a potem, od 1788 r., chorążym podolskim⁸. Posłował na sejm 1782 r. Trzy lata później otrzymał Order św. Stanisława. W dniu 13 maja 1791 r. na wieść u uchwaleniu Ustawy Rządowej napisał do króla: „My Polacy nie możemy być szczęśliwi inaczej, jak w szczęściu W.K. Mości”. Cztery dni później, jako przewodniczący Komisji Cywilno-Wojskowej w Kamieńcu Podolskim złożył uroczyste podziękowanie królowi za Konstytucję. Niedługo potem, 31 maja 1791 r., król Stanisław August odznaczył go Orderem Orła Białego. W kolejnych miesiącach przekonywał podolską i wołyńską szlachtę, że tylko Moskwie zależy na obaleniu Konstytucji. Jako marszałek zwołanego sejmiku ogłosił, że jeśli Polacy będą zjednoczeni, „to nie targnie się na nas obcy”⁹. Próbował też przeprowadzić natychmiastowe zaprzysiężenie Konstytucji, co jednak nie udało się z powodu ingerencji rosyjskich i wpływów targowiczian. W porozumieniu z królem i płk. Józefem Poniatowskim (1762–1845) podjął próbę przygotowania szlacheckich oddziałów pomocniczych dla obrony kraju. Na Podolu organizował też partyzantkę¹⁰. W 1792 r. znalazł się na pewien czas we Lwowie, ale potem wrócił na Podole, gdzie prawdopodobnie wkrótce zmarł¹¹. Dodać wypada, że bratem Józefa był Erazm (zm. 1818 r.), również zwolennik Konstytucji 3 maja, zaangażowany w Komisji Cywilno-Wojskowej, major wojsk polskich w 1792 r.¹² i ojciec poety, dramatopisarza i prozaika Stanisława Starzyńskiego (1784–1851), znanego jako Stach z Zamiechowa¹³. Dodać można, że od matki Teresy z Poniatowskich Stanisław Doliwa Starzyński poeta otrzymał w 1842 r. majątek Kulparków we Lwowie. Tam też mieszkał i został pochowany – w grobowcu stanowiącym malowniczy element okolicy.

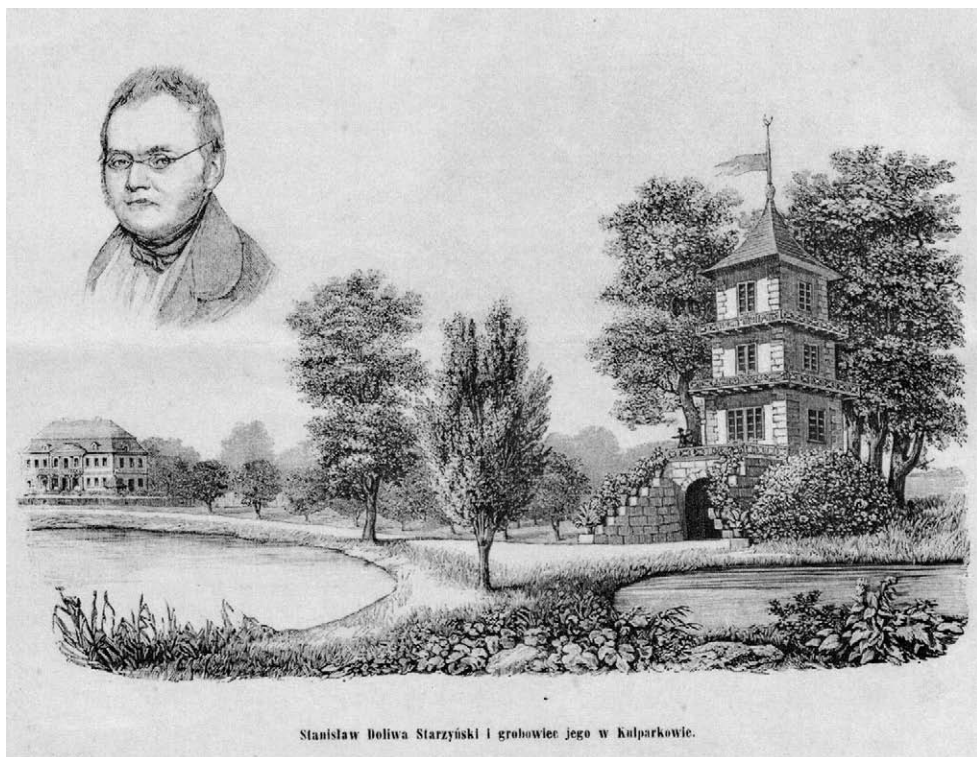


Stanisław Starzyński (1853–1935) – najbardziej znany lokator pałacu w Derewni, profesor prawa politycznego (konstytucyjnego) na Uniwersytecie Lwowskim, rektor, wieloletni poseł do Parlamentu Wiedeńskiego, członek Trybunału Państwa, współautor Konstytucji marcowej z 1921 r.

Dziadkiem przyszłego uczonego był pułkownik wojsk polskich w 1831 r. Stanisław Starzyński (1785–1858). Urodził się on 8 maja 1785 r. w majątku Bednarówka w powiecie kamienieckim w rodzinie Józefa i Katarzyny z Kaczkowskich. Już w młodości poświęcił się sztuce wojskowej, wstępując w 1802 r. do armii rosyjskiej. Walczył m.in. pod Austerlitz. Prawdopodobnie w 1809 r. przeszedł do armii księcia gen. Józefa Poniatowskiego (1763–1813), w której walczył też jego brat Karol. Jako kapitan 2 Pułku Ułanów walczył w kampanii rosyjskiej 1812 r., a w październiku 1813 r. w bitwie narodów pod Lipskiem. Za kampanię został odznaczony krzyżem Legii Honorowej. Około 1814 r. wrócił z resztką żołnierzy do kraju. W czasie Królestwa Polskiego był jednym z grenadierów gwardii pułku stacjonującego w Warszawie. W latach 1830–1831 walczył w powstaniu listopadowym. Za zasługi w bitwie pod Olszynką Grochowską odznaczony został Złotym Krzyżem Virtuti Militari. Potem dowodził jazdą Legii Nadwiślańskiej. Po powstaniu zamieszkał w majątku syna Aleksandra w Sieradzy w powiecie dąbrowskim koło Tarnowa. W połowie lat czterdziestych był zwolennikiem wybuchu powstania z udziałem chłopów. Powstanie takie nie wybuchło. Wkrótce doszło do inspirowanych przez rząd austriacki wystąpień chłopów. Po tym jak syn Aleksander zastrzelił się na widok chłopów zbliżających się do dworu z cepami i widłami, Stanisław wraz z żoną (urodzoną w 1794 r. Konstancją z Bartoszewskich) przeniósł się do majątku drugiego syna Bojomira w Derewni koło Żółkwi, gdzie do końca życia mieszkał i zajmował się gospodarowaniem¹⁴. Zmarł w Derew-



Herb Starzyńskich z Derewni – „Doliwa”



Stanisław Doliwa Starzyński i grobowiec jego w kulparkowie.

ni 12 sierpnia 1858 r. i tam na cmentarzu parafialnym został pochowany¹⁵.

Leżąca dziś na Ukrainie Derewnia była w XIX wieku i w okresie II RP małą wioską o dość długiej historii (taką pozostała do dziś), która swą nazwę zawdzięczała prawdopodobnie płynącej tu rzeczce Derewence – tak przynajmniej wyjaśnia ją autor hasła w *Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego i innych Krajów Słowiańskich*¹⁶.

Dwór znajdował się na półwyspie utworzonym przez staw. Z relacji dzisiejszych mieszkańców, którzy pamiętają jeszcze okres międzywojenny, wynika, że przy dworze był duży, pięknie urządzone i nawodniony park oraz zbudowana prawdopodobnie przez Bojomira – ojca wspomnianego uczonego Stanisława – lub Tadeusza (brata tegoż uczonego) kaplica rzymskokatolicka, w której od około 1920 r. pracował ksiądz rzymskokatolicki.

Wioska była w większości greckokatolicka. Około 1880 r. mieszkało w niej 1111 greckich katolików, 75 rzymskich katolików i 96 wyznawców judaizmu¹⁷. Na miejscu znajdowała się parafia greckokatolicka, zaś rzymscy katolicy należeli do parafii w Żółkwi, ale dzieci rzymskokatolickie – zgodnie z tradycją – chrzczono w miejscowej cerkwi.

Derewnia początkowo należała do Żółkiewskich, potem do Sobieskich, po których wygaśnięciu przeszła wraz z dobrami żółkiewskimi na własność Radziwiłłów. Od nich dobra z dworem oraz wioską zakupili Tworziańscy. Dziedziczka, Henryka (Henrietta) ze Starzyńskich Tworziańska (zm. 31 marca 1855 r.), zapisała majątek w Derewni wspomnianemu Bojomirovi Starzyńskiemu¹⁸ – ojcu późniejszego uczonego i zarazem swojemu kuzynowi.

Bojomir Starzyński, a właściwie Marian Franciszek Bojomir, urodził się 26 stycznia 1824 r. W młodości był porucznikiem huzarów wojsk austriackich, a potem wieloletnim członkiem Rady Powiatowej w Żółkwi. Ponadto działał w Galicyjskim Towarzystwie Gospodarczym i był członkiem Rady Nadzorczej Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń w Krakowie¹⁹. Poświęcał się jednak przede wszystkim zarządzaniu majątkiem Derewnia, przyczyniając się do jego rozbudowy i być może budowy nowego dworu. Zmarł przedwcześnie 29 kwietnia 1874 r. i spoczął obok ojca na cmentarzu w Derewni. Odtąd majątkiem Derewnia kierowała wdowa po Bojomirze Zofia z Kulczyckich (ur. 1820) z synami Stanisławem i młodszym o trzy lata Tadeuszem (ur. 1856 r.)²⁰. W majątku wychowywała się też ich najmłodsza córka – Jadwiga Konstancja (czasami występuje pod imieniem Wilhelmina) (1862–1944)²¹. Pomocą wychowawczą służyła ponoć także babcia Konstancja.



Zaniedbany cmentarz w Derewni

Wypada w tym miejscu dodać, że wspomniana Jadwiga, po mężu Kronhelmowa, kierowała biurem podróży w Trzebini²², a po zamieszkaniu, na początku wieku, w Zakopanem otworzyła tam pierwszy, potem elitarny pensjonat „Skoczyska”. Jadwiga Konstancja Kronhelm prowadziła nie tylko najbardziej ekskluzywny zakopiański pensjonat, ale była też osobą w Zakopanem powszechnie znaną. Dziś w budynku odbudowanym w 1910 r. przez Kronhelmową znajduje się szkoła plastyczna²³.

Wspomniany młodszy od Stanisława brat Tadeusz w dniu 20 sierpnia 1902 r. poślubił w Poznaniu Józefę Czarnecką herbu Prus, córkę Stanisława i Anny z Mielżyńskich, urodzoną 24 października 1870 r.²⁴ Małżeństwu urodziły się dwie córki, Konstancja (w 1903 r.) oraz Zofia (w 1907 r.). W latach 1887–1914 Tadeusz zasiadał w Radzie Powiatowej w Żółkwi i z jej ramienia był zastępcą przewodniczącego Powiatowej Rady Szkolnej. Prezesował żółkiewskiemu oddziałowi Galicyjskiego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego oraz działał w Galicyjskim Towarzystwie Gospodarczym, a od 1898 r. w Towarzystwie Wzajemnych Ubezpieczeń w Krakowie. W latach 1896–1897 był burmistrzem Żółkwi, a w latach 1895–1901 (kuria gmin wiejskich, okręg Żółkiew), 1901–1907 i 1913–1914 (kuria większej własności, obwód żółkiewski) był posłem do Sejmu Krajowego we Lwowie²⁵. Majątkiem Derewnia Tadeusz zarządzał do swej śmierci w 1926 r.²⁶ On to był sprawcą gruntownej rozbudowy dworu.

Pierwotnie dwór był budowlą jednokondygnacyjną, trzynastoosiową, założoną na rzucie długiego prostokąta. Stronę frontową zdobił kolumnowy portyk. Jak pisał Roman Aftanazy, „trójosiowe części skrajne występowały z elewacji jako pozorne ryzality. Wszystkie elewacje rozczłonkowane były parami pilastrów, umieszczonych w płaszczyznach międzyokiennych. Od tyłu, na szerokości trzech osi środkowych, mieścił się taras. Dawny dwór nakrywać miał dach wysoki, czterospadowy”²⁷. Podczas wspomnianej rozbudowy nad prawą częścią dworu nadbudowano niskie piętterko. Przekształcono też zupełnie lewą część dworu, gdzie przedłużono ryzalit o dwie dalsze osie, a nad całością tej strony nadbudowano piętro. Frontowy portyk został zastąpiony rodzajem trójściennego, otwartego od frontu przedsionka. Całość dworu nakryto dachem mansardowym pobitym gontami, a w połaciach dolnych dachu korpusu głównego umieszczono cztery półkoliste niewielkie okna. Jak pisał Aftanazy, powołujący się na spokrewnionego ze Starzyńskimi Stanisława Potockiego-Czarneckiego: „Po zakończonej rozbudowie dwór prezentował się jako bryła niesymetryczna, ale bardzo malownicza”²⁸.

Podczas I wojny światowej dwór był częściowo zniszczony, ale potem został odrestaurowany i uporządkowany. Dwór wewnątrz był starannie urządzony, także pięknymi meblami z okresu pierwszego cesarstwa. Ze

wszystkich stron dwór otoczony był rozległymi strzyżonymi gazonami, klombami i rabatami kwiatowymi. Wrażenie robiły „wspaniale rozrośnięte drzewa starego parku”, a także malowniczy staw z porośniętą olchami wyspą.

W niedalekiej odległości od dworu, na terenie parku znajdowała się klasycystyczna kaplica²⁹, której fotografii oraz opisu nie udało się odnaleźć, a jedynie dwoję świątków z niej pochodzących.

Ostatnimi właścicielkami majątku w Derewni były córki Tadeusza Konstancja oraz Zofia (R. Aftanazy podaje, że właścicielką była tylko Konstancja³⁰). Ostatnie lata życia spędzał w Derewni też prof. Stanisław Starzyński, który zrezygnował z katedry na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza w 1925 r., który posiadał też kamienicę przy ul. Akademickiej we Lwowie i zapewne miesiące mieszkał na przemian we Lwowie i w Derewni. Choć zmarł właśnie we Lwowie, to pochowany został w kaplicy rodowej w Derewni.

Po wkroczeniu Sowietów w 1939 r. Konstancja oraz Zofia wyjechały z furmanem Wasylkiem do kuzynki Branickiej do Wilanowa pod Warszawą. Tam spędziły wojnę.

Zofia związała się z zarządcą majątku z ramienia Niemców, Andrzejem Szenicem (1898–1970), z którym w 1945 r. wzięła w Wila-



W cerkwi w Derewni zachowały się przedmioty z pałacowej kaplicy – figurki Jezusa i Maryi a także dwa meble. Fot. Bohdan Z.



nowie ślub. W tym samym roku wyjechali na Śląsk, zabierając ze sobą na wychowanie kilkunastoletnią córkę właścicieli Wilanowa, Beatę Branicką (po mężu Rybińską), co uchroniło ją od wywózki do Rosji. Zmarła bezpotomnie w 1967 r.

Konstancja nie wyszła za mąż. W okresie okupacji była żołnierzem AK, a także dowódczynią miejscowego oddziału Wojskowej Służby Kobiet. Anna Branicka-Wolska wspomina, że była jej przełożoną w AK. Po tym, jak Branickich wywieziono w 1945 r. na trzy lata do Rosji, podjęła pracę urzędniczką w dawnym majątku³¹. Zmarła w 1971 r. i pochowana została na cmentarzu w Wilanowie³².

Tragiczne były po 1939 r. losy majątku w Derewni, w tym pięknego dworu i kaplicy. Po klęsce wrześniowej 1939 r. majątek Starzyńskich, znajdujący się na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej dostał się pod okupację sowiecką. Prawdopodobnie wkrótce po ponownym wkroczeniu w 1944 r. do Galicji Sowieców zniszczono murowany dwukondygnacyjny dwór, ogród i kaplicę rodową, w której spoczywały doczesne szczątki części rodziny Starzyńskich.

Dziś nie zostało po Starzyńskich w Derewni niemal nic... tylko ostatnie drzewa pamiętają park, pałac i dwór oraz ta niewielka rzeczka... Może wkrótce choć na miejscu danej kaplicy stanie krzyż z informacją o miejscu pochówku dawnych właścicieli miejscowych dóbr i uczonego, który na stałe wpisał się w dzieje nauki prawa a także w historię nauki, jako współautor monumentalnej Historii Uniwersytetu Lwowskiego z 1894 r. (obok Ludwika Finkla). Wśród ogromu jego uczniów (wykładał przez ponad 50 lat) były setki Polaków, Żydów ale także Rusinów – Ukraińców. Jemu też Żółkiew zawdzięczała gimnazjum, ale to już inny temat.

PRZYPISY

- ¹ Por. R. Aftanazy, *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*, t. 6, *Ziemie ruskie Korony. Województwo bełskie, Ziemia Chełmska województwa ruskiego*, Wrocław: Ossolineum 1995, s. 17.
- ² Poniższe treści w większości zawarte są w książce autora opracowania, która nie jest szerzej znana, a ukazała się w nakładzie 200 egzemplarzy. A. Redzik, *Stanisław Starzyński (1853-1935) a rozwój polskiej nauki prawa konstytucyjnego*, Warszawa-Kraków: Wydawnictwo Wysoki Zamek 2012.
- ³ Mam tu na myśli dyrektora miejscowej szkoły p. Andrija Majdana oraz młodego badacza p. Bohdana Zelenyj'a.
- ⁴ *Przemówienie Dziekana Wydziału Prawa Prof. Dra Ludwika Ehrlicha na pogrzebie ś.p. Stanisława Starzyńskiego*, s. 316.
- ⁵ Nie przeprowadzono na ten temat badań, a herbarze nie pozwalają nam jednoznacznie potwierdzić stopnia pokrewieństwa. Zob. M. Starzeński, *Wiersze zebrane*, zgromadziła i opracowała E. Aleksandrowska, Kraków-Warszawa 2004.
- ⁶ T. Żychliński, *Złota księga szlachty polskiej*, rocz. VII, Poznań 1885, s. 21 1-253. Informacje o Silwa Heraldica pochodzą od dr. Marka Jerzego Minakowskiego. Zob. też <http://www.seim-wielki.pl> – portal dr. M. J. Minakowskiego; K. Niesiecki, *Herbarz polski*, t. 8, s. 509-511.
- ⁷ O działalności Antoniego Starzyńskiego zob. m.in. R. Król-Mazur, *Miasto trzech nacji Kamieńca Podolskiego w XVIII wieku*, Kraków 2008, s. 487.
- ⁸ *Ibidem*, s. 194.
- ⁹ *Ibidem*, s. 551.
- ¹⁰ *Ibidem*, s. 571.
- ¹¹ Z. Zielińska, *Starzyński Józef h. Doliwa (zm. po 1808)*, PSB, t. XLII, s. 460-462.
- ¹² Poprzez małżeństwo z Teresą z Poniatowskich (córką gen. Ignacego Poniatowskiego, brata króla), był spowinowaony z rodziną królewską. Zob. E. Orman-Michta, *Starzyński Erazm (zm. 1818)*, PSB, t. XLII, s. 455.
- ¹³ D. Kowalewska, *Starzyński (Starzeński) Stanisław h. Doliwa pseud. Stach z Zamiechowa, Podolanin, Walidos, krypt. S.S. (1784-1851)*, PSB, t. XLII, s. 477-480; eadem, *Poeta wśród „zdarzeń prawdziwych”. Puścizna prozatorska Stanisława Doliwy Starzyńskiego*, Toruń 2001.
- ¹⁴ E. Orman-Michta, *Starzyński Stanisław h. Doliwa (1785-1858)*, PSB, t. XLII, s. 480-481. Zob. też notatka o dziadku napisana przez prof. Starzyńskiego w 1934 r, która znajduje się w zbiorach Redakcji „Polskiego Słownika Biograficznego”.
- ¹⁵ Z kolei Konstancja z Bartoszewskich zmarła 10 października 1882 r. i również spoczęła na derewniańskim cmentarzu. Informacje o latach życia Stanisława i Konstancji pochodzą z tablic nagrobnych.
- ¹⁶ W języku ukraińskim można wyprowadzić nazwę wioski od przymiotnika „derewnij”, co oznacza stary, archaiczny.

- ¹⁷ *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych Krajów Słowiańskich*, t. II, s. 7.
- ¹⁸ *Ibidem*.
- ¹⁹ E. Orman-Michta, *Starzyński Stanisław h. Doliwa (1785-1858)*, s. 481.
- ²⁰ J. Białynia-Chołodecki, *Księga pamiątkowa półwiekowego jubileuszu Gimnazjum im. Franciszka Józefa I we Lwowie*, Lwów 1909, s. 355-356.
- ²¹ Autor hasła w *Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego i innych Krajów Słowiańskich* stwierdza, że w latach osiemdziesiątych XIX w. właścicielami majątku w Derewni byli spadkobiercy Bojomira: Stanisław, Tadeusz i Jadwiga (ur. 1862) Starzeńscy (t. II, Warszawa 1881, s. 7).
- ²² W liście do namiestnika Bobrzyńskiego z 20 listopada 1909 r. Starzyński żalił się, że siostra popada w kłopoty finansowe, gdyż jej biuro ma koncesję, a wokół jest wielu „agentów prywatnych”, którzy nie potrzebują koncesji. Poza tym podnosi problem emigracji. BJ OR, sygn. 8091, k. 271-272.
- ²³ Zob. m.in. M. Pinkwart, L. Długołęcka-Pinkwart, *Zakopane. Przewodnik historyczny*, Pascal 2006.
- ²⁴ Dane z odpisu dokumentu udostępnionego przez Annę Branicką-Wolską.
- ²⁵ S. Grodziski, *Sejm Krajowy Galicyjski 1861-1914. Źródła*, Warszawa 1993, s. 198, 202, 218. 3 września 1907 r. posłem został w jego miejsce brat Stanisław Starzyński.
- ²⁶ Interesy majątkowe Tadeusza reprezentował prof. Piotr Stebelski. Data śmierci Tadeusza jest podana jako wysoce prawdopodobna. Por. R. Aftanazy, *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*, t. 6, Ziemia ruska Korony. Województwo bełskie, Ziemia Chełmska województwa ruskiego, Wrocław: Ossolineum 1995, s. 17.
- ²⁷ R. Aftanazy, *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*, t. 6, s. 17-18. Autor powołuje się na *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*.
- ²⁸ R. Aftanazy, *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*, t. 6, s. 18.
- ²⁹ Por. *Ibidem*, s. 18.
- ³⁰ *Ibidem*, t. 6, s. 17.
- ³¹ Informacje od Anny Branickiej-Wolskiej z Warszawy (21 listopada 2011 r.)
- ³² Roman Aftanazy (*Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*, t. 6, s. 17), jako rok śmierci Konstancji podaje 1973. Lwowa”, Lwów, 2008, t.2, s. 133-134

Danuta Greszczuk

WOJOWANIE MICHAŁA TARASIEWICZA LWOWSKI SEZON TEATRALNY 1919–1921

Wiosną 1919 roku rozpoczął starania o posadę dyrektora teatru lwowskiego po Romanie Żelazowskim „subtelny artysta, uczeń Pawlikowskiego”¹ Michał Tarasiewicz. Radni chętnie przystali na jego kandydaturę, ponieważ „był jednocześnie właścicielem doskonale prosperującej firmy o ustalonej renomie”².

W Kasynie miejskim 30 czerwca 1919 r. odbyła się konferencja z przedstawicielami prasy, przewodniczył jej wiceprezydent Rady miejskiej prof. Chlamtacz. Przedstawiciele Komisji teatralnej oraz wszyscy zebrani usłyszeli przemówienie nowego dyrektora, który wygłosił swe ogólne „credo” odnośnie prac nad teatrem. Nowy dyrektor przyznał się przybyłym, że bardzo długo zastanawiał się i wahał nad objęciem posady dyrektora we Lwowie: „Pojmując wysoko obowiązki i zadania dyrektora sceny polskiej na kresach, nie zapominam mimo to ani na chwilę, iż jestem zamianowany wóldarzem dobra publicznego, dobra miejskiego, że nie wolno mi grosza marnować na rzeczy puste i bezwartościowe dla dogodzenia zachciankom lub ambicjom przesadnym. Pragnę przy harmonijnej pracy całego personelu stworzyć stały repertuar poważny, pamiętając o literaturze dawniejszej, wprowadzać na scenę dzieła autorów młodych, nie chcę czekać, aż oni do mnie się zgłoszą, lecz sam będę ich szukać i do twórczości pobudzać. Pragnę doprowadzić do tego, żeby teatr wypełniała nie publiczność przygodna, idąca tam jedynie dla zabicia czasu i nudów, lecz – oprócz takiej – również i w większej ilości publiczność, dla której teatr stał się potrzebą umysłową, publiczność związana ze sceną wspólnym ukochaniem ideałów narodowych i wszechludzkich”³. Na posiedzeniu poruszono wiele kwestii. Na początek dyrektor zaproponował zebranym przenieść dramat z Teatru Wielkiego do sali w Domu Katolickim przy ulicy Gródeckiej, ponieważ trudności wynikające z połączenia w jednym gmachu trzech odrębnych działów w żaden sposób nie sprzyjały rozwojowi, wręcz przeciwnie stwarzały

sporo niedogodności i chaos. Jednocześnie zapewnił wszystkich o zastrzeżeniu dla dramatu sceny wielkiej cztery razy w tygodniu⁴.

Sezon 1919/1920

Od dnia 1 lipca 1919 roku dyrekcję powierzono Michałowi Tarasiewiczowi. Kontrakt z nim został podpisany na trzy lata. Radni zobowiązali nowego dyrektora, by nie było przerwy w przedstawieniach, bez względu na trudności⁵. W operze i operetce grano od 1 lipca 1919 r., a w dramacie przedstawienia odbywały się już od sierpnia. Tarasiewicz objął teatr, gdy ten był w zupełnej dezorganizacji.

Nowy dyrektor powiększył skład trupy aktorskiej teatru lwowskiego do 300 osób, uważał jednak tę liczbę za niewystarczającą i dlatego czynił starania, aby zasilić personel jeszcze kilkunastoma osobami z Warszawy⁶. Bezskutecznie jednak starał się pozyskać jednego z najlepszych dekoratorów, Wincenta Drabika. Dzięki namowom dyrektora na jeszcze jeden sezon pozostał w zespole Roman Żelazowski. W dramacie wierni scenie lwowskiej pozostali: Irena Trapszo-Chodowiecka, Leonia i Henryk Barwiński, Kazimierz Justian, Jan Nowacki, Michał Szobert, Janusz Warnecki, Robert Boelke, Janina Werwiczówna, Zuzanna Łozińska, Stefan Michułowicz. W reżyserii dla opery pozostali Filip Kuligowski i Adam Koński. W dramacie na przemian pracowali Roman Żelazowski, Jan Nowacki, Henryk Hertz-Barwiński, Franciszek Frączkowski i Kazimierz Okornicki. Z referencji Drabika głównym scenografem został Józef Wodyński. Orkiestrą i chórami dyrygowali: Artur Rodziński, Alfred Stadler, Bronisław Wolfstal i Józef Lehrer.

Na przełomie dwóch sezonów wznowiono operę Verdiego „*Ernani*” (17.07.1919), w której mógł zadebiutować przed pulpitem dyrygenckim Artur Rodziński. Z nabycia świetnego dyrygenta cieszyły się koła muzyczne, widząc w Rodzińskim „siłę utalentowaną i sumienną”⁷.

Na rozpoczęcie sezonu w dramacie wystawiono komedię M. Fijałkowskiego „*Gorąca krew*” w reżyserii Jana Nowackiego. Komedia została nazwana przez krytyka „Wieku Nowego” rzeczą banalną. Oceniał i podkreślał zasadnicze wady w kilku słowach: „Rozwlekłość niektórych scen i niszczenie komizmu przez dosadne, a przy tym stale powtarzające się wybijanie pointy – to kardynalne wady świeżo wprowadzonej komedii”⁸. Z tą opinią nie zgodziło się „Słowo Polskie” i nazwało komedię Fijałkowskiego „słonecznym produktem”, który publiczność krytyka wita z otwartymi ramionami, bez cienia wahania czy wątpliwości⁹. Dzięki „wyjątkowe świetnej” grze artystów prorokowano sztuce utrzymanie się na afiszu (zagrano komedię 10 razy). W roli Magdy wiodła prym Janina Werwicz, „wycieniowana gra jej i szczery,

rzetelny temperament stworzył prawdziwe cacko¹⁰. Jak zawsze na wysokim poziomie była gra Ireny Trapszo (Irena Oleska) tworzącej „pyszny typ kobiety zalotnej, świadomej metod i taktyki miłosnej”¹¹. Wśród mężczyzn wymieniono i wyróżniono J. Nowackiego (Stefan), S. Miłulowicza (Modest) i niedawno pozyskanego M. Rydzewskiego (Michał Szafraniec). Na rozpoczęcie sezonu życzo dyrekcji teatru i aktorom powodzenia i pokonania wszelkich niezręczności lub trudności.

Dobrym pomysłem nowej dyrekcji teatru okazało się wznowienie sztuk Bolesława Gorczyńskiego „Konstytucji” i „Rzeczywistości”. W „Konstytucji” po raz pierwszy w tym sezonie zaprezentowali się nowi artyści Stanisław Larewicz (Henryk Litoski) i Franciszek Frączkowski (Hieronim). Odegrane przez innych aktorów role uznano za poprawne, co przypisywano przemyślanej i sumiennej reżyserii Okornickiego. Tylko strona dekoratywna była zbyt bogata, ale to były „echa przeszłego sezonu”¹². Gazety zaledwie odnotowały o wznowionej „Rzeczywistości”, że gra trójki aktorów (Trapszo, Okornickiego i Werniczówny) była „wprost doskonała”, a o nowo zaangażowanej Jadwidze Żmijewskiej odnotowano tylko, że wcieliła się w postać Podelskiej¹³.

Wystawiona dnia 23 sierpnia 1919 r. sztuka Jana Adolfa Hertza „Na sprzedaż” w reżyserii Franciszka Frączkowskiego miała swoje dodatnie i ujemne strony. Publiczność podzieliła się na dwa obozy: na tłumiącą ziewanie i zniechęcenie „intelektualnie wybredniejszą” oraz na doskonale bawiącą się „szerszą publiczność”¹⁴. Sam autor nie przypadł recenzentom do gustu, albowiem „operował materiałem przeciętności i popolitości”¹⁵. Zarzucono pisarzowi, że w całej „robocie znać pośpiech i bezplanowość (...), łatwo zrozumieć ile trudności mieli do zwalczania nasi artyści, aby sztuce p. Hertza nadać koloryt życia i prawdopodobieństwa”¹⁶. Natomiast reżyseria, jak podkreślił krytyk „Wieku Nowego”, była zachwycająca, bowiem przypominała najświetniejsze tradycje i czasy teatru lwowskiego za dyrekcji Pawlikowskiego¹⁷. Gra aktorów była „pierwszorzędna”, wyróżnili się Robert Böhlke, Helena Hałacińska, Kazimierz Okornicki i Henryk Hertz-Barwiński. Słowa uznania otrzymał również Tarasiewicz: „Na każdym drobiazgu widzi się, że spoczywało na nim baczne oko twórcy – reżysera i tego niewidocznego, a jednak wiedzącego o wszystkim, którego oficjalnie się nazywa dyrektorem”¹⁸.

W celu wypełnienia widowni obok pozycji wartościowych i szlacheckich Tarasiewicz zmuszony był wystawiać krotkowile, farsy, a poza tym pod jego zarządem pozostawały też i inne działy, choć od lipca 1919 r. operą kierowała Janina Korolewicz-Waydowa. Na początek sezonu, oprócz wyżej wymienionych sztuk, wystawiono nowość: „Podjazd nieprzyjacielski” Władysława Jastrzębiec Zalewskiego. W dziale operet-

ki wznowiono „*Ptasznika*” Karola Zellera (09.09.1919) oraz „*Gejsze*” Sidneya Jonesa (19.09.1919). W lipcu z gościnnymi występami w operze śpiewał Ignacy Dygas („*Pajace*” (02 i 08.08.1919), „*Żydówka*” (04 i 10.08.1919), „*Halka*” (07.08.1919), „*Hrabina*” (11.08.1919), „*Opowieść Hofmanna*” (12.08.1919)). Sztuki poważne nie ciekawiły widza, publiczność lwowska wolała zabawiać się na błahych i urozmaiconych przedstawieniach w Teatrze Wodewilowym przy ulicy Ossolińskich 10 lub w otwartym w sierpniu 1919 r. Teatrze Rozmaitości pod dyrekcją Edmunda Rygiere.

Aktualna tematyka i świetne wykonanie sztuki Zofii Wójcickiej „*Jeszcze wczoraj*” (10.09.1919) w reżyserii Henryka Hertz-Barwińskiego zostało docenione przez publiczność i ciepło przyjęte przez recenzentów. Teoria Barwińskiego polegająca na „znacznej samodzielności reżysera wobec utworu i jego didaskaliów – zwłaszcza w dążeniu do wypracowania polskiego stylu gry i reżyserii”¹⁹ tym razem w całości przypadła publiczności lwowskiej, która zawsze była przeciwna wszelakim nowościom. Premiera sztuki Wójcickiej – przepojonej miłością do Ojczyzny, opartej na aktualnych, tragicznych przeżyciach narodu polskiego w czasie wojny – przypadła również na przyjazd gości z ziemi Warmińskiej i Mazowsza pruskiego, zmieniając się w swoistą manifestację patriotyzmu i braterstwa. Jako pierwszą z grona artystów wymieniono Leonie Barwińską (w roli Zofii Koreckiej) „doskonale tragiczną w każdym geście” oraz Marcina Rydzewskiego (Topolnicki) – „tragika bardzo głębokiego, a działającego szlachetną i spokojną grą”²⁰. Obok niełatwej reżyserii Barwiński z niezwykłym talentem odtworzył rolę Romana Koreckiego²¹.

Po pierwszych miesiącach ciągłego borykania się Tarasiewicza ze sprawami technicznymi i administracyjnymi²² przyszedł czas wprowadzenia na deski teatru Wielkiego polskiego dramatu i komedii. Rozpoczęto od wystawienia w dniu 25 września 1919 r. tragedii Stanisława Żeromskiego „*Sułkowski*”. Dyrekcja powierzyła reżyserię Franciszkowi Frączkowskiemu, który miał nie byle jakie zadanie, ponieważ utwór początkowo nie był pisany dla sceny. Główną rolę kapitana Józefa Sułkowskiego grali na przemian Robert Bóhlke i Marian Kozłowski²³. Powierzenie głównej roli dwom aktorom o różnych indywidualnościach i różnej sile talentu było pewnego rodzaju czynem zamierzonym i bardzo praktycznym, miało „to tę zaletę, pedagogiczną, że kreacje mogą się nawzajem uzupełnić i doskonalić”²⁴. Do gustu przypadły nowe dekoracje Józefa Wodyńskiego wykonane w pracowni Balka i Polityńskiego. Pomysł jednolitego obramienia w „śnieżno-białe” granice był estetycznie prostym, a jednocześnie dobrym rozwiązaniem i dobrym początkiem dyrekcji Tarasiewicza: „Wystawienie „*Sułkowskiego*” było właściwym rozpoczęciem pracy dyrektora Tarasiewicza,

rozpoczęciem świetnym pod każdym względem”²⁵. W późniejszym artykule odwołano się do rozwiązań plastycznych sceny w teatrze, podkreślając raz jeszcze zasługi i pomysłowość nowego dekoratora. Oszczędność środków pozwoliła zaistnieć dziełu w subtelny sposób, nie narzucający się widzowi, w tym bowiem tkwiła „siła” dekoracji do „Sułkowskiego”, która spełniała najważniejszą rolę - podporządkowanie się sztuce²⁶. Rola Księcia d'Este początkowo miała być odegrana przez Żelazowskiego, lecz aktor nie przyjął roli²⁷ i zagrał ją Marcin Rydzewski. Na premierze po każdym akcie publiczność wyrażała szczere zadowolenie za pomocą burzy oklasków, zmuszając do kilkakrotnego wznoszenia kurtyny i odsłaniania „tych przepięknych obrazów, jakimi się akt każdy zamyka”²⁸. Dla uczczenia 102-ej rocznicy śmierci Tadeusza Kościuszki w dniu 15 października 1919 roku wystawiono również „Sułkowskiego”. Starannie wyreżyserowana sztuka, wystawiona z pietyzmem, znakomita gra aktorów oraz przemówienie ks. Biskupa W. Bandurskiego wywarły na szczelnie wypełnionej widowni ogromne wrażenie: „Teatr nasz stał się teraz naprawdę świątynią sztuki”²⁹. Grano sztukę w ciągu sezonu 26 razy, „cyfrę niepamiętną od lat we Lwowie”³⁰, przy czym publiczność zawsze wypełniała widownię.

Sezon operowy – tak bardzo oczekiwany przez sfery muzyczne – rozpoczął się, ze znacznym opóźnieniem (24.10.1919), wystawieniem opery narodowej Stanisława Moniuszki „*Straszny dwór*”. Oczekiwano od nowej dyirekcji wysoce artystycznego wysiłku. Przedstawienie operowe na rozpoczęcie sezonu było wystawione z wielką starannością, dyirekcja nie szczędziła sił i nakładów finansowych, lecz „od doskonałości jednakże wyżyn wprawdzie artystycznych dzielił je jeszcze spory szmat drogi”³¹.

Dyirekcja dla uczczenia 60. lecia pracy scenicznej wielkiej artystki i lwowianki, Teofili Nowakowskiej dnia 6 listopada 1919 r. urządziła przedstawienie honorowe, wystawiając akt I „*Halki*”, akt II „*Sułkowskiego*” i akt II „*Polskiej krwi*”. Pomimo podeszłego wieku Jubilatka wygłosiła wiersz M. Konopnickiej „Bez dachu”. Wieczór pełen wzruszeń, oklasków i bukietów kwiatów był dla Nowakowskiej zasłużonym uhonorowaniem jej całego dorobku artystycznego³².

Na dyirekcję Tarasiewicza przypadła rocznica oswobodzenia Lwowa (22.11.1919). Teatr lwowski, mając uczcić pierwszą rocznicę jednego z najbardziej bohaterskich momentów w historii miasta postanowił wystawić Wyspiańskiego. Kulminacyjnym punktem uroczystości było przedziwne misterium dramatyczne pt. „*Królowa Polskiej Korony*”. Widownia, jak zauważyli krytycy, była „przepełniona po brzegi”. Wśród zebranych znajdowało się sporo dostojnych gości, najważniejszymi spośród nich byli obrońcy miasta, którym Lwów zawdzięczał swoje oswo-

bodzenie i w pierwszych słowach przemówienia majora Nelskiego-Łapińskiego składał hołd ich bohaterstwu. Reżyserię powierzono Franciszkowi Frączkowskiemu. Przedstawiający się oczom widzów moment ślubów Jana Kazimierza wystawiono z całym szacunkiem i przepychem. Słowa pochwały za wspaniałe dekoracje i całe urządzenie prezbiterium katedry zebrał Józef Wodyński. Do inscenizacji załączony został cały personel teatralny, na scenę wyszli wszyscy artyści trzech działów. W rolę Jana Kazimierza wcielił się dyrektor Tarasiewicz. Jeśli chodzi o tę kreację, głosy krytyków były podzielone. „Wiek Nowy” wznosił pochwały: „Wystudiował każdy gest, każdą pauzę myślową, każdy uczuciowy akapit, więc potężna scena oddania się pod opiekę Królowej Korony Polskiej robiła właściwe wrażenie”³³. Według krytyka „Słowa Polskiego” Tarasiewicz był „niedysponowany głosowo, przy tym pojął rolę niewłaściwie, od strony raczej deklamacyjnej i tylko miejscami zdobył się na ton przejmującej szczerości i należytej ekspresji uczuciowej”³⁴. Jeśli chodzi o inscenizację, jak spostrzegł Jedlicz, „rzecz pojęto i przedstawiono zbyt realistycznie i zgiełkliwe, bez koniecznego rytmu nastrojowego, wskutek czego ważne dla zrozumienia akcji i idei dramatu dialogi szlachty i dygnitarzy, niecieniowane zresztą należyście, ginęły w ogólnym gwarze”³⁵. Mimo tak niewielkich błędów i usterek widowisko wywarło na licznie przybyłej publiczności ogromne wrażenie i niewątpliwie „przyćmiło” drugą, wokalnie-muzyczną, część wieczoru.

Dzieło Wyspiańskiego „Królowa Polskiej Korony” powtórzono jeszcze raz w dniu 27 listopada 1919 r., tym razem dla uczczenia rocznic zgonu Adama Mickiewicza i Stanisława Wyspiańskiego. Tym razem misterium było na wyższym poziomie artystycznym, ponieważ Tarasiewicz „pogłębił swą kreację i miał akcenty porywające”³⁶. W drugiej części wieczoru, po raz pierwszy wystawiono scenę czwartą z dramatu S. Wyspiańskiego „Legion”, w reżyserii F. Frączkowskiego. Krytycy zaznaczali z żalem, że musiano ograniczyć się jedynie do wystawienia jednej sceny, przez co „takie ukazanie luźnej sceny utworu o tak głębokim wątku ideowym prowadzi tylko do nieporozumienia i mętnych wniosków, co do sensu całości, przy tym niepomierne niweluje artystyczno-emocjonalne walory dzieła”³⁷. Ukazana scena czwarta rozgrywająca się między Mickiewiczem a Matką Makryną w klasztorze Trinita de Monti wywarła silne wrażenie. Odtwórcy tych postaci (Janusz Kozłowski i Leonia Barwińska) „wyszli obronną ręką” z niezmiernie trudnego zadania³⁸.

Głośno reklamowane za granicą powodzenie sztuki Henryka Kistermaekersa „Zasadzki” skłoniło dyrekcję do wystawienia w dniu 5 grudnia 1919 r. „fabrykatu, bardzo długiej a nie bardzo interesującej sztuki”, jak określił ją Artur Schröder³⁹. Reżyser sztuki – Jan Nowacki uczynił,

co w jego mocy, aby ostatecznie nie popsuć „fabrykatu” Kistermaekersa. Nawet J. Jedlicz widział w tej sztuce „ciężki, mozolnie sklecony gmach, pełen przybudówek i podpór, niezwiązany architektonicznie i grożący runięciem, tu i ówdzie spiętrzony melodramatycznie”⁴⁰. Nie zważając na wszystkie błędy, niedociągnięcia i przerysowania, których nie było w jego dawniejszym „Szpiegu” (sztuka wznowiona w poprzednim sezonie 19.05.1919.), artyści przeważnie grali bardzo dobrze. Nieoceniony Żelazowski z roli fabrykanta „automobilów” wydobyl mocą swego dużego talentu wszystko, świetnie podkreślając stan psychiczny duszy: „Kaźda zresztą gra Żelazowskiego to jest popis umiejętności aktorskiej wspartej o dużą kulturę artystyczną”⁴¹. Na wyróżnienie zasłużył Stefan Michulowicz występujący w roli Roberta: „Pełen właściwego zapału w momentach dramatycznych, a umiejętny modulator w scenach lirycznych”⁴².

W dniu 13 grudnia 1919 roku, w popołudniowej porze, w prawie pustej sali, widzowie obejrzeni „stare, poczciwe, mądre malowidło obyczajowe”⁴³. Wystawiono komedię Józefa Korzeniowskiego „*Wąsy i peruka*”. Dyrekcja teatru przygotowywała wcześniej „*Wąsy i perukę*” jako sztukę inauguracyjną. W dwa dni po premierze „*Sułkowskiego*”, dnia 27 września 1919 r., zgodnie z obietnicami radnych, miała rozpocząć życie nowa placówka teatralna w Domu Katolickim przy ulicy Gródeckiej. Lecz z powodu braku krzeseł, zatrzymanych na granicy czeskiej, otwarcie teatru nie doszło do skutku. Drugim powodem, dla którego dyrekcja wystawiła ze starannością nową komedię, było uczczenie jubileuszu Teofili Nowakowskiej. Już po raz drugi obchodzono jubileusz słynnej artystki. Scena lwowska, która niejednokrotnie za dyrekcji Tarasiewicza dała dowody, iż do dzieł takich umie się zabrać i przygotowuje je z pietyzmem, „*Wąsami i peruką*” zyskała sobie znowu rzetelną pochwałę i uznanie. Reżyserowi Barwińskiemu pogratulowano sukcesu: „Całość miała styl, tchnęła epoką i stała na wysokim poziomie artystycznym; artyści prawie bez wyjątku grali bardzo starannie i bardzo dobrze, a niektóre sceny były wprost popisem kunsztu aktorskiego”⁴⁴. Wykonane z dużą starannością dekoracje Wodyńskiego jak zawsze były „zrobione ze smakiem”. Z całego grona na plan pierwszy wybiła się Irena Trapszo w roli starościny Niepołomskiej. W grze jej było coś więcej, niż zwykle opanowanie środków technicznych, niż talent i intuicyjne odczuwanie pewnych momentów scenicznych – przede wszystkim wielka kultura, zaznaczona nie tylko w interpretacji odtwarzanego typu, lecz w stylowym pojmowaniu każdego gestu⁴⁵. Na uznanie zasłużyła reszta zespołu: M. Rydzewski, M. Pilerowa, J. Żmijewska, H. Górską, A. Głowacki, K. Lewicki i K. Dunin. Recenzenci jednym głosem wypominali Komisji Teatralnej, że pożałowała wieczornego dochodu i wyrządziła tym krzywdę wielkiej i zasłużonej artystce sceny polskiej. Chodziło głównie o ho-

norowe przedstawienie Teofili Nowakowskiej, którą powinno się było inaczej uczcić⁴⁶. Nawet taki przykry moment nie przeszkodził w burzliwym i owacyjnym powitaniu Jubilatki. Prorokowano komedii powodzenie i zachęcano widza do jej obejrzenia, sztukę wystawiono z powodzeniem jeszcze dziesięć razy.

Słabo wypadła romantyczna historia Brauna Winawera „*Rycerz z łabędziem*” (19.12.1919). „Chciałem się śmiać i cieszyć, że po premierze nie będę potrzebował konstruować recenzji o głębokich wartościach i filozoficznej tezie autora, co rzeczą jest ciężką i obecnie przy ciągłej trosce o chleb, cukier i nowe podeszwy u połatanych na wszystkie strony butów⁴⁷ – w tych kilku słowach zapewnił Artur Schröder sztuce powodzenie jeszcze na cztery przedstawienia. Tym razem dyrekcji miejskiego teatru wytknięto, że nie stara się o poważniejszy repertuar, przypominając o prowadzeniu tylko jednej sceny, która to z konieczności musiała dawać gościnę różnym sztukom⁴⁸. Grano „Rycerza z łabędziem” w akcie I trochę ciężko i bez należytego tempa, akt II za to był bardziej dynamiczny. Pomimo tych wszystkich niedociągnięć sztuka miała pewne powodzenie, zawdzięczając je w dużej mierze grze artystów. L. Barwiński była dobrą w roli baronowej Nemeti, bardzo dobrą i pomysłową postać jej ojca stworzył F. Frączkowski, na słowa uznania zasłużyli Okornicki, Barwiński, Kozłowski, Larewicz Batogowski, który „grał tak pijanego, że wszystkie stare pijaki na widowni akklamowały go owacyjnie⁴⁹”.

Oprócz dramatu w Teatrze Wielkim wystawiano tygodniowo cztery przedstawienia opery i operetki. W widowiskach operowych prym wiedli: Janina Korolewicz-Waydowa Tadeusz Łowczyński, Józef Woliński i Ignacy Mann⁵⁰. Od czasu objęcia przez Korolewicz-Waydową posady dyrektora opery, Lwów mógł oglądać przedstawienia ze śpiewaczką w partiach tytułowych, w których wykonywała swe dawne wielkie role. Repertuar przedstawiał się następująco: „Bal Maskowy” J. Verdiego, „Rycerskość wieśniacza” P. Mascagniego, „Aida” J. Verdiego, „Żydówka” F. Halevy 'ego, „Madame Butterfly” G. Pucciniego. Były oczywiście wystawiane i inne opery. W grudniu 1919 roku na zaproszenie Tarasiewicza przyjechał na występy gościnne słynny tenor Józef Mann⁵¹, powodując ożywienie w kołach kulturalnych. Nawet takie zabiegi nie zapewniały odpowiedniego dochodu, w dziale muzycznym nadal królowała i przynosiła najwięcej zysków operetka.

Grudzień 1919 roku zapamiętany został przez mieszkańców miasta jako miesiąc imprez „latających” na ulicach i w lokalach, dochód z których przeznaczony był na „Gwiazdkę” dla żołnierzy. Udział brali w nich wszyscy artyści dramatu, opery i operetki, „wszędzie śpiewając, tańcząc i deklamując⁵²”. Każdy z organizatorów i artystów zasłużył na słowa

wdzięczności i rześiste oklaski. Spośród wszystkich wymieniono niestrudzoną Korolewicz-Waydową, która jeszcze niejednokrotnie przyczyniła się do organizacji wieczorów, przeznaczając wszystkie dochody wdowom i sierotom po obrońcach Lwowa.

„*Zatruty zdroj*” W. Rogowicza wystawiony w dniu 9 stycznia 1920 r. zupełnie nie przypadł do gustu recenzentom i zawiódł oczekiwania publiczności. Dziennikarze nie oszczędzili Tarasiewicza, zarzucając dyrekcji brak orientacji i pomysłowości, ponieważ kierownictwo teatru „kultywuje uparte przekonanie, że wszystko co wypluwa Warszawa, a raczej „Warszawka”, jest aż nadto wykwintnym i smakowitym kąskiem dla Lwowa”⁵³. Dużą winę obarczono zbyt realistyczną reżyserię F. Frączkowskiego: „niezrozumienie intencji autora oraz błędne prowadzenie sztuki, do której należało przystępować z gotowym szablonem”⁵⁴. Artyści też przeważnie grali „chwiejnie”: „Znać było, że brak im przewodnie myśli i inicjatywy, a wysiłki ich rozbijały się na ładne tylko epizody, nieratujące całości”⁵⁵.

Kolejną sztuką należącą bez wątpienia do lekkiego repertuaru była komedia „*Murzyn*” młodego autora, Jerzego Szaniawskiego (15.01.1920). Recenzenci mieli pewne zastrzeżenia odnośnie samego „młodocianego” utworu, „nie tyle chybionego, ile niedotworzonego, ujawniającego kilka motywów w swej świeżości i swoistości, niewyzyskanych jednak do głębi ani pod względem dramatycznym, ani psychologicznym, ani nawet satyrycznym”⁵⁶. Reżyseria H. Herz-Barwińskiego nie wywołała dużego entuzjazmu, w gazetach wspomniano tylko o jej staranności i sprawności⁵⁷. Aktorzy starali się ratować sztukę wydobywając ciekawsze komiczne momenty, za co otrzymali słowa uznania. Widzowie wychodzili z przedstawienia z mieszanymi uczuciami, lecz sala nadal wypełniała się i w sumie komedia Szaniawskiego została wystawiona w Teatrze Wielkim sześć razy.

Pomimo tych niepowodzeń dyrekcja wznowiła dramat J. Słowackiego „*Fantazy*” (29.01.1920). Tym razem Tarasiewicz w roli hrabiego Fantazego odznaczył się „kunsztowną grą kulturalnego i doświadczonego artysty”⁵⁸, zasłużył również na słowa pochwały za staranną reżyserię. Bardzo wysoko oceniono, na równi z Tarasiewiczem, grę Ireny Trapszo w roli Idalii⁵⁹. Zaznaczono, że Marcin Rydzewski pomnożył swój repertuar o jeszcze jedną rolę, Waldemara Hawryłowicza, starannie przemyślaną i odczuta⁶⁰. Wznowienie wypadło bardzo dobrze, ponieważ wszyscy wykonawcy przyczynili się do powstania całości. Uznanie zdobyli Helena Hałacińska (Diana), Janina Wernicz (Stela), Marian Bielecki (Hrabia Bespekt) i Robert Bohlke (Jan). W rolach epizodycznych na wyróżnienie zasłużyli Pillerowa, Larewicz, Jankowska, Zbrojewski, Ratschka, Roman i Fedyczkowski. Publiczność na wznowie-

niu nie dopisała (było sporo miejsc wolnych na widowni), nie wypełniła też teatru podczas dwóch późniejszych wieczorów (01.02 i 05.02.1920). Nie pomogły pochlebne recenzje, nad czym bardzo ubolewał recenzent „Wieku Nowego”. Ewa Makomaska zaznaczy: „Fantazy z trudem dociągnął do trzech wieczorów”⁶¹, choć był stawiany na równi z wystawieniem „Sułkowskiego”. Na widowni nie przybyło widzów nawet po tym, jak został nazwany „najpiękniejszą imprezą bieżącego sezonu”⁶².

W dziale opery pod kierownictwem Janiny Korolewicz-Waydowej⁶³ wystawiono po raz pierwszy w dniu 13 lutego 1920 r. operę Ludomira Różyckiego „*Eros i Psyche*”. Premiera została omówiona w kilku pochlebnych artykułach w „Słowie Polskim” i „Wieku Nowym”. Reżyseria Adama Okońskiego przypadła do gustu recenzentom: „Nie zawiedliśmy się w zupełności, a jeżeli na tle olbrzymich wysiłków ukazały się tu i ówdzie plamy lub rysy – to wina w lwiej części obecnych stosunków, nie zawsze i nie wszędzie sprzyjających swobodnemu lotowi fantazji twórczej – zwłaszcza reżysera”⁶⁴. Bohaterem nazwano młodego kapelmistrza Artura Rodzińskiego⁶⁵, którego pracę śledzono z niemałym zaciekawieniem⁶⁶.

W wesoły nastrój wprowadziła wszystkich „sympatycznie pocieszna i dowcipna”⁶⁷ sztuka Gabrieli Zapolskiej „*Asystent*” (19.02.1920). Wielka siła komizmu, jaka tkwi w sztuce ujawniła się dzięki precyzyjnej reżyserii Kazimierza Okornickiego i znakomitej grze aktorów. „Gazeta Lwowska” podała: „To dzieło będzie podobać się tym wszystkim, którzy idą do teatru, by w miarę się uśmieć i nacieszyć”⁶⁸ i rzeczywiście widownia bawiła się doskonale⁶⁹.

Kolejnym dowodem wprowadzenia sztuki mało wartościowej było wystawienie w dniu 2 marca 1920 r. obcej sztuki P. Wolffa i G. Leroux „*Panny*”. Niektórzy próbowali w jakiś sposób tłumaczyć taki stan rzeczy, lecz byli i tacy, co otwarcie przedstawiali swoje niezadowolenie: „Panny panów Wolffa i Leroux są dowodem, że także we Francji powstają „sztuki”, które nie powinny nigdy ujrzeć światła kinkietów, a wystawienie ich na scenie lwowskiej jest raczej usprawiedliwieniem dla poronionych płodów rodzimej produkcji, niż troska o podniesienie poziomu kulturalnego publiczności”⁷⁰.

Niemila atmosfera panowała i na premierze komedii Alexandra Hajo „*Młodzi i starzy*” (12.03.1920). Pomimo starannej reżyserii Frąckowskiego i gry młodych aktorów w rolach głównych – Łozińskiej (Helena) i Hierowskiego (Eugeniusz) – dużego zachwyty i powodzenia nie przyniosła, wywołując niezadowolenie u prasy: „U nas komedyjka ta dzięki naprawdę świetnej grze naszych aktorów osiągnie pewną liczbę przedstawień zabierając wieczory przeznaczone przecieź, w myśl solennych zapowiedzi dyrekcji, na Fredrę, Słowackiego, Wyspiańskiego itd., których doczekać się nie możemy”⁷¹.

W operze chlubiącej się w przeszłości świetnymi tradycjami wystawiono jedynie od początku sezonu „Rigoletto”, „Aidę”, „Bal maskowy”, „Traviatę”, „Rycerskość wieśniacza”, „Opowieść Hoffmana”, „Żydówkę”, „Madame Butterfly”, „Halkę”, „Straszny dwór” i „Erosa i Psyche”. Po bardzo udanej premierze wznowiono „Eugeniusza Oniegina” Piotra Czajkowskiego (10.03.1920). Nawet nie można było nazwać wznowieniem tego wystawienie, wszyscy krytycy jednogłośnie orzekli o zbliżającym się upadku opery lwowskiej, mówiąc o brakach chociażby w dekoracjach i strojach artystów⁷². Lepiej sprawa przedstawiała się, gdy w roli tytułowej zaprezentował się Krugłowski: „Onegin był pokroju naprawdę Puszkinińskiego bohatera, a że bliskiego artyście, stąd nieszablonowego”⁷³.

Ciężkie czasy spowodowane brakiem żywności wydawanej na kartki i rozprzestrzeniającą się w mieście chorobą komplikowały sytuację. We Lwowie panował tyfus plamisty, a na ulicach miasta coraz częściej ludność organizowała strajki. Demonstracje zdarzały się również w teatrze: „Aktorzy zażądali „pierwszego dodatku drożyznianego”, grożąc w razie odmowy strajkiem”⁷⁴. Przychylne wcześniej gazety tym razem nie żądały słów krytyki pod adresem dyrekcji Tarasiewicza, wspominając o jedynym „rzetelnym czynie artystycznym” – inscenizacji „Sułkowskiego”. „Słowo Polskie” otwarcie zarzucało dyrektorowi stan upadku sceny lwowskiej i utratę reszty sił artystycznych: „W ogóle p. Tarasiewicz – oprócz figurowania na afiszu i reprezentowania na zjazdach i bankietach – prawie wcale nie ujawnia niezbędnej w kierowaniu indywidualności i osobistej aktywności”⁷⁵. Ubolewano, że zawiódł wszystkie oczekiwania, „uzależniwszy się niewolniczo od literackich szablonów i gustów „Warszawki”, z dziwnie lekkim sercem i pewną siebie beztronską osłania i popiera niezdrowy stan rzeczy (...)”⁷⁶. Od Tarasiewicza wymagano niemożliwego: zarzucano brak programu i „świadomego kierunku artystycznego”. Ujawniało się to w wystawieniach mizernih i nie wartościowych, na które jednak publiczność z zadowoleniem uczęszczała, w odróżnieniu od poważnych dzieł, czego przykładem były pustki na widowni podczas wznowienia „Fantazego”. W marcu 1920 r. razem z Romanem Żelazowskim do Poznania przeniósł się Robert Boelke (Bóhlke), który zapadł w pamięci lwowian znakomitymi kreacjami w „Monnie Vannie” (Prinzivalle), „Horsztyńskim” (Szczęsny), „Konstytucji” (Węgliński), „Kordianie” (Car), „Sułkowskim” (J. Sułkowski), „Zawodzie” (Dr Henryk Żmuda), „Fantazym” (Jan) i w innych przedstawieniach. W dziale opery również były braki, choć na zaproszenie dyrekcji przyjechał Konstanty Krugłowski (występował gościnnie od 17 kwietnia do 7 maja w „Aidzie”, „Eugeniuszu Oneginie”, „Rigoletcie” i „Warszawince”⁷⁷). Pomimo tego luki były odczuwalne. W dniu 28 kwietnia 1920 r. ze sceną lwowską pożegnała się kierowniczka opery J. Korolewicz-Waydowa, wykonując

partię tytułową w „Aidzie” w towarzystwie znakomitego barytona Konstantego Krugłowskiego. Jak zaznaczyła E. Makomaska, stan „ucieczek” z miasta był spowodowany również i kwietniową ofensywą Józefa Piłsudskiego na Kijów⁷⁸.

Grany pięciokrotnie dramat „*Saul Król*” Edwina Jędrkiewicza (29.03.1920), podnoszący temat biblijny, nazwany został „wypracowaniem bardziej niż słabym”⁷⁹. Wystawiono dzieło młodego autora w reżyserii Frączkowskiego, z dużym nakładem pracy, który „zaiste lepiej mógł być zużyty”⁸⁰. Wprawdzie wystawienie tego utworu, nazwanego nawet przez J. Jedlicza „dramatycznie ułomnym”, wprowadziło na scenę lwowską pewien element świeżości: „Wnosząc w mizериę repertuarową (...) ożywczy wiew poezji i głębszego życia duchowego”⁸¹, za co dyrekcji, po szeregu „zbędnych sztuk”, z całego serca dziękowano⁸². Postać tytułową króla Saula odtworzył z powodzeniem Marcin Rydzewski, choć według Jedlicza była zagrana „nieco za sztywno” i lepiej mogła zostać wykreowana przez Romana Żelazowskiego⁸³. Samego autora kilkakrotnie wywoływano owacyjnie w dniu premiery na scenę, jak zaznaczy A. Fischer: „Niech go zachęci do dalszej pracy dla dobra sztuki polskiej”⁸⁴.

Kontynuując wystawienia współczesnej polskiej twórczości dyrekcja wystawiła w dniu 16 kwietnia 1920 r. komedię Zofii Wojnarowskiej „*Sekretarzyk czy panna?*” w reżyserii Jana Nowackiego. Aktorzy grali poprawnie, tylko czasami popełniano błędy polegające na nie radzeniu sobie z wierszem „dźwięcznym i pełnym świeżości”⁸⁵.

Przed nowym wyzwaniem stanął teatr wznawiając komedię Wiliama Szekspira „*Kupiec wenecki*”, w reżyserii Romana Żelazowskiego (27.4.1920). Wznowienie arcydzieła było czymś nieoczekiwanym dla wszystkich. Widoczny brak odpowiednich sił aktorskich negatywnie wpływał na repertuar. Mimo dużych wysiłków reżyserskich i aktorskich Żelazowski „nie mógł stanąć na wysokości zadania”⁸⁶. Tym razem przyczyny kryły się również i w oprawie scenicznej. „Odrapane” dekoracje i gondola, „której koła niemiłosiernie skrzypiały, ten „tłum” złożony z kilku osób, włączających się gamoniowato po scenie, ta serenada, rozdzierająca uszy i inne podobne awantury, wszystko to wyglądało na złośliwą parodię, a nie na poważne, jak przystało stołecznemu teatrowi, przedstawienie”⁸⁷.

Kolejną „niedźwiedzią” przysługę, jak zaznaczył A. Schröder, wyrządził teatr lwowski Marii z Fredrów Szembekowej, wystawiając sztukę nie przeznaczoną na scenę – „*Dziś i jutro*” (30.04.1920). Krytycy na przemian wołali: „Czy aż tak dalece nie ma nikogo w teatrze naszym, żeby nie dopuszczać do tak niemiłych incydentów, czy nikt tam sztuk nie czyta, nie pilnuje repertuaru?”⁸⁸. Kierownictwu teatru zarzucano brak krytycyzmu oraz „podatność na niefortunne sugestie i wpływy zewnętrzne”⁸⁹.

Tego samego wieczoru wystawiono po raz pierwszy operę Alfreda Stadlera „Warszawianka” (30.04.1920). Teraz efekt był odmienny, publiczność i krytycy byli zadowoleni⁹⁰. Wśród wykonawców prym wiodli Ewa Bandrowska, Helena Green i gościnnie Konstanty Krugłowski. Kilka dni później (02.05.1920) dla uczczenia 129-ej rocznicy Konstytucji 3 maja ponownie zagrano „Warszawiankę”.

Powiodło się na scenie lwowskiej młodej debutantce Irenie Ładosiównie w roli Klary w „Ślubach panińskich” (08.05.1920). Debiut był udany, czego świadectwem były recenzje w „Słowie Polskim” i „Chwili”: „Młoda artystka porusza się na scenie z wielką pewnością siebie, ma temperament i panuje nad rolą”⁹¹.

Dla uczczenia 25-letniej działalności aktorskiej Kazimierza Okornickiego w dniu 11 maja 1920 r. odbyła się premiera dramatu Leopolda Staffa „Południca”. Okornicki zaprezentował się publiczności w trzech doskonałych postaciach: reżysera, aktora i Jubilata. Teatr wypełniony po brzegi przywitał Jubilata głośnymi oklaskami, po drugim akcie zespół aktorski na czele z Tarasiewiczem i Barwińskim złożył życzenia i wiązanki kwiatów. W podniosłym nastroju widzowie obejrzeni pełen ekspresji krwawy dramat. Na scenie obok Okornickiego (Antek) przede wszystkim Jadwiga Żmijewska (Hanka) „dała dowód, że potrafi się zdobyć na potężny patos tragiczny”⁹². W prasie znów rozgorzała dyskusja na temat wystawienia nowego dzieła. Jedni chwalili: „Za staranne wyposażenie sztuki, także pod względem zewnętrznym i w ogóle wprowadzenie znowu utworu polskiego autora do repertuaru naszego teatru – zasłużyło kierownictwo naszej sceny na prawdziwą pochwałę”⁹³, a drudzy wypominali: „Jakkolwiek jest wprowadzenie „Południcy” na naszą scenę, ukazanie widzowi dzieła wielkiej wartości byłoby zasługą dyirekcji bez zastrzeżeń, gdyby zdekompletowany nasz zespół aktorski posiadał jeszcze w swym składzie siły mogące sprostać wymaganym warunkom. Tymczasem piękny dramat Staffa wypadł błaho i nie tak jak na to zasłużył”⁹⁴ i oskarżali: „To niewątpliwe dzieło sztuki zostało na scenie lwowskiej zmarnowane”⁹⁵.

Z całą pewnością najlepszym dramatem i najczęściej wystawianym po „Sułkowskim” (aż 12 przedstawień) był dramat „Ponad śnieg” Stefana Żeromskiego, zrealizowany na scenie Teatru Wielkiego 27 maja 1920 r. Z niemałym entuzjazmem omawiano premierę i tym razem dziennikarze wypominali dyirekcji brak odpowiednich sił aktorskich, a najbardziej reżyserię: „Sztuka operowania tłumem jest bardzo trudna i przerasta siły reżysera p. Frączkowskiego. (...) Czy nie mamy już innych reżyserów?”⁹⁶. Wspomniano o ciężkich czasach politycznych, bowiem miasto zostało narażone na zamieszki przez reżysera, który nie zrobił korekty tekstu i nie wykreślił z trzeciego aktu słów, które „identyfikują

Żydów z bolszewikami”⁹⁷. Tylko Adam Fischer, ujmując wszystkie minusy przyznał premierze sukces: „Pracowitość Frączkowskiego dała dobre wyniki, a wysiłki poszczególnych artystów i artystek pozwalają mi napisać parę zupełnie zasłużonych komplementów”⁹⁸. Mimo głośnych oskarżeń, dramat zyskał powodzenie i pełną widownię, zawdzięczając sukces starannej grze głównych aktorów. Opowiedziana tragiczna historia rozgrywająca się na wschodnich kresach Rzeczypospolitej spodobała się lwowianom, tym bardziej, że była dobrze zagrana przez J. Kozłowskiego, M. Wilanda, H. Hałacińską R. Hierowskiego i młodą I. Ładaśówną. Nie mniejszym zainteresowaniem cieszyła się sztuka po głośnej bolszewickiej awanturze w teatrze miejskim (28.05.1920), gdy w akcie III bohater, w obecności bolszewickiego oficera, zaczął piętnować terrorystyczne metody rządów bolszewików⁹⁹.

Wesoła krotchwila „*Chrześniak wojenny*” Maurycego Hennequina i Piotra Vebera zakończyła sezon dramatyczny w lwowskim teatrze (18.06.1920). Choć i tym razem krytyka miała zastrzeżenia, co do zamknięcia sezonu sztuką rozpoczynającą sezon „ogórkowy”¹⁰⁰. Jedyne A. Fischer odniósł się z humorem, skomentował to tak: „Autorowie francuscy ze swą niezrównaną werwą przyszedli z pomocą dyrekcji, która po całorocznym okresie pracy ma żal do krytyki, a ta znów pretensje do dyrekcji”¹⁰¹. Krytycy byli usatysfakcjonowani, jeśli chodzi o reżyserię Jana Nowackiego, tempo i grę aktorów – „Z zadowoleniem człowiek myślał o tym, że przecież mamy jeszcze wśród rozbitków teatru naszego siły doskonale”¹⁰².

Po wyjeździe Korolewicz-Waydowej przedstawienia w dziale opery upadały, brakowało tego blasku i ekspresji, który wносиła śpiewaczka. W czerwcu z gościnnymi występami przyjechał Adam Didur, dając trzy koncerty oraz występując w III akcie „Borysa Godunowa” (19.06.1920) i „Cyruliku Sewilskim” (20.06.1920), co spowodowało, że teatr był zapełniony po brzegi¹⁰³. Miały miejsce jeszcze trzy debiuty: Leszka Rejchana (27.06.1920) i Franciszki Platówny (29.05.1920) w „Halce” oraz Celiny Nahlikówny w „Tosce” (26.06.1920).

Pierwszy sezon dyrekcji Michała Tarasiewicza we Lwowie zmierzał, wśród ogólnych niepowodzeń, ku końcowi. W teatrze, kołach artystycznych i prasie krążyły plotki o rezygnacji Tarasiewicza z posady dyrektora, które się potwierdziły. Tarasiewicz złożył rezygnację z posady dyrektora teatru miejskiego w czerwcu 1920 r. Krytyka kierowała ataki nie tylko w stronę dyrektora, lecz i reżyserii Franciszka Frączkowskiego. Głośno wypominano Tarasiewiczowi, że przez jego właśnie rządy opuścił teatr Żelazowski, Boelke, Nowacki, Barwińscy i inne „zasłużone siły aktorskie”. Kilka dni przed konferencją dotyczącą teatru na posiedzeniu Rady miejskiej powstaje znów pytanie o drugą scenę, lecz

od razu zostaje odrzucone: „Ze względu na obecne stosunki, a w szczególności dla braku gotówki, urzędnika i odpowiedniego budynku sprawa teatru musi być odroczone”¹⁰⁴. Z inicjatywy wiceprezydenta miasta prof. M. Chlamtacza w dniu 28 czerwca 1920 r. odbyła się konferencja Komisji Teatralnej, z udziałem reprezentantów artystów, władz miasta i prasy, dotycząca możliwości uzdrowienia teatru miejskiego. W ożywionej dyskusji omawiano stosunek prasy do teatru i jego kierownictwa oraz brak poparcia, Jakże jest konieczne dla otrzymania moralnej powagi teatru, w szczególności zniechęca dyrekcję i artystów do skutecznej pracy przez to, iż nie bierze w rachubę trudności, jakie oni mają do przezwyciężenia”¹⁰⁵. Przyczyny upadku sceny widziano w braku koncepcji i struktury komisji teatralnej, w trudnych warunkach politycznych i gospodarczych, w braku niejednokrotnie wspomianej drugiej sceny. Jawne stały się intencje radnych zmierzające do zniesienia opery lwowskiej, z którymi klub recenzentów muzycznych i inne koła artystyczne się nie godziły¹⁰⁶. Krytycy „Słowa Polskiego” J. Jedlicz i S. Maykowski przypisywali „ucieczkę” artystów ze sceny lwowskiej czynnikom teatralnym, krytykowali repertuar, jego obsadę i reżyserię. W słowach Maykowskiego były pozytywnie sprecyzowane wymagania krytyki, żądającej stworzenia teatru ludowego, zaangażowania „pożytecznego” reżysera, oddzielenia dramatu od opery, przy pozostawieniu operetki jako „malum necesarium”¹⁰⁷ kasy teatralnej, stworzenia rady teatralnej, szkoły dramatycznej, kierownika literackiego i plastycznego. Już wcześniej dało się zauważyć pewne błędy i zaniedbania, nie były to tylko i wyłącznie problemy tej dyrekcji. Ewa Makomaska stwierdziła, że stosunek komisji teatralnej i gminy subwencjonującej teatr do dyrekcji i prasy był we Lwowie publiczną tajemnicą¹⁰⁸. Dyskusja w sprawie teatru rozgorzała również na szpaltach gazet: „Dotychczasowy dyrektor teatru p. Tarasiewicz, świetny artysta i człowiek najlepszej woli, ale nie najsilniejszej ręki, którego bardzo hamowano, powinien bezwarunkowo zostać – brzmiał werdykt sędziowski – i starać się, po usunięciu pewnych żywiołów destrukcyjnych w zespole artystycznym, naprawić niedomagania ubiegłego sezonu. I istotnie tak się zapewne stanie, jeśli da mu się środki potrzebne do tego i większą inicjatywę”¹⁰⁹. Tarasiewicz pozostał na stanowisku dyrektora, dymisji Komisja teatralna magistratu nie przyjęła.

Problemy teatru stały się drugoplanowe, gdy miasto stanęło przed poważnym niebezpieczeństwem. Tym razem Lwów był zagrożony przez bolszewików, którzy w lipcu 1920 zbliżyli się do miasta. Lwów otoczony frontem nowej wojny znów stanął do obrony, w mieście ogłoszono mobilizację, znów były problemy z wyżywieniem – wprowadzono kartki na chleb i mięso. Od sierpnia 1920 r. Związek Artystów Scen Polskich (filia

Lwów) urządzał koncerty i przedstawienia, z których całkowity dochód był przeznaczony dla frontu. O jednym z takich przedstawień „Słowo Polskie” pisało: „Ten wieczór wczorajszy to nie szablonowe, uświęcone tradycją przedstawienie na cel narodowy, to nie popis artystyczny – to sama poezja czynu, to żywy konkretny czyn artystów sceny miejskiej, którzy ofiarnym wysiłkiem i trudem postanowili solidarnie i bezzwłocznie przyczynić się do zasilenia skarbcza naszej najdroższej Armii Ochotniczej”¹¹⁰.

Sezon 1920/1921

Na rozpoczęcie sezonu teatralnego Lwów czekał z ogromnym zaciekawieniem, bowiem nie ucichły jeszcze spory dotyczące kierownictwa, a Tarasiewicz nie miał zamiaru pozostawać dyrektorem teatru lwowskiego. Przedstawiony Komisji Teatralnej w dniu 17 września repertuar został określony przez lwowski Związek Literatów jako „chimeryczny, bezplanowy i niewystarczający”¹¹¹. Sztuki współczesnych autorów nie odpowiadały realistyczno-tradycjonalistycznemu usposobieniu widowni. Plany wystawienia „Pelleasa i Melizandy”, „Królowny zza morza”, „Pana Hauptmanna” i kilku sztuk współczesnych Szaniawskiego, Nowaczyńskiego, Krzywoszewskiego, Chełmickiego¹¹² spotkały się z ostrą krytyką władz miasta. W trudnych momentach wspomagali reżyserowie: Franciszek Frączkowski, Ludwik Czarnowski i Emil Chaberski. Zespół dramatu liczył 37 osób i „składał się przeważnie z młodych, niewyrobionych aktorów, a także kilku weteranek: Trapszo-Chodoweckiej, Michnowskiej i Kwiatkiewiczowej”¹¹³. W dniu 15 września 1920 r. na rozpoczęcie sezonu i dla uczczenia Wojska Polskiego oraz Armii Ochotniczej wystawiono, w nowej adaptacji Stanisława Makowskiego, „Zabobon czyli Krakowiacy i Górale” J. N. Kamińskiego. Wstawki piosenkowe i zakończenie pióra Maykowskiego przyczyniły się do zamieszek na widowni. Komisja teatralna zarządziła wycofanie oburzających tekstów politycznych, jednak jeszcze jedno przedstawienie odbyło się (17.09.1920).

Wieczorem 22 września 1920 r. miała miejsce premiera „Papierowego kochanka” z prologiem Jerzego Szaniawskiego. Prolog utworu i realizacja sceniczna doprowadziły do rozpaczki Jana Parandowskiego: „Przeczytałem właśnie komunikat teatralny, który zapowiada na sezon bieżący Szekspira, Słowackiego, Maeterlincka... Myśl o tym wydaje się być nie do zniesienia, albowiem prolog p. Szaniawskiego wykazał, że teatr lwowski najzupełniej pozbawiony jest kultury artystycznej, i że w tym zespole trzeba wrócić do „Żyda w becze” i jednoaktówek hr. Koziembrodzkiego”¹¹⁴. Podobne zdanie o inscenizacji wyrazili recenzenci

„Słowa Polskiego” i „Wieku Nowego”, zaznaczając tylko, że oprawa zewnętrzna sztuki w stosunku do technicznych trudności w tym czasie była dosyć staranna¹¹⁵. Tylko gra G. Rasińskiego (Hipolit) i J. Kozłowskiego¹¹⁶ (Pierrot) zasłużyła na pozytywne komentarze¹¹⁷.

Kolejną nowością kontynuującą polski repertuar klasyczny był wydobyty z mroku zapomnienia dramat historyczny „*Królowa Jadwiga*” Józefa Szujskiego, w reżyserii Kazimierza Okornickiego (01.10.1920). Przed oczyma widza ukazała się dramatyczna opowieść przedstawiająca legendę królowej Polski, która miłość narodu przedłożyła nad osobiste uczucia. Lecz ciężkie czasy i brak odpowiednich nakładów finansowych spowodowały, że „bujne czasy nie były tak skrupulatne w kwestiach garderoby i dobierały ją tak mniej więcej, jak bolszewicki bosiak w zrabowanej mieścinie”¹¹⁸. Reżyser Okornicki zmobilizował resztki trupy aktorskiej, która i tak była „przerzedzona”, stąd też niektóre odcinki były słabo lub nieodpowiednio obsadzone. Recenzenci narzekali na artystów (poza Kozłowskim i Michnowskim,), że nie starają się i zapominają jak należy recytować wiersze: „Wiersz Szujskiego, chociaż zły, przecież nie zasługuje na to, aby go zmieniano w prozę. Słuchając wczorajszej sztuki, ma się poczucie, jak dalece jest niezbędna szkoła dykcji, którą powinni przejść nie tylko młodzi, ale i starzy aktorzy”¹¹⁹.

Następie z narodowego repertuaru wydobyto dzieło Stefana Kiedrzyńskiego „*Pocałunek wojny*” (20.10.1920). Była to sztuka dramatyczna osnuta na kanwie historii wojennych, przedstawiająca dom obywatelski na kresach w czasie cofania się wojsk rosyjskich i wkraczania niemieckich. Egoizm ziemiaństwa, kłamstwa kobiece, drapieżność proletariatu, wsłuchującego się w gromy zwiastujące przewrót, fałszywe przysięgi, cynizm moralny i nihilizm przeplatały się w toku akcji. Sztuka w opracowaniu K. Okornickiego wypadła nad wyraz dobrze, bo sam utwór pozwalał artystom „pójść drogą najmniejszego oporu, drogą nabytej rutyny i szablonu”¹²⁰. Żadna kreacja nie wybijała się na pierwszy plan, wszyscy ograniczali się do bardziej lub mniej naturalnego recytowania. W roli Eli debiutowała młodzietka Maria Dębicka, która mimo pewnych błędów „posiada bardzo wdzięczne warunki zewnętrzne, powinna chronić się od szablonu aktorskich, sztucznych ruchów, których się nauczyło z sceny lwowskiej”¹²¹. Jan Parandowski znów nie omieszkał napisać kilku słów o dykcji i scenie: „Scena lwowska jest uboga i pozbawiona odpowiedniego kierownictwa. Wskutek tego sztuka, która sama przez się nie jest wybitna, upada natychmiast, a zupełnie dobre rzeczy trzymają się również w repertuarze niedługo. Nigdy nie znać w żadnej sztuce jakichś głębszych studiów, jakiejś pomysłowej reżyserii. (...) Teatr lwowski albo musi przejść gruntowną przebudowę, albo wkrótce nie będzie mógł nic wystawiać”¹²².

Przepełnioną widownię w listopadzie zapewniły gościnne występy Ewy Didur występującej w „Cyganerii” Henry’ego Murgera, „Fauście” Gounoda i „Otello” Józefa Verdiego. Głośne nazwisko ojca nie uchowało śpiewaczki od kilku przykrych recenzji dotyczących jej śpiewu w „Fauście”, gdzie kreowała po raz pierwszy partię Małgorzaty¹²³.

Po szeregu widowisk współczesnego w repertuarze przyszedł czas na wystawienie starej komedii. Tym razem została wznowiona sztuka Józefa Blizińskiego „Pan Damazy” (20.11.1920) w reżyserii Gustawa Rasińskiego. Teatr mimo zachęty recenzenta „Chwili” świecił pustkami. Sprawdzały się przepowiednie Parandowskiego dotyczące braku dobrego programu: „Bezbarwny, anemiczny wieczór premierowy. Dzieje się tak, że obecnie w teatrze na premierach panuje jakaś apatia, ciche przygnębienie, a widzowie siedzą jakby trochę zawstydzeni i zmieszani, dopóki z litości nie zaczynają dawać niemrawych okłasków”¹²⁴.

Uroczysta ceremonia nadania przez Józefa Piłsudskiego miastu Orderu Virtuti Militari za bohaterską postawę w czasie wojny w latach 1918–1920 odbyła się pod pomnikiem Adama Mickiewicza w dniu 22 listopada 1920 r., w drugą rocznicę oswobodzenia miasta. Po uroczystości w wypełnionym gmachu Teatru Wielkiego miało miejsce wznowienie „Kordiana”. Po zakończeniu uroczystego przedstawienia żołnierze i mieszkańcy miasta wśród niemilknących owacji wyprzęgli konie z powozu i pociągnęli powóz z Marszałkiem aż na Dworzec Główny. Po wyjeździe Marszałka recenzenci wypominali „pierwszą z cnót magistrackich” – oszczędność, ponieważ na taką uroczystość były wykorzystane stare dekoracje, czasami dosyć niefortunnie „podmalowane”¹²⁵. Zaznaczono w „Wieku Nowym”, że w stosunku do sił, jakich właściwe zagranie „Kordiana” wymaga, a jakie były do dyspozycji – sztuka odniosła pewien sukces. Natomiast S. Maykowski uważał się nad tandetną reżyserią Rasińskiego i nad złą dykcją aktorów, wspominając czasy, gdy na scenie królował Tarasiewicz: „Wiem, że dziś nie ma wśród naszych aktorów młodzieńczego Tarasiewicza, nie ma fletowej słodyczy jego głosu i nieskazitelnej dykcji i jeszcze kultury rządzącej tymi przyrodzonymi skarbami”¹²⁶. Wśród wszystkich aktorów wyróżnił się Janusz Kozłowski w tytułowej roli Kordiana: „Największy ciężar spoczął na p. Kozłowskim, któremu brak wprawdzie warunków zewnętrznych potrzebnych do tej kreacji, ale talent dozwolił mu wyjść zwycięsko z trudności samego tekstu”¹²⁷. Realistyczne odtworzenie pełne ekspresji przez młodego aktora Kordiana bardzo spodobało się recenzentom.

Dziennikarz teatralny Józef Mirski na szpaltach „Wiek Nowego” podjął od dawna nurtujący temat stworzenia we Lwowie teatru dla młodzieży: „Powiedzmy jasno i prosto: nie zasłużymy na miano kulturalnego narodu, nie wypracujemy sobie jaśniejszej doli, jeśli nie przeje-

miemy się do głębi duszy tą jedną myślą, że najważniejszym i najświętszym jest nie polityka, nie wytwórstwo dóbr materialnych, nie używanie rozkoszy żywota, lecz to jedno tylko: dziecko, jego byt, rozwój, doskonalenie się, szczęście¹²⁸. Komunikat o pedagogicznej roli teatru był skierowany nie tylko do dyrekcji teatru, lecz i do radnych miasta, którzy władali teatrem i z wysokości swoich biur nie chcieli słyszeć, oprócz opinii o doskonale prosperującej placówce.

Za lepszą pozycję komediową prasa uznała „*Cyganerię Warszawską*” Adolfa Nowaczyńskiego, wystawioną z wielką starannością dnia 10 grudnia 1920 r. Zachwycał się gorliwością inscenizacji zawsze krytycznie podchodzący do każdej nowości Parandowski¹²⁹. Komedia, którą widownia i krytycy dobrze przyjęli zapewniła Emilowi Chaberskiemu na scenie lwowskiej znakomity debiut reżyserski i aktorski. Odznaczyła się Irena Trapszo: „Rola hr. Laury jest bardzo trudna, z przesadnego wyegzaltowania do śmieszności jeden krok tylko, (...) mimo tych trudności kreacja p. Trapszo została przeprowadzona zupełnie konsekwentnie¹³⁰. W męskim zespole na pierwszy plan wysunął się Marcin Rydzewski (Gorgoniusz), który „sporo walk musiał stoczyć dla spopularyzowania dowcipów autora”. Jedynie p. Czaki prawdopodobnie nie znał roli, albowiem „z trudem się poruszał i zdawał się zbyt nasłuchiwać suflera¹³². Oczywiście było kilka uwag do autora, że sztuka nuży, jednocześnie wątpliwość akcji doskonale podkreśla sztuczność i snobizm pewnych typów i figur¹³³.

Opera i operetka wciąż istniały, lecz od otwarcia sezonu teatr zdążył wznowić w dziale opery jedynie: „*Rycerskość wieśniacza*”, „*Pajace*”, „*Cyganerię*”, „*Fausta*”, „*Otello*”, „*Lakme*”, w operetce: „*Wesołą wdówkę*”, „*Nietoperza*”, „*Palestranta*”, „*Lyzistratę*”. O nowych sztukach nawet nie wspomniano. Dział opery i operetki funkcjonował w zawieszonym stanie, z dnia na dzień, oczekując zamknięcia.

14 grudnia 1920 r. balet lwowski po raz pierwszy miał zapewnioną wyłącznie dla siebie scenę, bowiem wcześniej zawsze był wykorzystywany w operze lub operetce. Tym razem widownia z zadowoleniem, a czasami i z zachwytem oglądała ewolucje taneczne w układzie Stanisława Faliszewskiego („*Flet zaczarowany*”, „*Nowelki taneczne*” i „*Wieszczka lalek*”)¹³⁴.

Wystawiona 28 grudnia 1920 r. sztuka pt. „*Guwernantki*” z powieści Marcellego Prevosta opracowana dla sceny przez Froppę i Marada podobiała się lwowianom, ponieważ „ma znaczne walory techniczne, trochę dowcipu, trochę zgrabnej konwersacji, szczyptę mdłej soli i zwietrzałego pieprzu¹³⁵. Ponadto dawała możliwość zapoznania się z nowymi siłami artystycznymi w osobie Ludwika Czarnowskiego. Jedynie Parandowski oburzał się z tego powodu, że Czarnowskiemu wyrządzono krzywdę, bo

musiał dwa miesiące beczynnie siedzieć we Lwowie, a później otrzymać do opracowania jako reżyser sztukę tego rodzaju: „Kierownictwo teatru złożyło ostatnią premierę tak jaskrawe świadectwo nieudolności, że teraz chyba uwierzą już wszyscy, iż to już kres, którego przekraczać nie wolno”¹³⁶. Przy okazji Parandowski wspomniał i o innych wystawieniach w tym roku nazywając „Królową Jadwigę” Szujskiego nieudolną inscenizacją „Pocałunek wojny” Kiedrzyńskiego – „krzykliwym głupstwem importowanym z Warszawy”, „Pana Damazego” Blizińskiego, jako wywodzącego się z repertuaru teatrów amatorskich, jedynie „Kordian” przeszedł niepostrzeżenie dzięki Naczelnikowi Państwa, jednak „Cyganeria warszawska” obudziła nadzieje, które „w samym zarodku zdusiła onegdajsza premiera”¹³⁷. Oburzony Parandowski stwierdzał, że „Teatr lwowski stał się instytucją martwą, przynoszącą wprost ujmę naszemu miastu”¹³⁸.

Publiczność lwowska i część krytyków dobrze przyjęli też premierę „Poczekalnia pierwszej klasy” Zygmunta Kaweckiego z dnia 21 stycznia 1921 r., na której był obecny sam autor. Znowu zdania recenzentów były podzielone: Parandowski nazwał komedię ociężałą której brakuje dowcipu¹³⁹, a krytyk „Chwili” otwarcie ochrzcił „pożałowania godnym eksperymentem lwowskiej sceny”¹⁴⁰. Komedia ta, jak zaznaczył „Wiek Nowy”, jest „oderwaną od współczesności, opartą na motywach przedwojennych, na przedwojennym snobizmie równie dobrze warszawskim jak też możliwym w innych miastach o większej artystycznej kulturze”¹⁴¹, co nie przeszkodziło widzom wypełnić teatru po brzegi. Nawet Maykowski zauważył, że sztuka była odegrana dzięki staraniom zespołu artystycznego „nad stan obecny naszej sceny”¹⁴². Spośród wszystkich wyróżnili się Czarnowski i debiutantka Hela Malinowska (znana z estrady „lekkiej piosenki”), której debiut został nazwany „bardzo udanym”¹⁴³.

Dla sprostowania pogłosek (plotek) i różnego rodzaju domysłów dotyczących braku nowości i zbyt częstych wznowień Tarasiewicz udzielił w styczniu wywiadu dla „Słowa Polskiego”. Teatr przecież nie mógł funkcjonować, jak dawniej, zapominano o wojennej inwazji i wszystkich niedogodnościach, do których się to przyczyniało. Tarasiewicz w ogólnym skrócie przedstawił czytelnikom stan teatru związany z brakiem środków finansowych na jego funkcjonowanie (choćby na nowe dekoracje i kostiumy), brakami wśród personelu, potrzebą reorganizacji komisji teatralnej, składającej się z członków nie posiadających kwalifikacji artystyczno-naukowych, lecz przynależących do partii rządzącej. Przypominał o nowym teatrze w dziale dramatu, który nie został otwarty z powodu nie nadejścia transportu z krzesłami. Najważniejszy postulat dotyczył publiczności: „Teatr jest instytucją, której wygląd i charakter urabia się w części dzięki kierunkowi z góry a w części pod

wpływem poglądów i upodobań publiczności. Zaś jego pomyślny rozwój zależy bezsprzecznie od odpowiedniego poparcia społeczeństwa. Jeżeli tego brak, trudno żądać, aby teatr stał na wyżynie ideału¹⁴⁴.

Żaden z mieszkańców, a tym bardziej radni magistratu nie chcieli, aby Lwów stracił swoją pozycję kulturalną. Nie można było patrzeć, jak niegdyś stołeczne miasto wszystko traci: „Lwów, który był dotychczas wiecznie żywym i świeżym źródłem sił, energii i inicjatywy, który jak wiadomo, zasilił swoją inteligencją a przede wszystkim siłami artystycznymi Warszawę, Poznań, Toruń i inne miasta poza dawną „Galicją” – ustępuje dzisiaj tym wszystkim miastom pod względem kulturalnej żywotności i zamiast do pomnażania dorobku zdaje się dążyć do jego likwidowania¹⁴⁵. Inicjatywa dyrekcji podjęta w celu znalezienia nowego pomieszczenia dla dramatu została odrzucona ze względu na koszty związane z przeprowadzeniem koniecznej adaptacji lokalu w Pasażu Mikolascha, który jak najbardziej pasował pod nową scenę”.

W sprawie nadania dramatowi nowego pomieszczenia dyrekcję popierał Związek Polskich Autorów Dramatycznych, który w dniu 3 stycznia 1921 r. wystosował do Rady miasta list opublikowany w „Gazecie Lwowskiej”, podpisany przez S. Krzywoszewskiego, W. Grubińskiego, W. Bunikiewicza i A. Hertza: „Wchodząc w trudne warunki, w jakich się znajdował bohaterski Lwów w ciągu dwu lat ostatnich i nie lekceważąc wcale wysiłków jego kierowników oraz znanych nam dobrze trudów i szlachetnych chęci Komisji teatralnej, – mniemamy, że warunkiem uzdrowienia stosunków teatralnych we Lwowie jest jak najszybsze oddzielenie opery i operetki od dramatu¹⁴⁶. Równocześnie Zarząd zastrzegł prawo wyrażania opinii „o każdorazowym kandydacie na to zaszczytne stanowisko” dyrektora, przekonywał Radnych, że należy stworzyć stanowisko kierownika literackiego „celem uniknięcia w przyszłości tak bolesnych dla twórczości polskiej niespodzianek, jak wprowadzenie na scenę i utrzymanie w repertuarze bezwartościowych przeróbek z cudzoziemskich sensacyjnych powieści¹⁴⁷. E. Makomaska zauważyła, że spośród osób podpisujących list, znaleźli się autorzy utworów, których w tym sezonie teatr we Lwowie nie wystawiał¹⁴⁸.

W mieście krążyły wieści o zmianie dyrekcji teatrów miejskich. Już w styczniu 1921 roku w różnych organizacjach publicznych zastanawiano się nad zmianą dyrektora, o czym świadczy chociażby list skierowany do Dyrekcji Teatrów Miejskich przez Klub Referentów (wstęp na konferencję odbywał się wyłącznie za okazaniem imiennego zaproszenia)¹⁴⁹.

Na afiszu znalazła się też komedia „*Wojna i miłość*” Władysława Chełmickiego (04.02.1921), o której Parandowski napisał tylko tyle, że gra artystów była zajmująca i robiła wrażenie, że „sztuki nikt z nich nie traktuje poważnie”, oceniając poziom artystyczny dzieła jako niski¹⁵⁰.

Największe powodzenie osiągnęły premiera „*Elektry*” Feliksa Płazka i „*Sędziów*” Stanisława Wyspiańskiego, wystawione w jednym dniu (15.02.1921)¹⁵¹. Tematyki tragedii „*Elektry*” nie można było uznać za nową lecz autor potraktował ją w sposób zajmujący zostawiając starą fabułę, jedynie w zakończeniu odbiegł od zwykłych akordów, jakie kończyły dramaty grecki dając ogólnoludzkie wyjaśnienie. Krytyka w osobie Maykowskiego i Parandowskiego wypowiedziała się na temat sztuki dość oschle, nazywając utwór „bezbarwnym”, podkreślając, że nie stać go „na rumieniec oryginału, że chodzi tylko po scenie ze swoim „o – o – o”, jak bezbarwna kopia swojej poprzedniczki”¹⁵². Inscenizacja tragedii przygotowana została ze starannością przez Emila Chaberskiego, reżyser wykazał wielki zapał, mimo trudnych warunków teatralnych zaprezentował piękne wyniki: „Tę pewną i świadomą celu rękę czuć było można w grze całego zespołu, w jednolitym utrzymanym stylu”¹⁵³. Zadziwiające było to, że aktorzy grali bez suflera i w żaden sposób nie było to odczuwalne. Ogólne zaciekawienie wzbudziło dublowanie roli bohaterki w tych dwóch sztukach przez Jadwigę Żmijewską i Helenę Hałacińską-Gawlikowską. Bowiem do pracy nad rolami Elektry i Jewdochy przystąpiły osoby „z różnym wręcz rodzajem warunków fizycznych i uzdolnień aktorskich, z różnym stopniem wykształcenia, a wreszcie, co dobrze świadczy o obu, jako o indywidualnościach, z różnym wręcz rozumieniem roli”¹⁵⁴. Maykowski przypisał zwycięstwo „w pojedynku” o najlepszą kreację w wykonaniu Hałacińskiej-Gawlikowskiej, gdyż aktorka w roli Elektry „pozbawiła jej rutyny, mniej dbała o konsekwencje, (...) wygrała przede wszystkim pojedynek swymi posagowymi kształtami i śmiałą owszem, troskliwą o widza grą w której razili tu i ówdzie szczątki wspomnień szkolnych, wyrażony martwym rezonerstwem, ale w której zagrał temperament i narzuciła się widowni siła emocjonalna”¹⁵⁵. Gra Żmijewskiej miała sporo momentów mocnych w stosunku do poprzednich jej kreacji: „Opracowanie całej postaci staranne, głos jedynie nie brzmiał może tą całą pełnią szlachetnego dźwięku, jakiego potrzeba w „*Elektrze*” wielokrotnie przy braniu tego wysokiego „o” tragicznego”¹⁵⁶. Janusz Kozłowski jako Orestes mógł wreszcie zaprezentować wielką siłę swego talentu. Według Maykowskiego Kozłowski był wprost wymarżonym Orestem. Ubolewając czynił analogię do Ludwika Osińskiego, powtarzając to, co zostało w Warszawie powiedziane o aktorze, że „gdyby przeczytał rachunek praczki, ludzie i tak by byli wzruszeni”, żał mu było młodego Kozłowskiego, że „musiał czytać rachunki piorącej bielizny z krwi – lwowskiej Elektry”¹⁵⁷. Sumiennie odegrana sztuka otrzymała odpowiedni wystrój zaprojektowany przez Władysława Jareckiego, wykonany przez Z. Balka i K. Polityńskiego. Uzupełnieniem premiery „*Elektry*” było wznowienie „*Sędziów*”. Lwowscy krytycy jednogłośnie

twierdzili, że tak dobrze zagranych „Sędziów”, z doskonałą inscenizacją i zespołem aktorskim, w mieście dawno nie widzieli. Sam Parandowski, dość często ostro krytykujący był przyjemnie zdziwiony: „Mam wrażenie, że bardzo wielu, idąc na premierę i potem tuż przed podniesieniem kurtyny (...) czuło pewien niepokój myśli, jak im się wyda Wyspiański w tym teatrze, od dłuższego czasu artystycznie obumartym. Ujrzelśmy arcydzieło Wyspiańskiego wystawione z należyty m pietyzmem, z jakąś godnością nabożeństwem prawie¹⁵⁸. Kreacja Hałacińskiej-Gawlikowskiej w roli Jewdochy uwydatniła rozkład wewnętrzny dziewczki pod wpływem grzechu, skruszonej, wstydzącej się światła dziennego. Zdaniem recenzenta „Chwili” była to interpretacja słuszniejsza od interpretacji Siemaszkowej (swego czasu)¹⁵⁹. Gra Ireny Trapszo (Joas) otrzymała również pochlebne recenzje¹⁶⁰. Popisali się na wznowieniu: Marcin Rydzewski, Kazimierz Okornicki, Marian Bielecki, Henryk Czaki, Irena Ładasiówna, Maria Dębicka, Janina Duninowa, Kazimierz Lewicki, Stanisław Larewicz, Marian Kopczyński, Rudolf Zbrojewski, Kazimierz Dunin, Romuald Bojanowski. Za staranność i pracowitość wszystkich artystów odznaczono pochwalnymi epitetami. Obie tragedie odniosły pełny sukces kasowy i artystyczny, bowiem do końca sezonu zagrano „Elektrę” 11 razy, „Sędziów” – 12 razy.

Nie uratowało sytuacji wspaniałe wystawienie „Elektry” i „Sędziów”. W „Słowie Polskim” wypominano dyrekcji słabe strony, związane z prowadzeniem teatru „jak w jakiejś szmirze z przed pół wieku”, gdzie wszystkimi sprawami kieruje tylko jeden dyrektor. Według Jedlicza najbardziej optymalną drogą sanacji lwowskiego teatru byłoby powołanie swego rodzaju „wewnętrznej rady teatralnej”. Wymagano, aby Jak najprędzej położono kres zabójczemu i do niczego nieprowadzącemu prowizorium i oddano teatr w ręce kierownictwa, które ma go poprowadzić zdecydowaną drogą¹⁶¹. Natomiast „Gazeta Lwowska” zarzuciła, że od czasu odejścia Hellera nie ma we Lwowie opery i obietnice dyrektorskie dotyczące wystawienia „okazałego programu”, między innymi „operę Mieczysława Sołtysa „Panie Kochanku”, „Holendra tułacza” Wagnera i kilku innych nowości lub wznowień drażniących w wysokim stopniu ciekawość naszego świata muzycznego¹⁶² nie były wykonane.

W ostatnim miesiącu swego pobytu we Lwowie Tarasiewicz wystawił amerykańską komedię Bootha Tarkingtona „Klaudiusz” (07.03.1921). Trudności w wystawieniu zupełnie pokonał Ludwik Czarnowski. Opowiedziana historia militarna spodobała się lwowianom, choć „autor nie wysiłał się zbyt nad rozwojem akcji, nad jej psychologicznym uzasadnieniem, ale z dużym temperamentem puścił w ruch cały kalejdoskop komicznych sytuacji i powiedzeń¹⁶³ tym bardziej, że wszyscy aktorzy

dobrze się spisali, a widz miał możliwość uśmiechania się. Miała sposobność wystąpić po raz pierwszy w epizodycznej roli Violetty Halina Bielińska-Czarnowska, choć już od pół roku była w składzie trupy lwowskiej: „Za mała ta rola, by na podstawie niej wydać sąd stanowczy, ale już tych kilka scen epizodycznych wystarczało, by stwierdzić, że zyskujemy w niej siłę nieprzeciętną”¹⁶⁴.

Z okazji jubileuszu 30. letniej pracy Zygmunta Schmida wystawiono operetkę „*Księżniczka czardasza*” (18.03.1921). Jak napisał o Jubilacie S. Maykowski: „Pan na tysiącu... ról, takich, o których się nie mówi, aktor do tańca i do wszystkiego prócz różańca, podawany dalej nawzajem przez operę, dramat i operetkę, ktoś o kim w reżyserskiej mowie powiedziano „kwestią” z Kordiana, że „mógł być czemś”, a stał się tylko przez fałszywą ambicję nie gryzionym nigdy „małym” aktorem. Jednym z tych, co pracują „w swoim kółku”, żeby się złożyła całość, dobra i piękna całość, której każdy rzetelny aktor, duży czy mały, powinien służyć”¹⁶⁵. Grał różne role we wszystkich działach, lecz były to zazwyczaj role epizodyczne. W ciągu całej swojej długoletniej pracy zawsze był wierny scenie lwowskiej, choć dostał propozycję przeniesienia się do Wiednia lub zagrania głównych ról w zespole Myszkowskiego¹⁶⁶.

W tym czasie trwały obrady Komisji teatralnej w sprawie definitywnego rozstrzygnięcia kwestii nowego kierownika teatru miejskiego. Wszelkie zarzuty pod adresem dyrekcji dotyczące repertuaru należałoby skierować do samej publiczności, bo publiczność zamiast chodzić na poważne dramatyczne utwory z wielką przyjemnością i z zainteresowaniem uczęszczała na różnego rodzaju rozrywkowe przedstawienia, tym samym powodując pustki na widowni, gdy wystawiano sztuki wartościowe znanych autorów. Różnego rodzaju przedsięwzięcia Tarasiewicza czynione były w celu utrzymania teatru. Dyrekcja mogła ustąpić wymogom prasy i kołom kulturalnym miasta, lecz wtedy widownia całkowicie byłaby pusta, do czego dopuścić nie mógł ani dyrektor, ani możnowładcy miasta. Można rozważyć tę kwestię bardzo długo, lecz faktu nie zmienimy – bankructwo i wymuszona rezygnacja Tarasiewicza z posady dyrektora przed końcem drugiego sezonu dyrekcji była nieunikniona.

Przez niespełna dwa sezony Tarasiewicz pozostawał na posadzie dyrektora, „straszliwie zwalczany przez prasę endecką”¹⁶⁷. Wszelkimi siłami przeciwstawiał się złej koniunkturze teatralnej, lecz na ataki endeckiej prasy zabrakło mu sił i zdrowia. Tarasiewicz ustąpił z powodu choroby i negatywnego nastawienia gazet, choć prasa znająca zamierzenia teatru i pracę komisji, pracująca z tymi dwoma czynnikami miała stać się wobec publiczności „tłumaczem celów i zabiegów i usunie tym samym niejedno nieporozumienie i złośliwe tłumaczenie tego lub owego niedopatrzenia lub błędu”¹⁶⁸.

O losie teatru i jego kierownictwa zdecydowały również burzliwe wydarzenia polityczne i społeczne. Lwów artystyczny nie zdołał w krótkim okresie wrócić do równowagi, z której wytrąciła go wojna i tragiczne przejścia. Michał Tarasiewicz żegnał Lwów z prawdziwym żalem i uczuciem niespełnionych zamiarów. Choć, jak zaznaczy E. Makomaska, dzięki Tarasiewiczowi i jego „polskiej linii repertuaru” udało się wprowadzić na scenę lwowską Żeromskiego i Szaniawskiego, również „przypomnieć” Słowackiego i Wyspiańskiego¹⁶⁹. Wyszło na jaw, że w repertuarze tych dwóch nieukończonych sezonów zdecydowanie przeważały tytuły dramatyczne, których pokazano 41 premier i wznowień, jednocześnie zaprezentowano sporo przedstawień z lat poprzednich: „W sumie teatr grał wtedy 44 sztuki polskie i 9 obcych, co było dalszym wzmocnieniem linii Żelazowskiego”¹⁷⁰.

PRZYPISY

¹ Cepnik H., Kozicki W., Scena lwowska 1780-1929, Lwów 1929, s. 49.

² Makomaska E., Michał Tarasiewicz, Warszawa 1968, s. 120. Tarasiewicz był właścicielem firmy „Pluton”

³ „Wiek Nowy” Nr 5429, 02.07.1919.

⁴ Dyrekcja zapewniała, że dramat będzie mógł wystawić w Teatrze Wielkim przedstawienia cztery razy w ciągu tygodnia. Zob. „Gazeta Lwowska” Nr 151, 02.07.1919, „Wiek Nowy” Nr 5429, 02.07.1919.

⁵ Nadal trwały rozmowy dotyczące personelu, sporo artystów opuściło teatr, kilku śpiewaków przeniosło się do Poznania i Warszawy (Franciszek Bedlewicz, Józefa Zacharska, Franciszek Freschel). Opuścił również posadę dyrygent Milan Zuna.

⁶ „Wiek Nowy” Nr 5429, 02.07.1919.

⁷ „Wiek Nowy” Nr 5444, 19.07.1919.

⁸ J. F. Gawlikowski, „Wiek Nowy” Nr 464, 12.08.1919.

⁹ Op. cit. J. Jedlicz „Słowo Polskie” Nr 238, 30.08.1919.

¹⁰ J. F. Gawlikowski, „Wiek Nowy” Nr 464, 12.08.1919.

¹¹ „Gazeta Lwowska” Nr 193, 14.08.1919.

¹² „Chwila” Nr 212, 15.08.1919.

¹³ „Wiek Nowy” Nr 5472, 21.08.1919.

¹⁴ Op. Cit. „Słowo Polskie” Nr 238, 31.08.1919.

¹⁵ „Słowo Polskie” Nr 238, 31.08.1919.

¹⁶ „Wiek Nowy” Nr 5477, 27.08.1919.

¹⁷ Op. Cit. „Wiek Nowy” Nr 5477, 27.08.1919.

¹⁸ „Wiek Nowy” Nr 5477, 27.08.1919.

¹⁹ Słownik Biograficzny Teatru Polskiego 1900–1980, t. 2, Warszawa 1994, s. 27.

²⁰ A. Fischer, „Wiek Nowy” Nr 5492, 13.09.1919.

²¹ „Chwila” Nr 241, 13.10.1919.

²² Od samego początku swojej dyrekcji Tarasiewicz bezskutecznie próbował pozyskać dla teatru miejskiego jeszcze jedną scenę, bo w jednym gmachu Teatru Wielkiego znajdowały się trzy działy. Początkowo Radni miasta przystali na tę propozycję i wyznaczili salę, co niestety nie urzeczywistniło się.

²³ Pseudonim aktora Janusza Warneckiego. Na afiszach we Lwowie używano jego prawdziwego nazwiska, a nie pseudonimu.

²⁴ A. Fischer, „Wiek Nowy” Nr 5506, 30.09.1919.

- ²⁵ A. Schröder „Gazeta Lwowska” Nr 224, 27.09.1919.
- ²⁶ Op. Cit. H. A. Grosman, „Wiek Nowy” Nr 5547, 16.11.1919 i Nr 5549, 19.11.1919.
- ²⁷ Zob. E. Makomaska: Michał Tarasiewicz, Warszawa 1968, s. 122, Tarasiewicz przestał rolę Żelazowskiemu z uprzejmym dopiskiem „zagrać raczy”, który nie przypadł do gustu Żelazowskiemu i uchylił się od tej propozycji.
- ²⁸ „Wiek Nowy” Nr 5504, 27.09.1919.
- ²⁹ „Wiek Nowy” Nr 5521, 17.10.1919.
- ³⁰ E. Makomaska: Michał Tarasiewicz, Warszawa 1968, s. 122.
- ³¹ „Wiek Nowy” Nr 5539, 28.10.1919.
- ³² Op. Cit. „Słowo Polskie” Nr 348, 07.11.1919.
- ³³ „Wiek Nowy” Nr 5554, 25.11.1919.
- ³⁴ „Słowo Polskie” Nr 381, 26.11.1919
- ³⁵ „Słowo Polskie” Nr 381, 26.11.1919
- ³⁶ „Słowo Polskie” Nr 389, 30.11.1919
- ³⁷ „Słowo Polskie” Nr 389, 30.11.1919.
- ³⁸ „Słowo Polskie” Nr 389, 30.11.1919.
- ³⁹ Artur Schröder, „Gazeta Lwowska” Nr 285, 11.12.1919.
- ⁴⁰ J. Jedlicz, „Słowo Polskie” Nr 405, 11.12.1919.
- ⁴¹ Artur Schröder, „Gazeta Lwowska” Nr 285, 11.12.1919.
- ⁴² „Wiek Nowy” Nr 5565, 07.12.1919.
- ⁴³ Artur Schröder, „Gazeta Lwowska” Nr 289, 16.12.1919.
- ⁴⁴ Artur Schröder, „Gazeta Lwowska” Nr 289, 16.12.1919.
- ⁴⁵ Op. Cit. „Wiek Nowy” Nr 5570, 14.12.1919.
- ⁴⁶ Zob. „Gazeta Lwowska” Nr 289, 16.12.1919, „Wiek Nowy” Nr 5570, 14.12.1919, „Słowo Polskie” Nr 412, 14.12.1919.
- ⁴⁷ Artur Schröder, „Gazeta Lwowska” Nr 295, 23.12.1919.
- ⁴⁸ Adam Fischer, „Wiek Nowy” Nr 5576, 21.12.1919.
- ⁴⁹ Artur Schröder, „Gazeta Lwowska” Nr 295, 23.12.1919.
- ⁵⁰ Pominięty w Słowniku Biograficznym Teatru Polskiego. I. Mann był bratem słynnego tenora Józefa Manna.
- ⁵¹ E. Makomaska przypisuje zasługi J. Mannowi w wystawienia oper „Eros i Psyche” Różyckiego (13.02.1920) i „Warszawianki” Wyspiańskiego (30.04.1920), lecz zasługa w wystawieniu w całości należy dyrekcji opery. Zob. M. Komorowska, „Jak upadała opera lwowska (1918-1933)”, s. 185.
- ⁵² J. Jedlicz, „Słowo Polskie” Nr 414, 16.12.1919.
- ⁵³ J. Jedlicz, „Słowo Polskie” Nr 20, 13.01.1920.
- ⁵⁴ Artur Schröder, „Gazeta Lwowska” Nr 8, 11.01.1920.
- ⁵⁵ Artur Schröder, „Gazeta Lwowska” Nr 8, 11.01.1920.
- ⁵⁶ J. Jedlicz, „Słowo Polskie” Nr 32, 20.01.1920.
- ⁵⁷ Zob., „Słowo Polskie” Nr 32, 20.01.1920, „Gazeta Lwowska” Nr 14, 18.01.1920, „Wiek Nowy” Nr 5595, 17.01.1920.
- ⁵⁸ Artur Schröder, „Gazeta Lwowska” Nr 26, 01.03.1920.
- ⁵⁹ Zob., „Wiek Nowy” Nr 5607, 31.01.1920, „Gazeta Lwowska” Nr 26, 01.03.1920, „Słowo Polskie” Nr 65, 08.02.1920.
- ⁶⁰ A. Fischer, „Wiek Nowy” Nr 5607, 31.01.1920.
- ⁶¹ E. Makomaska, Michał Tarasiewicz, s. 123.
- ⁶² A. Fischer, „Wiek Nowy” Nr 5607, 31.01.1920.
- ⁶³ Na afiszach przedstawień operowych nie umieszczano informacji, że Janina Korolewicz-Waydowa jest kierownikiem działu opery.
- ⁶⁴ J. Balicki, „Wiek Nowy” Nr 5631, 29.02.1920.
- ⁶⁵ Słownik biograficzny teatru polskiego t. 1, podaje, że Rodziński po raz pierwszy dyrygował „Erosa i Psyche” w Warszawie 14.05.1920 r. Natomiast, jak podaje prasa lwowska i afisze teatralne, dyrygował po raz pierwszy utwór Różyckiego w dniu premiery 13.02.1920 r. we Lwowie. Brak potwierdzenia odnośnie dyrygowania w operze „Ernani” w grudniu 1918 r. Faktycznie zadebiutował na przełomie dwóch sezonów dyrygując operę Verdiego, ale to w dniu 17.07.1919 r.

- ⁶⁶ Op. Cit., L. Jaworski, „Słowo Polskie” Nr 79, 17.02.1920.
- ⁶⁷ J. Jedlicz, „Słowo Polskie” Nr 85, 20.02.1920.
- ⁶⁸ „Gazeta Lwowska” Nr 40, 19.02.1920.
- ⁶⁹ Zob. „Wiek Nowy” Nr 5622, 19.02.1920, „Słowo Polskie” Nr 85, 20.02.1920, „Gazeta Lwowska” Nr 40, 19.02.1920.
- ⁷⁰ „Chwila” Nr 410, 05.03.1920.
- ⁷¹ Artur Schröder, „Gazeta Lwowska” Nr 62, 16.03.1920.
- ⁷² Zob. „Wiek Nowy” Nr 5649, 21.03.1920, „Słowo Polskie” Nr 127 i 129, 16 - 17.03.1920, „Chwila” Nr 418, 13.02.1920.
- ⁷³ „Słowo Polskie” Nr 197, 28.04.1920.
- ⁷⁴ E. Makomaska, M. Tarasiewicz, s. 124.
- ⁷⁵ „Słowo Polskie” Nr 135, 20.03.1920.
- ⁷⁶ „Słowo Polskie” Nr 135, 20.03.1920.
- ⁷⁷ Słownik Biograficzny teatru polskiego t. 2, podaje, że Krugłowski śpiewał w operze lwowskiej od 17.04. do 26.05.1920, a S. Hałabuda, Między Hellerem a Schillerem – dwanaście lat teatru lwowskiego w odrodzonej Polsce, przedłuża ten termin, aż do czerwca. Jednakże, jak wynika z afisza i kwerend w prasie lwowskiej, ostatni siódmy występ Krugłowskiego odbył się w dniu 7 maja 1920 r.
- ⁷⁸ Op. Cit., E. Makomaska, M. Tarasiewicz, s. 124.
- ⁷⁹ „Chwila” Nr 437, 01.04.1920.
- ⁸⁰ „Chwila” Nr 437, 01.04.1920.
- ⁸¹ J. Jedlicz „Słowo Polskie” Nr 186, 21.04.1920.
- ⁸² Zob. „Wiek Nowy” Nr 5656, 31.03.1920, „Słowo Polskie” Nr 186, 21.04.1920, „Gazeta Lwowska” Nr 76, 02.04.1920.
- ⁸³ Op. Cit., J. Jedlicz „Słowo Polskie” Nr 186, 21.04.1920.
- ⁸⁴ A. Fischer, „Wiek Nowy” Nr 5656, 31.03.1920.
- ⁸⁵ Zob. „Wiek Nowy” Nr 5671, 18.04.1920, „Słowo Polskie” Nr 186, 21.04.1920, „Gazeta Lwowska” Nr 89, 18.04.1920.
- ⁸⁶ „Słowo Polskie” Nr 198, 28.04.1920.
- ⁸⁷ Artur Schröder, „Gazeta Lwowska” Nr 97, 28.04.1920.
- ⁸⁸ Artur Schröder, „Gazeta Lwowska” Nr 101, 05.05.1920.
- ⁸⁹ Józef Jedlicz, „Słowo Polskie” Nr 207, 05.05.1920.
- ⁹⁰ Zob. „Wiek Nowy” Nr 5683, 04.05.1920, „Słowo Polskie” Nr 209 i 215, 06.05.-09.05.1920, „Chwila” Nr 469, 06.05.1920.
- ⁹¹ „Chwila” Nr 474, 11.05.1920.
- ⁹² Adam Fischer, „Wiek Nowy” Nr 5691, 13.05.1920.
- ⁹³ Adam Fischer, „Wiek Nowy” Nr 5691, 13.05.1920.
- ⁹⁴ Artur Schröder, „Gazeta Lwowska” Nr 111, 18.05.1920.
- ⁹⁵ Jerzy Bandrowski, „Słowo Polskie” Nr 224, 15.05.1920.
- ⁹⁶ Artur Schröder, „Gazeta Lwowska” Nr 121, 30.05.1920.
- ⁹⁷ Op. cit. „Chwila” Nr 495, 02.06.1920.
- ⁹⁸ Adam Fischer, „Wiek Nowy” Nr 5703, 29.05.1920.
- ⁹⁹ Op. Cit. „Wiek Nowy” Nr 5703, 29.05.1920.
- ¹⁰⁰ „Chwila” Nr 514, 21.06.1920.
- ¹⁰¹ Adam Fischer, „Wiek Nowy” Nr 5721, 20.06.1920.
- ¹⁰² Artur Schröder, „Gazeta Lwowska” Nr 139, 22.06.1920.
- ¹⁰³ „Chwila” Nr 512, 19.06.1920.
- ¹⁰⁴ „Słowo Polskie” Nr 292, 26.06.1920.
- ¹⁰⁵ O przyszłość teatru lwowskiego. Teatr a krytyka, „Chwila” Nr 524, 01.07.1920.
- ¹⁰⁶ Klub recenzentów muzycznych wysłał do komisji teatralnej otwarty list w sprawie opery lwowskiej: „Zamiar zniesienia opery lwowskiej potępiamy uroczysto oświadczając, iż z całą stanowczością staniemy w obronie zagrożonej placówki kulturalnej i zwrócimy się do całego społeczeństwa z gorącym apelem, wzywającym do powstrzymania niekulturalnych zapędów pewnych jednostek”. Zob. „Wiek Nowy” Nr 5736, 09.07.1920.
- ¹⁰⁷ Nieuniknione zło.

- ¹⁰⁸ Op. Cit. E. Makomaska, Michał Tarasiewicz, s. 125.
- ¹⁰⁹ „Gazeta Lwowska” Nr 148, 01.07.1920.
- ¹¹⁰ „Słowo Polskie” Nr 345, 28.07.1920.
- ¹¹¹ E. Makomaska, Michał Tarasiewicz, s. 126.
- ¹¹² E. Makomaska, Michał Tarasiewicz, s. 126.
- ¹¹³ E. Makomaska, Michał Tarasiewicz, s. 126.
- ¹¹⁴ J. Parandowski, „Gazeta Lwowska” Nr 219, 25.09.1920.
- ¹¹⁵ Zob., „Wiek Nowy” Nr 5803, 25.09.1920, „Słowo Polskie” Nr 449, 26.09.1920.
- ¹¹⁶ Pseudonim Janusz Warnecki, którego zaczął używać po przeniesieniu się do Warszawy w 1921 r., zob. Słownik Biograficzny Teatru Polskiego 1900 - 1980, t. 2, Warszawa 1994, s. 737.
- ¹¹⁷ Zob., „Wiek Nowy” Nr 5803, 25.09.1920, „Słowo Polskie” Nr 449, 26.09.1920, „Gazeta Lwowska” Nr 219, 25.09.1920.
- ¹¹⁸ „Chwila” Nr 616, 04.10.1920.
- ¹¹⁹ J. Parandowski, „Gazeta Lwowska” Nr 224-225, 30.10.1920.
- ¹²⁰ J. Parandowski, „Gazeta Lwowska” Nr 242, 24.10.1920.
- ¹²¹ „Słowo Polskie” Nr 491, 22.10.1920.
- ¹²² J. Parandowski, „Gazeta Lwowska” Nr 242, 24.10.1920.
- ¹²³ Zob., „Wiek Nowy” Nr 5841, 12.11.1920, „Chwila” Nr 656, 13.11.1920.
- ¹²⁴ J. Parandowski, „Gazeta Lwowska” Nr 252, 06.11.1920.
- ¹²⁵ Zob. „Słowo Polskie” Nr 550, 26.11.1920.
- ¹²⁶ S. Maykowski „Słowo Polskie” Nr 550, 26.11.1920.
- ¹²⁷ „Wiek Nowy” Nr 5852, 25.11.1920.
- ¹²⁸ „Wiek Nowy” Nr 5869-5871, 15-18.12.1920.
- ¹²⁹ Zob., J. Parandowski, „Gazeta Lwowska” Nr 282, 12.12.1920.
- ¹³⁰ „Wiek Nowy” Nr 5866, 12.12.1920.
- ¹³¹ „Słowo Polski” Nr 585, 17.12.1920.
- ¹³² J. Parandowski, „Gazeta Lwowska” Nr 282, 21.12.1920.
- ¹³³ Op. Cit. „Chwila” Nr 685, 12.12.1920.
- ¹³⁴ Zob. „Wiek Nowy” Nr 5873, 21.12.1920, „Słowo Polskie” Nr 606, 31.12.1920
- ¹³⁵ „Chwila” Nr 702, 31.12.1920.
- ¹³⁶ J. Parandowski, „Gazeta Lwowska” Nr 1, 01.01.1921.
- ¹³⁷ Op. Cit., J. Parandowski, „Gazeta Lwowska” Nr 1, 01.01.1921.
- ¹³⁸ J. Parandowski, „Gazeta Lwowska” Nr 1, 01.01.1921
- ¹³⁹ Op. Cit., J. Parandowski, „Gazeta Lwowska” Nr 19, 25.01.1921
- ¹⁴⁰ „Chwila” Nr 726, 24.01.1921.
- ¹⁴¹ „Wiek Nowy” Nr 5900, 25.01.1921.
- ¹⁴² S. Maykowski, „Słowo Polskie” Nr 39, 26.01.1921.
- ¹⁴³ „Wiek Nowy” Nr 5900, 25.01.1921.
- ¹⁴⁴ „Słowo Polskie” Nr 43, 28.01.1921.
- ¹⁴⁵ „Słowo Polskie” Nr 80, 19.02.1921.
- ¹⁴⁶ A. Hertz, „Gazeta Lwowska”, Nr 21, 27.01.1921.
- ¹⁴⁷ A. Hertz, „Gazeta Lwowska”, Nr 21, 27.01.1921.
- ¹⁴⁸ Op. Cit. E. Makomaska, M. Tarasiewicz, s. 128.
- ¹⁴⁹ Zob. list i zaproszenie Klubu Referentów Muzycznych do Dyrekcji, stosownie zmiany Dyrekcji teatrów miejskich we Lwowie od dnia 21.01.1921 r. [W:] Archiwum Regionalne m. Lwowa, Fond 110, opis 5, sprawa 1.
- ¹⁵⁰ J. Parandowski, „Gazeta Lwowska” Nr 30, 08.02.1921.
- ¹⁵¹ Wystawienie „Elektry” odbyło się dzień wcześniej w dniu 14 lutego 1921 r. na publicznej próbie generalnej.
- ¹⁵² S. Maykowski „Słowo Polskie” Nr 82, 20.02.1921.
- ¹⁵³ „Wiek Nowy” Nr 5920, 18.02.1921.
- ¹⁵⁴ S. Maykowski „Słowo Polskie” Nr 82, 20.02.1921.
- ¹⁵⁵ S. Maykowski „Słowo Polskie” Nr 84, 22.02.1921.
- ¹⁵⁶ „Wiek Nowy” Nr 5920, 20.02.1921.
- ¹⁵⁷ S. Maykowski „Słowo Polskie” Nr 84, 22.02.1921.

-
- ¹⁵⁸ J. Parandowski „Gazeta Lwowska” Nr 42, 22.02.1921.
¹⁵⁹ „Chwila” Nr 754, 21.02.1921.
- ¹⁶⁰ Zob., J. Parandowski „Gazeta Lwowska” Nr 42, 22.02.1921, S. Maykowski „Słowo Polskie” Nr 84, 22.02.1921, „Chwila” Nr 754, 21.02.1921.
¹⁶¹ „Słowo Polskie” Nr 102, 04.03.1921.
- ¹⁶² F. Neuhauser, „Gazeta Lwowska” Nr 50 03.03.1921.
¹⁶³ „Wiek Nowy” Nr 5935, 08.03.1921.
- ¹⁶⁴ „Wiek Nowy” Nr 5935, 08.03.1921.
¹⁶⁵ S. Maykowski „Słowo Polskie” Nr 130, 20.03.1921.
- ¹⁶⁶ Zob., „Wiek Nowy” Nr 5944, 18.03.1921.
- ¹⁶⁷ Skwarczyńska S.: Leona Schillera trzy opracowania teatralne „Nieboskiej Komedii” w dziejach jej inscenizacji w Polsce, Warszawa 1959, s. 310.
- ¹⁶⁸ „Wiek Nowy” Nr 5429, 02.08.1919.
- ¹⁶⁹ Op. Cit., E. Makomaska, M. Tarasiewicz, s. 129.
- ¹⁷⁰ S. Marczak-Oborski, Teatr w Polsce 1918-1939, s. 306.

II. Beletrystyka, wiersze, wspomnienia

Andrzej Bartyński

BYŁO MIASTO

Było miasto
najpiękniejsze miasto na świecie
Było miasto
najpiękniejsze miasto świata
Było miasto i ludzie śpiewni
jak złote gitary
Gdzie jesteście teraz
gdzie jesteście
ludzie i czasy i rzeczy

W otwartym oknie
twarz kobiety
Oczy jak nieba
oczy piękne
Czyją ty matką jesteś
czyją żoną, narzeczoną
śnioną kochanką
w nocy i we dnie

Dzisiaj to okno
i twe oczy
jak czas dokonany
już zamknięte

Byłem, kochałem, widziałem... .

W mgle niepamięci
w mglistym śnie śmierci
wstecz umykają
znikome iskierki
Tak nieuchronnie blaknie
tak się zaciera widokówka Lwowa

Kurtyna opada
Uliczką wspomnień
odchodzą aktorzy

Na ławce dzieciństwa
rdzewieje złota trąbka
naszej białoczerwonej historii
I jeszcze tylko
w szufladkach pamięci
tkwią stare słodycze
szkolne świadectwa
srebrne orzełki
i lwowskie orleża

I koniec

Było miasto
najpiękniejsze miasto na świecie
Było miasto
najpiękniejsze miasto świata
Było miasto i ludzie śpiewni
jak złote gitary
Gdzie jesteście teraz
gdzie jesteście
ludzie i czasy i rzeczy

ZAŚPIEWAŁY MI PTAKI W MYŚLACH

Zaśpiewały mi
ptaki w myślach
zaświeciło mi
słońce ze Lwowa
i ścisnęło się
serce dzieciństwa
i zachciało się
czegoś od nowa
jakieś
bliskie mi słowa
że wiosna
jest szmaragdowa
że jesień
w sadach dojrzewa
że miało się coś
i nie miewa

Oto
i płonie ognisko
ziemniaków
pieczonych zapach
krowa stoi
na ojcowisku
apokaliptyczna
taka
krowę doją
wspomnienia
wspomnienia
doi krowa
Zaświeciły mi
ptaki w myślach
zaśpiewało mi
słońce ze Lwowa

ORGANY

Były organy
u Bernardynów
że prąd przebiegał
przez człowieka
jak elektryczna rzeka
od stóp do głów
żeś z miejsca nie mógł
ruszyć nóg

To tam lwowianie
szli w niedzielę
by mszy wysłuchać
i popatrzeć
jak inni grzechów swych
żałują

Patrzą – a w oczach
wszystkich wiernych
złote uśmiechy
kwaterują
Znak to – że lud ten
jest bezgrzeszny
i bardzo miły
Panu Bogu

Osądzać innych
się nie śpieszmy
by nie zagrali nam
na rogu

Miałeś panie złoty strój
został ci się ino krój

To tam lwowianie
szli w ancugach
na sumę
choć była długa
Bo chcieli
tonów organowych
od których mocy
duch się tworzył
by los udźwignąć
w czasach nowych
gdy Lwów opuścić
lwowiak dożył

I tak to miasto
się przeniosło
z miejsca na miejsce
tutaj gdzie Wrocław
skąd Niemców
tak jak nas wyniosło –
gdzie też lwowiakami
są od podstaw

SŁOWIKI

Zaraz, zaraz
nocą się szło na taras
i siadało na fotel
gdyś miał na to ochotę

A słowiki w ogrodach
jak po srebrnych schodach
jak po złotych poręczach
biegły w górę jak tęcza

W górę, w górę, w górę
mają ci koloraturę
Nagle na dół śmigaly
brały zakręt i odskok
i znów w górę, znów podskok
potem kółko i koło
trochę smutno, wesoło
Naraz gwizdek, już smyczek
umie bestia, słowiczek
Taj zakręciło się w głowie
od słowików we Lwowie

PAN RADCA

Pośrodku najpiękniejszych słów
ja słyszę Lwów
Lwów, jak kilka lwów
a lew to władca
co na to radca?

Kładzie na nos złote cwikiery
a na stół likiery
Likier zielony błogosławiony
a likier żółty i czerwony
jeden i drugi błogosławiony
a ten jak mleko zniebieszczony
ten także jest błogosławiony

Lwowski pan radca tajny dworu
słodkich likworów lubi dostatek
Bierze do tego róży płatek
i przytulając do policzka
zawoła: Wiwat mi różyczka!
I pije zdrowie w naszym Lwowie
– Wszystko od Róży się zaczęło –
wygłosił radca i zdjął cwikier
a Róża cyk czerwony likier
do kieliszeczka

– Panowie, miłość to potęga –
wygłosił radca i już sięga
po kroplę słodką

A tymczasem, tymczasem
czas już minął odtąd
I we wspomnieniach
jak w kieliszku
różany likier Baczewskiego
i Bartyńskiego złoty cwikier
dla potomnego

A TO HISTORIA

Perłą korony polskiej byłeś
Semper Fidelis krwią czyniłeś
dał ci uczelnię król Jan Kazimierz
swego imienia
i złożył śluby Lwowie luby
Lecz świat się zmienia
a to historia a to historia

Bardzo mi przykro Panie Boże
że Lwów to taki trudny orzech
do rozgryzienia
Lecz świat się zmienia
a to historia a to historia

W Monachium, gdzieś tam w Hanowerze
siedzi breslauer przy portrze
i do swojego „niemieckiego Lwowa”
nocą – jak sowa
marzenia, marzenia...
Lecz świat się zmienia
a to historia! A to: Historia

IZRAEL

O Izraelu
Święta ziemia żydowska
aleś Ty także i lwowska
bo nasi Żydzi ze Lwowa
het nad Czerwone i nad Martwe Morze
zawieźli lwowskie słowa
tak jakby to było zboże
złociutkie ziarenka
małe nasionka
a w glebę coś wsiąka
na przykład piosenka
i coś pozostaje
choć się zdaje że nic
A to tymczasem
gdzieś tam pod lasem
gdzieś pod oliwnym gajem
ziarnko do ziarenka przystaje
i szemrze sobie strumyczek polski
nad którym siedzi Izraelczyk lwowski
To tym sposobem
z gwiazdy wyobraźni
przylatuje promyk
ludzkiej przyjaźni

ODJAZD

Na pustym dworcu
pod umarłym zegarem
z wyrwanymi ramionami
wskazówek
położyłem bukiet
mojej miłości

A potem
nieistniejącym fiakrem
z nieistniejącą nadzieją
odjechałem drogami
smutku i tęsknoty
przez pejzaż bólu
nazywany Polską

Za mną zostało
moje miasto
najpiękniejsze
miasto świata

Ryszarda Niemcowa

GDY NA CYTADELI MORELI KWITNELI

Dziady w 1940 roku

Zdrowie w radzieckiej szkole mi nie dopisywało. Zresztą zgodnie z moim życzeniem. W dziesiątej klasie zaraz na początku roku zachorowałam znowu, prawdopodobnie na dur brzuszny, bo lekarze tego z całą pewnością nie stwierdzili, jako że jedynym objawem tyfusu była ponad 40-stopniowa gorączka. Obowiązkowa kwarantanna powtórnie zatrzymała mnie na dłużej w domu. Po powrocie czułam się trochę obco, klasa przez czas szybko następujących zmian zżyła się z sobą, zorganizowała. Działało bardzo aktywnie, co mnie szczególnie interesowało, Kółko Polonistyczne, którego płomienną duszą był Adam Hollanek, piękny chłopiec o urodzie Słowackiego, z głową tkwiącą w obłokach, naładowaną poezją i duserami, którymi obdarzała go połowa podkochujących się w nim koleżanek, jako że druga połowa pozostawała ciągle pod urokiem profesora Balickiego.

Adam nie tylko z wyglądu przypominał poetę, był nim. Pisał natchnione wiersze. Poezją – jak to w tym wieku bywa – parało się nas więcej; Janka Niemczykowska, zdradzająca zainteresowanie filologia klasyczną, które jednakże później wyparło życie – Janka osiadła po wojnie we Wrocławiu i współpracowała z „Więzią” i „Słowem Powszechnym” – uprawiała poezję refleksyjną, Wojtek Krasucki – późniejszy warszawski dziennikarz – pisał wiersze chyba liryczne, ja balansowałam między liryką a balladą.

Do Kółka zaglądali czasem zazdrośnie smarkacze z młodszych klas, ignorowani oczywiście przez starszych. Bo któż by z maturzystów zwracał uwagę na ośmioklasistkę Irenę Dziedzic, choć była niebrzydka dziewczyną z grubym blond warkoczem, czy jej kolegę chudego ciemnowłosego chłopca Jerzego Janickiego. Ale jak powiedziano w Piśmie Świętym: „Kto jest poniżony, będzie wywyższony – ówczesnych niepozornych smarkaczy nie można było nie dostrzec w wieku dojrzałym.

W jakimś konkursie na wiersz mickiewiczowski wyróżniono sonet Adama i moją balladę o pannie Sozańskiej ze Starego Sambora. Adam był poetą w szczególności i w ogóle, jak mówiono we Lwowie. Zdawało się, że nigdy w życiu nie będzie nic innego robił, tylko tworzył wiersze. A on sprzeniewierzył się poezji i zaraz po maturze ożenił się bardzo prozaicznie, dorobił się dziecka. Po wojnie wylądował w Krakowie, gdzie po pierwszym nieudanym młodzieńczym małżeństwie poślubił wspaniałą kobietę Ewę, która dała mu dwoje przeuroczych dzieci – Adasia juniora oraz Anię – i poświęcił się dziennikarce – „dla chleba”. Potem przeniósł się do stolicy, napisał kilkanaście książek prozą – popularnonaukowych i beletrystycznych, w tym kilka z gatunku science fiction, co wyniosło go na fotel redaktora naczelnego popularnego wyróżnionego zagranicznymi laurami pisma „Fantastyka”, a w ślad za nią kwartalnika dla dzieci „Mała Fantastyka”. Jednak poeta drzemał w Adamie i budził się od czasu do czasu pełnymi zadumy zapisami, które ukazały się dopiero w 1986 roku w tomiku „Pokuty”.

Ale wtedy, pół wieku temu, Adam był tylko poetą i jako taki założył szkolne poetyckie pismo „Nurtem Skamandra”, którego był oczywiście redaktorem. Sekretarzem był także poeta z młodszej klasy, Tadzik Gąsiorowski.

Zbliżała się Wigilia roku 1940, a więc 142 rocznica urodzin i 85 rocznica śmierci wieszczki narodu Adama Mickiewicza. Nasz poeta poczuł się w siodle. Ogarnął go żar działania. Urządzić wieczorek Mickiewiczowski! Podzielił się myślą z naszymi znakomitymi polonistami – z prof. Chmielowcową i Brajtem. Oboje nauczyciele zaakceptowali pomysł i towarzyszyli mu od narodzin do realizacji, nie bacząc na konsekwencje, jakie to mogło za sobą pociągnąć. Nasz zacny dyrektor Steciuk popierał całym sercem tę inicjatywę, ale sam nie mógł decydować o tak poważnym przedsięwzięciu. Podjęto więc starannie w kuratorium.

I tu zaczęła się zabawa w kotka i myszkę. Władze nie mogły nie dać zezwolenia na taką imprezę. Przecież oficjalnie popierały sztukę i literaturę mniejszości narodowych. Zresztą chodziło nie o byle kogo, ale o Mickiewicza, największego poetę polskiego, który pisał „Litwo, ojczyzno moja”. Można więc skorzystać z okazji i skłócić rywalizujące o poetę narodowości. Ale jest Mickiewicz i... Mickiewicz. Można z jego poezji stworzyć liryczno-sielankowy wieczorek salonowy przy cichym akompaniamencie fortepianu, przy mrugających romantycznie świeczkach, ale może w ciągu tych paru godzin przesunąć się przed oczyma łatwo zapalnej młodzieży cała historia narodu jak w „Koncercie Jankiela”, może też poezja autora „Ody do młodości” wzniecić w niedowarzonych umysłach ogień jak „Etiuda rewolucyjna” Chopina.

A więc tak, oczywiście, wieczorek może, a nawet powinien się odbyć, ale przecież taka poważna impreza nie może się odbyć bez programu, który trzeba uzgodnić... I zaczęło się! Organizatorom chodziło o ukazanie poety w całej jego wieszczej wielkości, a władze właśnie tego sobie nie życzyły. „Sonety”, „Sonety krymskie”, „Ballady i romanse”, różne znakomite, ale nie narzucające się z niebezpiecznymi skojarzeniami wiersze, jakieś sielskie lub zabawne fragmenty z „Pana Tadeusza”... Ale Adam miał swoją koncepcję ukazania swego wielkiego imiennika. Przede wszystkim utworem, który w zamierzeniu autorskim był przeznaczony na scenę – „Dziadami” argumentował, licząc na naiwność interlokutora. Do tej rozmowy nie powołano naiwnych. Chcecie „Dziady”, bardzo dobrze, jakże cudownie teatralny jest ten pogańsko-ludowy obrzęd. I ma aktualną wymowę społeczną – panów, gębicieli ludu, spotyka zasłużona kara... – Ale przecież – przypomniał Adam – II część to nie cały utwór. Bez III części nie ma „Dziadów”!

Można powiedzieć, że perypetie z wystawieniem lwowskich „Dziadów” w 1940 roku zapoczątkowały złą serię, która komunistycznym fatum zaciążyła nad tym utworem i w PRL, co znakomicie ilustruje dowcip:

Ambasador Polski został wezwany na Kreml.

– Podobno u was w teatrze wystawiają „Dziady”, a to przecież sztuka antyradziecka.

– No tak – zająknął się ambasador.

– I coście zrobili?

– Zdjęliśmy sztukę.

– A co z reżyserem?

– Został zwolniony z pracy.

– Dobrze. A autor?

– Nie żyje.

– E, z tym to już przesadziliście.

Ale na szczęście przyплыnęła z wysokich szczybli dobra fala na Mickiewicza i rozmowy podjęto na nowo. Propozycja szkoły, by odegrać całą III część, zakończoną na dodatek fragmentami z „Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego” nie wchodzi w rachubę. Może by tak coś, z „Pana Tadeusza”, np. Telimenę? Targ w targ ustalono, że po II części akcja przeniesie się od razu do celi, gdzie Konrad wygłosi „Improwizację”. Ale żadne tam takie „Zemsta, zemsta, zemsta na wroga – z Bogiem i choćby mimo Boga!”. I zakończyć: „Tyś nie ojcem świata, ale...” Opuścić dopowiedzenie diabła: „Carem!”. Epilogu też nie będzie. Może coś z epiki. Co robić! Grunt, że batalia o „Dziady” została wygrana. „Wielka improwizacja” to i tak dużo. Kto ją wygłosi? Oczywiście Hollanek! Pozostałe punkty programu nie budziły wątpliwości. A więc

niech Telimena wygłosi swój monolog. Któż by to zrobił lepiej jak Janka Niemczynowska. Przecież to urodzona Telimena. Te zalotne minki, krygowanie się, to odwoływanie się do dowodów w biurku wypadło w jej wykonaniu lekko i zabawnie. Andrzej Niezabitowski, wysoki przystojny drągal, wyrecytuje „Panią Twardowską”, Krysia Krzakowska zaśpiewa „Moją piesszczotkę”, a Lalka Krzyżanowska, nomen omen śliczna zgrabna dziewczyna o zielonej chmurze blond włosów opadających na wielkie zielone oczy, zadeklamuje „Farysa”. Jej też dziełem będą dekoracje i scenografia, specjalnie udane, od razu wprowadzające w nastrój w scenach w celi oraz podczas obrzędu „dziadów”. Lalka też zaprojektuje pomysłowe kostiumy z niczego. Przecież odziedziczyła zdolności i zainteresowania po ojcu artyście malarzu. Całość oprawi muzycznie wiadomo – Staszek Skrowaczewski, gra przecież na fortepianie od dziecka. Staszek nie sprzeniewierzył się swoim młodzieńczym zamiłowaniom. Jest znany na świecie dyrygentem, pod jego batutą grają najznakomitsze orkiestry, niestety nie rozślawia imienia Polski, od lat bowiem mieszka i pracuje w Nowym Jorku.

Nadszedł wielki listopadowy (nie pamiętam dokładnie jaki) dzień. Sala gimnastyczna wypełniona po brzegi, a raczej ponad brzegi, bo zwarty tłum stał w otwartych drzwiach, przelewając się na równie ludny korytarz. Toż to wygląda na demonstrację! Dyrektor Steciuk przeraził się i zerwał przedstawienie, choć wśród widzów był gość nie byle jaki – sam Boy-Żeleński! Wyniesiono stół, na scenę wkroczyły dziewczynki z młodszych klas i zaczęły śpiewać piosenki.

Sprawa nabrała rozgłosu – już całe miasto huczało na temat bojówek, które wywołały zamieszanie. Nie ma rady, „Dziady” trzeba wystawić! Ale aby uniknąć zbiegowiska, wstęp będzie ściśle za zaproszeniami. Szybko ustalono tekst i kto tylko pisał pięknie a wyraźnie, kaligrafował dzień i noc, aby zdążyć na czas. A w oznaczonym dniu biedny dyrektor Steciuk chwycił się za głowę – gości było jeszcze więcej. Przecież każdy z nas miał rodzinę, przyjaciół, znajomych...

I zaczęło się. Nie chcę bujać, a nie pamiętam, czym się to przedstawienie zaczęło. W każdym razie Część II, w której brałam udział wspólnie tworząc chór, wypadła nastrojowo i niesamowicie i bardzo się widowni podobała. A potem „Wielka Improwizacja”. Wielka improwizacja obu Adamów. Moje słowa mogą brzmieć jak profanacja wieszczą, ale kto był na tym wieczorze i pamięta Hollanka w tym monologu, potwierdzi moje odczucie. Zresztą o prawdziwości mojej oceny świadczyła reakcja widowni. Biorę pewną poprawkę na specyficzny nastrój, klimat polityczny i okoliczności, jakie towarzyszyły temu niezwykle przedstawienu w niezwykłych przecież czasach, ale obiektywnie trzeba przyznać, że naówczas „Improwizacja” znalazła znakomitego odtwórcę i chyba sędziwy

Adam Mickiewicz oglądający na niebieskim fotelu z chmur i obłoków stworzonego przez siebie Konrada i odtworzonego przez młodego Adama nie mógł sobie życzyć żarliwszego wykonawcy. Adam wzniósł się na szczyt aktorskiego kunsztu, jakby wstąpił w niego geniusz z pomnika wieszczka przy placu Mariackim. W zamarłej z wrażenia sali refleksyjny Konrad – Adam przeobraził się w tytana. Wszechogarniająca miłość i wszechwładna myśl dały mu moc samourodzenia się twórcą. I Adam, nasz Adam Hollanek był nim. Naprawdę. Czułam to, czułam tę tchnącą od niego potęgę, tę władzę, „którą miał nad przyrodzeniem” i to gorące pragnienie, by pojąć, by wydrzeć Bogu władzę nad duszami. I to bezradne zmaganie się z milczeniem. Czułam to pogardliwe milczenie Boga dla naszych losów, jak czuł je 100 lat temu Mickiewicz, jak czuł to, tarzając się bezsilnie w bezskutecznych błaganiach Konrad – Adam na deskach naszej sali gimnastycznej, jak czuło wtedy tysiące Polaków w gnębionym przed laty przez tego samego wroga kraju.

Adam skończył. Błady, drżący, zlany potem, ze strąkami zlepionych włosów. Jeszcze chwilę trwało zasłuchane milczenie, a potem owacje, owacje, owacje. Wszyscy wstają, wypieki na twarzach, szalone brawa. Manifestacja! Adam nie może się utrzymać na nogach, chwije się, lecz brawa nie cichną. Koledzy podtrzymują go, ale jeszcze chwila i padnie. Wreszcie przy nie gasnących oklaskach chłopcy biorą Adama na ręce i znoszą do piwnicy, gdzie urządzono garderobę. Za nimi wpada Borejsza. Ściska Adama, gratuluje mu i mówi:

– Lepszy z ciebie deklamator niż reżyser.

Miał rację tylko w połowie, nie wiedział bowiem, że realizacja bardzo odbiegała od koncepcji. Ale jego słowa świadczą o tym, że też wysoko ocenił talent aktorski Adama Hollanka. Myślę, że teatr polski bardzo wiele stracił, nie goszcząc na swoich deskach tak uzdolnionego artysty.

Adam musiał „okupić swą winę” i zagrać potem w jednoaktówce Szewczenki, zrobił to po swojemu – połączył dążenia obu poetów w jedną walkę o wolność naszą i waszą. A dyrektora Steciuka niedługo po owym pamiętnym przedstawieniu zdjęto ze stanowiska, a na jego miejsce zaangażowano przybyłego ze Związku Radzieckiego gorliwca.

Okupacja niemieckie Bekanntmachungen, Bekanntmachungen...

Można od nich było dostać zawrotu głowy. Ukazywało się ich dużo i egzekwowano je z całą surowością. Najpierw o obowiązku zaciemniania okien tak, aby najmniejsza smuga światła nie wydostawała się na zewnątrz. Toteż zasłanianie je szczelnie dyktą, papendeklem, grubymi kocami. O przestrzeganiu godziny policyjnej. O obowiązku legity-

mowania się na żądanie dowodem osobistym, tzw. ausweisem i kennkartą. O konieczności zdania wszelkiej broni i lampowych aparatów radiowych. Te ostatnie zarówno Sowieci, jak i hitlerowcy uważali za tak samo niebezpieczne jak karabiny, pistolety i granaty, gdyż audycje w języku polskim, nadawane przez radio Londyn zapowiadane charakterystycznym – bum – bum – bum – bum – bum oraz przez Głos Ameryki zaczynające się od deklaracji „Nadajemy wiadomości dobre czy złe, ale zawsze prawdziwe” podtrzymywały wiarę, budziły nadzieję i rodziły ducha oporu, który obaj okupanci za wszelką cenę chcieli złamać. Dalsze zarządzenia zawierały rozkaz zameldowania się wszystkich obywateli w miejscu zamieszkania, gdzie też powinni się znajdować w godzinach policyjnych. Gospodarze, dozorczy i sąsiedzi mieli natychmiast zawiadamiać policję o przebywaniu osób nie meldowanych. Osobne *Bekanntmachungi* nakazywały zgłaszanie się oficerów, wyższych urzędników, nauczycieli akademickich. Obwieszczono, że osoby mające w sobie krew niemiecką mogą się obiegać o wciągnięcie na listę Volksdeutschów i otrzymać specjalną Kennkartę. Dostawali za to lukratywne posadki, lepsze mieszkania, lepsze kartki żywnościowe, deputaty żywnościowe, ubraniowe, węglowe itp. oraz korzystali z innych przywilejów nur fuer Deutsche.

Któregoś dnia można było przeczytać, że wszyscy Żydzi mają zamieszkać w przeznaczonej dla nich dzielnicy na Zamarstynowie. Dotyczyło to także ich aryjskich współmałżonków. Ze zamieszkali poza wyznaczonymi granicami Żydzi zostaną aresztowani, podobnie jak ci, którzy ich przetrzymują. Przebywanie Żydów na ulicach bez opasek gwiazdami Dawida na rękawach jest nie dozwolone.

Przez jakiś czas można ich było jeszcze spotkać na mieście, ale gdy Zamarstynów otoczono wysokim murem, a przy wejściu ustawiono wartę, którą pełnili żydowscy policjanci ludzając się, że ich, uprzywilejowana pozycja uchroni ich przed okrutnym losem, oznakowanych ludzi spotykało się coraz mniej. Często natomiast można było zobaczyć Żydów, wyciągniętych prawdopodobnie z kryjówki, popychanych kolbami czy kopanych przez uzbrojonych niemieckich żołnierzy. Sytuacja synów Izraela zmieniła się niemal z dnia na dzień o kąt 180 stopni. Jeszcze niedawno rozpychali się butnie w fotelach za wielkimi biurkami, budzili strach, a teraz przemykali jak zaszczute zwierzęta z wyrazem „przepraszam, że żyję” w rozbieganych oczach. Zdawało im się pewnie, że są za duzi, za bardzo widoczni i gdyby zdarzyła się sposobność, niejeden Żyd zjadłby razem z Alicją z Krainy Czarów zmniejszające gwałtownie wzrost ciasteczko i w mysiej dziurze doczekał końca tego nie wiadomo co jeszcze gotującego w zanadrzu koszmaru.

Któregoś wieczoru przyszła do nas, oglądając się pilnie na boki i pytając, czy nic jej nie grozi, koleżanka szkolna mamci, mieszkająca

niedaleko od nas. Nie ukończyła seminarium nauczycielskiego, zakochała się bowiem w jakimś Żydzie, aptekarzu, żonatym w dodatku i obciążonym dwojgiem dzieci. Miłość musiała być wzajemna, bo wkrótce ku ogromnemu zgorszeniu opinii, takie bowiem przypadki należały wówczas do rzadkości, zamieszkali razem i zgubili się w wielkim mieście Lwowie. Rodziny obojga wyrzekły się cudzołożników, a oni w tym nieformalnym stadle przetrwali blisko dwadzieścia lat. A teraz gdzieś się ukrywali. Mamcia nawet nie próbowała dociekać gdzie, bo i po co – lepiej nie wiedzieć tego, czego wiedzieć się nie musi. Przybyła prosiła o coś do jedzenia, a gdy mamcia uszczknęła jej trochę z naszych skąpych zasobów, znikła jak duch. Jej wizyty powtarzały się od czasu do czasu. Latem 1944 roku wydała mi się podejrzanie gruba. Nie myliłam się – była w ciąży. – Trzymajcie mnie, ludzi! – skomentowała to mamcia. – Tyli lat nic, a teraz w jakiejś kryjówce, w takiej ponieważ dziecko...

Któreś tam *Bekanntmachungi* nakazywały otwarcie wszystkich sklepów, warsztatów i innych zakładów oraz podjęcie pracy przez urzędników, policjantów, kolejarzy, tramwajarzy i innych pracowników służb miejskich i państwowych, lekarzy, aptekarzy, inżynierów, nauczycieli itd. Wkrótce jednak okazało się, że czynne będą tylko szkoły powszechne, zawodowe i technika, a z wyższych jedynie weterynaria i politechnika. Szczęście, że jaką taką, ale maturę mam. O studiach nie myślałam – te kierunki akurat zupełnie mi nie odpowiadały. Bezrobotni nauczyciele gimnazjalni, licealni i akademicy zaczęli organizować uzupełniające nauczanie, ale wkrótce im tej działalności zakazano, a opornych aresztowano lub wywożono do obozów.

Rozporządzenia zobowiązywały wszystkich mających ukończone szesnaście lat, a nie uczęszczających do szkół ani nie pracujących do zgłoszenia się do Arbeitsamtu po przydział, w przeciwnym bowiem razie zostaną wywiezieni do pracy w głąb Rzeszy.

Tatko jak czasów sowieckich nie mógł sobie pozwolić na czeladników i terminatorów, sam zasiadł na stołku i łątał dawnym wysoko postawionym klientom, teraz znajdującym się na skraju nędzy mizerne buciny. Toteż klepaliśmy na początku biedę, żywiąc się trzy razy dziennie szpinakiem z lebiody i zakąszając na deser kawałeczkiem przydzielanego na chude kartki chleba. Później, gdy ruszył nieoficjalny handel, czyli szmugiel, u tatka zatrzymywały się czasem kobiety z towarem i za grzeczność zostawiały kawałtka boczku lub torebkę mąki, kaszy czy grochu. Blaski i cienie procederu powołanego do życia przez sytuację, która podporządkowała wszelkie działanie ludzkie jedynie pierwszemu prawu przyrody, czyli walce o byt, oddaje jak zwykle lapidarna piosenka uliczna:

*Na dworze jest mrok,
pociągu jest tłok,
Zaczyna się więc sielanka!
On objął ją w pół,
Ona gruba jak wół,
Pod paltem schowana rąbanka.*

*Teraz jest wojna,
Kto handluje, ten żyje,
Jak sprzedam rąbankę, słoninę, kaszankę,
Bimbru się też napiję.*

A ja rada nierada podlokłam się do tego nieszczęsnego Arbeitsamtu. Miałam podjąć swoją pierwszą pracę w tak niezwykłych okolicznościach. Ukończyłam właśnie miesięczny kurs maszynopisania i kupiłam podręcznik do korespondencji. Może dostanę się do jakiegoś biura. Urzędnik przejrzał moje dokumenty, wyczytał ze świadectwo dojrzałości, że uczyłam się niemieckiego i wypisał skierowanie Stalag 628 przy ul. Mochnackiego... Właśnie potrzebują tam maszynistki. Pilnie. Zapytałam, co to za instytucja, ale otrzymałam lakoniczną odpowiedź, że wojskowa i że muszę się tam zaraz udać, bo mogę mieć kłopoty.

Wartownik przy bramie wydał mi przepustkę i wskazał drogę. Przyjął mnie sympatyczny elegancki oficer. Chciałam się jakoś wymigać, tłumaczyłam się słabą znajomością języka niemieckiego, ale zapewnił mnie, że moje umiejętności zupełnie wystarczą, gdyż będę tylko przepisywała raporty. I rzeczywiście. Były nudne. Zawierały listy zużytych produktów, sort ubraniowych, koców itd. Niektóre dotyczyły ludzi – *Kriegsgefangene*. Tyle, a tyle na stanie, tyle a tyle w pracy, tyle a tyle chorych, tyle a tyle zmarło... A więc było to biuro zawiadujące obozem jeńców sowieckich! Boże mój, co ja tu robię?! Jeden wróg trzyma w niewoli drugiego wroga, a ja przepisuję sprawozdania o stanie ich zdrowia i zaopatrzenia. Pracujący tu Niemcy – oficerowie i żołnierze – odznaczeni się wysoką kulturą, dużym czytaniem i dobrym wychowaniem. Nie zdarzyło się, żeby mi któryś ubliżył, zrobił niestosowną propozycję albo potraktował pobłaźliwie.

Zawsze się ze mną witali, chętnie rozmawiali, współczująco mówili o mojej sytuacji, o naszej polskiej sytuacji. Gdy się zorientowali, że nie przynoszę drugiego śniadania, załatwili mi obiady, które z ich wojskowej stołówki przynosił mi w menażce żołnierz. Czasem, któryś nie jedzący słodczy lub niepalący przynosił mi swój przydział czekolady lub papierosów. Papierosy wymieniałam na potrzebne nam artykuły.

Kiedyś starszy kapitan, który opowiadał, że ma w moim wieku córkę wspomniał, że wśród jeńców jest artysta, który z fotografii rysuje ołówkiem udane portrety i że mógłby mi taki konterfekt załatwić za papierosy. Nazbierałem więc potrzebną ilość i po pewnym czasie otrzymałem swoją całkiem niezłe odrobioną podobiznę.

Raz tylko młody przystojny podoficer, w cywilu nauczyciel języka francuskiego, zaproponował mi spotkanie. Odmówiłam.

– Czy dlatego, że jestem Niemcem i noszę ten mundur?

– Tak – przyznałam szczerze. I on to zrozumiał.

Bardzo mi jednak ciążyła świadomość, że pracuję w wojsku u Niemców. Po paru miesiącach skorzystałam z okazji, że po bombardowaniu miasta szyny tramwajowe trójki zostały zupełnie zniszczone, i poprosiłam o zwolnienie, by przenieść się bliżej. Z żalem, ale zwolnili mnie bez trudu.

Z tego czasu warto wspomnieć taki incydent. Znajomy inżynier pracujący w konspiracji poprosił mnie o pilne przepisanie na maszynie pewnej krótkiej instrukcji. Miałam akurat trochę wolnego czasu. Nie wiele myśląc zaczęłam pisać wspomniany teksty układając go w strofki wiersza. Ktoś przechodząc zerknął na dziwny układ i spytał, co to jest. Odpowiedź miałam na wszelki wypadek przygotowaną.

– To wiersz.

– Czyj?

– Mój.

– To pani pisze wiersze? A o czym on jest?

– Trochę piszę. Ten mówi o tęsknocie dziewczyny za chłopcem, który od miesięcy przebywa na froncie. – Dukając i jękając się „przełożyłam” wierszyk. Bardzo im się podobał i prosili, żeby im przepisać i dać na pamiątkę. Rzeczywiście ułożyłam już przedtem prosty utworek, dosyć zgrabny, i dość zręcznie udało mi się go przetłumaczyć.

Przeniosłam się potem do Koncernu Młynów. Byłam tam maszynistką korespondentką, to znaczy, pisałam samodzielnie prościutkie listy. Oprócz dyrekcji niemieckiej pracowali tam Polacy, Ukraińcy, kilku Żydów potem już tylko jeden. Żyliśmy wszyscy w przyjaźni. Ukraińcy rozmawiali z nami po polsku poza jednym młodym prawnikiem. Kiedyś powiedziałam:

– Wiesz? Stefan, że nie znam twego języka i jak czasem coś powiem po ukraińsku, to pewnie w dołku cię gniecie, jeszcze się z tego powodu nabawisz wrzodów, czy nie lepiej mówić tym językiem, który oboje znamy jednakowo.

Od tego czasu Stefan z Polakami mówił po polsku.

Początkowo pracowało kilku Żydów znakomitych buchalterów, ale potem zabrano ich mimo starań dyrekcji do obozu i został tylko ten

jeden, poliglota władający płynnie siedmioma językami. Kiedyś przyszedł zrozpaczony, bo zabrali mu żonę do obozu. Poznali się na jakimś kursie i po tygodniu pobrali. Byli bardzo szczęśliwi. Przez cztery lata. Dyrekcja usiłowała wywalczyć dla niej zwolnienie. Na próżno. Leon odchodził od zmysłów. Niemcy usiłowali go pocieszyć, a sekretarka dyrektora całowała go i poila koniakami, ale on nie mógł bez żony żyć – gdy go nie chcieli wziąć do obozu, choć sam się zgłosił i o to prosił, przeciął sobie żyły.

A potem przeniosłam się bliżej domu do Centrali Nasion i Nawozów Sztucznych. W wielkiej sali stało może ze dwadzieścia biurków. Przy jednym z nich nudził się przy zestawieniach liczb, gatunków i innych parametrów postawny pan o ciemnych zaczesanych na bok włosach, znakomity polonista z ósmego chyba gimnazjum męskiego Aleksander Baumgarten, związany z grupą „Rybaków”, autor tomu wierszy pt. „Usta na kamieniach”. Po wojnie osiadł w Katowicach i wzbogacił swój dorobek literacki o kilkanaście tomów poezji, opowiadań i powieści.

Pracowałam tam krótko, ale dość długo, by obudzić żywe uczucie we wspaniałym chłopcu, który został niebawem moim narzeczonym, z którym jednakże rozdzieliły nas zrzządzenia wojny. On to przedstawił mnie poecie, a swemu uwielbianemu profesorowi, dla którego nie miał dosyć słów podziwu.

A pracowałam tam krótko, bo pewnego dnia przy Elewatorze magazynującym wszelkie dobra, a stojącym przy ulicy Janowskiej w odległości dziesięciu minut od mego domu zatrzymał się przy mnie samochód i wysiadł z niego przysadzisty Niemiec, proponując mi pracę maszynistki w znajdującej się obok Jajczarni, której był dyrektorem. Przyjęłam propozycję z ochotą, bo oprócz 4-kilogramowych deputatów miesięcznych mąki, kaszy i cukru, jak w tamtych dwóch instytucjach, miałam jeszcze otrzymywać Gusseier, czyli potłuczone jaja w stanie płynnym. Nie muszę dodawać, że przydziały ogromnie podratowały nasz domowy budżet żywnościowy. Na miejscu okazało się, że dzięki kombinacjom księgowego i magazyniera, za cichym przyzwoleniem dyrektora jednostki wojskowe otrzymywały częściowo całe, częściowo rozbite jaja, a pracownicy otrzymywali zamiast stłuczek – całe. Przeżyłam tam w pełnej życzliwości atmosferze do końca okupacji niemieckiej. Fascynowała mnie postać pracującego przy liczydłach księgowego, przedwojennego sędziego, wyglądającego na lat pięćdziesiąt, a legitymującego się siedemdziesiątką. Pan Górski twarz miał czerstwą, sylwetkę szczupłą i końskie zdrowie. Mówił, że te zalety zawdzięcza temu, że pochodzi z rodziny wegetariańskiej i że nie tknął w życiu mięsa, podobnie jak stronił od niego jego ojciec i dziad i jak czynią to teraz jego synowie i wnuki. Z nim to oraz z dwoma przyjaciółmi, Tadziem, bratem owego zmasakrowanego

w Brygidkach sędziego, oraz Zbyszkiem Kalinowskim, którego ojciec Stanisław posiadał na rogu ulicy Batorego i placu Halickiego bardzo uczęszczaną księgarnię, posiadającą wszelkie nowości wydawnicze z kraju i wiele zagranicznych, gdzie można było w dziale antykwarycznym nabyć za psi grosz wiele ciekawych książek używanych, nieraz bardzo starych i wartościowych, prowadziliśmy długie dyskusje na tematy filozoficzne, literackie, a przede wszystkim polityczne, a było o czym, gdyż front zbliżał się coraz bardziej.

Największą grozą przejmowały *Bekanntmachungi*, w których władze okupacyjne żądały wydania winnych zabicia przez sąd konspiracyjny szczególnie okrutnych SS-mannów. Takie obwieszczenie uzupełniała lista dwudziestu przeważnie zakładników, którzy mieli być rozstrzelani w razie nieusłuchania rozkazu. Nikt oczywiście nazwisk nie zdradził, i hitlerowcy wykonywali egzekucje. Zresztą brali zakładników i mordowali ich pod byle pozorem. Wobec podejrzanych o działalność w Ruchu Oporu stosowali najwymyślniejsze tortury.

Raz znalazłam się na ulicy Legionów w chwilę po wykonaniu wyroku na konfidentce. Znałam ją z widzenia. Była to piękna, elegancka dziewczyna. Jej modne nad czołem podniesione w falę ciemne włosy zdobił na środku siwy kosmyk. Wyglądała przez to jeszcze bardziej interesująco. Miała podobno na sumieniu wiele istnień. A teraz leżała na bruku ze strzaskaną piersią. Te strzały, które dopiero co usłyszałam, były oddane właśnie do niej. Później dowiedziałam się, że zastrzelił ją własny brat – wiedział o wyroku i wolał wykonać go sam.

Wśród „deszczowych i ponurych dni” błysnęło czasem słońce, wlewając w umęczone dusze nadzieję. I tak stojąc kiedyś na przystanku przy placu Mariackim, usłyszałam jak szwargor ulicznej szczekaczki zagłuszają cudowne dźwięki „Mazurka Dąbrowskiego”. Wyprostowałam się, ludzie dookoła zatrzymywali się w pozycji na baczność! Przebrzmiało kilka taktów i odezwał się nas polski kochany głos. Nie szwargotliwy charkot, jakim powiadamiano o zwycięstwach na froncie albo ogłaszano specjalnej dla okupanta wagi *Bekanntmachungi*, ale nasz polski ciepły głos: „Rodacy. Zbliża się koniec naszych cierpień...” Potem nastąpił komunikat o sytuacji na frontach, o kolejnym wycofywaniu się wojsk niemieckich.

Ludzie poszaleli. Nieznajomi zaczęli się ścisnąć na ulicy. Nagle nie wiadomo skąd pojawili się gestapowcy i strzelając na oślep rozpędzali radujący się przed chwilą tłum.

Kilka razy towarzyszyłam znajomej na „spacerze” przed więzieniem przy ulicy Łackiego. Miała to szczęście, że jej mąż przebywał w celi, której okno wychodziło na skwerek. Mogła go więc czasem zobaczyć i porozumieć się. Zauważyłam tam siedzącą na ławeczce nieruchomą jak

posąg piękną, ale nieprawdopodobnie wychudzoną i bladą kobietę. Kiedyś z osłabienia kobieta zsunęła się z ławki. Nie, nie zemdląca. Dałam jej jakiś erzatzowy cukierek i tak zaczęła się nasza znajomość. Opowiadała, że siedziała tam razem z mężem. Trzymała się dzielnie, ale trapiła ją obawa o synka, który w chwili aresztowania miał dziewięć miesięcy i o którym nic nie wiedziała. Jednemu ze śledczych wpadła specjalnie w oko. Wyraźnie ją oszczędzał. Aż raz podczas przesłuchania zaproponował jej, żeby się z nim przespała, a uwolni ją, by mogła zająć się synkiem. Zaznaczył, że jeden jedyny raz, bo bardzo przypomina mu zmarłą ukochaną żonę. Kobieta odmówiła, ale gdy namowy powtarzały się, a wiadomości o synku nie miała, wysłała gryps do męża z zapytaniem, co robić. Mąż odpisał, że dla ratowania pisklęcia powinna się poświęcić. Oddała się więc gestapowcowi, a on wypuścił ją. Ale nie uprzedził jej, że dziecko nie żyje, gdyż zostało brutalnie roztrzaskane po wyprowadzeniu rodziców. Zrozpaczona, upokorzona i sponiewierana zaczęła myśleć o samobójstwie. Napisała o wszystkim mężowi i on odpowiedział:

„Najdroższa moja, gdy wyjdę, ożyje nasze gniazdo i zapełnią je nowe pisklęta. Musisz żyć dla mnie. Kocham Cię”.

– Więc żyję dla niego – zakończyła cicho, a ja pomyślałam, że nie żyła, ale gaśła. Zobaczyłam ją potem tylko jeden raz.

Dziś udjeżdża brać zy Lwowa

I oto 22 lipca 1944 roku ujrzeliśmy ich znowu. Nie przypominali tamtych nędzarzy w złachmanionych szynelach, z karabinami na sznurkach. Nosili całkiem przyzwoite mundury, mieli całe buty i nowoczesną broń. Jechali na czołgach lub samochodach „made in USA”, radośnie unosili ręce i krzyczeli: „Na Berlin! Za batkiwyszczynu! Za Stalina! Za Polszu!”. Mimo trudów i okropności wojny twarze ich wyrażały dumę i entuzjizm – skończyła się wegetacja. Walczyli, zwyciężali, wypędzili Germańca ze swego kraju, teraz mieli uwolnić spod hitlerowskiej okupacji nasz kraj i dobić wroga w jego gnieździe. Do stracenia mieli tylko swoje nędzne życie, a do zyskania cały bogaty świat! Więc parli naprzód, nie żałując krwi, mieli jej dosyć.

Nie witały ich tłumy na ulicach jak w 1939 roku. Żydowska biedota została wymordowana w obozach i gettach. Zginęło także wielu polskich komunistów aresztowanych przez hitlerowców, Ukraińcy trzymali się z boku, świadomi, że nie uzyskają „samostijnej Ukrainy”, że może tu powstać najwyżej znowu Ukraińska Republika Radziecka. W Polakach jednakże budziła się irracjonalna nadzieja, którą dobrze wyrażało łaćwińskie przysłowie: „contra spem spero”, rozdmuchiwała iskierkę uf-

ności. Przecież należymy teraz do obozu aliantów, przecież razem z Armią Czerwoną idzie prawdziwe wojsko polskie. Przecież chyba coś znaczą te okrzyki: „Za Polszu!”. Ale skwapliwa pamięć natychmiast podrzucała kosztowne obrazy bestialsko pomordowanych w Brygidkach politycznych więźniów, wywożonych w siarczysty mróz w bydłych wagonach niewinnych ludzi, pozamykanych na cztery spusty kościołów, barbarzyńsko niszczonego zabytków kultury...

Niebawem polscy żołnierze rzeczywiście ukazali się na ulicach. Mundury nosili z drelichu, wszak było lato. Na głowach furazerki lub polowe rogatywki. Niektórzy oficerowie mieli sztywne okrągłe czapki jak oficerowie sowieccy. Zdobiły je smutne orzełki bez korony. Często wycięte topornie z puszek po konserwach. Płakali oni i my. Nie chcieli mówić o koszmarach łagru, o głodzie i poniżeniu. „Teraz idziemy na Berlin a potem będziemy odbudowywać Polskę”. „Powstanie Polaka od morza do morza” – przypominała się przepowiednia pocieszycielka. Bajki! Żeby nam Sowietci oddali choć to, co zagarnęli w trzydziestym dziewiątym. Ale gdzie tam! Trzeba by było takiego Piłsudskiego. Ale Lwów to chyba muszą oddać. Nie ma mowy! A jaka ta Polska będzie? A to to wie dokładnie, ale na pewno wolna. Nikt wtedy nie wiedział, że wolność „nie jedno ma imię”.

Powstały jednostki RKU. Mobilizowano do Wojska Polskiego zdolnych do noszenia broni. Werbowano ochotników. Wujka Janka, jako pilota, powołano zaraz na początku. Najpierw służył w jednostce Czerwonej Armii, ale później przeniesiono go do lotnictwa polskiego. Ci, którzy wstępowali do wojska we Lwowie, wyciągali swoje stare lub ofiarowane przez krewnych i znajomych przedwojenne oksydowane orzełki z koronami i podobnie rzezane guziki. Paradowali z zachowanych na taką okazję eleganckich butach. Przy uroczystościach przypasywali szable...

Pani Marysia przybiegła z radosną nowiną: brat pułkownik już się nie musi ukrywać. Wprost przeciwnie, został powołany wojska. Otrzymał rozkaz od samego generała Berlinga, by zorganizować i prowadzić jako dowódca Oficerską Szkołę Piechoty XXX Armii. Co za radość!

Otwarto wyższe uczelnie. Uniwersytet też. Trzeba się zapisać. Ale gdzie? Jeśli mam iść drogą zasugerowaną przez Tomcia, to muszę wybrać polonistykę. Czy jej poziom będzie teraz inny? Chyba jednak zanim co, lepiej wybrać Wyższą Szkołę Handlu Zagranicznego. A Wydział Towaroznawczy. Będzie tam dużo chemii, którą lubię. Potem się zobaczy.

I tak stałam się studentką i wstępowałam oto w wysoką żelazną bramę prowadzącą do nowoczesnego budynku przy ulicy Sakramentek 10. Na moim pierwszym roku znalazło się siedmioro miejscowych Polaków i Ukraińców, którzy trzymali się razem, reszta pochodziła ze Związku Radzieckiego. Była to rozhukana młodzież, świadomie i brutalnie dająca

nam poznać swoją wyższość zwycięzców. Choć przyszli wprost po maturze, wykazywali znacznie mniejsze wiadomości ode mnie, a przecież mogłam to i owo zapomnieć – od ukończenia szkoły minęły bądź co bądź trzy lata. I to nie uszło uwadze profesorów. Pewnego dnia wezwał mnie opiekun roku i oświadczył, że zostałam wytypowana na... asystentką od chemii.

– Jak to? Po takiej przerwie, w dodatku Polka? Nie znam języka...

– I tak umiecie więcej od nich. A że Polka? Teraz wszyscy mają jednakowe prawa. Jeśli chodzi o język, będziecie mówić, jak umiecie. Zresztą będziecie przeważnie wyprowadzać wzory i rozwiązywać zadania, a język matematyczny jest uniwersalny. A poza tym nie ma dyskusji. To jest decyzja Rady Pedagogicznej, zaakceptowana przez rektora.

I tak zaczęła się moja nieszczęsna asystentura. Moja paczka przyjęła wiadomość z entuzjazmem. Tamci stali się jeszcze bardziej aroganccy. Wiedziałam, że nie ma sposobu na przełamanie wrogości, więc nawet go nie szukałam. Dzięki Bogu moja kariera naukowa trwała bardzo krótko, a wszystko przez.. miłość.

Wśród radzieckich studentów znalazł się otoczony stale wianuszkiem podziwiających go koleżanek, a przede wszystkim splendorem bohatera Związku Radzieckiego - starszy nieco wiekiem lejtenant z kikutem dłoni ukrytym w skórzanej rękawiczce. Ku wściekłości swoich wielbicielek zaczął łączyć za mną i naprzykszać się oświadczynami. Odmówiłam stanowczo raz i drugi, a on w porywie złości zagroził mi, że znajdzie na mnie haczyk i znalazł. A właściwie sama mu go w głupi sposób dostarczałam.

Była rocznica rewolucji październikowej, obchodzona oczywiście z wielką pompą, ale nie wymagano od nas obowiązkowego udziału. Toteż nasze siódemka skorzystała z okazji i zamiast na demonstrację, jak to się nazywało, ustawiła się w kolejce po chleb na kartki. Myśleliśmy naiwnie, że będziemy pierwsi. Po pochodzie rozochodzony i nienawistny tłum wypchnął nas z ogonka. A ja niewiele myśląc wyjęłam szpilkę z kapelusza i ukłułam rozpychającą się dziewczewo w pośladek. Duży bochenek chleba otrzymałam jednakże, a wydarzenie to utrwalił kolega na zdjęciu, które figuruje w moim albumie.

Następnego dnia podczas przerwy przyszedł rudy bohater Związku Radzieckiego z poszkodowaną koleżanką. Wskazała na mnie wyraźnie palcem. A na trzeci dzień opiekun roku, bardzo zaaferowany, wezwał mnie do kancelarii. Tam czekało już na mnie czterech enkawudzistów. Rudy był tam także. I dziewczyna. Któryś w mundurze rozkazał:

– A tiepier skażytie, kak eto było z etoj hołkoj.

– Z jaką hołką? – udałam Greka, żeby zyskać na czasie. – Co za hołka?

Okazało się, że dziewczynie zrobił się po moim „zastrzyku” wrzód i że mnie oskarża o spowodowanie schorzenia. Wykrzykiwali, że to sabotaż, że ja Polka chciałam zranić rosyjską studentkę i że za takie przestępstwo Sybir to dla mnie za mało. Wiedziałam, że enkawudyści nie żartują. Postanowiłam nie przyznawać się do winy.

– A jeśli nie wy, to skażycie kto.

– Nie wiem.

Sprowadzili po kolei całą paczkę, ale choć wszyscy wiedzieli o moim postępkach, nikt nie puścił pary z ust.

I tak znalazłam się w więzieniu na Łąckiego. Przesłuchiwał mnie sam komendant, bo okazało się, że rudy komsomolec to jego kompan. Miał wypisane w oczach moje skazanie. Wypytywał dokładnie o moje pochodzenie społeczne, o stan majątkowy rodziców, o to, czy mam w rodzinie oficerów czy działałam w AK. Zabrał mi torebkę, wszystko z niej wyjął. Przy książeczce do modlenia zaśmiał się ironicznie:

– Wierzycie takim głupostom? – Zapytał retorycznie. – A eto kto? – Wyłuskał z kupki zdjęć podobiznę Tadeusza.

– To mój narzeczony.

– A wy dziewczuszka?

Pytanie oburzyło mnie do głębi.

– To nie należy do sprawy.

– Jeśli nie chotocie, nie odpowiadajcie. Pośle siewodniasznej noczi budziem wsio znat.

Skóra na mnie ścierpła. Obejrzałam się za jakimś ratunkiem. Napotkałam rozżarzone nienawiści malutkie jak dwudziestogroszówki oczka maszynistki. Rozpuszczone czarne, włosy, nie noszone wtedy przez nasze dziewczęta, czyniły ją podobną do czarownicy. Ta mi nie pomoże na pewno.

Na chwilę odwołano komendanta. I wtedy z dołu usłyszałam rozpaczliwy głos tatka. Ze łzami w krtani błagał o widzenie ze mną lub choćby o podanie ciepłej zupy. Odmówiono mu. Później, gdy byłam już w celi, przyszedł Tadeusz. Prosił, zaklinał – bez skutku.

Wrócił komendant i zapytał, jak to było z tą hołką. Kontynuowałam przyjętą linię obrony, udając, że nie rozumiem, o co chodzi.

– Głodną i zziębniętą prowadzono mnie na komisariat w czasie obłędnego jesiennego deszczu – wepchnięto do wielkiej celi. Stało tam kilka piętrowych prycz. Po środku malutki stolik i dwa stolki. W wizjerze co i raz ukazywało się ciekawe oko. Położyłam się na łóżku i zastanawiałam nad sytuacją. Wywiozą mnie na białe niedźwiedzie jak nic. Tatko tego nie przeżyje. Czy mam jakąś szansę?

Późnym wieczorem zazgrzytał klucz w zamku. Otworzyły się drzwi i wszedł sympatyczny chłopak. Strażnicy zaśmiali się wulgarnie:

– Przyjanej noci.

– Dobryj weczer – powiedział przybyły. – Mienia zowut Igor.

Wskoczyłam na górne posłanie. On uśmiechnął się bezradnie.

– Ciebie nie nada bieżat. Ja ciebie niczewo i płachowo nie zdiełaju. No, jeśli chcesz, sidi tam...

Był to student, nie pamiętam jakiego wydziału. A więc kolega. Aresztowali go, bo szedł bez dokumentów po godzinie milicyjnej. Ale ojciec już wie. Zawiadomili go. To profesor uniwersytetu. Zaraz tu będzie, ale mnie dzisiaj nie zwolnią, dopiero jutro rano. Tak powiedzieli.

Gawędziliśmy sobie, jakbyśmy się znali nie wiadomo jak długo. Czułam się z nim bezpiecznie. Przejawiał opiekuńcze gesty. Spytał, czy bym nie chciała jego płaszcza, bo może mi zimno.

Znów zazgrzytał klucz w zamku i wywołano Igora:

– Bat 'ko zdiat tiebia.

Nie było go z pół godziny. Wrócił uśmiechnięty. Niósł ronderek i jakieś zawiniątko. Wyciągnął je ku mnie.

– Masz, kuszaj. To bliny i kartoszki. Moja mama smaży charoszyje.

– A ty jadłeś? – spytałam podejrzliwie.

– Mnie nie nada. Ja utrom ujdu domoj. A ty budziesz ździeś nie znaja, kak dołgo. I kuszat ciebie nie dali i nie znaju, kagda dadut.

– Ale ty też zjedz choć jeden placek, proszę.

– Ja kuszał doma wieczerzu. Kuszaj, skusnowo. – Zrobił przy tym oko tak po naszemu, tak po kumpłowski, tak po lwowski, że uśmiechnęłam się, podziękowałam i pałaszowałam rzeczywiście przepyszne placki, aż mi się uszy trzęsły. Chyba nigdy w życiu nic mi tak nie smakowało. Gdy skończyłam, podał mi zawiniątko: dwie złożone kromki chleba posmarowane marmeladą. Miałam wielką ochotę na coś słodkiego, ale wtrząchnęłam męską porcję blinów i nie miałam miejsca na więcej. Kawalek zjem, a na drugi namówię Igora. Zdziwiłam się, że nie protestował, nie zaproponował, bym zostawiła sobie na jutro.

Siedziałam sobie na górze, a on nie namawiał mnie do zejścia. Przegawędziliśmy całą noc ku niezadowoleniu wartowników, którzy spodziewali się jakichś pikantych widoków. Powiedziałam, jak mam na imię, ale Igor nigdy mnie nim nie nazwał, tylko tak tkliwie:

– Króliczku...

Bardzo mi się to podobało. A w trzynaście lat potem użył tego wdzięcznego przezwania w stosunku do Marii Robert Jordan w pierwszym wydaniu „Komu bije dzwon” Hemingwaya.

Następny ranek wyjaśnił, dlaczego Igor zgodził się zjeść kawalek chleba. Gdy wartownicy przyszli po niego, machnął mi ręką:

– Siejczas przyjdu.

I wrócił za chwilę w wielką wałową. Poczciwy chłopak. Prosił, ojca, żeby mnie zaopatrzył. Znalazłam, tam ciepłe jeszcze pierogi, chleb, słoninę, cebulę i dwa jabłka. Wspominam dotąd z wdzięcznością i sympatią tego serdecznego jasnego chłopca, który w trudnych dla mnie chwilach okazał mi tyle przyjaźni, życzliwości i troski.

W ciągu dnia przesłuchiwał mnie dwukrotnie komendant więzienia. Poza tym byłam sama. Usłyszałam znów głos tatka i Tadeusza. Zapukałam na strażnika i prosiłam o podanie im kartki ode mnie. Skwitował krótko.

– Nie lzia.

Po poprzedniej przegadanej mile nocy usnęłam zmęczona, gdy jakoś po dwunastej obudziło mnie stukanie w pryczę. Spałam mocno, że nawet nie usłyszałam wejścia wartownika. Znów przesłuchanie. Wciąż „nie umiałam” wyjaśnić historii z hołką, komendant wciąż mi groził, że za sabotaż grozi zsyłka. Brał mnie pod włos, że jak się przyznam i wyznam, kto mnie namówił, żeby pokaleczyć ruskiju dziewczoczku, to mi karę złagodzi. Ale ja się wciąż upierałam przy swoim i czekałam na cud.

No i jak nie pierwszy raz w moim życiu cud się zdarzył. Po południu komendant został pilnie wezwany do Kijowa i przesłuchiwał mnie jego zastępca. Wydał mi się bardziej ludzki i czułam, że gdyby tylko znalazł choć cień wiarygodnej wymówki z mojej strony, toby mnie zwolnił. Sprzyjającą okolicznością była też nieobecność satanistycznej maszynistki. Może pojechała razem z szefem?

Westchnęłam żarliwie do Matki Boskiej i, ludzie kochani. Ona mi pomogła! Naprawdę. Zesłała mi genialny pomysł. Co prawda, nowa linia obrony nie zasadzała się na prawdzie, ale jak mogłam się nią posłużyć, kiedy ona zapewniłaby mi wyrok skazujący? I Matka Boska o tym wiedziała. Wiedziała też, że ludzie, którzy mieli mnie w garści, nie walczyli prawdą i sprawiedliwością, a ja kłamstwem się brzydziłam.

Nigdy nie wypierałam się swoich słów ani czynów bez względu na to, czy były dobre czy złe, bo to były moje słowa i czyny. Uważałam, że jak nie będę miała szacunku dla własnych słów i czynów, nie mogę wymagać tego od innych. No, ale jak mnie już bieda mocno przycisnęła, to musiałam się uciec do wybiegu.

I po raz drugi w życiu odegrałam przekonująco wielką rolę. Tym razem otworzyłam mi bramy więzienia.*

* Fragmenty pracy nagrodzonej I nagrodą w konkursie „Redakcji Rocznika Lwowskiego” i Warszawskiego TML w 1994 r. Autorka zmarła przed ogłoszeniem wyników konkursu, część opowiadań czy raczej opowieści opublikowaliśmy w „Roczniku Lwowskim 1995-1996”. Niestety, nie udało nam się znaleźć funduszy na publikację całej książki.

Mariusz Olbromski

LEKCJA NA ŁYCZAKOWIE

Znów wiosna na Łyczakowie,
rozkwitły kwiaty i zieleń drzew
tryska szumiąc nad niejednym
grobem, przy którym trzeba
zadumać się chwilę, bo wielkie
serce w prochu sobą chroni.

Ptaka czasem requiem zaśpiewa
ponad wiecznego spoczynku ciszą,
wędrują nowe grupy turystów,
tam, gdzie bieleją rzędy krzyży,
nad nimi napis na pilastrze wisi.

Idą pielgrzymki – jedna za drugą,
by właśnie od Orląt lwowskich
uczyć się – na kolanach –
miłości do Polski.

NOCNA WĘDRÓWKA

Wróciłem do kraju, a jeszcze
w głowie mam pełno Lwowa,
srebrnych zaułków starówki,
gdy księżyc za wieżę Korniaкта
dostojne oblicze swe chował.

I gwaru na ulicy Ormiańskiej,
pośród stolików na bruku
wśród murów zdobnych w scen
tyle: mitycznych fryzów i stiuków.

Wędrując wolno mądrość pracy
chłonałem spiętą miłości łukiem,
zaklętą w kamień i kształty,
w ornament, misterny detal:
ulic muzyczny bukiet.

Byłem znużony dniem całym,
a może życiem – lecz piękno
dotknęło czule – raz jeszcze.
Porwało w gwiazdne regiony
me przygaszone serce.

WIERNY PŁOMIEŃ

Zbigniewowi Chrzanowskiemu

Mijają lata, zmieniają się twarze,
a w sercu trwa ten wierny
płomień, który latami każe
rano wstawać i śnić na nowo
teatr mały – a przecież ogromny.

I wyobraźnią stawiać nowe
światy na rusztowaniach słów
tak dawno często ułożonych.
Nimi zadziwiać i z przeszłością
bratać i ku przyszłości wznosić
ciągle lotne mosty nowe.

Poruszać blaski, także cienie
w gestów ulotnym labiryncie,
by w duszach widzów tęcze rodzić.
I snuć melodie, które w czas
pochmurny serca dziwnie krzepią
i tworzą róż cudowne ogrody.

W ARBORETUM

Pamięci Bożeny Rafalskiej
Przywoziła mym dzieciom,
drobne zabawki ze Lwowa,
i było tyle śmiechu, radości,

piękna pani redaktor,
a bursztyn jej oczu
całego parku był ozdobą,
latami u nas gościł.

Zjawiała się – znikwała –
jak kwiaty magnolii wiosną,
które krótko kwitną.

Składała artykuły
na stołach, na podłodze
barwną mozaikę Kresów
w skupieniu i uwadze
jak świecką modlitwę.

A każdy nowy numer
„Gazety Lwowskiej”,
później ...„Spotkań”

był niczym pieśń radosna
ptaków w maju o świcie,
kiedy w mgłach złotych
rośliny rozchylają kwiaty,
a wokół budzi się życie.

SZKOŁA

Z roku na rok wznoszą
młode pokolenia,
a szkoła jest jak rzeźbiarz,
który kształt nowy wykuwa
nie w gładzie i marmurze,
lecz w duszy i sercu,

bo tam jest to, co piękno
tworzy najpiękniejsze
i innych później ubogaca,
świeci blaskiem wewnętrznym.

W „Magdusi” przez dwa wieki
wstawały cenniejsze niż Fidiasza
najsławniejsze rzeźby.

I cały wielki Lwów ubogaciły
skarbem największym.

Jolanta Załęczny

KRESOWE FASCYNACJE I POETYCKIE PEREGRYNACJE MARIUSZA OLBROMSKIEGO

Czy jest ktoś, kto nie uległ magii kresowego dziedzictwa? Wychowani na romantycznej tradycji Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego bezwiednie uznajemy Wilno, Lwów czy Krzemieniec za miejsca otoczone szczególnie atmosferą. Poetyckie powroty na Kresy były udziałem ogromnej rzeszy artystów. Poetyckim piórem służyli tamtym miejscom Marian Hemar, Zbigniew Herbert, Leopold Staff. Nie mogło w tym gronie zabraknąć także Mariusza Olbromskiego, polonisty, muzealnika i poety. Autora książek o tematyce kresowej (*Dwie podróże, Niepojęte, niewysłowione, W poszukiwaniu zagubionych miejsc, Poemat jednej nocy, Lato w Krzemieńcu. Legendy znad Ikwy, Śladami słów skrzydlatych. Pomniki pisarzy i poetów polskich na dawnych Kresach Południowo-wschodnich Rzeczypospolitej*).

Jego poezja – jak pisała Teresa Tomsia – „oddycha powietrzem Kresów, syci się pejzażami stepów i starych ogrodów okalających dwory ukruszone zębem czasu. Powstaje ze zderzenia obrazów z przeszłości utrwalonych w księgach, na płótnach mistrzów, w domowych pamiątkach z teraźniejszym stanem oglądanych rzeczy, które zachowują swój niepowtarzalny urok, choć zniszczone przez wojny i wieki”¹

Temu kresowemu zauroczeniu jest poeta zawsze wierny, opisuje miejsca, utrwala ginące piękno popadających w ruinę domów i pałaców. Warto więc oddać się lekturze jego wierszy, posmakować poetyckiego piękna i wraz z poetą odbyć wędrowkę na Kresy. Niech za komentarz posłużą strofy wierszy zawartych w dwóch zbiorach *Róża i kamień. Podróż na Kresy* (2012) oraz *Dwa skrzydła nadziei*.

Już tytułu obydwu tomów zawierają wskazówki dla czytelnika. Tomik *Róża i Kamień. Podróż na Kresy*² zgodnie z podtytułem można potraktować jak poetycki przewodnik po Kresach, krainie, z którą poeta

jest związany w sposób szczególny, bowiem dla niego poetyckie podróżowanie jest bezwzględną koniecznością. Ale nie jest to tylko podróżowanie. Odwiedzanie miejsc znanych i poznawanie nowych daje impuls do pisania, bo przecież na Kresach wszystko tchnie poezją, każdy obraz przekłada się na poetyckie strofy. Dlatego z dziecięcą niemal szczerością pisze Olbromski, że „wszystko co ujrzałem nie pozwala milczeć”³. Do tego dochodzi towarzyszące mu głębokie przeświadczenie, że

*„Rzeczy boją się czasu, a skrzydłem pamięci,
niech trwają w locie z nami uniesione”⁴.*

Pisanie i opisywanie staje się więc nakazem, powinnością człowieka, który został przez los nagrodzony wrażliwością i talentem. Bo poezja ma przecież moc szczególną – ocala przed zapomnieniem, ratuje przed zagładą.

Pisanie o utraconym kresowym dziedzictwie nie jest rzeczą łatwą. Nie wystarczy patrzeć i opisywać. Trzeba jeszcze wznieść się ponad tragizm historii, zrozumieć jej zawilgości, umieć przebaczać. Dlatego tak różna i tak piękna jest poezja Mariusza Olbromskiego. Tworząc poetyckie obrazy Kresów łączy on swoją wiedzę historyczną i kresowy regionalizm z wrażliwością i nastrojowością typową dla mistrzów pióra. Kresy stają się odległą, nieosiągalną Atlantydą, a czytelnik – podobnie jak piszący poeta – niczym Odys poszukuje tam swojej Itaki. Czytając poszczególne utwory, mamy możliwość odbywania wędrówki w czasie i przestrzeni. W *Lwowskiej odysei* Olbromski zabiera nas do pięknego Lwowa, dla wielu miasta utraconego, miasta wiecznej pamięci. Odbywamy podróż ulicami miasta, w którym wszędzie dostrzec można ślady Polski i Polaków. Miasto jest szczególne, bo przede wszystkim spotkać tu można ludzi, którzy powitają przybysza z Polski „zaśpiewem znajomym”⁵. Miasto szczególne, bo wystarczy zamknąć oczy, by je zobaczyć, by przypomnieć sobie „piękno zaułków, pałaców, starych kamienic”⁶. A jednocześnie mieć świadomość, że

*„Za mało jest mnie by wejść w każdy zaułek,
we wszystkie uliczki, klękając w świątyniach,
zapukać do wszystkich znajomych drzwi”⁷.*

Z każdego wersu tchnie żal i nostalgia za utraconym światem, za odchodzącym jedynym w swoim rodzaju humorem lwowskim. Nie lada sztuką jest tak operować słowem, by zawrzeć w nim tęsknotę do rzeczy najprostszych... Czy jednak najprostszych, skoro nie tylko słowem, ale nawet każdym oddechem pisze się tam, we Lwowie traktat o wierności.

Podziwiamy więc miasto i urokliwe zaułki, zachwycamy się architek-

turą Lwowa, o której poeta – człowiek o dużej wiedzy z zakresu kultury – mógłby powiedzieć bardzo dużo, ale jest przekonany, że nie należy mówić zbyt wiele, bo „usta ciszy mówią najgłośniej”⁸. Ogromna erudycja poety pozwala pokazać, jak wiele łączy ów polski Lwów ze światem antycznym, z jego klasycznym urokiem i głęboką mądrością. Bo zachwyty Lwowem pozwala zrozumieć tamten ład, pozwala uporządkować własny świat. A może jest odwrotnie? To znajomość kultury antycznej pozwala patrzeć ze zrozumieniem na Lwów i jego zabytki. Jak pisze Olbromski, „przez Lwów odkryłem Homera”⁹.

To zestawienie wielkiej kultury czasów Homera z lwowską codziennością i tradycją ukazuje mistrzostwo pióra Mariusza Olbromskiego, który potrafi poznawać i nie poznawać jednocześnie. Zachwyty Lwowem idzie w parze z podziwem dla twórców antycznych. Pozwala poecie zestawić bohaterów i sceny z mitologii z mijanymi miejscami, których widok towarzyszy mu podczas sentymentalnych wędrówek. W strofach wierszy pobrzmiewa także szacunek dla ludzi współczesnych, którzy wiernie służą pamięci Kresów. Dlatego nie dziwi fakt, że słowa szczególnie kieruje do Janusza Wasylkowskiego:

*„Jakżeś się w mowie lwowskiej rozślonecznił,
że czas warszawski śpiewnym słowem złoci.
O trwa w wieżowcu sam niczym latarnik,
kiedy stolica w falach reklam błyska
i po horyzont szum z oknem toczy”¹⁰.*

Poeta oddaje całe serce miastu zawsze wiernemu Polsce. Odkrywa w nim miejsca piękne, urokliwe, które oparły się tragicznej historii. Zagląda do dawnych lwowskich salonów, dyskretnie podglądając sny „porcelany w serwantkach, w szafach dzieł tak pięknie oprawionych i nadzieić się nie może, że nie zgniótł ich walec historii”¹¹.

Poeta nie tylko podziwia, nie tylko ulega urokowi lwowskich zaułków, ale lojalnie przestrzega, że każdego, kto stanie na lwowskim bruku otoczą zewsząd głosy przeszłości, tkwiące w kamieniach. Siła na kształt płomienia, co nie niszy, ale tworzy. W tym gorącym płomieniu dopatruje się poeta pracy ducha, co „trwa i czas przenika,

*w pot, trud, w codzienne życie zatopiona.
I Raz obudzona – nie przepadnie nigdy.
Będzie zachwycać, wciąż uczyć. I wołać.
Ku nowym pokoleniom otwierać ramiona”¹².*

Uważny czytelnik wierszy Mariusza Olbromskiego zapewne potraktuje je jak poetycki przewodnik po miejscach, które trzeba koniecznie

zobaczyć, po miejscach nierozzerwalnie związanych z ludźmi dla tego miasta bardzo ważnymi. Jakże blado wypadną najlepsze opisy w przewodnikach turystycznych zestawione z takimi słowami: „(...) Wysoki Zamek, gdzie nuta wieczna w gładach murów trwa” czy „Kopiec Unii szkli się szmaragdami, zapodziany w błękitach – topazach bez dna”¹³.

Nie może więc dziwić, że nie może Mariusz Olbromski oprzeć się dumie i podkreśla, że szczyti się wszystkim, co lwowskie i kresowe: „pieśnią i (...) czynem, prastarą wiarą, która jak górski potok płynie”¹⁴.

Do Lwowa zaprasza też poeta w tomie *Dwa skrzydła nadziei*. Strofami wierszy z rozdziału *Witraże lwowskie* zachęca do zwolnienia codziennego tempa, do zatrzymania się, do spojrzenia na świat przez kolorowe szybki witraży i zastanowienia się;

*„Jak chronić dalej kruche te witraże
wśród ulic, wśród zaułków świata,
jak ich nie rozbić, jak ich nie rozproszyć?”¹⁵*

Jeśli czytelnikowi uda się podążać śladem poety, jeśli uda się zrozumieć zawarte w wierszach przesłanie, to doświadczy zapewne nostalgii za czasem utraconym, ale też będzie przekonany, że poezja jest formą przywracania pamięci tego, co odeszło lub właśnie odchodzi. Dzięki jego tekstom miejsca i ludzie nie odejdą w zapomnienie, bo „nie ginie nic co z miłości pochodzi”¹⁶.

Wielkość prawdziwej poezji polega na umiejętności zachwywania się rzeczami ulotnymi, ułamkami rzeczywistości. Wartość prawdziwej poezji to zdolność do inspirowania czytelnika do zatrzymania się w biegu, do przyjrzenia się kafilowi wyrzuconemu, który przypomina baśnie wszystkich nocy, rozgrzewa noce zimowe i zachwyca oko zdumione¹⁷. I właśnie Olbromski potrafi – na oczach czytelnika – utrwalac w słowach ulotne wrażenia, odkrywać świat Kresów i ocalać go przed zapomnieniem. Jego poezja staje się więc próbą zachowania dla przyszłych pokoleń tego, co on sam pokochał...

*„Bo tylko miłość wciąż na straży stoi
wryta w słów czułym marmurze
nad gestem, ciepłym twarzy, pięknem
czynu i sceny, która już się nie powtórzy”¹⁸.*

Olbromski jest wierny Kresom, zachował pod powiekami obrazy Lwowa. W każdym miejscu i o każdej porze widzi swój Lwów, powraca do „piękną zaułków, pałaców, starych kamienic. Choć nie zawsze może wejść w każdy zaułek, we wszystkie uliczki, klęknąć w świątyni, zapu-

kać do nieznanomych drzwi, aby rozjaśnić się nagle światłem ich powitań”, to przecież jest wierny tamtej miłości, a kiedy widzi Lwów każdym oddechem pisze „traktat o wierności”¹⁹.

Nie tylko Lwów przykuwa uwagę poety-wędrowca. Zachwyca go również Drohobycz, bo przecież to miasto szczególne, magiczne, „miasto, gdzie były sklepy cynamonowe”²⁰. Z Bruno Schulzem łączy Olbromskiego związek poetyckich dusz, więc zrozumiałe, że obydwu urzekła magia miejsca. Więc z prawdziwym pietyzmem utrwala Olbromski w słowach „pastele duszy artysty, klepsydry czasu sypiące czarną grozę i strzał za strzałem pada od ulicy”, przywołuje sceny z malowanych przez Schulza ilustracji do bajek:

*„Stangret w powozie wiezie tylko błękit,
koń w złotą chmurę pyłu nagle wpadł.
Królowa w dłoni skarb zaciska wielki
i „krasnala patrzy w bajek cudny świat.
Kot pręży grzbiet, by skoczyć tam,
gdzie wróżka trzyma różdkę z gwiazd”²¹.*

Nie oparli się urokowi Drohobycza ani Andrzej Chciuk, ani Kazimierz Wierzyński, nie oparł mu się też Olbromski, dla którego Drohobycz jest niezmiennie miejscem szczególnym. To tam:

*„Meteory, meteory spadają w fiolet parku
i gubią w drzew szelestach swe istnienie,
gdzie młodzież w słodkich lipach zapodziana
śpiewa tęsknie o szczęścia pragnieniu”²².*

Wielkość poezji Olbromskiego polega na tym, że z jednakowym zaangażowaniem opisuje majestat Lwowa czy urok Drohobycza, jak i przygraniczne świątynie, które nawet pokryte chaszczami i przysłonięte drzewami nigdy „nie są opuszczone (...),
w swej pustce i ruinie nie są puste,
bo Miłość tam przedziwnie czuwa”²³.

Trudno się więc dziwić, że błądząc wśród przygranicznych krajobrazów, „po kalekich drogach i pośród cudów świata” mijane podczas podróży pochylone wieże uznaje Olbromski za

*„znaki w przestrzeni tęsknot i nadziei,
trakty do niebios w ciszy zagubione”²⁴.*

W swojej poetyckiej wędrówce nie mógł poeta nie odwiedzić miejsca narodzin Juliusza Słowackiego. Wielokrotnie bywał w Krzemieńcu, nie bez powodu nazwanym „miastem wielkiej tęsknoty”, zachwycał się śpiącym miastem, rozmawiał ze Słowackim, szepcząc mu:

*„I tylko tęsknota Twa tutaj krąży
i ulotne wizje poprzez sen najgłębszy”²⁵.
Wędruje poeta błękitnymi ścieżkami, spogląda,
„gdzie Dobromila majaczą zarysy
i Drohobycza białe plamy giną...
a dalej Dniestr rozciąga swe ramiona,
lecz go nie widać – ni miasta Madonny,
jest tylko przestrzeń świetlista, zamglona (...)”²⁶.*

Mariusz Olbromski bardzo sprawnie łączy poezję z malarstwem, ma świadomość, że „cisza barw ma głębię mowy”. Jak „Stanisławski kilka uderzeniami pędzla chwycił Kresów duszę-przestrzeń”, tak Olbromski poetyckim słowem – niczym pędzlem – opisuje świat

*„W porze spadania śliw, przejrzałych Maryn
hord wróbli krążących nad pszenicznym polem,
sennego grania pasiek pośród wonnych sadów
I drżących kolumn powietrza z kapitelem obłoków
korowajów słońca na żyznym Podolem (...)”²⁷.*

Poeta – równie sprawnie jak słowem - operuje barwami, niczym malarz czy fotograf posługuje się „najlepszą techniką chwytania światłocieni”²⁸, bo tylko one pozwala zapisać wrażenia lekkie jak puch, podobne motylom, pozwalają utrwalić lekkość księżycy oraz głosy i sceny Kresów i chociaż tak je ocalić. Ale Olbromski to także muzyk, więc porzuca światłocienie, by po chwili oddać wyższość muzyce rzeki – światła, co „jest językiem Boga”²⁹. Bo Kresy to cała gama dźwięków, które jest w stanie wyłowić wrażliwe ucho wędrowca, jeśli tylko pochyli się, wyteży słuch. Wtedy ogarnie go „tysiąc szeptów, tysiąc nut świetlistych w wodach odbitych, a historia zamkiem niejednym opowie o dziejach”³⁰. Tak operować wszelkimi środkami artystycznego wyrazu potrafi jedynie prawdziwy mistrz poezji, który zapisuje strofy rodzące się z potrzeby serca, wypływające z głębokiej tęsknoty.

Wszystkie te artystyczne zabiegi służą opisaniu „zapodzianych klejnotów przeszłości (...) chronionych ciszą i opuszczeniem”³¹. Są odpowiedzią na dochodzące z Wołynia szepty: „nie zapomnij, nie zapomnij”³². Są jednocześnie zobowiązaniem i poetyckim ślubowaniem, że poeta nie

zapomni, będzie przywoływał tamte obrazy, zapisywał i karmił nimi czytelnika.

Olbromski poeta, wędrowiec i miłośnik Kresów doświadcza głębokich przeżyć, które wywierają piętno na jego poezji. Zachwyty i rozczarowanie, wspaniała przeszłość i smętna teraźniejszość, dostojeństwo i codzienność – wszystko to powoduje rozterki czy wręcz rozdarcie wewnętrzne. Wobec tej sytuacji nie może pozostać obojętny. Ulega owej mistyce Kresów, podziwia i jednocześnie rozumie ulotność, kruchość tamtego świata. Nie może więc dziwić takie wyznanie:

*„Znowu płynę tylko sam, lecz w łodziach dwóch
pośród dwojga roziskrzonych zmiennie nieb
i w pławieniu złotym koni pośród ciekłych chmur,
w szumach tęczy wodorostów z urwisk skalnych
w podwojonych tańcach śnieżnych mew.*

(...)

*Zanurzony w istnień korowodzie zmiennym
Nad rozkwitem wirów, luster nagłych drzeniu
Spływam zapodziany w kruchym swym istnieniu”³³.*

Pokora każe poecie-wędrowcy wyszeptać słowa modlitwy:

*„Spraw Panie, bym przez przeróżne sprawy,
przez tysiąc zmiennych tonów był ubogacony,
lecz nie zagubił też wątku głównej melodii,
w odnogach, starorzeczach rzeki nie pobłądził.*

(...)

Naucz pokory...”³⁴.

Każdy czytelnik wierszy Olbromskiego z pewnością zwróci uwagę na formę poetyckiego wyrazu. Z pozoru są to wiersze proste, ale napisane wykwiutnym językiem, pełnym – rzecz by można – szlachetnych metafor, niedopowiedzeń. Poeta z niezwykłą gracją operuje barwami, nastrojem, z ogromnym wyczuciem i niezwykle sprawnie używa lwowskiej gwary. Dzięki temu,

*„to, co prawie znikło, a wciąż
świećnością swoją płonie, cenniejsze
niż blask wszystkich
kruszców kosztownych”³⁵.*

Są więc wiersze Olbromskiego nie tylko poetyckim przewodnikiem po Kresach. Są także próbą stworzenia poetyckiego manifestu człowieka, który na zawsze związał się z tamtymi miejscami, gdzie niczym w lustrze widzi siebie i zadaje sobie istotne pytanie:

*„Cóż godniejszego właśnie tutaj
niż z pnia prastarej mowy
zaszczepić nowe ogrody?”³⁶*

I choć nie udziela na nie odpowiedzi, ba, nawet nie szuka jej, towarzyszy mu przeświadczenie, że właśnie na Kresach możliwe jest trwanie – ta „ciągła podróż z różą przez sen – i zachwycenie – i śpiewanie –”³⁷. Magia poezji tkwi w niedopowiedzeniach, w unikaniu jednoznacznych podsumowań. W zamykaniu frazy znakiem zapytania, tak, by to czytelnik szukał wyjaśnienia, by mógł udzielić własnej odpowiedzi.

Jak więc widać, dla Mariusza Olbromskiego ważna jest historia i teraźniejszość, bo te dwa wymiary – choć bardzo często naznaczone piętnem trudnego sąsiedztwa – dopełniają się, pozwalają na stworzenie całościowego obrazu Kresów, pozwalają na patrzenie w głąb dziejów, na opowiadanie o zapomnianym świecie. Pozwalają na wydobywanie treści głęboko ukrytych, tajemniczych, pozwalają na ocalanie pamięci o ludziach i miejscach tak ważnych dla naszej historii, ale też dla rozumienia teraźniejszości.

Staje się więc poeta przewodnikiem „po zamczyskach strzaskanych piorunem historii”, które

*„niegdyś wolności przez ciąg wieków strzegły
wszystkich mieszkańców, klejnotu istnienia”,
a dziś niezmiennie dowodzą, „że trzeba bronić sprawy, wiary, trzeba poświęcenia”³⁸.*

W wyniosłych gór, na których pozostały jeszcze ślady warownych twierdz, prowadzi czytelnika na opuszczone cmentarze, na których zostały się „krzyże, kalekie Madonny, kolumny pochylone”. Zadumany, zasłuchany w szum wiatru, zadumany nad przewrotnością dziejów z pokorą prosi:

*„Boże ojców naszych, okryj te cmentarze,
tak dawno opuszczone wzdłuż tej rzeki,
skrzydłem anioła, płaszczem swej opieki...”³⁹*

Słowami wierszy przywołuje wydarzenia z przeszłości, każe odświeżyć wiedzę historyczną, bez której nasze postrzeganie Kresów nie może przecież być pełne i obiektywne. Jego wiersze nie tylko zachwycają, ale też uczą, w poetyckim przekazie zawiera autor wiele treści, które pozwolą w pełni zrozumieć tajemnicę naszej fascynacji tamtymi miejscami.

Ale oprócz przyrody, architektury dostrzega też poeta ludzi, bezimiennych mieszkańców kresowych miasteczek, którzy tam pozostali,

„by w płucach obracać to samo powietrze,
odwiedzać co dzień ulicę znajomą,
na cmentarzu krzyż pochylony podeprzeć,
o duszę miasta walczyć lat dziesiątki
tylko różą i niebieskim płomieniem”⁴⁰.

W tej poetyckiej formie Olbromski apeluje do świadomości Polaków – brońmy naszej kresowej tożsamości, ocalmy pamięć o Kresach, o miejscach i ludziach. I wskazuje, że właśnie poezja, właśnie sztuka odgrywa w tym procesie ocalania rolę szczególną.

„Bo sztuka, jeśli z głębi czystych płynie,
łączy serce jednostek i narody.
Jak śnieżne szczyty świeci, kiedy świt
przychodzi i jest jak w białym marmurze
mgnienie wyrzeźbione”⁴¹.

Trudno więc nie zgodzić się z opinią wyrażoną przez Jana Wolskiego, że wiersze Mariusza Olbromskiego „to nie tylko nostalgia za światem utraconym. Byłoby to wrażenie nietrafne i pozorne Są one bowiem raczej hymnem na cześć zmienności, na część chwil, które są nam dane, zmysłowych, pozwalających zobaczyć w nagłym błysku całość, komplet, pełnię, w tym, co było, jest i pewnie będzie”⁴².

PRZYPISY

¹ <http://lwowiacy.pl/2014/Q6/12/historia-i-pamiec-o-lwowie-i-kresach/salon-lwowski-3/> [dostęp 30.10.2015]

² M. Olbromski, *Róża i Kamień. Podróż na Kresy*, Londyn – Przemyśl – Rzeszów 2012. Recenzja tego zbioru wierszy autorstwa Jolanty Załęczny została zamieszczona na stronie Wydawnictwa PHU Farta <http://farta.pl/wydawnictwo/recenzje.php> [dostęp 30.10.2015], a kresowe fascynacje Mariusza Olbromskiego były tematem referatu wygłoszonego przez autorkę na III Międzynarodowej Konferencji Kresowej *Mit Kresów Wschodnich* zorganizowanej przez Muzeum Górnośląskie w Bytomiu, Uniwersytet Opolski i Uniwersytet Śląski 5 listopada 2015 roku w Bytomiu.

³ M. Olbromski. *Róża i kamień*, [w:] *Róża i kamień...*, s. 139.

⁴ *Przed podróżą*, tamże, s. 47.

⁵ *Ścieżka przez ogród*, tamże, s. 16.

⁶ *Widzę Lwów*, tamże, s. 44.

⁷ *Widzę Lwów*, tamże, s. 44.

⁸ *Wykład uliczny*, tamże, s. 20.

⁹ *Lwowska odyseja*, tamże, s. 23.

¹⁰ *Warszawski latarnik*, tamże, s. 24.

¹¹ *Nasłuchuję tonów*, tamże, s. 27.

¹² *Spotkanie*, tamże, s. 9.

¹³ *Pieśń poranna*, tamże, s. 7.

- ¹⁴ *Biały obłok*, tamże, s. 38.
- ¹⁵ *Witraże*, [w:] M. Olbromski, *Dwa skrzydła nadziei*, Lubaczów-Lwów, 2014, s. 106.
- ¹⁶ *Z sokolej góry*, [w:] M. Olbromski, *Róża i kamień...*, s. 89.
- ¹⁷ *Kafel na podwórku*, tamże, s. 31.
- ¹⁸ *Pamiętniki*, tamże, s. 37.
- ¹⁹ *Widzę Lwów*, tamże, s. 44.
- ²⁰ *Róża i kamień...*, tamże, s. 45.
- ²¹ *Pastelowe freski*, tamże, s. 54.
- ²² *Letnia noc*, tamże, s. 57.
- ²³ *Przygraniczne świątynie*, tamże, s. 48.
- ²⁴ *Tamże*, s. 48
- ²⁵ *Miasto tęsknoty*, [w:] M. Olbromski, *Dwa skrzydła...*, s. 164.
- ²⁶ *Błękitne ścieżki*, [w:] M. Olbromski, *Róża i kamień...* s. 63.
- ²⁷ *Mistrz Jan Stanisławski*, tamże, s. 92.
- ²⁸ *Zygmunt Haupt: przy piórze*, tamże, s. 36.
- ²⁹ *Na Dniestrze*, tamże, s. 64.
- ³⁰ *Tamże*, s. 64.
- ³¹ *W słońcu Podola*, tamże, s. 65.
- ³² *Pański kasztan*, tamże, s. 137.
- ³³ *Dwa nurty*, tamże, s. 66.
- ³⁴ *Modlitwa wędrowca*, [w:] M. Olbromski, *Dwa skrzydła...*, s. 186.
- ³⁵ *Siedziba*, [w:] M. Olbromski, *Róża i kamień...*, s. 51.
- ³⁶ *Tamże*, s. 51.
- ³⁷ *Róża i kamień*, tamże, s. 139.
- ³⁸ *Zamki kresowe*, [w:] M. Olbromski, *Dwa skrzydła nadziei...*, s. 201.
- ³⁹ *Modlitwa w bodiakach*, tamże, s. 205.
- ⁴⁰ *Bez pomnika*, tamże, s. 126.
- ⁴¹ *Mgnienie*, [w:] tamże, s. 117.
- ⁴² *J. Wolski, Mgnienie wyrzeźbione czyli apoteoza chwili szczególnej. Mariusza Olbromskiego podróżowanie na wschód*, [w:] M. Olbromski, *Róża i kamień...*, s. 146.

Karolina Kottun

OSTATNIA DROGA

Przyszły wszystkie
z okolicznych dołów z meniskiem agonii
odziane w paździenikową słotę
– Anioły Cmentarza Orłąt.
Nierozpoznawalne po twarzach
tylko po powybijanych skrzydłach
nieodpuszczonymi grzechami
i porąbanych duszach
za cichym
wybaczam.
Przyszły wszystkie
na Sąd Ostateczny
bez Boga
– jeszcze nie dotarł, jeszcze nie rozgrzeszył...
Stoją w rzędzie i patrzą
oczami przekrwionymi ze smutku
jak unoszą Orłęta z Ziemi
która przytuliła je szybciej niż życie.
Muszą wybrać swojego
Nieznanego –
relikwię Ziemi Wypolszczonej
do której usta można przyłożyć pamięcią i modlitwą.
Szukają świadków historii
z orzełkiem na piersi zapadłej
lub skrawka flagi przygniętej czasem.
Uwierzcie piszczelom,
oczodołom i prochom
że krzyczały kiedyś Ojczyźnie w twarz o miłości i wierności.
Przyszły wszystkie
wraz z matkami

dzieci
Wielkiej Wojny –
Bronią z pooraną twarzą
nieprzespanych tęsknotami nocy
i z Jadwinią
która podchodząc do synowych trumien
Chrystusowym gestem
chciała wskrzesić
parę imion i kości.
Poniosły wszystkie
wspierając się o kule losu
dębową trumnę
Bezimiennego Strzelca
– wybrańca Narodu Polskiego
na plac Saski do nowego grobu
wymoszczonego łzawymi modlitwami.
Zostawili mu czapkę
maciejówkę
z omszałym orzełkiem
by w kondukcje historii
kłaniał się
przydrożnym krzyżom.

Zbigniew Adrjański

OPOWIADANIA Z POLESIA

Jubileusz

Do Aleksandra Rodziewicza, dyrektora teatru Wołyńskiego, który akurat zjechał do Brześcia na Bugiem ze swoim teatrem na gościnne występy, przychodzi Halina Tańska (pseudonim sceniczny) – najstarsza aktorka w tym zespole i mówi:

– Dyrektor mój kochaneńki. Rodziewicz wspaniały, czy jakaś baba mówiła tobie dzisiaj, że... kocha ciebie? Nie mówiła? Nie wierzę! No, to ja powiem. Choć pewnie wolałbyś od młodszej takiej oświadczyni? Nie wolałbyś? No to od razu powiem z czym ja do ciebie przyszedłam. (Rozmowa ta odbywa się w kawiarni „Bon, Bons de Varsovie”, gdzie po południu zbiera się miejscowa bohema i dyrektor przychodzi na kawę, ale Tańska nic sobie nie robi z takiej widowni, tylko głośno nadal tokuje).

– Rodziewicz mój, serdeńko moje, złote! Ty mnie przed biedą wielką poratuj. Zima okrutna na Polesiu idzie. Woda w Muchawcu zamarza. Tam, gdzie mieszkam, w gościnnym pokoju za ścianą jakiejś żydowskiej rodziny, wiadro do robienia siusiu mnie stawiają i tam też wszystko zamarza. Pieniżków na lepszą kwaterę potrzebuję. W dodatku moja wnuczka studiuje u „Zelwera” w Warszawie. Stale pisze do mnie: „Kochane pieniążki, przyslij babciu!”. Nie wiem po co jej ta szkoła? Figurę ma po babci, jak jej babcia młodą była. Zresztą teraz niczego też mi nie brakuje. Sam oceń? Talentu, nabierze z wiekiem...

– A jaki pani znowu wymyśliła jubileusz, pani Halino? – pyta Rodziewicz. – W ubiegłym roku, o tej samej porze, obchodziliśmy 75-lecie pani urodzin i 50-lecie pracy na scenie. Potem zarządziła pani w Kobryniu 65-lecie urodzin i 50-lecie pracy artystycznej. Wynika z tego, że debiutowała pani w teatrze w wieku lat piętnastu? No dobrze, niech będzie. Ale zaraz, w Pińsku oświadczyła pani, że ma 80 lat i już była okazja do obchodów 60-lecia pracy scenicznej?

– A Nowogródka sobie nie przypominasz?

– Co było w Nowogrodku? – usiłował przypomnieć sobie dyrektor.

– W Nowogrodku udawałam młódkę, na twoją prośbę zresztą! Wojewoda nowogrodzki prawie się we mnie zakochał. Poszliśmy na bal sylwestrowy całym teatrem do Urzędu Wojewódzkiego. Orkiestra gra walc *Sopki Mandżurii*, wojewoda ze mną po całej sali wiruje. Wszyscy stoją i klaszczą nam, zachwyceni jak ta Tańska wygląda. Wojewoda ledwo zipie. A mnie duża koperta uwiera, w której jest prośba o dotację na wystawienie przez nasz teatr przedstawienia nad jeziorem Świtez pt. *Ballady i romanse* według Adama Mickiewicza. Kto mi tę kopertę do stanika wtedy wetknął? No, kto?

– Ja, pani Halino! Wiem komu to piękne przedstawienie zawdzięczamy.

– Ale nie wiesz jak było naprawdę. Otóż zaledwie te *Sopki Mandżurii* grać przestają i zaczyna się walc *Français*, który chce tańczyć ze mną mój dotychczasowy partner. Nagle pojawia się marszałek Piłsudski, który też na bal ten przybył. I mówi: „Odbijany, panie wojewodo!” A we mnie dech zaparło z wrażenia, choć z „Ziukiem” znamy się od dziecka. I wtedy właśnie ta koperta „myk” mi spod stanika i na podłogę upadła! Ale szarmancki Józef Piłsudski schyla się po tę kopertę i widząc na niej adres: Wojewoda nowogrodzki... oddaje kopertę temu, do kogo jest zaadresowana. I mówi: „Dokumenty urzędowe pani gubi na sali!”. A ja teraz już z samym marszałkiem tańczę!

– Tego nie widziałem, pani Halino kochana!

– Mów mi Tańciu, tak jak wszyscy mówią. – Trzeba było wtedy za moim pośrednictwem dotację na *Dziady* Mickiewiczowskie prosić. Zagrałbyś może Konrada. A ja panią Rollison. Ale i tak ładnie recytowałaś: *Kiedykolwiek będziesz w nowogrodzkiej stronie...!* Nu dobrze, dyrektorku mój skrupulatny. Nie chcesz mojego jubileuszu w Brześciu nad Bugiem, to zrobimy benefis. Co masz przeciwko moim benefisom? Zawsze tobie i teatrowi całemu jakieś splendory przynoszą. Tylko nie przeszkadzaj! Posłuchaj mojego uzasadnienia. Brześć nad Bugiem to jest miasto wielkie: Twierdza Brzeska. Dowództwo Okręgu Wojskowego. Urząd Wojewódzki. Kasyno oficerskie. Kapelania wojskowa – jedna i druga. To znaczy katolicka i prawosławna. A nawet rabinat jest dla żołnierzy i oficerów wyznania mojżeszowego. Inaczej mówiąc, każda potwora znajdzie tu swojego amatora. A każda megiera swojego oficera oraz wikt i opierunek na zimę. A co zrobić ma staruszka, taka jak ja, dla sceny kresowej zasłużona? Chyba nie odważysz się powiedzieć, że też ma sobie kogoś poszukać? No, odważ się... odważ! Ale powiem tobie od razu! – Tańska nie jest znowu taka bezpańska. Tańska ma tu swego protektora, do którego pojedę w ostateczności i powiem: „Kostek – oczywiście mam na myśli Biernackiego Kostka, wojewodę brzeskiego – weź mnie

i zamknij w Berezie Kartuskiej. Albo od razu w więzieniu, w Twierdzy Brzeskiej, bo lepiej mi tam będzie zimą, niż w pokojach gościnnych, które wynajmuje dla nas dyrektor Rodziewicz. Nie mówiąc już o tym, że benefisu nie chce mi urządzić.”

– No dobrze Tańciu kochana. W czym ty chcesz na ten benefis występować?

– Jak to w czym. W futrze od Fuksmana. Najlepszy i największy skład futer na całym Polesiu. Fuksman i Spółka. 3 Maja 7.

– To Fuksman tobie futro obiecał?

– Nie tylko obiecał, ale już to futro czeka na odbiór po twojej zgodzie w tej sprawie.

– Ale konkretnie, w czym chcesz grać? Aktualnie wystawiamy *Gałązką rozmarynu*. Sztuka legionowa.

– Bardzo dobrze – mówi Tańska. Jest tam dworek szlachecki. Schody. Wbiegam po tych schodach, odwracam się do publiczności. I tak stoję przed nimi w futrze od Fuksmana.

– To nie są żadne schody, tylko schodki do szlacheckiego dworku. Dwa stopnie. Nie będzie ciebie nawet widać w tym tłumie, który zajeżdża do szlacheckiego dworku. To nie jest rewia w Qui Pro Quo, tylko Teatr Wołyński.

– Kazesz zrobić jeszcze dwa stopnie na tych schodkach i będę miała tzw. entrée. Możesz prowadzić mnie pod rękę po tych stopniach. Załatwię tobie, Rodziewicz kochaneńki, drugie futro od Fuksmana, tzw. dyrektorskie. Albo szubę?

– Nie jestem modelką do prezentacji futer. Jestem dyrektorem państwowego teatru na Wołyniu – obraził się Rodziewicz.

– Ale czy ja mówię, że masz to futro zachować dla siebie? Sprzedamy te futra na przedwośniu. Moje rozliczysz tak: 50 procent Tańska, opłacenie kwatery, czesne dla wnuczki na studia aktorskie w Warszawie. Reszta pójdzie na tzw. działówkę dla zespołu uczestniczącego w benefisie. Twoje futro dyrektorskie może pójść po sprzedaży, w całości na zespól.

– Tańciu, skąd ty masz taką głowę do interesów?

– Wiesz dyrektorku mój kochany, prawdę ci powiem. Wolałabym mieć to, co mają inne młode aktorki do robienia interesów. Ale nie powiem, jak to się teraz nazywa...

Z Radziwiłłem – na ty

Książę Radziwiłł z Nieświeża, panisko wielkie, prezes stronnictwa „Żubrów” był jednocześnie szczerym demokratą, który lubił sobie z prostym człowiekiem pogadać. Rano wymykał się ze swojego pałacu i „szedł

w lud” przebrany za wiejskiego chłopca albo rybaka. W torbie dźwigał pół litra zwykłej wódki i pęto kielbasy. Nad stawem przy pałacu, gdy zobaczył jakiegoś rybaka, zaczynał rozmowę.

– Kto ty?

– A rybak na to:

– Nie przeszkadzaj! Widzisz, że ryby łowię!

– Żadna to sztuka łowić karpie w stawie hodowlanym – mówi Radziwiłł.

– A co to ciebie obchodzi? – mówi rybak. – To nie twój staw, tylko Radziwiłła.

– Ja jestem Radziwiłł – odpowiada księżę.

A tamten na to:

– Nie nabierzesz mnie. Mówią, że chodzi tu taki jeden, który Radziwiłła udaje. Z chłopami wódkę pije.

– To ja jestem Radziwiłł i mogę się z tobą wódki napić.

– A masz wódkę?

– Mam. Tylko nie piję wódki bez zakąski. Karpia, którego złapałeś w moim stawie, usmażysz z moją kucharką. A ja po kieliszki skoczę.

Chłop zaproszony do pałacowej kuchni siedzi i medytuje: – Czy to nie był jednak prawdziwy Radziwiłł? A wtem drzwi się otwierają, jeden kelner tacę niesie i na tacy dwa kieliszki i jakieś szklanki. Drugi sól, pieprz i ogórki dźwiga. Na końcu Radziwiłł wchodzi. Chłop zająkał się z wrażenia i mówi:

– Proszę księcia! Proszę pana Radziwiłła!...

A Radziwiłł na to:

– Czego się jąkasz? Czego mi panujesz? Przecież byliśmy już na ty?

Komar albo moszka

„Osk...!”
Na Polesiu ludzie mówią głośno albo nawet krzyczą do siebie, stojąc o krok, bo odległości tutaj są duże: rzeki, bagna, jeziora, dzielą ludzi od siebie i taka prywaczka, że jeden do drugiego krzyczy tu, jakby go ze skóry obdzierano. Poza tym, tu komary, komarzyska wielkie jak widliszki, kąsają okropnie: na spacerze, na ławeczce w parku, w kościele w czasie modlitwy. W miejscu najbardziej nieoczekiwanym, nagle komar kąsa w twarz, głowę albo pupę. Bo są takie złośliwe bestie, że nawet przez sukienkę lub spodnie od garnituru mogą ukąsić. Toteż co chwila słyhać różnego rodzaju „joby”: polskie, ukraińskie, białoruskie lub nawet żydowskie, wykrzykiwane bolesnym głosem. I zaraz po takim „Jobie” następuje: pac... pac! Autor wykrzykiwanego „jobu” usiłuje zabić komara na własnej twarzy, ale zazwyczaj nic z tego nie wychodzi.

Chytry komar poleski ucieka. Najłagodniejszym z Jobów” jest zatem staropolski okrzyk „osk...!”, co w skrócie oznacza: „Ożeż ty taki, owaki!”. A ruskie „joby” są niedoścignione! Są w tym języku wiązanki Jobów”, litanie Jobów”, wypowiedane na jednym oddechu. Krótko mówiąc, cudowna umiejętność rzucania Jobów”, które wypracowała sobie rosyjska nacja – nie tylko na Polesiu. Ale Polacy też niczego sobie Jobują”, trzeba przyznać.

Wojewodę Kostka-Biernackiego kąsa właśnie komar, w czasie defilady z okazji święta 3 Maja, na placu Unii Lubelskiej. Widzi to sekretarz wojewody, Rodziewicz i mówi do swojego zwierzchnika:

– Czy mogę pana wojewodę ostrzec, że komar siedzi na pańskim policzku?

– Pan mnie nie ostrzegaj. Pan wal mnie do razu w pysk!

Sekretarz wali wojewodę po twarzy według rozkazu. A ten oddaje mu natychmiast, bo właśnie sekretarza wojewody też komar kąsa.

– Teraz jesteśmy kwita – mówi zadowolony wojewoda. Ale zaraz dodaje:

– Patrz pan, patrz pan! Księdza biskupa Bukrabę też komary kąsają. Co robić?

Niektórzy kawalerzy na deptaku przy ulicy Steckiewicza specjalizują się w polowaniu na komary na panięskich zadkach. Idzie taka panienka z pobliskiego gimnazjum Traugutta albo żydowskiego gimnazjum Torbuta i zadkiem kręci tak, że oczopląsu można dostać. A na zadku panienki komar przegryza się przez jedwabie. Bystry wzrok kawalera dostrzega natychmiast komara na zadku panny. Wali zatem pannę, bez uprzedzenia, po zadku, z okrzykiem: „osk...!”. Panna w odpowiedzi wali go po pysku. Też z okrzykiem: „osk...!”. Albo jeszcze gorzej! Słychać tylko: prask... prask... „osk...! Osk...!”.

Obie zwaśnione strony godzi następna chmara komarów.

Guwerner

Jak się nazywa?

– Dobosz.

– Nie pytam, na czym on gra, tylko jak się nazywa.

– Nazywam się Apoloniusz Dobosz. Rodzina spokrewniona z Platerami.

– Mnie wystarczy Dobosz. Platerów do pracy z dziećmi na stanowisko guwenera na razie nie angażujemy. Stan cywilny.

– Kawaler. A właściwie: stary kawaler.

– Czego się nie żeni? Bab nie lubi? Może woli chłopców? Niech się od razu przyzna.

– O to pani hrabina może być spokojna. Nie lubię bab, bo wszystkie baby po pewnym czasie stają się jędzowate. A chłopów nie lubię, bo nie lubię. Nie jestem zresztą babą.

– Mnie też – pyta hrabina – uważa Dobosz za jędzowatą?

– Prawdę mówiąc, przez grzeczność, nie powinienem pani hrabinie zaprzeczyć.

– A dzieci? Lubi?

– Prawdę mówiąc, nie znoszę. Pracuję z nimi dla chleba. Na ogół są to potwory!

– Podoba mi się ta szczerść – mówi hrabina. – Moje wnuki też są okropne. Młody hrabia i jego żona zupełnie nie dają sobie z nimi rady. Ale jeśli fizycznie im pan coś zrobi, to znaczy moim wnukom, to każemy Dobosza złapać i wykastrować.

– Wyka... co?

– Przecież mówię – wykastrować.

– Za co mnie pani hrabina chce wykastrować? Nie jestem przecież pedofilem.

– No to tylko to i owo obetniemy, ku przestrodze. Co tak zbladł?

– Słucham o tych zachwycających warunkach pracy i płacy w domu pani hrabiny.

– Niech się tak nie zachwyca. O płacy zresztą nie mówiłam. Lepsze płace są po domach ziemiańskich. Z nami jednak Doboszowi będzie wesoło. Ale do rzeczy. Francuski posiada? Posiada!

– Angielskim włada?

– Włada. Skończył Oxford.

– To niechże wreszcie siada.

– Kiedy nie może.

– Dlaczego nie może?

– Bo go dupa boli – odpowiada Dobosz, zmuszony używać języka pani hrabiny.

– Zaraz, zaraz! Czego odchodzi? Bardzo przyjemnie nam się rozmawiało. Jest zaangażowany!

Telefon

W Brześciu nad Bugiem były następujące hotele: „Angielski” przy ulicy Sadowej, „Centralny” przy ulicy Białostockiej, „Krakowski” przy ulicy Steckiewicza oraz „Polski” – też tam. Ale tylko w jednym z nich, w hotelu „Angielskim” był telefon. Właściciel tego hotelu, niejaki pan Goldman, darł się do tego telefonu tak głośno, że słyszano go na kilku najbliższych ulicach. Chciał zresztą, żeby go słyszano w całym mieście lub nawet w twierdzy brzeskiej, bo to on, Goldman, ma telefon

– a nie inne hotele! Zamawiając przez telefon zaopatrzenie kuchni w różne produkty i wiktuały, informował przy tym głośno swoich klientów co dziś będzie na obiad. Klientela hotelu „Angielski” była widocznie różnorodna, bo pan Goldman zamawiał różne towary, płynnie przechodząc z języka jidysz na polski, rosyjski lub niemiecki. Rozkoszował się też nazwami potraw! Mawiał na przykład, co to jest prawdziwy cymes, a co tym „prawdziwym cymesem” nie jest. Jego uwagi nad mięsem wołowym, które chce zakupić dla hotelowych gości, były zawsze komentowane przed hotelem w ogródku, gdzie tymczasem podawano kawę.

„Aj, aj, aj! Co on chce zrobić, ten Goldman” – mówili do siebie starozakonni. „Sztufadę *boeuf à la mode* chce naszpikować słoniną, maczaną w soli, pieprzu, majeranku, drobno siekanej cebuli? Zrazówka. inaczej mówiąc, naszpikowana słoniną? Czy to jest koszerne?” Innym tematem był problem ważny niesłychanie, że gdy już jest sztufada rumiana i obłożona ładnie krajaną jarzyną: jedna marchewka, pietruszka, seler, cebula – jak wynika z tego telefonicznego podsłuchu – kucharz Goldmana chce to wszystko skropić wódką, bo od wódki *boeuf à la mode* szybko kruszeje. Tymczasem wódka ma mieć certyfikat rabinacki. Nie może to być zwykła wódka firmy Smirnoff albo Baczewski! Choć jeden z nich był z „naszych”. Nie powiem, który.

Interesująca rozmowę – na temat jak dodać do kruszenia tak przygotowanej sztufady *boeuf à la mode* jeszcze angielskiego ziela, listek bobkowy, trochę wina, gdy pieczeń na wolnym ogniu uduszona będzie przez te 3-4 godziny – przerywa interwencja pana Szapiro z pokoju numer 15, któremu właśnie w hotelu „Angielskim” zatkał się klozet. Pan Goldman interweniuje telefonicznie w aptecę na Steckiewicza, gdzie jest telefon i gdzie w suterenie pod apteką ma swój warsztat hydraulik żydowskiego pochodzenia, niejaki Fiszbach. Aptekarz, zresztą prezes sodalicji Mariańskiej, pan Bonawentura Nalewajski, mówi do pomocnika w pigularskim fachu:

– Biegnij do Fiszbachów. Żydom w hotelu „Angielskim” zatkał się klozet.

Hydraulik Fiszbach z wielkim zwojem sprężyn hydraulicznych na plecach, po chwili kroczy dumnie ulicą Sadową w stronę hotelu „Angielskiego”. Pan Goldman nadal wydaje telefonicznie jakieś polecenia, tym razem dotyczące prania pościeli hotelowej i zakupu firanek.

W Urzędzie Wojewódzkim słynny już wojewoda brzeski, Biernacki Kostek ma rozmawiać z marszałkiem Piłsudskim. Telefonistkom widocznie trzęsą się ręce włączeniu z Belwederem, bo nagle w telefonie słychać głos Goldmana:

– Żeby to mi było ostatni raz! – krzyczy Goldman. – Nie będę prał moich prześcieradeł w waszej firmie!

Rozmowę Piłsudskiego z Goldmanem przerwano. Ale po chwili sam Piłsudski zadzwonił do wojewody z reprimendą:

– Jak tam u was działają telefony, skoro nagle włącza się do mojej rozmowy z wami starozakonny i jeszcze ruga mnie za źle wyprasowaną pościel?

– To pewnie Goldman – broni się wojewoda. – On tak głośno mówi, że słycać go w całym mieście. Nawet w tej chwili słyszę go przez okno w Urzędzie Wojewódzkim, jak wydaje jakieś polecenia na Sadowej.

– To on na mnie krzyczał przez okno, tak że słycać było w telefonie? – zdziwił się marszałek.

– Właśnie – usprawiedliwiał się wojewoda.

– Przydałby się nam taki Goldman w rządzie – mówi Piłsudski – Nie mamy zresztą żydowskiego ministra. A na to Biernacki Kostek:

– Ośmielam się zauważyć, panie marszałku, że jeden Liberman już wystarczy. Na Polesiu zresztą wszyscy mówią głośno albo krzyczą przedzieleni od siebie rzeką, albo kāsani przez komary. Wtedy słycać krótkie: „o sk... taki owaki, taka twoja mać”. Teraz życie komplikuje jeszcze telefon, jak ten w hotelu „Angielskim”, do którego krzyczy Goldman.

Romeo i Julia nad Prypecią

Prypeć jak roztaje szeroko, na dwa, trzy kilometry, to zakochanym stojącym na przeciwległych brzegach rzeki trudno z sobą gadać. On i ona wtedy krzyczą do siebie:

– Anulu! – woła zakochany Poleszuczek.

– Ho... ho! – odpowiada z tamtego brzegu Poleszuczka.

– Lublu!

– Kawo? – pyta, niby się nie domyślając, Poleszuczka.

– Tebe! – wrzeszczy on.

– Mene? – niby dziwi się ona.

– A! – wrzeszczy, potakując Poleszuczek.

Jak Prypeć rozleje razem z Piną i jeszcze się połączy z rozlaną Jesioldą, powstaje wtedy morze pińskie. Ledwie zaznaczonym przez wystające spod wody przez wierzchołki zatopionych drzew korytarzem dawnej Prypoci płyną: domy, stodoły, tratwy, na które ewakuowano ludzi i bydło. Płyną też stareńkie cerkiewki wiejskie. Krzyk tych, którym woda zabrała wszystko, jest ogromny. Płyną też wymyślne: *czubarki*, *szuhateje*, *bajdaki*, *podjezdki*, *duszehubki*, przez Poleszuczków na wypadek powodzi i do zwykłej komunikacji zresztą używane. Tu też wszyscy krzyczą do siebie. I do tych, co stoją na brzegu, przyglądając się powodzianom. A potem, gdy Prypeć wraca do normy, a życie Poleszuczka

w miarę normalnie, na brzegach znowu słysząc zakochanych, jak krzyczą: „Anulu! Ho.. ho!..”.

Ja tutejszy...

Na Polesiu, jak zapytać Poleszuka: „Kto ty jesteś? Jaka twoja narodowość?”. To odpowiada: „Ja tutejszy, panoczku”. Nie żaden tam Polak, Litwin, Ukrainiec, Białorusin albo Ruskij, tylko „tutejszy”. Do Poleszuka też rzadko kto się przyznaje. „Jaki ja tam Poleszuk?!” – mówi o sobie, zapytany. „Ja tutejszy”.

Może tak jest bezpieczniej? Na Polesiu, jak wiadomo, władza się nie zmienia. Raz jest to Polska. To znowu Ruś. Albo Księstwo Włodzimirskie. Potem Kijowskie. Potem Moskiewskie. Znowu Polska. Albo Litwa, albo Wielkie Księstwo Litewskie. Pojawiają się tu Krzyżacy, Szwedzi, Niemcy, Rosja Carska, bolszewicy, a człowiek „tutejszy” zawsze jest „tutejszy”. Za nic nie odpowiada. Przyzwyczajają się do każdej władzy.

„Mnie tam dobrze za cara było” – mówi stary Poleszuk. Choć powszechnie wiadomo, że carska Rosja utrzymywała Polesie w straszliwej nędzy i zaniedbaniu, analfabetyzmie i upośledzeniu. Dzieciom i kobietom rosły kołtuny na głowach. Brakowało dróg kolejowych i dróg w ogóle. Podobno Polesie utrzymywano świadomie jako bagniste przedpole, od granic właściwej Rosji. Tylko tu i ówdzie wyrosły potężne twierdze, jak ta w Brześciu nad Bugiem. Kiedy w roku 1918, za sprawą wrednych Anglików, którzy sprzyjali widocznie bardziej Leninowi i Trockiemu, niż Piłsudskiemu, powróciła do Polski część Polesia – no administracja rządowa. Organizacje społeczne, harcerstwo, wojsko (szczególnie Korpus Ochrony Pogranicza!), wszyscy stawali na głowach, żeby Polesie uszczęśliwić. Dokarmiano dzieci w szkołach, budowano drogi i mosty, wprowadzano oświatę sanitarną, likwidowano analfabetyzm. Polesie zaczęło się intensywnie zmieniać. Poleszucy jednak nadal zachowywali dystans wobec życzliwego im państwa polskiego. Nadal też, na pytanie: „Kto ty?”, odpowiadali: „Ja tutejszy”. Moja babunia, która znała Poleszuków dobrze, bo urodziła się w pobliskich Boćkach na Podlasiu, mówiła w takich przypadkach dosadnie: „Smaruj chłopu dupę miodem – a on i tak wie swoje”.

Bułak–Bałachowicz kwalifikuje do kawalerii

Na świętego Jordana pojawia się znany kawalerzysta i zagończyk – generał Bułak–Bałachowicz i takie oto tyrady wygłasza, w gronie towarzyszących mu osób:

– Jaja kurze, jak wiadomo, mogą być małe, średnie i duże! To można zobaczyć na każdym jarmarku, gdzie Poleszuczki jaja sprzedają. Notabene, na Polesiu kury mają się dobrze. Wokół każdej kurnej chaty biegają. Ma taka kura co jeść i pić – nawet w najbiedniejszej wsi poleskiej. Tu ziarenko jakiego dziobnie, tam robaka albo muchę. Zdarzy się, że na karalucha jakiego trafi albo tarakana, to go dziobem w łeb! A jak się kogut dobry trafi do tego takiej kurze, to w ogóle jest szczęśliwa! Stąd jajka piękne znosi, czasem tak dorodne i wielkie, że aż podobne do strusich. Kura ma się lepiej niż moje białoruskie ułany. Z tym że moje ułany jaj nie znoszą. Oni je tylko noszą. Ułan nie może mieć jaj wielkich jak struś, bo nieszczęście gotowe. Ten chłopak na przykład, który do przerebła skacze, do naszej kawalerii się nie nadaje. Ani do każdej innej. Pani Rodziewiczówna, niech mnie nie słucha. I lornetkę odłóż! Powiem to, co jest objęte tajemnicą wojskową. Ale co każdy oficer, który chce tutaj werbować chłopaków do naszej dywizji, wiedzieć powinien. Duże jaja są przeszkodą w jeździe konnej. Obojętnie, czy jedziesz stępa, kłusem albo galopem. Pół biedy zresztą, jak siedzisz w siodle i masz specjalnie uszyty futerał na swoje męskie klejnoty. Są takie futerały, które niby przed stłuczeniem chronią. Ale jeśli stracisz siodło, musisz galopować na oklep. Co poradzisz? A kto w ogóle będzie szył te wszystkie ochraniacze dla tych, którzy mają wielkie jaja? Albo strusie? Ile materiału na to pójdzie? A jak będzie wyglądał taki szwadron w defiladzie, w którym ułan ma futerał na brzuchu wielkości skrzypiec? Bo często – jak wiadomo – dużym jajom towarzyszy tak samo duża reszta przyrodzenia.

Teraz powiem, czego mówić nie powinienem i pani Rodziewiczówna niech nie słucha. Tajemnica wojskowa, ot co! Najlepsi w mojej dywizji są małe ułany, czyli inaczej mówiąc kurduple. Co z tego zresztą, że kurduple. Napoleon był kurdupel! Ja też właściwie jestem. Duży ułan mało do czego się nadaje. Paniąkom dusery prawić! Mężatki uwodzić! Duży ułan jak na konia skoczy, ten się pod nim ugina. A mały pędzi na koniu jak wicher. I jaja mu nie przeszkadzają, bo są zazwyczaj proporcjonalne do sylwetki. Takie jak znosi przepiórka. A teraz, co powiem, to jest naprawdę tajemnica wojskowa. Pani Rodziewiczówna niech nie słucha. I inne panie też! Przekradamy się w nocy przez polsko-sowiecką granicę, którą nam ten sukinsyn Curzon ustanowił i pędzimy do Mozyrza! Myślę sobie – weźmiemy Mozyrz z impetu. Później Homel, Rohaczew, może Witebsk. Marszałek Piłsudski ucieszy się niewątpliwie. Mógł Żeligowski Litwinom Wilno odebrać, może i Bułak-Bałachowicz część Białorusi do dawnej ojczyzny przywrócić. Ale w Mozyrzu, w czasie szarzy kawalerskiej, mój adiutant, chłop jak dąb właśnie i z jajami jak kałakoły na cerkiewnej wieży, skacze przez płot za uciekającym bolszewikiem. I tak nieszczęśliwie opada na siodło, że swoje „gospodarstwo nabiałowe”

w „drebiezi” tłucze. Po co takiego draba adiutanta wziąłem? Sam tego nie wiem. Mówią, że mały chłop dużym lubi komenderować. No więc z mojego adiutanta krew się leje. Trzeba te jaja amputować...

– Jak to amputować? – pyta Rodziewiczówna, która jednak podsłuchiwała generalskie opowieści.

– Zwyczajnie. Ciąłem szablą! I amputowałem. Dowódca musi robić różne przykre rzeczy.

– A co z ułanem? – dopytuje się Rodziewiczówna.

– Z ułanem wszystko w porządku. Wstąpił do szwadronu „Huzarów Śmierci”, wśród których są chłopcy na schwał i każdy prawie składa ślubowanie, że zginie na polu walki. Po co takiemu jaja? I tak nie będzie miał żony ani dzieci.

Żabojad pojawia się w naszym mieście

Pani Szura słyszy, że w Brześciu pojawił się Francuz, który założył hodowlę żab.

– Czy on te żaby je? – pyta pana Dundziłłę, który – jak wiadomo – wie wszystko.

– On nie tylko te żaby je, ale jeszcze na nich zarabia, eksportując je przede wszystkim do Francji, gdzie żaba to przysmak.

– Jadł z nim pan te żaby? – pyta Dundziłłę coraz bardziej zainteresowana pani Szura.

– Pewnie, że jadłem żaby na obiad przez tego Francuza zaproszony. Jadłem małe żabki. Duże żaby. Wielkie żaby. A nawet ropuchy – opowiada dumnie pan Dundziłło.

– Na surowo pan jadł?

– Co też pani opowiada! – oburza się pan Dundziłło. – Na surowo nie zjadłbym takiej żaby nawet z pani rączek. Żaby je się gotowane. Ostrożnie, trzeba z tym gotowaniem uważać. Bo taka żaba udaje, że jest już ugotowana. A raptem – hyc z półmiska – prosto na osobę, która chce ją dziobnąć widelcem. Dobre są suszone lub wędzone żabki – do piwa albo wódki. Można podawać je w sosie własnym albo w zalewach i różnych galaretkach, ostro zazwyczaj przyprawione. Ale można piecyste – z dużej ropuchy zrobić – nadziewane jabłkiem, z podsmażonym tatarakiem.

– Pan Dundziłło żarty sobie stroi z biednej kobiety, która ma kłopot wielki. Chodzi o szczęście mojej córki Tamary. Powiem to panu, jak staremu przyjacielowi naszego domu. Otóż ten Francuz poznał w kinie Serwera moja córkę, która bardzo mu się spodobała i wprosił się do mego domu, żeby mamusię, czyli mnie poznać i wyrazi uszanowania złożyć. Myślę sobie, wstyd takiego gościa, z zagranicy jeszcze, herbatką z konfiturami przyjmować albo kruchym ciasteczkiem. Dom mój biedny

jest, ale gościnnie. Wdowa jestem po oficerze armii carskiej, który u Kołczaka walcząc z bolszewikami, zginął. Dorabiam sobie szyciem i haftowaniem po polskich domach. Córkę nawet z tych robótek wykształciłam. Gimnazjum i liceum Traugutta w Brześciu ukończyła. Teraz myślę sobie – czas Tamarę za mąż wydać. Francuz – partia dobra. Mówią o nim: milioner. Bogaci kupcy polscy i żydowscy w Brześciu nad Bugiem, zębami z wściekłości zgrzytają, że ten Francuz na taki pomysł wpadł. Polskie żaby do Francji sprzedawać...

– Niech nie zgrzytają tymi zębami, niech nie zgrzytają! Pani wie, przesąd jest i taki, że żaba nieszczęście przynosi. „Wszystkie zęby można policzyć! I zęby wypadają”.

– Ten Francuz ma zęby? – pyta wystraszona pani Szura.

– Ten Francuz zęby ma. Ale żabami może śmierdzieć. Tak jak w sklepie rybnym – wszystkie kobiety tam pracujące rybami są prześmierdnięte. Żydom to się nawet podoba. Ale nie mnie.

– A ten Francuz też żabami pachnie?

– Czy ja wiem. Ja go nie wącham. Ale kobieta, która za mąż wyjdzie, musi żab zapach znosić. Nie mówiąc o tym, że mu „miłość francuska” może przyjść na myśl – u żab podpatrzona.

Pani Szura spłoniła się jak róża.

– Chyba tego Francuza nie zaproszę – powiada.

– I dobrze pani robi – mówi pan Dundziłło. – Zrobimy na ten obiad kulebiaka. Ja przyniosę dobrej nalewki własnej produkcji. Zaśpiewamy Wołga, Wołga. Po co nam żaby na obiad? Chyba, że na deser chce pani spróbować na przykład żabie udko.

Patefoniczyk mojej mamy

Pani Szura, wdowa po oficerze armii carskiej, który zginął u Kowpaka walcząc przeciwko bolszewikom w szwadronie Huzarów Śmierci, spotyka mamę swoją z ojcem na spacerze i krzyczy radośnie na całą ulicę Steckiewicza:

– Pani Zosieńka, aa! Pani Zosieńka! Pan Stanisław niech nie słucha! Pożycz pani swój nowy patefoniczyk!

Od pewnego czasu sąsiedzi wiedzą, że mamy nowy patefoniczyk. Stoi na werandzie, tak żeby go wszyscy słyszeli, gdy drzwi do ogrodu są otwarte. Ma wygląd pięknej, czarnej, kwadratowej walizeczki. Z nalepką firmową: Pathé Marconi. W środku jest piękny głośniczek, który pieśzcotliwie nazywamy „tubką”, talerz do zakładania płyt oraz miejsce na igły. Inne stare gramofony, z zieloną tubą, z grubej blachy malowanej w różne wzory, wyglądają przy nim... Secesyjne wzory nie cieszą się już takim powodzeniem. Ponadto są ciężkie do dźwigania po ulicy, jeśli ktoś

chce od nas pożyczyć taki gramofon na tubę. A patefoniczek ma jeszcze taka zaletę: plotka niesie po całej ulicy Steckiewicza, że pożyczyć od pani Zosieńki, czyli mojej mamy, patefoniczek na organizowane w domu twoim żurfiksy – wydasz za mąż córkę. Albo sama się wydasz, jeśli jesteś wdowa. Pani Szura, wdowa po oficerze carskim, czarnooka piękność z Kaukazu, to właśnie chyba ma na myśli, kiedy chce pożyczyć patefoniczek mojej mamy. Pani Szura chce wydawać żurfiksy, czyli tańczące herbatki dla kilku osób. Ona będzie tańczyć z panem Dundziłło, który zresztą od lat patrzy zachwyconym okiem na piękną wdówkę z Kaukazu. Jej córka Tamara tańczyć będzie lambeth-walka z pewnym przystojnym ułanem z Lidy, który do Tamary przyjeżdża w każdy wolny dzień od służby wojskowej, trzysta kilometrów w tę i z powrotem.

– Pani Zosieńka, aa! Pani Zosieńka! Pożycz ten patefoniczek i koniecznie ten lambeth-walk, na płycie, który ma taki oto tekst:

*Weź pod rękę damę swą,
Idź na spacer razem z nią,
Idź jak na ślub,
A potem krzyżyk zrób.*

– Kto będzie tańczył tego lambeth-walka? – zadaje podchwytliwe pytanie mój ojciec, który udawał, że nie słyszy, o czym obie panie rozmawiają.

– Jasne, że moja Tamara tańczyć będzie ten taniec z ułanem z Lidy.

– A Pani? Co będzie tańczyć z panem Dundziłłą?

– Jasne, że walca. *Sopki Mandżurii*.

– Pan Dundziłło też umie tańczyć walca Na sopkach Mandżurii?

– A czemu pan Stanisław dopytuje się? – pyta zdziwiona pani Szura.

– Chce pan przyjść z panią Zosieńką na moje żurfiksy? Oczywiście, z nami walca tańczyć? Kółeczko albo koszyczek!

– Ja na żurfiksy nie chodzę – mówi mój papa. – Jeść tam nie dają. Tylko herbatka z konfiturami i ewentualnie słone paluszki.

– Pan Stanisław prawdę mówi?

– Prawdę mówię.

– Oj, ja nieszczęsna! – woła pani Szura. – Co ja teraz zrobię! Herbatka z konfiturą to rzeczywiście nie dla Dundziłły! On przecież chłop jak niedźwiedź, z sześć pudów waży. A do tego bywszy zapaśnik w cyrku Staniewskich.

– No widzi pani – mówi papa. – A do tego w Akademii Smorgońskiej uczył się tańca.

– W Akademii Smorgońskiej? O tym nie słyszałam – dziwi się pani Szura.

– No właśnie. Tam niedźwiedzie uczą się tańca. *Sopki Mandżurii* i inne takie walczyki.

Pani Szura te uwagi mego ojca pod adresem tanecznych umiejętności Dundziły puściła mimo uszu i wraca do spraw kuchennych:

– No to żuru gar zrobię. Białej kielbasy specjalnie nagotuję, bo na inną mnie nie stać. Pani Zosieńka, aa! Pani Zosieńka! Pożycz jeszcze kilo soli. Ogórki muszę zakwasić. A ułan co będzie jadł? On na moją Tamarę patrzy takim wzrokiem, że aż serce się kraje. A ona zakochana taka! Ale zakochani prawie nic nie jedzą...

Patefóńczyk mojej mamy został wypożyczony na całą sobotę i niedzielę. Moja mama znaki dyskretnie na nim stawia tam, gdzie pudełeczko z igłami jest. Oświadczył się: krzyżyk, nie oświadczył się: minus, w dalszym ciągu zakochany: serduszko. Patefóńczyk wrócił do domu i mama moja postawiła na nim następujące znaki: Tamara – krzyżyk, to znaczy ułan oświadczył się Tamarze. Pani Szura – serduszko, to znaczy, że Dundziło dalej jest w niej zakochany. Ale czy matka, do tego wdowa – może przed córką za mąż wychodzić?

– Wiesz co, Zosienko – mówi ojciec. – Rzucę tę swoją pracę w Dyrekcji Dróg Wodnych. Założymy biuro matrymonialne, mając taki czarodziejski patefóńczyk.

I oboje śmieją się serdecznie.

Demonstracja w Boćkach

Babcia moja, urodzona w Boćkach na Podlasiu, jest córką Leokadii Sadowskiej i Jana Kimmera. Sadowska, szlachcianka całą gębą, nie chce wydać córki za Kimmera, podobno Holendra albo Niemca. Bo może to być Niemiec! Kto go wie?

W rodzinie Sadowskich Niemców nie lubią. Był jeden Niemiec nadwożański, który wywiózł już jedną Sadowską w głąb Rosji i ślad po niej zaginął. Nazywał się Razin. Może to ten Razin, który topił rosyjską księżniczkę w Wołdze? Tylko że ten Razin nazywa się Stienka. A ten Razin miał na imię Wilhelm. A Badewska znowu mi była księżniczką od Sadowskiej. Kimmer mówi, że Niemcem nie jest, choć rodziców ma na Żuławach, czyli pod zaborem pruskim. Twierdzi, że jest Holendrem... Sapieha Książę Pan mówi, że najlepiej sprawdzić czy ten Kimmer wiatrak potrafi wybudować... Każdy Holender umie wiatraki budować. To samo dotyczy produkcji serów holenderskich, melioracji i budowy tam.

Książę Pan chce zbudować w Boćkach prawdziwy holenderski wiatrak. W Boćkach co chałupa, to gniazdo bocianie. Stąd nazwa: Boćki. Tych bocianów jest zatrzęsienie. Bociany jak wiadomo, dzieci przynoszą.

Wiatrak choć trochę bociany od Bociek odstraszy. Będzie mniej dzieci. Ludziom lżej będzie. Ale zaraz przeciwko takiej „antykoncepcji” zaprotestowali: ksiądz proboszcz, pop, rabin i reszta wsi. Główną ulicą Bociek (główną i jedyną, która ginie w szczerym polu) przemaszerowała demonstracja. Polacy, Rusini, Żydzi śpiewali zgodnym chórem *Gdy naród do boju wystąpił orężem*.

Wołano też: „Nie będzie Sapiieha zaglądał nam do łóżek!”.

Na to Księżę Pan wycofał się z pomysłu budowy wiatraka. Kimmer został bez pracy. Sadowscy nie mogli sprawdzić, czy on jest tym Holendrem, który umie budować wiatraki, czy też nie jest. Ale już dłużej czekać na dalsze sprawdziany nie można było. Tekli Sadowskiej zaokrąglął się brzuszek i trzeba było wydawać córkę za tego przystojniaczka Kimmera. Ale źle na tym nie wyszli. Kimmer był dobrym mężem. Tekla urodziła mu pięć córek, więc założył dla nich fabryczkę porcelany. Tam dziewczyny pięknie malowały talerzyki i filiżanki, śpiewały stare podlaskie pieśni (bo Kimmer nie chciał ich uczyć po holendersku czy flamandzku) oraz z czasem szczęśliwie powychodziły za mąż. A że były to wyjątkowe piękne, postawne – i jak na Holenderki (choć tylko w połowie!) przystało – długonogie i wysokie – mężczyźni za nimi szaleli. W jednej zakochał się nawet generał carski, Cupakow, który jako pierwszy w Polsce latał balonem nad Modlinem. W drugiej – wiceprezydent miasta Białegostoku, wysoka szarża dygnitarska na owe czasy. Inna jeszcze siostra babci wyszła za mąż za Majewskiego, porządnego człowieka i szlachcica z Łukowa. Wreszcie w mojej babci zakochał się Antoś Andryjański, syn zubożałego rodu Andryjańskich z Andryjanek na Podlasiu. Dobra te zostały im odebrane jeszcze po powstaniu listopadowym. W powstaniu styczniowym dołożono jeszcze inne jakieś konfiskaty i represje dla rodziny Andryjańskich. Ale Antoś Andryjański był człowiekiem pogodnym, zaradnym – poszedł na naukę do szkoły technicznej w Łukowie. Tam się nauczył stawiać młyny, budować tamy wodne, słuzy i przystanie. Miał złote ręce do takich robót. Budował nawet młyny wodne, które pływały od.... do....., od wsi do wsi – po całym Polesiu i tam też miały zboże na mąkę. Stary Kimmer za nim przepadał, bo właśnie chciał takiego zięcia jak Antoś, podobnego do holenderskich majstrów. No i Antoś pięknie mojej babci Stefanii śpiewał, patrząc w oczy:

Dzień do pracy

Noc do spania

A piękne dziewczę do kochania.

Babcia w końcu wyszła za mąż za tego szalawilę. Ten przystąpił zaraz do budowy wielkiego domu nad Nurcem. Dom miał przypominać

dawne Andryjanki. Ale los zarządził inaczej. Antoś został pewnego dnia zaangażowany do budowy młyna i śluzy wodnej na Bugu, w majątku pana Łakowicza. Miały z tej budowy być wielkie pieniądze dla ukochanej Stefci, którą mój dziadek obiecywał wywieźć na długie wywczasy na Krym. Ale pewnego dnia, zimą, wracając – dla skrócenia drogi – po lodzie na Bugu, wpadł do przerębli. Dostał zapalenia płuc i nie było dla niego ratunku! Babcia została młodą wdową z dwójką dzieci na głowie. Ale że była po ojcu zdolna i zaradna, znalazła pracę daleko na Kresach, aż w mohylewskiej guberni. Tam zarządzała wielką fermą mleczarską. Pracowało na niej ponad dwieście kobiet z Kongresówki, a także z Ukrainy i Białorusi. Babcia zarządzała tym ogromnym babińcem, produkując masła i sery aż na potrzeby dworu carskiego w Petersburgu. Przychodziły stamtąd ogromne listy i dyplomy z podziękowaniami, w wielkich kopertach o pozłacanych brzegach, opatrzone pieczęcią z dwugłowym orłem carskim. Babcia te listy przez jakiś czas chowała w sekretarzyku, ale kiedy trzeba było uciekać z Rogaczewa przed bolszewikami, wsadziła listy do pieca i spaliła.

Syrenka

Pan Dundziłło, w Białym Pałacu twierdzy brzeskiej, gdzie jest kasyno oficerskie, opowiada zebranim przy stoliku panom:

– Pojechałem ja specjalnie do Warszawy, żeby ten pomniczek naszej Krysi Krahelskiej zobaczyć – co go jakaś Nitschowa, rzeźbiarka warszawska, zrobiła i na Wybrzeżu Kościuszkowskim ustawiła. No i co ja widzę? Siedzi tam nasza Krysienka wspaniała. Smutna jakoś albo zadumana. Pewnie za Bugiem albo Muchowcem tęskni. Dobrze, że ją na Wybrzeżu Kościuszkowskim ustawili. Mogli ustawić gdzie indziej. Kościuszko, jak wiadomo, był Poleszukiem, tak że naszej Krysi trochę tam może być raźniej. Choć wiadomo powszechnie, że Krysia serce ma złote. Nawet komara nie zabije. Po co jej miecz? Piersi ma nawet, czyli cycuszki – dorodne, bujne jak należy. Bardzo akurat spodobało mi się! Warto było do Warszawy jechać! Ale reszta?! Nie uwierzycie! Skandal i „bezobrazie” jakieś wynikło! Jakby piłą Krysia obcięta!

– Jak to „piłą obcięta”? – denerwują się oficerowie. – Mów pan, panie Dundziłło.

– Zwyczajnie. Przecież mówię! W tym miejscu, co ma każda, choć nie każda przecież ma taką pupę jaką ma Krahelska – wszystko jest piłą obcięte. Jak na krajędzie. A zamiast tego płetwę ryby jej przyprawili.

– Jaką płetwę? – pytają oficerowie.

– Rekina albo delfina. Kto to wie? – mówi smętnie pan Dundziłło.

– A co z resztą? A gdzie nogi?

– Nóg też nie ma. Jak pan chce, żeby nogi były przedłużeniem płetwy? – denerwuje się Dundziłło.

– Tego jeszcze brakowało! To nóg teraz panna Krysieńka nie ma? A jak w siatkówkę będzie z nami grała na plaży Ligi Morskiej i Kolonialnej nad Muchawcem? – martwi się młody porucznik.

– Przecież mówię!!! – wrzeszczy Dundziłło.

– Nóg nie ma. Dupy, za przeproszeniem, nie ma. Ale ma płetwy! Po co to było robić? Zrobili z niej półkobietę i półrybę. Niby to ma być syrenka? A skąd raptem syrenka nad Wisłą? Zdumieli!

– Ale kto zna Krahelską ten wie, że z rybą to ona nie ma nic wspólnego – mówi jeden z oficerów.

– Albo trzeba protest napisać panowie – mówi inny jeszcze oficer. – Do generała Trojanowskiego, dowódcy twierdzy brzeskiej najlepiej. A ten niech protest nasz przekaże dalej, do Warszawy. Niech tam sobie Smorsarską ustawią w charakterze półkobiety półryby. Albo inną warszawską artystkę. Najlepsza byłaby Lucyna Szczepańska, którą nazywają słowikiem Warszawy. Albo Zula Pogorzelska? Co Krahelska ma do Warszawy? Naszej Krysi lepiej nie tykać.

– Po co do generała pisać – mówi inny oficer. – Lepiej do wojewody Kostki-Biernackiego. Wojewoda Kostek-Biernacki jest od tego, gdzie jaki pomnik w mieście ustawić.

– Ale nie w Warszawie – mówi inny jeszcze oficer. Tam jest prezydent Starzyński. Choć nad prezydentem jest premier. A nad nimi Rydz-Śmigły, następca marszałka Piłsudskiego.

– Kostek da sobie radę – mówi pan Dundziłło. – Nie darmo tylu polityków do Berezy Kartuskiej powsadzał.

– Po mojemu, ja bym takiej awantury z tą rzeźbą nie robił – mówi młody oficer floty pińskiej. – Nocą wypłyniemy kanonierką do Warszawy. Zabierzemy stamtąd pomniczek i ustawimy go przed Białym Pałacem twierdzy brzeskiej.

– Na tej płetwie? – pyta się Dundziłło – Bo ja się na to nie zgadzam!

Do wysłania listu protestacyjnego ani desantu marynarki pińskiej na Wybrzeże Kościuszkowskie w Warszawie jednak nie dochodzi. Na drugi czy trzeci dzień pojawia się bowiem w Brześciu nad Bugiem, widocznie poinformowana przez kogoś, Krahelska i prosto z dworca zmierza dorożką do kasyna oficerskiego. Po drodze widzi drepającego do kasyna pan Dundziłłę.

– Pan Dundziłło! Pan Dundziłło! Słyszę od znajomych, że pan strasznie się o mój tyłek martwi?

– Martwię się po tym, co zobaczyłem, na pomniczku pani na Wybrzeżu Kościuszkowskim w Warszawie i tym, co z figurą pani Krysi zrobiła ta rzeźbiarka.

– Wdzięczna jestem panu Dundzille za troskę, ale niech pan przes-tanie oficerów w twierdzy brzeskiej buntować. Pani Nitschowa to wielka rzeźbiarka. Tak mnie „widziała” na tym pomniku i tak mnie wyrzeźbiła.

– Ale my tu, w Brześciu nad Bugiem, widzimy panią Krysienkę zupełnie inaczej i inną jeszcze jej rzeźbę przed Białym Pałacem wystawimy.

– A jaką? – zainteresowała się Krahelska.

– Tego nie powiem! Bo jeszcze się panna Krysia obrazi.

Skirmunt

Kapitan Skirmunt, oficer saperów z twierdzy brzeskiej, delegowany został przez generała Trojanowskiego do likwidacji zatorów lodowych na Bugu. Zatory w tym roku duże. Lato i jesień suche. Wody w rzekach mało. W Bugu jeszcze mniej. Teraz, gdy słońko grzeje, lód nie chce pękać. Woda nie chce płynąć. Tworzą się wielkie rozlewiska. Podmywa poleskie chałupy. Ojciec mój, który działa w Wojewódzkim Komitecie Przeciwpowodziowym, spodziewa się pomocy przynajmniej kompanii saperów. Nie mówiąc już o samolotach i bombach. Tymczasem zajężdża elegancki oficer wytwornym samochodem marki Ford, jeszcze na warszawskiej rejestracji, widać zatem, że niedawno kupiony. Ten ford wyładowany jest skrzyniami dynamitu na tylnym siedzeniu. Skrzynki z dynamitem podskakują na polnych wybojach. Oficer w stopniu kapitana prowadzi samochód niedbale jedną ręką. W drugiej trzyma ogromne, kubańskie cygare. Tym cygarem kopci zresztą niemiłosiernie. Obok, na siedzeniu leży jeszcze kilka paczek takich śmierdzących cygar w drewnianych pudełkach. No i ojciec mój widzi – jeszcze bardziej zdumiony – błyszczą na owym siedzeniu obok kierowcy – łyżwy!

– Skirmunt jestem – przedstawia się oficer.

– Zamierza pan tu jeździć na łyżwach, panie kapitanie? – pyta go mój ojciec. A Skirmunt na to:

– Zgadł pan. Rozstawianie ładunków wybuchowych na łyżwach to mój patent. Jeżdżę na łyżwach dość dobrze. Trenowałem kiedyś nawet jazdę figurową. Kręcę też łyżwami, jak trzeba, dziury w lodzie. O tak, niech pan popatrzy. W dziury wtykam dynamit. Podpalam lont cygarem. I uciekam od wybuchającego ładunku na bezpieczną odległość.

– Podpala pan lont tym śmierdzącym, kubańskim cygarem, trzymając go w zębach czasie jazdy na łyżwach? I pewnie jeszcze trzymając w ręku inne laski dynamitu?

– Palę takie cygara, na jakie mnie żołąd pozwala – tłumaczy ojcu spokojnie kapitan Skirmunt. – Wybieram zresztą dobre cygańskie cygara, po 60 groszy sztuka, bo te palą się najdłużej i nie rozsypują żarzącego się tytoniu. Podpalam laskę z dynamitem i uciekam. Mam na

to trzy sekundy. Pieszo po lodzie nie ucieknę. Nie ma też czasu na użycie zapalniczki.

Ojciec opowiada, że to, co następnie zademonstrował na Bugu kapitan Skirmunt, było widowiskiem, które zapamiętał do końca życia. Skirmunt szalał na łyżwach jak groźny bożek ognia i wojny. Wkręcał laski dynamitu w lód, który uprzednio wiercił łyżwą, wykręcając na nim piruet. Dynamit przypalał cygarem i uciekał na łyżwach. W powietrze wylatywały ogromne kawałki lodu. Woda gnała Skirmunta po lodzie. Ten uciekał przed nią zrzęcznie. Po chwili parę kilometrów lodu zamieniło się w rwącą rzekę. Uciekał Skirmunt. Uciekał sztab przeciwpowodziowy. Ojciec mój został przez kapitana Skirmunta wciągnięty do samochodu i tam, siedząc na resztkach skrzyń z dynamitem, patrzył, jak Bug rozlewa się swobodną falą, która już nikomu nie zagraża, nie ma żadnych przeszkód. Natychmiast też pojechali na dobry obiad do kasyna oficerskiego w twierdzy brzeskiej – bo ojciec mówił, że taki oficer jak Skirmunt to skarb. Wart więcej niż cała kompania saperów. I trzeba go było uczcić dobrym obiadem.

Kapitan Skirmunt zaczął bywać w naszym domu. Mama postanowiła go ożenić z panną Dowigałło, która jednak krzywiła się, że Skirmunt pachnie jak fabryka cygar w Hawanie.

– Nie może ten Skirmunt palić Cameli albo najlepiej Ekstra płaskie – żaliła się Dowigałło.

– Powiedz tej swojej Dowigałło, że Skirmunt to bohater – odpowiadał poirytowany mój ojciec. – Trzeba go było zobaczyć jak wysadza zatory na Bugu.

Mama jednak deleguje do rozmów ze Skirmuntem doktora Chołodkowskiego, rentgenologa, który jest przyjacielem naszego domu i zarazem wilniuka, który ma dość bezpośredni sposób bycia. Doktor Chołodkowski patrzy od kilku dni na Skirmunta z zainteresowaniem i robi następujące podchody:

– Czy czytał pan kapitan Sergiusza Piaseckiego *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*?

– Nie czytałem – mówi zgodnie z prawdą kapitan Skirmunt. – Gdzie tam zresztą oficer saperów ma czas na takie lektury!

– A szkoda – mówi doktor Chołodkowski. – Jest tam takie piękne zdanie: Noc była jak sadza.

– Nie rozumiem, do czego pan doktor pije? – mówi Skirmunt.

– Do pana piję – odpowiada bezceremonialny doktor Chołodkowski. – Wygląda bowiem na to, że masz pan płuca czarne jak owa noc z powieści Sergiusza Piaseckiego, po których być może – nie jestem pewien – pełza rak płuca.

– Nie potrzebuję pomocy lekarskiej – obraził się kapitan Skirmunt. – A palę cygara takie, na jakie żołąd mój pozwala, jeśli o tę sprawę chodzi.

Po tej rozmowie moja mama powiedziała doktorowi, że na swata zupełnie się on nie nadaje. Jaka kobieta bowiem zgodzi się na małżeństwo ze Skirmuntem, wiedząc że ten ma raka płuc?!

– Nie powiedziałem, że ma. Ale że mu grozi rak płuc – słabo bronił się doktor Chołodkowski. Zmienił taktykę.

– Panie Skirmunt – powiedział. – Martwię się o pana, jako stary lekarz wojskowy. Teraz wprawdzie kolejowy. Ale kiedyś przecież wojskowy, jeszcze z carskiej armii.

Porozmawiajmy zatem jak dwaj oficerowie i ludzie dorośli. Otóż nie ukrywam, że pani Zosienka zamierza pana wyswatać z panną Dowigałło.

– To ta z wielkim biustem? – zainteresował się zdumiony nieco Skirmunt.

– Ta z wielkim biustem – potwierdził doktor Chołodkowski. – Jako rentgenolog mogę to poświadczyć. Widziałem ten biust od wewnątrz i od zewnątrz. Jest nie tylko wielki, ale i piękny.

– A dlaczego pan doktor nazywa pannę Dowigałło „wielką niedźwiedzicą”?

– Kiedy to powiedziałem? – zmartwił się doktor. – Nic takiego nie mówiłem.

– Przecież mówił pan, że mam być „kochankiem wielkiej niedźwiedzicy”. Tylko że mam płuca czarne jak sadza i śmierdę hawajskim cygarem...

– Wszystko się panu poplątało, panie Skirmunt.

– Mniejsza z tym – oświadczył kapitan. – Problem w tym, że ja nie lubię kobiet.

– Jak to nie lubi pan kobiet? – zmartwił się doktor.

– Nie lubię kobiet, chociaż nie jestem jakiś odmieniec. Nie lubię, bo sparzyłem się na kobiecie, którą przywiozłem sobie z Wołoszczyzny, jeszcze jako młody oficer od Hallera i poślubiłem w Brześciu nad Bugiem. Ale ona była gorzej niż niedźwiedzicą. Była wampirem w prostej linii od sławnego Drakuli.

– No i co? – przeraził się doktor.

– Najpierw wypompowwała krew ze mnie. Potem z dowódcy pułku. Potem z kilku innych oficerów. Od tej chwili saperzy w naszym pułku nie mają żon. I wie pan, przed ostateczną śmiercią uratowały mnie hawajskie cygara, które palę. Wampiry strasznie nie lubią cygar.

– I co się z nią stało? – pyta niedowierzająco doktor.

– Najpierw chcieliśmy się wszyscy o nią strzelać. Ale potem zwołano sąd honorowy, który ustalił, że trzeba ją odwieźć do Rumunii, zamknąć w jakiejś grocie i... wysadzić wejście trotylem. I tam niech siedzi sobie. Był też plan, żeby ją umieścić w lochach twierdzy brzeskiej, ale nadal

mogła tu być niebezpieczna dla naszego pułku. Tak że jak pan widzi, nie jestem całkiem człowiek wolny. Mam żonę i jakbym jej nie miał. Nie mogę się żenić z „niedźwiedzicą”.

– I od tej pory żyje pan samotnie? – zmartwił się doktor. W wojsku nie można być samotnym. Nawet przez chwilę.

Powtórka z Mickiewicza

Andryjański!

– Jestem, panie profesorze!

– Nu, dobrze, że jesteś! Bo mogłeś być na wagarach. A nie jesteś! To znaczy, że możemy porozmawiać znowu na tej lekcji o nas, Poleszukach. Skąd ty jesteś? Bo już zapomniałem.

– Jestem urodzony w Wilnie. Ale ochrzczony i wychowany w Brześciu nad Bugiem.

– Nu, to ty jesteś Poleszuk. Tak jak ja! Bo nie ta matka, która ciebie rodziła, tylko ta, która ciebie wychowała. Ja jestem urodzony w Wilnie, ale wychowany w Nowogródku i uważam się za Poleszuka. A teraz powiedz, Mickiewicz, kto to był pod względem urodzenia?

– Nu, Mickiewicz był Poleszukiem. Już mówiłem kiedyś panu profesorowi. Urodzony w Zaosiu, koło Nowogródka.

– Prawdę ty powiedział. Mickiewicz to Poleszuk. Nasz krajan. Nu, a kto jeszcze?

– Chodzi o wyliczenie Poleszuków? Nu, na przykład Tadeusz Kościuszko, urodzony na Mereczowszczyźnie. Przed wojną byłem z moim ojcem w dworku, gdzie urodził się Kościuszko, nasz bohater narodowy! I amerykański bohater!

– Ale Poleszuk!

– Poleszuk, panie profesorze.

– Nu, to powiedz serdecznie, kto to był Traugutt?

– Traugutt to był Poleszuk z urodzenia, carski pułkownik, ale wielki polski patriota, który został przywódcą powstania styczniowego i Moskale powiesili go na stokach Cytadeli Warszawskiej.

– Pięknie to wszystko Andryjański opowiadasz. Inni chłopcy też niech słuchają i nie dokuczają tym, którzy są zza Bugu. A dokuczają? Powiedz prawdę Andryjański.

– Dokuczają, panie profesorze, bo mówią na nas „zabużaki”. Albo „ci zza Bugu”. Albo „Poleszucy”, jakbyśmy stanowili w szkole dzicz jakąś.

– Nu, widzisz! To głupota. Ja też jestem Poleszuk, zabużanin, czy jak kto woli „zabużak”. A powiedz mi jeszcze Andryjański, kto to był Moniuszko?

– Kompozytor. *Napisał Halkę, Straszny Dwór.*

– Andryjański, masz u mnie celująco! Powiedz jeszcze tylko nam, co powiedział marszałek Piłsudski o Kresach i Kresowiakach, w tym Poleszuchach, oczywiście?

– Powiedział, panie profesorze, że Polska podobna jest do obwarzanka. Wszystko, co wartościowe mieszka na Kresach. A w środku pusto!

– Andryjański, bardzo dobrze ty cytujesz marszałka. Ale głośno lepiej tego nie mów!

III. Polacy we Lwowie, Lwowiacy w Polsce i w świecie

Jurij Smirnow

POWOJENNE LOSY ŚWIĄTYŃ LWOWSKICH część VI

Kościół pp. Sakramentek

Zabudowania kościoła i klasztoru pp. Sakramentek (Benedyktynek od Nieustającej Adoracji Najświętszego Sakramentu) znajdują się przy ul. Terszakowców 11 (dawna ul. Sakramentek), usytuowane wśród dawnych obszernych ogrodów i pól należących do tegoż zakonu. Znaczne obszary ziemi na dalekim przedmieściu brodzkim podarował siostronom zakonnym Franciszek Cetner, wojewoda smoleński. Na budowę kościoła i klasztoru znaczne sumy pieniędzy ofiarowali król Stanisław Leszczyński, Helena ks. Czetwertyńska i inni przedstawiciele arystokracji galicyjskiej. Nieznany z nazwiska autor (możliwe, że był nim lwowski krajoznawca Antoni Schneider) tak opisuje w „Gazecie Narodowej” okoliczności założenia klasztorów pp. Sakramentek w Warszawie i we Lwowie:

„Gdy Jan III Sobieski wyruszył na odsiecz Wiednia, Maria Kazimiera uczyniła ślub założenia klasztoru pp. Sakramentek w Warszawie. Sprowadzono w roku 1687 13 zakonnice wybranych z kilku istniejących już klasztorów tego zakonu we Francji pod przewodnictwem matki Magdaleny d’Auvergne. Przeznaczeniem tego klasztoru było wychowanie córek szlacheckich. W 1708 roku uzyskano przeniesienie kilku zakonnice do Przemyśla. Razem z księżną Wiśniowiecką schroniły się we Lwowie w 1709 roku. Toczyła się wówczas walka o tron Leszczyńskiego z Sasem. Zakonnice znalazły skuteczną opiekę w domu Jabłonowskich. W 1711 roku zakonnice wynajęły dom przy kościele św. Antoniego na Łyczakowie i organizowały pensje dla dziewcząt z rodzin szlacheckich. Jak pisał ksiądz Ignacy Chodynicki, „... trudniły się wychowaniem wielu córek najpierwszych familii, między którymi Zofia Cetnerówna, przy-

jąwszy welon zakonny, uprosiła ojca swego Franciszka Cetnera, wojewodę smoleńskiego, iż wystawi dla nich w r. 1718 na gruntach przez siebie zakupionych, mały klasztor i kościół z muru pruskiego. Pierwszą przełożoną została właśnie Zofia Cetnerówna, w zakonie Maria Benedykta od Św. Benedykta. Wówczas wstąpiła do tego zakonu Katarzyna Potocka, cioteczna siostra Cetnerowej, a nieco później spokrewniona z nią księżniczka Jabłonowska. Zgromadzenie zakonne stało się odtąd zupełnie polskim. Król Stanisław Leszczyński na rozpoczęte dzieło 40.000 złotych polskich darował”.

Natomiast profesor Jan Ostrowski uważa, że budowę klasztoru rozpoczęto od roku 1723. W 1743 roku z inicjatywy przełożonej Zofii Cetnerowej przy poparciu arcybiskupa lwowskiego Mikołaja Ignacego Wyżyckiego rozpoczęto budowę nowego kościoła i klasztoru z cegły i kamienia ciosanego. Arcybiskup Wyżycki był znany ze sprowadzenia i osiedlenia we Lwowie nowych zakonów katolickich. Właśnie on położył kamień węgielny pod budowę klasztoru sakramentek. W 1932 roku profesor Tadeusz Mańkowski opublikował materiały archiwalne lwowskiego cechu murarskiego, w których opisana została cała intryga tzw. „fabryki panien sakramentek”. Według tych materiałów, budowę rozpoczął mistrz cechowy Korzeniowski, zaś po jego śmierci „fabrykę” przejął Grzegorz Tonderowicz „magister murarski”, ale niedługo ją prowadził. Przesłuchanie świadków cechu murarskiego przed urzędem radzieckim zaświadczyło, że „zaczął robotę Tonderowicz (Funderowicz) u Panien Sakramentek, ale go z tamtąd wypędził Benhard i sam warsztat objął ze wszystką czeladzią, z której cechu żadnego profitu niema”. Inny świadek mówił, że „był u pp. Sakramentek Grzegorz Tonderowicz magister cechowy na fabryce i z czeladzią swoją i tam pomieniony p. Benhard jako wszędzie rządzący się też fabrykę odjął, a tam magister z cudzą krzywdą swoją uczyniwszy skąd i cechu uszczerbek, gdzie indziej zarobku szukać musi...”

Mańkowski też udowodnił, że zagadkowy pan Benhard był wybitnym lwowskim architektem epoki baroku Bernardem Meretynem, i że fabrykę panien sakramentek prowadził on w latach 1743–1744. Na pewno budowa klasztoru posuwała się naprzód dość szybko, bo Meretyn zatrudnił 12 a nawet 15 osób „czeladzi”. W następnych latach brak archiwalnych świadczeń co do działalności Meretyna przy budowie kościoła sakramentek, lecz architektoniczne formy i układ przestrzenny kościoła, również ozdobienie elewacji frontowej klasztoru, świadczą o autorstwie mistrza. Świadczą też o tym okoliczności życiorysu twórczego Meretyna. Skargi cechu murarskiego (budowniczego), ani urząd radziecki nie podważyły pozycji Meretyna we Lwowie. Nadal prowadził budowę licznych obiektów. Najważniejszym z nich była „fabryka” zespołu zabu-



Kościół p.p. Sakramentek

dowań katedry św. Jura. Mistrz miał stałe poparcie grekokatolickich arcybiskupów Atanazego i Leona Szeptyckich, hrabiego Mikołaja Potockiego, archidiacona Stefana Mikulskiego, biskupa Samuela Głowińskiego i wpływowego radnego miejskiego Karola Garaniego. W 1745 roku król August III zaliczył go „... w poczet swych dworzan, udzielił mu tytułu swego nadwornego architekta i poddał jurysdykcji królewskiego marszałka nadwornego, wyjmując równocześnie z pod jurysdykcji miejskiej”. Tak trwało do roku 1758, kiedy wszedł on w konflikt z niejakim Pierre Ricaud de Tirgaille, kapitanem królewskiego regimentu pieszego i wziętym architektem pałaców arystokracji galicyjskiej, i z powodu jego oskarżeń stracił zaufanie arcybiskupa Leona Szeptyckiego. Jesienią 1758 roku arcybiskup rozerwał z Meretynem kontrakt na budowę katedry św. Jura, zaś 3 stycznia 1759 roku architekt zmarł. Można zatem sugerować, że Bernard Meretyn prowadził budownictwo kościoła i klasztoru sakramentek w latach 1744–1758, również jak inne „fabryki” na terenie Lwowa i poza miastem (np., w Nawarii, Hodowicy, Horodence, Buczaczu). W tych latach zbudowany został obszerny klasztor, który składał się z czterech skrzydeł i dwóch dziedzińców. Kościół był połączony z południowo-zachodnim skrzydłem klasztoru, ale został niedobudowany. Prawdopodobnie były zbudowane fundamenty i częściowo mury prezbiterium i trzynawowego korpusu.

Rękę architekta wyraźnie widać w ozdobieniu głównej elewacji południowo-zachodniego skrzydła, przypominającego ozdobienie zespołu zabudowań katedry św. Jura. Pilastry ozdobiono rokokową dekoracją, nadokienniki „... plastycznie wykonanymi muszlami i wolutkami”. Zdobienie elewacji nadaje klasztorowi „reprezentacyjny, quasi-pałacowy charakter..., świadczący o wysokiej pozycji społecznej zgromadzenia sakramentek”.

W postęпах „fabryki” ogromne znaczenie miały sprawy finansowe, jednak funduszy stale brakowało. Główną fundatorką w tym okresie była podkomorzyna braclawska, księżna Helena Czetwertyńska, „lecz gdy ta wkrótce bez testamentu umarła, budowa znowu miała być przerwana i długie lata nie znalazła dla siebie protektora”.

Niedobudowany kościół, bez dachu, doczekał się w 1786 roku wizyty austriackiego cesarza Józefa II. Ks. Ignacy Chodynicki pisze, że „wiekopomny monarcha Józef II cesarz rozkazał [budowlę] dokończyć kosztem swego skarbu i przekonawszy się o użyteczności dla kraju tych zakonnic, zapewnił onym szczególniejsze względy ze strony rządów i nadał prawo utrzymania konwiktu dla panien rodzin szlacheckich”. Legenda podaje, że cesarz osobiście, laską swoją odznaczył część niedobudowanego kościoła na kaplicę dla sakramentek, zaś drugą część przeznaczył na skład mundurów wojskowych. 15 maja 1787 roku został

wydany odpowiedni dekret gubernium galicyjskiego. W taki sposób chór zakonny i część prezbiterium zostały adaptowane na kaplicę klasztorną, zaś reszta zabudowania została nakryta prowizorycznym dachem i przekazana na użytek władz wojskowych. Inwentarz z roku 1828 potwierdza ten stan, mianowicie, że w większej niedobudowanej części kościoła znajdował się magazyn wojskowy oddzielony od kaplicy zakonnej poprzecznym murem z cegieł. Ten stan rzeczy potwierdza też znana litografia Józefa Swobody z roku 1865.

Sytuacja odmieniła się na początku lat 80. XIX wieku. W nowej rzeczywistości politycznej, związanej z wprowadzeniem w życie reform dotyczących autonomii galicyjskiej i samorządu miejskiego, nadszedł moment burzliwego rozwoju we Lwowie struktur kościoła rzymskokatolickiego. W tym też czasie w mieście znacznie wzrosła liczba mieszkańców, rozszerzyło się jego terytorium, zakładano nowe ulice. Oddalone od centrum miasta zabudowania sióstr sakramentek nie wyglądały już na tak bardzo daleką pozamiejską okolicę. Na te okoliczności w 1883 roku zwróciła uwagę lwowska „Gazeta Narodowa”, która pisała: „W roku bieżącym, w roku jubileuszowym odsieczy Wiednia, z którą epoką łączy się pamiątka dziejowa klasztoru sakramentek, chciały zakonnice dokończyć wiekową budowę i przystroić wieżę wchodową pamiątkową tablicą Jana III... Powiedzmy sobie, że to się przecież nie godzi, ażeby zakon polski, sumiennie i po polsku wychowujący córki narodu, w stolicy kraju przez półtora wieki nie mógł dokończyć swego kościoła. Dziś nadto wypadałoby zwrócić uwagę, że część miasta na Rurach aż do Pohulanki, coraz więcej się zaludnia. Położenie kościoła pp. Sakramentek jest bardzo dla tej okolicy korzystne, jego wykończenie pożądane. Powinnyby władze duchowe i ojcowie miasta wziąć w opiekę tę budowę, ze względu na ludność okoliczną, która także do opieki ma prawo”.

Artykuł w „Gazecie Narodowej” jednoznacznie stwierdza, że jeszcze w 1883 roku nie były prowadzone żadne prace budowlane i nawet nie było pieniędzy na ich rozpoczęcie. Mogły ruszyć nie wcześniej niż w 1884 roku, zaś w 1887 były już zakończone. Realizowano plany lwowskiego architekta Adolfa Minasiewicza. Pieniądze sakramentki uzyskały z drobnych składek okolicznej ludności.

Istnieje kilka wersji co do skali przeprowadzonych wtedy prac budowlanych i adaptacyjnych. Prof. Jan Ostrowski uważa, że Minasiewicz był autorem wysokiej attyki (czyli górnej kondygnacji fasady). Pod jego kierownictwem na pewno przebudowano też dach korpusu kościoła. W ukraińskiej „Encyklopedii Lwowa” znajdujemy stwierdzenie, że Minasiewicz „... zbudował dwukondygnacyjną wieżę z kopułą”, attykę, nowe sklepienia prezbiterium i nawy głównej. Weryfikować sprzeczne ze

sobą stwierdzenia częściowo można dzięki artykułom w prasie lwowskiej tamtego okresu. W 1903 roku „Gazeta Lwowska” pisała, że „... od dwóch blisko wieków mury jego wzniesiono, jednak tylko prezbiterium, oddzielone kratą od chóru zakonnego, było otwarte dla publiczności. Cała zaś nawa poza murem, przy którym mieścił się dotychczas wielki ołtarz, stała pustką bez żadnego użytku, co gorsza groziło upadkiem. Już przed kilkunastu laty ubogie zakonnice, groszem uzyskanym z drobnych składek, postarały się o nakrycie tej świątyni dachem ogniotrwałym, zabezpieczyły mury zewnętrzne od zniszczenia i wzniosły piękną wieżę, która stanowi prawdziwą ozdobę tej dzielnicy miasta, ale marzenie ich, aby cały gmach oddać na chwałę Bożą, rozbijało się o znaczne koszty”. Wśród ofiarodawców była też siostra zakonna hrabina Potulicka.

Można wnioskować, że wieża, nowy dach nad nawą, a może i sklepienie, zostały zbudowane według projektu Adolfa Minasiewicza w latach 1884–1887. Barokowy ołtarz wielki mieścił się przy murze oddzielającym prezbiterium od korpusu świątyni i pochodził z XVIII wieku. Ołtarz był drewniany, „... częściowo połączony, z czterema kolumnami marmoryzowanymi w kolorze czarnym, zawierał w polu obrazy: Matka Boska i Św. Franciszek, a w zwieńczeniu – Św. Benedykt i Zdjęcie z krzyża. Na szczycie tabernakulum znajdowała się rzeźba Matki Boskiej, a po bokach figury świętych. Po bokach ołtarza głównego stały niewielkie ołtarze, z obrazami Matki Boskiej (po lewej) i Chrystusa (po prawej) oraz relikwiarzami śś. Bonifacego i Wiktora, w formie skrzynek z drewna i szkła”. (Jan Ostrowski).

Według inwentarza w kościele i klasztorze znajdowało się 9 ołtarzy, prosta drewniana ambona i pozytyw organowy. W 1883 roku znany artysta-rzeźbiarz Tomasz Oskar Sosnowski (1810–1886) wykonał na zamówienie sióstr sakramentek „... piękną statuę św. Jozefata”. Była to okazała rzeźba z białego marmuru. „Dziennik Polski” donosił, że Sosnowski, który mieszkał w Rzymie, często odwiedzał Lwów w drodze na Wołyń i miał przyjacielskie stosunki z rzeźbiarzem Leonardo Marconim, profesorem Politechniki Lwowskiej. Figurę św. Jozafata wykonał właśnie w lwowskiej pracowni Marconiego. W 1883 roku znajdowała się jeszcze w pracowni i na pewno była przeniesiona do kościoła dopiero po zakończeniu przebudowy świątyni. Architekt Adolf Minasiewicz (1846–1894) pochodził z rodziny Ormian lwowskich, był absolwentem Politechniki Lwowskiej. Twórczość jego nie jest dokładnie zbadana, lecz kilka znanych projektów wykazują wysoki poziom jego twórczych możliwości. Wśród realizacji Minasiewicza był nowy neobarokowy pałac Wacława hr. Baworowskiego w miejscowości Sorocko niedaleko Trembowli na Podolu. W 1884 roku „Czasopismo Techniczne”

donosiło, że „... w majątku Sorocko własności hr. Baworowskiego rozpoczęto budowę magnackiej siedziby wiejskiej według planów i pod kierownictwem budowniczego p. Minasiewicza”. Adolf Minasiewicz razem z architektem Ludwikiem Ramultem był autorem rozbudowy monumentalnych budynków szkoły rolniczej w podlwowskich Dublanach, zbudowanych w latach 1885–1888 „... pod wpływem idei Juliana Zachariewicza” (J. Biriulow). Ostatnią pracą Minasiewicza była konstrukcja trybun dla pawilonu gimnastycznego Powszechnej Wystawy Krajowej we Lwowie (1894).

Następna adaptacja kościoła sakramentek miała miejsce w latach 1902-1906, kosztem drobnych ofiar „... uzbieranych centami wśród najuboższych, bez komitetów i festynów... bez hucznej reklamy”, dzięki energii przełożonej klasztoru matki Janiny Kowarzyk. Właśnie ona dbała też o poziom artystyczny i estetyczny ozdobienia wnętrza, dlatego projekty dobudowy kościoła, nowego monumentalnego ołtarza głównego i wykonanie prac kamieniarskich powierzyła znanym lwowskim architektom i firmom.

We współczesnej literaturze ukraińskiej i polskiej istnieje przekonanie, że projekt dobudowy kościoła i ogólne kierownictwo było dziełem profesora Władysława Sadłowskiego. On też zaprojektował nowy ołtarz główny. Tak uważa na przykład, Irina Kotłobułatowa („Львів на фотографії” 2006 r.), Jurij Biriulow (przewodnik „Lwów”, 2001 r.), Chrystyn Charczuk („Encyklopedia Lwowa”, t. 3, 2010 r.). Oksana Bojko i Wasyl Słobodian w artykule „Klasztor sióstr sakramentek” (2006) w ogóle nie wspominają o przebudowie kościoła w latach 1902-1904. Charczuk uważa, że według projektu Sadłowskiego był przebudowany również hełm wieży. Jurij Biriulow przypisuje budowę wieży Władysławowi Sadłowskiemu. Profesor Jan Ostrowski w „Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa ruskiego” t. 19 (2011) uważa, że projekt przebudowy w latach 1902–1904 należał do W. Sadłowskiego i według jego projektów nadbudowano wieżę i zbudowano ołtarz główny.

Nieco inaczej opisuje prace przy przebudowie kościoła ówczesna prasa lwowska (np., „Gazeta Lwowska”, 2.10.1903 r., „Słowo Polskie”, 13.05.1904 r.). Uważamy że relacje naocznych świadków odpowiadają rzeczywistości i przyjmujemy następną wersję prac po rekonstrukcji kościoła. Otóż ogólne wykonanie planów dobudowy świątyni i kierownictwo techniczne budową należało do architekta Edmunda Zychowicza. Projekt nowego ołtarza głównego wykonał prof. Władysław Sadłowski. Prace kamieniarskie wykonała i ołtarz główny zbudowała firma Ferdynanda Majerskiego. Rzeźby figuralne aniołów wykonał Piotr Wojtowicz. Roboty artystyczno-ślusarskie powierzono firmie Piotrowicza i Szumana. Podczas prac po dobudowie kościoła zbudowano nowy ołtarz

główny, rozebrano ścianę między prezbiterium i nawą, usunięto stary ołtarz barokowy, ułożono podłogę w nawach „... w szachownicę z płyt kamiennych czarnych i białych”, cały kościół pomalowano „skromnie lecz gruntownie”. Innych prac w tym okresie nie prowadzono.

Trzeba podkreślić, że wieża nie była przebudowana i została w wersji Adolfa Minasiewicza. Projektowano przebicie nowego wejścia głównego od frontu kościoła, lecz na to zabrakło pieniędzy. „Gazeta Lwowska” pisała: „wejście będzie na razie tylko boczne od strony podwórka, gdyż na wybicie drzwi głównych, do którychby potrzeba wspaniałych schodów, funduszów niema jak niema ich na organy, ambonę, boczne ołtarze, ławki i inne urządzenia”. Prasa podkreślała, że wszystkie roboty wykonane są siłami krajowymi i prawie wyłącznie z krajowego materiału. Ferdynand Majerski był znanym architektem i rzeźbiarzem działającym w Przemyślu, jednak „... w latach 90. XIX wieku i na początku XX on przebywał we Lwowie niemal nieprzerwanie”, a filia jego zakładu kamieniarskiego znajdowała się przy ul. Kochanowskiego, 5, w sąsiedztwie kościoła sakramentek i możliwie Majerski był uczestnikiem nabożeństw w tej świątyni.

Osiągnięcia twórcze prof. Sadłowskiego, autora projektu ołtarza głównego, i rzeźbiarza Piotra Wojtowicza, są szeroko znane, dlatego nie ma potrzeby mówić o nich raz jeszcze. Niestety, ich dzieło – wspaniały wielki ołtarz w kościele sakramentek nie zachował się do naszych dni. Zniszczony został przez władze radzieckie na początku lat 50. XX wieku, podobnie jak i znaczna część wyposażenia świątyni. Dlatego podajemy opis ołtarza według naocznej relacji korespondenta „Słowa Polskiego”. Autor podkreślił, że postanowiono powiększyć miejsce dla zakonnic i wykorzystać dla tego prawie całe prezbiterium, zaś ołtarz ustawić u wylotu nawy głównej”. Z powodu tej sytuacji musiał architekt stawiając obecnie ołtarz, który zarazem oddzielił publiczność od zakonu, projektować go tak, aby nie zmniejszał przestrzeni kościoła i nie zasłaniał perspektywnego widoku na część przeznaczoną do użytku klasztoru. Architekt stworzył więc przeurocze składające się z dwóch kolumn olbrzymich, zakończających architekturę kościoła, uwieńczonych figurami aniołów stojących na straży świątyni i baldachimu na czterech słupach z różowego marmuru. Podstawy obu tych części architektonicznych połączył architekt murem, w którym umieszczone są piękne drzwi z kutego żelaza. Na słupach baldachimu wsparte jest belkowanie, na którym wspaniała, przejrzysta kopuła z żelaza kutego, złożona, zakończona krzyżem. Na osi słupów siedzące aniołki uzupełniają malowniczą sylwetę kopuły. Baldachim ten wznosi się nad tronem dla ustawienia Sanctissimum dla nieustającej adoracji. Tron z białego marmuru zdobią cztery marmurowe aniołki. Do całej tej budowy przyparte są z obu stron

mensy z ciemnego alabastru. W środku mensy tabernakulum, bogato rzeźbione, ujęte w ramy barokowych ślimacznic, podtrzymujących podstawę pod krzyż. Projekt ten jest dziełem architektury pana Władysława Sadłowskiego... Artystyczną stronę projektu wyposażył Piotr Wojtowicz, znany artysta rzeźbiarz, wspaniałymi figurami w marmurze i gipsie. Wszystkie są ideałem rzeźby dekoracyjnej, piękne w ruchach i sylwecie, przy tym pełne prostoty. Nie wiem, czy w ogóle posiada Lwów w swej kościelnej rzeźbie coś równie pięknego... Roboty artystyczno-ślusarskie wykonała firma Piotrowicz i Szuman i pomimo, że warsztat nie jest specjalnie do tego urządzonej, wywiązała się z zadania swego nadzwyczaj chlubnie”.

Sprzeczną z informacjami prasy lwowskiej jest uwaga krajoznawcy Mieczysława Orłowicza, który w „Przewodniku po Lwowie” (1925 rok) pisał, że „ładnie i oryginalnie zaprojektowana fasada bez drzwi i okien, które zastępują puste nysze, z wysoką wieżą, której efekt zepsuł niestylowy i brzydki hełm z czasów ostatniej restauracji”. Wtedy potwierdziłaby się wersja Charczuk o przebudowie hełmu wieży w latach 1902–1904, jednak autorem planów przebudowy trzeba byłoby uznać nie Władysława Sadłowskiego, lecz Edmunda Zychowicza.

Osobne pytanie dotyczy organów. Według inwentarza z 1828 roku w klasztorze znajdował się pozytyw organowy. Znawca tematu lwowianin Serhij Kaliberda pisze, że w kościele znajdowały się organy firmy Romana Ducheńskiego (1800–1874?). Był to instrument 6-rejestrowy z jednym manuałem. Na wieży kościoła sakramentek przed I wojną światową zawieszono były 4 dzwony. Jeden z nich pochodził z wieku XVII, trzy inne z XVIII. Dwa z nich z roku 1728 i 1730 miały na płaszczu napisy cyryliczne, dwa inne napisy po łacinie.

Konsekracja kościoła „za zwykłym ceremoniałem” i otwarcie świątyni dla użytku publicznego odbyła się 12 maja 1904 roku o godzinie 8:30 rano w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego. Aktu konsekracji dokonał arcybiskup Józef Weber, lwowski biskup pomocniczy. Pierwszą solenną sumę odprawił ksiądz Gaworzewski. Chór uczennic pensjonatu klasztorowego wykonał szereg pieśni religijnych. Prasa lwowska informowała, że „... dla wygody wiernych odprawiać się będzie w tym kościele każdej niedzieli, każdego czwartku i w święta uroczyste, tudzież w święta patronów zgromadzenia o godzinie 10 przed południem”.

Przed I wojną światową w kościele ustawiono też nowe stalle w chórze, „... piękne rzeźbione i ozdobione statuami świętych naturalnej wielkości, z drzewa” (M. Orłowicz). Nie wykluczone, że razem ze stallami wykonano neobarokowy ołtarz w chórze zakonnym. Podczas I wojny światowej w latach 1916–1917 wojenne władze austriackie zarekwirowały trzy dzwony o wadze 83,5 kg (18.12.1916), 26 kg (27.01.1917)

i 32 kg (18.12.1916). Na wieży pozostał tylko jeden dzwon z 1728 roku o średnicy 60 cm, wysokości 98 cm, „... z czworoboczną plakietką (10 x 14 cm) z rzeźbą przedstawiającą Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus w owalnej mandorli promienistej i św. Anną w takiejże glorii” oraz z napisem cyrylicznym „ПОКУ БОЖОГО АЧКИ” (1728).

Dopiero na początku lat 30. XX wieku sakramentki kontynuowały dalsze prace po ozdobieniu i wyposażeniu wnętrza kościoła. Około 1932 roku w alabastrowni ks. Czartoryskich w Żurawnie (województwo stanisławowskie) zamówiono nową alabastrową ambonę, wykutą z szarego i czarnego alabastru. Bogatą dekorację ambony stanowiły misternie rzeźbione białoalabastrowe, częściowo wyzłocone rozety, liście, woluty i urny. Baldachim „... w formie stożkowego daszku ozdobiono falistym gzymsem”, zwieńczono postumentem z krzyżem. Projekt ambony mógł być dziełem Włocha Bertini, który od drugiej połowy lat 20. XX wieku był zatrudniony jako kierownik pracowni rzeźbiarskiej alabastrowni w Żurawnie. Projekt ambony spotkał się z krytyką konserwatora okręgowego (możliwie Zbigniewa Hornunga, który obejmował ten urząd w latach 1930–1939). Konserwator nawet „... wstrzymał budowę nieodpowiedniej alabastrowej ambony w kościele pp. Sakramentek... i polecił wprowadzić pewne zmiany, celem należytego zharmonizowania jej z pięknym barokowym wnętrzem”.

Kilka lat później „Kopalnia alabastru i fabryka wyrobów alabastrowych ks. Czartoryskich” wykonała dla świątyni dwa jednakowe ołtarze boczne, ustawione przy ścianie czołowej naw bocznych. Ołtarze wykonano z alabastru różnych kolorów. Mensę zrobiono z materiału czarnego, dość rzadkiego w złożach żurawieńskich. Wyżej ściana została oblicowana szarym żyłkowanym alabastrem, zaś wyżej zbudowano płaskie filary o głębokim profilowaniu z pięknego białego alabastru z różnymi odcieniami szarego koloru. Białoalabastrowe zwieńczenie miało kształt profilowanego gzymsu w centrum wgiętego półkoliście. Kościół i zabudowania klasztorne nie ucierpiały w czasie II wojny światowej. W 1946 roku sakramentki, tak jak inne zakony i zgromadzenia rzymskokatolickie, zmuszone zostały do opuszczenia Lwowa. Klasztor, kościół i cały folwark klasztorny przyjęły radzieckie władze wojskowe, które urządziły tam kolonię karną dla kobiet. Już w 1949 roku sytuacja odmieniła się z powodu przekazania części dawnego terenu klasztornego Akademii Weterynarii Medycznej (Instytutu Zooweterynaryjnemu). W korpusach klasztornych urządzono akademik dla studentów, dawną szkołę dla dziewcząt przystosowano na katedrę języków obcych, zaś kościół adaptowano i przebudowano na salę sportową, klub studencki „Danko” i salę konferencyjną. Prezbiterium i korpus świątyni podzielono na kilka izolowanych pomieszczeń, dlatego zbudowano ściany i przegródki.

Rozebrano wolnostojący ołtarz główny. W 1952 roku cztery kolumny dawnego retabulum wykorzystano dla budowy arkady wejściowej do parku Stryjskiego od strony ulicy Parkowej. Reszta elementów ozdobienia i rzeźby zniszczono. Ocalały tylko dwie wielkie kolumny przy wejściu do prezbiterium z nawy głównej i ustawione na nich monumentalne figury aniołów dłuta Piotra Wojtowicza. Zniszczono kosz ambony, ale został baldachim, z którego usunięto krzyż. Zniszczono drewniany ołtarz i stalle w chórze zakonnym, również ławki i inne wyposażenie w nawach. W miejscu ołtarza w lewej nawie bocznej wybito drzwi do sąsiedniej zakrystii i całkiem zniszczono mensę i część dolną. Zostały tylko wmurowane w ścianę płaskie alabastrowe filary. Ołtarz w prawej nawie zachował się w lepszym stanie. Zniszczono organy. Puste pomieszczenia pomalowano ohydną zieloną farbą.

Całkiem też zmieniło się otoczenie kościoła. Znaczną część dawnych sadów, ogrodów, parku i stawów sióstr sakramentek przekazano Akademii Weterynarii Medycznej. W latach 1954–1961 od ulicy Piekarskiej zbudowano wielki nowy gmach Akademii, zaprojektowany w stylu „stalinowskiego klasycyzmu” w moskiewskiej pracowni znanego radzieckiego architekta profesora Iwana Żółtowskiego. Wejście główne akcentowano monumentalnym ośmiokolumnowym portykiem z wielkim tympanonem. W końcu lat 50. XX wieku przez dawne ogrody klasztorne przebito ulicę, która razem z ulicą Gosiewskiego połączyła ul. Kochanowskiego z Piekarską. Nowa ulica otrzymała nazwę Aleksandra Marczenki. Na miejscu sadu klasztornego zbudowano długi, pozbawiony akcentów architektonicznych budynek mieszkalny. Dwa podobne bloki powstały po drugiej stronie nowej ulicy na rogu z Piekarską. W latach 70. XX wieku na miejscu górnego stawu w ogrodach sakramentek zbudowano salę sportową. Na zachód od klasztoru zbudowano nowy akademik. Brzegi dolnego stawu zabetonowano tworząc z niego rodzaj basenu do pływania. W latach 1980–1991 zbudowano nowy gmach Akademii Weterynarii wzdłuż ulicy Piekarskiej. W 2014 roku rozpoczęto budownictwo nowego bloku mieszkalnego w bezpośredniej bliskości kościoła. Od starych ogrodów i sadów sakramentek pozostały tylko fragmenty z tylnej strony klasztornych zabudowań.

W 1992 roku Kościół grekokatolicki wystąpił do władz miejskich z prośbą o przekazanie kościoła sakramentek i po dwóch latach uzyskał pozwolenie na zaadaptowanie. Powstała nowa parafia i świątynię poświęcono pod nowym wezwaniem Świętej Trójcy. Przed nowym proboszczem i komitetem parafialnym powstało trudne zadanie remontu zniekształconych wewnątrz świątyni, wyposażenia i ozdobienia jej w tradycjach kościoła wschodniego i konserwacji zachowanych form architektonicznych. Dach wyremontowano, pokryto nową blachą. W elewacji

frontowej od strony zachodniej dobudowano dwuskrzydłowe schody i wybito nowe wejście główne. Jest ono otwarte tylko podczas świąt, w inne dni wierni korzystają ze starego wejścia bocznego. Nad nowym wejściem umieszczono dużą, bardzo stylizowaną płaskorzeźbę „Oka Opatrzności”. Jeszcze wyżej nad balkonem znajduje się owalny malowany obraz Trójcy Świętej. W dolnej części schodów znajduje się wnęką, w której ustawiono figurę Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. Wnętrze świątyni wyremontowano dla potrzeb kultu w obrządku wschodnim. W chórze zakonnym z kutego metalu zbudowano niewysoki, jednokondygnacyjny ikonostas, z wrotami carskimi i tradycyjnymi obrazami. Na ścianie za ikonostasem umieszczono kilka obrazów świętych, wśród nich duży obraz Matki Boskiej, zaś nad nim Trójcy starotestamentowej (kopia znanej ikony A. Rublowa). Obrazy święte w ołtarzu, a także w całej świątyni wykonał Mikołaj Rybenczuk, absolwent lwowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Jest ich ponad trzydzieści. Właśnie one tworzą najważniejszy i prawie jedyny akcent zdobienia świątyni. Nowe stacje Drogi Krzyżowej umieszczono na potężnych miedzynawowych filarach, ozdobionych podwójnymi pilastrami. Zachowały się również barokowe kartusze arkad z hierogramami MARYA. Nowe obrazy święte znajdują się też w ołtarzach bocznych. Ołtarz w nawie lewej poświęcono Matce Boskiej z Lourdes. Na mense ustawiono figurę Matki Boskiej w tle grotty. Wyżej między filarami alabastrowymi obraz z widokiem katedry w Lourdes. Nad ołtarzem nowy obraz Matki Boskiej Karmiącej, zaś wyżej duży obraz Uśpienia Najświętszej Marii Panny. Ołtarz w zamknięciu nawy prawej poświęcono Zmartwychwstaniu Pańskiemu. W polu ołtarza duży obraz Zmartwychwstania, wyżej nad ołtarzem kopia cudownego obrazu Matki Boskiej Poczajowskiej i Ukrzyżowanie. Nad nowym wejściem głównym obraz Matka Boska Pokrowa, po stronach pod chórem muzycznym duże obrazy Sąd Ostateczny i Stworzenie Wszechświata. Część obrazów i scen z historii kościoła namalowano temperą na tynku. Nad chórem muzycznym duża scena historyczna „Chrzest Rusi”, nad wejściem do prezbiterium – „Zesłanie Ducha Świętego na Apostołów”. Pod baldachimem ambony nowy obraz św. Mikołaj i stary nieduży obraz Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus. W świątyni są jeszcze dwa stare obrazy, mianowicie Św. Michał Archanioł i Ofiarowanie Najświętszej Maryi Panny. Pierwszy wykonano w stylu barokowym, drugi późniejszy, z I połowy XIX wieku. Wszystkie trzy stare obrazy znalazły się w cerkwi okazyjnie i według słów proboszcza, nie pochodzą z kościoła sakramentek. Na filarze przy wejściu bocznym do świątyni znajduje się tablica pamiątkowa, poświęcona wizycie św. papieża Jana Pawła II we Lwowie. W jej części górnej w płaskorzeźbie wyobrazono Ojca Świętego, zaś w dolnej napis w języku ukraińskim „Ku czci wizyty Ojca Świętego do

Lwowie w dniach 25–27 czerwca 2001 roku. Parafia świątyni Trójcy Przenajświętszej”. Tablicę zaprojektował i wykonał z brązu w 2002 roku Julian Kwaśnica, współczesny lwowski rzeźbiarz. Na ścianach prezbiterium, chóru zakonnego, naw bocznych i na filarach nawy głównej umieszczono jeszcze kilkadziesiąt obrazów świętych przedstawiających Apostołów, męczenników za wiarę, postacie historyczne kościoła wschodniego, szczególnie ukraińskiego, sceny z życia Matki Boskiej. W nawach bocznych urządzono po dwa boczne prowizoryczne ołtarze.

Nie zważając na tak dużą liczbę obrazów świętych i ich znaczne rozmiary, wielka i wysoka świątynia sakramentek lwowskich wygląda dość pusto. Niewysoki ikonostas i małe ołtarze boczne nie sprawiają odczucia monumentalności. Na pewno nie tak wyobrażał sobie wyposażenie kościoła architekt Bernard Meretyń projektując potężne formy architektoniczne świątyni. Jak najbardziej pasowałyby do nich zespół monumentalnych ołtarzy barokowych, lecz zawiłe losy historyczne rozporządziły inaczej.

Kościół Matki Boskiej Gromnicznej

Kościół Matki Boskiej Gromnicznej znajduje się przy ul. Stefana Czarneckiego w górnej części dawnych Wałów Gubernatorskich na stokach Wysokiego Zamku. Stanowi on integralną część zabudowań dawnego klasztoru Karmelitanek Bosych, a od XIX wieku Seminarium Duchownego rzymskokatolickiego.

11 czerwca 1642 roku z inicjatywy Jakuba i Teofila z Daniłowiczów Sobieskich, rodziców króla Jana III Sobieskiego spisano akt fundacji dla karmelitanek bosych. Sobiescy ofiarowali dla sióstr zakonnych przybyłych z Lublina i Krakowa znaczny obszar ziemi za murem miejskim i 30.000 złotych. W tym miejscu znajdowały się dawne drewniane zabudowania tzw. dworu Żółkiewskich. Teofila Sobieska była wnuczką hetmana Stanisława Żółkiewskiego i odziedziczyła ziemię po swoich rodzicach Daniłowiczach. W pobożnej fundacji szła ona w ślady matki Zofii Daniłowiczowej, która w 1630 roku ofiarowała sąsiednie grunty ojcom kapucynom pod budowę klasztoru i kościoła pw. Św. Kazimierza. Papież Urban VIII potwierdził założenie nowego klasztoru karmelitanek bosych we Lwowie. Projekt kościoła zamówiono u Włocha Jana Batisty Gisleni, nadwornego architekta królów Władysława IV i Jana Kazimierza. Jednak najpierw w 1642 roku zbudowano tymczasową drewnianą kaplicę z trzema ołtarzami. W tymże roku arcybiskup Stanisław Grochowski uroczyście wprowadził zakonnice do klasztoru. Od 1644 roku rozpoczęto budowę murowanych fundamentów nowego kościoła, ale już w 1648 cały zespół spalono podczas oblężenia Lwowa przez wojska

Bogdana Chmielnickiego z Tatarami. Zakonnice uciekły do Krakowa i Warszawy.

Dopiero w latach 1661–1662 wznowiono budownictwo pod kierownictwem mistrza Jana Godnego i nadzorem ks. Gawatha. Po raz kolejny budownictwo zostało przerwane z powodu oblężenia miasta w 1672 roku przez Turków. Od 1683 roku „fabryką kościelną” na polecenie króla Jana III Sobieskiego kierował budowniczy Tomasz Dubiński. Król fundował też dodatkowe sumy pieniężne i w 1692 roku budownictwo zostało zakończone. Nową świątynię poświęcono Matce Boskiej z Loretto.

W rezultacie budownictwa, trwającego ponad 50 lat, powstała świątynia w stylu wczesnego baroku, z bogatą dekoracją fasady i zapewne wnętrza, o których nie pozostały nawet skąpe opisy.

Wzorcem i inspiracją dla twórcy projektu lwowskiej świątyni były rzymskie kościoły II Gesu i Św. Zuzanny, dzieło słynnego architekta Carla Maderny. Świątynia lwowska jest orientowana, zbudowana z kamienia ciosanego i cegły, częściowo otynkowana. Fundamenty również wykonano z bloków kamienia ciosanego. W planie kościół jednonawowy o zdecydowanie oddzielonej kruchcie, bez kaplic bocznych, założony na planie krzyża łacińskiego. Ramiona boczne transeptu znacznie występują poza linię ścian nawy głównej. Nad skrzyżowaniem ramion transeptu z nawą znajduje się mała kopuła z wieżyczką i latarnią. Prezbiterium jest węższe od nawy i podwyższone o jeden stopień, zbudowane na rzucie kwadratu i zamknięte ścianą prostą. Od nawy zostało oddzielone balustradą. Część prezbiterialną nakrywa jednoprzęsłowe sklepienie krzyżowe, nawę główną – dwuprzęsłowe. W transepcie sklepienia również są krzyżowe. Chór organowy dość wąski, zbudowany z bloków kamienia ciosanego, zajmuje całą szerokość nawy, opiera się na potężnych filarach. Między filarami znajdują się trzy przejścia do nawy, centralne jest dwa razy szersze od bocznych. Wszystkie trzy przejścia zamknięto cylindrycznymi arkami. Chór ozdobiono parapetem z rzeźbioną w kamieniu balustradą. Pod chórem znajduje się wąski przedsionek oddzielony od nawy. W nawie przeszłom sklepienia odpowiadają filary występujące ze ścian bocznych i tworzące po dwie niegłębokie symetryczne nisze po południowej i północnej stronach. Filary dekorowano pilastrami z girlandami i festonami. Takie same pilastry zdobią ściany transeptu i prezbiterium. Nad nimi znajduje się rozbudowany gzyms. Wyżej umieszczono osiem niewielkich jednakowych okien, usytuowanych symetrycznie odnośnie osi kościoła. Cztery z nich znajdują się w nawie, trzy w prezbiterium i jedno nad chórem muzycznym. Po lewej stronie prezbiterium przybudowano zakrystię, a po prawej – kaplicę.

Od wschodu i południa do kościoła przybudowano gmachy dawnego klasztoru karmelitanek bosych. Główna fasada świątyni dwukondygnacyjna.



Kościół Matki Boskiej Gromniczej

cyjna, z monumentalnym tympanonem zwieńczonym w centrum krzyżem i kandelabrami po bokach. Całą fasadę oblicowano płytami z piaskowca i bogato dekorowano. Dekoracja powstawała w ciągu dłuższego czasu budowy świątyni. Profesor Tadeusz Mańkowski podkreśla jej malowniczość i bogactwo. „Stworzono ją w czasie, gdy w Rzymie walory plastyczne z rzeźby i malarstwa przejęte, zyskiwały co raz bardziej obywatelstwa w architekturze. Kościoły tego typu w tym czasie stają się mniej ciężkie, a bardziej wybija się w nich linia wertykalna” – pisze on w swojej pracy „Lwowskie kościoły barokowe”. Większość rzeźb zdobiących fasadę powstała w ostatnim okresie budowy świątyni za czasów króla Jana III Sobieskiego i na pewno na jego zamówienie. Są to barokowe wazony w niszach dolnej kondygnacji, kartusze nad nimi i postacie św. Józefa i św. Teresy z Avila wykonane nadwornym rzeźbiarzem Andrzejem Szwanerem w 1688 roku. Monumentalne belkowanie dzieli fasadę na dwie kondygnacje. Dolną kondygnację na całej wysokości podzielono pilastrami na pionowe długie płaszczyzny. W tych polach znajdują się nisze z wazami i fundacyjne tablice marmurowe. Wejście główne znajduje się na osi świątyni i flankowane dwiema kolumnami toskańskimi podtrzymującymi fryz z tryglifami i zwieńczonymi tympanonem. Portal wejścia zdobi główka anioła i girlandy z kwiatów. Wyżej znajduje się tablica z napisem erekcyjnym, który zaczyna się takim zdaniem pisanym łaciną: „Jacobus de Sobieszczyń Sobieski Castellanus Cracoviensis et Theophila a Żurów Danilowiczowa, consortes, templum hoc coenobio virginum ordinis Stae Theresae Carmelitarum a fundamentis erexerunt A. 1642”, zaś w końcowym ustępie czytamy: „Joannes vero III rex Poloniae filius perfecit et exornavit”. W tympanonie umieszczono rzeźbione w piaskowcu girlandy kwiatów i główkę anioła. Wyżej zbudowano balkon, na który wychodzi okno chóru muzycznego zdobione witrażem i flankowane pilastrami i zakończone sklepieniem konchowym. Druga kondygnacja posiada pilastry o kapitelach kompozytowych. Między nimi w niszach ustawiono kamienne figury św. Józefa i Św. Teresy z Avila. Całość flankowano potężnymi wolutami wyciągniętymi ku górze. W części centralnej tympanonu w kartuszu umieszczono herby Janina Sobieskich i Sas Daniłowiczów.

Klasztor karmelitanek bosych funkcjonował do czasu reform józefińskich. W 1774 roku znajdowało się w nim 18 zakonnic. 3.02.1782 r. nastąpiła kasata. Według rozporządzenia władz gubernialnych majątek obliczony na 75 tysięcy złotych przekazano do Galicyjskiego funduszu religijnego, zaś siostry wyjechały do Krakowa, Warszawy i Lublina. Kościół na krótko przejęli ojcowie franciszkanie, a klasztor – siostry Miłosierdzia (szarytki). Ale już za rok franciszkanów przeniesiono do dawnego kościoła kapucynów, a sióstr Miłosierdzia do dawnego klasz-

toru reformatów przekazując im również kościół św. Kazimierza. Kościół Matki Boskiej z Loreto i klasztor zamknięto i przekazano na potrzeby austriackich władz wojskowych. W tym okresie czasu zniszczono całą dekorację wewnątrz świątyni, ołtarze, organy, meblowanie i zamieniono na magazyn mundurów. Zabudowania klasztorne razem z kaplicą już w 1792 roku przekazano na rzymskokatolickie seminarium duchowne archidiecezji lwowskiej.

Na powrót kościoła trzeba było czekać aż do 1842 roku. Wtedy arcybiskup Franciszek Pisztek rozpoczął budowę nowego pałacu arcybiskupiego na Wałach Gubernatorskich obok kościoła i seminarium duchownego. Na jego prośbę gubernator arcyksiążę Ferdynand d'Esté przekazał kościół do użytku alumnów seminarium. Przeprowadzono gruntowny remont świątyni, zamówiono nowe obrazy święte. Arcybiskup F. Pisztek dokonał obrzędu rekoncylacji (przywrócenia miejscu sprofanowanemu charakteru sakralnego) świątyni. Po śmierci arcybiskupa zgodnie z testamentem pochowano go w krypcie tegoż kościoła.

W 1855 roku stan i wyposażenie kościoła opisał krajoznawca Felician Łobeski: „Wśród wysokich kilkoma pilastrami ozdobionych ścian, obciążniętych czystą lecz jednostajną, a pomroczną barwą, trzy stoły stosownie do obrządku nakryte, a na nich krzyże, lichtarze, kilka gałązek kwiatów, a nad temi w złożonych ramach zawieszono obrazy, oto cały przybór i bogactwo kościoła”. W kościele były trzy ołtarze, raczej tymczasowe. Wszystkie trzy obrazy nad nimi namalował w 1843 roku znany lwowski artysta-malarz Alojzy Rejchan. W ołtarzu głównym znajdował się obraz „Ofiarowanie Jezusa w świątyni”. Właśnie pod tym wezwaniem (inaczej Matki Boskiej Gromnicznej) poświęcono świątynię, przywracając ją do potrzeb kultu. W ołtarzach bocznych umieszczono obrazy A. Rejchana: św. Jan Kanty i św. Jan Nepomucen. Pierwszy z nich był przedstawiony w todze doktorskiej, z piórem i księgą klęczący przed obrazem. Drugi klęczał na głazie w głębokiej modlitwie przed ukrzyżowaniem Pana Jezusa. Jak pisze F. Łobeski: „Ileż w tej twarzy słodczy i rzewności, ile miłości i poddania się w tej całej nachylonej, klęczącej postaci. Dodamy tu także, że obie te twarze są czysto słowiańskie, i że twarz św. Jana Nepomucena prawie idealnej piękności. Jest też ów głęboki styl, który prawdziwym utworom sztuki właściwy i największą jest ich zaletą”.

Na ścianach kościoła zawieszono również kilka starych obrazów znacznych rozmiarów. Według tradycji były to obrazy pochodzące z czasów budowy świątyni, dary rodziny Sobieskich dla karmelitanek bosych. Jeden z nich przedstawiał Jana Chrzciciela, drugi – tegoż świętego „siedzącego z muszlą na ramieniu w gronie aniołów w obłokach”. Na trzecim przedstawiona była Świąta Rodzina ze św. Barbarą przyjmującą

pierścień od Jezusa. Wszystkie te obrazy F. Łobeski, a za nim i późniejsze autorze (np., M. Orłowicz) uważali za dzieła malarzy włoskich. W kościele znajdowały się również dwie niewielkie kopie obrazów Rafała, wykonane w 1848 roku przez kłeryka Seweryna Kossowskiego. Jedna z nich przedstawiała „Madonnę delia Sedia”, druga „Upadek Chrystusa pod krzyżem”. W literaturze wspomina się również obraz Niepokalanego Poczęcia NMP znajdujący się po prawej stronie ołtarza głównego. Mieczysław Orłowicz uważał, że „główną osobliwością kościoła był malowany na ścianie barokowy wielki ołtarz, łudząco naśladowujący rzeczywistą architekturę (wiele takich ołtarzy mamy w Pradze pędzla jezuita Kramolina)”. Olejny obraz A. Rejchana „Ofiarowanie Jezusa w świątyni” zawieszony był właśnie na tle tej malowanej architektury. Ołtarz główny posiadał również antepedium „z rzeźbą Wiercerzy Pańskiej”. Także dwa boczne ołtarze miały kompozycje iluzjonistyczne malowane na ścianach. Ale i w połowie wieku XIX i na początku XX wnętrza kościoła były dość puste i sprawiały wrażenie urządzenia dość prowizorycznego.

W XIX wieku w kryptach świątyni seminaryjnej pochowano trzech kolejnych arcybiskupów rzymskokatolickich lwowskich - Franciszka Pisztkę (zm. 01.02.1846 r.), Łukasza Baranieckiego (zm. 30.06.1858 r.) i Franciszka Ksawerego Wierzchlejskiego (zm. 17.04.1884 r.).

W końcu XIX wieku lwowska firma Jana Śliwińskiego zbudowała dla kościoła nowe niewielkie organy z jednym manuałem (klawiaturą). Na początku lat 20. XX wieku znany lwowski rzeźbiarz Piotr Wojtowicz wykonał nowy ołtarz boczny pw. Św. Józefa, ustawiony w miejscu ołtarza Św. Jana Nepomucena.

Nowy ołtarz był kopią centralnej części ołtarza pod tym samym wezwaniem, który Wojtowicz wykonał dla kościoła św. Elżbiety. Ołtarz w kościele św. Elżbiety był ustawiony w 1917 roku i od razu zwrócił uwagę lwowskiego kleru i publiczności. „Gazeta kościelna” pisała, że „pomysł artysty uderza swą świeżością i oryginalnością; w środku stoi św. Józef, pojęty bardzo pięknie i spoglądający z tkliwym uczuciem na małego Jezusa, który mu pokazuje krzyżyk własnej roboty... Rzeźba tchnie duchem Odrodzenia”. Ołtarz był zrobiony z gipsu, ale istniały nigdy nie doprowadzone do skutku plany wykonania go z białego marmuru.

Była to monumentalna czterometrowa kompozycja stylowo dopasowana do architektury świątyni. Po 1925 roku (dokładna data nie jest znana) ustawiono drugi ołtarz boczny, również dzieło Piotra Wojtowicza. Był to ołtarz pw. Matki Boskiej Opiekunki, który Wojtowicz wykonał dla kościoła św. Elżbiety. Inwentarze tego kościoła świadczą, że ołtarz z nieznanymi powodów nie był ustawiony w tej świątyni. Nie wiadomo też czy w kościele Matki Bożej Gromnicznej był ustawiony oryginalny ołtarz

Wojtowicza, pierwotnie przeznaczony dla kościoła Św. Elżbiety, czy tylko jego kopia autorska.

W latach 1929–1931 rektor seminarium duchownego bp. Franciszek Lisowski (późniejszy ordynariusz diecezji tarnowskiej) przeprowadził remont kościoła i gmachów seminarium. Najważniejszą sprawą było ozdobienie nową polichromią ścienną kaplicy seminaryjnej. Dla wykonania polichromii zaproszono popularnego artystę malarza Jana Henryka Rosena. Kaplica o wymiarach 6,5 x 15 metrów była zbudowana po południowej stronie kościoła i połączona wejściem tak z transeptem świątyni, jak i przez oratorium z korytarzem zabudowań seminaryjnych. W kaplicy zbudowano również nowy ołtarz wykonany przez „Zakład rzeźby sakralnej Jan Wojtowicz i syn” z Przemyślan, miejscowości położonej niedaleko Lwowa. Ten zakład wykonał również klęczniki, ławki, małą ambonę, konfesjonał i boazerię ścian. Polichromia ścienna autorstwa J.H. Rosena składała się z wielkiej kompozycji nad ołtarzem „Zesłanie Ducha Świętego na Apostołów” i przedstawienia siedmiu sakramentów świętych na trzech innych ścianach, mianowicie „Chrzest”, „Bierzmowanie”, „Pokuta”, „Kapłaństwo”, „Małżeństwo”, „Namaszczenie chorych”, „Eucharystia”. Obok lub pod każdą sceną umieszczono łacińskie inskrypcje. Cała przestrzeń ścian kaplicy zdobi polichromia orientalna zaczerpnięta z francuskich rękopisów średniowiecznych.

W latach 1936–1937 przeprowadzono dalszy remont pomieszczeń kościoła i seminarium duchownego. Tym razem z inicjatywy nowego rektora Eugeniusza Baziaka. Przeprowadzono odwodnienie i wzmocnienie fundamentów i na nowo otynkowano kościół na zewnątrz. Kazimierz Smuczak, pomocnik i uczeń J.H. Rosena wykonał projekt nowej polichromii świątyni. Było to dość skromne dekoracyjne ozdobienie ścian i sklepień w długie srebrne pasy w tle neutralnym utrzymanym w dwóch kolorach. Dekorację ścian wykonano w kształcie szerokich i wąskich pasów dzielących ściany na wielkie pola prostokątne, podkreślając detal architektoniczny wewnątrz świątyni, mianowicie pilastry, gzymsy, blendy, łuki i organizując tło dla ołtarzy. XIX-wieczne iluzjonistyczne tło i obrazy A. Rejchana zostały usunięte. Najważniejszym było projektowanie i ustawienie nowego ołtarza głównego, zamówionego na „Fabryce wyrobów alabastrowych i kopalni alabastru ks. Czartoryskich” w Żurawnie. Projekt wykonał główny architekt alabastrowni Józef Szostakiewicz, a wszystkie rzeźby ołtarzowe rzeźbiarka Jadwiga Horodyska. W wyniku współpracy tych utalentowanych artystów kompozycja ołtarza wyróżniała się jednolitością formy architektonicznej i plastycznej. Niewielki ołtarz główny zbudowano z białego i dekorowano wstawkami z czarnego alabastru. Mensę wykonano z czarnego alabastru, a niską predellę z białego. Pośrodku mensy umieszczono misternie wykonane wysokie taber-

nakulum w kształcie kapliczki zwieńczonej kopułą z krzyżem. Po obu stronach tabernakulum ustawiono białe alabastrowe figury aniołów adorujących. Był to typowy dla pokładów żurawieńskich tzw. żyłkowany alabaster. Ciemne nierówne pasy w masie białego materiału powodowały wrażenie klasycznych linii ciała i subtelnych twarzy aniołów. Lekka stylizacja szat i typowa dla sztuki Art-Deco forma skrzydeł dodawały figurom aniołów uroczystości i podniosłości. Przed ołtarzem ustawiono alabastrową balustradę z szarego żyłkowanego materiału. Balustrada składała się z dwóch części, z przejściem w centrum i kształtem tralek przypominała wykonaną w 1926 r. balustradę w prezbiterium kościoła Św. Marii Magdaleny.

W 1939 roku nowa władza radziecka przekazała część zabudowań seminarium rzymskokatolickiego i kaplicę z freskami Rosena lwowskiemu Instytutu Medycznemu. Kościół Matki Boskiej Gromnicznej pozostawał czynną świątynią tak podczas okupacji radzieckiej (1939–1941), jak i niemieckiej (1941–1944). Dopiero w 1946 roku po wyjeździe ze Lwowa abpa E. Baziaka kościół zamknięto. Cały zespół zabudowań seminarium wraz z kościołem przekazano do dyspozycji Armii Radzieckiej. W 1975 roku pałac arcybiskupi, kościół i gmachy seminaryjne przekazano Obwodowemu Urzędowi Jakości, Metrologii i Standartyzacji. W kościele postanowiono zorganizować stałą wystawę jakości produkcji lwowskich przedsiębiorstw, która miała demonstrować doświadczenia wprowadzenia na tych przedsiębiorstwach, tzw. „Lwowskiego systemu zarządzania jakością produkcji”. W kaplicy seminaryjnej urządzono salę konferencyjną. Z powodu takich zmian w 1976 roku odnowiono malowidła J.H. Rosena. Prace konserwatorskie prowadził zespół konserwatorów na czele z Piotrem Linińskim. Istniał nawet pomysł zamalowania części fresków, który na szczęście nie został zrealizowany. W kaplicy zniszczono ołtarz, ambonę, ławki. Została tylko boazeria. W kościele rozebrano wszystkie trzy ołtarze. Część rzeźb ołtarzowych przekazano do magazynów Lwowskiej Galerii Obrazów. Usunięto całe umeblowanie i obrazy. Część obrazów przekazano do Muzeum Historii Ateizmu i Religii. Puste pomieszczenie świątyni pomalowano w różne odcienie kolorów różowego i czerwonego. W kryptach kościoła zdewastowano i usunięto trumny pochowanych tam arcybiskupów. Natomiast zorganizowano wystawę produkcji lwowskich przedsiębiorstw i wystawiono plansze demonstrujące osiągnięcia przemysłu we Lwowie.

W niezależnej Ukrainie władza dłuższy czas nie mogła zdecydować się, co zrobić z kościołem. W latach 1991–1999 organizowano w jego pomieszczeniach różne wystawy i hurtową sprzedaż mebli. Kaplice i oratorium przeznaczono na biura firm handlowych i wystawkowych. W 1999 roku kościół przekazano kościołowi greckokatolickiemu. Z kap-

licy i oratorium wysiedlono biura, ale pomieszczenia zamknięto. W 2002 roku utworzono parafię rzymskokatolicką, której pozwolono korzystać ze świątyni na równi z grekokatolikami. W 2009 roku postanowiono przekazać kaplicę seminaryjną i oratorium katolikom obrządku łacińskiego. Z tego czasu rozpoczęto remont kaplicy, w pierwszej kolejności osuszenie fundamentów i rekonstrukcja dachów. W 2012 roku zaplanowano rozpoczęcie konserwacji polichromii J.H. Rosena. Przejście między kościołem Matki Boskiej Gromnicznej a kaplicą zamurowano. Kościół nadal pozostaje w korzystaniu dwóch parafii – rzymskiej i grekokatolickiej. Taka sytuacja utrudnia rozpoczęcie jego remontu.

Nie jest rozwiązana kwestia dekoracji i umeblowania świątyni. Znaczna część znajdującego się w niej wyposażenia ma charakter tymczasowy. W prezbiterium ustanowiono nowe tabernakulum. Przed nim zbudowano część przegrody ołtarzowej (ikonostasu) z obrazami Zbawiciela z Ewangelią i Matki Bożej z Dzieciątkiem Jezus, ale bez carskich wrót i innych obrazów kanonicznych. Na ścianie nad tabernakulum zawieszono stary obraz „Święta Rodzina”, po stronie południowej – obraz „Ofiarowanie Jezusa w świątyni”, przy wejściu do prezbiterium – litografia „Św. Arcybiskup Józef Bilczewski”. Północną część transeptu wykorzystują rzymscy katolicy. Ustawiono tam neogotycki ołtarz z obrazem Matki Boskiej i starym malowanym antepedium. Obok konfesjonał. Po drugiej stronie – rzeźba figuralna Matka Boska Królowa Niebios. Południowa część transeptu jest ozdobiona według wzorów sztuki wschodniochrześcijańskiej. Ustawiono tam wielkie malowane „Ukrzyżowanie”. Obok niego na ścianie dwa nowe obrazy świętych Cyryla i Metodego wykonane na złotym tle w tradycjach sztuki bizantyńskiej. Po lewej stronie obraz Najświętszego Serca Jezusa i litografia „Arcybiskup Andrej Szeptycki, sługa Boży”. W transepcie i nawie zawieszono około dziesięciu starych obrazów świętych wykonanych we wschodniej tradycji ze zbiorów ojców studytów. Kwestia przekazania świątyni parafii rzymskokatolickiej nie jest rozwiązana po dzień dzisiejszy. Grekokatolicy mieliby przenieść swoją parafię do kościoła św. Kazimierza, który znajduje się obok. Jednak w tym kościele grekokatolickie zgromadzenie studytów urządziło coś w rodzaju muzeum sztuki cerkiewnej. Nabożeństwa odbywają się tylko w niedziele i święta. Problem na razie jest w martwym punkcie.

Zapomniany kościół św. Wawrzyńca

Zabudowania dawnego kościoła i klasztoru ojców Bonifratrów pw. św. Wawrzyńca znajdują się przy ul. Łyczakowskiej przy skrzyżowaniu z ulicą opata Hoffmana (obecnie Czechowa). Według lwowskiego kro-



Pozostałość po Kościele św. Wawrzyńca

nikarza i burmistrza, Bartłomieja Zimorowicza, pierwsza drewniana świątynia została zbudowana w 1536 roku. Tę datę powtarzają za nim XIX-wieczni kronikarze lwowscy Ignacy Chodynicki i Dionizy Zubrzycki. Zimorowicz również podaje domniemaną historię fundacji świątyni. Według jego kroniki „...miejsce to zajmowała dawna dąbrowa, w cieniu której zamieszkiwał pewien człowiek pobożny, szukający ochrony przed złem i złymi ludźmi u św. Wawrzyńca, męczennika pieczonego na ruszcie. Nie stać go było na ogrodzenie swej skromnej posiadłości i dlatego w pniu wydrążonym dębu umieścił obraz tego świętego, co obyczajem naówczas zwykłym – wnet zasłynął cudami, zwłaszcza w czasach morowego powietrza. W umysłach dobrodusznym przedmieszczan cześć dla świętego skojarzyła się tak dalece z czcią odwiecznego dębu, że Rada miejska w obawie obrazy boskiej i dla uniknięcia pozorów pogaństwa poleciła wznieść w tym miejscu mały kościółek drewniany pod wezwaniem św. Wawrzyńca. Stało się to przypuszczalnie u schyłku XV i pocz. XVI wieku”.

W 1536 roku stanął już nowy murowany kościół okazalszy od drewnianego, poświęcony świętym męczennikom Wawrzyńcowi i Stefanowi. Świątynia znajdowała się daleko od murów obronnych miejskich przy trakcie gliniańskim. W roku 1615 w swoim opisie miasta wspomina o nim biskup Tomasz Pirawski. W 1616 roku kapelanem był ks. Wojciech Dąbrowski. Właśnie jemu doktor Erazm Sixtus, radny miejski, zapisał 300 złotych dla kościoła św. Wawrzyńca, zabezpieczonych na kamienicy Lenartowskiej przy ul. Halickiej. W połowie XVII wieku kościołem opiekowały się cechy garncarzy i powroźników, później rajcy miejscy.

W XX wieku o istnieniu dawnego kościoła św. Wawrzyńca mało kto pamiętał. Przez historyków był on zaliczony raczej do liczby już nieistniejących świątyń lwowskich, rozebranych w większości na polecenie władz austriackich po tzw. kasacie józefińskiej. Dlatego wyniki poszukiwań lwowskiego krajoznawcy Bogdana Janusza stały się prawdziwą sensacją. W 1927 roku przeprowadził on dokładne badania fundamentów, ścian i sklepień budynków szpitala wojskowego i wyróżnił wśród nich pozostałości kościoła z końca XVI wieku. On również porównał je z niewielkim rysunkiem tejże świątyni, umieszczonym w inicjale aktu fundacyjnego szpitala bonifratrów z roku 1659. Według B. Janusza była to świątynia utrzymana w stylu renesansowym, jednonawowa, o wymiarach 29 x 10 metrów, usytuowana wzdłuż ul. Gliniańskiej (Łyczakowskiej). Kruchta z chórem muzycznym została umieszczona od strony południowo-wschodniej i miała wymiary 6,5 x 6,5 metrów. Wejście do kościoła znajdowało się w bocznej południowo-zachodniej ścianie nawy i było flankowane pilastrami i figurą św. Franciszka, która oglądać można było jeszcze w początkach XX wieku. Od strony południowo-wschod-

niej korpusu znajdowała się wysoka wieża – dzwonnica. Nawa posiadała cztery okna i przypory między nimi.

B. Janusz uważał, że najbliższą analogią w architekturze lwowskiej miał być kościół benedyktynek. Rysunek z 1659 roku wskazuje jednak, że wieża z namiotowym dachem i czterema sterczynami w narożach była zbudowana nad chórem muzycznym. Takie założenie przypominało raczej strukturę XIV-wiecznego kościoła Matki Boskiej Śnieżnej, również charakterystyczne dla historii architektury lwowskiej. B. Janusz udowodnił że fundamenty i mury starego kościoła Św. Wawrzyńca istnieją do dziś, lecz zostały adaptowane i włączone do zabudowań szpitala wojskowego. Historia tego szpitala zaczyna się w 1659 roku, kiedy 19 sierpnia Jan Sobieski, chorąży koronny, pułkownik wojsk królewskich, starosta jaworowski i stryjski, postanowił dokonać we Lwowie nowej fundacji, mianowicie założyć klasztor bonifratrów i przy nim szpital wojskowy, przeznaczony dla leczenia i utrzymania rannych i chorych żołnierzy. Z Krakowa Jan Sobieski zaprosił dwóch pierwszych zakonników – ojca Melchiora Majowskiego i kapłana Grzegorza Polickiego. W taki sposób przyszedł król postanowił odznaczyć swoje trzydziestolecie (Jan Sobieski urodził się 17 sierpnia 1629 roku). 19 września 1659 roku Jan Sobieski „...osobiście jawił się na Niskim Zamku we Lwowie i tu przed urzędem i aktami grodzkimi starostwa lwowskiego” tę fundację potwierdził. 26 września tegoż roku Jan Tarnowski, arcybiskup lwowski wydał dyplom i zatwierdził fundację „...klasztoru i szpitala braci zakonu błogosławionego Jana Bożego czyli bonifratrów, zwanych dawniej pospolicie Bonifratellami... i zezwolił założyć, ufundować i uposażyć konwent, czyli klasztor i szpital świętobliwych ojców i braci zakonu błogosławionego Jana Bożego, zwanych też szpitalnikami, czyli opiekunami chorych, a to na podobieństwo innych kościołów i klasztorów jakoteż ich własnego zakonu”.

Arcybiskup postanowił kościół św. Wawrzyńca odpowiednio wyposażać, na co też dostał zgodę kapituły i magistratu lwowskiego, który odstąpił bonifratrom kościelne zabudowania wraz z gruntami, dochodami i czynszami „...i innymi przyległościami oraz przynależnościami”.

Zakon bonifratrów przybył do Polski w 1609 roku z Hiszpanii, gdzie ich nazywano szpitalnikami lub braćmi Miłosierdzia lub Braćmi Gościnnymi. Osiedlili się najpierw w Krakowie. W 1662 roku Jan Sobieski zapisał bonifratrom lwowskim 30.000 złp, zaś w 1663 roku podarował wieś Błudów nieopodal Łucka. W 1667 roku przeznaczył dodatkowo 1000 czerwonych złotych na „murowanie Bonifratellów” i pozwolił rąbać las na budowę we wsi Grzęda obok Lwowa. W 1672 roku o. Andrzej Steczkiewicz, braciszek zakonu bonifratrów zapisał zakonowi kamienicę swą przy ul. Krakowskiej i „przeznaczył ją na schronisko dla

braci w czasie napadów nieprzyjaciela”. W 1683 roku Piotr i Agnieszka Ciechanowscy sprzedali bonifratrom dwa grunty na przedmieściu lwowskim przy ul. Gliniańskiej, mianowicie tzw. „partykowski” i „grzeszczykowski”. W 1685 roku już jako król Jan III Sobieski przyznał ojcom prawo warzenia piwa, miodu i gorzałki i uwolnił ich od opłat za grunty i kamienice. W 1690 roku król własnym sumptem zbudował cegielnię w celu ukończenia budowy klasztoru i przekazał ją bonifratrom. Ze swojej strony magistrat lwowski wydał pozwolenie na przeprowadzenie z wodociągów miejskich wody do klasztoru. Ułożenie planów budowy klasztoru i szpitala król Jan III Sobieski powierzył inżynierowi wojskowemu i nadwornemu architektce Francuzowi Karolowi Benoit.

W 1688 roku zatwierdzony przez króla plan budowy wysłano do Lwowa. W ułożeniu planów udział brał również Adolf Boy, kapitan inżynier z Gdańska. Prowizorem budowy został ks. kanonik Kazimierz Humniewicz. Kamień węgielny pod budowę klasztoru wmurowano 6 kwietnia 1687 roku, jednakże prace budowlane rozpoczęto dopiero w czerwcu 1688 roku. Ozdobienie rzeźbiarskie klasztoru planowano powierzyć nadwornym rzeźbiarzom królewskim, być może Andreasowi Schluterowi. Od 1688 roku prace budowlane prowadzono w kierunku adaptacji korpusu dawnego kościoła na pomieszczenia szpitalne, w których urządzono tylko niewielką kaplicę. W 1694 roku ustawiono w niej ołtarz i ambonę. Kronika podaje, że łóżka dla szpitala zostały wykonane w 1695 roku i ten rok można uważać za rok rozpoczęcia działalności szpitala.

Od roku 1693 rozpoczęto budowę klasztoru, przylegającego pod kątem prostym do szpitala i z fasadą główną usytuowaną od strony ulicy Łyczakowskiej. Budownictwo prowadzono jednak bardzo powolnie i trzydzieści lat z dnia aktu fundacyjnego znaczna część planów nie była zrealizowana lub była „wywiedziona tylko z fundamentów”. Według rachunków ks. Humniewicza wydano ponad 100.000 złp (dokładnie 118.321 złp).

Lwowski kronikarz kanonik Tomasz Józefowicz był obecny podczas wizyty króla Jana III Sobieskiego na placu budowy w 1694 roku i opisał rozczarowanie króla, który nie „szczędził zakonnikom wymówek”. Budowa „...w robocie swej ukończoną jeszcze nie jest i nie szybko zostanie ukończona; gdy król spostrzegł jej zbytnią grubość murów i wysokość sklepień, oraz zbytne dodatki, gwałtownie obruszył się w obecności owego kanonika-architekty (ks. Humniewicza), że ten wypróżnił jego skarb królewski, a nie wybudował w całości ani kościoła, który winien był w pięknym i głównym rzędzie założyć, ani klasztoru”.

Król zauważył zbudowanie zbytńo szerokich łuków krużganków, portyków „więcej odpowiadających zbytńowi, niż skromności i ubóstwu klasztornemu”, grubych murów i wysokich sklepień. „Wspaniałość

działa” – pisał dalej T. Józefowicz – „...wbrew wyraźnej woli króla, zaszкодziła obronności miasta i przepisanej planowi budowy kościoła”. Właśnie wtedy postanowiono zakończyć budownictwo małym kosztem i jak najszybciej. Architektoniczne formy klasztoru zostały uproszczone, arkady zamurowano. Nawę główną dawnego kościoła w całej długości podzielono na dwie kondygnacji, z korytarzami po stronie lewej i pomieszczeniami dla chorych po prawej. Do każdego pomieszczenia prowadzą osobne drzwi. Kościelną wieżę rozebrano do wysokości dachu nawy. Jedynie fasada główna szpitala od strony ul. Łyczakowskiej została ozdobiona w stylu epoki. Najważniejszą jego ozdobę stanowi portal „...kuty w kamieniu o cechach wczesnobarokowych”, z herbem „Janina” fundatora Jana III Sobieskiego, flankowany pilastrami i wazonami z bukietami kwiatowymi. Herb „Janina” ozdobiono stylizowanymi liśćmi palmowymi, girlandami z owoców i roślin, zwieńczony koroną królewską. Nad nim krzyż z koroną cierniową (krzyż niestety, się nie zachował, został skuty po 2. wojnie światowej). Fasadę podzielono pilastrami, zaś na poziomie drugiego piętra na osi portalu między oknami napis „CHARITAS” w kolistym obramieniu z obłoków i uskrzydłonych główek anielskich. Kondygnacje fasady podzielono gzymsami. Nad drugim piętrzem zbudowano monumentalny szczyt złożony z czterech części. Górną część wykonano w kształcie pilastrowej aediculi. Nie wiadomo kiedy zostało zbudowane drugie skrzydło szpitalne usytuowane równoległe do pierwszego, czyli przebudowanego kościoła św. Wawrzyńca. B. Janusz według planu z 1817 roku podaje, że to skrzydło było zbudowane „...pod kątem prostym do budynku klasztorowego u samego jego końca, z lewego boku” i długością (29 metrów) dorównywało pierwszemu, było jednopiętrowe i składało się z korytarza wzdłuż całego budynku i sal szpitalnych. W taki sposób powstał wewnętrzny dziedziniec szpitalny. Dookoła kościoła i klasztoru znajdował się cmentarz. Na początku był on bardzo mały, lecz w 1685 roku król Jan III Sobieski „... w celu uzyskania dogodniejszego grobowiska polecił zamknąć ścieżkę przez grunt klasztorny wiodącą, jako mniej potrzebną, przyłączając ją do posiadłości klasztoru”.

W 1927 roku Bogdan Janusz zanotował, że „... przy pracach restauracyjnych wokół murów kościoła znajdowano mnóstwo kości ludzkich”. Braci zakonnych chowano prawdopodobnie w podziemiach kościelnych. W 1772 roku w klasztorze Bonifratrów było siedmiu zakonników, zaś w szpitalu kilkudziesięciu chorych.

Reskryptem z dnia 30 czerwca 1783 roku cesarz Józef II zarządził przekształcenie klasztoru i szpitala ojców bonifratrów na szpital wojskowy i przekazanie ojcom tzw. „Collegium Nobilium Theresianum”, późniejszego szpitala powszechnego. Postanowienie to jednak nie doszło

do skutku i 2 października 1783 roku kancelaria nadworna w Wiedniu wydała dekret o zniesieniu zakonu bonifratrów. Majątek lwowskiego klasztoru wyceniono na 13.324 floreny i przekazano do funduszu szpitala w gmachu popijarskim. Około roku 1840 wojskowe władze austriackie postanowiły rozbudować gmachy dawnego klasztoru i szpitala wzdłuż ulicy Łyczakowskiej, „...przez co powstała 130-metrowej długości fasada prostolinijna ciągnąca się od strony wielkiego dziedzińca dzisiejszego z piękną aleją kasztanową”. Prawe skrzydło szpitala zakończono attyką schodkową naśladowującą kształty attyki fasady głównej dawnego klasztoru. W 1890 roku dobudowano drugie piętro do zabudowań szpitalnych. W tymże roku na terenie szpitala zbudowano w formach renesansowo-barokowych osobny pawilon izolacyjny. Jego ryzalit zwieńczono szczytem naśladowującym w ogólnym zarysie szczyt klasztoru Bonifratrów od ul. Łyczakowskiej, ale „utrzymany w formach znacznie bardziej dekoracyjnych”. Na szczycie znajduje się data budowy – 1890 rok. W 1892 roku wybudowano ozdobny dwupiętrowy magazyn przyborów dla połowych zakładów sanitarnych. Od połowy XIX wieku na terenie szpitala garnizonowego działała apteka (c.k. połowa apteka nr 14). Wojskowy szpital garnizonowy działał w zabudowaniach dawnego klasztoru i kościoła św. Wawrzyńca za czasów austriackich, jak również niepodległej Polski. Tę samą funkcję, bez wielkich zmian, zabudowania pełniły w czasach radzieckich do połowy lat 70. XX wieku. Wówczas w głębi parceli za starą zabudową historyczną zbudowano nowoczesny wielopiętrowy gmach szpitalny, z wejściem głównym od ul. Akademika Krawczuka (dawna ul. Bonifratrów). Zabytkowe zabudowania dawnego szpitala, klasztoru i kościoła wykorzystywane są jako pomieszczenia magazynowe. Znajdują się one w stanie głębokiego zaniedbania i potrzebują pilnego remontu.

Andrzej Otko

RENOWACJE OBRAZÓW W KOŚCIELE ŚW. ANTONIEGO

Przypomnijmy podstawowe wiadomości o historii oraz osobliwościach tego kościoła.

Drewniany kościółek franciszkanów p.w. św. Antoniego istniał w tym miejscu już od roku 1617. W 1669 r. książę Konstanty Krzysztof Wiśniowiecki ufundował murowaną świątynię, która jednak pozostała nieukończona i dopiero w 1718 r. budowa została wznowiona według nowego projektu (badacz sztuki lwowskiej T. Mańkowski sądzi, że autorem planów mógł być krakowski architekt z rodziny Fontanów). Kościół poświęcono w 1739 r.

Współczesny wygląd budowli pochodzi z roku 1765, kiedy arch. F. Kulczycki wybudował fronton, który ostatecznie nadał fasadzie barokowe formy. Na skutek reform Józefińskich w 1785 r. franciszkanie objęli kościół i klasztor przy ul. Franciszkańskiej 1 (obecnie ul. Korolenki), wzniesiony w 1708 r. z fundacji Zofii Sieniawskiej dla zakonu oo. Kapucynów, a kościół św. Antoniego został parafialną świątynią Łyczakowa. W 1818 r. przed kościołem powstała murowana dzwonnica (arch. Józef Marki). U dołu, przy schodach prowadzących do świątyni, ustawiona jest figura NMP Niepokalanie Poczętej (zwana także „tańczącą Madonną”) – charakterystyczne dzieło lwowskiego baroku, dłuta Fabiana Fesingera (ok. 1755, odnowiona w 1901 r., uszkodzona w latach 60. XX w.). Temu też rzeźbiarzowi przypisywany jest posąg św. Antoniego (odnowiony w 1894 r.), stojący na dziedzińcu między kościołem a dzwonnica. Wnętrze kościoła zdobią malowidła ściennie pędzla T. Pelczarskiego z roku 1893 (uzupełnione w pocz. XX w.), przedstawiające postacie czterech Ewangelistów oraz liczne sceny z życia Jezusa i świętych. W nawie głównej znajdują się trzy późnobarokowe ołtarze (ok. 1740 r., uzupełniane w XIX w.), z drewnianymi polichromowanymi rzeźbami świętych i aniołów i ambona, o bogatym złożonym wystroju snycerskim.

Pełne wyrazu rokokowe figury pod tęczą przy bocznych ołtarzach – „Król Dawid” i „Św. Hieronim” są dziełem znanego rzeźbiarza Sebastiana Fesingera. W głównym ołtarzu znajduje się okazały obraz „Św. Antoni Pustelnik i św. Antoni Padewski”. W prezbiterium po lewej stronie znajduje się piękne marmurowe epitafium dobroczyńcy kościoła Edwarda hr. Dunin-Borkowskiego (1812–1859) dłuta Tadeusza Wiśniowieckiego.

Interesujące są dwie kaplice (same kaplice dobudowano w 1902 i 1904 r., lecz barokowe ołtarze w nich pochodzą z poł. XIX w. – pierwotnie stanowiły one boczne ołtarze w nawie, skąd zostały przeniesione do kaplic). Po lewej (zachodniej) stronie nawy znajduje się kaplica Chrystusa Ukrzyżowanego z barokowym krucyfiksem z 1739 r. i grołą Grobu Bożego z figurą Chrystusa w mensie (pocz. XX w.), w zwieńczeniu ołtarza znajduje się obraz „Trójca Święta” pędzla Jana Piotra Łuczyńskiego (poł. XIX w.). Okna kaplicy zdobią witraże „Złożenie do grobu” (z pocz. XX w.) i współczesny „Modlitwa w Ogroju”. Po prawej (wschodniej) stronie – kaplica św. Józefa i św. Barbary z wymiennymi obrazami patronów w głównym ołtarzu, w którego zwieńczeniu znajduje się obraz św. Agnieszki (wszystkie trzy obrazy o dużej wartości artystycznej pochodzą z poł. XIX w.). W kaplicy jest także przy bocznej ścianie ołtarz św. Teresy od Dzieciątka Jezus z obrazem „Święta Teresa nad Łyczakowem” (1933 r.). Okna kaplicy posiadają dekoracyjne witraże z łacińskimi wezwaniami litanii Loretańskiej, wykonane staraniem ks. Kazimierza Mączyńskiego w latach 80. XX w. Jemu zawdzięczamy również obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w pięknej ramie, ustawiony na mensie. Obraz ten zastąpił dawny (z 1915 r.) oledruk w 1982 r., kiedy w kościelnym składziku odnaleziono uszkodzoną barokową ramę. Wtedy artysta plastyk Walery Bortiakow namalował nowy obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, starannie dopasowany do odrestaurowanej i pozłoconej ramy, a sam wizerunek pokryto sukienką ze złocistej folii.

W nawie i prezbiterium kościoła znajduje się kilkadziesiąt obrazów, tworzących pewną całość hagiograficzną, w większości pochodzą one z XVIII–XX w., część z nich jest pędzla Jana Łuczyńskiego (poł. XIX w.). Dwa duże obrazy świętych franciszkańskich „Św. Bonawentura” i „Św. Ludwik Andegaweński” malował Teofil Kopystyński (1870). Nadzwyczaj cenny jest obraz na desce „Św. Anna Samotrzc”, malowany przez nieznanego mistrza cechowego ok. 1520 r., przechowywany w zakrystii. Dwa owalne portrety sarmackie z końca XVII w. znajdujące się w kaplicy Chrystusa Ukrzyżowanego przedstawiają dobroczyńców kościoła – księcia Konstantego Krzysztofa Wiśniowieckiego (zm. 1686) i jego żonę Annę.

Kościół szczęśliwie przetrwał trudne czasy wojny i okupacji oraz okres władzy radzieckiej dzięki staraniom wspólnoty wiernych i ofiarnej

pracy kapłanów w ówczesnych trudnych warunkach. Dla zachowania parafii Św. Antoniego oraz zabytkowej budowli świątyni wraz z zebranymi w niej dziełami sztuki nieocenione są zasługi ks. Kazimierza Mączyńskiego, proboszcza łyczakowskiego kościoła w latach 1969–1991.

W 1991 roku kościół na powrót objęli Franciszkanie OFM Conv., a w 1995 roku uzyskał on wysoki status Sanktuarium Św. Antoniego z Padwy, z czym wiąże się, w szczególności, przywilej posiadania relikwii Świętego. Sanktuarium obecnie cieszy się stale rosnącą popularnością u licznych czcicieli Św. Antoniego Padewskiego – Świętego całego świata, wśród mieszkańców Lwowa różnych wyznań chrześcijańskich i niezależnie od narodowości, zwłaszcza w środowiskach młodzieży. Dynamicznie rozwija się także życie wspólnoty parafialnej, łączącej wiernych wyznania rzymskokatolickiego używających trzech języków – polskiego, ukraińskiego i rosyjskiego.

Należy podkreślić, że od pierwszych lat XXI w. Sanktuarium św. Antoniego z Padwy stało się dla Lwowa ważnym ośrodkiem zachowania pamięci narodowej. Umieszczono tu szereg tablic upamiętniających zasłużonych duchownych i wybitnych obywateli. Z inicjatywy ks. prof. dra hab. Józefa Wołczańskiego, historyka Kościoła na Ukrainie, w roku 2004 w przedświątyni powstała monumentalna tablica poświęcona „Pamięci duszpasterzy Kościoła rzymskokatolickiego związanych ze Lwowem po II wojnie światowej”, w której są wyszczególnione nazwiska i daty życia dwóch biskupów i czternastu kapłanów. W nawie kościoła znajduje się tablica ku czci wielkiego poety Zbigniewa Herberta (1924–1998), urodzonego na Łyczakowie i ochrzczonego w kościele św. Antoniego 26 grudnia 1924 r. Tablica została umieszczona tu w roku 2002 podczas obchodów (wspólnie z władzami miasta) „Dni Herberta” – symbolicznego powrotu poety do Lwowa. W nawie znajdują się również tablice upamiętniające ks. Kazimierza Mączyńskiego (1928–1996), franciszkanina o. bpa Rafała Władysława Kiernickiego (1912–1955) oraz Józefa Bobrowskiego (1927–1995), inicjatora odbudowy cmentarza Orląt Lwowskich.

W ciągu ostatnich kilkunastu lat w świątyni stale prowadzone są prace remontowe i renowacyjne oraz trwa, praktycznie bez dłuższych przerw, konserwacja należących do jej wyposażenia zabytków sztuki sakralnej. W 1996 roku, z inicjatywy proboszcza o. Władysława Lizuna, siłami specjalistów-konserwatorów z lwowskich muzeów, przeprowadzono renowację kilkunastu obrazów zdobiących nawę główną i obrazu Św. Józefa w ołtarzu wschodniej kaplicy. W latach 2000–2001 dokonano konserwacji unikatowego obrazu w głównym ołtarzu, przedstawiającego świętych Antoniego Pustelnika i Antoniego Padewskiego.

W 2011 roku, z inicjatywy proboszcza o. W. Lizuna, przez absolwentki Wydziału Restauratorskiego Lwowskiej Akademii Sztuk Pięknych Milenę Suwalską i Beatę Rdzak została przeprowadzona inwentaryzacja dzieł sztuki, znajdujących się w Sanktuarium św. Antoniego Padewskiego, która wykazała, że Sanktuarium posiada 50 obrazów i 17 rzeźb, pochodzących z XVI–XX w., nie licząc stacji drogi krzyżowej, elementów wystroju wnętrza i wyposażenia świątyni. Absolwentki dokonały także renowacji pięknego obrazu „Najświętszej Marii Panny Niepokalanie Poczętej” (namalowanego według Murilla przez ks. Bryczkowskiego w 1900 r.).

Doprowadzenie do należytego stanu licznych dzieł sztuki oraz wystroju wnętrza lwowskiego Sanktuarium wymaga jednak dalszych prac prowadzonych przez konserwatorów specjalistów. Gospodarze kościoła – oo. Franciszkanie – obecnie nie mają możliwości podjęcia związanych z tym znacznych wydatków, ponieważ konieczne jest dokonanie w zespole Sanktuarium szeregu pilnych prac (w tym remontu organów) i wielu renowacji o charakterze budowlanym.

W tej sytuacji, szereg nieodzownych prac konserwatorskich dotyczących dzieł sztuki sakralnej przeprowadzono z inicjatywy parafian, wyłącznie z ich środków prywatnych oraz dzięki darczyńcom, w większości sympatykom Lwowa z Rzeczypospolitej.

Swoistą wizytówkę lwowskiego sanktuarium świętego Antoniego Padewskiego stanowi okazały obraz w głównym ołtarzu. Naturalnej wielkości postaci dwóch świętych – Antoniego Padewskiego i Antoniego Pustelnika przybrane w srebrzyste, ozdobione złoceniami sukienki, jaśniejące na tle ciemniejszej malarskiej warstwy obrazu, wkomponowane w łukowy prześwit ramy ołtarza, doskonale harmonizują z barokowym wystrojem świątyni. Dla wielu pokoleń parafian i sympatyków łyżczakowskiego kościoła ten piękny obraz jest najbardziej charakterystycznym elementem jego wnętrza.

Już, ponad 150 lat temu, Felicyan Łobeski, miłośnik lwowskiej sztuki sakralnej, pisał o nim w „Gazecie Lwowskiej”: *Wielki ołtarz mieści w sobie obraz przedstawiający św. Antoniego Padewskiego z Chrystusem na rękę, oraz św. Antoniego opata, poważnego starca, z księgą w jednej, a dzwonkiem i laską pielgrzymią w drugiej ręce; dwie w ciemnym kolorycie i ostremi kształty odwzorowane postacie, zabytek widocznie bardzo dawny, a obyczajem ówczesnym na wół blachami pokryty. Zawieszane nad obrazem wota świadczą o cudowności mieszczącego się w nim wizerunku. Wiele do tej wypowiedzi trafiło niedokładności i pomyłek, ale szczerą prawdą jest konkluzja szacownego autora o cudowności mieszczącego się w nim wizerunku – jakby intuicyjnie przeczuł on bogatą treść pierwotnego obrazu, niewidzialnego pod srebrzystymi*

sukienkami, ciemną patyną czasu i częściowo zasłoniętego przez wysokie tabernakulum.

Odkrycie prawdziwej istoty głównego obrazu naszego kościoła stało się świetnym przykładem wielkiego znaczenia, jakie ma należyta opieka nad obiektami sztuki sakralnej dla pełnego zrozumienia ich sensu i wartości. Dzięki pracom konserwatorsko-restauratorskim, przeprowadzonym z inicjatywy ówczesnego proboszcza o. Władysława Lizuna w latach 2000–2001 przez Marię Banasz (z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie) przy finansowym wsparciu. Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, otrzymaliśmy niepowtarzalną okazję dokładnego poznania szacownego zabytku. Okazało się, że jest to niezwykle dzieło lwowskiego malarstwa sakralnego XVII–XVIII w., zawierające bogatą treść i ważne moralne przesłanie.

W sytuacji, kiedy obraz ozdobiony-zakryty sukienkami i stale umieszczony w ołtarzu pozostaje praktycznie poza zasięgiem bezpośredniej percepcji, jego obiektywny i szczegółowy opis nabiera wyjątkowego znaczenia, jako wyłączone dostępne dziś źródło informacji. Zupełny brak materiałów archiwalnych, dotyczących koncepcji obrazu oraz historii jego powstania, pozostawia nam tylko jedną możliwość – przeprowadzenia jego ikonograficznej interpretacji na podstawie dokładnej analizy pierwotnego malarskiego wizerunku (odkrytego w rezultacie prac konserwatorskich) przy uwzględnieniu danych hagiograficznych oraz tradycji kultu świętych Antoniego Pustelnika i Antoniego Padewskiego.

Wiadomości dotyczące obrazu (oparte, przede wszystkim, na sprawozdaniu o pracach konserwatorskich przedstawionym przez M. Banasz) oraz wyniki własnych rozważań nad jego treścią i koncepcją ideową przedstawione są poniżej w formie krótkich, możliwie konkretnych rozdziałów, prowadzących do proponowanej w podsumowaniu interpretacji.

Obraz w głównym ołtarzu jako obiekt prac konserwatorskich

Przede wszystkim, należy przytoczyć podstawowe dane formalne, identyfikujące zabytek, jako dzieło sztuki sakralnej i przedmiot prac konserwatorskich:

- Obraz ołtarzowy przedstawiający „Św. Antoniego Padewskiego i św. Antoniego Pustelnika”.
- Autor: nieznan.
- Czas powstania: XVII–XVIII w.
- Wymiary: 143 cm x 225 cm
- Technika wykonania: obraz olejny na płótnie, ozdobiony sukienkami z lipowego drewna, srebrzonymi i złożonymi.

Płócienna osnowa obrazu składa się z 4 części: 3 oryginalnych, zszytych w poprzek obrazu, i górnej półkolistej, historycznie późniejszej.



Ołtarz główny w kościele św. Antoniego

Obraz jest nabity na drewniane podobrazie, do którego od lica przybito drewniane sukienki i ozdoby: kwiat lilii i aureole (ostatnie częściowo wykonane z tektury).

Obraz został bardzo znacząco przemalowany, conajmniej dwukrotnie w XVIII i XIX w. kilkakrotnie był poddawany zabiegom renowacyjnym, retuszom i lokalnym przemalowaniom, jak również „odświeżaniu”, poprzez oczyszczanie i nakładanie nowych warstw werniksów, które z czasem pociemniały i pożółkły. Sukienki świętych i ich atrybuty także poddawano zabiegom renowacyjnym: były one srebrzone na poler, a partie, pierwotnie złożone, zostały przemalowane brązem. Odwrocie obrazu było wzmacniane podklejanymi kawałkami drewna.

Ogólny stan zachowania obrazu w czasie rozpoczęcia prac konserwatorskich w 2000 r. był zły. Płótno oryginału o osłabionej strukturze, nieelastyczne, wykazywało tendencje do łamania się i kruszenia. Obraz był bardzo pofałdowany i pozagniatany. Na znacznych fragmentach obrazu wystąpiły zmatowienia i zabielenia, na skutek rozkładu werniksu i spoiwa warstwy malarskiej pod wpływem wilgoci. Na odwrocie obrazu była gruba warstwa kleju. Deski podobrazia, do którego przyklejone było płótno, zostały całkowicie zniszczone przez owady (szkodniki drewna), miały strukturę gąbki.

Sukienki zachowały się w złym stanie, około 80% powierzchni srebrzonej i złożonej miało bardzo słabą przyczepność do podłoża i liczne pęcherze. Uszkodzenia te powstały na skutek zainstalowania w kościele centralnego ogrzewania i wysuszenia powietrza, co powodowało kurczenie się drewna. Drewno sukienek okazało się częściowo zaatakowane przez korniki i pleśnie. W wielu miejscach sukienki i atrybuty były popękane, miały ślady po poprzednich naprawach (doklejano złamane elementy, wzmacniając je od tyłu kawałkami płótna lub drewna).

Z konieczności, rzetelna konserwacja obrazu była nader pracochłonna i długotrwała (dokładny jej opis zawiera Dokumentacja przebiegu prac konserwatorskich przy obrazie „Św. Antoniego Padewskiego i św. Antoniego Pustelnika” przedstawiona przez Marię Banasz, znajdująca się w archiwum Sanktuarium św. Antoniego Padewskiego).

Dla rozpoznania treści i artystycznych osobliwości pierwotnego obrazu w wyniku prac konserwatorskich największe znaczenie miało usunięcie późniejszych przemalowań oraz przywrócenie autentycznej kolorystyki i walorów pierwotnej warstwy malarskiej, dzięki zdjęciu zmatowiałych i poczerniałych werniksów.

Fundusze dla prowadzenia prac konserwatorskich podejmowanych z inicjatywy parafian pochodziły z dobrowolnych datków, ofiarowywanych przez liczne osoby prywatne - zarówno mieszkańców Lwowa jak i obywateli Rzeczypospolitej Polskiej, poczuwających się do więzi z dzie-



Obraz św. Antoniego Padewskiego i Antoniego Pustelnika (po konserwacji)

dzictwem kultury dawnych Kresów. W jednym przypadku sponsorem prac było Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Krakowie. Z apelami o wsparcie prac zwracano się do potencjalnych darczyńców przy okazji spotkań osobistych, a także korespondencyjnie. Należy podkreślić, że starania parafian o przeprowadzenie prac nad renowacją zabytków sztuki w sanktuarium Św. Antoniego Padewskiego zawsze spotykały się ze zrozumieniem i wydatną pomocą ze strony gospodarzy sanktuarium oo. Franciszkanów, w szczególności kolejnych Ojców proboszczów: Władysława Lizuna, Krzysztofa Koziola, Aleksandra Litwiniuka i ponownie Władysława Lizuna.

Gromadzenie środków i wydatkowanie ich w trakcie prac znajdowało się pod kontrolą aktualnego proboszcza. Wszyscy darczyńcy otrzymali osobiste podziękowania na piśmie, z wyszczególnieniem sumy ofiary i jej przeznaczenia, podpisem proboszcza i pieczętą parafialną.

Odpowiedzialnym wykonawcą prac był lwowski konserwator Wadim Wołkow, długoletni pracownik Muzeum Narodowego we Lwowie, posiadający bogate doświadczenie w zakresie renowacji zabytków sztuki sakralnej.

W trakcie prac konserwatorskich była prowadzona ich dokumentacja fotograficzna.

Renowacja obrazów w ołtarzach bocznych i kaplicach

Pierwsza poważniejsza praca konserwatorska, przeprowadzona w Sanktuarium Św. Antoniego Padewskiego z inicjatywy parafian, miała miejsce w 2005 roku i dotyczyła obrazu w bocznym ołtarzu św. Teresy od Dzieciątka Jezus w prawej kaplicy Św. Józefa / Św. Barbary.

Okazały obraz w tym ołtarzu wyróżnia się niezwykle ikonograficznym ujęciem, świadczącym o pełnym miłości stosunku fundatora do rodzinnego miasta, swojej dzielnicy i parafii. Święta Teresa przedstawiona jest w „otwartym niebie” nad Łyczakowem i kościołem Św. Antoniego z ogólnym widokiem Lwowa w tle. Obraz ma sygnaturę: *Wanda Kiszakiewicz 1933*.

Faktycznie do tej sygnatury sprowadza się obecnie cała nasza wiedza o tym oryginalnym zabytku sztuki sakralnej. Byłoby nader pożądane pozyskanie wiadomości o fundatorach i okolicznościach powstania ołtarza oraz genezie idei tego niepowszedniego obrazu, mającego wiele swoistego uroku, szczególnie dla lwowian. Niestety, w dostępnych źródłach nie udało się znaleźć żadnej konkretnej informacji na ten temat, chociaż ufundowanie i wykonanie tego ołtarza nie mogło być sprawą błahą. Został on ze znanstwem stylu i wyczuciem miary wkomponowany we wnętrze neobarokowej kaplicy Św. Barbary, gdzie zajmu-

je całą północną ścianę. Dzieło potraktowano „systemowo”: jednolicie zaprojektowano ozdobną barokową ramę obrazu, mensę ołtarza, szafki na wota, boazerię pokrywającą ścianę. Można przypuszczać, że tak poważna – i na pewno kosztowna – inwestycja z udziałem dobrego projektanta, snycerza i artysty malarza, nie mogła nie pozostawić śladu w archiwach kościelnych lub wspomnieniach parafian i z czasem uda się odnaleźć odpowiednie wiadomości.

Duży obraz ołtarzowy (olej na płótnie, 130 x 250 cm, u góry zakończony półkoliście) zachował się w dobrym stanie, bez uszkodzeń osnowy i warstwy malarskiej. Główny problem polegał na tym, że obraz był nadzwyczaj silnie zabrudzony. Miał ogólnie szary odcień, w jasnych partiach kolory były słabo rozpoznawalne. W wielu miejscach widoczne były brudne zacieki. Przedstawiona na kartuszu w rękach aniołka wypowiedź Świętej (*Pragnieniem mojem będzie w niebie czynić dobrze na ziemi.*) była prawie nieczytelna. Obrazu przypuszczalnie nigdy nie poddawano konserwacji. Wyjątkowo silne zanieczyszczenie, prawdopodobnie, można objaśnić matową fakturą warstwy malarskiej. Po oczyszczeniu i pokryciu odpowiednim werniksem obraz okazał całą gamę jasnych i ciepłych odcieni, szczególnie w partii górnej, „niebiańskiej”. Dolna część – „ziemska” utrzymana jest w tonach chłodnej szarości.

Po prawej stronie u dołu wyróżnia się nadzwyczaj szczegółowym przedstawieniem architektoniczny zespół kościoła św. Antoniego, oglądany jakby z lotu ptaka. Natomiast pobliskie budowle, a zwłaszcza ogólny widok Lwowa w tle, potraktowane zostały schematycznie i umownie: sylwetki wzgórz Wysokiego Zamku oraz wzajemne rozmieszczenie charakterystycznych wież naszego miasta nie zgadzają się z punktem widzenia przyjętym dla ukazania budowli kościoła.

Na ścianie z ołtarzem św. Teresy, po lewej stronie u dołu (na boazerii), została umieszczona metalowa plakietka z następującym napisem: *Renowacja obrazu ołtarzowego „Święta Teresa od Dzieciątka Jezus nad Łyczakowem” (Wanda Kiszakiewicz, 1933. Olej, płótno) dokonana została w maju R.P. 2005 przez konserwatora Wadima Wołkowa, dzięki ofiarności członków Krakowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz parafian Sanktuarium iw. Antoniego Padewskiego we Lwowie. /Franciszkanie*

W 2006 roku dokonano oczyszczenia i konserwacji trzech cennych obrazów: dwóch w zwieńczeniu bocznych ołtarzy w nawie głównej, przedstawiających „Św. Mikołaja” i „Św. Wojciecha” (z końca XVIII w.) oraz obrazu „Trójca Święta” (z poł. XIX w.), znajdującego się w kaplicy Jezusa Ukrzyżowanego. Prace te zostały zrealizowane dzięki ofiarności rodowitego lwowianina Jana Ziembickiego, dziś mieszkańca Wrocławia.



Obraz św. Teresy z widokiem Lwowa

Obrazy „Św. Mikołaj” i „Św. Wojciech” (owalnej formy, o wymiarach 60 x 80 cm, olej na płótnie) umieszczone w zwieńczeniu bocznych ołtarzy w nawie głównej kościoła tworzą parę. Malowane przez Jakuba Adamowskiego w 1795 r. (oba posiadają na odwrocie wyraźną sygnaturę z datą), odznaczają się dobrym poziomem wykonania, żywym i bogatym kolorytem. Harmonijnie łączą się one z neobarokową nastawą ołtarzy, stanowią charakterystyczny i piękny akcent wystroju wnętrza kościoła.

Prawdopodobnie obrazy nie przechodziły wcześniej gruntownej konserwacji. Dość znacznie ucierpiały one od wilgoci (do lat 70. XX w. kościół nie był opalany), blejtramy były spróchniałe i silnie zżarte przez korniki, powierzchnia płótna pokryta grubą warstwą brudu, a warstwa malarska wykazywała liczne złuszczenia. Obecna renowacja, rozpoczęta 19 września i ukończona 28 października 2006 roku, jak się wydaje, została dokonana w „krytycznym momencie” – za 10–15 lat stan obrazów mógłby pogorszyć się nieodwracalnie.

Postacie świętych są starannie wkomponowane w owalną przestrzeń ram. Twarze biskupów nie mają cech indywidualnych, podobne są ich szaty i elementy ubioru (nawet ich rękawiczki są takie same). Identyfikację świętych postaci zapewniają ich tradycyjne atrybuty.

W przypadku św. Mikołaja (nad ołtarzem Najświętszego Serca Jezusowego po lewej stronie nawy), są to trzy złote kule leżące na księdze. Legenda głosi, że św. Mikołaj, w IV w. arcybiskup miasta Myru w Licji, podrzucił te złote kule, wzięte ze swego skarbcza, biednemu rzemieślnikowi – ojcowi trzech córek, który nie będąc w stanie utrzymać rodziny chciał sprzedać dziewczęta do domu rozpusty; dzięki darowi św. Mikołaja córki jego otrzymały dobre wychowanie i wyszły za mąż.

Święty Wojciech (Adalbert), biskup Pragi oraz misjonarz, na obrazie (umieszczonym nad ołtarzem Najświętszej Maryi Panny po prawej stronie nawy), przedstawiony jest z włócznią -narzędziem męczeńskiej śmierci, zadanej mu w 997 r. przez pogańskich Prusów nad Bałtykiem, których nawracać popłynął łodzią, o czym przypomina wiosło, widoczne w tle obok pastorału.

Obraz „Trójca Święta” (o wymiarach 100 x 126 cm, olej na płótnie) umieszczony jest w zwieńczeniu ołtarza kaplicy Jezusa Ukrzyżowanego. Obraz nie posiada sygnatury. Według danych historycznych namalował go Jan Piotr Łuczyński ok. poł. XIX w. W momencie rozpoczęcia prac konserwatorskich, ogólnie biorąc, stan zachowania obrazu był stosunkowo lepszy niż opisanych powyżej, obrazów św. Mikołaja i św. Wojciecha. Pociemnienie i duża ilość plam na obrazie były skutkiem niskiej jakości dawnego werniksu.

Tematycznie oraz stylowo obraz stanowi integralną część neobarokowego ołtarza. Od strony kunsztu malarskiego dzieło to najlepiej

określić można jako delikatne i wykwintne. Odpowiada temu laserunkowy sposób nakładania farb, zwłaszcza w jasnych partiach. Miękki rysunek, staranny dobór kolorów, subtelnie stonowane odcienie i światłocien tworzą nastrój pokoju i harmonii a jednocześnie wywołują podniosłe wrażenie.

Kompozycja obrazu jest tradycyjna: Bóg Ojciec, z Chrystusem po prawicy, tronuje zasiadając na symbolizującej Kosmos i Czas kuli, która wyłania się z otaczających ciemności (chaosu). Nad dwoma Boskimi Osobami unosi się Duch Święty w postaci białej gołębiczy, która stanowi jedyne w obrazie źródło światła, co ma oczywiste znaczenie symboliczne.

W kompozycyjnym ujęciu obrazu J. Łuczyńskiego można się dopatrywać pewnej analogii z „Trójcą Świętą” Ignacego Unterbergera (1742–1797), znanego austriackiego malarza, reprezentanta klasycyzmu. Obraz ten, wraz ze stanowiącym do niego parę obrazem „Matka Boska z Dzieciątkiem, św. Augustynem i św. Janem Nepomucenem” (oba z drugiej poł. XVIII w.), należał dawniej do prywatnej kolekcji hr. Siemieńskich-Potockich, rozmieszczonej w ich rodzinnym pałacu przy ul. Piekarskiej 19 we Lwowie, a obecnie znajduje się w zbiorach Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki. W porównaniu z dziełem Ignacego Unterbergera, obraz Jana P. Łuczyńskiego odznacza się artystycznym umiarem i klarowną prostotą – malarz zrezygnował z patetycznych postaci aniołów, zapełniających przestrzeń obrazu I. Unterbergera.

W ramach konwencjonalnej kompozycji lwowski artysta ukazał bogatą treść teologiczną. Antropomorficznym Osobom Trójcy świętej nadał on wyraziste cechy charakterologiczne. Chrystus z krzyżem – znakiem odkupienia ludzi i zbawienia świata, w lewej ręce trzymający miecz i żagiew, reprezentuje Boską moc radykalnie przemieniającą ziemię i całe nasze życie. Mówi o tym Pismo święte: *Nie sądzcie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz. Bo przyszedłem poróżnić syna z jego ojcem, córkę z matką, synową z teściową; i będą nieprzyjaciółmi człowieka jego domownicy. Kto miłuje ojca lub matkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien. I kto miłuje syna lub córkę bardziej niż mnie, nie jest Mnie godzien. Kto nie bierze swego krzyża, a idzie za Mną, nie jest mnie godzien. Kto chce znaleźć swe życie, straci je, a kto straci swe życie z Mego powodu, znajdzie je.* (Mt 10 34-39; komentarz w Biblii Tysiąclecia, s. 1135, tłumaczy tę wypowiedź następująco: *Jezus jest „znakiem sprzeciwu” i powodem rozłąki przez to, że wymaga stanowczo wyboru za sobą lub przeciw sobie).* I jeszcze: *Przyszedłem ogień rzucić na ziemię i jakże bardzo pragnę, żeby on już zapłonął! Chrzest mam przyjąć i jakiej doznaję udręki, aż się to stanie. Czy myślicie, że przyszedłem dać ziemi pokój? Nie, powiadam wam, lecz rozłam.* (Mt 10 34-39; komentarz w Biblii

Tysiąclecia, s. 1198: *Ogień, który oczyści i zapali serca, a który zapłonie na krzyżu.*).

Postać Boga Ojca wydaje się tworzyć pewien kontrast z postacią Chrystusa. Łagodny, dobrotliwy wyraz boskiego oblicza, gest pozdrowienia (błogosławieństwa?) skierowany na zewnątrz, przypomina o miłości Stwórcy do swego dzieła: *A Bóg widział, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre* (Rdz 1 31). U wiernych obraz wywołuje uczucie ufności i chęć oddania się Bogu w opiekę. Być może, jest to wrażenie subiektywne, ale wydaje się, że Bóg Ojciec, przedstawiony przez Jana Łuczyńskiego, lekko dotyka prawą dłonią miecza i ognia w rękę Chrystusa, jakby chciał nieco złagodzić ostre wymagania Syna, wyrażone przez te symbole.

Po ukończeniu prac konserwatorskich, po prawej stronie nastawy ołtarza Najświętszego Serca Jezusowego umieszczono pamiątkową metalową plakietkę z napisem: *Renowacja obrazów „Św. Mikołaj” i „Św. Wojciech” (mal. Jakub Adamowski, 1795 r.) w zwieńczeniu ołtarza Najświętszego Serca Jezusowego i Najświętszej Marii Panny oraz „Trójca Święta” (mal. Jan Łuczyński, poł. XIX w.) w zwieńczeniu ołtarza w kaplicy Jezusa Ukrzyżowanego dokonana została sumptem Jana Ziembickiego przez konserwatora Wadima Wołkowa w Roku Pańskim 2006. / Franciszkanie.*

W centralnym ołtarzu prawej kaplicy znajdują się dwa obrazy wymienne: w głębi „Św. Barbara” (zamontowany nieruchomo), przed nim obraz „Św. Józef” (wysuwany). Oba obrazy, o dużej wartości artystycznej, niesygnowane, pochodzą prawdopodobnie z połowy XIX w. Obraz św. Józefa był odnowiony wcześniej, w trakcie remontu kościoła i prac konserwatorskich prowadzonych przez o. proboszcza Władysława Lizuna w 1996 r.

Obraz św. Barbary (olej na płótnie, 97 x 174 cm) został poddany renowacji w roku 2008 z inicjatywy parafian, za środki pochodzące od prywatnych darczyńców.

Przed rozpoczęciem prac konserwatorskich obraz był pociemniały do tego stopnia, że poza ogólnymi zarysami postaci świętej treść malowidła była prawie nierozpoznawalna. Płótno było pofałdowane, powierzchnia obrazu i warstwa malarska posiadała pęknięcia i złuszczenia.

Po renowacji, dokonanej przez W. Wołkova, obraz ukazał się w całej swej świetności. Bez wątplenia, obecnie jest jednym z najpiękniejszych w ołtarzach naszego kościoła.

Przede wszystkim, zachwyca ukazana na pierwszym planie postać świętej dziewicy o wielkiej piękności, potraktowana w najlepszych tradycjach malarstwa akademickiego. Widać, że artysta przedstawiał swą bohaterkę z osobliwą sympatią, starał się podkreślić jej urodę wszelki-



Obraz św. Barbary

mi sposobami. Namalował rysy jej twarzy, szczegóły drogocennych ozdób bogatego ubioru oraz tradycyjnych atrybutów, takich jak kielich z hostią i miecz, z miniaturową wręcz precyzją. Pukle włosów, ozdoby uczesania – korona i sznur pereł; złota brosza i fantazyjna sprzączka u pasa w kształcie ptaka, potraktowane są bardzo drobiazgowo, chociaż pozostaje to praktycznie niedostrzegalne dla widza patrzącego od stopni ołtarza.

Obraz odznacza się zrównoważoną kompozycją, żywym kolorytem, i sugestywną plastyką. Po lewej stronie, w głębi, u podnóża wieży przedstawiona jest scena ścięcia Św. Barbary. Daleki plan stanowi jasny górzysty krajobraz i niebo, prześwitujące dźwięcznym błękitem przez lekkie obłoki. U góry po lewej stronie, na tle obłoków rozjaśnionych światłem nadprzyrodzonym, polatuje aniołek-putto niosący męczennicy gałązkę palmową i wieniec laurowy (warto zaznaczyć, że artysta przedstawił aniołka inaczej niż postać świętej oraz scenę jej ścięcia – stosując do niebiańskiej istoty subtelniejsze środki malarskie).

W celu pełnego zrozumienia treści i symboliki obrazu warto przytoczyć tu główne wątki hagiografii świętej, korzystając z *Encyklopedii kościelnej*.

Barbara, święta panna i męczenniczka (jej wspomnienie obchodzi się 4 grudnia). Imię jej po grecku znaczy *obca, cudzoziemka*. Czczona jest od dawna w zachodnim i wschodnim Kościele, ale o jej życiu brak pewnych wiadomości. Jedni, męczeństwo jej kładą w Nikomedii (w Bitynii) za cesarza Maksymiana I, który rozpoczął prześladowanie chrześcijan w r. 235; inni męczeństwo to naznaczają w Heliopolis, w Egipcie, za Galeriusza ok. 306 r.

Barbara, według podania, była córką poganina Dioskura, który ją wychowywał bardzo starannie, lecz obawiając się ojej cnotę, tym bardziej, że niezwyklej była piękności, przechowywał ją w wieży, w zupełnym od ludzi odosobnieniu. Pomimo tego odosobnienia, Barbara poznała naukę chrześcijańską i Chrzest przyjęła. Nauczycielem jej miał być Orygenes. Ojciec, zawzięty poganin, dowiedziawszy się od niej, że jest chrześcijanką, wydał ją, w obawie o swą karierę, sędziemu Marcjanowi, który wszelkich gwałtownych używał środków, aby ją do pogaństwa skłonić. Bitą, obnażaną, kaleczoną i po mieście wodzona, wytrwała jednak w wierze; na ścięcie nareszcie skazana, pod mieczem własnego ojca głowę złożyła, licząc 20 lat życia.

Na obrazach św. Barbara występuje częstokroć razem ze św. Katarzyną, obok Najświętszej Panny: św. Katarzyna, jako utalentowana, uczona dziewczica (zginęła w czasie prześladowań cesarza Maksencjusza w latach 306–313, nawracając na chrześcijaństwo wielu ze swych prześladowców) przedstawia, w tych przypadkach, siłę umysłową, a św. Bar-

bara, która w tajemniczej tęsknocie duszy zamknięta w wieży, przeczuwająca męczeństwo, co jej przynieść miała nauka Chrystusowa, oznacza serce i siłę uczucia; obie zaś potęgi umysłu i serca łączą się w świętej służbie, królującej nad nimi Bogarodzicy.

Często (jak i na naszym obrazie) św. Barbara przedstawiana jest z kielichem, nad którym unosi się hostia: z jednej strony oznacza to jej wiarę, a z drugiej przypomina, że ta święta czczoną jest jako patronka konających, za którymi błaga, aby bez sakramentów świętych nie umierali. Podług innych, hostia ta przypomina epizod z legendy, że gdy uciekającą przed ojcem, przyjęła ją i ukryła rozstępująca się przed nią góra, anioł karmił ją tam niebieskim pokarmem. Poza tym, atrybutami jej są: palma i wieża z trzema oknami.

Czczoną jest też św. Barbara, jako patronka chroniąca przeciwko burzom i huraganom; a po wynalezieniu prochu, została patronką artylerii (jeszcze w XIX w. na francuskich okrętach skład prochu nazywano Saint Barbe).

W zwieńczeniu centralnego ołtarza kaplicy św. Józefa / św. Barbary znajduje się obraz „Święta Agnieszka”. Obraz na płótnie o wymiarach 87 x 108 cm ma wykrój ramy podobny do obrazu „Trójca Święta” w kaplicy Jezusa Ukrzyżowanego po lewej stronie nawy. Obraz nie posiada sygnatury. Pewne podobieństwo manieri i techniki malarskiej pozwala przypuszczać, że jest dziełem tego samego artysty, który namalował dla tego ołtarza główny obraz „Św. Barbary”. Prawdopodobnie obraz pochodzi z drugiej połowy XIX w. i powstał równocześnie z ołtarzem.

W momencie rozpoczęcia prac konserwatorskich latem 2007 r. ogólny stan obrazu „Święta Agnieszka” był średni: obraz był pokryty grubą powłoką brudu, warstwa malarska miała dość dużo złuszczeń (dochodzących do płótna). Przypuszczalnie obraz nigdy nie był poddawany konserwacji.

Święta Agnieszka przedstawiona jest w modlitewnej pozie na klęczkach, odziana w białą szatę i czerwoną narzutę. U nóg świętej leży miecz i gałąź palmowa - symbol męczeństwa za wiarę. W głębi, po lewej stronie płonie ognisko. Agnieszce, świętej dziewicy, towarzyszy biały baranek, jej tradycyjny atrybut. Tłem obrazu jest pogodne niebo i daleki górski krajobraz.

Warto tu przytoczyć wiadomości o życiu Agnieszki, panny i męczenniczki, powszechnie czczonej w całym chrześcijańskim świecie, korzystając z *Encyklopedii kościelnej*.

Pochodziła z bogatego rodu, była urodziwa, wychowana jako chrześcijanka. W 13 roku życia została namiętnie pokochana przez młodego Rzymianina, którym wzgardziła, ślubując dziewictwo Chrystusowi. Za to, że była chrześcijanką grożono jej śmiercią, a gdy nie ulękła się

pogróżek, zaprowadzono ją do domu nierządnego, gdzie została obroniona przez anioła; następnie, cudownie ocalona z ognia, została ścięta. Zachowała do ostatniej chwili największy spokój, podczas gdy wszyscy obecni do łez widokiem jej śmierci męczeńskiej byli wzruszeni. Utrzymują, że śmierć św. Agnieszki przypadła w 304 roku.

Przedstawienie świętej Agnieszki z barankiem, jest nie tylko aluzją do jej imienia, lecz nawiązuje do antyfony w oktawie jej święta: *Stojąc po jej stronie jako Baranek nad śnieg bielszy, Chrystus poświęcił ją sobie jako oblubienicę i męczennicę*. Według legendy, święta przez osiem dni po śmierci ukazywała się swoim rodzicom z białym barankiem (D. Forstner).

Kościół obchodzi jej pamiątkę 21 stycznia. W Rzymie bazylika pod wezwaniem św. Agnieszki jest jednym z najciekawszych zabytków starożytności. Baranek, towarzyszący św. Agnieszce jest nie tylko symbolem. W jej rzymskim kościele corocznie poświęcają specjalnie hodowane i przygotowane przez siostry Nazaretanki baranki (wykapane i przystrojone), z których wełny wyrabiane są paliusze (taśmy z białej wełny z sześciu wyszytymi czarnym jedwabiem krzyżykami) - oznaki godności arcybiskupiej nadawane przez papieża.

W dolnej części ołtarza po ukończeniu prac konserwatorskich została umieszczona pamiątkowa tabliczka z napisem: *Obrazy „Święta Agnieszka” i „Święta Barbara” w tym ołtarzu zostały odnowione w latach 2007 i 2008 przez konserwatora W. Wołkova dzięki ofiarności parafian sanktuarium św. Antoniego Padewskiego we Lwowie oraz ludzi dobrej woli – mieszkańców miast: Bielska–Białej, Leżajska, Poznań, Wrocławia. / Franciszkanie.*

Renowacja niektórych elementów wystroju i wyposażenia kościoła

W latach 2004–2005 z inicjatywy parafian i dzięki ich ofiarności dokonano renowacji pięknego antepedium z XIX w. „Matka Boska adorowana przez aniołki” bocznego ołtarza Matki Boskiej oraz odnowiono feretron z poł. XIX w. z wizerunkami „Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie poczętej” i „Św. Antoniego Padewskiego z Dzieciątkiem Jezus”. Oba te zabytkowe przedmioty posiadają zasługujące na uwagę osobliwości.

Antepedium zostało wykonane w skomplikowanej technice mieszanej na płóciennej osnowie naciągniętej na krosno. Twarz i dłonie Matki Boskiej oraz postacie aniołków zostały subtelnie namalowane olejniami na sztywnym papierze i naklejone na osnowę; pozostałe części kompozycji – szaty Matki Boskiej, skrzydła aniołków, częściowo kwiaty,

wyhaftowano barwnymi nićmi, z dodatkiem złocistych elementów w oblamowaniu chusty i gwiazdzistej aureoli NMP. Kwiaty o jaskrawych barwach, w ogarniającej całość bogatej girlandzie, oraz pióra w skrzydłach aniołków są dyskretnie akcentowane farbami olejnymi. Tło pokrywają szklane paciorki szaroniebieskiego koloru naszyte na osnowę.

Antependium przetrwało do naszych czasów pokryte brudem i z licznymi uszkodzeniami – był oderwany fragment prawego aniołka, w tle miały miejsce znaczne ubytki paciorków, osłabiona osnowa była rozdarta w kilku miejscach. W trakcie renowacji, przeprowadzonej przez Wadima Wołkova, dokonano konserwacji partii malarskich, wymieniono blejtram, osnowę wzmocniono nowym płótnem. Delikatną i żmudną pracę nad oczyszczeniem i reparacją haftu, uzupełnieniem paciorków w tle wykonała parafianka naszego kościoła Luba Kondrat.

Feretron (XIX w.), w okazałej barokowej ramie, mieści wizerunki „Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie poczętej” i „Św. Antoniego Padewskiego z Dzieciątkiem Jezus”, malowane olejnie na blasze miedzianej (nie sygnowane). Były one silnie poczerniałe. Po oczyszczeniu oraz odrestaurowaniu warstwy malarskiej przez Wadima Wołkova i artystę malarza Michajła Krasnyka, ukazały się walory artystyczne malowideł. W szczególności, postać NMP nabrała plastyki, a otaczająca ją przestrzeń głębi; w tle postaci św. Antoniego pojawił się piękny pejzaż i niebo rozświetlone wieczorną zorzą.

Warto zauważyć, iż w ujęciu postaci NMP na feretrone można dopatrywać się pewnego podobieństwa z kamienną figurą Niepokalanego Poczęcia (dłuta Fabiana Fesingera, ok. 1755 r.) ustawioną nad schodami wiodącymi na teren kościoła w dr. poł. XIX w. Figura została odnowiona w 1901 r., i uszkodzona w latach 60. ubiegłego wieku – utraciła wtenczas część rozwiewającej się z lewej strony narzuty. Być może, malarza feretronu zainspirował istniejący już posąg, albo też obaj plastycy – rzeźbiarz i malarz, korzystali ze wspólnego graficznego pierwowzoru.

W maju 2009 r. kosztem parafian wykonano, w zamian utraconej, nową gałązkę z kwiatami lilii dla barokowej pełnifigurowej rzeźby (drewno, polichromowane i pozłacane) Archanioła Gabriela zwiastującego Najświętszej Maryi Pannie (figura Archanioła umieszczona jest w zwieńczeniu bocznego ołtarza Matki Boskiej po prawej stronie nawy). Lilię wyrzeźbił z lipowego drewna lwowski artysta-snycerz Sergiej Majdanenko, a pozłocił i posrebrzył ją Wadim Wołkow.

W okresie Wielkiego Postu w 2009 r. z inicjatywy parafian (i częściowo z ich datków) przeprowadzono renowację 10 olejnych obrazów na płótnie, naszywanych na sześć chorągwi kościelnych (cztery z tych obrazów są dwustronne). Część tych obrazów pochodzi z pierwszej

połowy XX w., niektóre były przemalowywane, dwa zostały prymitywnie wykonane w całości po II wojnie światowej. Obrazy posiadały liczne pęknięcia i złuszczenia warstwy malarskiej i wymagały dokładnego oczyszczenia. Ich renowacji dokonała konserwator Lilia Wołkowa.

Konstanty Czawaga

PRASA POLSKA NA UKRAINIE (OD 1989)

Nowa prasa polska powstała w tych regionach Ukrainy, gdzie mieszkają użytkownicy języka polskiego. Według ostatniego spisu powszechnego z 2001 r. polska mniejszość na Ukrainie liczy oficjalnie ok. 146 tys. osób. Również przeprowadzone analizy dotyczące liczby łacinników na zachodniej Ukrainie oraz ponad 250 punktów nauczania języka polskiego wskazują, że ta liczba jest o wiele większa. Polacy są rozsiani na terenie całego państwa ukraińskiego, gęściej zamieszkują obwody: żytomierski (ok. 50 tys.), chmielnicki (23 tys.), lwowski (ok. 20 tys.), Kijów (ok. 7 tys.), tarnopolski i winnicki (po ok. 3,5 tys.) oraz iwano-frankiwski (stanisławowski – ok. 3 tys.).

Odrodzenie mediów polskich na Ukrainie jest ściśle związane z założeniem polskich organizacji społeczno-kulturalnych oraz wskrzeszeniem ćwierć wieku temu struktur Kościoła Łacińskiego na terenach tego kraju.

Rozwój prasy polskiej na Ukrainie stał obiektem badań wspierającej jej struktur rządowych i pozarządowych RP, naukowców z Polski i Ukrainy m.in. Wiesławy Szymczuk¹, Marii Kaczyńskiej², Ałły Krawczuk³, Andrzeja Klimczaka⁴, ks. Rafała Leśniczaka⁵, i innych.



GAZETA LWOWSKA

Ukazuje się od roku 1811

„Gazeta Lwowska” była wydawana we Lwowie jeszcze w latach 1811–1944. Do reaktywowania jednego z najstarszych codziennych pism polskich doszło dopiero w 1988 r., od razu po założeniu TKPZL (Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej). Pierwszy Prezes Zarządu Głównego TKPZL prof. Leszek Mazepa⁶ zaangażował do redagowania tej gazety Bożenę Rafalską, lwowiankę, absolwentkę polonistyki w Instytucie Pedagogicznym w Wilnie, która pracowała w przeniesionej w 1953 r. ze Lwowa do Wilna redakcji „Czerwonego Sztandaru” – jedynej wówczas gazety polskojęzycznej na terenie ZSRR.

Dzięki wsparciu „Wspólnoty Polskiej” oraz pomocy dziennikarzy z Rzeszowa pierwszy numer odnowionej „Gazety Lwowskiej”, która stała organem TKPZL ukazał się 24 grudnia 1990 r. Było to wtedy pierwsze i jedyne pismo polskie na terenie Ukrainy. Społeczno-kulturalne pismo „Gazeta Lwowska” stała dwutygodnikiem. Nakład wynosił 3000 egz., objętość nie mniejsza niż 12 stron. Niekiedy gazeta wychodziła sporadycznie. Długo korzystano z drukarni w Przemyślu, także z zakładu poligraficznego w Stalowej Woli. Potem została zawarta umowa z drukarnią lwowskiego wydawnictwa „Wysoki Zamek”. W 2007 r. pismo zostało kolejny raz zawieszona. Redaktorami naczelnymi „Gazety Lwowskiej” byli: Bożena Rafalska, Irena Masalska, Emil Legowicz.

Z kolebki Zespołu „Gazety Lwowskiej” powstały dwie nowe polskie redakcje we Lwowie – kwartalnik „Lwowskie Spotkania” i dwutygodnik; „Kurier Galicyjski”.



Pod koniec 2000 r. redaktor Bożena Rafalska powołała i poprowadziła nowe, ciekawie ilustrowane pismo kulturalno-społeczne „Lwowskie Spotkania”. W latach 2004–2012 ukazywała się co miesiąc, od 2012 roku jako kwartalnik. Przedstawiały, na swoich łamach obszerne pub-

likacje związane z polskimi i wielokulturowymi tradycjami Lwowa oraz innych sąsiednich terenów. Korzystano z drukarni w Przemyślu. Niestety, długotrwała choroba redaktorki i jej śmierć w marcu 2015 r. stała się przyczyną zawieszenia działalności pisma.

17-30 września
2013 nr 17 (189)
www.kuriergalicyjski.com

Kurier Galicyjski

Niezależne pismo
Polaków na Ukrainie

Ze skromnego dodatku „Z Grodu Rewery” do „Gazety Lwowskiej” narodził się **„Kurier Galicyjski”** – dwutygodnik wydawany od 2007 r. z siedzibą w Iwano-Frankowsku (byłym Stanisławowie). Gazetę o statusie ogólnoukraińskim z prawem dystrybucji poza granicami Ukrainy założył, jaką prywatną, Mirosław Rowicki, warszawiak, architekt z wykształcenia, który mieszka na stałe w Iwano-Frankiwsku (Stanisławowie). Redaktor naczelny Marcin Romer (Mirosław Rowicki).

„Kurier Galicyjski” jako niezależne pismo Polaków na Ukrainie stał się obecnie wydawnictwem mającym największy nakład spośród innych polskich gazet (8,5 tys. egz.). Gazeta ma obecnie dwie redakcje – lwowską i iwano-frankowską oraz korespondentów w różnych miastach Ukrainy. Z redakcją współpracują autorzy też z Polski, innych krajów. KG ma wersję internetową.

Zespół „Kuriera Galicyjskiego” wydaje dodatek dla dzieci – miesięcznik „Polak Mały”(red. Maria Basza). Jest portal internetowy, programy radia internetowego, telewizji internetowej i audycję radiową Na Polskiej Fali. Ostatnio produkowano też filmy dokumentalne, m.in. o reżyserze Polskiego Teatru we Lwowie Zbigniewie Chrzanowskim i o 200-leciu Polskiej Szkoły nr 10 w tym mieście. Redakcja współpracuje z TV „Polonia”, warszawskim Radio WNET.

Redakcja „Kuriera Galicyjskiego” jest także współorganizatorem licznych konferencji i spotkań polityczno-kulturalnych, tworzy wystawy okolicznościowe.

Dwutygodnik **„Dziennik Kijowski”** (red. nac. Stanisław Panteluk) ukazał się w Kijowie w 1992 r. Był drugą z kolei polską gazetą w niepodległej Ukrainy. Gazetę o tym samym tytule wydawano w Kijowie także dawniej – w latach 1906–1920. To pismo społeczne, ekonomiczne

i literackie było dodatkiem do ukraińskiej gazety „Hołos Ukrainy”, która traktowana jako oficjalny organ prasowy parlamentu Ukrainy. Publikowano materiały przede wszystkim związane z życiem Polaków na Ukrainie Środkowej, o głównych wydarzeniach w Polsce i relacjach polsko-ukraińskich. Gazeta porusza też tematy historyczne, społeczne, kulturalne i in. „Dziennik Kijowski” nakładem 3,5 tys. egz. dotowano z miejscowego budżetu i dofinansowywano przez Fundację „Pomoc Polakom na Wschodzie”. Część nakładu była rozprowadzana bezpłatnie wśród organizacji założonego w Kijowie Związku Polaków na Ukrainie.

Trzecim periodykiem, wydawanym w języku polskim na Ukrainie i pierwszą polską gazetą na Żytomierszczyźnie stała się wydawana w Berdyczowie od końca 1994 r. **„Mozaika Berdyczowska”** (obecnie red. nac. Larysa Werwińska)⁷. Na początku „Mozaika” była przygotowana w Berdyczowie i w Warszawie – w redakcji „Rzeczpospolitej”. W 1995 r. ukazały się cztery numery, w 1996 – pięć, od 1997 gazeta została zapowiedziana już jako dwumiesięcznik, choć wyjątkowo w niektórych latach mogło ukazywać się mniej niż sześć numerów. Jest określana jako charytatywne pismo kulturalno-oświatowe. Istnieje wersja internetowa, gdzie można zapoznać się z materiałami gazety od roku 2010.

Tygodnik „Gazeta Polska” (red. nac. Irena Perszko), będący organem Polskiego Towarzystwa Naukowego w Żytomierzu, wydawany jest w Żytomierzu od 2002 r., zawiera publikacje w języku polskim i ukraińskim. Rodzaj czasopisma społeczny, polonijny, historyczny, literacki. Średni nakład 800–3000 egz. Liczba stron – 4. Gazeta ma też wersję internetową. Od sierpnia 2006 otrzymuje dotacje z Państwowego Komitetu Narodowości i Migracji Ukrainy.

Od sierpnia 2012 r. ukazuje się polonijny miesięcznik **„Słowo Polskie”** (red. nac. Jerzy Wójcicki)⁸ redakcją w Winnicy, mająca kolportaż w obwodach winnickim, chmielnickim i żytomierskim. Nowa gazeta skrzętnie bada sytuację Polaków nie tylko na Podolu, jak było na początku, lecz także i na Wschodniej Ukrainie, wspierając medialnie np. Polaków w Mariupolu oraz terenach strefy działań wojennych w Donbasie. „Słowo Polskie” patronuje naukowe konferencje międzynarodowe na Podolu, żywo reaguje na wydarzenia życia politycznego, szczególnie relacji ukraińsko-polskich.

Stowarzyszenie Pomocy Wydawnictwom Katolickim na Ukrainie KAIROS wydaje w Kijowie kwartalnik **„Krynica”** (red. nac. Dorota Jaworska) w nakładzie 1500 egz.. Jest pismo mniejszości polskiej na Ukrainie, które przeważającą część swoich publikacji poświęca prob-

lematyce religijnej i kościelnej, katolickim tradycjom, dziedzictwu cywilizacji łacińskiej na Ukrainie oraz obecności Polaków nad Dnieprem.

Od 2009 r. przy Stowarzyszenia Kultury Polskiej imienia Ewy Felińskiej w Łucku ukazuje się dwutygodnik **„Monitor Wołyński”** (red. nac. Walenty Wakoluk) o dość dużym nakładzie (5 tys. egz.) i dystrybuowany głównie w obwodach wołyńskim i rówiańskim. Prezentuje teksty polskojęzyczne przetłumaczone na język ukraiński (także w wersji internetowej)! Oprócz tego, zespół redakcyjny „MW” próbuje tworzyć filmy. W 2011 r. ukazał się film o spotkaniach teatralnych w łemkowskiej wsi Nowica (Polska) – „Innowica”, a także „Kilka chwil z życia Stowarzyszenia” – film o SKP im. Ewy Felińskiej na Wołyniu. Na 20-lecie Stowarzyszenia redakcja wydała także zbiór wspomnień „Mój wołyński dzień”.

Gazeta Polska Bukowiny (red. nac. Antonina Tarasowa) Obwodowego Towarzystwa Kultury Polskiej im. Adama Mickiewicza w Czerniowcach. Najstarsza polska gazeta w tym mieście, która powstała tam w 1883 r., została odrodzona w 2007, dzięki pomocy redakcji ukraińskiej gazety „Bukowina”. Miesięcznik podaje wszystkie artykuły po polsku i po ukraińsku.

Wydawanie **„Kurier Stanisławowski”**, który ukazywał się w Stanisławowie w latach 1885–1939, zostało wznowione w 2005 r. przez Obwodowe Polskie Stowarzyszenie Kulturoznawcze „Stanisławów” w Iwano-Frankowsku. Obecnie wydawcą dwutygodnika „Kurier Stanisławowski” (red. Orest Bezzubiak), jest redakcja wspólnie ze Stowarzyszeniem Europejski Klub Stanisławowa.

Długo przed wojną w Donbasie, były lwowiak Ryszard Zieliński (1941–2008), założył i przez lata redagował miesięcznik **„Polacy Donbasu”** – organ Towarzystwa Kultury Polskiej Donbasu, drukujący teksty po polsku i po ukraińsku.

Polacy Donbasu mieli też dwumiesięcznik **„Źródło”**, wydawany przez Polsko-Ukraińskie Stowarzyszenie Kulturalne w Mariupolu, oraz kwartalnik **„Więści Polonijne”**, wydawany przez Centrum Oświaty i Kultury Polskiej „Krakowianka” w Stachanowie. W tych wydawnictwach drukano teksty w trzech językach – polskim, rosyjskim, ukraińskim.

Stowarzyszenia Kultury Polskiej w Charkowie w 1999 r. założyło miesięcznik **„Polonia Charkowa”** (także w wersji internetowej).

W 1990 r. Związek Miłośników Polskiej Kultury „Polonia” w Połtawie założył kwartalnik **„Od Wisły do Worskły”** (red. nac. Wiktor Bondar).

W Krzemieńcu (obwód tarnopolski) była zarejestrowana polska gazeta **„Wspólne Dziedzictwo”** (red. nac. Jadwiga Gusławska).



„Głos Podola” (red. nac. Henryk Kaczurowski – gazeta, której wydanie wznowiono w 1992 r. w Kamieńcu Podolskim (najpierw pod tytułem „Obiektyw Jarmoliniecki”).

We Lwowie założono miesięcznik **„Harcierz Kresów”** (red. nac. Stefan Adamski) – Pismo Harcerstwa Polskiego na Ukrainie.

Szereg organizacji polskich na Ukrainie wydaje swoje biuletyny.

We Lwowie ukazuje się **„Biuletyn Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie”** (red. nac. Teresa Dutkiewicz), w Drohobyczu (obwód lwowski) – Pismo Zjednoczenia Nauczycieli Polskich na Ukrainie **„Głos Nauczyciela”** (red. nac. Adam Chłopek).

Na szczególną uwagę zasługują, ze względu na swoich adresatów – stosunkowo niewielkie grupy wiernych Polaków i Ukraińców, skupionych wokół Kościoła rzymskokatolickiego polskojęzyczne Media katolickie.

W 1994 r. w Ostrogu (obwód rówieński) parafia rzymskokatolicka pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu, a właściwie proboszcz ks. ks. Witold Józef Kowalów, który przyjechał z Polski, rozpoczyna wydawać religijno-społeczne, dwumiesięcznik **„Wołanie z Wołynia”**. Posiada ono dwie wersje językowe, polską i ukraińską. Powstał tam także ośrodek, który zajmuje się publikowaniem książek. Pismo to, choć formalnie jest periodykiem religijno-społecznym rzymskokatolickiej diecezji łuckiej, służy także utrzymywaniu więzi dawnych mieszkańców Wołynia z obecnymi środowiskami Polaków i parafiami,

które się odrodziły. Służy też pojednaniu polsko-ukraińskiemu. Materiały na łamach czasopisma oraz książki dotyczą różnej problematyki: kontaktów katolicko-prawosławnych, wysiłkom ekumenicznym, stosunkom polsko-ukraińskim, kulturze i osiągnięciom myśli filozoficznej Ziemi Wołyńskiej, wybitnym Wołynianom. Można tam znaleźć też poezję religijną związaną z Wołyniem. Sporo uwagi poświęcono tematyce krajoznawczej.

W 1993 r. rzymskokatolicka parafia Św. Bartłomieja w Drohobyczu zarejestrowała kwartalnik religijno-społeczny archidiecezji lwowskiej obrządku łacińskiego pod tytułem **„Radość Wiary”** (red. nac. o. Kazimierz Piotrowski). Pierwsza redakcja znajdowała się w Domu redemptorystów w Truskawcu, gazetę drukowano w Przemyślu. Po odzyskaniu Pałacu Arcybiskupów Lwowskich redakcję przeniesiono do Lwowa. Został zmieniony format i szata graficzna. Artykuły drukowano po polsku i ukraińsku. Po kilku latach rozwoju kwartalnika wydanie „Radości Wiary” zostało zamknięte z powodu braku dofinansowania z Polski.

W eterze Ukrainy obecne są polskojęzyczne audycje radiowe. W sobotę od 9.00 do 13.00 w lwowskim Radiu Niezależność 106.7 FM trwa program „Radia Lwów”, a w niedzielę od 19.15 do 21.15 – **„Program katolicki”**.

W Berdyczowie (obwód żytomierski) organizacja **„Polskie Radio Berdyczów”** od 2010 r. przygotowuje cotygodniową polskojęzyczną audycję „Polska Bliżej”, która sprzyja odradzaniu się życia polskiego w regionie. Radio cieszy się popularnością, zarówno wśród młodzieży, jak i u osób starszych. Redaktorem naczelnym audycji i jednocześnie prezesem „Polskiego Radia Berdyczów” jest dr Jerzy Sokalski.

Polskie Towarzystwo Naukowe w Żytomierzu prowadzi **„Radio polskie”** w tym mieście i program telewizyjny **„Jestem Polakiem”**.

Fundacja **„Wolność i Demokracja”** od 2013 r. prowadzi projekt pomocy mediom polskim na Ukrainie „Polska Platforma Medialna Wschód na Ukrainie”⁹ (koordynator projektu: Lilia Luboniewicz), który ma na celu podniesienie poziomu merytorycznego i graficznego ukazujących się na Ukrainie polskich gazet, programów radiowych, telewizyjnych oraz portali internetowych. Polega on na wprowadzeniu do polskich mediów na Ukrainie, w większości tworzonych przez dziennikarzy amatorów, zasad obowiązujących w mediach profesjonalnych. Zauważono, że odbiorcami polskiej prasy oraz radia i telewizji w różnych terenach Ukrainy są w większości Polacy starszego i średniego pokolenia. Natomiast przekaz mediów elektronicznych jest skierowany przede wszystkim do młodszego pokolenia mieszkającego w większych miastach, z do-

stępem do internetu – we Lwowie, Żytomierzu, Winnicy, Stanisławowie, Chmielnickim. W ramach projektu opieką objęto 14 czasopism, 5 audycji radiowych i internetowych, 4 audycje telewizyjne i telewizje internetowe oraz 4 duże informacyjno-publicystyczne portale internetowe. Badacze zwrócili uwagę na podniesienie poziomu językowego, ponieważ z powodu braku na Ukrainie prasy z Polski, lokalne polskie gazety służą też często jako materiał dydaktyczny przy nauczaniu języka polskiego. Jest on coraz bardziej popularny, również wśród Ukraińców, którzy stanowią coraz większą część czytelników polskiej prasy. Według nieoficjalnych danych jest on trzecim (po rosyjskim i angielskim) pod względem popularności językiem na Ukrainie. W efekcie zwiększa się zasięgu oddziaływania mediów polskich na Ukrainie. Dlatego Fundacja WiD oprócz zapewnienia pomocy merytorycznej i technicznej polskim mediom prowadzi stały ich monitoring, zarówno pod względem jakości, jak i terminowości ich przygotowania oraz kolportażu na terenie Ukrainy, a także w zakresie potrzeb odbiorców.

W ramach projektu w latach 2014–2015 na bieżąco są monitorowane:

- 3 dwutygodniki: „Kurier Galicyjski” (nakład 8 tys. egz., czyta ok. 24 tys. osób), z dodatkiem dla dzieci „Polak Mały” (czyta ok. 30 tys. osób), „Monitor Wołyński” (nakład 5 tys. egz., czyta ok. 13 tys. osób) i „Dziennik Kijowski” (nakład 3,5 tys. egz. czyta ok. 8 tys. osób);
- 4 miesięczniki: „Słowo Polskie” (nakład 2000 egz., czyta ok. 6 tys. osób), „Gazeta Polska Bukowiny” (nakład 1000 egz., czyta ok. 2.500 odbiorców), „Polacy Donbasu” (nie ukazuje się od połowy 2014 r.), „Polonia Charkowa” (nie ukazuje się od połowy 2014 r.);
- 1 dwumiesięcznik „Wołanie z Wołynia” (nakład 3.500 egz., czyta ok. 7 tys. osób);
- 6 kwartalników: „Krynica” (nakład 1,5 tys. egz., czyta ok. 4,5 tys. osób), „Głos Polonii” (nakład 500 egz., czyta ok. 2.500 odbiorców), „Mozaika Berdyczowska” (nakład 1000 egz., czyta ok. 2.500 odbiorców), „Nasze Drogi” (nakład 700 egz., czyta ok. 1600 odbiorców), „Tęcza Żytomierszczyzny” (nakład 1000 egz., czyta ok. 2 tys. osób), „Lwowskie Spotkania” (nie ukazuje się od połowy 2014 r.);
- 4 audycje telewizyjne i telewizje internetowe: Słowo Polskie, „Polacy Donbasu” (nie ukazuje się od połowy 2014 r.), „Kurier Galicyjski” (liczba odbiorców ok. 40 tys. osób), Telewizja POLwowski (każdy materiał na YouTube ogląda ok. 1.200 osób);
- 5 audycji radiowych i radiów internetowych: Radio Berdyczów (liczba słuchaczy: ok. 15 tys.), Radio Lwów (liczba słuchaczy: ok. 25 tys.), Polacy Donbasu (nie nadaje od połowy 2014 r.), Kurier Galicyjski (liczba odbiorców ok. 40 tys. osób), Na Polskiej Fali (Stanisławów – liczba

sluchaczy ok. 15 tys.); 4 duze informacyjno-publicystyczne portale internetowe: Słowo Polskie (10 tys. wizyt dziennie), Kurier Galicyjski (do 10 tys. wejść dziennie), Monitor Wołyński (ok. 7 tys. odsłon dziennie), portal Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich na Ukrainie polonews.in.ua (oglądalność: ok. 3 tys. odsłon dziennie) oraz kilka pomniejszych stron poszczególnych pism i redakcji (m.in. Dziennika Kijowskiego, Tęczy Żytomierszczyzny, Naszych Dróg, Radia Lwów).

Partnerem projektu na Ukrainie jest redakcja „Kuriera Galicyjskiego” – największej i najbardziej profesjonalnej gazety polskiej w tym kraju przygotowująca prócz dwutygodnika i dodatku „Polak Mały” portal internetowy, programy radia internetowego, telewizji internetowej i audycję radiową Na Polskiej Fali.

Projekt Fundacji Wolność i Demokracja jest współfinansowany ze środków finansowych otrzymanych z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu na realizację zadania „Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2014–2015 r.”

W 2005 r. zostało zarejestrowane **Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich na Ukrainie** – pierwszy niepaństwową organizacją dziennikarzy polskojęzycznych mediów na Ukrainie. Chociaż zgodnie z zapisem w statucie organizacja ma działać według lokalnego statusu stolicy Ukrainy, jej aspiracje są szersze, miały powstać oddziały terenowe w obwodach, w celu przekształcenia organizacji w ciało ogólnokrajowe. Podstawowym celem statutowym Stowarzyszenia jest zjednoczenie wysiłków jego członków w dążeniu do zadowolenia i obrony ich prawnych interesów dla wszechstronnego rozwoju polskojęzycznych środków masowego przekazu. Stowarzyszenie miało na celu prowadzić swoją działalność w różnych formach m.in. wydawniczej, organizując konferencje i seminaria, dyskusje, konkursy dziennikarskie, zymując kontakty z zagranicą. Niestety, po 10 latach od założenia Radzie ordynacyjnej Stowarzyszenia nie udało się zrzeszyć większości polskich dziennikarzy na Ukrainie.



Natomiast 30 maja 2013 r. w Warszawie podczas konferencji „Polskie media na wschodzie”, zainicjowanej przez Komisję Spraw Emigracji i Łączności z Polakami za Granicą, Fundację „Wolność i Demokracja” oraz Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego powołano Stowarzyszenie **„Federacja mediów polskich na Wschodzie”**, zrzeszającego dziennikarzy polskich z Ukrainy, Białorusi, Litwy i Łotwy. Na prezesa zarządu została wybrana Dorota Jaworska, redaktor naczelna czasopisma mniejszości polskiej Ukrainie „Krynica”.

PRZYPISY

- ¹ Wiesława Szymczuk, *Prasa mniejszości polskiej na Ukrainie*, Toruń, ECE (Europejskie Centrum Edukacyjne), 2012.
- ² Maria Kalczyńska, *Polskie Media na Ukrainie w: Wybrane funkcje mediów polskich za granicą w rozwoju komunikacji społecznej na Litwie, Ukrainie, Białorusi i Łotwie*, *Łódzkie Studia Teologiczne*, 23 (2014) 1, s.46-47.
- ³ Ała Krawczuk, *Norma językowa w prasie polskojęzycznej na Ukrainie (wybrane aspekty)*, *POSTSCRIPTUM POLONISTYCZNE*, 2014 • 2 (14).
- ⁴ Andrzej Klimczak, *Polskojęzyczne media na Ukrainie*, „nowiny24”, 16 lipca
- ⁵ Ks. Rafał Leśniczak, *Katolickie media polskojęzyczne na Ukrainie, Białorusi i w krajach bałtyckich*. *Łódzkie Studia Teologiczne*, 23 (2014), s. 69-70.
- ⁶ Leszek Mazepa, *Rozmyślenia i wspomnienia o Lwowie i Lwowiakach*, Lwów. Biblioteka Kuriera Galicyjskiego, 2011, s. 47.
- ⁷ Larysa Wirmińska, *Dziewiętnaście lat pisma „Mozaika Berdyczowska”*, *Polonews*, 2014.
- ⁸ Jerzy Wójcicki, *Polskie Media na Ukrainie w czasie transformacji i działań wojennych*, *Winnica*, „Słowo Polskie”, 23.04.2015.
- ⁹ *Polska Platforma Medialna Wschód na Ukrainie*, Warszawa, Fundacja Wolność i Demokracja
- ¹⁰ Konferencja „Polskie media na Wschodzie – Ukraina”, *Strona senat.gov.pl*, 8 maja 2013 r.

IV. Książki o Lwowie i Kresach Południowo-Wschodnich

O POTRZEBIE LWOWSKIEGO SŁOWNIKA BIOGRAFICZNEGO

*„Kto was policzy, zaginieni,
I bezimiennych kto spamięta?
– Krzywda, co w okno na jesieni
Liściami tłucze, zmowa święta.”*

Kazimierz Wierzyński

*„... Ten kto nie szanuje historii i nie ceni
przeszłości i ten nie jest godzien szacunku
Teraźniejszości ani nie ma prawa do
przyszłości.”*

Józef Piłsudski

Od szeregu lat w historiografii polskiej można obserwować tendencję do tworzenia słowników biograficznych czy to regionalnych czy też środowiskowych. Można wiązać to niewątpliwie z oporem wobec ogólności, a i wewnątrz krajowych tendencji unifikatorskich. Staje się to odreagowywaniem zaniku czy też zacieraniu różnic regionalnych. Dodatkowym bodźcem powrotu do staropolskiej tradycji regionalnych stały się lata 1980–1981, kiedy to organizatorzy struktur NSZZ „Solidarności”, jako pierwsi powrócili do regionalności. Przywracanie mechanizmów ustroju demokratycznego i budowa społeczeństwa obywatelskiego sprzyjało powrotowi do związków naturalnych, a do takich należą więzi regionalne, dodatkowo wzmacniane wspólną, lokalną tradycją małej ojczyzny.

Ostatnie ćwierćwiecze przyniosło publikacje bardzo wielu słowników biograficznych. Ostatnio nawet można mówić o swoistej powodzi słowników biograficznych.¹ Dałoby się wśród nich wyróżnić trzy zasadnicze grupy: regionalne, branżowe i ogólne. Dotychczas stworzono już szereg słowników biograficznych regionalnych, jak m.in. „Wielkopolski Słownik Biograficzny”², ale ten można nawet uznać za prekursorski i zgodny z ka-

nonem czasów przed Wielką Zmianą; w jednym tomie mieli się znaleźć „najważniejsi”, choć bez bardzo precyzyjnego określenia kryterium doboru bohaterów. Ukazał się też autorski „Słownik biograficzny Warmii, Mazur i Powiśla XIX i XX wieku (do 1945 roku)” Tadeusza Orackiego.³ Po części pokrywający się z nim był wydawany od 1992 roku „Słownik biograficzny Pomorza Nadwiślańskiego” pod redakcją Zbigniewa Nowaka⁴. W latach 1977–1981 ukazały się trzy tomy „Śląskiego słownika biograficznego” pod redakcją Jana Kantyki i Władysława Zielińskiego⁵, uzupełnione w 1999 r. wydaniem kolejnego tomu „Śląski słownik biograficzny: seria nowa”⁶. Do tej grupy można zaliczyć również wydane w 2012 r. „Materiały do wołyńskiego słownika biograficznego A” pod red. ks. Witolda Józefa Kowalowa, i jak podaje tytuł obejmująca informacje o osobach, których nazwiska zaczynają się na literę „a”.⁷ Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne rozpoczęło w 1991 roku wydawanie „Inowrocławski słownik biograficzny”⁸. Ukazało się co najmniej cztery zeszyty tego słownika. Jeszcze w 1986 roku Zbigniew Stromski wydał „Pamięci godni. Chojnicki słownik biograficzny 1275–1980”⁹. Należy tu wspomnieć jeszcze dwa słowniki „miejskie”, „Przemyski Słownik Biograficzny” pod redakcją Lucjana Faca, Tomasza Pudłowskiego i Anny Siciak oraz cztery tomy „Słownik biograficzny miasta Lublina”, choć ukazało się ich znacznie więcej, a przytoczone są tylko przykładami.¹⁰ Słowniki, szczególnie te wydawane przed 1989 rokiem, nawet, jeśli nie cieszyły się szczególnymi względami władz centralnych, to po przemianach zyskały znacznie na poparciu władz regionalnych. Miejskowe elity regionalne czy miejskie akceptowały idee takich słowników, jako integrujących społeczności regionalne, poprawiały ich poczucie godności i zasługi nie tylko dla swojej małej ojczyzny¹¹. Stawały się takie słowniki także wizytówką dającą przy tym poczucie ciągłości, przynależności do lokalnej wspólnoty. Pozwalając niejednokrotnie odnaleźć własne korzenie; spełniały rolę dającą się porównać tylko do tej, którą kiedyś dla szlachetnie urodzonych spełniały herbarze.

Wśród słowników branżowych, które jak można sądzić powstają, jako chęć, a może i konieczność podkreślenia przez różne grup zawodowe swojego znaczenia i wagi, jaką wnoszą do naszej przeszłości i obecności przedstawiciele danej dziedziny. Można wśród nich wyróżnić dwie podgrupy, jedną stanowią słowniki historyczne, zawierające li tylko informacje o już nieżyjących przedstawicielach danego zawodu.¹² Drugą podgrupę stanowią słowniki przydatne w bieżącej działalności ludzi danego zawodu np. lekarzy czy statystyków.¹³

Istnieją też słowniki ogólne, obejmujące biogramy osób niezależnie od miejsca urodzenia, posiadanych kwalifikacji, a jedynym kryterium generalnym pozostaje faktyczna aktywność w ważnych sprawach.

Najważniejszym spośród nich to niewątpliwie „Polski Słownik Biograficzny”, który powstaje od osiemdziesięciu laty, powoli zbliżając się do zakończenia pierwszej edycji. Ukazało się też sporo innych słowników, które zgromadziły informacje o ludziach, których łączyło przede wszystkim uczestnictwo w jakimś wydarzeniu, będą to słowniki np. martyrologiczne, jak „Słownik uczestniczek walk o niepodległość Polski 1939–1947”¹⁴, czy zupełnie wyjątkowe dzieło Michała Grynberga „Księga sprawiedliwych”¹⁵. To ostatnie wspomniane dzieło zawiera informacje o ludziach, którzy w czasie II wojny światowej nieśli pomoc prześladowanym Żydom.

Dlaczego więc podejmować prace nad słownikiem biograficznym właśnie Lwowa? Powodów podjęcia takich badań można podać wiele, ale kilka, najważniejszych, jak sądzę, warto przedstawić bliżej. Pierwszą i najważniejszą pozostaje rola, jaką odegrał Lwów, a przede wszystkim jego mieszkańcy, w historii Polski, a właściwie całej Europy Środkowo-Wschodniej. Pamiętając o tym, że historię tworzą ludzie, ale zawsze w określonym miejscu i czasie, właśnie Lwów był miejscem, gdzie działy się ważne wydarzenia historyczne, gdzie nie tylko zderzały się, ale i przenikały przeróżne kultury, religie, języki, a właściwie wszystko, co z życia ludzkiego zdołamy przypomnieć sobie i opisać. Tą wyjątkowość Lwowa podkreślają do dzisiaj wszyscy, którzy go znają i poznają. Nie bez powodu bard Lwowa śpiewał „*nima jak Lwów*”, bo tak było. To już wystarczający powód, by przypomnieć najważniejszych choćby ludzi, z tym miastem związanych. Kolejnym argumentem *za* pozostaje fakt, że projekty zajmowania się Lwowem, jego mieszkańcami, jak i całymi Kresami, nie tylko nie wzbudzały i nie wzbudza zainteresowania władz centralnych. Władze okresu PRL-u wykreśliły Lwów i Ziemię Czerwieńską z historii Polski bez chwili namysłu, zakładając na nie ostrą cenzurę prewencyjną.

Próba wymazania przeszłości z polskiej świadomości, prawie się udała, na szczęście nie do końca. Przeszłość jest nam dana, jako taka, można, a nawet należy ją badać, poznawać, udostępniać wszystkim, bo znajomość przeszłości służy przyszłości. Nawet najtrudniejsza, najbardziej skomplikowana przeszłość musi być poznana. Niestety, niewiele zmienił w tej sprawie upadek PRL-u. Zniknął, co prawda zapis cenzorski na Lwów, ale dawna opozycja opierała się przed podejmowaniem tej tematyki, kierując się krótkowzrocznym pragmatyzmem politycznym chwili. Obecnie można zaobserwować trzy zasadnicze postawy. Pierwsza jest negacja potrzeby zajmowania się sprawami Lwowa i w ogóle sprawami Kresów, czy to bliższych czy dalszych. Motywacje w tym przypadku są bardzo różne. Od negowania jakiegokolwiek wagi Lwowa, po pokutniczą pozę walki z polskim kolonializmem.

Postawę tę na ogół zajmują politycy, dość często intelektualiści, tzw. postępowcy i realiści. Dla polityków, z bardzo zresztą różnych ugrupowań to sprawa zmienna, zależna od koniunktury. Ponieważ obecnie nasza przeszłość znacznie bardziej zależy od utrzymania, bądź też dostania się na rynki naszych wschodnich sąsiadów, to lepiej nic nie mówić, bo to pachnie nacjonalizmem. Rok 2014 przyniósł dodatkowy argument w postaci polskiej konieczności wspierania niepodległości Ukrainy, tym bardziej, że notowane są sygnały o wzroście sympatii do Polski wśród Ukraińców. Intelektualiści nie bardzo chcą się tą tematyką zajmować, bo sprawy są rzeczywiście delikatne, raczej nieprzebadane, więc lepiej się nie wypowiadać. Postawa ta jest charakterystyczną, przede wszystkim dla tych, którzy oceniając sprawy z przeszłości stosują, świadomie lub nieświadomie, skalę ocen współczesnych. Tzw. postępowcy, to przede wszystkim ci, którzy odrzucają zajmowanie się tematyką lwowska, wysuwając argument, że to spoglądanie za siebie, podczas gdy obecnie i jeszcze przez wiele lat trzeba będzie spoglądać naprzód, to, co za nami nie jest warte nawet poznania. Z kolei tzw. realiści, to tacy, co sądzą, że może i warto by się było zająć tymi sprawami, ale albo obrażają się Ukraińcy, że to wroga nacjonalistyczna i antyukraińska robota Polaków, albo, że trzeba zrezygnować z tych spraw, na rzecz ważniejszych.

Druga postawa jest równie skrajna, jak pierwsza, jednak o przeciwnym wektorze działania; tylko sprawy Lwowa czy Kresów są ważne, poprzez ich pryzmat należy wszystko i wszystkich oceniać. Taką postawę zajmują różnych odcieni nacjonaści, czy wręcz szowiniści. Osobną grupę stanowią, w moim przekonaniu usprawiedliwiona, stanowią ci, którzy się stamtąd wywiedli. Dlaczego? Z tej przyczyny, że ich dzisiejsza postawa jest przede wszystkim efektem krzywdy doznanej wskutek działania zbiorowej odpowiedzialności; Polacy mieszkający we Lwowie w 1944 roku zostali potraktowani wyłącznie źle przez nowe władze i wygnani. Motywem propagandowym, wygnania, jak głosiły władze sowieckie, była jak to nazywali „polska okupacja Lwowa”, a więc za przyłączenie Lwowa przez Kazimierza Wielkiego w XIV wieku, za nauczanie tam po polsku, za listopad 1918 roku... itd., bez względu na to czy w tym uczestniczyli, akceptowali czy się temu przeciwstawiali. Uznani zostali za winnych, bo byli Polakami lub obywatelami polskimi. Ponadto ludzie stamtąd nie otrzymali nawet najmniejszej satysfakcji, jaką byłoby oficjalne potwierdzenie, że ich wygnanie było po prostu niesprawiedliwością. Nawet odszkodowania za mienie utracone wypłacało im Państwo Polskie, a nie ci, którzy do tej sytuacji doprowadzili. Przez dziesiątki lat zacierano tym ludziom ich własną przeszłość, chociażby w tak symboliczny sposób, jakim było wpisywanie w dowodach osobistych obok miejsca urodzenia – Lwów – dodatkowo ZSRR. nawet

tym, którzy urodzili się w XIX stuleciu. Dlatego ofiary historii, broniące się przed utratą własnej przeszłości, a więc i tożsamości, nie mogą być oceniane tak samo, jak ci, którzy podnoszą sprawę Lwowa, w swoisty dla siebie sposób, mający na celu sprowokowanie waśni narodowych.

Istnieje też trzecia postawa. Jak już zostało napisane, Lwów ze swoją historią, ludźmi, problemami i wszystkim, co kryje się za jego nazwą, jest po prostu dany, bo istniał i istnieje. Nie można się na to obrażać czy negocjować. Niewątpliwie, ze względu na powyższe powody Lwów, dzieje miasta i ludzi w nim mieszkających muszą być poznane i to możliwie najdokładniej, najpełniej i najszybciej. Powinna powstać instytucja, podobna do np. Instytutu Zachodniego, zajmująca się Kresami, która w sposób systematyczny i naukowy by przeprowadzała takie badania.

Z tych i jeszcze wielu innych, niewyartykułowanych tutaj powodów, dotychczasowe inicjatywy stworzenia słownika biograficznego Lwowa na ogół nie dochodziły do skutku. Pewnym wyjątkiem pozostaje wydawnictwo „*Konspiracja lwowska 1939–1944. Słownik biograficzny*” przygotowane przez Grzegorza Mazura i Jerzego Węsierskiego¹⁶, ale obejmuje ono tylko niewielką grupę osób. Nie wnikając w powody, dlaczego nie powstał ogólny słownik, pragnę poniżej przedstawić wstępne założenia „*Lwowskiego Słownika Biograficznego*”. Niechaj uznanym powodem sporządzenia go będzie argument, iż dostatecznie wspaniałym miastem To Miasto było i jest, aby warto było utrwalić, choć strzępy wiedzy o tych, którzy w jego murach zamieszkiwali przez stulecia. Tym bardziej, że w chwili obecnej znacznie poszerzyły się możliwości korzystania z najważniejszych archiwów lwowskich¹⁷, co nie było możliwym przez dziesięciolecia. Poniższe uwagi oparte są jeszcze bez korzystania w szerszym zakresie ze wspomnianych archiwów, stąd mają one charakter wstępnego opracowania opartego przede wszystkim na literaturze drukowanej, ale też na nielicznych archiwaliach, które pozostają dostępne w obecnych granicach Polski i częściowo na emigracji. W miarę możliwości wykorzystywać należy prasę lwowską, zarówno tę, którą możemy odnaleźć w bibliotekach i hemerotekach, ale również poprzez strony internetowe, jak praktycznie komplet „*Gazety Lwowskiej*” z lat 1811–1939 na stronach Śląskiej Biblioteki Cyfrowej, czy austriackiej Biblioteki Narodowej.

O kim należy zbierać informacje? Naturalnym pozostaje stwierdzenie, iż miejsce w tym słowniku, należy się wszystkim, którzy zasłużyli się miastu. W ten sposób oczywiście znajdzie się w wielu nie lwowian, a nie znajdzie się miejsce dla niejednej osoby urodzonej w tym mieście. Miejsca urodzenia człowiek przecież nie wybiera. Jedynym wyjątkiem od tej reguły pozostawiłbym tylko dla tych, którzy zmarli po II wojnie światowej. Traktowałbym je jako ofiary tej wojny, zmywy Stalina i Hit-

lera. Lista wygnanych, pozbawionych z całą premedytacją własnej małej Ojczyzny powinna zostać sporządzoną. Ponadto, w przypadku tych osób. może się to stać praktycznie tylko wtedy, kiedy ktoś zamanifestuje swe lwowskie pochodzenie. W tym miejscu trzeba wspomnieć i o jeszcze jednej przyczynie uzasadniającej podjęcie pracy nad słownikiem. *Koniecznym jest przeciwstawienie się różnym nacjonalizmom, ale też nie wolno zapominać o prawdzie, jaką jest pamięć wielu rodaków.* Wszak II wojna światowa i lata panowania komunizmu, spowodowały, że o Lwowie nie pamiętano, a o Lwowianach zapomniano. Zanik pamięci deformuje prawdę o przeszłości. Dlatego też, współcześni o nikim z przeszłości nie mogą zapominać i są ku temu dwa ważne powody, z jednej strony jest to droga do uznania, że Kopernik to Niemiec, Ciołkowski Rosjanin, a Banach Ukrainiec, zaś inni przyzwyczajają się uważać np. Potiebnę za Rosjanina, podobnie jak Starynkiewiczza za Polaka, jak już nieraz w historii bywało. Z drugiej strony nie możliwym jest, a może winno być, wykreślenie w interesującym nas obszarze istnienia osób przynależących do więcej niż jedna kultura. Symbolem tego stały się osoby, które określane są „Genthe Rutheni, natione Poloni”.¹⁸ Tam, gdzie ścierają się różne nacjonalizmy, a przenikają kultury, ci, którzy znajdują się na pograniczu, na ogół płacą najwyższą cenę, w tym i niepamięci, za swe bogactwo, jakim jest udział w więcej niż jednej kulturze. Idąc dalej pojawi się oczywiście problem, gdy dla jednych postać będzie „dobra”, bo „nasza”, a dla tych drugich „zła”, bo nie „nasza”. Ważnym w tym wypadku będzie, czy działania takiej osoby miały wpływ na dzieje Lwowa.

Słownik, co wydaje się naturalnym, winien chronologicznie obejmować cały czas istnienia miasta, tj. od połowy XIII wieku. Zrozumiałym jest, że pewnie najwięcej będzie biogramów odnoszących się do czasów najnowszych XIX–XX wieku. Trudno byłoby jednak pominąć czasy dawniejsze, z których wyrosli i gwardziści narodowi 1848 roku. Lwowscy uczestnicy wszystkich zrywów narodowych, Orleża i nieznanymi szerszemu ogółowi żołnierze Lwowskiego Obszaru Armii Krajowej i innych organizacji. Winni być reprezentanci wszystkich narodowości zamieszkujących kiedykolwiek w Tym Mieście, nie tylko Polacy, Żydzi i Ukraińcy, ale i Ormianie, Niemcy, Czesi, Grecy i inni.

Poważnym ograniczeniem chyba pozostaje konieczność ograniczenia się geograficznie do miasta Lwowa, choć ważnym byłoby opracowanie takie słownika dla całych Kresów, a przynajmniej dla Kresów Południowo-Wschodnich. Pozwoliłoby to na sporządzenie w miarę pełnego, oczywiście o ile to możliwe, i reprezentatywnego, choć pewnie subiektywnego, zestawu biograficznego.

Konstrukcja samych biogramów winna być zbliżona do tych, które pisane są dla Polskiego Słownika Biograficznego. Obejmowałyby więc

całe życie osoby opisywanej, wraz z podaniem źródeł informacji. W miarę możliwości powinno się znaleźć wizerunek o bohaterze. W przypadku Lwowskiego Słownika Biograficznego, oczywistym wydaje się szczególnie podkreślanie elementów lwowskich.

Przykładem może być poniższy biogram:

d'ABANCOURT de FRANQUEVILLE Karol (26.05.1851 – 16.08.1913)

Ur. Łówcza, powiat lubaczowski. Zm. Rabka. Działacz społeczny i poseł do Sejmu Galicyjskiego, doktor prawa. Pochodził z bardzo zasłużonej rodziny arystokratycznej, francuskiej, którego dziad przybył do Galicji jako uchodźca. Syn Franciszka, brat Franciszka Ksawerego. W latach 60-tych XIX w. uczęszczał do I Gimnazjum we Lwowie, następnie studia prawnicze odbywał również we Lwowie. Jako prawnik, pracował w sądownictwie na prowincji, w Bełzie, Brodach, Bolechowie i Żurawnie. Aktywny działacz społeczny, znany ze swej koncyliacyjnej postawy, starający się godzić antagonizmy narodowościowe i społeczne. Zakładał kooperatywy, jako remedium na ciężką sytuację ekonomiczną w Galicji. Za założenie kooperatywy i szkoły przemysłowej w Żurawnie (ok. 1895 r.) otrzymał honorowe obywatelstwo tego miasta. W 1895 r. wybrany został posłem z ziemi żydaczowskiej do Krajowego Sejmu Galicyjskiego. Za swą postawę narodową został zmuszony do ustąpienia, w 1900 r. Został radcą sądowym we Lwowie, skąd w 1898 r. wraz z pięcioma innymi delegatami austriackimi wysłany został do Prus i Saksonii w celu zapoznania się z tamtejszym systemem organizacyjnym sądownictwa. Po powrocie położył znaczne zasługi przy organizowaniu sądownictwa w Galicji; m.in. organizator Rad Sierocych i sądowych Kas Sierocych. Został członkiem Narodowej Demokracji, w której działał aktywnie. Czynnym członkiem Towarzystwa Prawniczego. Towarzystwa Szkół Ludowych, Sokoła-Macierzy, a także Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Uczestników Powstania Polskiego w R. 1863/4 we Lwowie. Stracił oko w pojedynku. Pod koniec życia utracił wzrok.

Żona Aniela, z którą posiadał pięć córek, Marię, Jadwigę, Henrykę, Zofię i Annę. Przynajmniej w 1902 r. mieszkał przy ul. Zielonej 30, a następnie, choć nie wiadomo od kiedy, ale już do śmierci mieszkał przy ul. Gosiewskiego 4.

Biblio.: Helena d'Abancourt: *d'Abancourt de Franqueville Karol*, Polski Słownik Biograficzny, Kraków 1935, t. 1 s.3–4; XXVII Sprawozdanie z czynności Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Uczestników Powstania Polskiego z r. 1863/4 za rok 1913, Lwów 1914, s. 16; *Księga Adresowa król.stoi. Miasta Lwowa*. R.6:1902, wydawca i właściciel Fr.Reichman, s. 1; *Księga pamiątkowa półwiekowego jubileuszu Gimnazjum im. Franciszka Józefa I we Lwowie. 1858–1908*. Zestawił Józef Białynia Chołodecki.

Lwów 1909, s. 177; *Pamiętnik IV Złotu Sokolstwa Polskiego we Lwowie w dniach 27.–29. czerwca 1903*, we Lwowie 1904, s.139; Księga Adresowa 1913 s. 1; Internet: *Wrześniowe rozstanie panien d'Abancourt*, <http://wroclaw.gazeta.pl/wroclaw/2029020.35771.7051969.1>;

BACZYŃSKI Karol (11.02.1865 – wiosna 1940)

Ur. Lwów. Zm. Katyń. Syn Jana i Anny z d. Fischer. Oficer Legionów Polskich. Uczęszczał do 7–klasowej szkoły realnej we Lwowie. Od 1893 r. pracował jako urzędnik sądowy we Lwowie. Od 1896 członek tajnej organizacji patriotycznej „Orzeł Biały”; miał być za to poszukiwanym przez Austriaków, a nawet Rosjan. W 1897 został członkiem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, należał również jako ochotnik do straży pożarnej. Zaangażował się też w Towarzystwie Szkoły Ludowej i Towarzystwie Młodzieży Polskiej im. T. Kościuszki. Następnie należał do Drużyn Bartoszewych. W 1911 zorganizował w domu Towarzystwa im. T. Kościuszki, w którym był wiceprezesem i w ochotniczych strażach pożarnych, których był naczelnikiem, niepodległościową organizację paramilitarną – Drużyny im. T. Kościuszki. W tych drużynach ukończył kurs oficerski. Od 16.08.1914 r., ze swą zmobilizowaną Drużyną im. T. Kościuszki przystąpił do Legionu Wschodniego. W ramach Legionu dowodził kompanią, z którą 29.08. opuścił Lwów. Po likwidacji Legionu Wschodniego, 26.09.1914 został dowódcą 14 kompanii 3 p.p. Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego, z którą uczestniczył w kampanii karpackiej; 14.03.1915 r. został awansowany na porucznika piechoty. Przejściowo w dniach 27.02.–22.03.1915 dowodził batalionem. 10.05.1915 został przeniesiony do powstającego 4 pp Legionów Polskich, w którym dowodził 12 kompanią. Z całym pułkiem 15.07.1915 wyruszył na front. Od 7.08.1915 dowódca obozu szkolnego w Jastkowie, a 8.09. awansowany na kapitana piechoty. Obóz stanowił baon uzupełniający nr 4; dowodził nim do 10.01.1916, ale od 28.11.1915 stacjonował w Kozienicach. Następnie został dowódcą stacji zbornej i komendantem placu Legionów w Kowlu (31.01.–31.12.1916, od 20.06. z siedzibą w Lublinie) i Lublinie (1.01.1917–6.03.1918). Następnie wyjechał do Lwowa, gdzie należał do zarządu organizacji byłych legionistów. Wziął udział w walkach o Lwów, gdzie od 1.11.1918 jako kapitan dowodził obroną Szkoły Sienkiewicza. 5.11.1918 został dowódcą odcinka V z komendą w Szkole Sienkiewicza. Po wyparciu Ukraińców z miasta, 24.11.1918 awansowany na majora piechoty, 25.11.1918 objął dowództwo II baonu 1 pułku strzelców lwowskich (późniejszego 38 pp). Uczestniczył w walkach z Ukraińcami w Małopolsce Wschodniej; przejściowo 1–17.10.1919 dowodził 38 pp. Od 20.12.1919 pracował w Dowództwie Okręgu Generalnego we Lwowie, gdzie objął stanowisko referenta w oddziale personalnym. Szybko jed-

nak, w związku z wojną polsko-bolszewicką, bo już od 21.03.1920 dowódca VI/6 baonu wartowniczego, by 16.04. zostać komendantem placu i zastępcą dowódcy miasta Mińsk Litewski. Od 18.07.1920 dowodził baonem wartowniczym IV/IX i następnie od 1.10.1920 IV warszawskim baonem etapowym WP. Jednocześnie w okresie 10.12.1920–15.03.1921 pełnił funkcję dowódcy 4 brygady Etapowej i dowódcy Powiatu Etapowego w Łunińcu. Po zakończeniu wojny został dowódcą baonu celnego nr 30, od 1.08.1921. Od 1.09.1922 mianowany zastępcą komendanta białostockiej komendy Straży Granicznej. 14.07.1923 zwolniony ze służby w straży, a 7.12 zdemobilizowany. 8.02.1924 zatwierdzony w stopniu podpułkownika pospolitego ruszenia ze starszeństwem z 1.06.1919. Powrócił do Lwowa, gdzie podjął działalność społeczną. Od 27.05.1923 członek Związku Legionistów okręgu Lwów, w 1927 był prezesem Związku Obrońców Lwowa. Członek Komitetu Budowy Pomnika gen. Rozwadowskiego we Lwowie. Czynn timer uczestniczył w działalności Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny, jako członek Związku Obrońców Lwowa, w jego lwowskim oddziale.

Po wybuchu II wojny światowej i zajęciu Lwowa przez sowietów, był więziony, został zamordowany pod koniec maja lub w czerwcu 1940 r. na Ukrainie.

Posiadał liczne odznaczenia, w tym Order Virtuti Militari V kl., Krzyż Niepodległości, Order Odrodzenia Polski IV kl.; trzykrotnie otrzymał Krzyż Walecznych 3-krotnie; a dwukrotnie Złoty Krzyż Zasługi.

Pozostawił wspomnień wydanych p.t. „Wspomnienia z czasu obrony Lwowa” opublikowane w: „Obrona Lwowa 1–122 listopada 1918, t. I, Lwów 1933.

Żonaty był z Władysławą z d. Heyda, mieli dwóch synów i dwie córki; Stanisława Tadeusza (ur.1895); Zdzisława Jana (1902–1940), Marię (ur.1917) oraz Zofię (ur.1919).

Jego portret olejny pędzla L. Kwiatkowskiego prezentowany był w 1935 na wystawie we Lwowie pt. „Obrona Lwowa 1918–1919”. Jego pamięci poświęcona jest tablica w katedrze polowej WP w Warszawie.

Archiwalia: Archiwum Akt Nowych, Związek Legionistów Polskich sygn. 270 s. 118; Bibliografia: *Sprawozdanie Zarządu Oddziału [Związku Legionistów we Lwowie] za czas od 5 sierpnia 1930 do 1 maja 1931 r.* [Lwów, 1931] s.39; Medyński Aleksander: *Kościół Matki Boskiej Ostrobramskiej na Łyczakowie*, Lwów 1938, s.40; *Sprawozdanie z działalności Związku Obrońców Lwowa z listopada 1918 za rok 1938–39*, Lwów 1939, s.60; *Lwów i Małopolska Wschodnia w Legjonach Polskich 1914–1917*. Zeszyt 1. Lwów 1935, s.10; Niciejka Stanisław S.: *Cmentarz Obrońców Lwowa*, Ossolineum 1990,, s.30,78.274; *Aresztowani w rejonie Lwowa i Drohobycza. Alfabetyczny wykaz 5822 obywateli polskich*

aresztowanych przez NKWD w rejonie Lwowa i Drohobycza w latach 1939–1941, [Warszawa] 1998, s.24; Mękicki Rudolf: *Przewodnik po wystawie Obrony Lwowa 1918–1919*, Lwów 1935, s. 13; *Walki o Lwów i Małopolskę Wschodnią 1918–1919*. Wybór materiałów źródłowych. Wstęp, wybór dokumentów i opracowanie Bogusław Polak. Koszalin 2000, t. 1 s.56; Cygan Wiktor Krzysztof: *Żołnierze Niepodległości 1863–1938. Słownik biograficzny*. tom 2 Andrzejak Ludwik–Bagiński Paweł, Warszawa–Kraków 2011, s.237–238; tygodnik „Zorza” 1988 nr 11 s.20–21.

Krzysztof Smolana

PRZYPISY

- ¹ Elektroniczny katalog Biblioteki Narodowej zawiera informację o ponad trzystu tomach słowników biograficznych, bardzo różnego rodzaju.
- ² *Wielkopolski Słownik Biograficzny* Warszawa 1981. PWN, ss.890.
- ³ Tadeusz Oracki, *Słownik biograficzny Warmii, Mazur i Powiśla XIX i XX wieku (do 1945 roku)*, Warszawa 1983, Instytut Wydawniczy PAX ss.349.
- ⁴ *Słownik biograficzny Pomorza Nadwiślańskiego*, pod redakcją Zbigniewa Nowaka, Gdańsk 1992-1997 t. 1-4 oraz w 1998 i 2002 ukazały się dwa suplementy do tego słownika.
- ⁵ *Śląski słownik biograficzny*, pod redakcją Jana Kantyki i Władysława Zielińskiego, Katowice, t. I 1977 ss.287, t.II 1979, ss.304, t.III 1981,ss.373.
- ⁶ *Śląski słownik biograficzny: seria nowa*, pod redakcją Mirosława Fazana i Franciszka Serafina, Katowice 1999, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego ss.348.
- ⁷ *Materiały do wołyńskiego słownika biograficznego A*, pod red. Ks. Witolda Józefa Kowalowa, Biały Dunajec-Ostróg 2012, Biblioteka „Wołania z Wołynia” t.78, ss.95.
- ⁸ *Inowrocławski słownik biograficzny*, pod redakcją Edmunda Mikołajczaka, Inowrocław 1999, ss. 104.
- ⁹ Zbigniew Stronski: *Pamięci godni. Chojnicki słownik biograficzny 1275-1980*, Pomorze-Bydgoszcz 1986 ss. 193.
- ¹⁰ *Przemyski Słownik Biograficzny* t. 1. pod redakcją Lucjana Faca i Tomasza Pudłowskiego, Przemyśl 2009, ss. 162, i t. 2 pod redakcją Lucjana Faca, Tomasza Pudłowskiego i Anny Siciak, Przemyśl 2011 ss. 194. *Słownik biograficzny miasta Lublina*, pod redakcją Tadeusza Radzika, Jana Skarbka i Adama A. Witusika, Lublin Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Lublinie, wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. t. 1 1997 ss.318, t.2 pod redakcją Tadeusza Radzika, Adama A. Witusika i Jana Ziółka 1996 ss.321; t.3 2009 ss.368 i t.4. pod redakcją naukową Paweł Jasiuk, Marek Sioma, Jerzy Terner, ss.322.
- ¹¹ Czasami takie zasługi ujawniały się już w tytułach, zob. np. Roman Sobczak: *Ludzie najbardziej zasłużeni dla Konina z lat 1945-2005*, Konin 2004, ss.64.
- ¹² Zob. m.in. *Słownik biograficzny archiwistów polskich*, tom I 1918-1984, Warszawa-Lódź 1988 ss.237; tom II 1906-2001, Warszawa 2002 ss.213; Nitecki P.: *Biskupi Kościoła w Polsce. Słownik biograficzny*. Warszawa 1992 ss.273; A. Sowiński: *Słownik muzyków polskich dawnych i nowoczesnych*, Paryż 1874; *Słownik biograficzny teatru polskiego 1765-1965*, Warszawa 1973, ss.905; *Słownik biograficzny teatru polskiego 1900-1980*. Warszawa 1999, ss.862
- ¹³ Zob. m.in. *Kto jest kim w polskiej medycynie. Informator biograficzny*, Warszawa 1987, ss.795; Sylwetki statystyków polskich, Warszawa 1993. Polskie Towarzystwo Statystyczne, Główny Urząd Statystyczny, ss. 167.
- ¹⁴ Zob. *Słownik uczestniczek walki o niepodległość Polski 1939-1945*. Poległe i zmarłe w okresie okupacji niemieckiej, Warszawa 1988, ss.614; tom drugi jest w przygotowaniu. Oba tomy zostały poprzedzone wydanymi w 1978 roku tomem p.t. „Materiały do słownika biograficznego kobiet

uczestniczek walk o niepodległość Polski 1939-1945. Część I (próbna) Poległe i zmarłe w 2 wojnie światowej nazwiska od A do K, Warszawa 1978. ss. 195.

¹⁵ Michał Grynberg: *Księga sprawiedliwych*, Warszawa 1993, ss.766.

¹⁶ Grzegorz Mazur, Jerzy Węgierski, „*Konspiracja lwowska 1939-1944. Słownik biograficzny*” Wydawnictwo Unia, Katowice 1997, ss.254.

¹⁷ Należy podkreślić, że dzisiaj można korzystać również poprzez stronę internetową Zakładu Narodowego im. Ossolińskich z części zespołów Ossolineum przechowywanych we Lwowie, które w ostatnich latach zostały zeskanowane i są to już tysiące stron dokumentów.

¹⁸ Jednym z nielicznych przykładów podjęcia tego pozostaje praca Adama Świątka *Genthe Ruthe- ni, nazione Poloni. Z dziejów Rusinó1) narodowości polskiej w Galicji*, Kraków 2014 ss.509.

LWOWSKA KATEDRA ŁACIŃSKA

Z wierną pamięcią – Siostrze Tereni

*Katedra łacińska we Lwowie. Opracowali **Jakub Adamski, Marcin Biernat, Jan K. Ostrowski, Jerzy T. Petrus**; Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2012, s. 288 (część tekstowa), ilustr. 844*

Trzeba było czekać ponad 140 lat, aby od wydania pierwszego dzieła poświęconego dziejom katedry lwowskiej powstała historyczno-artystyczna monografia najważniejszej świątyni rzymskokatolickiej na ziemi lwowskiej (na terenie dawnego województwa ruskiego). Obie edycje dzieli czas wydania, nade wszystko zaś ich charakter. Pierwsze dzieło (*Kościół katedralny lwowski obrządku łacińskiego*, Lwów 1872) wyszło spod ręki M. Dzieduszyckiego, będąc wyrazem pasji historyka-amatora. Książka wznowiona w latach 80. ub. wieku w reprintsie spełniała nową rolę wpisując się w nurt piśmiennictwa przywracającego stopniowo historyczną pamięć po latach systemowych przemilczeń i „wyklęcia” tematyki ziem południowo-wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, przede wszystkim tematyki lwowskiej. Z istoty rzeczy praca ta jednak nie spełnia wymogów ani ujęcia całościowego, ani naukowego. Między „dawnymi a nowymi czasy” wystąpiło pokolenie badaczy, w znacznej części lwowskich, którzy pogłębili badania nad sztuką ziemi lwowskiej i zabytkami sztuki sakralnej w samym Lwowie, w niejednym zakresie rozszerzając wiedzę o katedrze lwowskiej. Jednak prace te odzwierciedlające indywidualne obszary zainteresowań uczonych także miały charakter fragmentaryczny, w niepełnym zakresie przedstawiały dzieje lwowskiej katedry, podobnie jak opracowania popularnonaukowe czy przewodniki. Ten stan rzeczy dokładniej został scharakteryzowany we Wstępie. W piśmiennictwie do 1939 roku dominowały ujęcia historyczne, ujmujące katedrę głównie w aspekcie dziejów Kościoła katolickiego na Rusi niż dziejów samej katedry. Nierównomiernie były zbadane etapy jej powstawania; w miarę dostatecznie określono fazę średniowieczną, obraz okresu XV-XVII, XIX wieku, po części dwudziestolecia międzywojennego jest niepełny. Wzmianki o ka-

tedrze zawarte w prasie do 1939 r. nie są miarodajne dla celów poznawczo-naukowych i dalece niewystarczające. Po II wojnie światowej nastąpił drastyczny regres w badaniach dziejów katedry spowodowany brakiem dostępu do lwowskich archiwów i istotnymi trudnościami w prowadzeniu prac na miejscu. Charakteryzując stan badań i dotychczasowego piśmiennictwa dotyczącego katedry autorzy we Wstępie dopowiedzieli: „Luki tej nie wypełnili uczeni ukraińscy, do takich badań w większości nie przygotowani i nie wykazujący nimi większego zainteresowania.” Jest to po części zrozumiałe: „żelazna kurtyna” i przesłanki ideologiczne na wiele lat skutecznie odcięły uczonych strefy wschodniej od światowej literatury i bezpośrednich międzynarodowych kontaktów naukowych, a trudno prowadzić studia w zakresie historii sztuki (nie tylko w tym) odwołując się do teorii o klasowej strukturze społeczeństwa i wspierając się cytatami z klasyków marksizmu. O ile jednak uczeni polscy w tej dziedzinie wiedzy zdołali znieść dystans dzielący ich od świata, a niektórzy wybili się na pozycję uznanych autorytetów naukowych w skali europejskiej czy nawet światowej, to uczonym ukraińskim to szczęście i pewne możliwości w tym zakresie nie były dane. Inne okoliczności wspomnianej „wstrzeźliwości badawczej” kurtuazyjnie przemilczymy.

Zmiana sytuacji politycznych w Polsce i na Ukrainie w latach 90. ub. wieku stała się podstawową przesłanką wielkiego przełomu w badaniach nad historią i sztuką ziem wschodnich podjętych w kilku ośrodkach naukowych (Kraków, Lublin, Warszawa). Dostęp do obiektów i archiwów nie był już doktrynalnie ograniczony.

Aktualny rozwój tych badań wymaga odrębnego omówienia, bowiem wyniki są imponujące i niezwykle. Wymownym świadectwem jest m. in. monumentalna edycja pt. „Materiały do dziejów sztuki sakralnej na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej”, a w jej ramach sygnalizowane dzieło oznaczone jako 21. tom serii. Jest owa edycja ewenementem naukowym i wydawniczym. Rejestruje zabytki sztuki sakralnej niezależnie od ich aktualnego stanu zachowania na ogromnym obszarze dawnej łacińskiej metropolii lwowskiej, opierając się na wieloletnich badaniach obiektów prowadzonych w terenie i badaniach archiwalnych, podjętych możliwie w najszerszym zakresie.

Tom poświęcony katedrze łacińskiej we Lwowie ma szczególne znaczenie. Dotyczy wszak najważniejszej świątyni katolickiej na wskazanym terenie, świątyni o wyjątkowym znaczeniu symbolicznym w aspekcie religijnym i narodowym, która sama w sobie jest znaczącym dziełem sztuki i zarazem swoistą skarbnicą dzieł sztuki, choć wiele z nich w ciągu wieków uległo zniszczeniu, zatraceniu (tu choćby wspomnieć konfiskaty austriackie na początku XIX wieku) lub w toku zmiennych losów dziejowych rozmaitym przemieszczeniom, znajdując miejsce bądź

w innych obiektach sakralnych (w tym na terenie Polski) lub w różnych zbiorach muzealnych na Ukrainie czy w Polsce.

Imponująca księga przedstawia syntetycznie (i po raz pierwszy w tak szerokim zakresie) dzieje wznoszenia katedry od lokacji miasta przez Kazimierza Wielkiego w połowie XIV wieku i etapy jej przekształceń aż po czasy współczesne. Omówiono proces powstawania poszczególnych strukturalnych elementów budowli – naw, sklepień, kaplic, wież. Ukazano proces wzbogacania wyposażenia świątyni: ołtarze, ambona, organy, dzwony, sprzęty dekoracyjne, „aparaty liturgiczne”, tablice pamiątkowe, nagrobki, wota itp. Wzmianki te powiązano z nazwiskami wielu fundatorów dzieł i darczyńców, na ile pozwalały na to zachowane archiwalia, głównie lwowskie. Odtworzono kolejne etapy prac remontowo-modernizacyjnych, wynikających z procesu zniszczeń, bądź w wyniku wydarzeń losowych lub naturalnej destrukcji substancji materialnej w związku z upływem czasu. W sumie uzyskujemy możliwie pełny przegląd architektonicznych przekształceń katedry, ze szczególnym uwzględnieniem modernizacji podjętej przez abpa Hieronima Sierakowskiego w XVIII w., a potem na przełomie XIX/XX w.

Monografię artystyczną ujęto w możliwie najszerszym zakresie. W poszczególnych częściach przedstawiono analizę architektury katedry (korpus, nawy boczne, kaplice, sklepienia, chór muzyczny, elewacje, wieże). Kolejno scharakteryzowano dekorację malarską wewnątrz (motywy tematyczne, walory dekoracyjne), dzieła małej architektury, inskrypcje i przedmioty pamiątkowe na zewnątrz budowli. Z kolei zwrócono uwagę na dekorację rzeźbiarską wewnątrz (rzeźba drewniana i stiukowa) i na zespół witraży. Ponieważ obecnie są one trudno dostępne dla wykonania dokumentacji fotograficznej, sporządzono dokładny ich opis (treść wyobrażeń, motywy zdobnicze), wykorzystując dane zawarte w dokumentacji powstałej w toku prowadzonych prac konserwatorskich. Dokładność opisu jest ważna nie tylko ze względu na wartość artystyczną, ale też na tematykę: przedstawiają one sceny historyczne, osobistości (święci, hierarchowie kościelni), herby, związane z dziejami katedry i ziemi lwowskiej, po części także Litwy i Wilna. Podano dane dotyczące fundatorów, projektantów, wykonawców i konserwatorów. Zespół witraży pochodzi z początku XX wieku, wypełniając miejsca po zamurowanych dawniej oknach, powstał zaś według projektów wybitnych artystów jak Józef Mehoffer, Tadeusz Popiel, Teodor Axentowicz, Julian Makarewicz, a niektóre wyobrażenia oparto na szkicach lub obrazach Jana Matejki. Poziom artystyczny dopełniony jest przez fakt, że realizację podjęły znane ówczesnie pracownie sztuki witraży (krakowskie, niemieckie, austriacko-wiedeńskie), i było to wykonawstwo wysokiej próby.

Szczegółowo scharakteryzowano wyposażenie wnętrza katedry: ołtarze w kaplicach i nawach, ambona, balustrady, stalle, ławki, feretrony, obrazy i rzeźby, pomniki nagrobne, epitafia i tablice pamiątkowe (upamiętniające m. in. zamordowanych profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza, ofiary zbrodni katyńskiej, arcybiskupów i administratorów archidiecezji lwowskiej w Lubaczowie).

Nader obszerny jest opis naczyń i przyborów liturgicznych, ze szczególnym określeniem ich rodzajów (kadzielnice, relikwiarze, krzyże arcybiskupie, pastorały, krzyże ołtarzowe, świeczniki ołtarzowe, wota). W opisie uwzględniono ważne elementy: datowania, cechy artystyczne, w miarę dostępności danych – fundatorów, a niekiedy wykonawców (warsztaty ze Lwowa, Francji, Wiednia, Wrocławia czy warszawskie, jak np. z-dy Norblina).

Opisem objęto wielki zespół szat liturgicznych, specyfikując je według rodzajów i określając czas pochodzenia, rodzaje materiału, z którego je wykonano, technikę wykonania, rodzaje motywów zdobniczych, kolorystykę, napisy na szatach. Dalsza część dokumentacyjna dotyczy kaplicy Boimów (kaplica p.w. Św. Trójcy i Męki Pańskiej, zwana też Ogrojcową), usytuowanej na zewnątrz katedry, na terenie dawnego cmentarza miejskiego przy farze.

Przedstawiono aktualny stan zachowania architektury i wyposażenia katedry; interesujące są ustalenia odnośnie aktualnego miejsca przechowywania ruchomych elementów wyposażenia katedry lwowskiej, przemieszczonych do kościołów w Polsce (katedra w Tarnowie, Lubaczów, Kraków) i do kilku muzeów (w Łucku i Lwowie), także do odzyskiwanych kościołów archidiecezji. Z kolei do katedry przeniesiono niektóre obiekty pochodzące z innych kościołów lwowskich (Św. Marii Magdaleny, Karmelitów). Autorzy opracowania wskazali, że procesy zubożania i wzbogacania wyposażenia katedry nie były należycie dokumentowane, dlatego też informacje na ten temat są niepełne. Jest to istotne utrudnienie dla badaczy.

Obszerna część opracowania dotyczy problematyki artystycznej samej budowli. W niejednym zakresie skorygowano błędy dawniejszych ustaleń różnych autorów, wprowadzając w to miejsce nowe dane, oparte na najnowszych badaniach. Owe korekty przedstawiono zazwyczaj w formie dyskusji, a zderzenie dawnych i nowszych poglądów istotne przede wszystkim dla grona badaczy, może być prawdziwie ciekawe i kształcące także dla czytelników pasjonujących się sztuką w ogóle, a sztuką lwowską w szczególności. W problematyce artystycznej szczególnie ważny jest wątek stylu architektonicznego katedry, jej typ przestrzenny (charakter i sposób ukształtowania bryły budowli i jej poszczególnych partii), geneza, wpływy (inspiracje) artystyczne, możliwe analogie do

innych budowli sakralnych epoki w Królestwie Polskim bądź poza jego granicami. Trzeba mieć tu na względzie ów niezwykle fenomen promieniowania różnych idei i pierwowzorów artystycznych na obszarze Europy ponad granicami państw we wszystkich epokach historycznych, przenikania twórczych koncepcji we wszystkich zakresach sztuki od jednych ośrodków artystycznych do innych, co ma odniesienie także do Lwowa, od średniowiecza do przełomu XIX/XX wieku. Ten proces stałych związków sztuki Lwowa ze sztuką europejską frapująco ukazał m. in. tom studiów pod redakcją Andrzeja Betleja pod znamienym tytułem *Od Wrocławia do Lwowa* czy Jerzy Kowalczyk w pracy *Świątynie późnobarokowe na Kresach. Kościoły i klasztory w diecezjach na Rusi Koronnej* (oba dzieła omówione przez piszącego te słowa zob. „Rocznik Lwowski” 2007 i 2010/211). Wymienione dzieła uwydatniły oddziaływanie wspaniałych artystów i warsztatów z centrów artystycznych cesarstwa habsburskiego (także z Włoch) na sztukę lwowską głównie w dziedzinie architektury i rzeźby, mając jednak na uwadze i to, że owe centra czesko-morawsko-śląskie, austriackie, przejmowały idee płynące z innych obszarów sztuki europejskiej, głównie z Italii, ale też północno-zachodniej Europy. Można powiedzieć też tak, że „narodowe” (lokalne) szkoły artystyczne wpisywały się w jedność sztuki europejskiej pojmowanej globalnie. Specyfiką zaś tego procesu było to, iż w realizacjach lokalnych nie naśladowano wiernie pierwowzorów, lecz talent, wyobraźnia artystów, dziełom wychodzącym spod ich ręki nadawały znamiona pewnej odrębności, indywidualności, oryginalności. Niejednokrotnie będąc jakoś podobne w typie obiektu, były jednocześnie swoiście nowe, niekiedy zaś prekursorskie wobec kolejnych realizacji, dla których były wzorem czy twórczą inspiracją.

Dygresja ta wydaje się być na miejscu, jeśli odnieść ją do aktualnych ustaleń w zakresie genezy architektury lwowskiej świątyni. W typie budowli i jej ukształtowaniu przestrzennym odnajduje się bowiem oddziaływanie różnych tradycji architektury europejskiej (co dla dawnych badaczy było czytelne dość fragmentarycznie). Znany swego czasu architekt Sas-Zubrzycki skłonny był wiązać budowlę z wyróżnionym przez niego stylem „gotyku nadwiślańskiego”, mającym mieć według niego pewną swoistość w ramach ogólnego stylu gotyckiego. Koncepcja to dyskusyjna i obecnie nie mająca zastosowania do lwowskiej realizacji. W to miejsce autorzy dzieła dobitnie wskazują „liczne inspiracje małopolskie, śląsko-czeskie [z pogranicza śląsko-wrocławskiego], północno europejskie”, a dominuje komponenta krakowska, również nie na zasadzie naśladownictwa (kopiowania), lecz oryginalnych rozwiązań. Toteż charakterystyczna i ważna jest ta konstatacja: „Wielokierunkowość odniesień artystycznych zauważalnych w ukształtowaniu kate-

dry w pełni współgra z szerokimi kontaktami handlowymi lwowskich kupców, którzy podróżowali po znacznych obszarach Europy środkowej.” Kontakty handlowe sprzyjały wielorakim kontaktom artystycznym, zapośredniczając wędrówkę idei i wzorów szeroko rozumianej kultury i sztuki. Szczególnie wyraziście ten proces dyfuzji artystycznej ukazał właśnie tom pod red. A. Betleja, wskazujący na rozpowszechnianie się twórczych koncepcji wzdłuż tzw. owej „via regia” „drogi królewskiej”, wielkiego szlaku handlowego od krajów cesarskich przez Kraków, Małopolskę do Lwowa, wyrażając się w wielu wspaniałych realizacjach zachowanych do dziś (choćby przeniesienie na grunt polski sztuki iluzjonistycznej, co widzimy dziś w kościele OO. Pijarów w Krakowie w malarskiej a nie architektonicznej formie ołtarza głównego, malowidła na płaszczyźnie, dającego jednak pełne wrażenie jego „przestrzenności”, a także w innych obiektach powstających dalej ku wschodowi). Jest więc symptomatyczne, że np. „przesklepienie korpusu dokonali muratorzy z Wrocławia, a elementy wyposażenia kościoła sprowadzono z Krakowa.” Charakterystyczna jest też wymiana we Lwowie pokoleń architektów, budowniczych, artystów: średniowieczni muratorzy niemieccy ustąpili w kolejnej epoce miejsca budowniczym włoskim, a ci w XVII/XVIII wieku zastąpieni zostali ponownie architektami i rzeźbiarzami z krajów niemieckich, by wreszcie w samym Lwowie ukształtował się wielki ośrodek rodzimych wybitnych artystów, przejmujących twórczo wzory europejskie, promieniujący z kolei na inne obszary Rusi i pogranicze rusko-małopolskie.

Tak więc model architektoniczny katedry stał się wzorem dla far (kościółów miejskich parafialnych) na dużym obszarze: w Drohobyczu, Rohatynie, Gródku Jagiellońskim, po części w Samborze, Mościskach, Przemyślu, Przeworsku, Kamieńcu Podolskim, Krośnie.

Choć we wstępnej części dzieła autorzy wspomnieli o renowacji katedry w XVIII wieku, dokonanej z inspiracji abpa Hieronima Sierakowskiego, zagadnienie to ujęto szerzej w odrębnej partii tekstu. Uzyskaliśmy pełniejszy i merytorycznie wartościowy ogłód poczynąń metropolity, które w przewodnikach ujęte są zdawkowo, a w literaturze zagadnienia nieraz były czy są pojmowane jako „kontrowersyjne”. Władysław Łoziński w swej książce „Sztuka lwowska w XVI i XVII wieku, Architektura i rzeźba” (Lwów 1901, reprint 1989) w kilku słowach tylko mówił, iż arcybiskup „wyrzucił dawne sprzęty”, a katedra została przebudowana „z barbarzyńską gruntownością”. O innych jednak wyburzeniach starych świątyń lwowskich, na których miejscu wznoszono nowe dzieła, nie wspomni jako także o dziele barbarzyństwa. W innym miejscu (s. 191) omawiając wybitne dzieła rzeźby XVII w. lwowskiej, a przemieszczone w katedrze ze zmianami ich formy, inaczej

zlokalizowane, i ich zastany stan zachowania, odbiegający od pierwotnej postaci, znów niechwalebnie wymieni Sierakowskiego: „Prawdopodobnie ks. arcybiskup Sierakowski, restaurując i przekształcając z gruntu cały kościół katedralny pousuwał i powyrzucał dużo pomników, a inne poumieszczał, gdzie się dało, pozbawiając je tablic i obramień, z temi dwoma pomnikami obszedł się z takimże wandalizmem.” (dotyczy alabastrowych pomników abpa Zamoyskiego i abpa Tarnowskiego, dzieła rzeźbiarza A. Prochenkowicza, z ówczesnej kaplicy Zamoyskich). Istotnie, dokonana została w ciągu kilkunastu lat nie tyle renowacja co modernizacja katedry, prowadząca do przekształceń całej budowli, które zatarły w dużej części jej pierwotny charakter gotycki (średniowieczny). Działania te wynikały po części ze złego stanu technicznego, ale głównie już z nowego „ducha epoki”, w której żył i działał inicjator prac, ducha – który dziś lepiej jest poznany i rozumiany. Główna krytyka dotyczyła faktu, iż z wnętrza katedry usunięto średniowieczne wyposażenie, liczne stare ołtarze i nagrobki, zapewne znacznie zniszczone i już mało funkcjonalne, ale też „zagracające” przez nadmierne nagromadzenie i zaciemniające przestrzeń świątyni. Istotna była też ingerencja budowlana: usunięto (zburzono) dawne kaplice na cmentarzu przykościelnym (z wyjątkiem, na szczęście, kaplicy Boimów), liczne przybudówki do korpusu z XVI i XVII wieku. W to miejsce powstały nowe aneksy (o nowym ukształtowaniu architektonicznym i wystroju; dokładna charakterystyka w tekście). Ingerencja budowlana nie dotyczyła gotyckiego trzonu budowli (ten jest jednak obecnie trudno rozpoznawalny wskutek otynkowania murów, trudno jest odróżnić mury średniowieczne od nowożytnych i określić sposób ich powiązania, a wykonanie wielu „odkrywek” w katedrze jest z różnych istotnych powodów obecnie bardzo trudne. Wskazywał na to już Wł. Łoziński pisząc onegdaj: „...kościół na zewnątrz był z nagiej cegły... i to w dwóch kolorach, jaśniejszym i ciemniejszym i dopiero arcybiskup Sierakowski kazał go wytynkować, przyczym nasiekiwano cegły dla trwalszego przylgnięcia wyprawy, tak że ponowne odsłonięcie murów stało się prawie na zawsze niemożliwe.”). Pracom budowlanym towarzyszyła gruntowna nowa aranżacja wnętrza (ołtarze, zespoły rzeźb, nowe malowidła ścian i sklepień, by wspomnieć tu tylko w największym skrócie, a co szczegółowo omówiono w tekście).

Zasługą autorów jest m.in. to, że działania metropolity przekonująco ujęli w szerokim kontekście epoki i w odniesieniu do innych jego poczynań modernizacyjnych (na niwie kościelno-duszpasterskiej w swej archidiecezji). W tym oświetleniu postawa hierarchy nie wydaje się być już tak „barbarzyńska i nacechowana wandalizmem”. Nie wiemy dokładnie, jakie dzieła i w jakim stanie usunięto; zapewne część z nich miała znaczne walory historyczno-artystyczne, część z nich była może do ura-

towania (odrestaurowania). Lecz modernizacyjna myśl metropolity była ukształtowana przez prądy myślowe i estetyczne epoki oświecenia. Był dzieckiem swej epoki i działał według nowych paradygmatów tej epoki właściwych. Autorzy opracowania trafnie uwydatnili podstawowe cechy tej sytuacji. Powtarzam je w skrócie, bowiem trudno znaleźć w nowszym piśmiennictwie tak koherentną charakterystykę kwestii. Człowiek oświecenia nie rozumiał wartości dzieł z dawnych epok, to sprawa podstawowa. A był Sierakowski też wybitnym przedstawicielem „katolickiego oświecenia” w Rzeczypospolitej. I w tym duchu działał. Jako zwierzchnik swej archidiecezji podjął poważną reformę kościelnych instytucji, dzieło uporządkowania administracji kościelnej i szkolnictwa. Z głębokim przejęciem realizował postanowienia Soboru Trydenckiego, określającego kierunki modernizacji ówczesnego katolicyzmu odpowiednio do nowych czasów w zakresie duszpasterstwa, liturgii, organizacji i funkcjonowania struktur kościelnych. W tym programie mieściła się renowacja świątyń celem ich jak najlepszego dostosowania do funkcji liturgiczno-duszpasterskich, a więc też odrzucenie tego co stare na rzecz tego co nowoczesne i racjonalne. Realizując program modernizacyjny metropolita miał przynajmniej jedną wielką zasługę: przyjął na siebie rolę wielkiego patrona artystycznego, zatrudniając najlepszych artystów będących do dyspozycji we Lwowie, a ci byli zdolni nawiązać w swym działaniu do najbardziej aktualnych rozwiązań artystycznych o proweniencji środkowoeuropejskiej. Toteż piszą autorzy: „kostium stylowy jaki zrealizowano był pochodną aktualnego stanu sztuki i umiejętności artystów”. Te zaś były niepośledniej miary. Główną cechą stylistyczną zmian była barokizacja katedry, a w malarstwie ściennym ukazał się już nowy prąd – rokoko, rozświetlający wnętrze budowli żywymi kolorami o delikatnym a wyrafinowanym wzornictwie. W późniejszych niektórych dziełach rzeźbiarskich widać jakby zapowiedzi stylu klasycznego.

W charakterystyce działań abpa dobrze jest też przyjąć perspektywę porównawczą. Program wyburzeń dokonany podczas przebudowy katedry nie był czymś zaskakującym i obcym w mieście: w latach 1745–1760 wyburzono średniowieczne świątynie – Bożego Ciała i św. Jura, by na ich miejsce wzniesić wspaniałe budowle późnobarokowe, związane z tak wybitnymi architektami, jak Jan de Witte (także komendant twierdzy w Kamieńcu Podolskim – zob. wybitna monografia Zbigniew Hornung, *Jan de Witte architekt kościoła Dominikanów we Lwowie*, Instytut Sztuki PAN Warszawa 1995, wyd. pośmiertne), który jawi się jako jeden z najwybitniejszych architektów XVIII wieku w Środkowej Europie, czy także wybitny Włoch Bernard Meretyn, a ich dzieła należą do najcenniejszych osiągnięć sztuki tej epoki w skali Rzplitej i również całego regionu Europy Środkowej, co zgodnie podkreślają współcześni badacze.

Barokizacja katedry ma zaś analogię do takiejże zmiany stylistycznej dokonanej przez ks. Łopackiego w Kościele Mariackim w Krakowie. W wyrzucaniu zaś elementów dawniejszego wyposażenia katedry o dużej wartości artystycznej ksiądz arcybiskup miał także poprzednika, o czym napomknął wspomniany już W. Łoziński, kwitując uszczypliwie „Niestety, każdy wiek miał swoich zapalonych modernizatorów” (Łoziński, s. 195) Przynajmniej pod tym względem autor ten nie mylił się, co okaże się dobitnie przy kolejnej modernizacji katedry u zbiegu wieku XIX/XX. Zatarła ona w dużej części artystyczny charakter wnętrza z wieku XVIII. Po przedsięwzięciu abpa zachowała się jednak cenna dokumentacja: rozmaite instrukcje, umowy, rachunki, korespondencja w sprawach przebudowy, księgi wydatków i przychodów finansowych, po części ze sprzedaży niektórych obiektów do innych kościołów lwowskich, ze sprzedaży sreber kościelnych, z kar kościelnych, z podatku nałożonego na kler na rzecz katedry. Na tej podstawie można było zidentyfikować grono artystów, organizatorów i nadzorców przebudowy, określić zakres prac, rodzaje wykonanych dzieł, ich charakter itd. Autorzy podkreślili unikalność zbioru dokumentów, stwierdzając, iż proces przebudowy katedry za czasów abpa Sierakowskiego należy do najlepiej udokumentowanych przedsięwzięć tego rodzaju w dziejach dawnej Rzeczypospolitej i archiwalia te są prawdziwą kopalnią informacji na temat sztuki Lwowa. Dla osób żądnych różnych szczegółów choć pozaartystycznych, dzieło i w tym zakresie spełni rolę, informując np. o gigantycznym osobistym finansowaniu prac przez metropolitę, o jego sporze sądowym z rajcami w sprawie zamierzenia wyburzenia kaplicy Domagaliczowskiej rozstrzygniętym dopiero przez odwołanie się do Stolicy Apostolskiej, itd.

Ostatecznie przebudowana (czy zmodernizowana) katedra stanowiła pewną jednolitą całość artystyczną, harmonijnie skomponowaną architektonicznie i w aranżacji wnętrza. Tej jednolitości nie udało się utrzymać i zachować do współczesności, kiedy to z końcem XIX wieku podjęto nowy etap przekształceń wnętrza katedry, starając się przywrócić mu pierwotną formę. Dokonano tego w prezbiterium, wprowadzając doń małą architekturę, malowidła, wspomniany wyżej zespół witraży. Realizacje te ówczasem przybrały formę neogotyku, co jest zrozumiałe dla historyków sztuki, a mniej może dla postronnych czytelników. Potrzebne jest tu znów uwydatnienie kontekstu działań. Bowiem od połowy XIX wieku zaznacza się w Europie zmiana gustów estetycznych przez nawiązanie do dawniejszych stylów historycznych – gotyku, renesansu, klasycyzmu, co w przeogromnej ilości realizacji architektonicznych w krajach europejskich i na obszarze dawnej Polski (rezydencje, kamienice mieszczańskie, budowle użyteczności publicznej, zwłaszcza

cza obiekty teatralne i operowe) wyrazi się w „stylu historyzującym”, przybierającym formę neorenesansu (głównie przez nawiązanie do renesansu francuskiego z czasów Henryka IV i Franciszka I, w związku z czym określa się tę zmianę jako „kostium francuski” w architekturze polskiej II połowy XIX wieku), neobaroku, neoklasycyzmu (z uwydatnieniem motywów antycznych) i właśnie neogotyku, popularnego w Polsce zwłaszcza w architekturze rezydencjalnej arystokracji i ziemiaństwa (zob. szczególnie monografia T.J. Jaroszewski, *O siedzibach neogotyckich w Polsce*, wyd. 1981), a także w obiektach kościelnych, wznoszonych w tym stylu jeszcze po I wojnie światowej. Żeby zobaczyć ową zmianę wystarczy dobrze przyjrzeć się zabytkowej zabudowie choćby właśnie Lwowa czy Krakowa. Niemniej jednak opisana w dziele stylistyczna zmiana miała ograniczony walor artystyczny. Autorzy zarazem wskazali, że jako pewna tendencja epoki realizacja lwowska była odpowiednikiem w pewnym stopniu przekształceń neogotyckich wprowadzonych przy restauracji wnętrza Kościoła Mariackiego w Krakowie w latach 1889–1991 pod kierunkiem Jana Matejki i Tadeusza Stryjeńskiego. Tak więc piszą oni: „być może Kraków stanowił przykład dla Lwowa”, podkreślając też, że jednak zwłaszcza wystrój malarski w Krakowie ma większą wartość artystyczną niż rzemieślnicze poczynania lwowskich wykonawców.

Część tekstową dopełniają cztery aneksy źródłowe: I – Inwentarz kosztowności w kaplicy Matki Boskiej Domagaliczowskiej z lat 1699–1703 (szczegółowa specyfikacja, określono osoby darczyńców); II – Inwentarz katedry 1756–1767 (obejmuje wyroby rzemiosła artystycznego i szaty – specyfikacja rodzajowa); III – Opisy dzwonów w katedrze (znajdujące się na nich inskrypcje według materiałów inwentaryzacyjnych Karola Badeckiego); IV – Portrety znajdujące się w katedrze w XIX w. (zestawienie na podstawie czterech źródeł podanych równoległe, z określeniem przedstawionych osób, okresu pochodzenia, techniki wykonania (w miarę zachowanych danych, jak np. olej na blasze); spis obejmuje 84 pozycje.

W monografii wykorzystano dostępne obecnie materiały archiwalne we Lwowie lub w Polsce, dodano także obszerny wykaz dokumentacji przeprowadzonych w różnych latach prac konserwatorskich, przechowywanej obecnie w Departamencie Dziedzictwa Kulturowego Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Warszawie. Obszerna bibliografia rejestruje odpowiednie czasopisma i wydawnictwa ciągle; sporządzono indeks nazwisk. Pod względem edytorskim tak wielki blok fotografii jest także ewenementem. Zdjęcia dobrej jakości ukazują szczegóły artystyczne pokazywanych obiektów (wnętrza, rzeźba, rzemiosło artystyczne, wspaniałe kolorowe zdjęcia szat, plany, rzuty, detale archi-

tektury), i nie można pominąć tego aspektu: opisy dzieł w tekście uzupełnione są numerami na marginesach, odsyłając w ten sposób do właściwej fotografii.

Otrzymaliśmy więc wielkie dzieło, które jest i będzie trwałą pozycją w polskiej historii sztuki, historii Lwowa i jego sztuki. Zespołowi autorów należy się najwyższe uznanie za trud badawczy, a także wielki pokłon dla instytucji sprawczej tej edycji, kierowanej od lat przez prof. dra Jacka Purchlę. Nie od rzeczy będzie tutaj przypomnienie, że Międzynarodowe Centrum Kultury w Krakowie z jego misją dbania o wspólne dziedzictwo kulturowe krajów Europy Środkowej wydało kilka dzieł dotyczących Lwowa: „Kraków i Lwów w cywilizacji europejskiej”, dwa wydania albumu „Lwów na dawnej pocztówce”, „Lwów. O odczytaniu na nowo”; „Katedra ormiańska i jej twórcy” (album towarzyszący wystawie pod tymże tytułem; „Kresy odkryte na nowo. Wspólne dziedzictwo Polski i Ukrainy”; „Trzecie miasto Galicji. Stanisławów i jego architektura w okresie autonomii Galicji” (Żanna Korman), a także inne pozycje dotyczące Galicji. Jest to tylko fragment bogatej działalności wydawniczej i wystawienniczej, która dotyczy już nie tylko spraw dziedzictwa kulturowego naszej części Europy, ale w ogóle – Europy. W 2016 roku Europejskie Centrum Kultury w Krakowie obchodzi rocznicę – 25. lat działalności. Tedy trzeba powiedzieć serdecznie choćby tyle:

Ad Multos Annos, Panie Profesorze, a kierowana przez Pana instytucja niech dalej święci triumfy w kraju i na forum międzynarodowym.

Maciej Miśkowiec

Z PRZESZŁOŚCI LITERACKIEGO LWOWA – ZAPOMNIANY POETA JAN ZAHRADNIK

Jan Zahradnik, *Lwowskie wiersze*. Pomysł, wstęp, wybór i opracowanie Karolina Grodziska, Kraków 2016, s. 284

Z kart tomu wierszy wyłania się obraz Lwowa. Nie jest to jednak Lwów współcześnie opisywany, odtwarzany w indywidualnej pamięci, kreowany przez jakże liczne wspomnienia, przywoływany nostalgią za utraconym miastem i malowany w wierszach współcześnie tworzonych. Nie jest to Lwów piękniejszy, większy, wspanialszy, Lwów wysniony, wyidealizowany, pełen wspaniałych ludzi – lepszych, szlachetniejszych, doskonalszych, Lwów zmitologizowany, wysublimowany, sielankowy, Lwów wymaginowanej harmonii społecznej, Lwów pełen niemal mistycznej symboliki, Lwów uwznioślony w różnych wymiarach.

Nie, jest to inny Lwów niż byśmy dzisiaj chcieli, nie taki piękny, jak byśmy sobie wyobrażali, lecz ten konkretny, istniejący w rzeczywistości historycznej, politycznej, gospodarczej, społecznej i obyczajowej, Lwów rzeczywistego życia codziennego, w jego wielowymiarowej a pospolitej prozie, Lwów konkretnych ludzi, a choć czasem wielkich przez swe godności i urzędy, to jednak umniejszonych przez swe ułomności charakterologiczne, postawy i działania, kpiąco, ironicznie, czy nawet szyderczo wzmiankowanych przez poetę; Lwów wielu codziennych zdarzeń, Lwów istniejący w rzeczywistości swoście materialnej, Lwów okresu lat 20. XX wieku (właściwie do 1928 roku). Jest to Lwów opisany przez poetę żyjącego i tworzącego w tym mieście.

Poetyckie pióro nie kreśli lirycznego obrazu miasta, nie opiewa jego uroków, nie nadaje mu różnorodnych wzniośle-symbolicznych znaczeń, żadnej gloryfikacji przeszłości. Wręcz przeciwnie – to Lwów ujęty ciętą satyrą o wielu odcieniach, od dobrotliwego uśmiechu po niekiedy zjadliwą złośliwość, nawet szyderstwo, przed kpina nie obronią się ojcowie miasta – jego dygnitarze – prezydenci i radni, lwowskie środowisko artystyczne (głównie aktorzy i dyrektorzy teatrów), dziennikarskie, kpina szarpnie lwowską profesurę; ironiczne przytyki sięgną wyżej – ówczesnego sejmu RP jako instytucji, premiera Grabskiego

i ministra F. Sławoja-Składkowskiego, rządu (in corpore), dotyczą mechanizmu wyborów (lwowskich posłów i radnych, ale też w ogólniejszym zakresie), „arytmetyki wyborczej”, a na niższych szczeblach społecznych – pojawią się lwowscy taksówkarze (i ich strajk), doróżkarze, na przedmieściach lwowskich złodziejaszki i nożownicy z ich głównie nocnym procederem. Autor satyryk-ironista jawi się jako baczny obserwator lwowskiej codzienności, bieżących wydarzeń lwowskich, ale też krajowych, odezwią się w jego wierszach aluzje do niektórych ówczesnych spraw międzynarodowych. Ironicznie odniesie się do lokalnej obyczajowości, do mody kobiecej (fryzury „na chłopczycę” i wyszczuplone, mówiąc wprost – wychudzone sylwetki, co wszak powróci po kilku dziesiątkach lat w stylu lansowanym przez top-modelki), do załganych, obłudnych relacji małżeńskich, do inflacyjnej biedy, drożyzny, rosnących czynszów i co raz to nowych podatków miejskich oraz mizernych pensji (urzędniczych), snuje kpiące żarty z pospolitych (tj. zwyczajowych, powszechnych) zachowań świątecznych jak czczenie świąt pijackim obyczajem w knajpach (wierszyk „Wielki Piątek”). Pojawia się Targi Wschodnie (kpina z pawilonu sowieckiego), aktualne wydarzenia sportowe we Lwowie (mecz piłkarski Pogoń–Pardubice, z incydentami na stadionie, więc okazuje, że dzisiejsze burdy na stadionach to nic nowego), wspomniany jest Kulparków jako lokalizacja znanego szpitala psychiatrycznego; i akrobata człowiek-mucha, przechodzący na linie między budynkami miasta; i cyrk miejski; i epidemia szkarlatyny w 1926 roku; i ratusz lwowski i Wysoki Zamek; mignie wojewoda lwowski Garapich i metropolita Andrzej hr. Szeptycki (ironicznie: „ukraiński święty”); i tak od spraw wielkich do małych i zwykłych – brud, kurz i błoto w mieście, marne oświetlenie ulic; odnotuje rozmaite jubileusze ((Ludwika Solskiego 50-lecie pracy scenicznej, 25-lecie gmachu Teatru Wielkiego), występy warszawskiego kabaretu Qui Pro Quo, uroczystości ku czci J. Słowackiego, Stefana Żeromskiego i J. Kasprówicza, wszak także lwowskiego profesora, i znów jak w kalejdoskopowej mozaice – pojawienie się ówczesnej diwy filmowej J. Smorsarskiej. Nie ma Lwowa bez kawiarni i restauracji z ich bywalcami, a więc wspomni się m.in. lokal Zalewskiego oraz Musiałowicza (ul. Akademicka); będzie i o cenzurze i nieróbstwie urzędniczym, „urzędowaniu” radnych itd. itd. Dwa wiersze odnoszą się do Stanisława Wasylewskiego, znanego pisarza lwowskiego, a w innym tekście pojawi się gmach biurowca zbudowanego na zlecenie przemysłowca Jonasza Sprechera (przy pl. Mariackim 8, obecnie plac A. Mickiewicza, proj. Ferdynanda Kasslera). Już ten fakt świadczy, że J. Zahradnik uważnie zaobserwował zmiany w śródmiejskiej architekturze, choć powolne, ale właśnie w tej realizacji pierwszego lwowskiego „drapacza chmur”

zapowiadające istotny zwrot od dawniejszych stylów historycznych ku nowoczesnej architekturze w duchu wczesnego modernizmu, z jednej strony znaczący znak nowej myśli konstrukcyjno-projektowej, kształtującej się w nowatorskim środowisku lwowskich architektów i urbanistów, wywodzących się Politechniki Lwowskiej, a z drugiej świadczący o ich dialogu z nowymi nurtami architektury europejskiej. (Można tu dodać, że drugi „drapacz chmur” na zlecenie tegoż inwestora i projektu tegoż wybitnego architekta został wybudowany wkrótce po śmierci poety, przy ul. Akademickiej, w ścisłym centrum miasta, oznaczając już śmiałą ekspansję współczesnej architektury, lecz do niedawna niedostrzeganej i nierozumianej czy niedocenianej i obecnie „odkrywanej” w polskim i ukraińskim kręgu architektów, historyków sztuki). W wierszykach znajdziemy odniesienia do sklepów lwowskich, będzie o kinach i plakacie filmowym (nie przypadkowo – Lwów staje się w Polsce głównym ośrodkiem nowoczesnej reklamy), będzie o telefonach i telefonistkach, bankiety, lwowscy biedacy i ludzie w grubymi portfelami, modne ówczesne tańce towarzyskie.

Przypomnienie rzeczywiście lwowskiego poety i jego wierszy zawdzięczamy dr Karolinie Grodziskiej (z urzędu – dyrektora Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie), autorce wielu dzieł poświęconych krakowskiemu nekropoliom, grobom polskim na obczyźnie (na cmentarzach londyńskich i pñ. Walii w Wielkiej Brytanii), sagi rodzinnej galicyjsko-lwowskiej (*Listy, liście, wspomnienia...* dzieło omówione w „Roczniku Lwowskim”), pierwszej w piśmiennictwie polskim monografii wybitnej rzeźbiarki lwowskiej (po 1945 r. w Krakowie) – „Zapomniana rzeźbiarka: Janina Reichert-Toth (1895-1986), jakże dramatycznie zmagającej się z losem, z realiami życia, ze „środowiskiem” artystycznym, z niezrozumieniem, a nie tylko z oporną materią kamienia czy innego tworzywa; jest też edytorem tomu „Stanisław Gottfried (1892–1915) lwowski poeta Młodej Polski”, a oprócz wielu innych jeszcze rozpraw naukowych, dwie pozycje trzeba koniecznie przywołać – dwie wielkie antologie – „Gdzie miasto zaczarowane – księga cytatów o Krakowie (wyd. ZNAK Kraków 2003) i „Miasto jak brylant – księga cytatów o Lwowie (Universitas, Kraków 2000). Od tej właśnie księgi prowadzi droga do sygnalizowanego tutaj tomu wierszy. Oto więc sytuacja, kiedy książka rodzi książkę. W „lwowskiej antologii” znalazły się zaledwie dwa wiersze o Lwowie Jana Zahradnika, zawarte w jego jedynym tomiku poetyckim „Ludziom smutnym” wydanym we Lwowie (1925 r.). Dopiero obecnie stało się możliwe ustalenie podstawowego zasobu wierszy lwowskich tego poety. Trzeba było sięgnąć do lwowskiego dziennika „Słowo Polskie”, miejsca debiutu i publikacji kolejnych wierszy, a od

1925 roku miejsca stale już drukowanych drobnych wierszy w wydodrębnionej rubryce „Wiersze”. W sumie opublikowanych utworów było około 500, a spośród nich 250 zostało wybranych do sygnalizowanego tomu; tak powstał jednolity zbiór satyrycznych impresji złączonych w całość lwowską tematyką.

Tom ten poprzedzony jest obszernym wstępem Autorki pt. O Janie Zahradniku. Zrekonstruowany został rodzinny rodowód poety, jego smutna droga niedługiego życia od lat dziecińczych, przez nienajlepsze lata szkolne, od Pokucia, przez Jarosław do Lwowa. Żmudnej kwerendy wymagało odtworzenie literackiej drogi literacko-poetyckiej, od pierwszych prób z okresu szkolnego do debiutu, wyszukanie informacji o żywym udziale w ówczesnym życiu literackim Lwowa czy nawet w szerszym ujęciu – w krajowym. Odnotowała skrupulatnie lwowską i krajową recepcję poezji J. Zahradnika, przytaczając przychylne opinie publikowane w prasie literackiej i (na ogół) ciepłe relacje z jego spotkań autorskich we Lwowie – został wszak nie tylko zauważony, ale początkowo – bardzo doceniony. Zdała relacje z polemik z warszawskim środowiskiem literackim, w które wdał się w 1924 roku lwowski poeta, mając 20 lat. Trzeba było młodzieńczej zadziorności i bezkompromisowości, by „podnieść głos” na grupę *Skamandra* w stołecznej Warszawie, na wyżyny poetyckiego Parnasu w Polsce. Sytuację charakteryzuje Autorka: „Dawid przeciwko Goliatowi, prowincjusz przeciw stolicy”; to bardzo trafne ujęcie, metafora biblijna celna, a opozycyjna relacja Lwów-stolica też właściwa. „Starzy Iwowiacy” obruszą się – jakaż to prowincja, Lwów, „lecz znaj proporcją mocium panie” powiada Fredro – Lwów wszak obiektywnie traci rangę dawnego miasta stołecznego...choć niektórym zdaje się jeszcze, że jest centrum świata, a przynajmniej Polski. Odzyskanie niepodległości i suwerenności państwowej wiąże się m. in. z odpływem do Warszawy wielu wybitnych osobistości, fachowych kadr różnych specjalności, powstające uniwersytety w Poznaniu i Wilnie przywołują lwowskich profesorów, miasto ogarnia kryzys finansowy, następuje stagnacja w jego rozwoju gospodarczym, zamiera ruch budowlany, a realizacja ambitnych planów kształtowania Wielkiego Lwowa (w aspekcie nowatorskich wizji rozwoju urbanistycznego i komunikacyjnego, określonych koncepcjami) musi być odłożona na dalsze lata. Lwów z wyżyn galicyjskiej stołeczności i choć peryferyjnej, lecz jednak jednej z metropolii monarchii habsburskiej spada do rangi miasta wojewódzkiego, w statusie administracyjnym jak kilka innych dużych czy mniejszych miast Polski. Lecz ta prowincja potrafi jeszcze „wzłatać nad poziomy”, i to jest właśnie przykład owego poety, którego talent niezwykle zabłysnął. Autorka wstępu przywołuje wspom-

nienie J. Witlina: „Fenomenalnie uzdolniony liryk... Jego wrażliwość i dojrzałość były po prostu podejrzane w tak młodym wieku”; także inne oceny: Mariana Hemara, Stanisława Wasylewskiego, wskazujących na „kryształową formę”, „czystość przeżyć”, „absolutny poetycki słuch i własny artystyczny styl”, na oryginalność kompozycji i metafor. Przytacza odszukaną w „Kurierze Lwowskim” inną recenzję, mającą ważną wymowę: J. Zahradnik „stanął w rzędzie tych, o których winno się mówić z szacunkiem i cieszyć się, że wzrósł na gruncie lwowskim, o którym często zapomina wyrocznia w sprawach literackich: Warszawa.” Z kolei inni jeszcze wskazywali, iż poetycki tomik „zwycięsko wytrzymuje porównanie z najbardziej nawet reklamowanymi (przez „Wiadomości Literackie” – najważniejsze w tym okresie czasopismo literackie w Polsce) skamandrytami, w tym z najwięcej z nich wartościowym – Lechoniem”. Takie zestawienie – to wielka ogólnokrajowa nobilitacja lwowskiego poety.

Karolina Grodziska wyreczyła więc w znacznym stopniu historyków nowszej literatury polskiej, bowiem poeta tak bardzo doceniany ówczesnie nie zagościł w na kartach współczesnych, aktualnych dzieł polonistycznych. Przypomniała też jego udział w życiu miejscowego środowiska artystyczno-literackiego, owe wieczory literackie, na których występował wraz z innymi autorami (m.in. Jan Parandowski, Stanisław Wasylewski, Henryk Zbierzchowski, Marian Hemar); zdarzenia te przynależą do artystycznych dziejów miasta, są one niekiedy wspomniane w lwowskiej memuarystyce, ale raczej w formie drobnej kronikarskiej wzmianki, która zaciera się w natłoku innych zdarzeń i sytuacji i nie oddaje pełni artystycznego (literackiego) kontekstu. Wskazała niezdawkowo na inne zakresy literackiej twórczości J. Zahradnika, liczne teksty recenzyjne poezji i prozy współczesnej (polskiej i zagranicznej), wybitne tłumaczenie hymnu *Dies irae*, ważne w konkretnej sytuacji wywiady z przedstawicielami środowiska teatralnego odnośnie stanu teatru lwowskiego, reportaż z podróży po jakże rozległym obszarze województwa lwowskiego, dający i dziś bardzo interesujący obraz stanu infrastruktury (komunikacyjnej), mentalności ludności odległych obszarów, niechętnych postępowi technicznemu....

W charakterystyce twórczej działalności poety na plan pierwszy wybija się jednak obszerna relacja z literackich batalii polemicznych J. Zahradnika. Te można by ująć w dziejach polskiej krytyki literackiej, lecz pełny jej obraz nie powstał jeszcze. W zawężeniu czasowym i geograficznym – ten zakres twórczości poety trzeba by przypisać dziejom lwowskiej krytyki literackiej; lecz jedyne dzieło dotyczące tej problematyki ogranicza się do okresu 1894-1914 (Katarzyna Sadkowska,

Lwowska krytyka literacka 1894–1914. Tendencje i problemy, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego 2015, s. 332), więc z istoty rzeczy pomijające obrazoburcze wystąpienia poety, dominujące w latach 20. ub. wieku. Rzucił wyzwanie warszawskiej grupie poetyckiej Skamandra, futurystom polskim (Bruno Jasiński), szarpnął Juliana Tuwima, Bruno Winawera, Antoniego Słonimskiego, Jana Lechonia, Wierzyńskiego; uderzył w grupę poetów „lewicujących” – Władysława Broniewskiego, Stanisława R. Standego i Witolda Wandurskiego. Edytorka lwowskich wierszy lwowskiego poety przytacza jego kąśliwe, mocne określenia twórczości poetyckiego Parnasu ówczesnej Polski, i w tej napastliwości – jest to bodaj jedyne tak skoncentrowane krytyczne zdezwuowanie poetyckich talentów, dorobku poetyckiego przecież nie tuzinkowych twórców. Wreszcie poeta zaatakował całą politykę literacką „Wiadomości Literackich”, które w jego rozumieniu lansowały komunistycznych poetów, fascynowały się życiem literackim bolszewickiej Rosji, pomijały milczeniem (jako forma zwalczania) twórczość Bolesława Leśmiana. Nie sposób tu przytaczać określeń (a są one swoiście „smakowite”) J. Zahradnika i ich personalnego adresu, dostatecznie czyni to K. Grodziska, tu tylko jedno zawołanie, które jakoś przybliży ton tych polemik – to tytuł jego odczytu o najnowszej poezji polskiej pt. „Hamlet w knajpie” (opublikowany potem w lwowskim „Słowie Polskim”). Gdzie zaś rąbią drwa, tam lecą wióry, zatem z kolei napastliwie Wł. Broniewski odniósł się do poezji lwowskiego poetyckiego wojownika, co także jest odnotowane we Wstępie do sygnalizowanego tomu.

Ówczesna krytyka literacka zauważyła jednak niepokojący rys poezji J. Zahradnika – ton wielkiego pesymizmu (charakterystyczny tytuł tomiku – „Smutnym ludziom”), w jego poezji pobrzmiewa jeszcze nuta młodopolska, może trudno mówić o młodopolskim epigonie, jednakże wskazywano, że ta droga może być zawodna w rozwoju poetyckiego talentu. Pani K. Grodziska przytacza niektóre strofy wskazujące na tę „ciemną stronę” poezji, bardziej wrażliwy czytelnik sam zapewne zdoła ją odczytać. Jednakże jak wielce rozbłysnął talent J. Zahradnika – tak szybko zgasł, bieda, alkohol, ciężka choroba dokonały dzieła, zmarł mając zaledwie 25 lat. Ot, dość typowy los artystycznej bohemy. Przez swe wystąpienia na forum publicznym i dzięki swym wierszom był popularny we Lwowie, czemu dano wyraz w „królewskim pogrzebie”, o którym relacje z miejscowej prasy skrzętnie zebrała edytorka tomu wierszy lwowskich, jak również informacje o wypowiedziach przedstawicieli świata literackiego o poecie i jego twórczości, publikowanych po śmierci poety. A potem wokół niego zapadła już cisza...

Wstęp, przywołujący sprzed lat opinie o lwowskim poecie, skłania do refleksji, co pozostanie z jego twórczości? Zapewne niewiele. Jego liryki nie trafią do antologii polskiej poezji, są wszak tylko zapowiedzią czegoś, co się nie dopełniło. Co najwyżej, może ktoś, kiedyś, podejmie próbę ułożenia antologii twórczości zapomnianych poetów z przełomu wieku XIX i XX (jest wzór takiej antologii, wielotomowej, ułożonej przez Pawła Hertza i wydanej przez PIW, lecz obejmuje ona tylko poetów XIX w.). Być może, jego batalie poetyckie kiedyś zostaną ujęte w szerszym opracowaniu dziejów krytyki literackiej. Może jego teatralne wywiady kiedyś zostaną powiązane z dziejami lwowskiego teatru. Nie odegrał żadnej inspirującej roli poetyckiej, więc nie trafi na karty historii polskiej literatury czy poezji. A jednak *nie wszystkim umrę...* Można bowiem sądzić, że trwalsze znaczenie będą mieć jego te właściwe lwowskie wiersze. Są one co prawda bolesnym świadectwem, jak talent poetycki został rozmieniony na drobne. Taki poetycki upadek z artystycznych wyżyn; wielka muza zmieniła formę, przeobrażając się w duży zbiór wierszyków, pisanych niemal z dnia na dzień nie pod tchnieniem wielkiego ducha, lecz pod ciśnieniem codziennej prozy życia, dla zarobku. Mało poetycki charakter tych okolicznościowych wierszyków syntetycznie ujęła K. Grodziska, nie wdając się w dokładne analizy formalne, subtelności językowych, typy rymów, obrazowania, itd. Ale czy to jest rzeczywiście konieczne? Za uczone analizy polonistyczne wystarczą te konstatacje: „poetyckie nastrojowe liryki ustępują miejsca drobnym, satyrycznym utworom...satyryczne drobiazgi pisane „na kolanie, dla chleba”; satyry polityczne, drobne a cięte odniesienia do politycznych i społecznych realiów; wierszyki, które tworzą ciekawy wizerunek lwowskiego środowiska literackiego i dziennikarskiego, życia miasta i jego codzienności.” Nie jest to poezja wysokiego lotu, niekiedy dość toporna w formie, ale nie kunszt poetycki jest tu ważny, lecz autentyzm bacznej obserwacji, zdolność uchwycenia konkretnych sytuacji, typów ludzkich, zachowań, raczej typowych w danych zbiorowościach. Ironiczny humor, celność charakterystyk, ostrze złośliwej pointy, niekiedy w uszczypliwości bardzo daleko posuniętej, tak że w wielu wypadkach można by powiedzieć, przywołując współczesną formułę prawną, że autor naruszył dobra osobiste (cześć, dobre imię itd.) wielu osób, co stanowiłoby asumpt do wytoczenia procesów z powództwa cywilnego z żądaniem stosownego zadośćuczynienia (materialnego). Droga do zadośćuczynienia honorowego była z kolei zamknięta. Pan Jan Zahradnik, w myśl choćby kodeksu honorowego Bożewicza nie miał zdolności honorowej: nie miał herbu, nie miał dóbr, nawet nie zaistniała jedyna w tym zakresie furtka – oblał maturę, i to go ostatecznie skreślało ze zbiorowości „osób honorowych”. Tak więc żądanie satysfakcji

honorowej, wezwanie do pojedynku, było niemożliwe, w myśl ówczesnych pojęć.

Nie jest to wielka poezja, żaden wysublimowany ton, jednak można zauważyć: w wierszach zebranych w tomie odnajdziemy zgrabne odwołanie do poetyk lub do pewnych zwrotów czy obrazów literackich (obecnie w uczonym literaturoznawstwie używany jest termin: *toposów*) znanych twórców: jak motyw Mickiewiczowski *Samotność..cóż po ludziach?* I raptem: *Czym tramwaj dla ludzi?* (wiersz *Tramwaj łódzki*); jak pastisz znanej bajki Jachowicza *Pan kotek był chory* – i napisany w tejże konwencji wiersz pt. „Ministrowie na objazdach: Składkowski” (nawiązanie do podróży „w terenie” ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Felicjana Sławoj-Składkowskiego, późniejszego premiera rządu, wizytującego starostwa na kresach, z wymownym wtrętem do skarżącego się starosty na uciążliwości „urzędowania”: ..."stołeczek? (rządowy) – Niezgorszy. To jest rzeczą główną. Więc wracaj starosto, w rządowe pokoje”); echo Kochanowskiego albo Dantego w wierszu *Księgarnia: Wy, które tu leżycie, żegnajcie nadzieję!* (o książkach); [Wy, którzy Rzeczpospolitą władacie...; Straćcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzicie]; w wierszu dedykowanym St. Wasylewskiemu (*Bociany*) motyw ze Słowackiego: „Jak wiesz, na morzu wielkim obłąkany, wczoraj w południe, zdążając ku miastu, widziałem lotne w powietrzu bociany...że niebem mknęły wybladłem, jak płótno, było mi smutno...; rymy tu toporne, ale znając właściwy tekst *Hymnu* Słowackiego, zrozumiemy i zastosowaną konwencję literacką, odniesienia do poetyki romantycznego wieszca, i nieco humorystyczny ton, choć *pointa* – iż nie będę Słowackim, do radosnych nie należy, ale można ją też odczytywać jako ironiczny dystans do samego siebie i swej twórczości; wspomnimy jeszcze znaną piosenkę *Krakowiaczek*... przerobioną na: *Oj, Lwowiaczek ci ja, we Lwowie-m się rodził...*; a kto chce, niech dalej podejmuje zabawy literackie, bo i L. Staff się objawi z motywem deszczu, co dzwoni o szyby, lecz w innym ujęciu... i wreszcie autoironiczny *Testament pijaka* z wyraźnym odwołaniem do Słowackiego: „*Żyłem z wami, cierpiałem i pijałem z wami. Nigdy mi, kto zalany, nie był obojętny ...dalej pean na cześć różnorakich trunków i pijackich kompanionów, by wreszcie zakończyć pointą jakże zgryźliwą...*” Lecz zaklinam: niech pijani nie tracą nadziei I przed narodem niosą swój humor beztroski, A gdy trzeba, niech padną wszyscy po kolei, Jak minister Sikorski [nomen omen] lub jak teatr lwowski”.

Wróćmy jeszcze raz do lwowskiego aspektu wierszy. Autorka edycji wiersze ułożyła miesiącami, by jak pisze „oddać ich aktualny, bieżący

charakter”. Lecz w całym zbiorze zaznaczają się wyraźnie dwa szczególne cykle: jeden pt. *Portrety ojców miasta Lwowa*, a drugi odnoszący się do lwowskiego środowiska teatralnego. Oto więc galeria kilkunastu radnych i dygnitarzy miasta (prezydenci-wiceprezydenci, inni ważni), wskazani przez lwowskiego ironistę-złośliwca imiennie; nie oszczędzał ich w ciętych charakterystykach; tutaj nie wnikam w merytoryczną zasadność krytyki, to by wymagało obszernych wyjaśnień, komentarzy, a właściwie archiwalnego badania sytuacji; chcę zaś zaakcentować ten drapieżny aspekt satyry. Oto m. in. radny Marceli Chlamtacz, wiceprezydent miasta, odpowiedzialny za politykę teatralną: „Słynny profesor prawa. Ścisły jest jak paragraf. Giętki – jak ustawa. W życiu na pół przytomny, bo duchem na scenie...przed swoimi słuchaczami prawa robi z wiedzy i siebie świetne przedstawienie. Więcej o nim nie mówię. Rozpoznajcie sami Z jak groźną do czynienia macie tu osobą: Uniwersytet niszczy swemi wykładami, A zaś teatr Barwińskim, Jedliczem – i sobą”. [M. Chlamtacz zarazem bardzo wybitny profesor prawa rzymskiego na Uniwersytecie Lwowskim, jak widać – źle się zapisał w świadomości poety; Jedlicz – nowo powołany kierownik literacki teatru, Barwiński, dyrektor teatru; na marginesie można podać, że prof. M. Chlamtacz oprócz owego kpiącego wizerunku współcześnie ma też portret merytoryczny, w najnowszej monografii: Renata Wiaderna-Kuśnierz „Prawo rzymskie na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie w okresie międzywojennym (1918-1939”, wyd. Adam Marszałek, Toruń 2015], Oto wiceprezydent Tadeusz Hoflinger, także fabrykant słodczy, a temu „z ust ciecze sok karmelkowy, czekoladowy, wybornie referuje budżet – mówi cyframi, trzy po trzy”; radny Jaskólski:...”w tym tkwi cała bieda, że o tym Paneuropejczyku nic powiedzieć się nie da”, a jeśli już – to tyle: najchętniej gada o tem, o czym mówić nie warto; radny Bieniecki – „pracuje w lwowskich knajpach przy winie i przy piwie... a gdy czasem się odezwie, to radzą mu milczenie – kto wprzód przemawiał w knajpie, nie mówi potem trzeźwo”; o socjaliście Danielu Majewskim: „W pocie małego czoła i w niemałej męce Skupuje kamienice i zbiera majątek Nie chcąc, by ten majątek w burżujskie wpadł ręce”; pierwszy prezydent Lwowa w odrodzonej Polsce:

Boże go wspieraj, ochroń i uchwaj [reminiscencje słów carskiego i austriackiego hymnu??]

Bowiem nam niesie pokój, szczęście, radość,
 Świadom, że w tem jest szczęście miasta Lwowa
 Gdy Józef Neumann sobie czyni zadość!”

Poeta prześmiewczo szarpnie i inne osobistości miasta, przedstawi ich generalnie w niekorzystnym świetle. Na przykład radny Maksy-

mowicz, co nie stroni od trunku, a w głowie ma groch z kapustą, wiceprezydent Józef Obirek, co nad sprawami miasta i potrzebami lwowian przemyśliwa „codzień, nawet późną nocą” w restauracjach; o radnej Aleksandrowiczównie, nauczycielce, co „kształciła i chowała już pokoleń szereg, tylko radnych nie umie wychować na ludzi”, no i kwestia, o kim właściwie bardziej tu mowa? Co wierszyk, to prowokuje do cytowania kolejnych charakterystyk, lecz ten wątek z konieczności trzeba zamknąć ogólną pointą: zatem obraz ogólny: radny – „Dożywotni, nieomal dziedziczny, bezrobotny bo pracować nie lubi, nie ma w Polsce takiej siły magicznej, co go ruszy z fotela i zgubi; radnym zwie się, bo jest rad sam z siebie – słusznie, w każdym przecie interesie staje chętnie we własnej potrzebie”; i życzenia poety dla ojców miasta: „życzę wam, abyście potomków nie mieli, bo z nich gotowi znowu wyrósć – radni”.

Artystów sceny lwowskiej potraktuje niewybrednie, odmówi im talentu, ośmieszy ich; „Nie wiem, czy jest on sylwetką artysty, czy tylko miniaturą” (Barwiński); „z farsy robicie tragedię żalobną, albo w tragedii wzbudzacie w nas śmiech... nie wszyscy przecie jesteście artyści, choć wszyscy chcielibyście nimi być”. Imiennie odniósł się do dyrektorów lwowskich teatrów, krytycznie komentując ich politykę artystyczną, ale też podpatrzył teatralne obyczaje: owe żony dyrektorów, co nimi dyrektorują, a będąc aktorkami, oczekują przydziału pierwszoplanowych ról, co zresztą nie było tylko specyfiką lwowskiego teatru. A jeśli uważnie czytać, to znajdzie się i cienka nuta w odniesieniu do hierarchów kościelnych (choć tak niby ogólnie, ale skoro jest wyraźnie mowa o arcybiskupie, to da się ustalić jego osobę). Krytyczny gorliwiec mógłby nawet oskarżyć poetę o obrazę uczuć religijnych.

Wiersze wybrane przez p. K. Grodziską odczytywać można w kilku planach. Przede wszystkim – w odniesieniu lwowskim, i to decyduje o tym, że jak podkreśla we Wstępie – warto te wiersze zebrać i przypomnieć, bo istotnie – taki zbiór jest unikalny w całym lwowskim piśmiennictwie. Na planie historyczno-literackim – przypominają poetę, którego gwiazda zabłysła i zgasła. Na planie indywidualnym, osobowym, wiersze wskazują na stan samoświadomości poety – co do swej faktycznej sytuacji, można powiedzieć ogólnie – stopniowego „upadku” bytowego i literackiego. Wreszcie wiersze uwydatniają polityczną świadomość: jawi się nam jako uważny obserwator rzeczywistości politycznej i bardzo krytyczny jej komentator, a to już wymagało dużej odwagi. Wiersze świadczą, że poeta nie miał estymy dla władz samorządowych, administracyjnych, państwowych, dla instytucji państwa, lecz przede wszyst-

kim dla tych wszystkich, którzy tworzą owe instytucje, radnych, posłów. Patrzył na świat polityki krytycznie i ironicznie, kpiąco, posuwając się niekiedy bardzo daleko w ocenach. Obrady nowego sejmu: „wniosą do Polski wielki skarb humoru”; rząd – i tak jest zwykle słaby, a jak się „przesili” to będzie nowy, i nim zrobi coś – po chwili przesili się i wysili”; w wierszu Panowie, dość – „oni (posłowie) się dzielą na gromadki, na koteryjki, na partyjki, na grupki, kupki i odpadki... Panowie, dość! Już cuchną nam te polityczne prywaty i przewety” (w przypisie edytorka objaśnia słowo „prewet” – dziś zapomniane; ubikacja, klozet); a w nowym, lepszym Sejmie, lepszy bufet będzie; i wreszcie gorzko metaforycznie o zmarłych: „zmarliśmy, by nie widzieć, co się w Polsce dzieje”. Po głowie echem odzywa się formuła „radość z odzyskanego śmietnika” z powieści Generał Barcz Kadena-Bandrowskiego, a niektórzy oficerowie dopiero zdobywali swe szlify, więc nie zdążyli obić nieprawomyślnego poety, jak po latach innego pisarza.

Dziś już nie ma nikogo, kto by znał i pamiętał osobiście osoby i realia lwowskie, opisywane przez J. Zahradnika. Toteż liczne utwory tego tomu K. Grodziska opatrzyła niezbędnymi przypisami, bez których treść wierszy, ich konteksty sytuacyjne byłyby dziś nieczytelne i niezrozumiałe. Wypada zwrócić uwagę na staranną szatę graficzną omawianej edycji. No i ostatni, a niebagatelny niuans – nie podano wydawcy. Lecz Pani K. Grodziska wytycza pewien trop, który wydaje się być wielce prawdopodobny: oto niektóre Jej ostatnie książki, jak również książki Jej Ojca, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Stanisława Grodzkiego, wydane zostały nakładem własnym.

Takie świetne czasy nam nastały...

Maciej Miśkowiec

Barbara Patlewicz, Ryszard Tomczyk – *Cmentarz Janowski we Lwowie*, Wydawca Print Group SA, Szczecin 2016, s. 220, il.

Lwowskie nekropolie, tak łyczakowska, jak i janowska posiadają już znaczną literaturę. Łyczakowski cmentarz w ostatnich latach został opisany w kilku kolejnych pracach książkowych autorstwa Stanisława Sławomira Nicieji. Pierwszą była monografia „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie w latach 1786-1986”¹ następnie „Cmentarz Obrońców Lwowa”² i „Łyczaków – dzielnica za Styksem”³ następnie S. Nicieja opublikował albumy „Tam gdzie lwowskie śpią Orleńcy”⁴ oraz „Cmentarz Łyczakowski w fotografii”⁵. Można tą bibliografię uzupełnić o dłuższą listę artykułów poświęconych również sprawom tego Cmentarza.⁶

Znacznie gorzej przedstawiała się sprawa publikacji poświęconych drugiemu z Cmentarzy, Janowskiemu. Tej ogromnej nekropolii poświęcone zostały prace wydane przede wszystkim przed 1939 rokiem, do których należą ledwie dwie prace Józefa Białyni-Chołodeckiego „Cmentarze Lwowa” Lwów 1929 oraz książeczka Marii Baczyńskiej „Przewodnik po cmentarzach lwowskich Łyczakowskim i Janowskim” Lwów 1937.

Ukazanie się więc pracy Barbary Patlewicz i Ryszarda Tomczyka „Cmentarz Janowski we Lwowie”⁷ można uznać w tej sytuacji za wydarzenie ważne. Obszerna praca albumowa, kilkadziesiąt zdjęć i zaledwie ... krótki wstęp. Niestety jest on chaotyczny, bardziej skupiony na opisie jak cmentarz wyglądał, gdy powstał, niż na istotnych problemach związanych z dziejami tego miejsca, jego znaczenia tak dla Lwowa, jak i szerzej całej Galicji. W niewielkim tylko stopniu wstęp związany jest z zasadniczą częścią pracy, fotograficzną. Brak we wstępie np. opisu kryteriów doboru zdjęć, czy były to względy techniczne czy merytoryczne. Znalazło się w nim również kilka błędów, jak np. nazwisko Karola Periera, podane jako Pereira. Czy też podawanie tylko w wersji polskiej nazwiska – Grzegorza Kuźniewicza rzeźbiarza ukraińskiego Hryhora Kuznevyča.

Dziwić może podawanie nazwisk, w tym również w opisach zdjęć, różnych osób pochowanych na Cmentarzu Janowskim właściwie bez przybliżania postaci, jak np. księdza arcybiskupa Józefa Bilczewskiego, którego życzeniem było być pochowanym właśnie na tym cmentarzu.

Czy też wymienienie tylko nazwiska rodziny Machanów (zdjęcie na stronie 40), bardzo zasłużonej dla miasta Lwowa, bez podania jakiegokolwiek bliższej dały, chyba, że za taką można potraktować dodatkowy opis na s.210, gdzie znalazła się informacja iż w grobowcu tym spoczywa „m.in. Jan Machan (1760–16.12.1824) profesor Uniwersytetu we Lwowie”. Prosi się wręcz dodanie informacji, iż Jan Machan był lekarzem, a w rodzinie znaleźli się przemysłowcy i radni jak np. Edward Machan. Z tej też rodziny wywodził się zmarły w 1993 roku Wiesław Machan, inżynier i absolwent Politechniki Lwowskiej i jednocześnie muzyk, saksofonista lwowskiego zespołu „Machan-band”.

Informacja, że omawiana tu książka jest częścią albumową, a w przygotowaniu pozostaje tom omawiający cały cmentarz, wydaje się być pomysłem chybionym z założenia. Zamieszczone w tomie zdjęcia, pojedynczo interesujące, nie posiadające żadnego uzasadnionych kryteriów ich doboru i znaczenia dla całości projektu. Tym bardziej, iż dzisiaj krąg osób, które znają z autopsji Cmentarz Janowski i którym zamieszczone wizerunki grobów powiedzą mogą coś więcej, jest już mocno ograniczony. Czytelnikom zaś nieznającym tego Cmentarza zdjęcia te nie powiedzą wiele, czy są to groby osób, które pozostawiły w historii Lwowa czy szerzej w historii Polski istotne ślady. A to wielka szkoda, gdyż w ten sposób autorzy raczej sygnalizują czytelnikom, że nie jest to jakies szczególnie miejsce.

Niestety wnioskiem jaki się nasuwa, to że zmarnowana została okazja do przedstawienia czegoś naprawdę solidnego, gdyby tylko autorzy rozpoczęli od tomu, który jest w ich zamysle.

K.S.

PRZYPISY

¹ Wrocław 1989, Zakład Narodowy im. Ossolińskich ss.447.

² Wrocław 1990

³ Wrocław 1998

⁴ Warszawa 2002

⁵ Warszawa 2002

⁶ Wszystkie te prace zawierają obszerną bibliografię tematyki cmentarza Łyczakowskiego, dlatego się jej nie przywołuje tutaj.

⁷ Brak miejsca wydania 2016 s.220.

Krystyna Aleksandra Harasimiuk, *Dzieje Instytutu Geograficznego w Uniwersytecie Lwowskim w latach 1883-1939*, Instytut Geografii i Gospodarki Przestrzennej UJ, Kraków 2012, s. 446, 9 załączników, fot. 75, rycin 146

Wskazana monografia wpisuje się w zbiór stopniowo powstających dzieł poświęconych dziejom poszczególnych wydziałów Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie w galicyjskim i polskim (tj. po 1918 r.) okresie jego funkcjonowania, albo też w ogólniejszym zakresie, tzn. dziejom nauki we Lwowie czy niektórych dyscyplin naukowych rozwijanych w tymże uniwersytecie.

Prawem przykładu można tu wspomnieć o studiach wpisujących się w ów nurt badawczy. Książk profesor Józef Wołczański dokonał rzeczy wielkiej, opracowując fundamentalną monografię „Wydział Teologiczny Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie 1918–1939” (Kraków 2002, brak wydawcy); Wanda Wojtkiewicz-Rok jest autorką dzieła „Lata chwały i dni grozy. Studia nad dziejami Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza” (Wydawnictwo Adam Marszałek w Toruniu). Choć nie powstała jeszcze w ścisłym znaczeniu historia Wydziału Prawa UJK, lecz kilka ważnych opracowań przybliży nas do tego celu. Adam Redzik staraniem Towarzystwa Naukowego KUL wydał studium „Wydział Prawa Uniwersytetu Lwowskiego w latach 1939–1946” (2006 r., s. 469) i tenże autor: „Prawo prywatne na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie” (C.H. Beck, Warszawa 2009, s. 411, w serii „Monografie Prawnicze”).

Trzeba zwrócić uwagę na studia poświęcone profesorowi i rektorowi Romanowi Longchamps de Berier; prezentują one osobę i dokonania twórcze wielkiego uczonego-prawnika, a także ogólnopolską rangę nauk prawnych i Wydziału Prawa UJK na przełomie XIX i XX wieku oraz w pierwszej połowie XX wieku (jedno z tych dzieł zbiorowych zostało omówione przez piszącego te słowa w Roczniku Lwowskim 2010–2011; dotyczy to pracy „Nauki prawne pomiędzy tradycją a współczesnością. Prace dedykowane Profesorowi Romanowi Longchamps de Berier w 70. rocznicę śmierci, red. Antoni Dębiński, Magdalena Pyter, Bożena Czech-Jeziarska, Wydawnictwo KUL, Lublin 2011).

Pod hasłem „szkoła lwowska” („słowa kluczowe”) w piśmiennictwie (katalogi biblioteczne w Internecie) odnajdziemy opracowania poświę-

cone Iwowsko-universyteckim „szkołom naukowym”: psychologicznej (Teresa Rzepa, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego 1998), matematycznej o światowej randze (wersja popularna: Marian Urbanek, Genialni, Wyd. Iskry, i monografia naukowa: Roman Duda, Lwowska Szkoła Matematyczna, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego 2007, 2014); Zofia Jerzmanowska pod egidą Instytutu Historii Nauki, Oświaty i Techniki PAN (Pracownia Nauk o Leku) przedstawiła opracowanie „Roman Małachowski i jego lwowska szkoła: z dziejów katedry [chemii] organicznej” (Warszawa 1992). O nieco podobnym zakresie tematycznym, lecz z akcentem na działalność naukową uczonego Bronisława Radziszewskiego powstało studium „Bronisław Radziszewski i lwowska szkoła chemii organicznej” (Ignacy Z. Siemion, Polskie Towarzystwo Chemiczne, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego 1999). W zakresie nauk historycznych, tak bujnie rozwijających się w UJK, trzeba wspomnieć monografię „Oswald Balzer i lwowska szkoła historyczno-prawna (Małgorzata Pyter, Wyd. KUL 2010). A skoro wystąpiła tu wzmianka o naukach historycznych, to „Złota księga historiografii lwowskiej XIX i XX wieku” (red. Jerzy Maternicki przy współpracy Leonida Zaszkiłniaka, Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, 2007) prezentuje w formie leksykonu osoby i dzieła 36 wybitnych lwowskich historyków polskich i ukraińskich, których prace mają niejednokrotnie walor dzieł klasycznych, stanowiących trwały dorobek w tej dziedzinie wiedzy. Książka ta dopełnia jak dotąd 5-tomową serię studiów „Wielokulturowe środowisko historyczne Lwowa w XIX i XX wieku” (red. Jerzy Maternicki, Uniwersytet Rzeszowski), choć niektóre opracowania, zwłaszcza ukraińskich autorów, mogą budzić pewne wątpliwości (interpretacyjne). Ten wszak niepełny przegląd zamknę przypomnieniem opracowania zbiorowego pod red. nauk. prof. Ireny Stasiewicz-Jasiukowej „Lwowskie środowisko naukowe w latach 1939–1945 – O Karolu Parnasie” (PAN-Komitet Historii Nauki i Techniki, Warszawa 1993). W pracy tej zawarto opracowania dot. Politechniki Lwowskiej, Akademii Medycyny Weterynaryjnej, Akademii Handlu Zagranicznego oraz blok tekstów poświęconych prof. Jakubowi Karolowi Parnasowi. Niemało jest też przyczynków i wspomnień o wielu lwowskich uczonych i ich dokonaniach, lecz rozproszonych w rozmaitych edycjach, w tym w czasopiśmie naukowych, i teraz rodzi się myśl, że warto podjąć trud, aby te opracowania wydać w formie zwartej. Wiele rozpraw poświęcono lwowsko-warszawskiej szkole filozoficznej (zwłaszcza w zakresie logiki), której imponujące dokonania były niejednokrotnie źródłem naukowej inspiracji w Polsce i w świecie i nadal budzą żywe zainteresowanie także poza Polską.

Sygnalizowana książka jest pierwszą monografią dziejów lwowskiej geografii, kształtujących się w formie zinstytucjonalizowanej w Insty-

tucie Geograficznym UJK. (Tu wyjaśnienie: początkowo jednostką organizacyjną uniwersytetu był instytut, natomiast „katedrę” tworzone tylko dla zatrudnienia etatowego konkretnego profesora. Tak więc Katedra Geografii powiązana była personalnie z trzema kolejnymi profesorami UJK, będących zarazem dyrektorami Instytutu Geografii, którego strukturę tworzyły różne pracownie naukowe). Niemało wspomnień o lwowskich geografach i ich naukowych dokonaniach opublikowano w formie artykułów w piśmiennictwie specjalistycznym. Kilku z nich spisało swe wspomnienia w książkach (zob. obszerna bibliografia w sygnalizowanym dziele). Przyszedł wreszcie czas na syntezę. „Lwowska geografia” w pełni na nią zasługuje. Decyduje o tym kilka czynników. Wszak był to drugi (wraz z krakowskim) najstarszy naukowy ośrodek geograficzny powstały w Galicji w II połowie XIX wieku. Z nim związane są nieprzeciętne osobowości twórcze, które wytyczyły swymi badaniami na kilka dziesiątków lat drogi rozwoju geografii w Polsce, zarówno po odzyskaniu niepodległości, jak i w nowych warunkach historyczno-politycznych po II wojnie światowej; lwowscy uczeni po exodusie lat 1944/1945 tworzyli ośrodki naukowe w Lublinie, Wrocławiu, Poznaniu. Ich prace miały nie tylko krajową, ale europejską renomę.

Kultywowaną manierą akademicką jest poprzedzanie dzieł rozdziałem wstępnym; ma on uzasadnić podjęcie tematu, wykazać znajomość piśmiennictwa w danym zakresie, „panowanie” nad rozważanym zagadnieniem, przedstawić założenia teoretyczno-metodologiczne itd.; przedsięwzięcie takie nie zawsze jest udane. Sądzić zatem można, że zbyteczny jest fragment „Lwów w dziejach kultury i nauki polskiej”: krótka prezentacja historii Lwowa od czasów średniowiecza do II wojny światowej, wraz ogólnym tłem politycznym przemian miasta i powstawania jego niektórych instytucji kulturalno-naukowych. Z istoty rzeczy, taki zamiar może być spełniony na kilku stronach druku tylko nader połowicznie, przywołując fakty znane, dobrze utrwalone w bogatym i powszechnie dostępnym piśmiennictwie. Nieco razi także to, iż autorka odwołuje się w tej części książki do prac popularno-naukowych, cytując je na równi z oryginalnymi dziełami naukowymi, jakby nie dostrzegając faktu, iż owe opracowania dotyczące dziejów miasta też mają w znacznym stopniu wtórny charakter. Jest to „grzech” autorów, którzy w ambicji przedstawienia pełniejszego tła kształtowania się podstawowej tematyki wkraczają na pola problemowe, gdzie nie czują się zbyt pewnie.

Dzieje Instytutu Geograficznego (w różnych zakresach problemowych) przedstawiono w rozdziałach 3–11. Tu już autorka panuje nad swym tematem. Jak zwykle pewnym problemem jest periodyzacja i jej kryteria. Przyjęła dwa kryteria: osobowe (personalne) i historyczno-poli-

tyczne. Oba są uzasadnione okolicznościami warunkującymi funkcjonowanie Instytutu. Kryteria te nie zostały wprost określone, ale są czytelne w układzie książki. Wyróżniono zatem, przyjmując (milcząco) kryterium osobowe, trzy główne okresy funkcjonowania Instytutu: okres pierwszy 1883–1910, a więc od chwili powstania Katedry Geografii dla prof. Antoniego Rehmana, do końca sprawowania przez niego funkcji pierwszego dyrektora Instytutu, przechodzącego w stan spoczynku w wieku 70. lat.

Okres drugi określają daty graniczne 1911–1930, a więc lata działalności (z przerwami) drugiego dyrektora Instytutu, prof. Eugeniusza Romera, będącego twórcą lwowskiej szkoły geograficznej. Są to lata pełni jej rozkwitu, jej ogólnopolskiej rangi i dokonań europejskiej miary. Okres trzeci 1931–1939 jest wyznaczony przez odejście prof. E. Romera na emeryturę (1930) i wielce skomplikowaną sprawę następstwa po nim; datą graniczną jest wybuch II wojny światowej i pierwsza rosyjska okupacja Lwowa. Okres rozwoju Instytutu Geograficznego w UJK autorka słusznie zamknęła rokiem 1939. Bo choć Uniwersytet jeszcze istniał do 1941 roku (kiedy to z nastaniem okupacji niemieckiej został zamknięty), to jednak nie był to już polski uniwersytet, lecz przeorganizowany według sowieckiego modelu (także ideologicznego), pod ukraińsko-radzieckim kierownictwem, z licznymi zmianami personalnymi, niekorzystnymi dla Polaków.

Dla drugiego wymienionego wyżej okresu przyjęto wewnętrzną trójdzielną periodyzację, na podstawie mieszanego kryterium osobowego oraz historyczno-politycznego, (a więc czynniki obiektywne, zewnętrzne, niezależne od uwarunkowań personalnych).

Wyodrębniono zatem trzy podokresy: 1911–1914, 1914–1920, 1921–1930. Cezury te wskazują na zmienne okoliczności historyczne. Data 1911 wiąże się z objęciem przez prof. E. Romera kierownictwa Instytutu, który funkcjonuje do wybuchu I wojny św. co prawda w warunkach autonomii Galicji, to jednak w ramach systemu oświaty i edukacji właściwego dla monarchii austro-węgierskiej. Podokres drugi wyznaczony jest przez długi okres wojenny (lata wojny światowej, wojna polsko-ukraińska i walka o Lwów, wojna polsko-bolszewicka). Autorka na podstawie źródeł wszechstronnie scharakteryzowała ten czas zmiennych losów uczelni i jej jednostek: zawieszenia działalności Uniwersytetu i Instytutu (rok ak. 1914/1915 i formalnie 1918; 1920), ewakuację wielu pracowników naukowych do Wiednia (w tym prof. E. Romera), czas okresowego wznawiania pracy, lecz w ograniczonym zakresie, w nader trudnych warunkach destabilizacji politycznej, naukowej i dydaktycznej, przy wielkich trudnościach materialnych, lokalowych, osobowych. Ten ostatni czynnik ma niebagatelne znaczenie dla Instytutu, w którym

mają miejsce długotrwałe trudności kadrowe” związane z wyznaczeniem zastępstwa za prof. E. Romera na czas jego wojennej ewakuacji (1914–1916 i od 1918), bo choć powraca on do Lwowa, to tylko na dwa lata (1916–1918), by przez ponad rok (1918–1919) przebywać w Paryżu jako ekspert ds. granic w składzie polskiej delegacji na konferencji pokojowej, a następnie uczestniczyć (1920 r.) w pracach polskiej delegacji na konferencję pokojową z Rosją. Dopiero po zakończeniu działań wojennych, w warunkach odzyskanej niepodległości i po stabilizacji kadrowej, następuje czas rozwoju lwowskiej geografii, pełen krajowych i międzynarodowych sukcesów. Rozwój ten ukazany jest wieloaspektowo.

Przedstawiono sylwetkę pierwszego dyrektora Instytutu, a potem rektora Uniwersytetu, prof. Antoniego Rehmana pochodzącego z Krakowa, jego drogę naukową, wielorakie studia zagraniczne, badawcze podróże na Krym, do Afryki Południowej, w pasma Karpat od Bratysławy do Mołdawii, w Alpy i Kaukaz, działalność w wielu towarzystwach naukowych, scharakteryzowano jego najważniejsze osiągnięcia naukowe, w tym głównie w zakresie geobotaniki i jako twórcy kierunku fizjograficznego w geografii, omówiono jego najważniejsze publikacje. Działalność naukową dopełniał zaangażowaniem społecznym w nowo powstałym Towarzystwie Kursów Akademickich dla Kobiet, domagając się także przyznania kobietom prawa do studiowania na Uniwersytecie, co w owych czasach nie było takie oczywiste; niósł pomoc materialną robotnikom na Śląsku, poddany represjom sądów pruskich za polskie nastawienie. Zmarłemu uczonemu oddał hołd prof. Romer, następcą na katedrze, choć niekiedy wchodził ze swym poprzednikiem w spory naukowe. (Przytoczono fragment wystąpienia podczas uroczystości pogrzebowych).

Opisano starania u władz austriackich o utworzenie Katedry i Instytutu Geografii, skromne początkowo warunki materialne i lokalowej, program realizowanych prac naukowych, pierwsze doktoraty z geografii obronione w UJK i pierwszą habilitację; zaprezentowano grono najzdolniejszych uczniów i współpracowników prof. A. Rehmana, wraz z charakterystyką ich najważniejszych prac naukowych. Ten ciekawy wątek pozwala zorientować się, w zestawieniu z późniejszymi pracami, jak zmieniał się zakres badań i najważniejszych teorii w różnych dziedzinach geografii, jak w ogóle rozwijała się geografia jako odrębny rodzaj wiedzy. Już w tej części książki występuje postać E. Romera, którego niezwykła osobowość wywrze niezatarty ślad na rozwoju Instytutu Geograficznego UJK i w ogóle geografii w Polsce. Jawi się on na kartach książki w kolejnych odsłonach: jako student A. Rehmana, potem jego współpracownik i następcą na katedrze i w Instytucie. Przedstawiono wielowymiarowość postaci Romera – jako człowieka oraz uczonego,

łączącego pasje naukowe z wielkim zaangażowaniem patriotyczno-politycznym i obywatelskim, uczestniczącego w działalności niepodległościowej. Podrozdział „Droga Eugeniusza Romera do niepodległej Polski” rekonstruuje wielorakie zakresy patriotycznego zaangażowania w czasach szkolnych, studenckich, na etapie pracy nauczycielskiej i w początkach pracy uniwersyteckiej. Charakterystyka zainteresowań geopolitycznych uczonego, jego ostrych polemik z uczonymi niemieckimi o nastawieniach prusko-nacjonalistycznych nt. geopolitycznych uwarunkowań położenia Polski w Europie daje bogate tło dla przedstawienia jego wielkiego i nowatorskiego dzieła – wielotematycznego „Atlasu Polski” a następnie działalności eksperckiej Romera w składzie polskiej delegacji na konferencję pokojową w Paryżu. Tam się decydowały kwestie granic odrodzonego państwa. *Atlas* odegrał ważną rolę w decyzjach dotyczących powrotu Polski na mapę polityczną Europy. Dobrze więc, że autorka przytacza fragmenty polemik Romera z głównym niemieckim oponentem berlińskim profesorem Penckiem, wypowiedzi samego profesora, fragmenty wspomnień dot. *Atlasu* różnych osób, w tym opinie niektórych uczonych europejskich, będących świadkami międzynarodowych pertraktacji.

Odwołanie się do rozmaitych archiwaliów osób prywatnych (w tym wspomnienia i korespondencja) umożliwiło odtworzenie entuzjastycznych nastrojów, towarzyszących wznowieniu pracy Instytutu po okresie wojennym, a zachowane w archiwach lwowskich sprawozdania Instytutu – na ukazanie jego struktury organizacyjnej, zakresu prac naukowych, programu ćwiczeń, prac terenowych, tematyki wykładów, prowadzonych przez dane osoby. Po tym okresie „heroicznym” przyszedł czas na stabilizację. Wyraziło się to w reformie studiów geograficznych, którym nadano pełny wymiar akademicki, wieńczony magisterium po 4-letnim cyklu nauczania, i ewentualnie z doktoratem, ale przyjętym jako kolejny etap kariery naukowej. Była to nowość, bowiem zgodnie z powszechną praktyką uniwersytecką XIX wieku, dotąd studia kończono tylko doktoratem. Przedstawiono zatem plan studiów magisterskich (tematycznie i w wymiarze godzin) i egzaminów w kolejnych latach studiów. Zwieńczeniem działalności dydaktyczno-naukowej Instytutu do 1939 r. były liczne doktoraty. Zachowana dokumentacja przytoczona w książce ukazuje osoby, tematy prac, promotorów i recenzentów, przedstawione są fragmenty ich opinii o przedłożonych rozprawach. Ten wątek tematyczny dopełnia charakterystykę działalności dydaktycznej i badawczej Instytutu Geograficznego, wydawniczej i organizacyjnej, zapoczątkowanej u progu niepodległości Polski przez prof. E. Romera, a rozwijanej w okresie działalności kolejnego dyrektora Instytutu, prof. Augusta Zierhoffera, aż do 22 września 1939 r.

Odrębny fragment monografii przedstawia inne wielkie dzieło prof. E. Romera: powołanie i zorganizowanie przez niego Instytutu Kartograficznego jako instytucji tworzącej podstawy polskiego przemysłu kartograficznego i polskiej szkoły kartograficznej. Działalność koncepcyjna i naukowa dotycząca programu prac nad opracowywaniem oryginalnych map polskich powiązana była z tworzeniem niezależnego wydawnictwa jako przedsiębiorstwa realizującego produkcję kartograficzną. Autorka scharakteryzowała w tym zakresie działania E. Romera, współpracowników Instytutu i jego ogromny dorobek edytorski. Choć Instytut był jednostką odrębną od Uniwersytetu, istniała pewna symbioza naukowa między nimi, co udanie zostało pokazane w książce.

Ważnym elementem dziejów lwowskiej geografii było Koło Geografów Uniwersytetu Jana Kazimierza jako organizacja młodzieży akademickiej. Odtworzono zatem program wycieczek naukowych, tematy odczytów i wykładów, dopełniających program dydaktyczno-naukowy studiów geograficznych.

Starannie także przedstawiono bogaty dorobek wydawniczy lwowskich geografów – naukowy i popularyzatorski: edycje czasopism naukowych, liczne odrębne publikacje, a ponadto udział w krajowym i międzynarodowym życiu naukowym.

Okres wojenny (od 1939 r.) w dziejach Instytutu ujęto w części monografii zatytułowanej „Epilog”. I tu wydzielono trzy okresy: 1939–1941, 1941–1944 i 1944–1945. Cezurę wyznaczają już nie personalia, tylko okoliczności historyczno-polityczne: zmiana kolejnych okupacji (sowieckiej i niemieckiej). Przedstawiono zmiany organizacyjne, programowe i kadrowe przeprowadzone w Instytucie Geograficznym i Kartograficznym w okresie pierwszej okupacji sowieckiej. Spośród częściowo nowej kadry autorka zwraca uwagę na postać prof. Jerzego (Jurija) Polańskiego, Ukraińca, obejmującego Katedrę Geografii w Uniwersytecie pod wezwaniem już Iwana Franko, który dobrze zapisał się w pamięci polskich uczonych jako ten, który podczas jednej i drugiej okupacji pomagał Polakom. Rozdział zamyka przegląd wojennych losów lwowskich geografów związanych etatowo z Uniwersytetem Jana Kazimierza oraz lista strat osobowych w okresie 1939–1946 – osób zamordowanych, zamęczonych, zmarłych.

Wielką zaletą książki jest warstwa dokumentacyjna: autorka przytoczyła fragmenty wspomnień wielu osób, fragmenty korespondencji i rozmów przeprowadzonych przez nią z przedstawicielami lwowskiego środowiska geograficznego. Dzięki temu charakterystyki osobowe są pełniejsze, bardziej wyraziste, działalność Instytutu dookreślona jest szczegółami, które wymykają się dokumentom, obraz zdarzeń jest bogatszy. Wykorzystanie źródeł z archiwów domowych osób prywatnych

i archiwów „oficjalnych” w Polsce i ukraińskich pomogło w miejsce akademickiego wywodu stworzyć żywą i barwną opowieść o losach instytucji i losach ludzi. Zaś warstwa ilustracyjna książki jest wyjątkowo bogata i interesująca. Liczne zdjęcia pracowników i studentów ukazują nie tylko ich sylwetki by tak rzec „oficjalne”, ale w kontekście działalności naukowo-dydaktycznej Instytutu, podczas wycieczek terenowych w Tatrach, góry rumuńskie, na Wołyń, Pogórze Karpackie, Polesie, zapoczątkowanych w latach 30. polskich wypraw polarnych. Reprodukcje listów, rozmaitych dokumentów, okładek dzieł naukowych, fragmentów map, zdjęcia z uroczystości naukowo-unwersyteckich, odtwarzają dawny czas.

Dla przedstawienia dziejów Instytutu Geograficznego ważną rolę spełniają załączniki – jako reprodukcje wybranych dokumentów archiwalnych: wniosek do Ministerstwa [w Wiedniu] w sprawie profesury nadzwyczajnej dla doc. Stanisława Pawłowskiego z 4 kwietnia 1918 r., trzy listy Albrechta Pencka do E. Romera (1916–1917 rok), wykaz prac opublikowanych i wykonanych w Instytucie Geograficznym UJK w latach 1934–1938, zestawienie prac magisterskich z geografii obronionych w latach trzydziestych (w oparciu o zachowane protokoły z egzaminów dyplomowych – archiwa lwowskie), tytuły referatów na posiedzeniach naukowych Towarzystwa Geograficznego we Lwowie w latach 1926–1939, tytuły publicznych odczytów organizowanych przez Towarzystwo Geograficzne we Lwowie w latach 1926–1939, dyplomy i odznaczenia przyznane E. Romerowi (wykaz i reprodukcje, ze zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej).

Autorka nie zawahała się przedstawić także kilku załączników szczególnego rodzaju, problemowo powiązanych, co z uwagi na podstawowy problem, dobrze świadczy o rzetelności dokumentacyjnej. Sprawa dotyczy konfliktu dwu profesorów, przedstawionego dokładniej (str. 313–315). Załączniki te wraz z odpowiednim fragmentem książki skłaniają do pewnej ogólniejszej refleksji. Niekiedy w różnych publikacjach współczesnych i wypowiedziach istnieje skłonność do idealizowania przedwojennego środowiska uczonych i w ogóle akademickiego, skłonność do uprawiania swoistej hagiografii w odniesieniu do różnych ówczesnych osobistości życia naukowego (zresztą nie tylko tych osobistości). Trzeba jednak wczytać się w liczne materiały i opracowania będące świadectwem „dawniejszych czasów”, żeby przekonać się, że tak jak i współcześnie, co do morale środowisko to nie było monolitem i zbiorem tylko kryształowych charakterów. Tak jak i współcześnie, nie wszyscy byli i są wzorem cnót osobowych, niemało było zawiści zawodowej i osobistej, małostkowości, intryg środowiskowych, wątpliwych niekiedy karier, utracania ewentualnych konkurentów, prywaty, wyrachowanego egoizmu, tak jak i dziś, itp. (Właśnie taki dwuznaczny

kontekst miała sprawa następstwa na katedrze po profesorze E. Romerze, którą autorka omawia bardziej szczegółowo). Dziś stosunkowo łatwiej o tym czytać, personalia są ustalone, ówczasie pokrywano te kwestie milczeniem albo były w najlepszym wypadku przedmiotem rozmów w zamkniętych gronach. Lecz czasem wybuchały na forum publicznym. Taki właśnie casus przedstawia przywołany załącznik pt. „List otwarty do prof. dr. Stanisława Lencewicza redaktora „Przeglądu Geograficznego” w sprawie napaści dokonanej przez prof. dr. Władysława Gorczyńskiego na imię naukowe prof. dr. Eugeniusza Romera” (list z 16 kwietnia 1939 roku). List autorstwa samego profesora ma przy ogólnym spojrzeniu charakter (ostrego i nie przebiegającego w sformułowaniach) sporu naukowego dwóch antagonistów. W istocie sprawa ma inny też aspekt: dotyczy pewnych działań czy postawy, które nie mieszczą się w generalnym wzorcu moralnym uczonego czy w pewnym wzorze osobowym, który tradycyjnie bywa przypisany uczonemu (uczonemu), a który przecież nie zawsze się sprawdza. Sprawa wywołała reperkusje w środowisku naukowym; dokumentują to listy (w książce reprodukcje) uczniów profesora i kilku wybitnych znanych uczonych (Fr. Bujak, Jan Czekanowski) adresowanych do E. Romera, do organów Polskiego Towarzystwa Geograficznego. Cóż, w książce tę sprawę można było pominąć; można by powiedzieć, że w końcu był to tylko niemiły incydent w środowisku naukowym, co zawsze może się zdarzyć i nie mający dla niego typowego charakteru; można by przyjąć, zgodnie z dość pospolitym i dziś przekonaniem, że nie należy „kłać własnego gniazda”. I właściwie po co przywoływać dziś tak odległe sprawy, przebrzmiałe i nie mające istotnego znaczenia dla dziejów uniwersyteckiej jednostki naukowej. A jednak, załączniki dokumentują pewne ważne problemy, których znaczenia nie należy bagatelizować w ogóle. I co do których (w warstwie moralnej) można doszukać się i dziś wiele analogii. Gwoli – jako się rzekło – rzetelności autorka jednak wybrała... na miejscu zatem będzie ta sentencja starożytnych: AMICUS PLATO, SED AMICA VERITAS. (Przyjacielem Platon, lecz [większą] przyjaciółką prawda).

Maciej Miśkowiec

Ryszard Wójcik *Kapryśna gwiazda Rudolfa Weigla*, Gdańsk 2015, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, s. 296, il.

Kiedy na zaproszenie Pani Profesor Alicji Węgrzyn jechałam do Gdańska na Międzynarodową Konferencję Mikrobiologów, połączoną z promocją książki Ryszarda Wójcika „Kapryśna gwiazda Rudolfa Weigla”, odczuwałam radość i wdzięczność, ale także pewien niepokój i trempę.

Zastanawiałam się czy książka ta, będąca efektem wielu lat pracy, zgłębiła detektywistycznych poszukiwań świadków dramatycznych losów mojego Dziadka a jednak, przez swą wielowarstwowość, nieco zawiła i chaotyczna, zdoła wciągnąć tzw. „zwykłego czytelnika” w prawdziwą historię tego wielkiego naukowca. Znałam już wcześniejsze teksty Pana Redaktora, podziwiałam jego talent reporterski, rzetelność w zbieraniu materiałów, docieklivość. Bywał w naszym domu, nagrywając rozmowy z moimi Rodzicami. Autor rozpoczął pracę nad książką, jeszcze w latach 70-tych. Chciał w niej przybliżyć postać mojego Dziadka, jego osiągnięcia naukowe a także powikłane wojenne losy. Przez wiele lat, pokonując przeszkody i trudności gromadził materiały, rejestrował rozmowy ze świadkami tamtych czasów.

Dotarł do wielu ludzi, którzy pracowali przy produkcji szczepionki, do ludzi którzy się tam ukrywali, którzy przez zatrudnienie w Instytucie unikali wywózek, łapanek i całego tego piekła okupacji. Zachował od zapomnienia bezcenne świadectwa czasów okupacji sowieckiej i niemieckiej. Są więc w książce utracone na taśmach rozmowy z niezwykłymi już przyjaciółmi i współpracownikami dziadka, naukowcami, którzy przetrwali wojnę i którzy, jak to określił prof. Kryński, stanowili „szturmowy batalion nauki polskiej” w późniejszych latach. Wśród osób, które znalazły zatrudnienie w Instytucie byli znakomici uczeni, jak: Stefan Banach i Bronisław Knaster (genialni matematycy), Alfred Jahn (geograf), Eugeniusz Romer (kartograf), Stanisław Kulczyński (botanik), Henryk Mosing, Henryk Meisel (mikrobiolodzy) oraz wielu innych, którzy jak profesor Waław Szybalski (genetyk) mieli ogromny wkład w późniejszy rozwój światowej nauki. Wśród ludzi kultury znaleźć tam można takie postacie jak

Zbigniew Herbert, Stanisław Skrowaczewski, Mirosław Żuławski, Andrzej Szczepkowski, Ludwig Fleck, Jerzy Broszkiewicz i wielu innych. Autor dotarł również do przedstawicieli podziemia niepodległościowego, którzy pod osłoną Instytutu prowadzili działalność konspiracyjną. Przywołał także wiele wspomnień ludzi pochodzenia żydowskiego, którym Dziadek zapewnił opiekę i pomoc w tych strasznych czasach.

Co warte podkreślenia, autor dzięki swemu reporterskiemu talentowi, zdołał otworzyć serca wielu czytelników, którzy zgłaszały się do niego aby dodać swoje, wzruszające wspomnienia związane z poruszonymi przez niego sprawami.

Dla mojej rodziny książka Ryszarda Wójcika ma więc wielką wartość przez wzgląd na zapisane tam wspomnienia ludzi, którzy już odeszli i nigdy nie mogliby opowiedzieć o swoich przeżyciach.

Cel jaki postawił sobie Autor, a mianowicie zadać kłam powojennym oskarżeniom, które zniszczyły życie mojego Dziadka, to dla nas rzecz nie do przecenienia. I choć wiele w tej książce, moim zdaniem, można by poprawić, inaczej rozłożyć akcenty sam fakt, że jest, że po tylu latach ukazała się, jako pierwsza większa praca na ten temat, to już jest wielka rzecz. Książka jest mocno osadzona w realiach epoki. Autor przywołuje nieznane wcześniej dokumenty, pojawiają się znane (choć niesławnej pamięci) postacie jak Ławrientija Berii, Nikity Chruszczowa, gubernatora Hansa Franka, generała Katzmana i wielu innych. Ma się wrażenie bycia w samym centrum wydarzeń historycznych, „w oku cyklonu”. Czytając o wszystkich karłowatych wysiłkach, jakie podejmował Dziadek, aby w ciemnych czasach okupacji sowieckiej i niemieckiej ratować zagrożonych ludzi, ma się wrażenie, że dysponował on jakąś nadludzką siłą. Musiał być bardzo samotny dźwigając na swych barkach tak wielką odpowiedzialność. Nie był to czas na dzielenie się z kimkolwiek, nawet najbliższymi ludźmi, swoimi wątpliwościami i troskami.

Często zastanawiam się skąd czerpał siłę, co sprawiło, że w trudnych momentach, czasami w obliczu ogromnego zagrożenia, ważniejsze dla Niego były lojalność wobec przybranej ojczyzny, wierność zasadom, niż ratowanie za wszelką cenę swojego życia.

Myślę, że dużą rolę (choć oczywiście nie jedyną) odgrywało środowisko, w jakim się

wychowywał. Polska, która będzie jego przybraną ojczyzną, nie istniała wówczas na mapie świata. Miał kilkanaście lat, kiedy trafił do Gimnazjum im. króla Stanisława Leszczyńskiego w Jasle. Wydaje się, że bardzo szybko poddał się urokowi tej niezwykle emocjonalnej, przepełnionej duchem polskości atmosfery, w jakiej żyli profesorowie i uczniowie tej szkoły. Z pewnością bardzo pomogło i to, że jego ojczym był tam nauczycielem.

Wiek młodzieńczy cechuje się wyostrożoną wrażliwością, podatnością na ideały, patrzaniem na świat przez pryzmat wzniosłych uczuć i nie jest obojętne, jakim wpływom poddany jest młody człowiek. Myślę, że wiele cech takich jak odwaga cywilna, poczucie służenia nauce i ludziom, jakie przypisywane są Dziadkowi, to w dużej części zasługa ludzi, którzy wtedy kształtowali jego charakter. Byli wśród nich wychowawcy z pięknymi kartami w życiorysie, w tym także uczestnicy powstania styczniowego. Pielegnowanie patriotycznych i niepodległościowych tradycji było dla nich najwyższym celem.

W 2009 roku zostałam zaproszona na obchody 140 lecia istnienia tego Gimnazjum. Była to wspaniała uroczystość, pełna podniosłych momentów. Wypowiadali się uczniowie i absolwenci Gimnazjum, przybliżono tradycje patriotyczno-niepodległościowe tej szkoły. Wspaniała referat młodego absolwenta Gimnazjum, pana Kamila Ruszały pozwolił mi zobaczyć klimat, w jakim wychowywał się Dziadek, wówczas jeszcze bardzo wyobcowany w tym środowisku, młodzieniec. Szczególnie zapadł mi w pamięć cytat ze wspomnień Jana Wilusza, nauczyciela Gimnazjum który przywołuje Autor w swoim referacie: „Pod ręką tak zwanego „zaburzonego” nauczyciela, w którego piersi tętniło gorące serce polskie, wychowywały się całe pokolenia, kształtowały się i utrwalały charaktery; w tej kresowej jasielskiej stancji, w której niepodzielnie zapanował Polski Duch uczono młodych Wallenrodów nieśmiertelnej pieśni Wajdeloty, przypominając im, że są synami wielkiego, kulturalnego, bohaterskiego, a jednak ujarzmionego Narodu, że obowiązkiem ich jest praca nad sobą i dla narodu, walka o nieprzeżnione ideały – Wolność i Niepodległość Tej, co nie zginęła i o zjednoczenie narodu”.

Z taką właśnie atmosferą, z takimi wychowawcami spotkał się Dziadek trafiając

do Gimnazjum w Jasle. Podobna atmosfera towarzyszyła Mu we Lwowie, gdzie rozpoczął studia w Uniwersytecie Jana Kazimierza. Sam miał romantyczne usposobienie, o czym świadczą wiersze (początkowo w języku niemieckim a potem stopniowo w języku polskim) odnotowywane przez Niego w młodzieńczym notesiku. Są tam cytaty z Marii Konopnickiej, Juliusza Słowackiego, Adama Mickiewicza, Wincentego Pola i wielu innych.

Te szerokie zainteresowania humanistyczne (o których niewielu Jego biografów wiedziało, uważając Go za umysł ściśły) dały o sobie znać również w wyborze wykładów, na które uczęszczał na początku studiów we Lwowie. Były wśród nich: „O poezji polskiej w drugiej połowie XVI-tego wieku, „Dzieje historii i literatury niemieckiej” a także wykłady z metafizyki.

Lata studiów na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie to czas, kiedy Dziadek całkowicie oddał się studiom przyrodniczym i pracy naukowej skupionej na walce z tyfusem plamistym, zbierającym w tym czasie śmiertelne żniwo na całym świecie. Pracował pod opieką profesora Nusbauma-Hilarowicza, który już wtedy zwrócił uwagę na zdolnego studenta wróżąc mu wielką przyszłość. W swojej fascynującej autobiografii tak pisze on o Dziadku: „W Weiglu cenię jego nadzwyczajną miłość do nauki i żywiołowe po prostu ukochanie badań samych w sobie, dla wykrycia prawdy naukowej, bez żadnego prawie względu osobistego. Jest to u niego cecha nader sympatyczną, ale często bywała powodem, iż dokonawszy jakiegoś ważnego odkrycia, był już z tego zadowolony i nie ryczał mu było do ogłoszenia tego drukiem; dopiero pod wpływem mojej namowy, a niekiedy i pewnego terroru zabierał się do opublikowania swej pracy”.

Historia mojego Dziadka to gotowy scenariusz na film pełen dramatycznych wydarzeń i zwrotów akcji. Opowieść o człowieku, który będąc pasjonatem nauki, bez reszty jej oddanym musiał zmierzyć się trudną historią kraju, w którym przyszło mu żyć i który z własnego wyboru uznał za swoją ojczyznę.

W czasie pierwszej wojny światowej Dziadek prowadził badania nad tyfusem w serbskich obozach jenieckich. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości pracował we Lwowie w Instytucie Badań nad Tyfusem, którego był kierownikiem. Znalazł się w czo-

łowiec badaczy nad tyfusem plamistym a jego tytaniczna praca została zwieńczona sukcesem w postaci opracowania pierwszej, skutecznej szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu. Rozpoczął się etap światowej sławy. Do Jego pracowni we Lwowie przyjeżdżali z całego świata. Byli wśród nich uczeni francuscy, amerykańscy, rumuńscy, czescy i wielu innych. Szczepionka trafiła również do Chin, z których dotarła wiadomość, że przebywający tam misjonarze belgijscy masowo umierają na tyfus. Do Instytutu przyjechał ich przedstawiciel, ojciec Rutten. Dostarczona przez niego na misję szczepionka okazała się niezwykle skuteczna. Dziadek otrzymał wtedy order od belgijskiego króla Leopolda i tytuł Szambelana Papieskiego. Orderów i zaszczytów było jeszcze bardzo wiele.

Druga Wojna Światowa była dla Niego ogromnym ciosem. Był zdruzgotany wydarzeniami, które nastąpiły. Jak wielu uczonych tej epoki, był przekonany o zbawiennej sile nauki, wierzył w jej posłannictwo, zdolność pokonania ludzkiej agresji. Nigdy nie interesował się polityką, nie należał do żadnych stronnictw, organizacji. Miał silny charakter i wewnętrzny sprzeciw wobec przemocy (kiedy, niestety, także do Polski dotarła fala antysemityzmu i część młodzieży próbowała na jego wykładach stosować „getto ławkowe”, powiedział, że nie będzie wykładał dla barbarzyńców i nie rozpocznie wykładu dopóki żydowscy studenci nie usiądą).

W czasie pierwszej okupacji sowieckiej ratował ludzi zagrożonych wywiezieniem w głąb Rosji wykazując ich przydatność do pracy w Instytucie. Czas największej próby nastąpił jednak podczas okupacji niemieckiej. Okupanci, pamiętając o jego pochodzeniu, używali wszelkich form nacisku, obietnic a także gróźb pozbawienia życia, aby zmusić Go do podpisania reichlisty.

Dziadek jednak stanowczo odmówił, mówiąc, że ojczyznę już wybrał i nie opuści jej w tragicznych chwilach. Niemcy zachowali Go przy życiu, ze względu na wagę szczepionki. Ale Dziadek nigdy nie zapomniał wstrząsu, jakim był dla Niego mord na profesorach lwowskich dokonany przez Niemców i Ukraińców na Wzgórzach Wuleckich. Jego największym pragnieniem stało się uratowanie jak największej liczby inteligencji polskiej i innych narodowości, ludzi nauki, stu-

dentów, artystów. Czynił to z narażeniem życia. W tym wszystkim pozostał człowiekiem skromnym, szlachetnym, był kochany a nawet uwielbiany przez swoich asystentów i uczniów, których otaczał ojcowską troską. Po wojnie zamiast zasłużonego uznania spotkał Go los tragiczny. Jako zagorzały przeciwnik wszelkiego rodzaju totalitaryzmów, nie odnalazł dla siebie miejsca w nowej, komunistycznej rzeczywistości. Podczas gdy cały świat szczylił się takim naukowcem, w PRL-u Jego nazwisko skazano na zapomnienie.

Pozbawiony kontaktów z zaprzyjaźnionymi naukowcami, izolowany i osamotniony nie dostał nawet powołany na członka Polskiej Akademii Nauk. Utracono mu też szansę na zdobycie Nagrody Nobla. Musiał jeszcze przeżyć gorycz pomówień i oszczerstw ze strony dwóch byłych współpracowników oskarżających Go o kolaborację z Niemcami. Ten odważny badacz, który bez reszty poświęcił się nauce (dwukrotnie chorował na tyfus wypróbując szczepionkę na sobie) był zupełnie bezradny wobec intryg i małości ludzi. Dzięki staraniom Jego byłych uczniów, asystentów i współpracowników został Mu pośmiertnie przyznany medal „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”.

Po wojnie Dziadek zamieszkał ze swoją drugą żoną w Krakowie a mój ojciec z rodziną w Zabrzu. Miałam 10 lat, kiedy umarł i niewiele pamiętam z tych lat. Może tylko Jego charakterystyczne dobre oczy, łagodny ton głosu. Nie mogłam nic wiedzieć o tragedii, jaką przeżywa. W domu nie mówiło się wiele na ten temat. Mój ojciec był człowiekiem bardzo skrytym, zamkniętym w sobie. Było tuż po wojnie, pewnie nie chciał nas absorbować tak poważnymi sprawami. Właściwie to dopiero czytając utrwalone na taśmie reporterskiej Jego wspomnienia o Dziadku, dowiaduję się jak bardzo i On cierpiał.

Na samą myśl o tym co wtedy przeżywali bliscy mi ludzie, odczuwam coś w rodzaju poczucia krzywdy. A raczej może bezradnej rozpaczki w obliczu zła, jakie mogą ludzie sobie wyrządzać. Ale pocieszam się myślą, że będąc człowiekiem prawym, Dziadek, nawet w najczarniejszych chwilach, gdzieś tam, a głębi serca wiedział, że kiedyś nadejdzie taka chwila iż jego imię odzyska blask. Może to właśnie ta chwila ?

Chcę złożyć serdeczne podziękowania Panu Profesorowi Wacławowi Szybalskiemu,

wielkiemu uczonemu, humaniście, którego przyjaźń, oddanie i pomoc w utrwaleniu pamięci o Moim Dziadku, zachowam w pamięci i sercu na zawsze.

Krystyna Weigl-Albert

Ormiański Pasterz Lwowa Ksiądz Arcybiskup Józef Teodorowicz na tle dziejów ormiańskich; redakcja Włodzimierz Osadczy, ks. Mirosław Kalinowski, Marko Jacov, Wydawnictwo KUL Lublin-Lwów 2015, s. 257, fot. kolor.

Dedykacja:

„Książka przedstawiająca postać ostatniego ormiańskiego arcybiskupa Lwowa Józefa Teodorowicza ukazuje się w setną rocznicę rzezi Ormian i dedykowana jest Ofiarom Ludobójstwa”

Do tej rocznicy, przypadającej w 2015 roku, nawiąże we „Wprowadzeniu” jeden z redaktorów książki, Włodzimierz Osadczy: „...Wydając tę książkę i składając hołd pasterzowi Ormian lwowskich, łączymy się w duchu solidarności z narodem ormiańskim oplakującym swe ofiary.”

Książka zbiera materiały międzynarodowej konferencji naukowej zorganizowanej 4 grudnia 2013 r. w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Jana Pawła II w 75. rocznicę śmierci abpa J. Teodorowicza, rozważające różne aspekty życia i działalności „wielkiego biskupa” na tle dziejów ormiańskich. Określenie „wielki biskup” nie jest grzecznościową formułą, lecz nawiązuje do wypowiedzi Jana Pawła II, odwiedzającego 7 lipca 1984 r. Kolegium Ormiańskie w Rzymie: „...W mojej ojczyźnie był obecny wasz katolicki Kościół ormiański, był dostrzegalny, był aktywny i zapisał najpiękniejsze rozdziały we wspólnej historii Ormian-katolików i historii Polski. Nie możemy zapomnieć wielkich imion biskupów, a zwłaszcza ostatniego z nich, Józefa Teodorowicza, wielkiego biskupa, wielkiego reprezentanta Kościoła ormiańskiego, a także wielkiego Polaka, wielkiego przyjaciela mego wielkiego poprzednika w Krakowie, kardynała Adama Sapiehy.”

Postać ostatniego arcybiskupa ormiańskiego we Lwowie zaciera już cień niepamięci; podobnie we współczesnej świadomości

historycznej zaciera się pamięć o społeczności Ormian, obecnej na ziemiach Koronnej Rusi przez kilka wieków, a której już nieliczni potomkowie żyją w rozproszeniu obecnie w Polsce. Dzieje Ormian na obszarze dawnej Rzeczypospolitej (z głównym ośrodkiem we Lwowie) stały się domeną twórczości niewielkiego grona historyków, są właściwie w ogóle na marginesie zainteresowań historycznych, piśmiennictwo jest problemowo fragmentaryczne i rozproszone, więc i trudno dostępne. Dopiero w ostatnich latach powstają nowe opracowania o tematyce ormiańskiej (choć też nieliczne) zastępujące lub uzupełniające dawniejsze piśmiennictwo, głównie z okresu przedwojennego, w którym dominują prace lwowskich historyków. Zatem trzeba wyrazić uznanie dla organizatorów konferencji i jej uczonych uczestników, których wystąpienia umożliwiają ogląd dziejów ormiańskich na polskiej ziemi. Ma to tym bardziej ważne znaczenie, że wraz ze śmiercią w 1938 r. abpa J. Teodorowicza zanikła trzywiekowa tradycja archidiecezji ormiańskokatolickiej we Lwowie, a „późniejsze sowieckie dewastacje chrześcijańskiego dorobku kulturowego wraz z cenzurą w duchu poprawności pojałtańskiego ładu usiłowały wymazać z pamięci wszelkie wzmianki o wielkim arcybiskupie oraz o Kościele, któremu przewodniczył.”

Rangę i znaczenie konferencji uwydatniają listy (w książce – reprodukcje fotograficzne) nadesłane do jej uczestników przez: ks. kard. Kazimierza Nycza, arcybiskupa i metropolity warszawskiego, ordynariusza wiernych obrządku ormiańskiego w Polsce oraz ks. abpa Mieczysława Mokrzyckiego, metropolity lwowskiego obrządku łacińskiego; obrady zaś otworzyło wystąpienie ks. Antoniego Dębińskiego, Rektora KUL. Już te wstępne materiały w syntetycznym skrócie zwróciły uwagę na to wszystko, co najważniejsze i najbardziej charakterystyczne: na postać arcybiskupa jako kustosza wielowiekowej tradycji Ormian polskich, teologa, męża stanu, który wpisał się złotymi zgłoskami w historię Kościoła w Polsce, a jego spuścizna duchowa, głębokie przemyślenia religijne i płomienne kazania weszły do skarbcza kultury duchowej naszego narodu (kard. Nycz); na Ormian-katolików, tworzących „wielobarwną paletę wyznaniową Lwowa” (abp M. Mokrzycki); na fenomen jedności chrześcijańskiej i ka-

tolicyzmu na Kresach Wschodnich choć wyrażającego się w odmiennych językach i w trzech rytach – łacińskim, greckim i ormiańskim, na ormiańską mniejszość najbardziej lojalną w Rzeczypospolitej, i na rozproszenie tej społeczności w wyniku powojennych represji (Rektor KUL); uwydatniono pamięć o ludobójstwie Ormian w Imperium Osmańskim na początku XX wieku.

Lubelska konferencja powiązana została z niezwykłym wydarzeniem. Przybył na nią Wielce Błogosławiony Nerses Bedros XIX, patriarcha Kościoła ormiańskokatolickiego w Cylicji, duchowy przywódca wszystkich Ormian katolików na świecie, a więc i sukcesorów tradycji ormiańskiej we Lwowie. Rada Wydziału Teologii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II podjęła inicjatywę uhonorowania patriarchy Złotym Dyplomem Wydziału Teologii przy zbiegu ważnych rocznic: w 75. rocznicę śmierci abpa J. Teodorowicza, 95. rocznicę powstania KUL i 650. rocznicę katedry dla wiernych ormiańskiego Kościoła we Lwowie. Tradycją akademicką jest wygłoszenie przy takiej uroczystości mowy szczególnego rodzaju – laudacji, charakteryzującej honorowaną osobę, jej drogę życia, dokonania i ich znaczenie w wymiarze naukowym lub innym (społecznym, narodowym, religijnym). Wystąpienie Dziekana Wydziału Teologii KUL, ks. prof. dra hab. Mirosława Kalinowskiego na cześć Dostojnego Gościa, zatytułowane „Kustosz tradycji Ormian Lwowskich” harmonijnie spłotło wątek biograficzny związany z osobą patriarchy i jego pozycją w Kościele ormiańskim z wątkami zasygnalizowanymi powyżej, wzbogacającymi o ważne akcenty historyczno-religijne i żarliwość emocjonalną wypowiedzi. Kiedy po śmierci J. Teodorowicza stolica metropolitalna we Lwowie nie została już obsadzona, jej symboliczna sukcesja przejęta została przez zwierzchników Ormian-katolików opiekujących się „rozproszonym po całym świecie, jakże okrutnie doświadczonym ludem, który wbrew nieprzychylności losu zachował swą chrześcijańską tożsamość i wierność Biskupowi Rzymu.”

W swym wystąpieniu patriarcha (mający swą siedzibę w Libanie) przedstawił zarys dziejów katolickiego Kościoła ormiańskiego, eksponując dzieje wspólnoty ormiańskiej we Lwowie, oraz wspominając wybit-

nych duchownych ormiańskich, w tym prześladowanych za wiarę w okresie okupacji niemieckiej i sowieckiej. Określił też aktualną sytuację duszpasterstwa ormiańskiego we współczesnym świecie, prezentując strukturę kościelną (diecezjalną) i najważniejsze instytucje duchowne warunkujące dalsze istnienie Kościoła ormiańskiego. Niezwykłym końcowym akcentem przemowy jest modlitwa” „Nasza Pani Częstochowska, Królowo Polski, wstawiaj się za nami. Święty Grzegorz Oświecicielu, patronie Kościoła ormiańskiego i wszystkich Ormian, módl się za nami. Amen.”

W toku sesji naukowej przedstawiono różne aspekty działalności abpa J. Teodorowicza: jako duszpasterza i społecznika, księcia Kościoła i męża stanu, rzecznika pojednania narodów dziedziczących tradycję dawnej Rzeczypospolitej, patrioty ormiańskiego i zarazem płomiennego patrioty polskiego, wybitnego teologa i biblisty, złotoustego mistrza słowa polskiego „na które – jak powiedział ks. metropolita krakowski abp Adam Sapięha – całe społeczeństwo polskie wyczekiwało – i słuchało Go z uwagą i przejęciem.” W dziejach Lwowa i historii architektury abp Teodorowicz zapisał się pięknie jako ten, który podjął dzieło odbudowy i rekonstrukcji katedry ormiańskiej, nadając jej kształt podziwiany i dziś. Zagadnienia te stały się treścią referatów: Arcybiskup Józef Teodorowicz – pasterz ormiańskiego Kościoła katolickiego (Ks. Stanisław Wilk SDB); Kościół, naród, państwo w nauczaniu arcybiskupa Józefa Teodorowicza (Mieczysław Ryba); Ormiański pasterz wobec „kwestii ruskiej”. Arcybiskupa Józefa Teodorowicza stosunek do polsko-ruskiej (ukraińskiej) konfrontacji w Galicji (Włodzimierz Osadczy); Ks. Sławomir Pawłowski SAC, Dorobek teologiczny księdza arcybiskupa Józefa Teodorowicza (1864–1938); Czy można być ormiańskim patriotą i polskim biskupem katolickim jednocześnie? Arcybiskup Józef Teodorowicz jako Ormianin (Andrzej Zięba); Jurij Smirnow, Arcybiskup Józef Teodorowicz budowniczym katedry ormiańskiej we Lwowie.

Wątki historyczne, a więc dotyczące dziejów Ormian polskich, przedstawili uczeni krakowscy, prezentując je w zarysie w dwóch epokach: dawnej Rzeczypospolitej oraz pod panowaniem Habsburgów, czyli

w Galicji austriackiej (Jerzy Wyrozumski: Ormianie w dawnej Polsce; Krzysztof Stopka, Ormianie w Galicji austriackiej). O współczesnej diasporze ormiańskiej w Polsce mówił bp Jan Kopiec (Ośrodki duszpasterstwa ormiańskokatolickiego we współczesnej Polsce). W tych trzech tekstach ujęto więc przeszłość i terażniejszość mniejszości etniczno-religijnej, trwale i dobrze wpisanej w polskie dzieje.

Jerzy Wyrozumski, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, do niedawna sekretarz generalny Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, scharakteryzował proces osiedlenia się Ormian na ziemiach polskich od średniowiecza z głównymi ośrodkami (Lwów, Włodzimierz, Łuck, Kamieniec Podolski, Krzemieniec, Zamość, Chełm, Śniatyń), zwracając uwagę zwłaszcza na trzy ważne kwestie: tworzenie własnych gmin samorządowych, powstanie własnej organizacji kościelnej (biskupstwo z pierwotną zapewne lokalizacją w Łucku, potem we Lwowie) oraz na odrębne prawo ormiańskie, które skodyfikowane w tzw. Statucie ormiańskim na sejmie w Piotrkowie (1519 r.) uzyskało sankcję państwową (sejmową i królewską). Statut określał pozycję prawną Ormian w Rzeczypospolitej, zawierając elementy tzw. prawa materialnego, tj. prawa cywilnego i karnego, i był podstawą nie tylko własnego sądownictwa, ale też m.in. rozstrzygania sporów z magistratami miast, w których obowiązywało jeszcze prawo magdeburskie, zastępowane potem nowymi już regulacjami prawnymi w Koronie i w W. Ks. Litewskim. Statut ten dopełniony został wnet regulacjami w zakresie prawa procesowego (procedury sądowej), które stopniowo odrywało się od swego pierwotnego podłoża kulturowego, a w procesie asymilacji Ormian zbliżało się do rozwiązań prawa Rzeczypospolitej. Znakomity mediewista przedstawił stan zachowania zabytków prawa ormiańskiego, jego różne redakcje i podstawowe badania nad nimi, wspominając w tym względzie zasługi Oswalda Balzera, wielkiego historyka lwowskiego.

Tematyczny zakres rozważań kolejnego uczonego krakowskiego (dyrektora Muzeum UJ i redaktora Rocznika Ormian polskich) o dziejach Ormian w Galicji wyznaczyły części wystąpienia: Liczebność i rozmieszczenie (główne ośrodki, sieć parafialna);

Przemiany instytucji etnicznych (głównie Kościoła ormiańskiego, sytuacja kleru ormiańskiego); Wyznaczniki procesów integracyjnych Ormian galicyjskich (Tempo modernizacji społeczeństwa galicyjskiego; instytucje integrujące); Strategie zachowania etniczności w społeczeństwie modernizującym się (Horyzonty etniczności, pamięć grupowa, debata o tożsamości: pokusa konserwowania etniczności i orientacja asymilacyjna; klanowość substytutem etniczności). Mówca wszechstronnie przedstawił przeobrażenia Ormian galicyjskich między II połową XVIII wieku a początkiem wieku XX (okres między pierwszym rozbiorem Polski a wybuchem I wojny światowej), na tle wielce złożonych procesów społecznych-kulturowych, narodowościowych, gospodarczych, i wielokierunkowych (często sprzecznych) tendencji politycznych – wyrażanych to przez austriackie władze państwowe, to przez różne reprezentacje odrębnych interesów mniejszości narodowych w wielonarodowym cesarstwie austro-węgierskim.

Bp Jan Kopiec (Gliwice) przedstawił sytuację Ormian w Polsce po opuszczeniu przez nich terenów zagarniętych przez Rosję (Związek Radziecki), tj. dawne ziemie wschodnie Rzeczypospolitej, Besarabia i Bukowina. Osiedlili się głównie w rozproszeniu w kilku ośrodkach (Kraków, Warszawa, Łódź, Wrocław, Opole, Gliwice, Gdańsk, Przemyśl). W nowej rzeczywistości politycznej i kościelnej powstał niełatwy problem odbudowy życia religijnego Ormian i tworzenia nowej struktury organizacyjnej dla ich obrządku. Referent omówił etapy ustanawiania duszpasterstwa katolików ormiańskich i tworzenia parafii terytorialnych, aktualnie w Gdańsku, Warszawie i Gliwicach. Szerzej zaś zaprezentował funkcjonowanie właśnie tej ostatniej parafii – od jej załazków początkowo jako ośrodek kościelny dla Ormian, samodzielna stacja duszpasterska, wreszcie właściwa parafia. Mówca wspomnieniem objął kolejnych duszpasterzy, ich starania o rozwój liturgii, o renowację i wyposażenie własnego kościoła. Jedną z cech ich działania była troska o podtrzymanie dawnych tradycji ormiańskich (jak znane niegdyś bale ormiańskie, a w nowych warunkach tzw. opłatki ormiańskie), a więc elementu utrwalającego poczucie wspólnoty grupowej, własnej tożsamości. W wystąpieniu wyeksponowany został jednak problem szczególny –

osobliwości mszy św. w obrządku ormiańskim z orientalną oprawą co do szat i śpiewów oraz jej relacji do mszy „polskiej” (tzn. mówiąc w skrócie – w języku polskim). Oto problem, Polacy pochodzenia ormiańskiego mają zarazem własne tradycje kulturowe i religijne. Jednym więc z nader z poważnych zagadnień jest język liturgii – klasyczny język ormiański, kultywowany zwłaszcza w śpiewie, lecz który nie jest już rozumiany. Liturgia zaś jest główną podstawą tożsamości Ormian, przez nią „wypowiada się cała istota odrębnego obrządku w ramach katolickiego kultu.” Językiem wiernych jest już język polski, zatem proponowane jest rozwiązanie kompromisowe: w języku polskim udostępnić autentyczne ormiańskie teksty liturgiczne, język ormiański w charakterze czcigodnego symbolu zachować tylko w krótkich zwrotach, pielegnować zaś ściśle wizualną i muzyczną oprawę liturgii, wywodzące się z dawnej najbardziej rodzynej tradycji armeńskiej. „W ten sposób Polacy pochodzenia i obrządku ormiańskiego odnajdą w tym samych siebie, zaś „łacinicy” – rozumiejąc liturgię, poznają jeszcze jeden możliwy jej wyraz.” Ten program sformułowany przez ks. Kazimierza Romaszkanę pochodzenia ormiańskiego, dawnego łagiernika w Norylsku na Syberii, a po powrocie potem ustanowionego przez kard. S. Wyszyńskiego (w 1971 r., jeszcze przed utworzeniem sieci parafialnej) proboszczem Ormian w Polsce, jest obecnie akceptowany, kreuując „żywe oblicze katolików Ormian w Polsce.”

Dzieje przebudowy katedry ormiańskiej we Lwowie podjętej przez abpa J. Teodorowicza, ratowania jej przed ruiną i nadania jej nowego artystycznego wyrazu w architekturze i w programie nowych malowideł, fresków i mozaik, to świetny temat dla historyków sztuki, ale jest też frapujący dla mniej fachowego czytelnika. W odpowiednim wystąpieniu zawarto podstawowe wątki: zrurowanie starej katedry i groźba katastrofy budowlanej, artystyczna wizja hierarchy w ostrych sporach z wybitnymi historykami sztuki i konserwatorami galicyjskimi i wiedeńskimi, nieustępliwość abpa w dążeniu do urzeczywistnienia własnej koncepcji, uporczywe poszukiwanie środków materialnych i najlepszych projektantów i artystów, zdolnych sprostać jego oczekiwaniom i wyobraźni plastycznej, i na tym tle – liczne spory i „zawirowania” w sprawie

umów i ich zrywania; zderzenie z tzw. opinią publiczną i polemikami prasowymi, podróże arcybiskupa po Europie, by poznać najlepsze wzory architektury i sztuki ormiańskiej. Bo zamierzał rzecz wielką i kontrowersyjną: usunąć zniszczony wystrój katedry de facto w swym wyrazie barokowej i łacińskiej, jakże odległy od ducha ormiańskiego, a w to miejsce przeprowadzić armenizację budowli, tj. wyposażyć ją w zdobnictwo, mówiąc najprościej, nawiązujące do tradycyjnych wzorów sztuki ormiańskiej. Nie chodziło tylko o ślepe naśladownictwo, lecz o to, by tło artystyczne było adekwatne do istoty liturgii ormiańskiej, by współhistniało z duchem religijnym. Główne tło sporów dotyczyło tego, że ten program według ówczesnych teorii artystyczno-konserwatorskich był anachronizmem historycznym. Lecz w działaniu arcybiskupa można dopatrzeć się analogii do dzieła innego arcybiskupa lwowskiego, Sierakowskiego, który dwieście lat wcześniej z żelazną konsekwencją przeprowadził program renowacji łacińskiej katedry lwowskiej, zastępując gruntownie jej średniowieczny, gotycki wystrój, urządzeniem wnętrza według nowej estetyki, stylu rokoka.

Autor szkicu przedstawił ostateczny efekt skomplikowanych działań. Powstało zdumiewające wyrazem artystycznym dzieło, harmonijnie łączące ducha starożytności armeńskiej (ormiańskiej) z nowymi prądami w sztuce. Omówił m. in. nowe polichromie w nawie głównej i prezbiterium wykonane przez mało znanego wtedy malarza J. H. Rosena, „odkrytego” przez arcybiskupa. Jednakże zaskakuje to, że autor kilkakrotnie już piszący o katedrze ormiańskiej pominął niby szczegół, ale w kontekście tematu konferencji ważny i swoiście znaczący. Na fresku, postaci Św. Tomasza z Akwinu artysta nadał wyraziste i charakterystyczne rysy arcybiskupa, ujmując je w aurze mistycyzmu i uduchowienia. Skojarzenie obu postaci jest jedno tylko: największy (czy najwybitniejszy) teolog średniowiecza, którego nauczanie do dziś jest fundamentem teologii katolickiej; i hierarcha lwowski, w swoim czasie wybitny teolog i apologeta, wielkiej miary biblista, nieprzeciętna osobowość. Jest także inny fresk: majestatyczne wyobrażenie Boga Ojca, którego obliczu artysta nadał z kolei rysy patriarchalnej postaci profesora Tadeusza Zielińskiego.

Znany w świecie hellenista, znawca kultury antycznej, dlaczego trafia na malowidło kościelne, fanaberia artysty? Kwestia artystycznego wyrazu oblicza Boga-Ojca i modela, to jedno. Ale jest też fundamentalny kontekst sytuacyjny; znał go artysta malarz, znali go po części współcześni, odwiedzający katedrę, dziś kontekst znany nielicznym, omówiony zresztą szerzej w referacie o arcybiskupie jako teologu. Zderzenie więc obu postaci było czytelne i zrozumiałe w danym czasie. Oto dwaj wielcy antagoniści naukowcy w zasadniczym, głośnym sporze na temat źródeł chrześcijaństwa. Na dwutomowe dzieło T. Zielińskiego *Hellenizm a judaizm* arcybiskup odpowiedział niedokończonym zresztą wielotomowym studium biblijnym, w szczególności jego częścią pt. *Od Jahwy do Mesjasza (studia nad Starym Testamentem)*. Omówienie tych dzieł czytelnik znajdzie we wspomnianym referacie (teologicznym), w tym miejscu tylko tyle: T. Zieliński był skłonny upatrywać źródeł chrześcijaństwa w kulturze greckiej, pomniejszając rolę starożytnego judaizmu, co zakwestionował J. Teodorowicz. Jego wystąpienie miało zresztą charakter szerszy niż tylko teoretyczno-biblijny. M.in. w ramach polemiki w kwestii jedyne Boga objawionego w religii żydowskiej a przeciwstawionego koncepcjom religii antycznej („pogańskiej”) z jej tak czy inaczej pojmowanym wielobóstwem, przeciwstawił się antysemityzmowi, ideologiom narodowca socjalizmu (Rzesza Niemiecka) i bolszewickiej, jako tym nowym prądom, które zagrażają światu „i nam”. Dzieło T. Zielińskiego po dziesiątkach lat nieobecności czytelniczej w Polsce Ludowej wreszcie zostało wznowione jako dopełnienie cyklu jego klasycznych dzieł o kulturze antycznej. Jest ono dziś zresztą bardziej świadectwem wielkiego kunsztu pisarskiego, dziś w dziełach naukowych raczej rzadkiego, a nośność naukowa wskutek nowych dociekań na świecie dość zutrzęta. Natomiast trudno oczekiwać wznowienia dzieł J. Teodorowicza, z wielu powodów. Pokrywa je kurz biblioteczny, ścierany tylko ręką tych, którzy ze względów naukowych dążą do poznania głębokich pokładów myśli arcybiskupa.

Tragiczną rocznicę rzezi Ormian dokonanej przez Turków uwydatniły dwa opracowania: Hubert Łaszkiwicz: *Rok 1915 – Tragedia Ormian – Rafał Lemkin (1990–1959)*; Marko Jacov: *Ludobójstwo Ormian z widzia-*

ne z perspektywy dokumentów Tajnego Archiwum Watykańskiego. Trzy wątki pierwszego z tych wystąpień należy wskazać: pierwsze polskie świadectwo o tragedii Ormian: da je Stefan Żeromski w swej powieści „Przedwiośnie” wpisując straszne zdarzenia w dzieje głównego bohatera Cezarego Baryki; odpowiedni fragment literacki kończy się przejmująco: „Nie zapomnij krzywdy mojej...Przypatrz się dobrze zbrodni ludzkiej! Strzeż się! Pamiętaj”;

Wątek drugi: przypomniano postać i dokonania Rafała Lemkina, wybitnego prawnika wykształconego w Uniwersytecie Jana Kazimierza (potem osiadłego w USA). Specjalizował się w badaniach nad ustawodawstwem karnym reżimów totalitarnych w Italii (Włoszech Mussoliniego), Związku Sowieckiego (ZSRR), III Rzeszy Niemieckiej pod rządami Adolfa Hitlera. Zasztył się w opracowywaniu Kodeksu Karnego RP z 1932 roku, w kilkuletnim procesie nowych kodyfikacji prawa państwa polskiego (m.in. wybitnie nowoczesny kodeks prawa cywilnego na tle rozwiązań w innych państwach europejskich, w którym to dziele niebagatelną rolę odegrali prawnicy lwowscy, a niektóre rozwiązania prawne w tym zakresie obowiązują do dziś). Jednak jego „obsesją naukową” stało się to zagadnienie: jak i w jakie normy prawa ująć odpowiedzialność suwerennego państwa za zbrodnie popełnione na jego obywatelach. Inaczej: czy i w jakim zakresie można pociągać do odpowiedzialności karnej obywateli, urzędników, żołnierzy, polityków suwerennego państwa za zbrodnie dokonane na swych obywatelach. I czy tylko na swych obywatelach? I jak określić kategorię przestępstwa, które w tym zakresie mogłoby być ścigane z mocy prawa przez społeczność międzynarodową? Impulsem tych dociekań były zbrodnie popełnione wobec społeczności ormiańskiej w czasie I wojny światowej w Imperium Osmańskim i inne zdarzenia o charakterze zbrodni (wspomniane w tekście). Dyskusje wobec tej kwestii musimy tu pominąć (są zasygnalizowane w wystąpieniu), zmierzając do pointy. Rafał Lemkin wypracował pojęcie prawne „ludobójstwo” (ang. genocide), trwale wpisane w światową terminologię prawną, historyczną, politologiczną. Był inicjatorem i współautorem Konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa, uchwalonej 9 XII 1948 r. przez Organizację Narodów Zjednoczonych.

Tak nieprzemijająco lwowski prawnik wpisał się w dzieje współczesnego prawa międzynarodowego.

Wątek trzeci: fale prześladowania Ormian w Rosji Sowieckiej w latach 20, 30., 40. ubiegłego wieku, już nie ze względów narodowościowych, ale klasowych i politycznych; i wreszcie trudna, wielorako dramatyczna współczesność: konflikty ludności ormiańskiej z ludnością tureckojęzyczną w regionie Kaukazu; to nabrzmiały problem Górskiego Karabachu (ormiańska enklawa na obszarze Azerbejdżanu), prześladowania Ormian w Baku, to splot skomplikowanych relacji politycznych między Turcją, Armenią, Azerbejdżanem, a w tle sytuacja geostrategiczna w całym regionie Kaukazu i Azji Mniejszej, z niebagatelną rolą Rosji (Federacji Rosyjskiej). Prognoza sytuacji jest ponura: „Rok 2015 będzie zapewne – i nic nie wskazuje na to, by mogło być inaczej – rokiem utrwalania napięć pomiędzy Armenią (Ormianami w ogóle) a jej najbliższymi tureckojęzycznymi sąsiadami, Turcją i Azerbejdżanem. Utrwali on także obecność polityczną i militarną Federacji Rosyjskiej na Kaukazie.” Jest i będzie tak, ponieważ w aktualnej konstelacji geopolitycznej jedynym punktem oparcia politycznego i gospodarczego Armenii jest Federacja Rosyjska, jako gwarant – jak powiada mówca „architektury bezpieczeństwa dla Armenii i Górskiego Karabachu.” Aktualne napięcia między Rosją a Turcją tę sytuację umocnią. Zważmy zaś – wspomniany rok 2015, to wszak dziś.

Ostatni mówca wskazał na nie do końca zbadany niezwykle bogaty zasób dokumentów w archiwach watykańskich dotyczących dziejów Ormian, szczególnie zaś w odniesieniu do ludobójstwa u progu XX wieku. W tej sprawie autor badał zgodność korespondencji dyplomatycznej ambasadorów i konsulów wielu państw europejskich akredytowanych przy Wysokiej Porcie (Turcja) z wieloma informacjami różnych kręgów kościelnych w Imperium Osmańskim nt. hekatombi Ormian, stwierdzając ich wiarygodność, przede wszystkim co do sprawstwa zbrodniczych czynów. Mówca odważnie wskazuje na odpowiedzialność mocarstw za niepodjęcie stosownych interwencji (casus Wielkiej Brytanii), a i więcej – łączy współodpowiedzialność mocarstw za ludobójstwo Ormian ze współodpowiedzialnością kilka-

dziesiąt lat potem za ludobójstwo w przypadku Żydów europejskich.

W historiografii dotyczącej dziejów Ormian w Polsce książka zajmie należną jej wysoką pozycję; zamyka ją zaś zestaw fotografii kolorowych utrwalających podniosłą wyżej wspomnianą uroczystość i obecność uczestników konferencji. Pod względem edytorskim trzeba zwrócić uwagę na plastyczny motyw okładki (powtórzony na okładce tylnej): ośnieżony masyw Araratu („świętej” góry Ormian, choć obecnie znajdującej się na terenie Turcji), a na jego tle, w oddaleniu – kompleks zabytkowego monasteru ormiańskiego; kolorystycznie istotny jest kontrast kolorów, a wszystko to z zamysłem symbolicznym; ten sam motyw krajobrazowy dopełniony jest wizerunkiem twarzy arcybiskupa wybitym na medalu; a na tylnej okładce – także starą fotografią hierarchy, z czytelnym miejscem jej wykonania: Roma.

Maciej Miśkowiec

Aleksander Błachowski *Ubiór i krajobraz kulturowy Polski i Ukrainy Zachodniej w ikonografii J. Głogowskiego i K. W. Kielisińskiego.*

Wstęp **Hubert Czachorowski** *Toruń 2011. Muzeum Etnograficzne im. Marii Znamierowskiej-Prüfferowej. 400 s., 663 il. + 16 repr. tkanin – służących jako tło wybranych ilustr. [s. 71–82 – teksty w jęz. ukraińskim: **Roman Czmełyk**, *Początki polskiej etnografii i badania Ukrainoznawcze; – Ludmiła Bułhakowa – Sytnyk, Dzieło J. Głogowskiego i K.W. Kielisińskiego – ważny wkłady do etnografii ukraińskiej.*]*

Aleksander Błachowski, urodzony w Taropolu a wykształcony w Uniwersytecie Warszawskim, gdzie ukończył historię sztuki, już w czasie studiów zajął się problematyką sztuki ludowej i jej miejscem w kulturze narodowej. Jako muzealnik przyczynił się walcnie do powstania zbiorów współczesnej sztuki ludowej w muzeach Warszawy, Płocka i Torunia. W tymże mieście kierował wywodzącym się z tradycji Wilna Muzeum Etnograficznym, a także /w latach 1976–2000/ wykładał historii sztuki ludowej na tamtejszym Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika.

Omawiana tu praca jest rezultatem poszukiwań prowadzonych przez kilkanaście lat w muzeach i bibliotekach na terenie Polski i w lwowskich instytucjach muzealnych i bibliotecznych, do których trafiły rysunki, akwarele i prace graficzne należące do Zbiorów Pawlikowskich, Zbiorów Dzie duszyckich. Skonfrontowane ze spuścizną dokumentów i listów – te wszechstronne badania pozwoliły na gruntowne przebadanie około dwóch tysięcy prac dwóch polskich artystów: Jerzego Głogowskiego /1777–1838/ – architekta z zawodu, lwowianina i Kajetana Wawrzyńca Kielisińskiego /1808–1849/ urodzonego koło Jędrzejowa, ucznia Jana Feliksa Piwarskiego w Warszawie. Bez znajomości lwowskich zbiorów nie było możliwe pełne i wszechstronne ocenienie dorobku tej nadzwyczaj pięknej postaci powstańca 1830 roku, niestrudzonego autora dokumentacji artystycznej strojów, typów, obyczajów i Ubytków, związanego z Krakowem, Medyką Pawlikowskich i Kórnikiem w Wielkopolsce, gdzie zmarł.

Niejako „wstępem” do monumentalnego dzieła Aleksandra Błachowskiego był informator wystawy prezentującej rysunki, akwarele i prace graficzne obu artystów – Głogowskiego i Kielisińskiego /Lwów – Toruń 2002/ i wystawa eksponowana we Lwowie i innych miastach Ukrainy, a także w Przemyślu, Toruniu, Szreniawie, Płocku. Płockie Muzeum Mazowieckie wydało z okazji wystawy publikację A. Błachowskiego pt. *Zapomniane skarby kultury. Ikonografia ubiorów i krajobrazu kulturowego sprzed 200 lat. Dzieło Jerzego Głogowskiego i Kajetana W. Kielisińskiego*, Płock 2009.

Otwierające tom *Wprowadzenie* uwydatnia rolę zgromadzonych „ikonograficznych dokumentów”: Aleksander Błachowski podkreśla, iż w podstawowej, fundamentalnej pracy prof. T. Dunin-Karwickiej – monografii z 19. r. pt. *Ubiory ludowe w Polsce* występują elementy odzieży znane tylko z nazwy, a nie zachowały się materialne obiekty. – „Jedyny wizerunek takich przedmiotów mamy tylko w przekazach artystycznych obu artystów” – konstatuje Błachowski /s.14/. A zakres terytorialny dokumentacji Kielisińskiego to „rdzennie polskie regiony i miejscowości, pogranicze polsko-ukraińskie i tereny rdzennie ukraińskie”, zaś „tak bogatej i wiarygodnej dokumentacji strojów z przełomu XVIII i XIX wieku nikt inny nie wykonał. Prawdopodobnie analo-

gicznej pracy z owego czasu w ogóle nie ma na świecie” /s. 15/. Konfrontując ikonografię strojów autorstwa K. W. Kielisińskiego z ilustracjami *Atlasu polskich strojów ludowych*, stwierdza Błachowski: „naszą dotychczasową wiedzę o polskich ubiorach ludowych należy poważnie zweryfikować” /s.15/.

Inny wniosek autora recenzowanej tu monografii, wysnuty na podstawie zgromadzonego materiału artystycznego, ma szersze, historyczne znaczenie: „na obszarze etnicznie ukraińskim w Galicji wschodniej, wykształciły się w ciągu wieków polskie enklawy regionalne o specyficznych cechach kulturowych. Szczególnie było to widoczne w ubiorach.” – Stroje były wyznacznikiem narodowości zarówno Ukraińców /Rusinów/, jak i Polaków /„Mazurów”, a postulat „zbadań i opracowania wciąż nieznannej ludowej części naszej kultury narodowej” to nie tylko postulat badawczy, lecz także zobowiązanie wobec „tysięcy rodaków ze wschodnich rubieży, którzy noszenie się po polsku wielokrotnie przepłacili życiem, gdyż rozpoznawano ich po ubiorze” /s.16/.

Ale unikatowy charakter dokumentacji Głogowskiego i Kielisińskiego nie ogranicza się jedynie do strojów ludowych. Głogowski utrwalił widoki baszt i fragmentów średniowiecznych murów obronnych Krakowa tuż przed ich rozbiórką, 30 lat później. Kielisiński utrwalił te widoki w akwafortach, a kontynuując dzieło Głogowskiego rysował zabytki architektury – /w Bibliotece Kórnickiej znajduje się ponad 200 szkiców terenowych/. Zdaniem Błachowskiego cała jego spuścizna rysunkowa i graficzna /a także nieliczne akwarele/ o tematyce architektonicznej zasługuje na oddzielną publikację, w omawianym tomie te cenne pod względem dokumentalnym i artystycznym prace nie mogły być szerzej uwzględnione.

Skomplikowany problem należytego zakwalifikowania strojów, jako polskie lub ukraińskie, rozstrzygał Błachowski we współpracy z dr Ludmiłą Bułhakową-Sytnyk z lwowskiego Muzeum Etnografii i Przemyślu Artystycznego; także dr Roman Czmełyk współpracował z autorem recenzowanego tomu – studia owych lwowskich uczonych weszły w skład pracy Aleksandra Błachowskiego. Fakt publikacji obu prac wyłącznie w języku ukraińskim, nie należącym do powszechnie znanych ani w Polsce, ani w innych krajach europejskich, zawęża oddziały-

wanie i zasięg prac lwowskich Kolegów. To chyba nieprzemysłane rozwiązanie.

Niektóre wnioski, które wyciąga A. Błachowski, analizując spuściznę Głogowskiego i Kielisińskiego, mają znaczenie nie tylko dla polskiej etnografii. To podkreślenie fałszywości stereotypu o braku jakichkolwiek cech oryginalnych strojów chłopskich, które miały, być tylko rezultatem naśladowania „zubożonych fora ubiorów klas elitarnych”. Drugi stereotyp to przekonanie o ubóstwie, szarości i monotonii ubiorów z czasów pańszczyźnianych /s.16/.

Ważny fragment *Wprowadzenia* do monografii pióra Aleksandra Błachowskiego zajmuje omówienie strojów, typów, obyczajów i zabytków związanych z ludnością żydowską. „Dzięki obu artystom możemy poznać barwny i różnorodny świat strojów ludowych dawnej Rzeczypospolitej wraz z jej osobliwościami architektonicznymi i zamieszkującymi ją przedstawicielami innych nacji” /s.19/

Obszerne tło kulturalne, literackie i naukowe zarysował A. Błachowski w rozdziale pt. *Geneza zainteresowania w Polsce obyczajami ludu oraz prekursorstwo dzieł J. Głogowskiego K. W. Kielisińskiego*. Nie zabrakło tu szczegółowych informacji na temat genezy i okoliczności powstania Ossolineum – Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, omówienia roli tej placówki w polskim życiu naukowym i kulturalnym, a także w dziejach muzealnictwa polskiego.

Nie zabrakło też rzeczowego omówienia działalności Józefa Gwalberta Pawlikowskiego /1793–1852/ i jego następców, aż do przekazania zbiorów w 1921 r. w wieczysty depozyt, który miał zostać unieważniony, gdyby nie mogły być spełnione warunki dotyczące polskiego charakteru miasta, polskiego charakteru Instytucji i dostępności polskim badaczom /wówczas prawowity spadkobierca – potomek Józefa Gwalberta i jego następców – miał obowiązek „ulożenia” zbiorów w innej polskiej Instytucji, która by spełniała owe warunki/. Tu opiera się Błachowski na dziejach Biblioteki Pawlikowskich opublikowanych przez ostatniego kustosa Biblioteki – Mieczysława Gębarowicza w tomie pod red. Ludwika Bernackiego pt. *Publiczne biblioteki lwowskie. Zarys dziejów* /Lwów 1926/.

Przekazanie kolekcji grafiki i rysunków do Ossolineum подарował M. Gębarowicz: „W ten sposób los, cel i przyszłość zbiorów

zabezpieczono ostatecznie”. „Historia jeszcze raz zadrwiła z marzeń i pragnień patriotów” puentuje ten cytat Błachowski. Dla porządku możnaby dodać długi spis publikacji dotyczących losów zbiorów lwowskich – nie tylko zbiorów Ossolineum – po roku 1945, a zwłaszcza prace wrocławskiego uczonego Macieja Matwijowa zasługiwały by na przytoczenie, ale nie ma to bezpośredniego związku z problematyką książki Błachowskiego.

Zadziwiający fakt „poszukiwań” – kilkudziesięcioletnich !/ – ludowych drzeworytów ze zbiorów Pawlikowskich, publikowanych przez Ksawerego Piwockiego w jego pracy doktorskiej /z 193. r. i „odkrycie”(!) tychże grafik przez badacza z Muzeum Etnograficznego im. Seweryna Udzieli w Krakowie to temat zasługujący na osobne omówienie. Tu przywołuję publikację krakowskich etnografów dla tym mocniejszego uwydatnienia kompetencji i obiektywizmu A. Błachowskiego.

Poprzednicy i rówieśnicy J. Głogowskiego i K. W. Kielisińskiego do połowy XIX wieku to rozdział następny – uwydatnia tu Błachowski wyjątkowość dzieła obu „bohaterów” swej monografii, przeoczył niestety prace związanych ze Zbiorem Czartoryskich w Krakowie autorek dotyczące rysunków Jana Piotra Norblina w Krakowie i w Winnicy /prof. Heleny Blum, kustosz Władysławy Rothowej/.

Niezwykła jest liczba wątków etnograficznych, obyczajowych, historycznych, które rozwija Aleksander Błachowski w oparciu o zbiory lwowskie, konfrontując je z pracami w zbiorach na terenie Polski. Nieuwzględnianie w badaniach lwowskich kolekcji prac obu artystów ma daleko idące konsekwencje! Wymownym przykładem takiego zjawiska jest wydana w 2009 r. w Krakowie monografia pióra K. Smyk pt. *Choinka w kulturze polskiej. Symbolika drzewka i ozdób*. A. Błachowski określa tę pracę, jako „wszechstronne i perfekcyjnie opracowaną dysertację”, ale zwraca uwagę na rysunki Kielisińskiego w Lwowskiej Galerii Sztuki. To cały cykl wielopostaciowych rysunków – scen rodzajowych przedstawiających obrzędy związane m.in. ze świętami Bożego Narodzenia. Jest tu rysunek choinki we dworze Pawlikowskich w Medyce w r. 1834 i scena z kołodnikami /z niedźwiedziami i kozą/ w tymże dworze w roku następnym (il. 83 i 84). Trudno tu przytaczać dłuższy wywód Błachowskiego na

temat różnicy sytuacji w zaborze austriackim w zestawieniu z rosyjskim i pruskim, konsekwencji tego zjawiska – dla kultury, życia narodowego; Austriacy „nie wynaradawiali polskich wieśniaków i drobnej szlachty”. Język niemiecki „nie był nośnikiem kultury niemieckiej, lecz katolickiej Austrii” /s. 70/.” J.G. Pawlikowski studiował w Wiedniu i stamtąd mógł przywieźć wzorec choinki bożonarodzeniowej.” – Tak to jeden rysunek zmienia całkowicie obraz sytuacji, obalając ugruntowaną opinię o niemieckim pochodzeniu choinki na ziemiach polskich. Trudno o bardziej wymowny przykład ilustrujący – poprzez rysunek jednego artysty i jedno zagadnienie z dziejów obyczajów 1 połowy XIX w. – konsekwencji małej dostępności /a przez wiele dziesięcioleci niedostępności/ ważnej dla dziejów naszej historii, kultury i sztuki kolekcji...

W niniejszej recenzji wspominałem o owocnej współpracy autora książki, Aleksandra Błachowskiego, z dwójką lwowskich badaczy, co zostało upamiętnione publikacją ich artykułów. Błachowski nie przemilcza w imię prawdy – całkowicie odmiennej postawy, jaką zajmowali inni przedstawiciele świata naukowego i kulturalnego. W 1988 r. profesorowie wyższych uczelni Lwowa – etnograf Halina Stelmaszczuk i rzeźbiarz Dymitr Krwawycz opublikowali książkę o ukraińskich strojach ludowych XVII-początku XIX wieku w akwarelach J. Głogowskiego, Wstęp autorstwa prof. Krwawycza szczegółowo omawia A. Błachowski, zwracając uwagę na tendencyjny opis życia kulturalnego Lwowa przełomu XVIII/XIX w. – „Wiele /.../ nazwisk okupantów austriackich i opisów ich działalności artystycznej, która według autora miała nadawać miastu charakter europejski.” Charakterystycznym przykładem tendencyjnego przemilczenia jest sprawa 30 obrazów do ikonostasu spalonej cerkwi we wsi Starziawa /Starzów/, którą odbudowano w 1835 r. Krwawycz podaje nazwisko malarza – był nim Rafał Hadziewicz /1803–1886/, przemilcza jednak osobę fundatora cerkwi /jej odbudowy/ i mecenasa malarza. Krwawycz opiera się na monografii Hadziewicza pióra prof. Jadwigi Puciata-Pawłowskiej /wyd. w Toruniu w 1961 r., cytuje tę książkę na s.25/, ale pomija zawarte tam informacje, że to Pawlikowscy – właściciele wsi Starzów – odbudowali cerkiew i /za radą Kielisińskiego/ sprowadzili do Medyki znanego malarza.

Nie pasowały również do założonej z góry koncepcji wytknięte prof. Krwawyczowi przez A. Błachowskiego przemilczenia i – nazwijmy to uprzejmie „niedokładności”. Przypomina więc Błachowski fakt, że to Austriacy byli okupantami Lwowa w okresie 1772–1918, że nie można pomijać roli Zakładu Narodowego im. Ossolińskich – tu przypomina fakt pracy w Ossolineum również Ukraińców – tu przypomina postać Iwana Wahylewycza /1811–1866/ „jednego z „Ruskiej Trójcy” romantycznych poetów, pisarzy, folklorystów, którzy opracowali literacki almanach pt. *Dnistrowa Rusalka*, budzący narodowego ducha Ukraińców.” /s. 96/. Wspominany tu już Roman Czmełyk zwrócił uwagę na fakt, że Jakiw Hołowačky zbierał materiały do badań folklorystyczno-etnograficznych w szeregu przypadkach w tych samych miejscowościach, w których rysował Kielisiński.

„/.../ nie ma powodów, by wstydzić się, że wiele dzisiaj funkcjonujących instytucji fundamentalnych i prestiżowych dla kultury Lwowa oraz Ukrainy, o genezie sięgającej pierwszej połowy XIX wieku, nie było zakładanych przez okupantów austriackich, lecz przez obywateli polskich, najczęściej borykających się z przeszkodami stwarzanymi przez obce władze, wrogie tak samo wobec Polaków, jak i Ukraińców” /s.96/ – świadomie cytując ten ważny fragment książki Błachowskiego, bo można go odnieść do większości powstałych po 1944 r. publikacji popularnych – jak przewodniki turystyczne – ale też naukowych /przynajmniej do tego miana aspirujących!/.

Książka Błachowskiego przypomina też postać Włodzimierza Dzieduszyckiego, który uważał się za Rusina, był grekokatolikiem i stworzył podwaliny pod zbiory dwóch lwowskich muzeum /Błachowski wymienia tylko Muzeum Etnografii i Przemysłu Artystycznego, ale kiedyś Muzeum Dzieduszyckich łączyło w swych murach kolekcje przyrodnicze, etnograficzne i artystyczne/. Była to koncepcja bardzo oryginalna wielodziałowego muzeum, ukazującego wszechstronnie środowisko działalności człowieka, ale nie mieszczące się w schemacie muzeum przyrodniczego działu zlikwidowano w roku 1939/40, a zbiory trafiły do Muzeum Etnografii i do Galerii Obrazów /dziś Lwowska Galeria Sztuki/. Do tego muzeum trafiły też 363 rysunki Kielisińskiego.

Poznanie ich umożliwiło sprostowanie rażącej omyłki w książce Stelmaszczu i Krwawycza: to przypisanie Głogowskiemu setek akwarel i rysunków Kajetana W. Kielisińskiego znajdujących się w Zbiorach Pawlikowskich w Dziale Sztuki /dawniej Gabinecie Sztuki/ Biblioteki im. W. Stefanyka. Błachowski postuluje „rewindykację” autorstwa prac Kielisińskiego na rzecz ich rzeczywistego wykonawcy, przytacza inne rażące przykłady przypisywania ich Głogowskiemu, lub reprodukowania ich przerysów z określeniem „archiwum”. Wytyka też nierzetelność K. Turskiej – autorce recenzji książki Stelmaszczu i Krwawycza na łamach „Kwartalnika Historii Kultury Materialnej” /1990 nr 3–4/.

Zamęt istniejący wokół postaci Kielisińskiego ilustruje jeszcze jeden przytoczony w książce Błachowskiego przykład: w książce Hwed Wowka pt. *Studiji z ukrajinskoji etnografiji ta antropologiji* /Kyjiw 1995/ różniące się od prac Głogowskiego te, które wykonał Kielisiński opatrzone określeniem „koniec XVIII początek XIX wieku zastępującym nazwisko autora /który – przypomnijmy – urodził się w roku 1808/. Również wymieniana tu już G. Stelmaszczuk w napisanej wspólnie z M. S. Byłan, albumowo wydanej książce pt. *Ukrajinskoj strij* reprodukuje rekonstrukcje ubiorów opierając się na akwrelach Kielisińskiego, jednak bez podania jego nazwiska.

Odbiegając od książki Aleksandra Błachowskiego, nie mogę powstrzymać się od przywołania wspomnienia – związanego ze sprawą strojów ludowych. Otóż w 1975 r. we Lwowie zwiedzałem skansen architektury ludowej, który w okresie powojennym powstał przy przeniesionego tam w okresie międzywojennym budynku cerkiewki. W jednej z budowli skansenu ujrzałem piękny przykład stroju górala tatrzańskiego, co jako strój ukraiński objaśniała smarkata przewodniczka. Gdybym usłyszał od kogoś taką relację, uznałbym ją za zmyślenie, za coś nieprawdopodobnego. Profesor Mieczysław Gębarowicz, któremu o owym ekspozycie opowiedziałem uważał, że strój ten mógł pochodzić ze zbiorów Muzeum Dzieduszyckich /metoda ekspozycji – przybicie stroju dużymi gwoździami do zaimprovizowanego stojaka z drewnianych listew – to już miejscowa inwencja/.

Książka Błachowskiego, wielowątkowa, nasycona wiedzą autora opartą na jego wcześniejszych studiach i pracach z pogranicza kultury i sztuki, etnografii, historii literatury, obyczajowości i polityki /bo wszystkie te dziedziny są w książce obecne/ jest wyjątkowym dziełem, jeśli idzie o ogrom zgromadzonego i interpretowanego materiału. Jakość ilustracji pozwala na studiowanie i poznawanie strojów, typów i narodowości dawnej Rzeczypospolitej, informuje o dawnych rzemiosłach, o bogactwie folkloru. Zamyka tę pasjonującą książkę rozdział pozornie tylko mało z problematyką całości związany – dotyczy elementu stroju chłopów polskich /oponczy/ i ukraińskich /opancy/, a bardzo szczegółowe rozważania i dociekania wciągają czytelnika, nawet nie mającego wiele wspólnego z folklorem, wsią, jej życiem i obyczajami.

Janusz Maciej Michałowski

Mariusz Olbromski, Śladami słów skrzydlatych... Pomniki pisarzy i poetów polskich na Kresach Południowych dawnej Rzeczypospolitej, wydanie trzecie, Przemysł 2013, s. 201,

Są książki, które czyta się z konieczności, są takie, które czytamy dla przyjemności i są książki czytane z potrzeby serca. Wśród tych ostatnich są na pewno książki autorstwa Mariusza Olbromskiego. Szczególne miejsce zajmuje publikacja nosząca jakże wymowny tytuł: *Śladami słów skrzydlatych... Pomniki pisarzy i poetów polskich na Kresach Południowych dawnej Rzeczypospolitej*. Niezależnie od naszej wiedzy historycznej na hasło Kresy drży w sercach jakaś czuła struna. Wystarczy w nią tylko mocniej uderzyć i już jesteśmy gotowi do podróży. Do takiej autentycznej lub tylko w wyobraźni, do podróży intelektualnej. A do takiej eskapady zaprasza prezentowana publikacja. Zachęca zarówno treścią, jak i elegancką stroną graficzną, co jest zasługą Alicji Czerneckiej-Mikrut.

To właśnie na Kresach kształtowały się talenty przyszłych wielkich twórców, tam jaśniały blaskiem ich nazwiska. Książka jest rodzajem przewodnika dla turystów pragną-

cych poznać miejsca niezwykle, magiczne, pragnących odbyć podróż do krainy wielkich pisarzy i poetów. Podróż „śladami słów skrzydlatych”.

Książka napisana przez Mariusza Olbromskiego – człowieka doskonale znającego Kresy i literaturę polską – jest zaproszeniem do zgłębienia historii literatury, jest kluczem do skarbcza kultury polskiej.

Publikacja składa się z trzech części. Pierwszą jest rozbudowany, 30-stronicowy esej zatytułowany *Śladami słów skrzydlatych – zarys literatury polskiej na Kresach Południowych dawnej Rzeczypospolitej*. Ten zwięzły, uporządkowany chronologicznie wykład wprowadzi każdego bez wyjątku w tajniki literackiego dorobku naszego narodu. Zrozumie go laik, ale zadowoli też znawcę tematu. Bo autor ma rzadki dar pisania do wszystkich, edukowania i intrygowania jednocześnie. Czytając ten tekst ze zdziwieniem stwierdzamy, iż nawet nie mamy świadomości, ilu twórców ma kresowe korzenie. Bo to nie tylko Adam Mickiewicz czy Juliusz Słowacki. Lista jest znacznie dłuższa. Ponadto u wielu literatów Kresy są tematem albo tłem akcji utworów. Wielu można nazwać piewcami urody kresowych miast i krajobrazów. Nie ograniczył się jednak Mariusz Olbromski wyłącznie do przywołania długiej listy nazwisk i tytułów. Każdemu twórcy poświęcił chociaż akapit, nad związkami każdego z nich pochylił się choćby na krótką chwilę. Nie omisszkał odnieść się do współczesności, do obecności polskiej literatury na dawnych Kresach Rzeczypospolitej. Podjął się też próby podsumowania znaczenia kresowej literatury: „Literatura tworzona przez wieki na Kresach Południowych stała się wielkim zapisem dziejów naszej ojczyzny, narodów, które zamieszkiwały te ziemie. Od czasów staropolskich po współczesność zdumiewa ona nas i zachwyca bogactwem słowa, poetyk, tematów”¹. Ponadto spróbował Olbromski „rozprawić się” z stereotypami i mitami dotyczącymi literatury kresowej, jakie wyodrębnił Eugeniusz Czaplewicz w rozprawie *Czym jest literatura kresowa*. Analizując różne sposoby postrzegania Kresów, doszedł autor omawianej tu książki do wniosku, że Kresy wciąż „żyją i trwają, choć w zupełnie innych warunkach, nie tylko w dziełach już istniejących. Patrząc w wielkie dziełnictwo przeszłości – spoglądają w przyszłość”².

W swoim eseju Olbromski przywołał całą plejadę twórców, poczynając od Mikołaja Reja, a kończąc na Adamie Zagajewskim, Włodzimierzu Odojewskim, Jerzym Janickim i Witoldzie Szolgini. Czy przywołał wszystkich? Czy udało mu się wyczerpać temat? Na te pytania odpowiedzią zapewne czytelnicy książki. Jeśli będą usatysfakcjonowani dobrem nazwisk, oznaczać to będzie, że autor wywiązał się z zadania. Jeśli zechcą dodać kolejne, będzie to dowodem, iż temat jest wciąż otwarty, wciąż żywy, jak żywe są Kresy.

Wykład o kresowych twórcach uzupełnia wykaz literatury, którym autor zachęca do własnych poszukiwań, do indywidualnego zgłębienia tematu. Kropką nad i jest ukraińskie tłumaczenie eseju.

Cześć druga nosząca tytuł *Miejsca pamięci* to zbiór fotografii dokumentujących sposoby upamiętnienia twórców literatury. Są więc zdjęcia budowli, pomników, tablic, nagrobków. Jak podkreśla Mariusz Olbromski to tylko wybrane miejsca, bowiem kilkaset innych wciąż czeka na sfotografowanie. Autorami zdjęć są Bożena Rafalska, Aleksander Taran, Jadwiga Pechaty, Janusz Czarski, Mariusz Olbromski i Jerzy Piórecki. Fotografie bardzo ciekawie zestawione i opisane stanowią cenne uzupełnienie wykładu. Pozwalają na odbycie swoistej wizualnej podróży szlakiem polskich pisarzy i poetów.

Trzecią część publikacji stanowi zestaw fragmentów utworów. Otwiera ją cytat z *Żywota człowieka poczciwego* Mikołaja Reja, zaś kończą trzy wiersze Zbigniewa Herberta, które w tej publikacji nabierają wymowy szczególnej. Jakże doskonale pasują ostatnie wersy do treści książki Mariusza Olbromskiego.

„Tyle uczuć mieści się między jednym uderzeniem serca a drugim

Tyle przedmiotów można ująć obie dłonie” – wyznaje z właściwą sobie prostotą poeta.

Tyle uczuć zawarł w książce Mariusz Olbromski, tyle miłości do kresowej literatury przekazał czytelnikom książki. Wystarczy sięgnąć po tę pozycję i oddać się lekturze. I wędrować wraz z autorem „śladami słów skrzydlatych”...

Jolanta Załączny

¹ M. Olbromski, *Śladami słów skrzydlatych... Pomniki pisarzy i poetów polskich na Kresach Południowych dawnej Rzeczypospolitej*, Przemyśl 2008, s. 34.

² Tamże, s. 35.

Barbara Łętocha, Izabela Jabłońska, Afisze Żydów ze Lwowa, Drohobycza i Borysławia wydane w latach 1929–1939 w zbiorach Bibliotek Narodowej, Warszawa 2015, Biblioteka Narodowa, s. 81, nln. 98,.il.

O życiu społecznym ludności żydowskiej w przedwojennej Polsce wiemy stosunkowo mało. Tragedia, jaka spotkała „Żydów z rąk hitlerowskich zbrodniarzy, odsunęła na daleki plan problemy i konflikty, jakie nurtowały dużą część żydowskich ugrupowań czy organizacji społeczno-politycznych i społecznych, szczególnie na Kresach Południowo-Wschodnich RP, gdzie ludność żydowska stanowiła znaczący procent ogółu mieszkańców, zwłaszcza w miastach i miasteczkach.

Prezentowane afisze (94) są przede wszystkim drukowane w Jidisz, są też w wersji dwujęzycznej, kilka w języku polskim. Wszystkie zostały przetłumaczone na język polski i angielski, tak więc szersze grono czytelników, nie tylko polskich, może się zorientować w problemach i aspiracjach politycznych pewnych grup, a także o działalności charytatywnej wśród najuboższych.

Autorki interesującego wstępu komentują czy omawiają w pewnym stopniu zawartość afiszy, naświetlają historię i działalność niektórych organizacji syjonistycznych, przypominają dążenia tego ruchu a także wydarzenia w Palestynie wpływające wówczas na intensyfikację dążeń do osiedlenia się Żydów w Palestynie.

Na marginesie tej książki warto wspomnieć, że na publikację książkową czekają chociażby afisze, wydawane we Lwowie w latach hitlerowskiej okupacji. To także niezmiernie cenne i trochę zapomniane lub raczej zaniedbane (z różnych powodów) świadectwa historyczne.

J.W.

Tadeusz Marcinkowski, Małgorzata Ziemska, *Skarby Pamięci. Album ze zbiorów Tadeusza Marcinkowskiego*, Zielona Góra 2016, Regionalne Centrum Animacji Kultury, s. 777, nln.8, il.

Dzieło życia. Tak trzeba nazwać album, stanowiący reportersko-literacką spuściznę

kolekcjonerskiego wysiłku, finansowego także, obciążającego przez całe lata rodzinę zbieracza i poszukiwacza, odkrywającego zapomnianą (często celowo) przeszłość naszą, naszego kraju, naszej Ojczyzny.

Autorzy przedstawiają w ogólnych zarysach bogatą i jakże obfitą w tragiczne wydarzenia historię Wołynia, jego losy w Rzeczypospolitej Obojga Narodów i w Polsce Odrodzonej, wskazując jakże istotnie, że Wołyń był „małą ojczyzną wielu narodów”. W osobnych rozdziałach zaprezentowano te grupy narodowościowe: Polaków, Ukraińców, Żydów, Czechów, Niemców, Rosjan, Karaimów a także Cyganów. Przypomniano główne nurty działalności zawodowej tych grup, ich organizacje, związki społeczne i kulturalne. Niekiedy te wątki można powiedzieć ogólnohistoryczne wpłatają się osobne spostrzeżenia, jak np. o tym, że po repatriacji Czechów z Wołynia, niektórzy nie powędrowali do swego kraju a wybrali Polskę, w tym przypadku Zieloną Górę.

Na pewno mało kto wie, że Czesi wołyńscy walczyli w AK, byli zsyłani na Sybir, dotarli do Armii Andersa, walczyli wraz z Polakami o Monte Cassino. Także o losach wołyńskich Cyganów prawie nic nie wiemy, ich także mordowali i Niemcy i banderowcy.

Co wiemy dziś o wołyńskich poetach, o pismach literackich tam wydawanych? Dalsze partie książki-albumu przybliżają nam pamięć o zapomnianych wydarzeniach i ludziach.

I jakże bolesne partie książki o agresji sowieckiej w 1939 r. okupacji jednej i drugiej, o mordach banderowskich, o których wiemy zresztą więcej z innych źródeł.

Dalsze partie książki to opisy poszczególnych powiatów i najbardziej znanych miejscowości. I to wszystko ilustrowane, często prywatnymi zdjęciami, gdzieś tam uratowanymi i odgrzebanymi z szuflad i zakupionymi w antykwariatach całej Polski i na targach staroci w różnych miastach.

Dzieło życia, za które Autor nie dostał, jak zwykle w takich przypadkach niestety bywa ani złamanego szeląga.

J. Wasylkowski

PS. z w trakcie druku tego numeru „Rocznika”, nadeszła smutna wiadomość o śmierci Tadeusza Marcinkowskiego.

Rodzi się pytanie: co będzie z jego zbiorami? Zadaje je Rodzina, a zwłaszcza córka, współautorka obu książek o Wołyniu, powstałych na bazie tych zbiorów? Pojawiają się już chętni do antykwarycznego zakupu, a także tacy, którzy chcieli się „zaopekować” kolekcją. A marzeniem kolekcjonera było, aby jego zbiory, wynik wieloletnich starań, znalazły się w odpowiednim miejscu, by służyły polskiej historii i kulturze.

Musimy tu wspomnieć, że Instytut Lwowski, podobnie jak inne placówki kresowe od wielu lat postuluje – u naszych władz państwowych, stworzenie Instytutów Kresowych (np. Kresów Północno-Wschodnich i Kresów Południowo-Wschodnich), z których mogłoby powstać w przyszłości Muzeum Kresów Wschodnich. Postulaty te natarły na zero (sic!) zainteresowania. Nawet nikogo z naszych polityków i decydentów kultury nie zaciekało istnienie i szeroko zakrojona działalność 16 (co najmniej!) niemieckich OST-Instytutów (biblioteki, galerie obrazów, pracownie naukowe, archiwa). Polskie organizacje kresowe z całej Polski nie dysponują na cele wydawnicze lub naukowe ani jednym pokojem...

**POLECAMY WYDAWNICTWA
INSTYTUTU LWOWSKIEGO**

KRESOWIANA:

– Rocznik Lwowski 1991	(wyczerpane)
– Rocznik Lwowski 1992	(wyczerpane)
– Rocznik Lwowski 1993–1994	16,–
– Rocznik Lwowski 1995–1996	16,–
– Rocznik Lwowski 1997–1998	20,–
– Rocznik Lwowski 1999	20,–
– Rocznik Lwowski 2000–2001	20,–
– Rocznik Lwowski 2002	20,–
– Rocznik Lwowski 2003	25,–
– Rocznik Lwowski 2004	25,–
– Rocznik Lwowski 2005	25,–
– Rocznik Lwowski 2006	25,–
– Rocznik Lwowski 2007	25,–
– Rocznik Lwowski 2008–2009	35,–
– Rocznik Lwowski 2010–2011	30,–
– Rocznik Lwowski 2012–2013	30,–
Artur Leinwald – <i>Dokumenty Obrony Lwowa 1939</i> , s. 282	16,–
Wiktor Budzyński – <i>Rozmówki panów Aprikosenkranca i Untenbauma. Dialogi i skecze z Wesolej Lwowskiej Fali</i> , s.275	20,–
Maria Bielecka-Kasprowicz – <i>Widzenie świata</i> (wiersze, m. in. o Lwowie), s. 123	12,–
Stanisław Klimpel – <i>W dolinie Wyrwy</i> (wspomnienia Lwowskiego prawnika pracującego w latach sowieckiej okupacji 1939-1941 na poczcie w Dobromilu), s. 118	15,–
Stanisław Klimpel – <i>W dolinie Strwiąża. Krościenko koło Chyrowa</i> (wspomnienia z młodych lat autora), s. 107	15,–
Jan Wojciech Wingrałek – <i>Spotykajmy się tam, gdzie lwowskie śpią Orłęta</i> , II wyd., s. 54, nl. 62	12,–
Janusz Wasyłkowski – <i>Lwowska piosenka na wojennym szlaku</i> , s.99	10,–
Janusz Wasyłkowski – <i>Lwowskie misztygałki</i> (eseje i szkice o różnych aspektach lwowskiej kultury), s. 216, twarda opr.	20,–

- Janusz **Wasyłkowski** – *Są słowa. Wiersze o Mieście, które samo się nie obroni*, s. 21 5,–
- Jan Wojciech **Wingrałek** – *Tam, gdzie lwowskie śpią OrleTA* (album o zniszczeniu i odbudowie Cmentarza Obrońców Lwowa) (wyczerpane)
- Jan Wojciech **Wingrałek** – *Tam, gdzie lwowskie śpią OrleTA. Kalendarium* (fragment ww. albumu) 7,–
- Marian **Jonkajtys** – *W Syberii białej dżungli* (wiersze, pieśni i piosenki poświęcone martyrologii polskich zesłańców na Syberii i w Kazachstanie), s. 349 (wyczerpane)
- Barbara **Lasocka** – *Z dziejów Beńkowej Wiszni. Próba monografii miejsca*. (odbitka z „Rocznika Lwowskiego” 2003) 10,–
- Bogdan St. **Kasprowicz** – *Moim miastom*. Wiersze i piosenki z Bytomiem i Lwowem w tle, s. 86, nuty 15,–
- Bogdan St. **Kasprowicz** – *Wypijmy za Lwów*. Wiersze dla i od przyjaciół, s. 54 8,–
- Marcin **Hałaś**, Bogdan St. **Kasprowicz**, Lesław **Nowara** – *Daleko od Lwowa* (wiersze), s. 73 10,–
- *Kresowe korzenie rodu Sobieskich*. Wystawa Lwowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Warszawie, s. 12 (odbitka z „Rocznika Lwowskiego” 2004) 10,–
- *Pamiętnik legionisty Wincentego Terleckiego* (odbitka z „Rocznika Lwowskiego” 2004) 10,–
- Lech **Kokociński** – *Przysięgi obywatelskie lwowskich mieszczan w czasach nowożytnych* (odbitka z „Rocznika Lwowskiego” 2006) (wyczerpane)
- Monika **Mystkowska** – *Bibliografia zawartości 12 numerów „Rocznika Lwowskiego” (1991–2006)* (odbitka z „Rocznika Lwowskiego” 2006) 10,–
- Jurij **Smirnow** – *Lwowski kościół św. Marii Magdaleny* (odbitka z „Rocznika Lwowskiego” 2006) 10,–
- Jurij **Smirnow** – *Kościół PP Klarysek – garnizonowa świątynia przedwojennego Lwowa* (odbitka z „Rocznika Lwowskiego” 2007) 10,–
- Janusz **Wasyłkowski** – *Teatr z ulicy Kopernika*. Polski Teatr Ludowy we Lwowie 1958–2008, s. 175, nlb. 17, il. 20,–
- *III Dni Kultury Ormiańskiej w Gliwicach*. Materiały informacyjne, s. 59, nlb. 4, il. 10,– 20,–
- Bogdan Stanisław **Kasprowicz** – *Moje Betlejem. Kolędy kresowe*, s. 16 (wyczerpane)
- Bogdan Stanisław **Kasprowicz** – *Dęby w ogrodzie* (wiersze o tematyce kresowej i ormiańskiej) 10,–

INNE:

- Stanisław **Bockenheim** – *Appassionaria* (powieść), s. 363 20,–
- Stanisław **Bockenheim** – *Pajacyki i gliniarze* (współczesna opowieść sensacyjna, której akcja rozgrywa się we Wrocławiu), s. 175 24,–
- Jerzy **Przeździecki** – *Nasz Brat Kain* (powieść science fiction), s. 220 10,–
- Janusz **Wasyłkowski** – *Samotny jak pies w butonierce. 200 limeryków, w tym jeden sprośny, no, może nie jeden*, s. 71 10,–
- Janusz **Wasyłkowski** – *Benudasz. Sztuka w 8 obrazach* (na motywach dziejów Chrystusa i Judasza), s. 73 12,–
- Janusz **Wasyłkowski** – *Królewski błazen. Zabawa historyczno-literacka w 3 aktach* (komedia nawiązująca do fragmentów historii Polski), s. 68 12,–
- Janusz **Wasyłkowski** – *Przegrańcy. Rzecz o moralności w ogóle i nie tylko w 2 aktach*, s. 76 18,–
- Jerzy B. **Miecznik** – *Honorne wierchy Tatr* (gawęda o najtrudniejszych do zdobycia szczytach tatrzańskich), s. 136 20,–
- Janusz **Wasyłkowski** – *Na rzecz Wolnej Polski. Towarzystwo Polskie w Danii i jego poprzednicy (1973–2001)*, s. XVI, 151, nlb. 8, il. 6,–
- Janusz **Wasyłkowski** – *Łatwo się pisze wiersz o miłości*, s. 22 7,–
- Kazimiera **Zawistowska (?)** – *Krzyk oszalałego serca. Erotyki*, s. 30 (odkrycie literackie – nieznane, pełne erotyzmu sonety przedwcześnie zmarłej podolskiej poetki) 10,–
- Karl H. **Hiller** – *Spowiedź niedoszłego Herrenmenscha*, s. 101 15,–
- Janusz **Wasyłkowski** – *Drzewostan. Wiersze sprzed lat*, s. 157 12,–
- Jarosław **Abramow-Newerly** – *Gęsi za wodą. Gorzka komedia w 2 aktach*, s. 96 12,–
- Andrzej **Jarecki** – *Marysia i Napoleon. Komedia z piosenkami w 3 aktach z epilogiem*, s. 98 12,–
- Krzysztof **Choiński** – *Karczma. Sztuka w 3 aktach*, s. 96
- Zbigniew **Adrjański** – *O batuszce, co ptakiem latał. Opowiadania i gawędy znad Horynia i Bugu*, s. 81

**PONADTO DYSPONUJEMY WYDAWNICTWAMI
INNYCH OFICYN:**

- Eugeniusz **Kruszewski** – *Polskie tropy nad Sundem i Skager-
rakiem*, Kopenhaga 2009, Instytut Polsko-Skandynawski,
s. 395, nlb. 12, il. 30,–
- Eugeniusz **Kruszewski** – *Duńscy przyjaciele sprawy polskiej*,
Kopenhaga 2006, Instytut Polsko-Skandynawski, s. 154 20,–
- Eugeniusz **Kruszewski** – *Niemiecka myśl polityczna XVIII wieku
i małe państwo*, Londyn 1997, s. 29 10,–
- Eugeniusz **Kruszewski** (wybór, wstęp i opracowanie) – *Mówią
świadkowie Ravensbrück*, Kopenhaga 2001, Instytut
Polsko-Skandynawski, s. 139 16,–
- *Joseph Jasnowski*, MCMVI, XII III MMVI, Instytut Polsko-
-Skandynawski, Kopenhaga 2006, s. 30 (druk okoliczności-
wy, nakład 100 egz.) 10,–
- Stanisław **Klimpel** – *W dolinie Strwiąża. Część II – Chyrów*,
Gliwice 2001, s. 129, il. 15,–
- Stanisław **Klimpel** – *Bez wojny. Relacja fikcji i realiów*,
s. 200, Warszawa 2003 20,–















